

C. J. Cherryh  
Najeżdźca  
(Invader)  
Przełożyła: Agnieszka Sylwanowicz  
Data wydania oryginalnego: 1995  
Data wydania polskiego: 1998

## Rozdział 1

Samolot przechylił się ostro na skrzydło i zaczął schodzić w dół, co zapowiadało lądowanie w Shejidan. Bren Cameron przez sen i z zamkniętymi oczyma potrafił rozpoznać podejście do północnego pasa.

Tak właśnie było. Środki przeciwbólowe wykonały znakomitą robotę. Bren pamiętał, że ostatnio oglądał chmury nad cieśniną Mospheiry; pewnie obsługa uratowała jego drinka, bo szklaneczka zniknęła z tacy przykrytej teraz serwetką.

Ręka na temblaku i liczne stłuczenia. Operacja.

Gdy obudził się tego ranka - był pewien, że to było tego ranka, jeśli zachował jakie takie poczucie czasu - nad jego łóżkiem pochylał się i coś do niego mówił pracownik Biura Spraw Zagranicznych, a nie matka czy Barb. Boże, nie zrozumiał połowy z tej oracji, chodziło chyba o jakieś pilne spotkanie, aiji żądał jego natychmiastowej obecności, miał miejsce jakiś drobny kryzys w rządzie nie mogący czekać, aż on wyzdrowieje po ostatnim, który, jak mu się wydawało, zażegnał przynajmniej na kilka dni. Tabini dał mu urlop, powiedział, żeby wyjechał i poradził się własnych lekarzy.

Kryzys wiszący wszystkim nad głową najwyraźniej jednak nie chciał czekać: pracownik Biura nie podał dokładnych szczegółów sytuacji na kontynencie - co samo w sobie nie było zaskakujące, ponieważ ludzki rząd na Mospheirze i patronat aijiego z siedzibą w Shejidan nie rozmawiały ze sobą w sprawach wewnętrznych aż z taką szczerością.

Oba rządy w gruncie rzeczy w ogóle nie prowadziły rozmów, jeżeli nie był przy nich obecny Bren jako tłumacz i mediator. Ciekawe, w jaki sposób Shejidan zażądał jego obecności, nie korzystając z jego usług, ale ten, kto zadzwonił, najwyraźniej przekonał Mospheirę, że to sprawa życia i śmierci.

- Podniosę panu stolik, panie Cameron.

- Dzięki. - Po raz pierwszy w życiu miał rękę na temblaku. Kiedy tylko mógł, jeździł na nartach, i to brawurowo; w ciągu dwudziestu siedmiu lat swego życia dwa razy chodził o kulach. Unieruchomiona ręka była jednak nowym doświadczeniem i, co już zdążył odkryć, prawdziwą przeszkodą w jakiegokolwiek pracy urzędniczej.

Stolik został podniesiony i zamocowany. Steward pomógł Brenowi ustawić oparcie fotela, wyciągnął końcówki pasa bezpieczeństwa i chciał go zapiąć: piankowy pancierz od obojczyka po kłykcie oraz bandaże ściskające Brenowi tors wcale nie ułatwiały mu pochylania się czy sięgania, ale przynajmniej palce miał zalane pianką tylko do połowy.

Udało mu się chwycić pas o własnych siłach, odciągnąć go i zapiąć, z nim z powrotem zacisnął mu się na piersi - drobny tryumf w dniu pełnym niepowodzeń.

Żałował, że zażył środek przeciwbólowy. Nie miał pojęcia, że będzie taki silny. Powiedzieli: „jeśli będziesz go potrzebował” i po szaleńczym wysiłku, żeby uporządkować swoje sprawy w biurze, a potem dotrzeć na lotnisko, Bren pomyślał, że potrzebuje go, żeby nieco stępić ból.

Zbudził się po godzinie, gdy samolot podchodził do lądowania w stolicy.

Miał nadzieję, że w Shejidan nie popłatano informacji i że o godzinie jego przybycia wie ktoś poza urzędnikami na lotnisku. Samoloty latające między Mospheirą i kontynentem kilka razy dziennie przewoziły tylko towary.

Kiedy na pokładzie był Bren, w małym przeszklonym przedziale na przedzie samolotu, który zwykle służył do przewożenia delikatnych ładunków medycznych, pojawiało się dwóch stewardów, dwa fotele, lista win i kuchenka mikrofalowa. Tak wyglądała jedyna linia pasażerska obsługująca Mospheirę i kontynent dla jedynego pasażera, który regularnie kursował między Mospheirą i kontynentem - dla niego, Brena Camerona, paidhi-aijiego.

Pilnie strzeżonego paidhi-aijiego, nie tylko oficjalnego tłumacza, ale arbitra badań technicznych i rozwoju oraz stałego mediatora dla atewskiej stolicy w Shejidan i wyspiarskiej enklawy ludzkich kolonistów na Mospheirze.

Wypuszczono podwozie.

Gdy samolot wśliznął się w chmury, gładki, szary dywan, który utworzyły, widoczny dotąd za oknem, zmienił się w przesłaniającą wszystko klaustrofobiczną watę.

O szybko uderzyły krople deszczu. Samolot lekko się zachwiał pod uderzeniem wiatru.

Nieoczekiwanie paskudna pogoda. Skrzydło rozbłysło bielą błyskawicy. Stewardzi rzeczywiście mówili coś o deszczu nadciągającym nad Shejidan. Nie wspomnieli jednak o burzy. Bren miał nadzieję, że aiji wysłał po niego samochód. Miał nadzieję, że nie będzie musiał iść daleko.

Deszcz zalewał okna, a gęste, szare chmury nie pozwalały niczego dostrzec. Takiego właśnie dnia przybył do leżącego w głębi kontynentu Malguri - jakiś tydzień temu? Wydawało się to niewiarygodnie dawno temu. W ciągu tego tygodnia zmienił się cały świat.

Zmieniła się cała równowaga atewskiej władzy i zagrożenia - a to z powodu jednego ludzkiego statku, który teraz znajdował się na orbicie planety. Atevi mogli zupełnie słusznie podejrzewać, że jest on mile widziany. Po stu siedemdziesięciu pięciu latach milczenia niebios z łatwością mogli dojść do tego błędnego wniosku.

Było to także sto siedemdziesiąt pięć lat podejmowania własnych decyzji przez ludzkich rozbitków na Mospheirze oraz wypracowywania zasad współistnienia z ziemią atevich. Ludzie byli zadowoleni - do czasu pojawienia się tego statku, który nie tylko wprowadzał zamęt w spokojne, przewidywalne i dostatnie życie poszczególnych osób, ale też dość niespodziewanie stawiał atevich przed faktem istnienia aż dwóch ludzkich skupisk; a dopiero w ciągu ostatnich lat zapanowały całkowicie pokojowe stosunki z ludźmi mieszkającymi na wyspie u wybrzeży atewskiego kontynentu.

Można zatem było sobie wyobrazić, że aiji w Shejidan, przywódca Patronatu Zachodniego, zupełnie słusznie chciał wiedzieć, co jest w transmisjach, które teraz krążyły między owym statkiem i naziemną stacją na Mospheirze.

Paidhi sam chciał znać odpowiedź na to pytanie. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zmienił się stopień jego użyteczności na kontynencie - lecz on sam nie otrzymał żadnych specjalnych wskazówek od prezydenta czy departamentu stanu co do tych odpowiedzi, ani jednej cholernej informacji, którą zapamiętałby w przebłyku świadomości. Owszem, wiedział z autopsji, że jeśli sprawy potoczą się źle i stosunki między ludźmi i atevimi popsuja się, to ta strona cieśniny nie będzie bezpiecznym miejscem pobytu dla człowieka: ludzie i atevi stoczyli już jedną krwawą wojnę z powodu źle zrozumianych intencji. Bren nie wiedział, czy zdoła sam zapobiec następnej wojnie, lecz jeśli chodzi o pracę paidhiego miał on stale świadomość, że jeśli nie w jego mocy leży kierowanie przyszłością ludzi na Mospheirze i w tym zakątku wszechświata, to z całą pewnością leży w niej zawalenie sprawy.

Jeden wyłom w bardzo ważnym Patronacie Zachodnim - i jeden bardzo ważny przywódca, jak aiji Shejidan, straci pozycję.

Jeden durny człowiek z nadajnikiem radiowym lub jeden zapalczywy ateva z myśliwską strzelbą - a tych było stanowczo za dużo na kontynencie, by Bren czuł się spokojnie: na wsi broń oznaczała pełny stół. Atewscy chłopcy uczyli się strzelać w wieku, kiedy dzieci ludzi uczyły się jeździć na rowerze - a atevi byli cholernie dobrymi strzelcami. Niektórzy zostawali licencjonowanymi

zawodowcami w społeczeństwie, gdzie zabójstwo stanowiło zwykły tryb postępowania prawnego.

A jeśli Tabini-aiji straci panowanie nad Patronatem Zachodnim i ten zacznie się rozpadać, to wszystko się rozleci. Atevi mają prowincje, lecz nie mają granic. Nie potrafią zinterpretować linii na mapie zgodnie z żadną logiką czy rozsądkiem, poza tym, że wiedzą, gdzie w przybliżeniu posiadłości sąsiadujące z ową linią stykają się z różnymi terenami, mającymi wpływ na dany obszar, kulturę i siatkę więzów lojalności względem innych patronatów, nie mających najmniejszego związku z geografiami.

Z wielu jeszcze innych względów społeczeństwo świata istniejącego poza Mospheirą nie było społeczeństwem ludzkim i jeśli atewski rząd upadnie po niemal dwustu latach tworzenia przemysłu i skomplikowanej struktury władzy, jednoczącej setki drobnych atewskich patronatów...

...to będzie to osobista wina Brena.

Samolot wyrwał się z chmur. Deszcz ściekał strużkami po szybie, zniekształcając panoramę miasta pozbawionego wysokich budynków, z której wyrastało zaledwie kilka kominów. Na zboczach spowitych deszczem wzgórz usadowiły się pokryte dachówką domy zorganizowane w pomyślną dla atewich geometrię.

Samolot przechylił się i Bren zobaczył rozległy kompleks rządowy, będący jego celem: Bu-javid, rezydencję aijiego rozlokowaną na najwyższym wzgórzu na skraju Shejidan, wzgórzu otoczonym hotelami i zajazdami wszelkich kategorii, pobliskimi w szarej mgiełce - Boże - bezczelnymi neonami.

Hotele te stanowiły wyraźny dowód atewskiej demokracji. Podczas zwykłych audiencji i w nagłych przypadkach zatrzymywali się w nich petenci, zwykle osoby pragnące uzyskać osobiste posłuchanie u władcy największego patronatu świata.

Podczas pełnienia obowiązków legislacyjnych te same pokoje hotelowe zajmowali prawodawcy wybrani do hasdrawadu wraz z ochroną i resztą personelu. W tych wynajmowanych na kilka nocy pokojach u stóp wzgórza znajdowała miejsce dla siebie i swojego personelu nawet garstka członków tashridu, cieszących się świeżo nadanym szlachectwem i nie mających przodków związanych z Bu-javid, sąsiadując ze sklepikarzami, murarzami, numerologami i ekipami telewizyjnych wiadomości.

Ponieważ od dawna nieobecne niebezpieczeństwo dosłownie zawisło nad światem, hotele na dole były zatłoczone, a obsługa w restauracjach na pewno poszła w rozsypkę. Komisje ustawodawcze zapewne odbywały posiedzenia. Hasdrawad i tashrid pewnie szaleją. Nie spodziewani petenci szturmują drzwi licznych sekretarzy aijiego, domagając się wyjątkowej i natychmiastowej audiencji w sprawach swoich szczególnych, zagrożonych interesów. W salach Bu-javid przepychają się specjaliści od techniki, fanatyczni numerolodzy i szaleni teoretycy - a wszystkich ich popierają zagorzali wyznawcy o dzikim spojrzeniu - ponieważ według atewich cały wszechświat można opisać za pomocą liczb, które są pomyślne lub niepomyślne: liczby dawały danemu przedsięwzięciu błogosławieństwo lub skazywały je na porażkę, a istniał tysiąc różnych sposobów wyznaczania liczb ważnych dla danej sprawy.

Niech Bóg ma w opiece proces inteligentnego podejmowania decyzji.

Pas startowy był już blisko. Bren patrzył, jak pod skrzydłem samolotu przepływają magazyny i fabryki Shejidan: dachy, a w końcu podziurawione deszczem kałuże, rozmyty obraz wentylatorów i zarys znaku firmowego na żwirze. Z ziemi nigdy nie widział Aquidańskich Zakładów Rur i Armatury. Razem jednak z iglicą Zachodniego Zrzeszenia Kopalń i Przemysłu i dachem Patanadzkich Zakładów Lotniczych i Kosmicznych stanowiły one uspokajający akcent wszystkich jego powrotów na tę stronę cieśniny.

Ciekawy pomysł, żeby Shejidan stał się schronieniem.

Podczas tej bytności na Mospheirze Bren nie widział się nawet z matką. Nie przyjechała do szpitala. Zadzwonił do niej po przylocie - w swoim pokoju szpitalnym miał czas na trzy telefony, zanim prawie całkowicie pozbawiono go

przytomności, szpikując środkami przeciwbólowymi, i odwieziono na badania. Wyraźnie pamiętał, że dzwonił i rozmawiał z nią, powiedział, gdzie jest i że rano będzie miał operację. Powiedział jej, bagatelizując sprawę, że nie musi przyjeżdżać, że może zadzwonić do szpitala i zapytać o niego, kiedy odzyska przytomność. Tak naprawdę jednak, chociaż nie chciał się przed samym sobą do tego przyznać, miał nadzieję, że matka przyjedzie i okaże nieco matczynej troski.

Zadzwonił też do swego brata Toby'ego, aż na północne wybrzeże, gdzie Toby mieszkał z żoną. Brat był pewien, iż nic mu się nie stało; bardzo się ucieszył, że w obecnych warunkach Bren wrócił do pracy - o czym paidhi oczywiście nie mógł rozmawiać z rodziną, więc nie mówili na ten temat; i to by było tyle.

Do Barb zadzwonił na końcu - nie miał wątpliwości, że Barb przyszłaby do szpitala, ale nie odebrała telefonu. Zostawił informację: „Cześć, Barb, nie wierz wiadomościom, nic mi nie jest. Mam nadzieję, że się zobaczymy, póki tu jestem”.

Kiedy jednak się obudził, nad jego łóżkiem pochylał się tylko ktoś z departamentu, pytając: Jak się pan czuje, panie Cameron?

A także: Naprawdę mamy nadzieję, że będzie pan w stanie...

Dzięki, odpowiedział.

Cóż innego mógł powiedzieć? Dziękuję za kwiaty?

Koła dotknęły ziemi, zapiszczały na wilgotnych płytach. Patrzył przez zalane deszczem okna na niebo koloru popiołu, na mokre betonowe pasy startowe, na terminal o funkcjonalnej, bryłowanej architekturze. Wszystko to równie dobrze mogłoby być międzynarodowym portem lotniczym na Mospheirze.

Kiedy leżał w szpitalu, zespół z Bezpieczeństwa Narodowego zajął się jego komputerem; eksperci z departamentu stanu i ABN na pewno przejrzyli jego wszystkie pliki, od prywatnych listów po notatki do wystąpień i spostrzeżenia słownikowe, ale musieli się śpieszyć. Nawet wiedząc, że wkrótce zostanie wezwany, spodziewał się, że przynajmniej jeden dzień poleży sobie na słońcu.

Coś jednak przybrało rozmiary kryzysu i kiedy ochrona odebrała go z ostrego dyżuru w szpitalu, żeby odstawić do biura, dostał z powrotem komputer oraz trzydzieści minut w biurze po drodze na lotnisko - całe trzydzieści minut na resztkach narkozy i środków uśmierzających ból, żeby załadować pliki, których mógł potrzebować, i nowe kody zabezpieczeń - oraz odrzucić prośbę sekretarza prezydenta o sprawozdanie, którego prezydent najwyraźniej nie miał dostać. W międzyczasie Bren wpuścił do systemu swego osobistego Poszukiwacza na sygnale, żeby wydobył wszystko, co się da - całą korespondencję od jego własnego personelu, Biura Spraw Zagranicznych, departamentu stanu i wszelkich innych osób.

Z powodu tego pośpiechu nawet nie wiedział, jakie dokładnie pliki ściągnął ani co mogłoby dostać, gdyby postawił się cenzorom departamentu stanu, i co mogło się zmienić w głównej bazie danych. Ich samolot miał niezwykle wąskie okno wejścia do atewskiej przestrzeni powietrznej, co samo w sobie już świadczyło o wzroście napięcia. Na lotnisko pędzili jak stado szatanów, właściwie wypchnęli z rozkładu wszystkie lokalne loty mospheirańskie; gdy samolot osiągnął odpowiedni pułap, Bren dostał sok i zamierzał przez godzinę popracować - niestety zasnął, obserwując chmury.

Myślał, że tylko da odpocząć oczom. Że odgrodzi się od słonecznego blasku, tego ostrego blasku panującego nad chmurami. Nawet teraz nie był pewien, czy jego organizm wydalil już ten przeklęty środek przeciwbólowy. Wszystko pływało mu przed oczyma. Myśli przewijały się chaotycznie. Bren nie miał pojęcia, co go czeka, nie pamiętał, co powiedział mu człowiek z departamentu.

Samolot podkołował nie na zwykłe stanowisko, lecz do ślepego, pozbawionego okien końca terminalu pasażerskiego. Kiedy pilot wyłączył silniki, Bren stoczył zwycięski pojedynek z pasem, po czym spojrział wyczekująco

na stewardów, mając nadzieję na pomoc przy niesieniu bagażu, i ostrożnie wstał z fotela.

Jeden ze stewardów wyciągnął bagaż ze schowka obok kuchni. Bren zatrzymał przy sobie komputer, mimo że drugi steward wyciągnął po niego rękę.

- Proszę o kaftan - powiedział i odwrócił się plecami, by steward pomógł mu go włożyć. Był to trochę niesezonowy kaftan, który trzymał na wszelki wypadek na Mospheirze, uszyty w stylu atevich, z licznymi guzikami i długi do kolan. Włożył zdrową rękę do rękawa, a drugi narzucił na unieruchomione ramię - przeklęty kaftan zsuwał się i gdyby była to Mospheira w lecie, to nie zawracałby sobie głowy ubiorem; tu jednak był Shejidan, gdzie džentelmen zdecydowanie nie pokazuje się w miejscach publicznych bez kaftana.

Dżentelmen zdecydowanie pilnuje też, by mieć starannie zapleciony warokocz i ozdobić go wstążkami wskazującymi na jego pozycję i pochodzenie, jednak atewska publiczność będzie musiała mu wybaczyć: włosy mógł mu zapleść w wymagany sposób jedynie sanitariusz w szpitalu. Bren zamierzał uchronić warokocz podczas lotu przed zetknięciem z oparciem fotela, ale po tej niezamierzonej drzemce nie ręczył za jego stan. Teraz pochylił głowę i wyciągnął go jedną ręką spod kołnierza kaftana, nie zrzucając tego ostatniego na ziemię, poczuł na policzku niepożądany kosmyk włosów, które spróbował utknąć za uchem.

Następnie podniósł komputer, zarzucił pasek na zdrowe ramię i niespiesznie ruszył do przodu. Obawiał się, że wedle dworskich kryteriów przedstawia żenująco niechlujny widok.

Dotarł jednak tutaj; miał nadzieję, że dotrze do Bu-javid bez niepotrzebnych opóźnień i rozgłosu, i z plikami, których potrzebował do pracy. Jeśli wszyscy, którzy mieli się porozumieć, porozumieli się i jeśli aiji nie odbywał nieustannych posiedzeń, to w chwili, gdy do samolotu będą podjeżdżały schodki, na Brena powinien już czekać samochód. Zagrzało mu tuż nad głową i paidhi pomodlił się w duchu, by tak było.

Musiał też pamiętać, że opuszcza miejsce, gdzie siedzenia, stoły i drzwi były przystosowane dla osób jego wzrostu: tutejsze schody miały wyższe stopnie, a mogąc posługiwać się tylko jedną ręką, Bren czuł się w tej chwili zmarznięty, rozdrażniony i bliski łez.

- Dziękuję - powiedział do stewardów, którzy otworzyli drzwi samolotu. Podjeżdżały schodki - nie te z baldachimem, a co dopiero mówić o tunelu: stuknęły w samolot, który aż się zachwiał, a jeden ze stewardów postawił bagaż Brena na zalanym deszczem podeście chwiejnej, metalowej drabiny.

Żadnego samochodu. Nie jest dobrze. Wszystko sprawiało wrażenie pośpiechu przeważającego nad planowaniem. Pędzona wiatrem mgła wpadała przez otwarte drzwi i Bren był już gotów wrócić do suchego wnętrza samolotu, gdy zza dziobu maszyny wypadła furgonetka z emblematem ochrony lotniska i zahamowała tuż przed olbrzymią kałużą. Pojawiła się tak nagle, że nerwy Brena wyczulone na sprawy bezpieczeństwa napięły się, a ciało sprężyło do skoku w tył.

- Ostrożnie. Stopnie są wyższe.

- Wiem. Wiem, ale dziękuję. Dobrego lotu. Bardzo dziękuję. Proszę podziękować załodze.

Uniósł ramię, żeby nie zsunął mu się z niego pasek komputera i wychodząc na schodki w pędzony wiatrem deszcz, poczuł nagłe, niebezpieczne zachwianie równowagi. Chwycił się poręczy, wciąż mając przekrzywione ramię i walcząc o utrzymanie na nim paska komputera.

Otworzyły się boczne drzwi furgonetki. Wyszedł z niej uzbrojony ateva - szybko poruszający się, ciemny olbrzym w nabijanej srebrem czerni ochrony Bu-javid i osobistej straży aijiego - po czym wbiegł po schodkach, które zatrzeszczały pod jego ciężarem.

- Nadi Bren! - zawołał damski głos i ponury dzień nabrał jaśniejszych barw.

- Jago!

- Wezmę to, nadi Bren. Podaj mi rękę. - Jago stała o dwa stopnie niżej i patrzyła mu prosto w oczy. Chwyliła pasek komputera, z nieubłaganą uprzejmością zdjęła mu go z ramienia i objęła jego zmarzniętą, białą rękę swoją dużą, czarną dłonią. Kompetencja i pewność w świecie, gdzie szalała burza i wiatr. Bren nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby się pośliznął, Jago by go złapała - żadnych wątpliwości, że gdyby musiała, to zniosłaby go ze schodów jedną ręką.

Schodząc po chwiejnej, zalewanej deszczem drabinie, po spotkaniu z Jago wcale nie był zaskoczony widokiem Banichiego, który nieco wolniej wyszedł z furgonetki, żeby ich przywitać.

Cieszył się, że to oni. Boże, co za ulga...

Odczuł taką ulgę, że zakręciło mu się w głowie i zapomniał, że te schodki są wyższe niż standardowe, i gdyby w tej samej chwili Jago nie chwyciła go mocno za zdrowe ramię, to na pewno runąłby na ziemię.

- Ostrożnie - powiedziała, przywracając mu równowagę. - Ostrożnie, Bren-ji, jest bardzo ślisko.

Tak, ślisko. Zagrzmiało. Białe światło błyskawicy uwydatniło wszystkie szczegóły, odbiło się od kałuży. Bren dotarł na dół na trzęsących się nogach. Banichi odsunął się, Jago pomogła Brenowi wejść do furgonetki i sama poszła w jego ślady.

Banichi wsiadł na końcu i zatrzasnął drzwiczki, odgradzając ich od deszczu i grzmotów. Bliźniaczo podobny do Jago - czarna skóra i srebrne ćwieki, czarna twarz, czarne włosy, złociste oczy - opadł na wolny fotel przy drzwiach z drugiej strony. Bren zauważył, że stara się nie zginać nogi.

- Jedź - poleciła Jago kierowcy.

- Mój bagaż - zaprotestował Bren, gdy furgonetka szarpnęła do przodu.

- Przywiezie go Tano. Jest druga furgonetka.

Tano - kolejne znajome imię. Bren niezmiernie się ucieszył, że jego właściciel żyje.

- Algini? - zapytał, mając na myśli partnera Tano.

- Szpital w Malguri - odezwał się Banichi. - Jak się czujesz, Bren-ji? O wiele lepiej, niż sądził. Ci, których śmierci się obawiał, żyli.

Jednak niepotrzebnie, z głupich powodów, zginęły inne, zacne osoby.

- Czy są jakieś wiadomości...? - Głos mu się załamał. - Są jakieś wiadomości z Malguri? Od Djinany? Czy nic im się nie stało?

- Ateva może zapytać - odparła Jago.

Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że jest tak roztrzęsiony. Może to przez nagłe poczucie bezpieczeństwa. Albo przez pośpiech, z jakim na Mospheirze zbierał wszystko, czego potrzebował. Zaplatał się myślami w sieć atewskiej etykiety, która nie pozwalała Banichiemu czy Jago po prostu zapytać o...

Atevi nie mają przyjaciół. Boże, wymazać to słowo z umysłu. Dwadzieścia cztery godziny po drugiej stronie cieśniny i już myśli w mospheiranie, robi psychologiczne pomyłki, tępo obsuwa się w to, co ludzkie, a przecież nie znajduje się już na ludzkim terytorium.

Furgonetka wzięła zakręt i wszyscy się przechylili. W Shejidan było lato, ale kierowca chyba i tak włączył ogrzewanie, bo wilgotny ziąb zniknął. Bren odchylił głowę na oparcie fotela, zamrugał piekącymi oczyma i gdy furgonetka wyszła z zakrętu, co sprawiło, że głowa przetoczyła mu się w stronę Banichiego, zapytał:

- Pojedziemy koleją podziemną?

- Tak - odparł Banichi.

Banichi poprzednio nie wszedł za nim na rampę.

- Noga, Banichi?

- To żadna przeszkoda, nand' paidhi. Zapewniam cię.

„Dla jego sprawności”, chciał powiedzieć Banichi. Bren ledwie wrócił na kontynent, a już zlecił Jago delikatną misję wypytania personelu i obraził

Banichiego w kwestii jego osądu i kompetencji. Nie wiedział, jak uda mu się to naprawić.

- Nie zwracajcie uwagi na moje głupie pytania - rzekł. - To leki. Dopiero co wyszedłem ze szpitala. Wziąłem środek przeciwbólowy, a nie powinienem.

- Jak poszła operacja? - spytała Jago.

Usiłował sobie przypomnieć.

- Zapomniałem zapytać - przyznał. Nie wiedział, dlaczego tego nie zrobił, poza tym, że oszołomiony lekami kierował się jakąś pokrętną logiką i uznał, że będzie miał sprawne ramię. Miał nadzieję.

Do diabła, zupełnie jakby wrócił do punktu, w którym wczoraj - czy to było wczoraj? - przerwał życie, a wszystko, co dotyczyło Mospheiry, było przemijającym snem. Z tą dwójką czuł się dobrze i bezpiecznie. W tej chwili w niczym się za dobrze nie orientował, poza tym, że w towarzystwie tych dwóch osób potrafi dać sobie radę ze wszystkim.

Skoro są tu ci dwoje, to posłał ich sam Tabini.

Opony furgonetki zasyczały na mokrych płytach lotniska. Zamknął oczy. Przy Jago i Banichim mógł nie przestrzegać dobrych manier. Mieszkali z nim, zajmowali się nim, kiedy nie panował nad sobą - a nawet z zamkniętymi oczyma Bren wiedział, że jest w Shejidan, a nie na Mospheirze. Poznawał to po zapachu wilgotnej od deszczu skóry i ciepłe atewskich ciał, po ich delikatnej woni, która mogła być naturalna lub pochodzić od perfum - to ciekawe, że nigdy jakoś o to nie zapytał, ale zapach był przyjemny i zwyczajny, tak jak pachną stare pokoje i znajome miejsca.

Furgonetka zjechała w dół i Bren zerknął na otoczenie, i tak dokładnie wiedząc, gdzie jest: na rampie schodzącej do ściśle strzeżonego, betonowego terminalu kolei podziemnej. Używał go aiji oraz ci, którym rząd chciał zagwarantować bezpieczeństwo i anonimowość.

Bren odkrył wygodną pozycję, opierając zdrowe ramię o ściankę furgonetki. Naprawdę nie chciał się teraz nigdzie ruszać.

- Ufam - odezwał się, znów zamykając oczy - że uda mi się odpocząć, nadiin. Żywię ogromną nadzieję na odpoczynek, zanim będę musiał wymyślić czy uczynić coś naprawdę ważnego.

Jago musnęła palcami jego ramię.

- Jeśli sobie życzysz, to możemy cię zanieść do wagonu, Bren-ji.

Furgonetka zatrzymała się.

- Nie - powiedział i przypominając sobie, że ci dwoje nie pozwalali sobie na żadną słabość i bardzo rzadko na oznaki bólu, otworzył oczy i spróbował wygramolić się na szary beton i wejść na dworzec. - Poradzę sobie, dziękuję, nadiin, ale zaczekajmy, proszę, na mój bagaż. Darzę Tano wielkim zaufaniem, ale to tylko jeden pakunek. Są tam wyniki moich badań.

- Mamy rozkazy, nadi - rzekł Banichi.

Rozkazy Tabiniego. Żadnych pytań. Żadnego ociągania się, nawet w strzeżonej strefie. Być może ktoś zgłosił zamiar w sprawie pozbawienia Brena życia, ale najprawdopodobniej Tabini po prostu chciał mieć paidniego na miejscu pod strażą zaufanych ochroniarzy, a tym samym o jeden problem mniej.

Banichi otworzył drzwi i wysiadł, Jago wyszła za nim z komputerem w ręku, a Bren nieco mniej sprawnie przesunął się na fotelu i oddał się pod ich fachową i czujną opiekę.

Kolej podziemna miała własną atmosferę: olej, zimny beton oraz rozchodzący się echem hałas maszynierii i głosy obsługi - jak na każdej stacji kolei miejskiej czy łączącej się z nią kolei oplatającej siecią cały kontynent; Bren przypuszczał, że połączenie to dawało niewielkie ryzyko naruszenia bezpieczeństwa, ale na tej stacji nie pojawiał się nikt bez zezwolenia ochrony, nawet bagażowi czy robotnicy: pociągi tu się nie zatrzymywały.

Co oznaczało, że - według Brena, który zapewne się mylił i którego i tak nikt nie słuchał - nie było żadnego powodu, dla którego paidhi nie mógłby

zaczekać niecałej minuty na swój bagaż; wzięwszy jednak pod uwagę miękkość kolan i szum w głowie, o który przyprawiała go rozbrzmiewająca echem przestrzeń, Bren pozwolił poprowadzić się wzdłuż torów w tempie narzuconym przez kulejącego Banichiego.

Stojący na peronie dwaj strażnicy z Bu-javid otworzyli drzwi czekającego na nich wagonu, który wyglądał jak towarowy. Tych strażników Bren nie znał, ale najwyraźniej znał ich Banichi, bo zanim wpuścił go do środka, polecił Jago tylko pobieżnie rozejrzeć się po wnętrzu.

Przypominało ono rezydencję. Czerwone, aksamitne kotary zasłaniały nie istniejące okna. Była to prywatna salonka aijiego: wygodne sprzęty, wszystko w stonowanych czerwieniach i beżach, w pełni wyposażona kuchnia, wyściełane fotele - Bren usiadł na takim, w którym nie utonął wśród poduszek, a Jago odłożyła komputer i natychmiast zajęła się kuchnią, pytając Brena, czy napije się soku owocowego.

- Herbaty, nadi, jeśli można.

Wciąż był przemarznięty, a zmiana wysokości sprawiła, że czuł się, jakby w uszach miał watę. Herbata stanowiła miłą perspektywę. Alkaloidy doskonale tolerowane przez atewski metabolizm szczególnie często występowały w ziołowych herbatach, a w większym zagęszczeniu w niektórych napojach alkoholowych, o czym Bren przekonał się na własnej skórze. Młodsza partnerka Banichiego nie popełniłaby jednak takiego błędu przy swoim podopiecznym. Bren z pełną ufnością zamknął oczy, i otworzył je dopiero wtedy, gdy Jago cicho oznajmiła, że herbata jest gotowa, że wagon zaraz zostanie dołączony do składu, i czy Bren zechce się teraz napić?

Zechciał. Wziął filiżankę do ręki, a Banichi, który właśnie wsiadł, zamknął drzwi, nie przerywając rozmowy prowadzonej niewątpliwie z jakimś oficjelem za pośrednictwem kieszonkowego komunikatora.

Jago osłoniła swoją filiżankę, bo wagon właśnie drgnął - został doczepiony do pociągu.

- Pojadą trzy wagony - oznajmiła, siadając naprzeciwko Brena.

- Tano zdążył wsiąść - dodał Banichi, dołączając do nich. - Ochrona stacji nie chciała go wpuścić do naszego wagonu. Powiedziałem im, że pełni tę samą służbę, ale do rządzących tu głów niewiele dociera.

Bren nie martwił się już tak bardzo o swój bagaż. Pokonanie wysokiego stopnia przy wchodzeniu do salonki obudziło ból w jego ramieniu.

Po wypiciu pół filiżanki herbaty w pociągu zbliżającym się do terminalu na dolnych poziomach Bu-javid Bren odzyskał tęskną nadzieję na powrót do domu i własnego łóżka - jeżeli ochrona zezwoli mu na ten przywilej.

- Jak myślicie, nadiin, czy mogę odzyskać mój apartament przy ogrodzie?

- Nie - odparł Banichi. - Obawiam się, że nie. Dowiem się. Jednak stamtąd, dokąd się udajesz, rozciąga się piękny widok na góry.

- Góry. - Był zaniepokojony. - Górne piętro? A może hotel?

- Znakomite pokoje. Zaoferowała ci gościnę pewna oddana zwolenniczka, otwarcie przedkładając na ten okres apartamenty aijiego.

Oddana zwolenniczka. Oddana zwolenniczka Tabini-aijiego. Apartamenty Tabiniego.

Pociąg zaczął hamować. Jago wyciągnęła rękę po filiżankę Brena.

Damiri?

Tajemna jak dotąd kochanka Tabiniego? Z opozycji Atigeinich?

Mój Boże. Damiri się zadeklarowała. Jej krewni wywołają na ulicach zamieszki.

A sąsiadem Tabiniego ma być człowiek, choćby tylko czasowo umieszczony w tym rejonie Bu-javid, do którego mają dostęp jedynie najmożliwszi i najstarsi panowie Patronatu?

Nie ma tam miejsca dla ludzi. A szczególnie w prywatnych pomieszczeniach szlachetnej i godnej szacunku damy. Zrodzą się plotki. Trywialne żarty. Ujma dla damy i jej rodziny, której lokalny patronat otwarcie przeciwstawiał się polityce Tabiniego od dnia, kiedy został aijim Patronatu.



Naprawdę przestaje nad sobą panować. Na jego twarzy najwyraźniej za gościł niepokój, bo gdy zapisały hamulce, Banichi powiedział:

- Tabini chce, żebyś za wszelką cenę pozostał przy życiu, nand' paidhi. Sytuacja jest bardzo delikatna. Dama postawiła na Tabiniego i jego zaradność, mimo że gra jeszcze nie jest skończona.

Baji-naji. Los i Przypadek, dwa filary wiary atevich, zakłócające sztywną tyranię liczb.

Wagon stanął.

Drzwi otworzyły się. Banichi zwinnie wstał z fotela, wyciągając do Brena dłoń. Ten wstał wolniej, pocieszając samego siebie, że za chwilę będzie mógł położyć się do łóżka, gdzie wreszcie przestanie mu szumieć w głowie.

Jago wzięła komputer.

- Ja się nim zajmę, Bren-ji. Uważaj na siebie. Proszę cię, nie przewróć się.

- Zapewniam cię - mruknął i poszedł za Banichim do drzwi. Idąc po schodach, wierzył, że znajdzie się w miejscu pilnie strzeżonym - a przynajmniej na tyle pilnie, żeby wykluczyć możliwość jakichkolwiek spotkań.

- Bren Cameron - zabrzmiał głos - damski, ostry i pełen złości.

- Deana? - W tym równaniu nie było miejsca dla Deany Hanks. Nie miała łączności, podsunął mu otumaniony umysł; poprosił Biuro Spraw Zagranicznych o cofnięcie jej akredytacji i założył - założył! - że wyjechała do domu. Jego następczyni nie miała prawa być na kontynencie.

Nie miała?

Sprawy toczyły się dzisiaj zbyt szybko i Deana spóźniła się na lotnisko. Bren był pewien, że jest wściekła. Technicznie rzecz biorąc, powinna spotkać się z nim na lotnisku, dając obsłudze samolotu czas na uzupełnienie paliwa oraz przyjęcie ładunku, i odlecieć w ciągu godziny.

Wszystko to tkwiło gdzieś w zakamarkach myśli Brena, który wyciągnął przyjaźnie lewą rękę, zadowolony, że Deanie nic się nie stało.

- Co za niespodzianka. Dzięki za pomoc.

- Dzięki, akurat!

Przy atevich nie przyjmowało się wrogiego tonu. Ręce ochroniarzy - tak jej, jak i jego - drgnęły i prawie niedostrzegalnie uniosły się ku wewnętrznym kieszeniom kaftanów.

- Hata-mai - powiedział szybko Bren, co znaczyło: „Wszystko w porządku”, i kontynuował w języku atevich: - Deana, nadi, czy moglibyśmy mówić trochę spokojniej? Jestem pewien, że samolot zaczeka.

- Spokojniej, co? - Miała ciemne włosy i jasną cerę. Ilekroć Bren miał z nią do czynienia, rumieniła się. Była ubrana w atewski kaftan, a włosy zaplotła w dworski warkocz, tak jak on. Za nią stali zaniepokojeni jej atewscy ochroniarze. - Spokojniej? Czy rząd ulega już szantażowi? Czy to jego najlepsza reakcja? Oni stawiają ultimatum, a my tańczymy, jak nam zagraja?

- Nadi, gdybyś zechciała...

- Będę mówiła w mospheiranie, dziękuję. Chcę dostać sprawozdanie. Chcę wiedzieć, gdzie byłeś, co robiłeś, z kim rozmawiałeś i co komu doniosłeś. Porozmawiamy dziś po południu w biurze.

To pewnie ta tabletką przeciwbólową. Nie nadażał. Może osobiście uraził tę kobietę, co, zważywszy na humory Deany, nie było trudne, ale życzył sobie, żeby znalazła się na pokładzie odlatującego samolotu. Po tej stronie cieśniny nigdy nie miało być w tym samym czasie dwóch ludzi.

- Możemy załatwić to faksem. Zdam ci ze wszystkiego raport. Musisz jednak złapać ten samolot.

- Oczywiście, oczywiście. Nie zostałam odwołana, panie Cameron. Oczywiście, bez łączności niewiele do mnie dociera poza dworskimi plotkami. I groźbami pod adresem tego biura. Żadam pisemnych rozkazów. Rozumiem, że przewiozłeś je ze sobą.

- Nie sądzę, żeby były potrzebne.

- Nadi Bren - wtrąciła się Jago. - Proszę cię. Chodźmy.

- Ty masz słuchać rozkazów, nadi - warknęła Hanks. - To wewnętrzna sprawa naszego biura, a nie jakaś lokalna.

Obraziła Jago. To była ostatnia kropla.

- Pani Hanks. Nie rozmawia pani z ochroną budynku, jeśli nie zauważyła pani warkocza. A jeśli chce pani rozkazu, to go pani dostanie. Jest pani zwolniona z obowiązków, pani kody są unieważnione, a pani obecność nie jest już potrzebna. Wsiadaj do tego samolotu.

- Zdobądź mi rozkaz z Mospheiry. Nie przyjmuję ich od ciebie. A z Biura Spraw Zagranicznych nie otrzymałam niczego poza informacją, że lecisz na Mospheirę na leczenie.

- Najwyraźniej wróciłem.

- Nie oficjalnie, panie Cameron. I nie dla mnie.

- Sugeruję, nadiin - odezwał się Banichi, wchodząc między nich i zwracając się do ochrony Hanks - żebyście usunęli tę kobietę z drogi Brenpaidhiego albo będziecie mieli do czynienia z administracją. Lub ze mną. Popełniacie błąd, nadiin, i nie brnijcie weń dalej, dobrze wam radzę.

W tych słowach kryła się groźba. Bren wyczuł nagle niechęć u ochroniarzy Hanks i agresję u Banichiego - który z pewnością miał tu władzę. Serce zabiło mu szybciej, do czego tabletki przeciwbólowa miała nie dopuścić.

Ochrona Hanks ruszyła, żeby usunąć mu ją z drogi...

Nie wiedział, jak to się stało - nagle między nim i resztą świata wyrosła ruchoma ściana atevich. O ile się zorientował, nikt go nawet nie uderzył, ale Bren poczuł bolesny wstrząs przy nagłym zetknięciu z betonową ścianą stacji. Osłonił złamaną rękę, i w tej samej chwili znalazł się w cieniu jakiegoś atevy, który chwycił go za zdrowe ramię.

Bren wychylił się jak najdalej w bok i zobaczył Hanks z jej ochroną.

- Ma się pani znaleźć w tym samolocie, pani Hanks! - wrzasnął. - Przekracza pani swoje uprawnienia!

- Pokaż mi rozkaz departamentu.

- Następnym razem pokażę ci nakaz aresztowania.

- Bren-ji - powiedziała Jago i trzymając go żelaznym uchwytem za ramię, pociągnęła do windy. Bren słyszał za sobą gniewne atewskie głosy - to Banichi kazał ochronie Hanks zabrać ją z powrotem do jej apartamentu, a nie na lotnisko.

Znosiło to rozkazy Brena, co stanowiło groźną nutę - Banichi otrzymywał instrukcje od Tabiniego. Kiedy dogonił ich przy drzwiach windy, nie był w dobrym nastroju. Weszli do środka i Banichi nacisnął przycisk.

- Banichi-ji - odezwał się Bren - obawiam się, że zaogniłem sytuację. To nie usprawiedliwia Hanks, ale ona wierzy, że wysyłając mnie tu bez jej wiedzy, departament ją zlekceważył. Chodziło z grubsza o to.

- Nadi - rzekł Banichi, wciąż rozdrażniony. - Przekażę tę interpretację tym, którzy są władni wydać osąd.

Bren nigdy nie widział, żeby Banichi był taki zły, nawet w ogniu walki, i nie miał chęci kontynuować tematu. Zażegnanie tego kryzysu wymagało licznych telefonów - człowiek miał nadzieję, że uda się je załatwić, zanim samolot opuści atewską przestrzeń powietrzną. Nawet po głębszym zastanowieniu pewne było, że Hanks całkowicie przekroczyła swoje uprawnienia. Bren nie wiedział, co się tu święci - poza tym, że Hanks powinna się znaleźć w samolocie, i że chociaż środek przeciwbólowy trochę go otumanił, to paidhi nie przesadził w swojej reakcji.

To nie była przyjaźń. Nigdy się z Hanks nie lubili, ani na uniwersytecie, ani w Biurze Spraw Zagranicznych, ani w salach departamentu. Ich kandydatury na stanowisko paidhiego miały odmienne wsparcie polityczne. Wygrał Bren - został desygnowany na następcę Wilson-paidhiego. Władając językiem atevich o wiele mniej płynnie, Hanks musiała się zadowolić posadą jego zastępcy - miała polityczne wsparcie w kierownictwie departamentu, ale Bren był od niej lepszy w niuansach językowych w stopniu, którego, uwzględniając wysoko postawionych przyjaciół Hanks, komisja selekcyjna nie mogła pominąć.

Ale to, że spotkała się z nim, najwyraźniej łamiąc Traktat, i urządziła publiczną scenę... Boże - nie rozumiał, nie wiedział, co w tę kobietę wstąpiło. Wszystko to nim wstrząsnęło.

Prawdopodobnie była tak samo nie doinformowana jak on - jeden z wydziałów departamentu stanu zadziałał, zanim Shawnowi Tyersowi z wydziału Spraw Zagranicznych udało się nawiązać kontakt telefoniczny z paidhi-następczynią. Zrobi to prawdopodobnie dziś po południu.

Albo, co także było możliwe podczas jakiegokolwiek kryzysu w atewsko-ludzkich lub atewsko-atewskich stosunkach, łączność telefoniczna między Mospheirą i kontynentem została przerwana. Godzinna cisza telefoniczna z całą pewnością nie stanowiła usprawiedliwienia dla wybuchu Hanks; to właśnie w takich sytuacjach paidhi miał posługiwać się rozumem. Bren nie lubił Hanks, ale nigdy nie uważał jej za kompletną idiotkę.

Ręka bolała go po zderzeniu ze ścianą. Nie był dzisiaj w stanie stawić czoła żadnym wyzwaniom fizycznym czy umysłowym. Banichi zareagował impulsywnie; Hanks wybuchnęła i, co więcej, jej ochrona została skarcona i publicznie zawstydzona przez kogoś wyższego rangą. Czegoś takiego nie robiło się lojalnym atevim. Nie stawiało się ich w takiej sytuacji.

Wewnętrzny atewski kryzys, który, jak obawiał się Bren, mógł być powodem jego przedwczesnego odwołania - jakieś zamieszanie zataczające coraz szersze kręgi w atewskim rządzie - nie był odpowiednim tłem do szlifowania umiejętności dyplomatycznych jego następczyni, szczególnie, kiedy posuwała się do publicznego ataku na niego i przeciwstawiania swojej ochrony jego strażnikom, którzy, wypożyczeni mu przez samego Tabiniego, znacznie przewyższali rangą jej zwyczajnych ochroniarzy. Takie zachowanie zasługiwało na doniesienie i poważne ostrzeżenie.

Teraz jednak Bren musiał zadzwonić do Tabiniego i na Mospheirę i załatwić odwołanie Hanks. Na pewno można polecić personelowi lotniska, by samolot na nią zaczekał. Najważniejszym ładunkiem Mospheirańskich Linii Lotniczych był paidhi i paidhi-następca, i samolot mógł tkwić na lotnisku, dopóki Hanks nie znajdzie się na pokładzie.

Konieczność wykonania dwóch telefonów, Hanks i problem z ochroną w ciągu minuty od stanięcia na ziemi; Boże, wolałby pójść do znajomego apartamentu, swojego wygodnego mieszkania na jednym z niższych poziomów budynku. Było tam łóżko, do którego się przyzwyczaił, i służący, z którymi potrafił się dogadać...

Oraz drzwi do ogrodu, które wraz z nagłym i kontrowersyjnym awansem paidhiego w atewskim społeczeństwie stały się skandalicznym zagrożeniem dla jego bezpieczeństwa.

Fakt ten dotarł do Brena ze szczególną siłą, kiedy winda zatrzymała się ze zgrzytem nie na pierwszym publicznym poziomie, lecz trzecim, najsilniej strzeżonym nie tylko w Bu-javid, ale i na całym kontynencie.

## Rozdział 2

Według Brena rezydencji Atigeinich z pewnością brakło uroku jego pojedynczego pokoju przy dolnym dziedzińcu ogrodowym - ale słowa „urok” nie stosuje się przecież do pałaców.

Stawiając komputer na ziemi obok drzwi do pokoju przyjęć, Jago poinformowała Brena, że personel liczy sobie pięćdziesiąt osób. Pięćdziesięcioro służących do utrzymania porządku.

Trochę to barokowe. Na pewno ekstrawaganckie.

Pozłacane i posrebrzane komody i stoły.

Bezценne freski. Pozłacane płaskorzeźby. Brenowi marzyło się tylko łóżko. Jakieś miejsce, zakamarek, kanapa, gdzie mógłby usiąść, gdzie przesłałaby go boleć ręka.

- Nadiin - powiedziała z ukłonem jakaś kobieta, która wyszła im na spotkanie do foyer - nand' paidhi. Jestem Saidin, przełożona personelu. Witaj.

- Nand' Saidin - mruknął Bren i odruchowo się skłonił, mimo zmęczenia i zeszywniałej ręki. Była to niewątpliwie kobieta pełna godności i odznaczająca się dobrymi manierami, mimo nagłego obarczenia ludzkim gościem. - Ogromnie żałuję, że sprawiam kłopot. Dziękuję ci za uprzejmość.

- Nasza pani z przyjemnością zapewni ci wszelkie wygody, nand' paidhi. Czy zechcesz obejrzeć pokoje?

Banichi zmarszczył brwi i spojrzał na Brena, ale człowiek zaszczycony ofertą zamieszkania w pałacu nie mógł przecież odmówić.

- Będę zachwycony, nand' Saidin. Dziękuję.

- Zechciej uczynić nam ten honor - mruknęła Saidin i ruszyła przodem, mając tuż za plecami Banichiego i Jago. Saidin była smukłą kobietą w średnim wieku. Miała na sobie kaftan z beżowego brokatu i pasujące do niego według ostatniej mody kapcie; do prostego warkocza wplotła różowe i zielone wstążki oznaczające w heraldyce wielowiekową służbę dla arystokracji. Wyraźnie pochodziła z klasy służących urodzonych, a nie najmowanych do dożywotniej służby w danym rodzie, z którym prawdopodobnie, choć nieoficjalnie, była spokrewniona. Znał ten typ atevich - to kobieta zasługująca zarówno na szacunek, ze względu na jej stanowisko, jak i zrozumienie dla jej oddania rodowej siedzibie.

- To część zewnętrzna, nand' paidhi, spełniająca wszelkie funkcje formalne: główna jadalnia, salon przyjęć, zmodernizowany posterunek ochrony... Wewnętrzne pokoje to główne sypialnie, każda z łazienką. Wszystkie sypialnie wychodzą na kolisty salon otaczający prywatną jadalnię...

Ręcznie tkane dywany i haftowane draperie. Paidhi nigdy nie był, w dobranej pojętych interesie swego stanowiska, kulturalnym analfabeta, i obszary jego umysłu, nie zajęte w tej chwili do granic wytrzymałości etykieta, ochroną i zwierzęcymi odruchami zachowania równowagi, z szacunkiem chłoneły wszelkie regionalne i czasowe niuanse wystroju. Obok tkanin syntetycznych Mospheira importowała też wyroby ręczne, niektóre bardzo drogie, lecz Mospheira widziała takie rękodzieło tylko raz, pojedynczą próbkę w szklanej gablocie w Muzeum Wojny.

A w tych apartamentach, o wiele bardziej ekstrawaganckich niż te, w których mieszkał Tabini, po takich dywanach się chodziło. W salonie przyjęć, znajdującym się tuż obok drzwi wejściowych, świat na zewnątrz można było obserwować przez przejrzyste szklane okna - mijając wzrokiem bezcenne draperie w skomplikowane wzory wyszywane ciemnym złotem - ten sam widok, jakim cieszył się Tabini w sąsiednich apartamentach: pokryte dachówkami dachy historycznego Starego Miasta, rozciągające się u stóp wzgórza, i błękitny łańcuch Bergid, ledwie widoczny tego deszczowego wieczoru pod szarymi, ciężkimi chmurami. Wilgotny od deszczu wiatr przemykał przez apartament, wpadając przez otwarte okna i ukryte wywietrzniki. Bren zmieniał ostatnio nie tylko prowincje, ale i klimaty, i zaczął mieć wrażenie, że lato zdecydowanie się skończyło, ale teraz poczuł się tak, jakby przeskoczył wiele miesięcy i natknął się na inną wiosnę, inny świat, na sytuację powstałą po kilku miesiącach, a nie dniach.

Paidhi był lekko oszołomiony. Zważywszy na okoliczności, radził sobie zaskakująco dobrze. Nie żałował, że go oprowadzano po wnętrzach. W ostatnich dniach nie tylko zaczął zwracać uwagę na sprawy bezpieczeństwa, ale nabrał na jego punkcie obsesji. Chciał znać układ pałacu, wiedzieć, czy są drzwi prowadzące na zewnątrz i czy odgłos kroków niosący się echem z jednego kierunku może oznaczać służącego, a z drugiego intruza.

- Czy są inne drzwi prowadzące na zewnątrz? - zapytał Bren. - Choćby w kuchni?

- Wszystkie wyjścia prowadzą do foyer - odparł Banichi. - To bardzo bezpieczne.

- Na początku tego wieku przeprowadzono poważne remonty - rzekła Saidin. - Zauważysz jednak, że kamień i drewno są dokładnie dopasowane. Pan Sarosi osobiście poszukiwał starego kamieniołomu, z którego obecnie pochodzi kamień do innych prac konserwatorskich prowadzonych w Bu-javid, łącznie z odnawianiem zachodniego portyku...

Reszta zwiedzania minęła Brenowi w coraz większym otępieniu - salon, solarium, sypialnie, jadalnia. Służba - o ile zauważył, same kobiety - pojawiała się i znikwała dyskretnie, otwierała drzwi i zamykała je pod milczące dyktando przełożonej, zapalała i gasiła światła, tu strzepywała z kredensu wymaginowany kurz, tam wyprostowywała adamaszkowy bieżnik z chwastami. Czterdzieści dziewięć dodatkowych i w większości niewidzialnych służących - co, jak był przekonany Bren, stanowiło pomyślną liczbę - których zadaniem jest strzeżenie historycznej rodowej siedziby i zachowywanie dobrych obyczajów w obecności człowieka.

Wszystko świadczyło, że wystrój opiera się na wyliczeniach matematycznych - oko nauczyło się to dostrzegać, nawet w kolorystyce i ilości suszonych kwiatów w licznych bukietach.

Wszystkie wymiary na pewno były pomyślne dla rodziny damy, łącznie z okrągłym emblematem baji-naji umieszczonym pośrodku pięknie wyposażonej oficjalnej jadalni: Los i Przypadek, chaos w centrum sztywnego układu pokoiów.

Pokój zaczął właśnie wirować wokół tego centrum, i paidhi, znajdujący się w stanie otępienia przyprawionego bólem, zaczął się bać, że nagle zemdleje na antycznym dywanie. Teraz interesowała go tylko i wyłącznie sypialnia dla gości, podobno następny punkt na liście pomieszczeń do zwiedzenia...

Za dostojną panią Saidin wszedł do olbrzymiego pokoju: srebrzysta atlasowa pościel, złocista narzuta, pozłacane łoże wspierające się na pozłacanych heraldycznych stworach - łoże tak szerokie, że zmieściłoby się w nim pół mospheirańskiego Biura Spraw Zagranicznych. Współczesna narzuta, jak objaśniła Saidin, była dokładną repliką narzuty z LVIII wieku, która znajdowała się na łożu w chwili, gdy ostatniego śpiącego w tej sypialni członka rodziny, pana żyjącego w LIX wieku, spotkał przedwczesny i prawdopodobnie obrzydliwy koniec.

Rodzina nie chciała już potem korzystać z tej sypialni, ale związane z nią liczby zostały zmienione, by pozbyć się niepomyślnych czynników. Dodatkowo, który gwarantował dobre samopoczucie śpiącego, były dwa sekretarzyki z błękitdrewna o dokładnie wyliczonych wymiarach - paidhi może mieć co do tego całkowitą pewność. Gdyby wyraził takie życzenie, przełożona personelu z przyjemnością poda mu te liczby.

Sześć gościnnych sypialni, oprócz jego własnej, każda z łazienką; korytarze z niewątpliwie pomyślnie ustawionymi meblami. Bren nie miał zamiaru kwestionować gustu Atigeinich, natomiast gorąco pragnął zostać w sypialni i udowodnić, że w łożu nie straszy; ale delikatna ochmistrzyni była wyraźnie dumna z następnych pokoiów, które swoim cichym głosem określiła jako „najbardziej czarujące miejsce domu, prywatne ustronie pani Damiri”, w których paidhiemu na pewno będzie się dobrze pracowało. Pani Damiri otworzyła przed swym ludzkim gościem nawet osobistą bibliotekę i salony, co stanowiło bezprecedensowy wyraz jej przychylności, i Bren nie potrafił odmówić Saidin, która mimo uprzejmości i trzymania się etykiety mogła żywić obawy, że gość będzie rzucał na dywany ogryzione kości i zostawiał zarazki na porcelanie.

Najwyraźniej będzie sprawiał kłopot dystygnowanym służącym bardzo wysoko urodzonej damy, chciał więc zrobić na nich dobre wrażenie. Wiedział, że po całej rodzinie Atigeinich będą krążyć opowieści i plotki, co już samo w sobie stanowiło zagrożenie bezpieczeństwa. Banichi o tym nie wspomniał, ale na pewno wziął pod uwagę. Dlatego ostatnią rzeczą, jaką Bren chciałby zrobić, było zrażenie do siebie personelu.

Przeszedł więc przez posrebrzane drzwi do osobistych pokoiów nieobecnej damy, do biblioteki z półkami od podłogi do sufitu, zawierającymi doskonały

zbiór książek - z przewagą, jak zauważył, dzieł ogrodniczych; następnie korytarzem pomaszerował do niewielkiego wyłożonego kafelkami solarium z widokiem na miasto i góry. Pięknie rzeźbione, przeszklone drzwi otwierały się na balkon, który wyraźnie nie wywołał zachwytu Banichiego i Jago - balkon zaprojektowany, czego Bren był pewien, na długo przed wyposażeniem Gildii Zabójców - dalekonośne strzelby.

Takie myśli przepływały leniwie przez rozchwiany umysł paidhiego wraz z dojmującą tęsknotą za jego wygodnym, cichym apartamentem przy ogrodzie, i gorączkową troską o panią tej siedziby, mającą całą bibliotekę książek o kwiatach, lecz, niestety, nie dysponującą ogrodem...

Polecą Damiri swój ogród na niższym poziomie. Udzieliła mu przecież gościny. Pokaże jej czarujące miejsce z niższych poziomów, którego prawdopodobnie nigdy nie odwiedzała, prowadząc dostatnie, otoczone murem ochrony życie.

Przy tej myśli umysł paidhiego zaczęła już całkowicie spowijać mgła. Bren naprawdę wolałby usiąść i nie oglądać pokoju śniadaniowego. Ma pewność, że dzięki Banichiemu i Jago dostał najlepszy i najlepiej strzeżony pokój gościnny. Jest całkowicie zadowolony z historycznego łoża. Uważa, że biblioteka i solarium są urocze. Nie zniesie szczegółowego oglądania pozostałych i, jest przekonany, licznych wspaniałości, które z największym zainteresowaniem obejrzy, gdy nabierze sił.

Przy drzwiach solarium stało krzesło. Bren usiadł na nim z bijącym sercem i obliczył w duchu odległość dzielącą go od sypialni. Nie był pewien, czy uda mu się ją pokonać.

- Nadi Bren? - zapytała Jago, a ich przewodniczka zawahała się.

- Piękne krzesło - szepnął i poklepał obitą brokatem poręcz. - Bardzo piękne krzesło. Wygodne. Z przyjemnością będę pracował w tym pokoju. Proszę przekazać ode mnie pani Damiri wyrazy głębokiej wdzięczności, że udzieliła mi tej niezwykle uprzejmej - tej nadzwyczajnej gościnności. Ogromnie żałuję, że sprawiam jej kłopot. Nie mogę jednak... - Niezbyt dobrze radził sobie z doborem słów. - Nie mogę jednak teraz zadośćuczynić żadnym formalnościami. Proszę, przekażcie Tabiniemu mój zamiar udania się jutro do biura. Po prostu dzisiaj... chciałbym dostać komputer. I łóżko. I telefon.

- Oboje mamy tu zostać, nadi - rzekł Banichi. - W tym apartamencie. Będziemy cię pilnować. Zaniesiemy twoje wiadomości. - Wszyscy nad nim górowali, stanowiąc czarną ścianę kompetencji i nieubłaganej gościnności, która wydawała się przesłaniać światło dnia. - Tano zajmie posterunek ochrony i niewielką amfiladę przy drzwiach frontowych. Właśnie się tam wprowadza - przyniósł swoją walizkę. Swoje rzeczy znajdziesz w szufladach. Gdy tylko Algini wyjdzie ze szpitala, dołącz do Tano na posterunku - stanie się to za kilka dni.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego...

- Skaleczenia i stłuczenia. Nic mu nie jest.

- Bardzo się cieszę. - Kręciło mu się w głowie. Oparł podbródek na zaciśniętej pięści, a łokieć na poręczy krzesła, żeby ustalić, że oś obrotu otoczenia znajduje się gdzieś w okolicy postaci Jago. - Bardzo się ucieszyłem... że przyjechaliście na lotnisko. Dziękuję. Nie mógłbym... - Chciał powiedzieć: „Nie mógłbym zaufać”. Nie nadał z cenzurą. Zaplątał się w labirynt składni. - Nie mógłbym obdarzyć takim zaufaniem kogoś obcego.

Jasny gwint, wcale nie był pewien, czy to dobrze zabrzmiało. Być może właśnie obraził Saidin i cały personel. Nie pamiętał początku zdania.

- To żaden problem - powiedział Banichi. - Jago i ja zajmiemy pokoje czerwone i błękitne, sąsiadujące z twoimi, jeśli ci to odpowiada.

- Oczywiście. - Nie wiedział, jak Banichi utrzymuje się na nogach; był przecież ranny, lekko utykał podczas obchodu apartamentów; ale Banichi funkcjonował, ponieważ taki był, a tymczasem paidhi...

- Nadi Bren?

Pokój zawirował. Bren zamknął na chwilę oczy i niepewnie zaczerpnął tchu.

- Nadiin - zaczął, zdecydowany ustalić kilka szczegółów - co się tu dzieje i po co te nadzwyczajne środki bezpieczeństwa? Czy jest coś jeszcze, co możecie mi powiedzieć o mojej sytuacji? Czy istnieje zagrożenie, jakaś trudność, kwestia sporna?

- Wszystkie trzy - odparła Jago.

- W związku ze statkiem nad naszymi głowami?

- Między innymi drobnymi sprawami - powiedział Banichi. - Żałuję, ale Tabini-aiji musi się jak najszybciej z tobą zobaczyć, nand' paidhi. Wiem, że chciałbyś się położyć, ale takie mamy rozkazy. Wyjaśnię, że jesteś wyczerpany i może aiji przyjdzie tutaj.

- Co to za drobne sprawy? Jakie sprawy? Od mojego wyjazdu nie miałem żadnych wiadomości.

- Hasdrawad i tashrid. Statek. Nand' Deana.

Co do hasdrawadu i tashridu mógł się domyślić. Odbываły nagłe posiedzenia. Uznał, że może odłożyć swoje przemówienie co najmniej na czas choroby. Statek. To było jasne. Wiedział, że to dlatego jego obecność i zdolność tłumaczenia ma takie znaczenie dla aijiego. Biuro Spraw Zagranicznych stwierdziło, że to drażliwa sytuacja. Ale...

- Aiji nie udzielił audiencji Hanks - odezwała się Jago. - Nie uznał tego zastępstwa za pełnoprawne.

- Jednak pewne osoby skontaktowały się z Hanks-paidhi - dodał Banichi.

- Tabini chce o tym z tobą jak najszybciej porozmawiać. Najlepiej w ciągu godziny, jeśli to możliwe.

A tymczasem Bren czuł, że nie ma siły wstać. Czuł, że jest kompletnie wyczerpany.

Pomyślał jednak o Hanks zajmującej jego biuro, odbywającej spotkania, jak wspomniał Banichi, z Bóg wie kim, udzielającej własnych odpowiedzi na pytania, których on unikał, przeciwstawiającej się temu, co on już ustalił, a wszystko to w środku tego kryzysu...

Tej sytuacji nie da się rozwiązać przez telefon. Zanim dorzuci do tego wszystkiego własne gniewne telefony na Mospheirę, musi się dowiedzieć, co zaszło między Tabinim i Hanks.

- Koniecznie muszę porozmawiać z Tabinim - rzekł. - Natychmiast. Pójdę do niego. - Pokój może sobie nadal wirować, ale Bren nagle poczuł, na czym musi się skupić.

Na przykład na tej zjawie na niebie, która stawiała pod znakiem zapytania cały Traktat.

Na przykład na tej kobiecie, która konsekwentnie otrzymywała niskie oceny z kultury i psychologii, która przeszła przez sito akademickiej komisji, i otrzymała nominację na zastępcę paidhiego wyłącznie dzięki wysoko postawionym poplecnikom w departamencie stanu, reprezentującym bardzo wąską grupę interesów - a taki szwindel, czego Bren był pewien, stawiał ją, nowicjuszkę, w cholernie złej sytuacji.

- Powiem aijiemu - rzekł Banichi.

### Rozdział 3

Apartamenty Tabiniego, dosłownie sąsiadujące z pokojami oddanymi do dyspozycji Brena i leżące pośrodku siedmiu historycznych siedzib na tym piętrze, nie były terenem obcym; młody paidhi i równie młody aiji, obaj nagle wyniesieni na urzędy - wraz ze śmiercią ojca Tabiniego i nagłą rezygnacją Wilson-paidhiego - prywatnie, gdzie nie przeszkadzała polityka, śmiali się i dyskutowali o wiele swobodniej, niż mogły sądzić pewne siły po obu stronach cieśniny. Obaj byli entuzjastami sportu - Bren jeździł na nartach, a Tabini

polował; obaj byli kawalerami na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach, ale on miał Barb, a Tabini panią Damiri, i obaj dzielili się doświadczeniami.

Spotykali się w apartamentach Tabiniego niezliczoną ilość razy. Zaledwie kilka dni temu byli razem na wakacjach, polując wśród wzgórz wiejskiej posiadłości Tabiniego w Taiben - gdzie, technicznie wbrew prawom Traktatu, które zakazywały człowiekowi znajdującemu się na kontynencie noszenia jakiegokolwiek broni, Tabini uczył Brena strzelać do celu. Wieczorami siadywali na obmurówce kominka w tym wiejskim, spokojnym domu, wyglądając niecierpliwie następnego dnia i wymieniając się wielkimi nadziejami co do przyszłości atewsko-ludzkich stosunków: wspólny program kosmiczny, stosunki handlowe między ich gatunkami, poczynając od skromnych kontaktów między studentami za pośrednictwem komputerów...

Teraz ich uzbrojeni ochroniarze pili herbatę i cicho rozmawiali w foyer, a oni przeszli do saloniku znajdującego się obok wejścia do apartamentów Tabiniego. Bren bywał dotąd w innym pokoju, ale Tabini tylko na niego spojrział i rozkazał otworzyć salonik, żeby, jak powiedział, paidhi nie musiał iść ani kroku dalej.

Był to przytulny pokój, wymagający tylko jednego służącego do nalewania herbaty i podawania tradycyjnych gorzkosłodkich wafelków - drobnego, zasuszonego Eidiego, który prawdopodobnie był licencjonowanym zabójcą, a na pewno ochroniarzem wysokiej rangi, co Bren zawsze podejrzewał.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział Tabini, pomijając etykietę. W tej samej chwili w drzwiach stanęła sama Damiri.

- Nand' paidhi - rzekła, wyciągając rękę. Bren spróbował wstać, co było najmniejszą grzecznością, jaką był winien swojej gospodyni i oficjalnemu gościowi Tabiniego.

- Nie, proszę cię, nie wstawaj, nand' paidhi. Tak się cieszę, że przyjąłeś moje zaproszenie. Czy Saidin zadbała o twoją wygodę?

- Jak najbardziej, nai-ma. Bardzo dziękuję. Jestem oszołomiony twoją uprzejmością.

- To dla mnie zaszczyt - rzekła i podała mu rękę. Ujmując ją, Bren zachował całkowitą czujność, bo ponieważ nie wstał, znalazł się w niekorzystnej towarzyskoj sytuacji, co z kolei pozwalało Damiri okazać łaskawość. Dama, którą - jak mówili atevi - aprobował Tabini, nie była ani naiwna, ani bezmyślna. To ona nadawała ton spotkaniu i mówiła we własnym imieniu, a nie w imieniu Atigeinich, co do których zgody lub jej braku na udzieloną mu gościnę Bren nie miał pojęcia.

- Mam nadzieję, że będę sprawiał jak najmniej kłopotu twojemu łaskawemu personelowi, daja-ma. Wyświadczyłaś urzędowi paidhiemu nadzwyczajną uprzejmość. - Bardzo starannie dobrał słowo „urząd”, nie przypisując gościnności żadnym względom osobistym. To instynktownie dyplomatyczne rozróżnienie chyba spodobało się damie.

- Gość aijiego jest moim gościem - rzekła i lekko się ukloniła najpierw jemu, a potem Tabinemu i wyszła, powiedziawszy coś cicho do Eidiego.

- Proszę cię, zapewnij ją, że jestem oszołomiony apartamentami. Przysięgam, że będę ostrożny - powiedział Bren.

- Jest bardzo ciekawa ciebie - rzekł Tabini, w najmniejszym stopniu nie zdradzając, jak bardzo Damiri nadużyła jego cierpliwości, czy przydała jego pytaniom wsparcia opozycji i czy w ogóle działała za jego zgodą. - Ostrzegam cię, że ma ścisłe kontakty ze swoją służbą, ale to tylko ciekawość.

Możliwe, że była to wskazówka co do sytuacji. Z całą pewnością ostrzeżenie.

- Zatem mam nadzieję, że sprawozdania będą pochlebne.

- Nie wątpię. Nie zimno ci? Ochłodziło się. Z łatwością można zapalić piecyk.

- Nie, nie trzeba. Jest bardzo przyjemnie. Dziękuję, aiji-ma.

- Czujesz ból?

- Niewielki. Mam gorączkę. To chyba normalne.



- Bardzo się cieszę, że jesteś cały, nadi. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo.

- Powiniennem zostać w Shejidan, aiji-ma. Nie miałem pojęcia, że coś się dzieje. Naprawdę żałuję, że mi nie powiedziałaś. Zostałbym i natychmiast przemówiłbym w hasdrawadzie.

- Chciałem, żeby cię leczyli twoi lekarze. To wymagało wysłania cię na wyspę. Bardzo się jednak niepokoiłem, nadi. Przysięgam, że niepokoiłem się, dopóki nie usłyszałem, że twój samolot znalazł się w naszej przestrzeni powietrznej.

- Aiji-ma. - Bren był nieco zaskoczony, a nawet wzruszony tym, że Tabini wyraził osobisty niepokój - i wciąż utrzymywał umysłową i emocjonalną czujność, ponieważ naprawdę cieszył się z powrotu i musiał powściągnąć tę ciepłą ludzką reakcję, która nie udzielała żadnych odpowiedzi na pytania mające związek z ateńską motywacją.

Jak na przykład: Czy Patronat Zachodni trwa mocno przy Tabiniem?

Albo: Czy we wschodnich regionach Patronatu, w prowincjach, gdzie Tabini był najbardziej zagrożony politycznie, wciąż panuje chaos? Jeszcze dwa dni temu padały tam bomby, o czym mógł osobiście zaświadczyć - bomby, od których ginęły znane mu osoby. Do tej pory nie wiedział, jak doszło do tego starcia, ani czy, jak miał nadzieję, prowincjonalni wielmoże wzięli na wstrzymanie, reagując na stanowcze posunięcie Tabiniem i przejście niektórych panów na jego stronę.

Zmiana stron mogła dotyczyć też Atigeinich, lecz Bren nie miał żadnych informacji co do tego, czy pani Damiri naraziła się na zabójstwo z rąk własnej rodziny za otwarte opowiedzenie się po stronie Tabiniem, któremu jej patronat początkowo się przeciwstawiał, a potem zaczął chłodno wspierać? Ani co do tego, czy jej rodzina popiera gościnę udzieloną człowiekowi w pokojach świętych dla historii Atigeinich? Szczególnie, że z tego, co wiedział, złamana ręka zawdzięczał w pewnym stopniu podejrzliwemu stosunkowi Atigeinich do Tabiniem.

Nie mógł o to zapytać. Nie śmiał tego zrobić, dopóki nie wiedział więcej. Istniały konwenanse warte życie.

- Ten statek nad nami... - zaczął Tabini.

- Tak, aiji-ma?

- Mospheira z nim rozmawia. Jakie są ogólne wiadomości? Udało ci się coś usłyszeć?

- Tylko tyle, aiji-ma, że, jak rozumiem, nikt nie wątpi, iż to ten sam statek, który nas tu przywiózł. To, gdzie był przez sto siedemdziesiąt osiem lat, stanowi poważną zagadkę. Może ktoś na Mospheirze zna na nią odpowiedź. Ja nie.

- Jak myślisz, gdzie mógł być?

- Aiji-ma, wiem tylko to, co mówiono mi od dzieciństwa, to znaczy, że udał się na poszukiwanie pomyślnych gwiazd, żeby dowiedzieć się, gdzie jesteśmy.

- To łatwe pytanie. Tutaj jest tutaj.

- Nie z ich punktu widzenia. Tak to rozumiem. Kryje się za tym znacznie więcej, lecz wyznaję, aiji-ma, że jako student nie poświęcałem sprawie statku należytej uwagi. Nikt się nie spodziewał, że statek kiedykolwiek powróci.

- Ach, tak. A nad czym teraz dyskutują wysoko postawieni urzędnicy na Mospheirze?

Pytania te, poza tym, że Bren nie znał na nie odpowiedzi, wykraczały nieco poza obszar koniecznej wiedzy aijiem. Paidhi z zasady nie dostarczał informacji o wewnętrznej polityce Mospheiry czy bieżących debatach. Paidhiemu przynajmniej oficjalnie nie było wolno udzielać takich informacji, podobnie jak aijiemu Traktat zakazywał o nie prosić.

- Wiesz, że nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie, Tabini-ma.

Tabini podniósł filiżankę i obrócił delikatną porcelanę w palcach. Atewskie oczy były złociste. Oczy Tabiniego miały blady odcień tego koloru. Niektórzy mówili, że to oznaka niewierności jego ojca.

- Bren-ji, bez względu na to, o czym możemy lub nie możemy mówić, bez względu na obietnice, jakie możemy złożyć, wiele się teraz zmieni między wami na Mospheirze i nami na kontynencie. Czy to, że zmiana jest nieunikniona, nie jest realistycznym założeniem? A ja pytam paidhiego, który ma podobno tłumaczyć atevim ludzkie działania, w jakim kierunku płyną te prądy?

W pokoju było teraz bardzo cicho. Dochodziły do nich jedynie głosy z przeciwnego krańca foyer. Bren spróbował zaczerpnąć tchu. Tylko tchu. Nie myślał o tych sprawach, a przynajmniej nie na tyle poważnie, jak powinien. Jego uwaga skupiała się na silnym bólu. I latających pociskach.

- Tabini-ma, Traktat stworzył paidhiin, aby byli uczciwymi doradcami każdej ze stron. Czyż nie wywiązywali się z tego obowiązku?

Tabini łyknął herbaty.

- A jak wielu stronom możesz uczciwie doradzać, nadi? Czy jest teraz trzech rozmówców, czy wciąż dwóch?

- Mam nadzieję udzielić ci tej odpowiedzi.

- Paidhi z pewnością może odpowiedzieć na to jedno proste pytanie.

Spróbuj tak: Kierujecie tym statkiem? Czy może statek kieruje wami?

Poziom adrenaliny zdecydowanie się podniósł. Wracając na kontynent, Bren dosłownie postawił swoje życie na Tabiniego. Wiedział, że w stanie, w jakim się znajduje, nie powinien stawać do słownej szermierki z Tabiniem. Nie zwracając uwagi na sytuację, powinien zażyć następną tabletkę przeciwbólową i pójść do łóżka, gdzie było jego miejsce.

- Nand' paidhi? Wydaje mi się, że to rozsądne pytanie. Czy jestem nierozsądny?

- Właśnie złamano mi rękę, Tabini-ma, i zostałem mocno pobity przez osoby uważające, że mogą wykorzystać paidhiego lub zmusić go do powiedzenia rzeczy, które później wykorzystają. Nie uległem im. - Musiał odstawić filiżankę. Nie potrafił powstrzymać drżenia ręki. - Bardzo źle przysłużyłbym się tobie i Mospheirze, gdybym do moich wypowiedzi dodawał własne, nie przemyślane interpretacje pośpiesznych i prawdopodobnie bezpodstawnych opinii jakichś urzędników. Szczególnie, gdybym sam był tak nie doinformowany jak teraz, aiji-ma. Aiji, z którym miałem do czynienia, jest zbyt mądry, by niszczyć moją wartość.

- A teraz pochlebstwo, Bren-ji. Obniżyłeś loty.

- Uczciwość, Tabini-ma, to moja jedyna wartość. Ja znajduję się w środku. Przekażę twoje wypowiedzi na Mospheirę. Udzielę ci odpowiedzi, jaką po odpowiednim czasie przygotowują właściwe władze. Nie będę jednak informował o bieżących debatach toczących się u nich czy u was. Ani na statku. Weź także pod uwagę, Tabini-ma, że przez kilka dni byłem pozbawiony informacji, od kilku godzin jestem pod działaniem środków znieczulających, zażyłem tabletkę przeciwbólową i nie potrafię w tej chwili jasno myśleć. W takich okolicznościach mogę jedynie... jedynie ściśle się stosować do Traktatu. Wstydzilibym się udzielić ci złej rady lub, co gorsza, podać ci nieprawdziwe informacje.

Atevi tak rzadko okazywali uczucia. Twarz Tabiniego była nieruchoma maską, ale o nieco złagodniałych rysach.

O, Tabini potrafił użyć swego czaru, kiedy chciał.

- Jestem świadom twoich obrażeń. Poprosiłem o ciebie, Bren-ji, ponieważ jestem przekonany o twojej dobrej woli, polegam na twojej bezstronności i natychmiast muszę wiedzieć, zanim podejmę jakiegokolwiek decyzje polityczne, co mówi ten statek i co mu odpowiada Mospheira. Muszę wiedzieć z wyprzedzeniem, co postanowi Mospheira, żebym nie został zaskoczony. Wiem, że jest to być może pogwałcenie litery Traktatu, ale załamaniem się Patronatu całkowicie zniszczy Traktat i wszystko postawi pod znakiem zapytania. Uwierz mi, Bren-ji,

znajdujemy się w środku kryzysu i pozwól zwrócić sobie uwagę, że nie tylko ja igrzę z Traktatem, skoro Mospheira przysłała mi dwóch paidhiin.

- To zwykła procedura, kiedy nie pełnię swoich obowiązków. Przez kilka dni byłem nieosiągalny. Przecież nie możesz winić...

- Wiem o tej scenie na dole. Ta kobieta twierdziła, że udaje się na lotnisko, gdy w rzeczywistości nie miała zezwolenia na podróż. Wyraźnie miała zamiar publicznie cię zaczepić i dać pożywkę plotkom.

- Jeżeli chciała ujawnić rozdźwięk w biurze paidhiego, to obawiam się, że odniosła sukces.

- Ateva też się tego obawia. Z przyjemnością odesłałbym ją pod strażą na lotnisko, Bren-ji; z przyjemnością spuściłbym ją na wodę w wiosłowej łódce, gdybym nie miał wrażenia, że coś takiego raczej nie poprawi stosunków z Mospheirą.

- Proszę cię, żebyś dał jej zezwolenie podróżne, aiji-ma.

- Doprawdy? Traktat mówi, że ma być paidhi. Zatem skoro nie chcesz odpowiedzieć na moje pytania co do ich intencji, powiedz mi przynajmniej, kim jesteś? Czy nadal prowadzisz swoje biuro, czy też przejęła je ta kobieta? Czy jej przybycie ma większy związek z twoją nieobecnością w Shejidan, czy z pojawieniem się tego statku na naszym niebie? Rozumiesz, co mam na myśli, Bren-ji? Kto teraz przewodzi twojemu rządowi i kogo reprezentuje ta kobieta?

Bren poczuł, że brakuje mu powietrza. Starał się zebrać wszystkie wątki, ale nie był pewien, czy wszystkie uchwycił.

- Nic mi nie wiadomo o żadnej zmianie w rządzie czy polityce. Przyjechałem tu jednak prosto ze szpitala. Nie mam jasnego umysłu, aiji-ma. Być może ktoś mi powiedział, gdzie jest Hanks. Nie pamiętam. Nie potrafię sobie tego przypomnieć.

- W dniu, kiedy wyjechałeś do Malguri, twój rząd poprosił cię o odpowiedź na wiadomość przysłaną do twojego biura. Oczywiście nie było cię tu. Nadeszły następne wiadomości. Można się domyślać, że ich nagłość miała coś wspólnego z tą zjawą na naszym niebie.

- Rzeczywiście można się tego domyślać, aiji-ma.

- Trzeciego dnia samolot z tą kobietą na pokładzie poprosił o zezwolenie na lądowanie. Dostrzeżliśmy prawdopodobieństwo szczegółowych pytań o miejsce twego pobytu, więc poprosiliśmy o wywiad telewizyjny z tobą, ponieważ...

- O taśmę ze mną? - Nie przerywa się aijiemu, gdy ten mówi. - Wybacz, aiji-ma.

- Przydała się - rzekł Tabini. - Ateva się uczy, że telewizja, wśród innych błuźnierczych możliwości, bardzo interesująco manipuluje czasem, skalą, ogólnie rzecz biorąc, liczbami. Bezbożny wynalazek. Skrzynka iluzji. Uciszyła jednak parę ogólnych pytań na temat twojego zdrowia. I podtrzymała publiczne przekonanie, że nie przerwałeś urzędowania. Wciąż jednak unikasz mojego bardzo poważnego pytania, Bren-ji. Odesłano cię tylko po to, by zaspokoić moje żądania, czy też wróciłeś, mając rzeczywiste pełnomocnictwa?

- Moje pełnomocnictwa, aiji-ma, w większości opierają się na prostym fakcie, że mówię językiem głównego atewskiego patronatu, oraz na równie prostym fakcie, że jestem tu na twoje zaproszenie i że postanowiłeś rozmawiać ze mną. Zakładam, że rozmawiasz ze mną.

- To prawda.

- Czy w ogóle rozmawiałeś z Hanks? Czy jest jakaś umowa? Toczą się jakieś negocjacje? Leżą na stole jakieś propozycje?

- Z osobami pokroju Taigiego i Naijo. Z każdym przeklętym potencjalnym konspiratorem w Patronacie - możliwe. Ze mną - nie.

Przerazająca informacja.

- Z pewnością prosiła o spotkanie z tobą.

- Mam udzielić pełnomocnictw temu nieproszonemu gościowi? Rozmawiałem z tą kobietą tylko jeden raz, kiedy kazałem jej, by powiedziała Mospheirze,

żeby natychmiast cię przysłali, albo każe ją zastrzelić. Sądząc po rezultacie, uważam, że wiernie przekazała moją wiadomość.

Boże - to była intuicyjna, mospheirańska reakcja. Ale to nie Mospheira. Tabini rzeczywiście mógł kazać ją zastrzelić. A jeśli Tabini posunął się do takiej groźby, to gdyby Hanks go nie posłuchała, musiałby tę groźbę wykonać.

- Muszę poprosić o jej bezpieczeństwo - rzekł cicho Bren. - Proszę cię, aiji-ma.

- Czy paidhi prosi? Masz wsparcie Traktatu?

- Wierzę - odparł, oszołomiony świadomością, że ociera się o złamanie zasad i departamentu, i Traktatu - że jeśli wysłały mnie osoby mające władzę na Mospheirze, to zrobiły to na zasadach twojej prośby, a zatem, jeśli otrzymają ode mnie jakieś wiadomości, to będą wiedziały, że są to wiadomości od ciebie, przetłumaczone wiernie i dokładnie. Nie sądzą, żeby uważano mnie za osobę skorumpowaną czy niekompetentną. Logicznie rzecz biorąc, aiji-ma, jeśli wolisz kontaktować się ze mną, a nie z nią, to co mogą zrobić, jeśli nadal chcą otrzymywać wieści od ciebie?

- Mogą je zignorować.

- Nie, aiji-ma, nie mogą. To co robią i myślą atevi jest ogromnie ważne.

- To dlaczego w ogóle przysłali tę Deanę Hanks? I dlaczego ona się zadaje z osobami, których nie mogę zaakceptować?

Bren grał na zwłokę.

- To moja pełnoprawna następczyni. Gdybym zniknął...

- To idiotka.

- Aiji-ma, na Mospheirze najwyraźniej uznano, że z jakiegoś powodu przerwałem pracę w, jak powiedzieli, bardzo drażliwej sytuacji. Możliwe, że wysłali ją w najlepszych intencjach jako jedyną namiastkę w razie jakiegoś wypadku, który mógł mi się przytrafić - na przykład zabójstwa z rąk opozycji...

- Musieli wybrać idiotkę?

- Jest bardzo, bardzo niewielu ludzi, którzy mówią w tym języku, a tylko trzy osoby, które w nim myślą.

- Dwie. Ty i Wilson-paidhi. Ta kobieta nie myśli.

Tabini był wściekły. To jasne. I w tym wszystkim chodziło o coś poważniejszego niż życie Hanks. Lub jego.

- Być może, aiji-ma, kiedy departament stanu upewni się, że jestem na tyle zdrowy, że mogę pełnić swoje obowiązki, to ją odwoła. A jeśli tego nie zrobi, to sam się o to zwróć. Zapewniam cię.

- Ta kobieta wtrąca się do naszej polityki. Gdzie ich inteligencja, nand' paidhi? Czy to celowe pogwałcenie Traktatu? A może teraz ludzkimi sprawami kieruje jakaś inna, może nie zorientowana grupa?

Było to dość przerażające pytanie, nawet jeśli ograniczyć jego implikacje do departamentu stanu, który, zważywszy na ten statek na niebie, na pewno nie był jedyną troską Tabiniego.

Co więcej, paidhi nie miał żadnej wiążącej odpowiedzi. Biuro Spraw Zagranicznych określiło rozmowy ze statkiem jako drażliwe.

- Bardzo wyraźnie uświadomię odpowiedzialnym osobom twoje niezadowolenie, aiji-ma. Tymczasem proszę cię, żadnych ruchów, by usunąć ją siłą. Pozwól, że załatwię to na mój sposób. Ufam, że potrafię to zrobić bez hałasu.

- Prosisz o wielką przysługę, Bren-ji.

- Wiem.

- A za przysługi trzeba odpłacać.

- O tym też wiem, aiji-ma.

- A zatem, jakie jest obecne nastawienie w biurze prezydenta?

Boże, umysł ma jednak przytępiony. Powinien przewidzieć to pytanie.

Od czasu do czasu Bren ryzykował z Tabinim, bardzo ryzykował, gdy tylko wybadał grunt - gdy obaj byli pewni zakresu i celu pytania.

A szczególnie, gdy uczciwa odpowiedź mogła dać Tabiniemu pokrzepiający wgląd w ludzkie procesy myślowe.

- Aiji-ma, nic, czego dowiedziałem się na Mospheirze kanałami oficjalnymi, czy też innymi, nie zmieniło mojego początkowego wrażenia: Mospheira jest zaniepokojona - nie przestraszona, lecz zaniepokojona, z dokładnie tych samych powodów, które niepokoją atevich. Nikt tego nie planował. Zgadzam się, że żaden rząd nie lubi być zaskakiwany. Mospheira została zaskoczona. Ty zostałeś zaskoczony. I sądzę, że statek też jest zaskoczony. Odleciał ze sprawnej stacji, a wrócił do czegoś, czego nie mógł przewidzieć, oraz do tak złożonej sytuacji politycznej, że trudno mu ją będzie zrozumieć.

- A więc co to oznacza? Są teraz dwa ludzkie patronaty czy jeden? I czy władza tkwi na naszym niebie czy na Mospheirze?

Zasadnicze pytania. Naglące pytania. Zadane przez władcę, który nie potrafi zrozumieć koncepcji granic geograficznych.

- Aiji-ma, tak jak ja to rozumiem, istnieją dwie władze, niegdyś będące jedną, nie nastawione wrogo do siebie, z których każda broni oddzielnych interesów. Śledzisz transmisje. Z pewnością masz nagrania.

- Istnieją takowe.

- Czy są zakodowane?

- Liczby i nazwiska są zupełnie jasne. Zakładam, że możesz nam przetłumaczyć resztę przekazów słownych.

To, że nie kodowano transmisji, było pocieszające. Brenowi bardzo się nie podobał pomysł tłumaczenia. Ale Mospheira przecież wiedziała, że on jest w stanie to zrobić, podobnie jak Hanks, kiedy ją tu wysyłali - nie przeciwstawiali się takiej możliwości, a przynajmniej Bren nie pamiętał, żeby dali mu to do zrozumienia.

- Tak sądzę, aiji-ma. Oczywiście wolałbym skonsultować się z uniwersytetem w sprawie...

- Gdyby mospheirańskie władze weszły w patronat ze statkiem, to przed kim byłbyś odpowiedzialny?

- Nie potrafię wyobrazić sobie okoliczności, które by do tego doprowadziły.

- Ja potrafię. Ale może mam wybujałą wyobraźnię.

- Ludzkie patronaty są i bardziej, i mniej hierarchiczne od atewskich. - Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. - I nie są biologiczną koniecznością. Wiem, że trudno ci to przyjąć, aiji-ma, lecz na podstawie tego, czego się niedawno dowiedziałem, muszę ci powiedzieć, że nie mamy względem tego statku odczuć, jakie żywiliby na naszym miejscu atevi.

- Nie przekonałeś mnie, nand' paidhi. Wielu atevich już założyło, że bez wątplenia mamy do czynienia z jednolitą ludzką władzą. Wyznaję, że tam, gdzie dochodzi do tego ludzka biologia, czuję się zagubiony. Natomiast zupełnie cię nie rozumiem, kiedy mówisz, że istnieją dwie władze rozdzielone przez czas i że nie ma między nimi wrogości.

Znaleźli się przed nieprzebytym murem - wadliwe łącza. Atewskie instynkty i instynkty ludzkie. Tabini nie rozumiał, całkowicie nie rozumiał, że nie istnieje man'chi, lojalność według definicji atevich: intuicyjny, emocjonalny przymus przyłączenia Mospheiry do władzy reprezentowanej przez statek, który wyglądał na silny i który dzierżył władzę w przeszłości...

Sama Mospheira też mogła nie mieć pojęcia, jak atevi odczytują tę sytuację. Tabini przynajmniej na tyle orientował się w różnicach między atevimi i ludźmi, by o tym wiedzieć - może nawet sądził, że rozumie - ale istniały równe szanse, że nie chce, nie potrafi przewidzieć ludzkiego zachowania i bez pomocy paidhiego nigdy mu się to nie uda, bo po prostu nie jest odpowiednio skonstruowany. Przeciętne osoby nie analizują swoich myśli - tylko myślą, że myślą, ale połowa ich działań to i tak reakcja instynktowna.

Lecz ponieważ niedawno - bardzo niedawno - paidhi-aiji przekroczył tę granicę i przebywał z dala od specjalistów w dziedzinie łączy, mieszkał wśród zwykłych atevich na prowincji na tyle długo, że zetknął się z tymi instynk-

townymi reakcjami, to przynajmniej miał świadomość, jak i w jakich zasadniczych sprawach Tabini daje sobie z nim, Brenem, radę - przy okazji zmieniając łącza, nieświadomie zniekształcając wiedzę paidhiin o atevich.

- Chociaż jesteś mądry i spostrzegawczy, aiji-ma, to bardzo niechętnie używam słowa „man'chi” w odniesieniu do ludzi, nawet wtedy, gdy jest to prawie uzasadnione, lecz pojęcie to dość dobrze oddaje uczucia mieszkańców Mospheiry względem tego świata. Uważamy, że dzielimy te uczucia z atevimi, a nie ze statkiem. Man'chi względem tej planety.

Blade oczy Tabiniego były beznamietne i zamyślane. Człowiek mógł się jedynie domyślać zainteresowania poruszoną kwestią.

Po długiej chwili zastanowienia Tabini, wciąż opierając podbródek na dłoni zwiniętej w pięść, rzekł:

- Kolejne „dlaczego”, nand' paidhi, skoro mówisz, że wy nie odczuwacie takich emocji.

Tyle zależy od zrozumienia. Bren poczuł zbliżający się atak dreszczy, gorączkę, która nie pozwalała mu się skupić.

- Pytania prowadzą do kolejnych pytań. Powinienem się położyć, aiji-ma, i odpowiedzieć ci, gdy przemyślę sprawę. Zbyt dużo przeszedłem, żeby dawać lekkomyślne odpowiedzi.

- Odpowiedź, nand' paidhi. Nie rzucaj mi na przynętę zapewnień, żeby potem mówić, że nie nadażasz.

- Nasze przywiązanie do świata jest czysto emocjonalne, aiji-ma. Nie ma w tym żadnej logiki. Ono po prostu istnieje. Jak man'chi, które po prostu istnieje.

- Mówisz, że nie było żadnych przygotowań do zajęcia stacji przez statek. Żadnej ukrytej obecności tam w górze.

- Ty sam nie wierzysz w ludzką obecność na stacji, aiji-ma.

- Ale z pewnością mamy z nią do czynienia w tej chwili nad naszymi głowami?

- To prawda.

- Właśnie. Coś ci powiem: to bardzo poważna sprawa, Bren-ji. Ludzie rażący nas promieniami śmierci to była kiepska telewizja. Teraz mówi się o tym w wieczornych wiadomościach.

Do Brenna powoli docierało, jak bardzo w ciągu kilku dni pogorszyła się jego misja na kontynencie: struktura zaufania, jeśli nie zniknęła, to była co najmniej poważnie nadwerężona.

- Trzy dni temu, aiji-ma, przysięgłbym, że rozumiem, co myślą rozsądni atevi. Teraz już tego nie wiem. Przynajmniej mogę ci przysiąc, że nie ma żadnych promieni śmierci.

- Na Mospheirze? Czy na tym statku? Zgodnie z Traktatem zgodziliście się przekazać nam całą waszą technikę w takich dawkach, które nie zniszczą - czego? - naszego środowiska? Naszego kulturowego przeznaczenia? O ile pamiętam, nasza własna komisja kosmiczna mówiła o kołnierzach w komorze spalania silnika raketowego dużego udźwigu i wyrzutniach satelitów komunikacyjnych. Sądzę, że ci ludzie są nieco bardziej zaawansowani.

- Tak, aiji-ma - rzekł pokornie. - Prawdopodobnie tak.

- I czy przekażecie nam ich technikę? Obawiam się, że znów wróciliśmy do tego samego pytania: Czy ci ludzie należą do waszego patronatu czy są związani Traktatem? Hanks lekkomyślnie mówi o rozszerzeniu bazy przemysłowej. O gwiazdach i odległościach między nimi - i o podróżowaniu szybciej niż światło, co, jak zdajesz sobie sprawę, przeciwstawia się poglądom pewnych sekt, a nawet stanowi herezję.

Bren poczuł, że kręci mu się w głowie. Nie mógł zebrać myśli. SNŚ. Hanks podjęła się...

- Przepraszam, Tabini-ma, może mówiła w zaufaniu... czy też...

- O, tak, w zaufaniu. Z panem Geigi. Popierając to sugestiami, że z przyspieszonym postępowaniem techniki może wzrosnąć cena ropy.

- O mój Boże.

- To jakieś bóstwo?

Był tak zdezorientowany, że zareagował w mospheiranie - z którego Tabini znał przynajmniej kilka głównych słów.

- Tabini-ma. Ta kobieta jest...

- ...głupia?

- Naiwna - dokończył słabo.

- Jak wiesz, pan Geigi jest deterministą. I dysponuje olbrzymimi zapasami ropy. Czy ona obraża jego przekonania? A może obiecuje mu dochody - jak to się mówi - pod stołem?

- Ateva na miejscu Geigiego mógłby być bardzo zdezorientowany.

- Szczególnie, że Geigi ma potężne długi. Nie do publicznej wiadomości. On jest zdesperowany.

- Boże - wyszeptał Bren i zobaczył przed sobą rozedrganą, niebezpieczną wizję: rysy w Patronacie spowodowane przez niepewne informacje, niezadowoleni panowie, zamieszanie w numerologii. Pojęcie „szybciej niż światło” było już faktem w pewnych atewskich umysłach; Bóg jeden wie, jak bardzo rozprzestrzeniła się ta plotka. Na pewno dotarła do deterministycznych numerologów, a naukowcy zajmujący się kosmosem usłyszą przekazy ze statku. Ziarno, jak głosiło atewskie przysłowie, ujrzy słońce.

A wtedy rozpęta się potężna awantura, chyba że istnieje jakieś sprytne wyjaśnienie tego żenującego paradoksu, które pozwoliłoby deterministom zachować twarz. Ważne osobistości zostaną nazwane kłamcami, a niepodważalne fakty spowodują upadek poważanych autorytetów i systemów ważnych dla kultury, być może nawet nastąpi rozlew krwi, ponieważ te szklane konstrukcje wierzeń opierają się na ciele i kości.

- Zajmę się Hanks.

- Szybciej niż światło. - Tabini wyciągnął rękę, by Eidi nalał mu filiżankę herbaty. - A czy potem zajmiemy się promieniami śmierci?

- Ufam, że nie - wyszeptał Bren, jednocześnie chaotycznie szukając jakiegoś uzasadnienia, zbieżności z polityką departamentu, czegokolwiek, co pozwoliłoby mu wyjawic Tabiniemu myśli, które nawiedziły rozgorączkowany ludzki umysł z nagłą, rzadką, atewską jasnością. Nie mógł liczyć, że jutro powtórzy się taka chwila.

- Aiji-ma, przyszedł mi do głowy pewien fakt: atevi zakładają istnienie broni. W czasie Wojny prawdziwym zagrożeniem nie była jednak broń.

- Zapytaj poległych.

- Broń nie była decydująca. Mieliśmy ją, co nie na wiele się nam zdało. Atevim zaszkodziło... zagrożeniem wiszącym nad Mospheirą i atevimi jest sam wstrząs spowodowany obecnością przybyszów. Liczby, którymi operują. Sprowadzanie do świata nowych rzeczy szybciej, niż atevi potrafią się do nich dostosować. Te same błędy, które myśmy popełnili - i zdestabilizowali społeczeństwo, gospodarkę. Wszystko. - Siedząc w tej pozycji w fotelu, Bren odczuwał ostry, szczególny ból ramienia; nici logiki zaczęły mu się plątać, lecz on się nie poddawał. - Co gorsza, aiji-ma, tym razem nie mamy do czynienia z powolnym przepływem informacji wśród atevich. Teraz mamy błyskawiczną informację, błyskawiczny kryzys, błyskawiczną reakcję, a wszystko to dzięki telewizji. A jeśli zmiana przychodzi tak szybko, że elektorat jej nie rozumie, aiji-ma, jeśli nie można planować własnej przyszłości, jeśli przedsiębiorstwa nie mogą się do tego dostosować... wystarczająco szybko...

- Baji-naji - rzekł Tabini i wruszył ramionami, co według przysłowia znaczyło, że w każdym zamyśle czai się przypadkowy diabeł i że liczby mogą przepowiadać nieuchronnie, lecz nie bezbłędnie. - Już raz to przeżyliśmy. Nawet, jeśli sobie przypomnisz, wygraliśmy rozpętaną w następstwie wojnę.

- To, przysięgam ci, przysięgam nie wysłuchawszy ich, nie jest ich zamiarem. Nie chcemy wojny.

- Wojna nie powinna mieć miejsca poprzednio. Jak jej jednak unikniemy? Nie mów mi, że jesteście mądrzejsi. Albo że mądrzejsi jesteście wy. Powiedz mi, kogo reprezentuje Hanks?

Powoli wciągnął powietrze tylko po to, żeby zyskać czas do namysłu. Udało mu się przedstawić Tabiniemu swoje racje, a teraz, po zbijającej z tropu wolcie, znajdował się z powrotem tam, gdzie chciał Tabini. Świeżo scaloną kość promieniowała tęnym bólem. Z trudem skupiając uwagę, Bren wyczuwał wiarę i oczekiwania Tabiniego względem paidhiego.

- Nie wiem, ale się dowiem, aiji-ma. Na pewno nie reprezentuje statku. Ani Biura Spraw Zagranicznych, przynajmniej w tej chwili. Przecież przysłali mnie. A ja nie pozwolę, żeby wszystko, na co pracowaliśmy, zostało zaprzepaszczone, aiji-ma.

- Ach. Paidhi będzie mediatorem. Czy to chcesz powiedzieć? Że paidhi przekona władze na Mospheirze, Biuro Spraw Zagranicznych oraz wewnętrzne władze na statku i przedstawi moje argumenty i wymagania?

Tabini naciskał chorego człowieka i robił to świadomie i z premedytacją. Tabini miał zobowiązania wobec swego ludu, dlatego chciał uzyskać informacje z najlepszego dostępnego mu źródła.

Tabini wierzył także w uzyskiwanie prawdy pod przymusem. Podczas takich sesji naciskał dopóty, dopóki nie uzyskał od paidhiego czegoś znaczącego i nie uznał, że rzeczywiście usłyszał prawdę. Nie można było go zbyć, chyba że chciało się Tabiniego bardzo zniechęcić.

Paidhi doskonale znał tę jego cechę. I wiedział, kiedy może ryzykować.

- Dobrze, aiji-ma, chcesz wiedzieć, jaki mogą przyjąć kurs ludzie na Mospheirze. Po pierwsze - ustawić się w kolejce do tych na górze i podjąć negocjacje o to, by młodzi, utalentowani i najlepsi ludzie udali się na stację i tam zamieszkali, ponieważ - jak rozumiem, Hanks poruszyła ten temat - ani wy, ani my nie dysponujemy bazą przemysłową do budowy wyrzutni rakiet. Jeśli wykorzystamy ich transport, staniemy się pasażerami cudzego programu kosmicznego. Albo...

Ból napływał falami. Bren musiał poprawić się w fotelu, ryzykując błędną interpretację mowy ciała.

- Przepraszam, aiji-ma, ukłucie bólu.

- Albo?... - rzekł Tabini.

Podstawowa zasada: nigdy nie pozwalać, by ateva sam domyślał się wyjaśnienia.

- Albo, aiji-ma, świat może spróbować, co, jak sędzę, rozsądnie sugeruje Hanks, stworzyć odpowiednią bazę przemysłową na własnych zasadach, tak szybko, jak tylko świat potrafi się z tym uporać, lecz ani trochę szybciej. Zwykli ludzie nie porzucą swoich domów ani planów. Aiji w Shejidan nie może zlekceważyć opinii murarza z Wingin i tak samo prezydent Mospheiry nie może wysłać w kosmos jakiegoś rybaka z miasteczka mojego brata na północy i kazać mu pracować w orbitalnym gospodarstwie rybnym. Musieliby po niego przyjść. Tak samo, jak po twojego murarza.

- A co będzie, gdy ci niebiescy goście zaproponują wam leki? Błyskawiczną technikę? Błyskawiczne odpowiedzi? Moim zdaniem Mospheira znajduje się w takiej samej sytuacji, w jakiej byliśmy my, kiedy spłynęliśmy na ziemię z naszego nieba. Ci ludzie mogą dać wam spełnienie waszych największych ambicji. Ci ludzie mogą was uczynić panami.

- Aiji-ma, ci ludzie powinni zwrócić się i do Mospheiry, i do Shejidan z wielką ostrożnością. Masz całkowitą rację, jeśli chodzi o przynęty, którymi posłużą się świadomie bądź nie. My ich jednak nie możemy przyjąć. Traktat o nasze wspólne bezpieczeństwo, aiji-ma. Między tobą i mną istnieją różnice emocjonalne, logiczne, kulturowe, o których ci obcy nic nie wiedzą. Macie naturalnych sprzymierzeńców w ludziach, którzy chcą zostać na tej planecie. Musimy zmusić Mospheirę i załogę statku, żeby nas wysłuchali.

- Mogą po prostu uznać nasze zastrzeżenia za nieistotne.

- Niestety, wystarczy, że odbudują tę cholerną stację - wybac, aiji-ma - i się na niej usadowią, żeby na zawsze zamknąć atevim drogę do przyszłości.

- No to co? Czyż na dłuższą metę nie przyniesie to wam korzyści - nawet twojemu rybakowi?



- Aiji-ma, my zeszliśmy na dół, żeby budować fabryki, wytyczać drogi i naruszać linie atewskich patronatów, nie mając najmniejszego pojęcia o wyrządzanych szkodach. Lecz ten statek w górze to nie rakietę chemiczną. Uwierź mi, że jest równie szkodliwy dla mojego świata.

- To nie jest wasz świat.

- A zatem nie mamy własnego kąta, Tabini-ma. - Posunęli się dalej, niż zamierzał, i Bren powiedział więcej, niż chciał. Nie wiedział, jakie wywołał wrażenie. Zresztą stało się. Głowa pulsowała mu bólem. Poczł przyplływ mdłości. Podniósł filiżankę kontrolowanym ruchem, starając się zapanować nad przekazywanymi informacjami. - Zrozum, Tabini-ma, że ja bardzo chcę polecieć w kosmos. Chcę tego osobiście, dla samego siebie, chcę tak bardzo, że nie potrafię tego opisać. Nie sprzedam jednak za ten bilet interesów atevich ani nie sprzedam za niego Mospheiry.

- Nie sprzedasz?

- To takie powiedzenie w mospheiranie. Sprzedaje się melony na targu. To jest właściwe. Nie sprzedaje się jednak powinności osobom, które nie potrafią jej przyjać.

- Sprzedać powinność. Ciekawy pomysł.

- Powiedziałem... dla nas nie jest ona kwestią biologii. I dlatego może być sprzedana, aiji-ma, za pieniądze, za inne rzeczy. Porządni ludzie jednak nigdy jej nie sprzedają.

- Co zatem z nią robią?

- Rozdają ją, bardzo podobnie, choć niezupełnie tak samo, jak atevi.

- Najgorsi są właśnie ci niezupełni.

- Jak zawsze, aiji-ma.

- W rzeczy samej. - Tabini odstawił pustą filiżankę i oparł podbródek na zwiniętej pięści. - W rzeczy samej. Z tej właśnie przyczyny zażądałem twego powrotu, Bren-ji. Jesteś skarbem. I mimo to nie chcesz, żebym zastrzeżlił Deane Hanks. Dlaczego?

Blade, blade i jakże trzeźwe oczy. Według atewskich kryteriów Tabini nazywał go głupcem. Oraz zadawał uczciwe pytanie. Ryzyko było olbrzymie. Nadszedł czas odłożenia debaty.

- Choćby dlatego, Tabini-ma, że wywołałoby to straszny bałagan w departamencie stanu.

Tabini zaśmiał się bezgłośnie, co czynił bardzo rzadko.

- Nie rozśmieszaj mnie, sprytny człowieku. Przez ciebie miałem koszmary o promieniach śmierci. Teraz niech ja zakłócę twój sen. Jest tu moja babka.

- Boże, sądziłem, że uda się prosto do domu.

- Ależ to jest jej dom, Bren-ji. Tak samo jak Malguri, przynajmniej nominalnie.

- Czy więc sytuacja w prowincji Malguri wróciła do normy, aiji-ma?

- Jeśli pytasz, czy moje oddziały przerwały strzelaninę, to tak. Jeśli chcesz wiedzieć, czy wszyscy buntownicy przyjęli mój sposób myślenia i czy nie ma absolutnie żadnego prawdopodobieństwa, żeby pewne osoby, zarówno wysoko, jak nisko urodzone, z przyjemnością zastrzeliły ciebie i mnie jedną kulą, to obawiam się, że nie. Niewątpliwie moja babka będzie chciała z tobą porozmawiać. Miej na uwadze jej powiązania z buntownikami. Jesteś taki szczery i naiwny.

- Będę o tym pamiętał.

- Strzeż się jej. Powiadam ci, na świecie jest o wiele za dużo osób chcących cię uciszyć.

- Czy ktokolwiek zgłosił Zamiar?

- Nie. Mówię ci jednak, nadi, choć mogę się mylić, że niektóre z tych osób mogą mieszkać na Mospheirze. Czy dobrze rozumiem, że na Mospheirze prawo nie wymaga zgłoszenia?

Bren może uwierzyłby w zdradę innego rodzaju, ale nie w możliwość fizycznego niebezpieczeństwa z Mospheiry.

Chociaż uciszenie go nie musi być fizyczne. Miał wystarczające powody do obaw z racji obecności na kontynencie swej następczyni.

- Tabini-ma, naprawdę... naprawdę nie sędzę, żeby nawet moi najzagorzalsi antagoniści chcieli pozbawić się jedyne go pośrednika, przez którego mogą się z tobą porozumieć, skoro już wiedzą, że nie chcesz rozmawiać z Hanks. A już na pewno... - Nie wiedział, co się z nim stało. Pociemniało mu w oczach. Nagle nie trzymał już w ręku filiżanki i rozpaczliwie usiłował ją złapać w locie ku bezcennemu dywanowi. Potoczyła się, ale nie pękła, choć herbata wyraźnie uzupełniła nieskazitelny wzór. Bren był przerażony - chwycił serwetkę i rzucił ją na płamę, starając się pochylić, by ją wytrzeć.

Natychmiast jednak znalazł się przy nim Eidi, który podniósł filiżankę i osuszył dywan.

- Wybacz mi - rzekł ogromnie zakłopotany Bren. - Mam strasznego pecha z filiżankami.

- To tylko dywan, Bren-ji. - Tabini wściekle machnął ręką, odprowadzając Eidiego i ignorując incydent. - Posłuchaj jeszcze chwilę. Chciałbym, żebyś jak najszybciej zapoznał się z tym kryzysem, stanął przed połączonymi izbami, wyjaśnił obecność tych obcych na naszym niebie i przetłumaczył dialog toczący się między Mospheirą i statkiem. Żebyś położył kres spekulacjom. Co więcej, chciałbym, żebyś przekazał na statek to, co mają mu do powiedzenia atevi. Do tego jesteś mi potrzebny, Bren-ji. Zgadzasz się?

- Nie zostałem upoważniony, żeby się z nimi kontaktować, aiji-ma, ani nawet tłumaczyć, i wolałbym...

- Ja cię upoważniam, Bren-ji. Dokument Traktatu stanowi, że w stosunkach ludzko-atewskich ma być jeden tłumacz, prawda? Czyż nie jest tam zapisane, że paidhi ma tłumaczyć postępowanie ludzi atevim, a atevich ludziom? Uważam to za podstawę Traktatu, Bren-ji. Mimo podziału w waszym departamencie, który przysłała mi dwóch paidhiin, mimo naruszenia przez to postanowienia Traktatu - ty się skontaktujesz z tymi obcymi i uczciwie przekazesz im nasze słowa.

- Muszę się zastanowić, Tabini-ma. Dzisiaj nie mogę myśleć. Nie mogę obiecać...

- Zażądałem od Mospheiry, żeby cię przysłało. Chyba nie są aż tak naiwni, by sądzić, że nie wykorzystam twoich umiejętności, Bren-ji. Czy potrafisz inaczej wytłumaczyć moje działanie?

- To może nie być takie proste. Posługiwanie się nagraniami na pewno zmniejszy dryf językowy, ale ogromne różnice w doświadczeniu naszych populacji go zwiększą. Nie jestem pewien, czy zrozumie wszystkie niuanse. Znaczenie zmienia się o wiele szybciej niż składnia, a nie chcę, żeby...

- Język to twój problem, Bren-ji. Patronat przeżywa kryzys. Musi nastąpić jakieś działanie, jakieś uznanie prawowitej ludzkiej władzy. Każdy dzień, jaki spędzisz na przygotowaniach, może kosztować atewskie życie. Nie opowiadaj mi o swoich problemach. Moje kończą się ofiarami.

To była prawda. Bren wiedział, ile kosztuje zwłoka. Starał się zbyt wiele o tym nie myśleć - skoro martwienie się opóźniało myślenie. Ludzki umysł ma ograniczoną pojemność.

- Tabini-ma - odezwał się. - Daj mi jutrzejszy dzień na zebranie myśli. I zdobądź mi te transmisje.

- Zrozum, Bren-ji, że nie ma na świecie niebezpieczniejszej rzeczy od polityki toczącej się bez informacji. Dobijają się do mnie zwierzchnicy służby bezpieczeństwa, przewodniczący komisji. W tej chwili odbywa się ich zebranie...

- Aiji-ma - zaczął Bren.

- Bren-ji, jeszcze dzisiaj, zanim domysły przemieniają się w plotki, zejdź na dół i powiedz choćby kilka słów do przewodniczących komisji. Ta kobieta - Deana Hanks - wywołała spekulacje, panikę, niesnaski, podejrzenia. Prosiłem ich, by zdobyli się na cierpliwość i poczekać na ciebie. I oni

czekają, ale plotki już krążą po korytarzach. Wiem, że cierpisz ból. Ale jeśli możesz, to przynajmniej zapewnij te osoby, że ich nie zwodziłem.

Bren sądził, że zakończył pracę. Myślał, że za kilka chwil uda się do swego pożyczanego apartamentu i pożyczanego łóżka. Bolała go ręka. Taśma opinająca żebra, niczym nóż zadawała mu dodatkowe katusze, wzmagające się z każdą minutą, i Bren nie mógł zrobić tego, czego żądał Tabini. Nie potrafił stawić temu czoła.

Tabini miał jednak rację, że kiedy specjaliści dzielą semantyczny włos na czworo, ktoś może zginać; a Bóg jeden wie, jakie powstały plotki albo co mogła powiedzieć Hanks.

- Tu chodzi o życie, paidhi-ji. O stabilność Patronatu. Aiji Shejidan nie może prosić swoich sprzymierzeńców o pomoc. Obraziliby ich tym. Ale paidhi to rozumie, mimo trudności w naszym Patronacie... - Tabini nie mógł dać do zrozumienia, że jego sprzymierzeńcy nie podzielają jego potrzeb, nie oskarżając ich o zdradę; Tabini znów przejmował obowiązki paidhięgo.

- Rozumiem - rzekł Bren. - Ale chyba nie dam rady iść nigdzie daleko, aiji-ma. - Głos mu zadrżał. Poczł, że zaraz się rozplacze. Wciaż był roztrzęsiony tamtym bombardowaniem w Malguri, skutkami bliskiego wybuchu; to nie była sama ziemia i odpryski głazów, ale fragmenty ciała uczciwego atevy, którego zdążył polubić...

- To niedaleko - powiedział Tabini. - Pojedziesz windą.

- Spróbuję - odparł Bren. Nie wiedział nawet, czy uda mu się wstać. Tabini jednak podniósł się z fotela, i Bren, nie zważając na ucisk taśmy, poszedł w jego ślady.

Żeby wykonać zadanie. Wyjaśnić niezrozumiałe, choć sam nie bardzo rozumiał całą sytuację.

#### Rozdział 4

Wśród strzeżonych tylnych korytarzy apartamentu aijiego była winda, trzeszczące urządzenie, antyk z mosiężnej koronki wiszący na niepokojąco luźnych linach; Bren jednak jazdę tym urządzeniem przedkładał nad długi spacer. Zjechał z Tabinim, Banichim i głównym osobistym ochroniarzem Tabinięgo, Naidirim. Po przejechaniu dwóch pięter winda zatrzymała się przy stale obsadzonym posterunku ochrony. Minawszy kilkoro drzwi, weszli do holu, do którego zwykli atevi nie mieli wstępu.

Idąc tym tylnym przejściem, dochodziło się do niewielkiego posterunku straży, gdzie miało się do wyboru troje kolejnych drzwi, dających dostęp do oddzielnych sal, z których każda miała ogólne wejście z zewnątrz. Była to zamknięta trasa, którą mieszkańcy Bu-javid udawali się do miejsc, gdzie atewski lud spotykał się z atewskimi panami na ożywionych posiedzeniach ciał ustawodawczych.

Używając tego przejścia, panowie Patronatu, którzy udzielali audiencji o innych wyznaczonych porach, mogli dotrzeć na miejsce nie potracani przez tłum ani nie nękani przez przypadkowych, natrętnych petentów - a pewien stosunkowo delikatny i poobijany człowiek mógł się w nim czuć o wiele mniej zagrożony zderzeniem niż w publicznych korytarzach.

Co więcej, droga od windy do sali posiedzeń była dość krótka, ponieważ przewodniczący zebrali się tym razem w niewielkiej Sali Błękitnej, zwykle używanej przez komisje sądową i handlową.

Jago i mniej ważni ochroniarze Tabinięgo znaleźli się na dole przed nimi, już stali przy drzwiach i szybko je otworzyli. Za nimi toczyło hałaśliwą debatę jakichś dwudziestu panów i przedstawicieli ludu - minister finansów krzyczała na ministra transportu - z pasją, która szarpała nerwy zmęczonego, obolałego i czującego lekkie mdłości człowieka.

Może będą woleli dalej spierać się ze sobą i skończyć sprawę, nad którą najwyraźniej pracują? A jeśli Bren bardzo ładnie poprosi Tabiniego, to może zostanie zaprowadzony do łóżka, na które będzie mógł paść nieprzytomny?

Debata zamarła jednak w pół zdania, w pomieszczeniu zapadła cisza, a panowie i przedstawiciele Patronatu Zachodniego ukłonili się raz Tabinemu, a drugi paidhiemu, bardzo wyraźnie kierując ten gest do niego.

Bren był zupełnie zaskoczony - odklonił się, zanim zdążył pozbierać myśli, po czym z mglistym zażenowaniem uznał, że ten drugi ukłon wcale nie był przeznaczony dla niego.

- Nadiin - mruknął zmieszany i osłabiony wysiłkiem, mając jedynie nadzieję, że nie będzie to trwało długo i że nie będzie musiał odpowiadać na wiele pytań.

Asystenci i gońcy pośpiesznie odsuwali krzesła, żeby posadzić Brena za stołem, prześcigając się w uprzejmościach. Nie przyzwyczajony do takiej troskliwości, doszedł do wniosku, że paidhi pewnie wygląda, jakby miał paść na miejscu.

Śmierć nie jest tu wyjściem, pomyślał. Zaczerpnął tchu i poczuł w ramieniu przeszywający ból, a na spoconej twarzy zimny podmuch powietrza z otworów wentylacyjnych. Co prawda, mógłby zemleć. Gdzieś z daleka dochodziły go jakieś nierealne głosy, przeplatając się z biciem jego serca.

- Nadiin - odezwał się cicho Tabini, usadowiwszy się przy drugim końcu stołu - Bren-paidhi właśnie przeszedł operację i odbył długi lot. Nie bądźcie zbyt natarczywi. Już samo przyście tu wiele go kosztowało.

Rozszedł się pomruk współczucia i uznania. Dla wysokich, czarnoskórych panów i przedstawicieli samotny, blady człowiek był dzieckiem. Przed Brenem postawiono szklankę wody i dzbanek gorącej herbaty, takie jakie stały przed wszystkimi siedzącymi przy stole, a po chwili podano mu niewielką, ozdobioną wstążkami teczkę - zapewne porządek posiedzenia. Otworzył ją, by zachować pozory uprzejmości. Chciał się napić wody, ale usadowiwszy się w taki sposób, że czuł stosunkowo mały ból, nie chciał się po nią wychylać.

- Słuchaliśmy taśmy - odezwał się pan Sigiadi, minister handlu. - Czy paidhi ma jakieś pojęcie, choćby niejasne przecucie, o czym może rozmawiać wyspa ze statkiem?

- Nie słyszałem tych taśm, nand' ministrze. Obiecano mi je dostarczyć jutro.

- Czy paidhi zechciałby trochę posłuchać i nam powiedzieć?

Całe zgromadzenie poparło pomrukiem tę propozycję.

- Tak - dało się słyszeć. - Proszę odtworzyć taśmę.

I w tej chwili paidhi nagle domyślił się po podejrzanym braku ceregieli przy powitaniu Tabiniego i ostentacyjnej uprzejmości względem niego samego, że Tabini najprawdopodobniej brał już wcześniej udział w posiedzeniu komisji.

I że paidhi właśnie został zwabiony w pułapkę przez mistrza w tej sztuce.

Spokojne siedzenie po całym dniu poszturchiwania sprawiało mu jednak ulgę. Nawet krótka wizyta w apartamencie Tabiniego była wyczerpująca, a rada komisji żądała od Brena tylko obecności podczas jej nocnego posiedzenia i wysłuchania taśm z całego tygodnia, które i tak chciał usłyszeć jak najszybciej.

Pociągało to za sobą konieczność zachowania kamiennej twarzy, podczas gdy mężczyźni i kobiety z Patronatu Zachodniego, sami nie dający nic po sobie poznać i umiejący zinterpretować ledwie dostrzegalną mimikę, na jaką wysoko postawieni atevi pozwalali sobie publicznie, śledzili każdy, najmniejszy nawet gest Brena, zmianę pozycji, mrugnięcie.

Siedział więc, podpierając brodę dłonią, rozmyślnie rozłączywszy nerwy twarzy - paidhi nauczył się tej atewskiej sztuki na początku swej kadencji - słuchając numerycznych popiskiwań, które atewski nasłuch wychwycił z mospheirańskich przekazów do opuszczonej stacji kosmicznej. To maszyna porozumiewała

się z maszyną, niezmiennie raz na tydzień, zanim pojawił się znikąd ten statek.

- To rozmawiają ze sobą komputery - mruknął Bren do przewodniczących komisji. - Albo wymieniają nagromadzone dane, albo jeden komputer usiłuje znaleźć protokoły drugiego. Specjaliści muszą stwierdzić, czy jest w tych liczbach coś niezwykłego. Gdyby technik mógł przewinać taśmę do rozpoznawalnych głosów...

I nagle usłyszał szum przesuwanej taśmy i zarejestrowane na niej słowa:

- Stacja naziemna Alfa, tu „Feniks”. Prosimy o zgłoszenie.

Mimo że Bren się tego spodziewał, ten słaby głos wstrząsnął ludzkimi nerwami - głos z kosmosu przemawiający do od dawna nieczynnej placówki, dokładnie tak, jak uczyniłby to przed wiekami.

Słowa te jednak zostały wypowiedziane zupełnie niedawno. Dochodziły ze statku na orbicie planety, spodziewającego się zastać wiele rzeczy, które niestety przestały istnieć przed tyloma laty, że nikt tego nie pamiętał.

- Proszę o odpowiedź ze starego lądowiska - powiedział Bren, starając się zachowywać jak najbardziej obojętnie, podczas gdy jego puls zachowywał się wręcz przeciwnie. - Nie mają pojęcia, że jest nieczynne od prawie dwustu lat.

Na tym statku mogła się nawet znajdować - podsuwała mu to jego skąpa wiedza z zakresu względności - załoga pamiętająca to lądowisko. Na tę myśl przeszły go ciarki. Słuchał kolejnej serii pisków komputera; uznał, że maszyna przeszukuje częstotliwości, by uzyskać odpowiedź z miejsca, które obserwacja optyczna musiała określić jako dużą osadę. Bren pomyślał, że poprosi atewę obsługującego taśmę, by zwiększył szybkość odtwarzania.

- A co z liczbami? - zapytał przewodniczący komisji sądowej. Brzemienne pytanie.

- Sądzę, że wiążą się z datą, czasem, upoważnieniami. Taka jest zwykła treść.

Wtedy usłyszał, jak nieznaną łącznościowiec obsługujący tę prawie nieczynną stację naziemną odpowiada:

- Powtórzcie.

Bren przetłumaczył, co wywołało rzadko spotykany u atewich uśmiech - traktowanie reakcji zaskakującej jako zabawnej było jednym z nielicznych wspólnych punktów atewsko-ludzkiej psychologii; Brena ta reakcja niezmiernie ucieszyła. Bardzo ważną sprawą było przekonanie atewich, że ludzie byli tak samo zaskoczeni jak oni; Bren miał nadzieję, że udało mu się to na tyle, by fakt ten się rozniósł.

Nagrana rozmowa szybko pięła się po szczeblach coraz ważniejszych połączeń telefonicznych, aż Bren sam zaczął przeżywać te wydarzenia, czekać razem ze zdezorientowanymi technikami - odzyskiwał chwile, które mu umknęły podczas pobytu na prowincji, a których atewi musieli doświadczyć, nie wiedząc, co mówią ludzie. Hanks siedziała beczynnym, bo nikt się z nią nie kontaktował.

Po wymianie paru zdań świadomość, że to nie żadne oszustwo, musiała z hukiem przeniknąć do skrzydła wykonawczego, ponieważ, po kilku zaledwie telefonach, z kapitanem statku rozmawiał bezpośrednio prezydent Mospheiry.

- Mówi kapitanowi statku, że stoi na czele społeczności ludzkiej na Mospheirze. Kapitan pyta, co to znaczy, a prezydent odpowiada, że Mospheira jest wyspą, że stoi na czele...

Trochę się tu zgubił, a może wcale się nie zgubił, tylko stracił na chwilę świadomość w gwałtownym przypływie zmęczenia. Przyłapał się na zaciskaniu ust i przypomniał sobie, że musi zachować spokojną twarz.

- Przewiń, proszę, trochę do tyłu. Ramię mi dolega.

- Jeśli paidhi czuje się na tyle źle... - rzekła minister finansów; lecz wtrącił się surowy, podejrziwy szef sądownictwa:

- To jest dla nas najważniejsze, nand' paidhi. Jeśli tylko jesteś w stanie, atewa chciałby usłyszeć.

- Jeszcze raz - rzekł Bren. Czasami paidhiego ratował teatr. Jeśli można było zdobyć u atevich jakieś punkty, to się je zdobywało; kontynuowanie mimo wyraźnego bólu przynosiło korzyści, a ból mógł tłumaczyć zmarszczenie brwi. Słuchał, jak prezydent utrzymywał, że to on jest głową państwa na wyspie zamieszkaną wyłącznie przez ludzi...

Boże. Już się zaczynają drażliwe tematy. Bren nie był już pewien, czy słusznie postanowił nie rezygnować, kiedy miał możliwość przerwania słuchania i zastanowienia się; myślał gorączkowo, czyby nie zemdleć i nie spaść z krzesła; bał się, że jest trupio blady. Ból jednak wciąż był lepszym usprawiedliwieniem od wszystkiego, na co mógłby się później powołać.

- Kapitan pyta o władzę prezydenta. Prezydent mówi: „Mospheira to suwerenny naród, stacja wciąż znajduje się pod Mospheirańskim zarządem”. Następnie pyta kapitan statku: „A gdzie jest załoga stacji, panie prezydencie?”. - Prezydent stwierdza, że stacja została opuszczona - i również zadaje pytanie: „Dlaczego...?”. - Bren starał się nie zmieniać wyrazu twarzy, przez kilka sekund powtarzając sobie w duchu to pytanie, usiłując nie zgubić wątku.

- Co takiego, nand' paidhi? - zapytał cicho minister transportu. Bren uniósł rękę, prosząc o ciszę, nie ośmielając się uciszyć atewskiego pana, lecz Tabini sam poruszył ostrzegawczo ręką. Taśma przesuwiała się dalej.

- Prezydent Mospheiry skarży się, że statek porzucił kolonię. Kapitan statku stwierdził, że ludzie na Mospheirze mieli obowiązek utrzymywać stację.

Po kilku następnych wymuszonych zdaniach, kiedy to Bren był pewien, że zagalopował się w tłumaczeniu, nadeszła konkluzja ze statku: „A zatem nie możecie polecieć w kosmos”.

Powiedziane bez ogródek.

Przetłumaczył:

- Kapitan statku pyta, czy Mospheira jest w stanie wysłać loty załogowe? - Zrozumiał jednak coś o wiele bardziej złowieszczonego i nagle wydało mu się, że w pomieszczeniu jest przeciąg, jakby ktoś otworzył gdzieś drzwi. Siedział i słuchał zakończenia rozmowy, czując, jak wstrząsają nim dreszcze - może to brak snu, może niedawne niezczulenie, nie był pewien.

Nie. Mospheira nie może polecieć w kosmos. Podobnie jak atevi. Nie mogą mierzyć się z tym statkiem. Na twarzach atevich malował się wyraźny niepokój - pozwolili mu się uwidocznic; ci przewodniczący komisji podejrzewali się nawzajem. Żyli w społeczeństwie, gdzie zabójstwa były prawnym środkiem zaradczym.

Cholera, pomyślał Bren, cholera! Nie wiedział, co ma robić. Na wieść o swych zaginionych braciach statek nie reagował z radością, jakiej można byłoby się spodziewać. Biuro Spraw Zagranicznych określiło rozmowy jako „drażliwe” i najwyraźniej takie one były. Wyraz twarzy Brena nie mógł być w tej chwili pomyślny ani uspokajający, ale człowiek miał nadzieję, że atevi przypiszą go bólowi.

- Zatrzymaj, proszę, taśmę, nadi - powiedział. - Chyba mamy ich zasadnicze stanowisko. Obaj przywódcy rozłączają się. Dostarczę wam pełne tłumaczenie już jutro, teraz po prostu... - głos mu się załamał - czuję się bardzo osłabiony.

- A więc - przerwał ciszę Tabini. - Co sądzi paidhi?

W umyśle paidhiego panował chaos. Oparł łokieć na krzesło, a podbródek na dłoni, co było jedyną wygodną pozycją, jaką odkrył, i przez chwilę się zastanawiał.

- Aiji-ma, nadiin-ji, dajcie mi jeden dzień i resztę taśm. Mogę powiedzieć... że nie ma zgody między statkiem i Mospheirą co do opuszczenia stacji. Sprawa wygląda na zaognioną. - Przygotować haczyk. Przekonać przewodniczących komisji, że poznają prawdę. Zmusić ich do cenienia informacji przekazywanych przez paidhiego, a nie Hanks czy plotki. - Zrozumcie, proszę - gdy mówił, w pomieszczeniu panowała grobowa cisza - że nie słyszałem pełnego tekstu i że z przyczyn biologicznych pomost między językiem atevich i językiem ludzi jest bardzo chwiejny w niektórych dziedzinach, takich jak zau-

fanie i brak zaufania. Mimo wielu lat studiów odkrywam olbrzymie różnice między tym, co ja uważam, i tym, co teraz wiem o atejskim pojmowaniu. Słowa, o których zawsze mi mówiono, że są bezpośrednimi ekwiwalentami, okazały się mieć odmienne znaczenia. Ta wiedza jednak daje mi nadzieję, nawet jeśli - tu położył dłoń na temblaku - zdobycie jej sprawiło mi ból, i jeśli mój umysł może dostosować się do waszego sposobu myślenia, to muszą istnieć odpowiednie słowa i jeżeli potrafię je znaleźć, to sobie poradzę z tym problemem. Uwierzcie mi, że dzisiaj to, co słyszę na tej taśmie, niepokoi mnie, lecz nie przeraża. Nie słyszę żadnej groźby wojny, a raczej typowe puszenie się i wstęp do negocjacji, a nie konfliktu.

- A czy nie wspominali, nandi, o atevich? - To zimno postawione pytanie padło ze strony ministra obrony. - Czy się mylę, że to słowo istnieje?

- Tylko o tyle, nandi, o ile przy omawianiu terytorium Mospheira potwierdziła swoją najwyższą władzę nad ludźmi.

- Najwyższą władzę - powtórzył minister sprawiedliwości.

Brzemienne słowa. Niezwykle brzemienne.

- Wyrażenie to brzmiało „najwyższa władza nad ludźmi“, nand' ministrze. Pamiętaj, proszę, że prezydent nie może w kontaktach ze statkiem użyć słowa „patronat“, bo kapitan go nie zrozumie. Musi posługiwać się słowami - jak robię to ja, tłumacząc - obarczonymi niewygodnym bagażem historycznym. Nie mamy idealnego tłumaczenia każdej myśli. Dlatego istnieje paidhi - i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by prezydent rozumiał swoje obowiązki wynikające z Traktatu i był wrażliwy na niuanse tłumaczenia. Traktat nie zostanie obalony.

Podejrzliwość nie zmaląła, lecz nastroje uspokajały się, a osąd został co najmniej odroczone. Ramię bolało, być może z powodu napiętych mięśni, i Bren spróbował się rozluźnić - co było niemożliwe, zważywszy, że, stojąc w przeciagu, zaczynał drżeć z zimna.

- Krażą plotki - rzekł minister finansów - że ludzie budują więcej statków.

- Sądzę, że mogę temu zaprzeczyć, nand' ministrze, chyba że ktoś poza paidhim wynioskował to z jakiejś taśmy, której nie słyszałem. - Gdy to powiedział, poczuł się nagle, jakby dostał obuchem w głowę: Hanks! - Proszę was, nandi, żebyście mnie informowali, kiedy usłyszycie coś takiego, abym mógł się do tych spraw odpowiednio odnieść w przekazach, które ode mnie otrzymacie. Wysłucham taśm, mając to na uwadze, nandi, i dziękuję wam za tę wiadomość.

Udobruchana minister finansów złożyła ukłon zgody z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu, po czym odchyliła się na krzesło i popatrzyła na Brena spod ściągniętych brwi.

Tymczasem sala wirowała wokół niego i dopóki nie przestała, nie było sensu prosić o pozwolenie wyjścia - kiedy zaczynały się fale mdłości, trwały przynajmniej kilka minut.

- Zapewniam was - rzekł Bren - że wróciłem do pracy. Dzisiaj jestem nieco słaby, ale niech to nie powstrzyma was przed przysyłaniem mi pytań oraz informacji o każdej porze. To moja praca.

- Paidhi - przerwał mu Tabini - ze względu na bezpieczeństwo zatrzymał się w rezydencji Atigeinich. Możecie tam kierować wszelkie telefony i wiadomości. Hanks oficjalnie tu nie ma. Wyjaśniliśmy tę sprawę tu na miejscu i właśnie rozmawiamy na ten temat z Mospheirą.

Ta uwaga spotkała się z pewną konsternacją i ciekawością.

- A co z Traktatem? - zapytała minister sprawiedliwości. - Ma być jeden człowiek.

- Najwyraźniej uznano mnie za martwego - odparł Bren. - A ponieważ żyję, lecz odniosłem obrażenia, być może zostawiono tu Hanks, sądząc, że nie podołam obowiązkowi. Opuściłem Mospheirę dość niespodziewanie dziś rano po operacji, i nie jestem pewien, czy nie poinformowano mnie o wielu sprawach, gdy tylko odzyskałem przytomność; obawiam się jednak, że wszystko mi umknęło. W żadnym wypadku nie twierdzą, że nie naruszyła Traktatu, ale możliwe, że jej

obecność jest wynikiem złego odczytania sygnałów w obliczu gwałtownie rozwijającej się sytuacji. Póki jestem paidhim, obiecuję, nadiin, że bez względu na ten statek Mospheira będzie przestrzegać Traktatu.

W języku atevich „tratat”. Definiowali go z grubsza jako ludzkie pojęcie patronatu - podobnie jak ludzie, myśleli, że atewski patronat oznacza rząd czy konfederację, nie pojmując go na poziomie instynktu. Szafowanie słowem „traktat” w języku atevich, przy choćby najmniejszej wzmiance, że chodzi o kawałek papieru, w większości przypadków oznaczało ryzyko niezrozumienia ludzkich motywów.

- Ale ta „najwyższa władza” - zaproponował minister transportu.

- To trudne słowo - odparł Bren. - Dla was buntownicze, ale w mospheiranie nie ma ono takich konotacji. Odnosi się do stosunków międzyludzkich, a nie ludzko-atewskich, nand' ministrze. Jak teraz wygląda sprawa? Czy było więcej rozmów?

- Nie między tymi dwoma osobnikami - rzekł minister obrony z kwaśną miną i pilnie zajął się swoim piórem i notatnikiem. - Mamy liczne rozmowy między, jak podejrzewamy, władzami niższego szczebla.

- Prawdopodobnie masz rację, nadi. - Bren poczuł, że ogarnia go panika; miotał się gorączkowo między dwoma językami, dwiema rzeczywistościami psychologicznymi i historycznymi, usiłując spoić je z sobą, nie zostawiając śladu. - Fakt, że przekazali prowadzenie rozmów podwładnym, nie oznacza ani zgody, ani waśni, a jedynie to, że nie ma jedności pozwalającej przywódcom rozmawiać ze sobą.

- Dwaj przywódcy, nadi. - Minister obrony, co zdarzało się niezwykle rzadko, był apodyktyczny, nawet niegrzeczny, wypowiadając słowo „nadi”, co świadczyło o jego niepokojach. - Dwaj, tak?

- To nie jest pewne. - Bren walczył o odzyskanie spokoju. Nie był to teren, na który chciał się zapuszczać. - Wcale nie jest pewne, nand' ministrze. Myślę, że usiłują się przekonać, czy istnieje Patronat. Sądzę, że ze względów historycznych dojdą do wniosku, że tak. Jeśli jednak go nie znajdą, to trudno sobie wyobrazić, żeby jeden statek uznał, że jest ważniejszy od całej ludności Mospheiry. W najgorszym albo najlepszym wypadku statek mógłby wycofać się w jakieś inne miejsce układu słonecznego. Teraz nie mogę, po prostu nie mogę dać wiążącej odpowiedzi.

- Paidhi - odezwał się Tabini - jest bardzo zmęczony i cierpi ból, nadiin. Podziękujcie mu za jego nadzwyczajne wysiłki w tej sprawie i pozwólcie mu udać się na spoczynek. Tego chcesz, prawda, nand' paidhi?

- Gdybym czuł się na siłach, aiji-ma, to bym został, ale tak, myślę, że to rozsądne. Ramię bardzo mi dokucza.

- A zatem zwrócę cię twojej eskorcie i życzę dobrej nocy, paidhi-ji. Proszę, byś uznał swoje bezpieczeństwo za rzecz niezwykle ważną i niezwykle zagrożoną, być może nawet ze strony ludzi. Trzymaj się swojej ochrony dzień i noc, nand' paidhi.

Dlaczego? Pytanie to zachwiało spokojem Brena w obliczu sali pełnej panów i przedstawicieli, spośród których pewne osoby być może kontaktowały się z Hanks. Żałował, że Tabini zrobił tę ostatnią uwagę, ale domyślił się, dlaczego. Żeby zmusić wiczychy w Patronacie do zastanowienia się nad ryzykiem wchodzenia w związki, których nie rozumiał żaden ateva - na przykład z Hanks.

Sprytnie, pomyślał Bren. Człowiek mógł podziwiać sztukę Tabiniego na odległość, ale nie chciał stać się jej przedmiotem - a Bren nie mógł zaprotestować ani nazwać aijięgo kłamcą. Z pewnością nie mógł powiedzieć, że Hanks nie ma nic wspólnego z trudnościami Tabiniego.

Człowiek z trudem wstał z krzesła, przytrzymując się stołu, uklonił się zebranym przewodniczącym komisji; zsunął mu się przy tym kaftan z ramion - następne uklucie bólu, kiedy próbował go podtrzymać.

Banichi spokojnie wkroczył do akcji, by ocalić godność Brena, nałożył mu kaftan na ramiona, a panowie i przedstawiciele uraczyli go ukłonami na



siedząco, chociaż dwie osoby nawet wstały, okazując szacunek dla jego zachowania, choć Bren wcale nie miał pewności, czy było ono wiarygodne albo chociaż godne.

- Dopilnujcie, żeby wypoczął - polecił Tabini Banichiemu i Jago. - Prosto do łóżka. Żadnych formalności, żadnych wymówek.

Paidhi nie miał tej instrukcji nic do zarzucenia. Jeszcze przed kilkoma przyprawiającymi o zawrót głowy minutami był przekonany, że na tyle panuje nad konwersacją, by bronić swego stanowiska.

Kiedy jednak znalazł się poza bezpośrednim zasięgiem Tabiniego, czar przysł, fala podniecenia opadła, a pulsowanie adrenaliny zmieniło się w czyste przerażenie, że ma do rozwiązania ludzki problem i że dał atevim o wiele za dużo informacji.

Zgoda na prośbę Tabiniego nie była całkowitą pomyłką. Czasami Bren uzyskiwał nadzwyczajne rezultaty, gdy Tabini wyskakiwał z którąś ze swoich przymusowych rozmów. Czasami udawało mu się ślizgać po niebezpiecznie cienkim lodzie, może tylko trochę bardziej ulegając żądaniom Tabiniego w sprawie informacji, niż zalecał to departament...

Ale, do diabła, w zamian uzyskiwał ustępstwa - większą współpracę między tym aijim i Mospheirą podczas kilku lat spędzonych w Shejidan, niż jego poprzednik uzyskał od ojca Tabiniego w ciągu całej swojej kariery. Bren wynegocjował rozszerzenie Traktatu, zwiększył handel...

Nie powiedział niczego, o czym zgodnie z Traktatem nie powinni wiedzieć, ani nie zrobił niczego, czego obiecał nie robić po powrocie do Shejidan, ale szedł przez niższy hol pod eskortą Banichiego i Jago coraz bardziej zaniepokojony tonem i wymową spotkania - zdecydowanym spadkiem zaufania atevich. Zdecydowanym skrępowaniem. Może nawet uzasadnionym skrępowaniem. Musi porozmawiać z Hanks - dowiedzieć się, co zrobiła i powiedziała i co uważa za prawdę.

Tymczasem Banichi mówił coś do swego kieszonkowego komunikatora, trzymanego przy uchu, i skierował Brena do dobrze znanej ekspresowej windy, której używał podczas innych wizyt na trzecim piętrze. Pojechał na górę z Banichim, widząc w myślach salę konferencyjną na dole wyraźniej niż otaczający go funkcjonalny metal - przypominając sobie niuanse dialogu i martwiąc się, jak bez ciągłego kontaktu z Mospheirą ma wyprostować różne pojęcia.

Co więcej, w tekście pojawiały się nazwiska, co czyniło z niego dla atewskich gramatyków ludzki kamień z Rosetty. Duży tekst ograniczający się do tematów, w których atevi znali już pewne słowa w mospheiranie - lecz znajomość słów nie oznaczała znajomości języka. Na przykład: słowo „lojalność” niezupełnie znaczyło man'chi, i „stosowność”, która niezupełnie oznaczała kabiu; po atewskiej zaś stronie „tratat”, które, o czym nie wiedziała większość ludzi, wcale nie oznaczało traktatu, lecz instynkt naprowadzający w ogniu walki - niech diabli wezmą Hanks i jej założenia!

Jej zabieganie o atewskich popleczników nie mogło być polityką Biura Spraw Zagranicznych. Stronnictwo stojące za Hanks nie miało żadnego interesu w zawałeniu sprawy na tak niebezpiecznym poziomie. To Hanks chciała dostać tę pracę; Hanks chciała tego, do czego szkolila się przez całe życie - on to rozumiał - i pochlebiało jej, że robi prawdziwe postępy w kontaktach z atevimi pokroju pana Geigiego i trudnym do opanowania marginesem Patronatu - to prawdziwy dowód jej umiejętności; do diabła z uniwersyteckimi liberałami, którzy żadną miarą nie mogli mieć racji co do patronackiego elementu marginalnego...

Jasna cholera.

Wyszli do górnego holu przy drzwiach i przeszli po ręcznie tkanym chodniku, mijając dziwaczne porcelanowe bukiety w szklanych gablotach.

Powinien zadzwonić na Mospheirę i kogoś zawiadomić - jeszcze dzisiaj, jeśli uzyska połączenie - o ile tylko uda mu się zachować przytomność umysłu, żeby złożyć sprawozdanie, a to wcale nie jest pewne.

Co gorsza, skoro Hanks nie została odwołana, Bren nie był pewien, czy ośmieli się podnieść słuchawkę, żeby zadzwonić czy choćby odebrać telefon. Rozpoczął działania, z których nie mógł się wycofać - i nie mógł dopuścić, żeby z powodu oczekiwania na oficjalną decyzję czy uprawnioną konsultację z Hanks wyżsi urzędnicy departamentu spraw zagranicznych wyszarpnęli dywan spod Biura Spraw Zagranicznych czy paidhiego.

Lepiej, żeby paidhi miał władzę w terenie. Atevi z całą pewnością uważają, że ją ma. Aiji Shejidan nie rozmawiałby z nikim, kto nie mógłby podejmować wiążących decyzji.

Była to sytuacja, w której należało stać jednocześnie po obu stronach: dla obecnego paidhiego oznaczało to bezustanne zgadywanie.

I owszem, czasami nawet ten wzór departamentowej rzetelności - jego poprzednik, Wilson-paidhi - nie odbywał konsultacji.

Hol stanowił mgiełkę złocistych wzorów na dywanie i pastelowych porcelanowych bukietów. Bren mdliło coraz bardziej. Chciał bez dalszych ceregieli znaleźć się w łóżku.

Chciał się obudzić rano, nie czując bólu w ramieniu, z jasnym, logicznym planem działania, żeby nie dopuścić do rozpadu wszystkiego, co razem zbudowali atevi i ludzie.

Żałował też, że nie miał więcej czasu dla siebie w domu - do diabła! - zanim z powrotem wpadł do wrzącego oleju. Zasłużył sobie na wolne; planował, że przesiedzi przynajmniej jeden dzień na białym ganku brata, obserwując fale i pozwalając umysłowi osiągnąć od dawna upragniony stan wyzerowania...

Paidhiin już przedtem podejmowali szybkie działania, żeby utrzymać aiji Shejidan przy władzy. Nigdy jednak - nigdy! - nie oddawali ludzkich pożyczki rezerwowych, zanim jeszcze departament stanu przystąpił do negocjacji.

Boże, pomyślał nagle, kiedy to sobie uświadomił, zadając sobie pytanie: Co zrobił? Albo: Co właściwie powiedział, a co oni wywnioskowali? Nie potrafił sobie tego przypomnieć; myśli tworzyły jeden wielki chaos. Dotarli do właściwych drzwi i Jago, przekręcając klucz w zamku, przesłała impuls do najnowocześniejszego systemu bezpieczeństwa. W razie konieczności potrafił on sobie poradzić z włamywaczem w sposób, od którego człowiekowi nie przyzwyczajonemu do takich urządzeń robiło się bardzo, ale to bardzo niedobrze.

W foyer spotkał ich Tano. Miła niespodzianka. Być może gonił ich od lotniska, ale Bren po raz ostatni widział go w Malguri i, pogrążony w surrealistycznym rozwoju wypadków, bardzo się ucieszył na widok atevy całego i zdrowego. Tano był takim samym ochroniarzem jak Banichi i Jago - groźnym i ponurym. Z rozkazu Tabiniego, a dokładniej Banichiego, znajdował się jednak po stronie Brena, a, o ile potrafił się domyślić, Banichi zajmował bardzo wysoką pozycję w Gildii Zabójców.

- Twój bagaż jest bezpieczny, nand' paidhi - rzekł Tano. - Przechowałem też twój komputer.

- Dziękuję, nadi. Ogromnie żałuję, że miałeś trudności. Mam nadzieję, że będę bardzo spokojnym mieszkańcem i nie przysporzę ci żadnych kłopotów.

Tano wziął od Brena kaftan.

- Ateva ma nadzieję, nand' paidhi. - Pojawiła się uprzejma nadi Saidin, poprzedzana przez jeszcze jedną, prawdopodobnie prawdziwą służącą, która pod jej kierunkiem przejęła kaftan od Tano i gdzieś go zabrała, zapewne do czyszczenia i prasowania.

- Są wiadomości - powiedziała Saidin, wskazując stolik przy drzwiach, na którym w srebrnym koszyku czekała zastraszająca liczba tutek ze srebrnego filigranu oraz jeden tylko zapieczętowany zwój papieru.

- Paidhi jest wyczerpany, nadi - rozsądnie zaprotestował Banichi. Bren wiedział, że powinien dać sobie spokój z tymi wiadomościami, że powinien położyć się do łóżka i zasnąć niespokojnym snem człowieka prawdziwie dwulicowego; nie wiedział, ani nawet się nie domyślał, kto mógł przysłać mu wiadomości tak szybko po jego powrocie. Każdy przewodniczący każdej komisji, z którym właśnie rozmawiał na dole - tego był pewien - plus każdy atewski

urzędnik, który w zajęciu przez Brena tego apartamentu oraz w jego powrocie do Shejidan widział nowe znaczenie paidhiin.

Możliwe też, że zwykli obywatele, nawet w dalekim Malguri, widzieli paidhiego niedawno w telewizji, a także dostrzegli na niebie statek, i po prostu chcieli zapytać, czy oni, oraz ich dzieci, są bezpieczni.

Pewne tutki już na pierwszy rzut oka zdradzały swój charakter. Niech to diabli, Bren po prostu nie potrafił minąć tego stolika, nie sprawdzwszy, czy nie leży tam wiadomość w sprawie życia lub śmierci.

Albo jakaś informacja z Mospheiry.

- Chwileczkę, nadiin-ji. Jedną chwileczkę - powiedział i, drżąc z wyczerpania, wyjął z koszyka to, co szczególnie rzuciło mu się w oczy: zwykły zwój papieru, który zwykle oznaczał telegramy z Mospheiry, oraz dwie tutki - obawiał się, że jedną pieczęć rozpoznał, a drugiej był zupełnie pewien. Innymi znajomymi pieczęciami nie musiał się przejmować, należały do przewodniczącego komisji kosmicznej, którego nie było na spotkaniu i który zapewne ma do paidhiego pilne, urzędowe i całkowicie rozsądne pytania, takie jak: Czy wciąż istnieje program kosmiczny, nand' paidhi? Co mamy robić?

I, co stuprocentowo pewne: Co możemy powiedzieć komisji kredytów?

Człowiek oczywiście rozumiał niepokój tego zacnego dżentelmena. Bren dostrzegł też pieczęcie transportu i handlu - to logiczne, że mają pytania do paidhiego; miał nadzieję, że odpowiedział na nie przed chwilą na dole.

Ale ta tutka z prawdziwego srebra rzeczywiście miała pieczęć, którą chyba rozpoznał, herb umieszczony w środku rombu, który widział całkiem niedawno i którego się w świetle ostrzeżenia Tabiniego spodziewał.

Babka.

Aiji-wdowa.

Do Shejidan przywiozła go Ilisidi. Uratowała go. Ryzykowała przy tym. Przełamał pieczęć paznokciem kciuka, co z powodu pianki nie przyszło mu łatwo, wysunął z tutki niewielki zwój i rozwinął go.

„Nand' paidhi”, odczytał delikatne, kaligraficzne pismo, „zapewniam cię, że jesteś bezpieczny. Zwrot tej tutki któregośkolwiek dnia, kiedy będziesz na siłach, będzie oznaczał, że przyjąłeś zaproszenie na śniadanie. Musisz informować mnie na bieżąco. Stara kobieta tak szybko traci kontakt ze światem”.

Naprawdę chciał się położyć do łóżka i nie myśleć o Ilisidi.

Zostały jeszcze dwa listy, jeden z jego własną białą wstążką i czerwoną woskową pieczęcią.

„Zapewne jesteś świadom, że aiji posunął się do gróźb zabójstwa skierowanych pod adresem tego urzędu, aby zapewnić sobie twój powrót na kontynent, podczas gdy następstwa twojego nagłego wypadu na prowincję wciąż niepokoją stolicę. W obliczu obecnego kryzysu podjęłam kroki mające na celu usunięcie szkód w stosunkach publicznych”.

Cholera!

„Jako jedyny działający funkcjonariusz dyplomatyczny sprawuję urząd, prowadzę rozmowy z odpowiedzialnymi osobami oraz regularnie wysyłam departamentowi sprawozdania. To, że aiji zaproponował ci osobistą gościnę, nie ma tu znaczenia. Nie otrzymałam, ani w obecnych warunkach nie spodziewam się otrzymać - jak również nie mogę przyjąć - od ciebie jakichkolwiek instrukcji. Dopóki nie zostaną oficjalnie odwołana przez kierownictwo departamentu stanu, będę działać jako paidhi w Shejidan”.

Bren miał nadzieję, że zachował spokojną twarz. Zrolował list i wrzucił go z powrotem do koszyka razem ze swoją własną tutką - niech diabli tę babę - opatrzoną pieczęcią paidhiego. Następnie rozwinął papier, który miał nadzieję przeczytać z przyjemnością - był pewien, że to telegram z Mospheiry, wiadomość od rodziny albo od Barb, na pewno nie z departamentu, który posługiwał się innymi, bezpieczniejszymi sposobami dotarcia do niego.

Przeczytał w fonetycznej transkrypcji mospheiranu na atewski: „Żałuję, że telefonując, nie zastałeś mnie w domu. Wiem, że prawdopodobnie nie jest to

najlepsza pora, w tej sprawie jednak żadna pora nie jest dobra, a to już nie może trwać dłużej. Bren, wyszłam za Paula. Wybacz mi. Żałuję, ale nie potrafię budować sobie życia wyłącznie z twoich wizyt. Barb”.

Nie wierzył własnym oczom. Przeczytał jeszcze raz. A potem dał mu znać o sobie głęboko zakorzeniony profesjonalizm, który przypominał mu, że obserwują go atevi, mający wszelkie powody przypuszczać, że telegramy z Mospheiry są dla nich niebezpieczne.

Zwinał więc papier. Zdumiało go, że nie drżą mu ręce. Miał nadzieję, że na twarzy maluje mu się spokój.

- Czy jest jakiś problem, nadi Bren?

A więc nie udało mu się. Jago przejrzała go.

- To osobista wiadomość. Moja... n-n-narzeczona... - Zawiódł go język atevich. Słowo to pojawiło mu się nagle w ustach - nie potrafił pomyśleć o żadnym innym, które wyjaśniłoby długi związek i zaangażowanie emocjonalne. - Zmęczyła się czekaniem. Poślubiła kogoś innego.

Zapadła cisza. Uznał, że nie wie, co powiedzieć. On też nie wiedział, w związku z czym ograniczył się do kilku słów:

- Zatrzymaj z łaski swojej resztę wiadomości, Tano, zajmę się nimi rano. Sprawa aiji-wdowy nie jest taka pilna.

- Czy spodziewałeś się tego? - zapytał Banichi, na pewno nie mając na myśli wdowy.

Bren potrząsnął głową, po czym z lekkim drżeniem przypomniał sobie, gdzie jest i do jak niebezpiecznej osoby się zwraca.

- Nie, nadi. Ale ona miała podstawy.

Znowu zapadła krępująca cisza. Bren uznał, że przekroczył zawodowe granice atevich. Nie był pewien. Wtedy odezwała się ostro Jago:

- Nie miała żadnych podstaw.

- Jago-ji - odezwał się Banichi. - Powiedz ochronie, że paidhi udaje się na spoczynek. Aiji miał rację. Nie powinniśmy byli zwlekać.

- Tak - odparła Jago i cicho odeszła w głąb apartamentu, z kieszonkowym komunikatorem w ręku, sztywnymi plecami i rozkołysanym warkoczem. Banichi machnął ręką w tym samym kierunku.

Bren nigdy nie widział, żeby Jago wymknęło się coś tak nie kontrolowanego. Jago to jednak sprawa Banichiego, a Bren bardzo chciał się zastosować do jego poleceń i położyć się do łóżka, gdzie, jak miał nadzieję, natychmiast zapadnie w głęboki sen. Nie był już w stanie znieść żadnych fizycznych czy emocjonalnych perturbacji.

Przeszedł z Banichim i Tano przez salon i udał się do wewnętrznych pokoi. Reszta pomieszczeń stanowiła dla niego labirynt, ale wiedział, gdzie znajduje się sypialnia.

- Czy paidhi zechce się dzisiaj wykapać? - zapytał Banichi. - A może paidhi woli od razu pójść do łóżka?

- Łóżko, nadi. Jestem bardzo zmęczony. - Był wdzięczny Banichiemu za przyjęcie formalnego tonu. Być może był to jego lek na zbyt daleko posuniętą poufałość - ochładzał atmosferę i spokojnie odsuwał go od problemów świata, z których spartolone prywatne życie paidhiego, nie istniejące prywatne życie paidhiego na pewno nie było najważniejsze.

Paidhi miał ostatnio mnóstwo spraw na głowie; Barb prawdopodobnie skutecznie usiłowała dodzwonić się do jego biura w Shejidan - wysłanie mu telegramu do biura na Mospheirze było zapewne jej ostatnią deską ratunku. Barb nie była nieprzyjemna - właściwie była osobą bardzo uprzejmą i łagodną, i tego będzie mu najbardziej brakowało. Bren miał nadzieję, że Paul Saarinson doceni, co zdobył. Miał nadzieję, że będzie miał okazję zaprosić ich oboje na kolację i złożyć Barb życzenia pomyślności.

To grzeczne zachowanie. Cywilizowane. Bóg jeden wie, że Bren jest cywilizowany. Patrzył na swoje straty z całkowicie zawodowej perspektywy.

Ale... cholera!

- Nadi - rzekł Tano i zaproponował, że pomoże mu przy spinkach do mankietów. Bren zawsze czuł się skrępowany, kiedy służący albo ochroniarz udający służącego ubierał go albo rozbierał. Tego atewskiego zwyczaju unikał.

Był jednak więźniem porozcinanej i posklejanej koszuli, ludzkiej koszuli, dostarczonej pewnie przez departament, bo ta, w której przybył do szpitala, do niczego się już nie nadawała. Bren dostał ten model następnego popołudnia po dopasowaniu go przez personel do piankowego pancerza.

Właściwie nie wiedział, jak włożyć koszulę rano ani jak się będzie kąpał, oprócz ablucji za pomocą gąbki. Bóg wie, jak długo to potrwa. Był otepiały.

Wiedział, że wiadomość od Barb jeszcze niezupełnie do niego dotarła.

Podobnie jak to, z czym wyskoczył Tabini i co on sam zrobił na dole. W przeblyskach pamięci do Brena wciąż wracały, niczym powtarzający się koszmar, fragmenty wypowiedzianych tam zdań.

Udało mu się samemu zdjąć spodnie, zrzucił buty i właśnie chciał usiąść na łóżku, kiedy znikąd pojawiła się służąca i ściągnęła narzutę. Bren był tak zmęczony, że wzdrygnął się na szybki ruch ręki wyciągającej spod niego materiał i gwałtownie usiadł, urażając ramię.

Jakaś służąca usiłowała uklęknąć - Bren pochylił się, żeby jedną ręką zdjąć skarpetki, lecz służąca go ubiegła. Przeraził się. Zdał sobie sprawę, że jest zamknięty w apartamencie atewskiej damy, którego personel jest przyzwyczajony do robienia rzeczy, na jakie Bren nigdy nie chciał pozwalać służącym, i gdzie mężczyzna nie może liczyć na jakąkolwiek prywatność.

- Jestem straszliwie zmęczony - powiedział łamiącym się głosem. Była to prośba do Banichiego o spokój, ciszę, o jakąś ochronę przed oddziałem nieugięte gościnnych kobiet. - Chciałbym, żeby zostawiono zapaloną małą lampkę, Banichi-ji. Ostatnio zbyt często przebywałem w obcych pokojach i boję się, że jeśli będę musiał wstać, to wejść na ścianę.

- To całkowicie zrozumiałe - rzekł Banichi, chociaż człowiek był pewien, że Banichi nigdy nie zrobiłby czegoś tak głupiego; Banichi wydał odpowiednie polecenia znacznie płynniej, niż mógłby to w tej chwili zrobić paidhi, i kobiety umknęły z ubraniem Brena, włączając z butami i skarpetkami.

- Koszula sprawi rano kłopot. - Brena trafiły drobne przeszkody, urastające do rozmiarów nierozwiązywalnych problemów. Bez żadnego powodu zebrało mu się na płacz. - Nie wiem, co zrobię.

- Personel ją przerobi, nadi - rzekł Tano. - Wszystkim się już zajęto. Poradzimy sobie.

- Dostałem materiały dla lekarzy. Tabletki. Chciałbym mieć przy łóżku torbę podróżną. Wodę.

Wszystko to pojawiło się, przyniesione z różnych miejsc przez porządkującą tu i tam służbę. Bren umościł sobie grajdołek z poduszek, których nie brakowało w ogromnym łożu, by móc wygodnie oprzeć rękę i ramię, podczas gdy Banichi, Tano i służące czujnie krążyły wokół niego.

- Chcesz lekarstwo, nadi?

- Nie teraz - odparł. Ręka go bolała, ale przecież dużo się ruszał i miał nadzieję, że ból zelżeje bez leku. Żałował, że zażył po południu środek przeciwbólowy. Nie został ostrzeżony, że przytępi mu to umysł. Nie chciał się obudzić rano ogłupiały.

A już najbardziej nie chciał się ruszać z miejsca, a przynajmniej nie do rana, a może przez następne pięć dni.

Banichi położył mu na stoliku przed nosem kieszonkowy komunikator.

- Po co mi to?

- Na wszelki wypadek, nadi. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, nie wychodź z łóżka. Wezwij kogoś z nas, proszę. Ktoś przyjdzie bardzo szybko. Nie wejdź na ścianę.

- Dziękuję - rzekł Bren. Banichi i Tano podeszli do drzwi i zgasili światło, ale zostawili zapaloną lampkę.

Barb wyszła za mąż. No cóż, pomyślał, niech to diabli. Rozmawiali o małżeństwie kilka razy, gdy na początku kariery głupio myślał, że będzie miał uporządkowane życie, pozwalające mu na regularne przyjazdy na Mospheirę. Barb jednak powiedziała, że nie chce wychodzić za mąż, i prawdopodobnie wiedziała, że to mrzonki.

Paul Saarinson był ustatkowany. Solidny. Zawsze będzie na miejscu.

Tego jednego Bren nie mógł jej dać żadną miarą. On był świętami, szczególnymi wydarzeniami, przelotnymi wizytami na weekend za pokazną, zaoszczędzoną pensję, a potem znowu znikał, robiąc obietnice i ustalając daty, które później jakoś okazywały się zajęte.

Miała rację. Nie można zbudować życia na weekendach. Bren o tym wiedział. Domyślał się, że Barb po prostu nie powiedziała mu, czego naprawdę chce.

Zamrugał. Nikłe światło rozpadło się, wróciło do normy. Można się przyzwyczać do bólu.

To część tej pracy, prawda? Wyglądało na to, że stał się bohaterem dla otaczających go atevich. Doceniali go na swój sposób, co nie miało nic wspólnego z poczuciem ludzkiej bliskości, jakiej doświadczał przy Barb; ale jeśli nie można mieć nic innego, to uznanie osób, z którymi przebywa się najczęściej, nie jest złą rzeczą.

Uznanie - do diabła, powiedzieć to Tabinemu. Tabini doceniał go. Doceniał go tak, jak atewski pan docenia każdy pożyteczny, zabawny, osobisty i przyjemny oręż, który można wprowadzić do akcji i porządnie wykorzystać.

Nie można mówić o miłości, nie można mówić oprzyjaźni, nie można mówić o wielu innych rzeczach współgrających z ludzkim systemem nerwowym i sycących ludzkie uczucia. To była pułapka, w którą weszli pierwsi osadnicy - pewni, że atevi śmiejący się w odpowiednich momentach i sprawiający bardzo sympatyczne wrażenie takie uczucia rozumieją na swój własny sposób; albo może myśleli, że atevi jakoś nauczą się je rozumieć, że ludzie nauczą tych podobnych bogom, wysokich, powściągliwych tubylców odblokowywać własne emocje?

A chodziło po prostu o to, że atevi nie byli zdolni spełnić ludzkich pragnień, że w najmniejszym stopniu nie tłumili uczuć ani że nie powodowali się tymi samymi impulsami co ludzie. Na drobnym porywie wsparcia, jakim uległa w foyer Jago, Bren nie mógł budować iluzji, że pod tą chwilowo naruszoną rezerwą Jago czuje coś podobnego do ludzkiego współczucia. Jago czuje. Z całą pewnością Jago miała sprecyzowane zdanie na temat tej sytuacji, ale nie można było naginać go do ludzkiego sposobu pojmowania, bo pomijało się wtedy wszystko, co stanowiło istotę Jago.

I przy okazji wyrządzało się jej wielką krzywdę - człowiek zawsze musiał o tym pamiętać, stojąc po drugiej stronie równania. Jako ateva Jago była cudowna, godna zaufania, odważna. Banichi - niech Bóg go kocha, czego Banichi zupełnie by nie zrozumiał - zobaczył rozterkę Brena i uratował go przed kompletnym blamażem w obecności Tano i personelu. Banichi rozładował nabrzmiałą sytuację, kierując się jakimś atewskim odruchem, choćby to było tylko wrażenie Banichiego, że chronienie paidhiego oznacza ochronę jego godności.

Człowiek chciał używać znajomych etykietek, a Banichi miał takie cechy, że ludzie z drugiej strony cieśniny baliby się dzielić z nim pokój. Podobnie Jago. I kiedy ryzykowali życie, by ocalić człowieka, można było ich tak bardzo pokochać - jeśli nie oczekiwało się odwzajemnienia uczuć.

Podobnie jak Ilisidi, inna ateva, która stała się mu bliska. Boże, jeśli zamknął oczy, mogły nawiedzić go koszmary o pękających kościach i rozrywanych wiązadłach, co nie było najprzyjemniejszym doświadczeniem jego życia, ale uznał, że zdobył punkty u Ilisidi i jej sprzymierzeńców, choćby dlatego że po prostu przeżył, i odrzucając jej ostatnie zaproszenie, mógłby wszystko stracić.

Jeśli ktoś chciałby zabić Tabiniego - oraz jego samego - to Ilisidi stanowią jedną z najbardziej prawdopodobnych podejrzanych. Zaprosiła jednak paidhiego na śniadanie, gdy tylko będzie mógł przyjść.

Wszystko idealnie się zgadza.

Podczas tej niespokojnej, pełnej majaków nocy wciąż wracała do niego myśl, że może powinien schować dumę do kieszeni i zadzwonić do Barb. Może nie wszystko rozumiał w sprawie z Paulem. Brenowi nie spodobało się, że kiedy zadzwonił, odezwała się automatyczna sekretarka - nie wiedział, gdzie oprócz własnego domu mogła przebywać Barb wieczorem w środku tygodnia. Jeśli przeprowadziła się do centrum do mieszkania Paula, jej telefon i tak przełączyłby Brena do niej.

Może włączyła sekretarkę, bo wiedziała, że Bren wraca do domu i po prostu nie chciała rozmawiać o sprawie przez telefon, nie zamierzała powalić go tym listem, kiedy wróci na kontynent? Bren nie chciał w to wierzyć.

Był teraz całkowicie przekonany, że list tropił go z biura do szpitala i z powrotem do biura, a potem automatycznie przemierzył cieśninę. Bren przekazał Barb wiadomość, że idzie do szpitala na drobny zabieg - nie wdawał się w szczegóły. Może zamierzała się z nim zobaczyć przed jego odjazdem. Żadną miarą nie mogła wiedzieć, że Tabini poprosi, by wrócił do Shejidan w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Bren nie mógł jej winić za wycucie czasu. Po prostu nie było odpowiedniej pory na oznajmienie takiej wiadomości. Nigdy nie było odpowiedniej pory na powiedzenie sobie czegośkolwiek i w tym właśnie tkwił ich problem, prawda? Nie znaleźli sposobu na omówienie przyszłości, na prawdziwe wyrzuty, poza tym, że Bren za długo pracuje i zbyt wiele oddał pracy; że zawsze wiedział, iż urząd, do którego objęcia się szkoli, jest kochanką, żoną, matką i siostrą - nie mógł mówić o tym, co robi, nie mógł podzielić się swoimi kłopotami z kimś nie mającym równej mu klasy bezpieczeństwa, a Bren na pewno nie miał romantycznych skłonności do sekretarza spraw zagranicznych.

Raz po raz wracał tak spięty i przestawiony na wszystko, co atewskie, że przez pierwsze kilka godzin nie potrafił mówić ani myśleć w mospheiranie; Barb była jego pierwszą przystanią po zdaniu raportu, kimś, kto w przeciwieństwie do jego krewnych nie spotykał go w drzwiach z listą tego, co musi zrobić, oraz katalogiem rodzinnych waśni. Nie obarczali się wzajemnie z Barb wielkimi ciężarami, bo o to przecież chodzi w rekreacji i wypoczynku, prawda?

Może jednak Barb miała zbyt dobre serce - od początku wiedziała, że jest przystanią, zaworem bezpieczeństwa dla z rzadka wolnego i ogólnie zesztesowanego urzędnika, na którym polega cała ludzkość. Nie zadawała mu żadnych zabronionych pytań, odpowiedzi na które stanowiły prawie całą wiedzę Brena; nigdy nie obarczała go swoimi problemami ani nie skarżyła się na jego pracę, bo miała na tyle rozsądku, by wiedzieć, że Bren i jego praca to jedno.

Śmiała się i rozśmieszała go - a on to wszystko stracił, nawet nie przypuszczając, że istnieje jakieś zagrożenie. To właśnie odczuwał jako niesprawiedliwość. Względem siebie. Nie, jak sobie powiedział, względem Barb.

Do diabła, może ludzka uczuciowość zmniejsza szanse przeżycia? Kto wie? Na pewno komplikuje życie.

I skąd, do jasnej cholery, wziął się ten cały Paul? Paul - Boże - Paul jest taki nudny, taki bezpieczny, prawdziwy pracownik departamentu, który nigdy nie interesował się niczym prócz swoich komputerów. Nie wyobrażał sobie rozrywkowej Barb siedzącej przed telewizorem z migającymi drutami w rękach, podczas gdy Paul zniknął w swoim komputerlandzie. Cały ten scenariusz był niewiarygodny.

Gdyby tylko przyszło mu do głowy zadzwonić jeszcze raz, kiedy wpadł do biura po drodze na lotnisko. Tak się niepokoił rozkazem wyjazdu, tak się martwił, czy wprowadził do komputera wszystkie komendy...

Miał nadzieję, że wszystkie pliki, o które poprosił, zostały przekazane. Popędzali go, samochód czekał na ulicy - powinien sprawdzić dane. Nie bardzo mógł teraz zadzwonić na Mospheirę i powiedzieć: Halo, zamierzam pogwałcić politykę departamentu i potrzebuję plików, których mi nie wysłaliście...

Departament stanu był miejscem, gdzie działania, o których Biuro Spraw Zagranicznych wiedziało, że spotkają się ze sprzeciwem atevich, zderzały się z ludźmi, którzy żadną miarą nie potrafili zrozumieć atewskiego punktu widzenia. Departament stanu nie chciał przyznać, że paidhi w terenie może prowadzić negocjacje, chociaż przyjmował pod rozwagę ich wyniki; ponieważ to departament stanu wybierał paidhiin, sądził, że paidhi, to znaczy Biuro Spraw Zagranicznych, powinien przyjmować rozkazy od departamentu stanu. Była to drobna różnica w tym, co Traktat oznaczał dla atevich, oraz, według ludzi, prawna rzeczywistość po ich stronie cieśniny.

Tłumaczenie będzie kłopotliwe, nawet pisemne, nie mówiąc już o bieżącym zmaganiu się z językiem pełnym nowych pojęć.

Może robić błędy semantyczne. Nie miał słownika mospheiranu, ponieważ po tej stronie cieśniny słownik języka ludzkiego był przedmiotem zakazanym; departament i komisja uniwersytecka nałożyły cenzurę nawet na całkowicie atewski słownik i leksykon semantyczno-kontekstualny, które Bren mógł wziąć ze sobą, ponieważ w zastosowaniu pewnych atewskich słów istniała (w żywej wyobraźni członków komisji) możliwość przekazania przez paidhiego semantycznych wskazówek. A tych Mospheira nie chciała udostępnić atevim bez oficjalnego potwierdzenia, że znajdują się już one w atewskich rękach, a raczej, jeśli chodzi o ścisłość - głowach.

Pogląd ten miał pewne uzasadnienie. Istniały pojęcia, nawet nietechniczne, które komisja uznawała za zbyt ryzykowne, za zbyt mocno osadzone w kulturze czy biologii, żeby stosować je w obecnym kontekście atewsko-ludzkiem, nawet jeśli paidhiin wynaleźli niezawodne sposoby wyrażania ich w odpowiedzi na pytania zadawane przez samych atevich.

Cały proces uaktualniania słownictwa przez uniwersytet i Biuro Spraw Zagranicznych oznaczał, że wyrazy używane przez paidhiego na kontynencie często różniły się w oficjalnym słowniku od propozycji poprzedniego paidhiego. Ta cholerna księga była niezmiennie przestarzała - i poprawiana, kiedy atevi, zawsze działający szybciej od komisji, wymyślali własne, popularnie stosowane wyrażenie.

A komisja i tak nad nim debatowała, jakby mogła zawetować nazwę nadaną danej rzeczy przez atevich.

Co więcej, cenzurze podlegały nawet mospheirańskie ekwiwalenty w dokumentach przepuszczanych na drugą stronę cieśniny przez komputery - komputery, które z dokumentów robiły elektroniczną sieczkę - co prowadziło do genialnych decyzji, jak ocenzurowanie mospheirańskiego wyrażenia „system kontroli ruchu powietrznego”, ponieważ według przenikliwych członków komisji „system kontroli ruchu powietrznego” kojarzył się z ministerstwem obrony. Cenzura ta trwała jeszcze długo po wprowadzeniu na kontynencie atewskiego systemu KRP, którego część, na poziomie technicznym, Bren wciąż usiłował przeforsować u prowincjonalnych panów, uważających, że kierowanie ruchem powietrznym i ustalanie kolejności lądowania trąci raczej patronackimi preferencjami, co było złym słowem po tej stronie cieśniny.

A „szybciej niż światło”?

Boże, ratuj. Powierzali mu komputer z kodami obrony w jego wielopoziomowych programach, a zabraniali posiadania wyczerpujących słowników.

Tymczasem atevi, zirytowani niemożnością zdobycia słownika języka ludzkiego (choć Bren był pewien, że sami taki słownik ułożyli), nie dawali paidhiemu po tej stronie cieśniny żadnych słowników atewskich. Bren był gotów postawić swoją nie wydaną pensję, że są atevi, którzy rozumieją coś niecoś w mospheiranie. Banichi trochę rozumiał, co od czasu do czasu wychodziło na jaw; Jago rozumiała bardzo niewiele; Tabini bardzo często zaskakiwał Brena jakimś podchwyconym słowem.

W ostatnich dziesięcioleciach pojawiło się wśród atevich coraz większe zainteresowanie nauką mospheiranu, kiedy stało się jasne, że komputery - czytaj: ludzka teoria liczb - są osadzone w tym języku, i, niech to diabli, nawet konserwatywni atevi interesowali się ludzkimi liczbami, które opisują



wszelchświat. Byli chciwi wszelkiej wiedzy numerycznej, zdecydowanie odrzucając pewne ludzkie koncepcje, nawet te, które sprawdzały się ponad wszelką wątpliwość, jeśli przeczyły jakiejś eleganckiej i skomplikowanej uniwersalnej teorii liczb; i nagle, w ciągu ostatnich dziesięciu lat, atevi zaczęli przedstawiać eleganckie rozwiązania klasycznych problemów, które komputerowcy i matematycy wciąż usiłowali włączyć do własnych teorii i wybadać ich dalsze rozwinięcia.

Służba, ochroniarze strzegący paidhiego, niewątpliwie przeglądali jego bibliotekę i nie dopuszczali do niej atewskich leksykonów.

Przekłęta sytuacja. Wojna słownikowa. Pojedynek na lingwistyczną niewiedzę pojęciową - kiedy prawdziwa wojna została przerwana tylko dzięki dalekowzrocznemu aijiemu w Shejidan i uczoneму po ludzkiej stronie, który wypracował koncepcję „traktatu” jako odpowiednika atewskiego „patronatu”, powstrzymując tym rozlew krwi i zniszczenie - zwyciężył słownik.

Tymczasem Hanks została zagrożona zabójstwem, które mogło pogwałcić Traktat. A Tabini wbrew swej woli, czego Bren był pewien, zwołał posiedzenia ciał ustawodawczych Patronatu, nie tylko hasdrawadu i tashridu, ale i zgromadzeń prowincjonalnych - w regionach, których panowie byli gotowi sięgnąć po władzę w chwili, gdy Tabini sprawiałby choćby najmniejsze wrażenie, że powięła mu się noga.

Pewnie, że Tabini chce, żeby Bren coś szybko zrobił; Tabini, niech diabli wezmą tego konspiratora, potrzebuje cudu, najlepiej jakiegoś dramatu rozegranego przed połączonymi izbami - cały atewski świat czeka na oficjalne odpowiedzi z Bu-javid, od aijiego i z biura paidhiego.

Bóg jeden wie, co właściwie powiedziała Hanks. Niedoświadczeni ludzie, nawet ci, którzy przebrnęli przez zajęcia z wyższej matematyki na kursach dla kandydatów, nigdy nie wierzyli, że atevi potrafią tak szybko liczyć w pamięci. Język z takim mnóstwem form liczby mnogiej stanowił piekielny system błyskawicznego rachowania, będący dużą przeszkodą dla usiłującego się go nauczyć człowieka; Hanks nie była pierwszą tłumaczką, która w trakcie prostych zmagień z formami czasownikowymi w rozmowie wdepnęła w poważne kłopoty językowe.

Podobne myśli wirowały Brenowi w głowie całymi, jak mu się wydawało, godzinami, przeplatane bólami ramienia, aż mógł tylko liczyć fale bólu i na próżno marzyć o śnie.

Wystarczyło, by pomyślał o tabletkie i wodzie stojącej na nocnym stole. Gdyby jutro nie potrzebował mózgu. Nie wiadomo jednak, w jakim stopniu brak snu miał mu pomóc znaleźć jakieś rozwiązanie. Bren potrzebował zastrzyku adrenaliny. Gdyby udało mu się jutro podnieść jej poziom na jakieś sześć godzin, to miałyby szansę wymyślić sposób postępowania.

Cholera, powiedział do siebie. Cholera.

Chciał cofnąć się, powtórzyć spotkanie z Tabinim i zachować się zupełnie inaczej.

Żałował, że nie zadzwonił drugi raz z biura, zanim pojechał na lotnisko.

Och, Barb, ty cholerna idiotko! Skąd ten Paul, na litość boską?!

Kiedy jednak złamali mu ramię, a on uwierzył, że umrze, nie potrafił myśleć o Barb, Tobym czy kimkolwiek innym - tylko o górach. O swojej górze i śniegu... Czuł się wtedy pusty i nie wiedział, dlaczego nie może myśleć o Barb czy odnaleźć w sobie odrobiny uczucia. Niepokoiło go, że nie potrafi wykrzesać z siebie żadnego uczucia - starał się, naprawdę się starał odtworzyć to, co czuł do Barb, ale nie udawało mu się to ani wtedy, ani po powrocie do domu.

Pomyślał, czyby do niej nie zadzwonić.

Zmartwił się, kiedy jej nie zastał - ostatnią myślą, jaką pamiętał sprzed niezulenia, była: „Gdzie jest Barb?”. A więc coś czuł.

Kiedy czytał wiadomość od niej, poczuł prawdziwy ból, poczuł go w samych trzewiach; tracił Barb, a nie wiedział nawet, czy kiedykolwiek ją miał;

nie miał powodów sądzić, że to, co mają, składa się na życie, nie wiedział czy ją kocha. To było tylko wrażenie, które zniknęło pod lufą broni w Malguri i wróciło, gdy on sam wrócił do znajomych punktów odniesienia i miejsc.

A więc co to było? Miłość czy siła przyzwyczajenia? I co, do diabła, było nie tak z facetem, który nie potrafił przypomnieć sobie twarzy Barb, kiedy znalazł się w największych opałach swego życia? Co jest nie tak z facetem, którego najgłębsze uczucia, ot, tak, zapalają się i gasną?

Może zbyt długi pobyt na kontynencie. Zbyt długa walka z demonami ateuskich emocji, aż to, czego się uczył, stało się znajome, a to, czym był - obce. Płynnie mówił ich językiem, był dobry, potrafił się poruszać między atevimi według sporządzonej przez siebie mapy, według samodzielnie sporządzonej mapy, całe nowe rozumienia, przedtem nie znane ludziom - ale Bren nie był pewien, czy wytyczył sobie drogę powrotną.

Trzask. A on gra według ludzkich zasad i kocha Barb.

Trzask. Jest pogrążony w ateuskim myśleniu i nie wie, jak to zrobić.

Był przerażony. Był naprawdę przerażony.

Do świtu brakowało dwóch godzin, sądząc po zegarku, który wyciągnął z szuflady jeszcze w swoim biurze. A jutro musi funkcjonować. Jutro musi być przytomny.

Musi się trochę przespać. Teraz nie ośmieli się już zażyć tabletki - przespałby pół dnia, a przez resztę by się jakoś przesnuł, a na to nie może sobie pozwolić.

Próbował liczyć. Setkami. Do najwyższych liczb, jakie potrafił wymyślić.

Próbował myśleć o posiedzeniach komisji, odtworzyć wystąpienia pana Brominandiego przed komisją transportu - zdrowi na umyśle prawodawcy przez piętnaście dni spierali się o to, czy wymóg, by lotniska gromadziły dane komputerowe na temat lotów, może przypadkiem wygenerować niepomyślne liczby i spowodować katastrofy.

Zbudził się ze snu, w którym ateuskie cienie zadawały mu pytania na temat pilnego spotkania, na które musi się udać, a potem zbudził się jeszcze raz, mając wrażenie, że ze ściany sypialni łąpie na niego zwierz. Zwierza jednak tu nie było, był w Malguri.

Poleciał do domu. Wrócił, spotkał się z Tabinim - właśnie. Zarysy pokoju były obce. Znajdował się w apartamencie ateuskiej damy, w łóżku, w którym ktoś umarł. Jutro miał rozwiązać problem statku.

Zapobiec najazdowi.

Utrzymać w równowadze światową gospodarkę.

Usiłować się ogolić i wykapać, cholera.

Trzydzieści minut do świtu. Jeśli służba jest już na chodzie i go obudzi, to wszystkich każe zabić. Bren chciał mieć przynajmniej dwie godziny snu. Nie ustąpi, dopóki nie dostanie tych dwóch godzin. Nawet, jeśli statek orbitujący nad ich głowami zacznie ostrzeliwać miasto promieniami śmierci.

A potem zaczął się martwić komputerowymi plikami i nie udało mu się już zasnąć.

W dalszych pomieszczeniach usłyszał krzątanie służby.

Nie dotykajcie mnie, pomyślał Bren. Nie ważcie się tu wchodzić.

Jeśli się nie poruszę, nie będą robić hałasu. Jeśli się nie poruszę, może dadzą mi spokój, aż uznają, że nie żyję.

Musiał jednak się dowiedzieć, czy pliki zostały przekazane.

I wcale nie miał tak dużo czasu na przygotowania; Tabini powiedział, że osoby mogą stracić życie, a Bren musiał mieć całkowitą pewność co do tłumaczenia, które nie mogło - nie mogło! - zawierać niczego, co atevi mogliby uznać za nieodwracalną groźbę. Odpowiedź, którą otrzyma Tabini, musi uspokoić atevich, a nie wywołać panikę po wieczornych wiadomościach - Bren musi przejrzeć całe słownictwo, jakim będzie się posługiwać w tej sprawie; potem może improwizować do woli, ale najpierw musi mieć pewność co do dalszych i ukrytych znaczeń.

Wysunął stopę spod kołdry, podłożył pod tułów zdrowy łokieć, wypchnął spod siebie poduszki i spróbował zapalić światło.  
Przewrócił szklankę z wodą.  
Na dywan.  
W jej ślady poszedł komunikator. I buteleczka z tabletkami. Oraz lampa.  
W pokoju zapłonęły światła.  
- Nadi? - zapytała Jago z troską, trzymając dłoń na wyłączniku światła.  
- Wszystko w porządku?

## Rozdział 5

Wydawało się dziwne, czy to w skali ludzkich problemów czy ludzkiej podatności na złudzenia, że jedna godzina światła dziennego potrafiła stępić poważne, nawet racjonalne troski i przekonać wyczerpanego mężczyznę, że spał całą noc.

Bren przynajmniej praktycznie odciął się od niezdrowych majaków nocy, dywan przetrwał potop, a lampa upadek, śniadanie składające się z herbaty, grzanek i dżemu, które miały stanowić osłonę przeciwko antybiotykom - nie tabletkom przeciwbólowym - nie rozstroiło mu żołądka, a z pokoju śniadaniowego roztaczał się piękny widok.

Co więcej, życie na ziemi wcale nie skończyło się wraz z rozpadem związku Brena i Barb. Z miejsca, w którym się znajdował, nie mógł go naprawić i prawdopodobnie nie miał do tego prawa - stara historia - zanim będzie miał okazję cokolwiek zrobić, zrobi się już za późno na zrobienie czegokolwiek.

Tymczasem miał pilną pracę, a wyczulone na kontekst programy językowe, których potrzebował w pracy nad tłumaczeniem, najwyraźniej trafiły do jego komputera.

Tak więc po niespiesznym śniadaniu w samotności, dla której szlafrok paidniego stanowił całkowicie wystarczającą, choć nieformalną oprawę, Bren wysłał Tano, by zaatakował koszyk z pocztą, a sam, wymawiając się kontuzją, usiadł w szlafroku w solarium z widokiem na wspaniałe łańcuch Bergid, by przejrzeć wiadomości przesłane do jego komputera z Mospheiry i czekać na nagrania obiecane mu przez Tabiniego.

Wiadomości było mnóstwo. Ilekroć łączył się ze swoim biurem na Mospheirze, nieuchronnie otrzymywał - przepuszczoną przez filtr, który cenzurował materiały i często robił z nich sieczkę - mieszankę wiadomości. Niektóre były oficjalne, inne okazywały się naukowymi pytaniami, jeszcze inne raportami zapracowanego personelu zatrudnionego przy biurze paidniego - pełnej poświęcenia ekipy, która przesiewała setki najróżniejszych telefonów. Część z nich była pewniejszymi informacjami docierającymi do niego oficjalnymi kanałami oraz streszczeniami mospheirańskich wiadomości, ze starannie wyciętymi przez komputer fachowymi terminami i zakazanymi pojęciami, których paidniemu nie wolno było przerosić na drugą stronę cieśniny. To, że Bren w ogóle coś otrzymywał, utwierdziło go w przekonaniu, że bez względu na Hanks ma oficjalne wsparcie, a jego upoważnienia nie zostały cofnięte.

W zbiorze wiadomości znajdowały się osobiste listy od korespondentów, których Bren oznaczył symbolem „zawsze pełny tekst”, a przynajmniej tak pełny, jak zezwalali cenzorzy; byli to różni ludzie - od profesorów lingwistyki i semantyki po starych sąsiadów, którzy pisali mu o swoich współmałżonkach, dzieciach i letnich wakacjach.

Była też wiadomość z departamentu stanu, która tym razem nie miała wielkiej wartości - była to informacja o emeryturach. Bardzo potrzebna. Boże.

Niektórych wiadomości musiał się pozbyć - wywołał wyszukiwarke i otrzymał charakterystykę oraz zawartość plików; następnie zlecił wyszukanie treści: statek/"Feniks"/stacja/historia, i otrzymał kilka list.

Jeszcze więcej list.

I jeszcze więcej list.

Oznaczonych symbolami tak regularnych korespondentów, jak nie znanymi mu nazwiskami; każdy z dostępem do Biura Spraw Zagranicznych miał jakieś zdanie i wyraził je, gdy tylko wybuchła wiadomość o powrocie statku, oto, co się stało - Bren wykonał tak szybki manewr, że personel nie miał czasu na przesianie i skomasowanie - a to znaczyło, że Bren otrzymał całą diabelną korespondencję, niech Bóg ma go w swojej opiece, od każdego pomyleńca, który potrafił znaleźć adres w książce.

Kilka plików było olbrzymich. Uniwersyteckie rozprawy. Prace dyplomowe. Dysertacje.

Nie sądził, żeby można było osiągnąć granice pamięci. Była przecież ogromna. Sprawdził nakładki, przestraszony, że jakiś program rezydujący w pamięci mógł zacząć pochłaniać dostępną przestrzeń, ale aktywne było tylko to, co powinno, i nic nie pożerało pamięci. Po prostu tyle danych zebrał w trakcie połączenia.

Odsiewanie nie będzie łatwe. Komputer będzie musiał przeszukiwać i przeszukiwać.

Musi zrobić jeszcze jedną rzecz, zanim pograży się całkowicie w lekturze - poprosił Saidin o telefon, usiadł i ze spokojem połączył się z systemem telefonicznym Bu-javid, prosząc o Hanks-paidhi.

Niedostępna, odparł telefonista.

- Wiadomość do jej mieszkania - Bren powiedział to cierpliwie, bardzo cierpliwie.

- Proszę, nand' paidhi. Nagrywam.

- Hanks-paidhi - rzekł w języku atevich. - Uprzejmie proszę o telefon. Mamy pilną sprawę. Koniec, dziękuję, nadi.

Do cholery Hanks nie można było się dodzwonić. Bren zaczerpnął głęboko tchu, wykreślił Hanks i jej manewry z listy pilnych spraw i wrócił do fotela oraz komputera.

Wyznaczył kryteria przeszukiwania, dostosowując je do swoich potrzeb, ustawił szybkość przesuwu tekstu do swojej własnej szybkości odczytywania danych, która była cholernie duża, kiedy miał motywację, a temat był ograniczony; poświęcenie życia obcemu językowi, semantyce, słownikom i językoznawstwu teoretycznemu dało mu pewne umiejętności w zakresie procesów myślowych i szybkiego czytania, a to, co robił w głowie z tymi plikami, było jego osobistym wyszukiwaniem, kasowaniem i przechowywaniem, które nawet w połowie nie polegało na świadomym działaniu mózgu. Do umysłowych baz danych Brena docierały tylko ważne materiały, który to proces gwałtownie zajął wszystkie obwody, wypełnił receptory bólu i wyłączył wszystko oprócz oczu i palców operujących bardzo ograniczonym zestawem klawiszy.

W ten sposób dotarł do niego, wyrażany zarówno przez piszących do niego uniwersyteckich uczonych, jak całą resztę upoważnionych, lub nie, korespondentów, niepokój związany z długą nieobecnością statku i jego ostrożnym wypytywaniem mospheirańskich oficjeli. Bren nie mógł wychwycić konkretnych pytań, a list, który być może je zawierał, był podziurawiony przez cenzurę jak sito.

Pełno jednak było odniesień do owej zażartej dysputy toczącej się wśród pierwszych osadników, czy lądować na jedynym świecie w tym układzie, na którym są warunki do życia, czy też zostać w kosmosie i tam eksploatować zasoby mineralne. Były konkretne nazwiska członków załogi statku, które uznał za przydatne, ponieważ to, kto niegdyś zajmował ważne pozycje w zestawieniu z pozycją jego potomków, mogło powiedzieć Brenowi coś na temat różnic między strukturami władzy istniejącymi przed dwustu laty - podstawą naukowych i rządowych założeń - i dziś: były to wskazówki co do przekazywania władzy w dół.

Pewien profesor uniwersytetu, którego Bren uważał za od dawna przebywającego na emeryturze, przekazał mu informacje o ostatnich rozmowach statku ze stacją. Ten plik zawierał dokładne cytaty. Bren rzucił się na nie zachłannie i czytał, czytał; czytał je z taką szybkością, aż poczuł suchość w oc-

zach, a filiżanka z herbatą zastygła w zawieszeniu, aż czyjaś zręczna dłoń wyłuskała mu ją z palców.

- Czy paidhi zechciałby się napić gorącej herbaty? - zapytał Banichi.

- Dziękuję - odparł Bren, po czym zatrzymał przepływ tej niezbyt przyjaznej rozmowy i zrobił sobie krótką przerwę na to, co atevi elegancko nazywali koniecznością.

Tymczasem służąca przyniosła dzbanek świeżej herbaty, czystą filiżankę i talerz wafelków. Bren uruchomił przepływ danych na trzy minuty przed przerwą.

Słońce powoli wycofywało się z okna. Pojawiło się drugie śniadanie - kanapki ceremonialnie przyniesione do jego fotela.

Razem z nimi przybył Banichi z zapytaniem od Tabiniego, czy Bren ma jakieś pytania, na które nie mogą odpowiedzieć ani Banichi, ani Jago.

- Nie, nadi - odparł Bren. - Tylko zapis przekazów między ziemią i stacją. Proszę. Czy wiesz, dlaczego powstało opóźnienie, nadi?

- Sądzę, że zmieniają format - rzekł Banichi.

- Banichi, jeśli mam wysłuchać tych taśm, to wywiad nie musi ich czyścić. Niech oddziela kody dostępu, liczby nic mnie nie obchodzą, przysięgam, że nie muszę mieć tych ich bezcennych numerków - nie zajmujemy się tu liczeniem. Dostarcz mi te cholerne - przepraszam - zapisy głosu. Nie proszę o nic więcej, nadi.

- Przedłożę tę sprawę Tabinemu. Potrzebuję zezwolenia paidhiego na dostęp do niego wbrew innym rozkazom.

- Masz je. - Bren był zdenerwowany. Czas uciekał. Ktoś w obronie najwyraźniej wstrzymuje sprawę z jakichś ważnych powodów albo kieruje się zwykłym obstrukcjonizmem. Nie potrafił zgadnąć, co było przyczyną. Nie potrafił pozbyć się swoich myśli. Zbudował zbyt słabą sieć przetłumaczonych domysłów. Ani razu nie oderwał wzroku od ekranu i tego, co przypominało mu jego miejsce w strukturze, a kiedy wyszedł Banichi, sięgnął po pół kanapki, z taką samą uwagą, jaką poświęcał swej filiżance, po czym zatopił się w pracy, poruszony tylko ścierpniętą nogą.

- Tabinai-aiji pyta - odezwał się Banichi przy następnej przerwie z konieczności - czy paidhi zechciałby wydać oświadczenie dla wiadomości? W żadnym wypadku nie jest to rozkaz. Jedynie sugestia, jeśli paidhi jest w stanie.

- Powiedz im - powiedział Bren, zachowując resztki przeładowanej świadomości w oceanie danych - powiedz im w moim imieniu, że chciałbym z nimi porozmawiać, ale jestem w trakcie przekazywania informacji. Cokolwiek uda ci się wymyślić, Banichi-ji. Jeszcze nie mogę wydać żadnego rozstrzygającego oświadczenia. Tłumaczę i zapamiętuję najszybciej, jak potrafię. Tonę w szczegółach. A oni nie chcą przysłać mi nagrań. Co oni, do diabła, robią, Banichi?

- Ateva zdaje sobie sprawę - rzekł ostrożnie Banichi. - Zostały podjęte kroki. Wybacz moje wtargnięcie.

Banichi był zawodowcem - w rozmaitych rzeczach, które robił. Paidhi w tej chwili miał jeden cel: dane i powiązania; wielogodzinne czytanie bezlitośnie przewijającego się tekstu.

Wymyślenie, w jaki sposób przy ograniczonym słownictwie ma wyjaśnić w przystępnych słowach loty międzygwiazdne deterministom i racjonalnym absolutystom, których wszechświat nie dopuszcza pojęcia „szybciej niż światło”, po prostu go przerażało. On sam nie rozumiał SNŚ, a znalezienie dwóm atewskim filozofiom numerycznym lingwistycznego paradoksu, którego mogłyby się uchwycić, by nie dopuścić do zamieszek w dwóch prowincjach Patronatu, przyprowadziło Brena o ból mózgu. Całość była strukturą wymyślonych wzajemnych powiązań oraz nisz dla tego, co językowo, historycznie, matematycznie i fizycznie jest nierozwiązalne, i Bren miał nadzieję w Bogu, że nikt nie zada mu tego pytania.

Szczególnie, kiedy wszystkie historyczne informacje przeczyły same sobie i wskazywały, że mospheirańskie zapiski nie są nieomyślne.

Paidhiin sprawujący urząd przed nim wynieśli ateuską naukę z poziomu pary na poziom telewizji, barów szybkiej obsługi, lotów według rozkładu, i programu kosmicznego, a on nie wie, czy następny krok nie okaże się Armagedonem.

Pochylił się więc znów nad ekranem, widząc, że przeszukiwarka wyprodukowała dalszy przegląd treści - powolna, zżerająca pamięć operacja, tocząca się w tle wolniej niż zwykle - miał teraz streszczenie trzydziestu trzech trywialnych plików, samych pytań, żadnych informacji.

To można tymczasowo przechować na karcie. Zwolnić pamięć. Przyspieszyć pracę komputera. Paidhi ma inne problemy.

Widząc, że przeszukiwarka stworzyła następną nitkę statek/historia, biegnącą przez łańcuch plików, polecił: - Nitka, statek/historia/zbierz. - Zobaczył wynik przewijający się w tempie jego szybkiego czytania.

Informacja nie chciała się jednak zestroić. Stracił koncentrację albo do tylnych drzwi jego świadomości kołatało coś innego, coś dużego i rozległego, ale wszystkie obwody skojarzeniowe były zajęte...

- Wybacz mi raz jeszcze - rzekł Banichi i Bren powstrzymał gorączkową chęć odpędzenia go ruchem ręki, ponieważ niemal zdał sobie sprawę, że coś tam jest.

Banichi położył jednak na stole magnetofon - oraz tutkę z wiadomością, opatrzoną czerwono-czarną pieczęcią Tabiniego. Myśli Brena rozsypały się. Poczul zimny dreszcz i mruknął:

- Dziękuję, nadi, zaczekaj chwilkę. - Otworzył tutkę, znajdując w środku odręczną wiadomość od samego Tabiniego: „To jest pełne nagranie, paidhi-ji, wraz z liczbami. Mam nadzieję, że ci się przyda”.

Bren podzielał tę nadzieję z całego serca. Stwierdził, że drugie śniadanie ciąży mu w żołądku.

- Dziękuję, nadi-ji - rzekł, zwalniając Banichiego do jego własnych zajęć, i natychmiast wydał komputerowi polecenie, by pełną parą uruchomił czasochłonny program streszczający, po czym włączył magnetofon.

Początek usłyszał zeszłego wieczoru. Ominął to miejsce i na podsłuchu przewinał trajkotanie komputerów.

A potem pojawiło się więcej głosów.

Pasowało to do podejrzeń, których Bren nabrał po lekturze dostarczonych mu materiałów - pożegnalne tarcia wywołane polityką Gildii Pilotów nagle powtórzyły się w czasie rzeczywistym, gdy Bren przebywał na wschodzie; Gildia Pilotów, z przyczyn, co do których trzeba było zawierzyć nie opublikowanej historii pióra wybitnego uniwersyteckiego profesora, już dawno temu stawiała przeszkody Lądowaniu, pod pozorem ochrony ateuskiej cywilizacji.

Profesor sugerował jednak w swojej pracy, że Gildia jednocześnie popierała i torpedowała tę operację, ponieważ prawdziwym celem Gildii było utrzymanie zwierzchnictwa statku nad stacją czy jakąkolwiek osadą na planecie. Gildia zamierzała kierować sprawami ludzi, tak jak robiła to podczas długiej walki o dotarcie na ziemię atevich.

Zawierzenie jakiegokolwiek historii w sytuacji, kiedy historia gwałtownie stawała się terażniejszością, było z definicji zawierzeniem przesianemu streszczeniu wydarzeń, które rozgrywały się przed wiekami i które były nie do odtworzenia - streszczeniu zrobionemu przez kogoś, czyj punkt widzenia był osadzony w jego własnych czasach i kto chciał go uzasadnić. Bren wątpił, czy szczegóły, których potrzebował, wciąż istnieją w danych komputerowych na Mospheirze, ponieważ wojna zniszczyła olbrzymie ilości plików.

Prawda była taka, że o wiele mniej wiedział o „Feniksie” niż o atevich; obecne nastawienie załogi „Feniksa”, a nawet listę jego załogi znał gorzej niż geografię księżyca. Nie wiedział, co statek zamierza, planuje lub czym grozi.

Nie znał jego możliwości, nie wiedział, czy podróżował z prędkościami SNŚ czy - zważywszy czas nieobecności „Feniksa” - podświetlnymi, co wydawało się dość możliwe.

Złym znakiem było jednak to, że dialog między statkiem i stacją naziemną z początkowo wysoce pouczającego i prowadzonego na wysokim poziomie zmienił się w końcu w rozmowę podsekretarzy i oficerów statku tracących czas na drobiazgowo pytania, do odpowiedzi na które żadna ze stron nie chciała wezwać do mikrofonu odpowiednich osób.

Jaki jest stan kontaktów, pytał statek, między Mospheirą i tubylczą populacją?

Mospheira nie odpowiadała na to pytanie. Departament stanu, a zatem ci sami wysoko postawieni, małomówni oficjele, którzy popierali Deanę Hanks, udzielał prezydentowi rad na temat, o którym nikt z personelu nie miał bladego pojęcia; a kiedy kierownictwo departamentu już się czymś zajęło, było przyzwyczajone do badania danego tematu i debatowania nad nim całymi tygodniami, miesiącami, a nawet latami i dekadami.

Mospheira ani nie wprowadzała, ani nie chciała wprowadzać gwałtownych zmian. Dynamika społeczna i techniczna oznaczała to, co było i prawdopodobnie będzie trwało nadal przez pięćdziesiąt albo i sto lat. Mospheira planowała z dużym wyprzedzeniem, po prostu kierując całym światem atevich i ludzi tak, by za dziesiątki lat dopasowały się ich bazy techniczne. A gdyby kierownictwo ruszyło tyłki, to podlegające mu biura, przez które przepływały rządowe informacje, nie były zorganizowane do podejmowania decyzji szybciej, niż je podejmowały obecnie.

A jeśli statek wie, czego chce, i będzie naciskał...

Bren słuchał, jak obie strony znów ugrzęzły w miejscu: pomniejsi oficerowie ze statku domagali się zapisów ze stacji, które według nich powinna mieć Mospheira, a po upływie półtora dnia, sądząc ze znaczników czasu, ktoś z dołu koniecznie chciał wiedzieć, gdzie był statek przez dwieście lat.

Cholera, pomyślał Bren, słysząc, jak „Feniks” zbywa pytanie milczeniem, a następnie wysyła wiadomość na cały świat, chcąc wiedzieć, czy słucha ich ktoś na dole.

„Feniks” usiłował nawiązać kontakt samodzielnie. Dzięki Bogu, nikt w świecie atevich nie rozumiał go na tyle dobrze, by nadać odpowiedź i rozpocząć dialog. Dzięki Bogu, według Traktatu paidhi stanowił przynajmniej ujednolicony punkt kontaktu. „Feniks” nieświadomie wytyczał bardzo niebezpieczną ścieżkę.

Potem statek przerwał łączność na dość długi czas, co potwierdzały atewskie oznaczenia dat na taśmie. Statek nie zadawał żadnych pytań i, co gorsza, nie dawał żadnych odpowiedzi na uporczywe pytania prezydenta: Gdzie byliście? Dlaczego wróciliście? Czego tu teraz szukacie?

Mospheira wyjawiała przybyszom wiele informacji - z konieczności, jako że orbitujący statek miał pod sobą całą planetę jak na dłoni: gobelin linii kolejowych, oświetlonych miasteczek, miast i lotnisk po obu stronach cieśniny. Zupełnie odbiegało to od tego, co zostawił statek, odlatując. A Bren wiedział, co są w stanie zobaczyć przyrządy optyczne statku - co najmniej to samo, co mogła dostrzec Mospheira psującymi się oczyma stacji - a trzeba było wziąć sporą poprawkę na nie uszkodzone przyrządy statku.

I nie ma żadnego sposobu, by zajrzeć w głąb statku czy stacji.

Przyciskając knyki do warg, Bren pomyślał, że Mospheira swoimi pytaniami ujawniała więcej, niż być może zdawała sobie sprawę, a już na pewno jemu dała dodatkowe informacje. On zna departament, zna kierownictwo, zna osobowości, a statek nie, chyba że odkrył dawne wzorce, ale, do diabła, Bren prawie widział odciski palców na pytaniach, reakcjach, postawach. To Jules Erton, specjalista od polityki; to Claudia Swynton, a to szef sztabu prezydenta, George Barrulin; prezydent nie miał zdania, dopóki George nie powiedział mu, co ma myśleć.

Zapis stał się jednoczesny. Mospheira mówiła. Statek nadal starał się skontaktować z gęsto zaludnionymi ośrodkami, szczególnie z Shejidan. Przez dwa dni nie było żadnych kontaktów między statkiem i Mospheirą. Statek nie odpowiadał na pytania Mospheiry o zamiary i podejmowane działania.

Zimno, które zaatakowało rękę Brena, przerodziło się w fale dreszczy i sprawiło, że Bren zapragnął - czego nie spodziewał się zapragnąć nigdy w życiu - podnieść słuchawkę, zadzwonić do Deany Hanks i powiedzieć przyjaźnie, trzeźwo: „Posłuchaj, Deana, odłożmy nasz spór na bok - mamy problem”.

A to, niech diabli tę babę, nie było zręcznym wyjściem. Przepaść ta nie była dająca się zasypać przepaścią między dwojgiem ludzi, lecz ideologicznym rozziwem między dwiema filozofiami politycznymi na Mospheirze. Obóz, który, jak obawiał się Bren, rzucił Deanę Hanks na kontynent, był tym samym obozem, który popierał ją w ciągu całego procesu selekcji, bez względu na wyniki testów, a i tak podejrzewał, że Deana знаła główne pytania, na które i tak nie odpowiedziała równie dobrze jak on, oraz że przy pisaniu pracy otrzymała pomoc z zewnątrz. Była wnuczką Raymonda Gaylorda Hanksa i córką S. Gaylorda Hanksa; stara rodzina polityków, element konserwatywny, który od czasów wojny utrzymywał, że Shejidan jest w gruncie rzeczy wrogo nastawiony - to samo przekłete podejrzenie wśród ludzi, którzy niczym lustrzane odbicie atevich wierzących w obecność na stacji promieni śmierci, utrzymywali, że atewski program kosmiczny ma finansowe wsparcie atevich dlatego, że wraz z wyjściem w kosmos atevi chcą zająć stację i wykorzystać ją jako bazę broniącą dostępu do Mospheiry.

Ostatnią obsesją konserwatystów był lawinowy postęp techniczny i społeczny za kadencji Brena i Wilsona; konserwatyści twierdzili, że Tabini jest wrogo nastawiony i wykorzystuje naiwnego paidhiego do własnych celów.

Ten bardzo konserwatywny obóz ludzkich interesów powoli rozsypywał się w proch, ale nie na zapomnianych stanowiskach uniwersyteckich, lecz w salach urzędu prezydenckiego i ciał ustawodawczych; była to stara gwardia polityczna, której rodziny tkwiły w polityce od czasów wojny, w wyspiarskiej społeczności, gdzie polityka tradycyjnie nic nie znaczyła w codziennym ludzkim życiu, a lepsze rezultaty odnosił nepotyzm.

W departamencie stanu większość panikarzy usadowiła się na wyższych stanowiskach, okopawszy się na dożywotnich posadach. Ani razu nie przyjęli oficjalnego zapewnienia atevich, że Tabini nie miał nic wspólnego z zabójstwem ojca. Dogmatem konserwatywnej wiary było to, że Tabini go zabił i zażądał rezygnacji Wilson-paidhiego, by otrzymać nowego i naiwnego paidhiego, który realizowałby jego plany.

W brutalnym, atewskim gruncie rzeczy mieli prawdopodobnie rację, jeśli oczywiście Tabiniego nie ubiegła własna babka - lecz ojcobójstwo nie miało takiej samej wagi na kontynencie, jak na Mospheirze. Nie można osądzać atevich według ludzkiej etyki. Zabić kogoś dzielącego to samo man'chi, tę samą hierarchiczną lojalność? To wstrząsające.

Zabić krewnego? To prawdopodobnie rozsądne rozwiązanie.

Kłopot w tym, że paidhi miał o wiele lepsze kanały i mechanizmy rozsiewania nowych informacji na atewskim kontynencie niż poruszenia opinii publicznej na Mospheirze. Nigdy przedtem paidhi nie musiał przekonywać Mospheiran. Nigdy przedtem paidhi nie musiał prowadzić kampanii przeciw konserwatystom, ponieważ konserwatyści nigdy przedtem nie doświadczyli kryzysu, z powodu którego mogli wpłynąć na członków społeczności akademickiej - co, jak Bren się obawiał, miało miejsce - by mieszała się do działania biura paidhiego.

Lecz akademicki bufor wspierający paidhiego i pomagający w podejmowaniu decyzji - zwykle bez udziału polityków - był grupą politycznie naiwnych ludzi, którzy w obliczu paniki mogli pochopnie umieścić Hanks na stanowisku, z którego mogła przynajmniej obserwować sytuację, w czasie, gdy brak informacji wydawał się bardzo złowróżbny.

Bren nigdy nie traktował Hanks poważnie. Przyjął za pewnik, że spokojnie pograży się w akademickich kręgach i jeśli kiedykolwiek otrzyma nominację, to będzie tak stara, że prawdopodobnie jej nie przyjmie, przez całe życie tkwiąc w mospheirańskich układach i nie potrafiąc już przystosować się do innych warunków. Ufał akademikom, że przez dziesiątki lat będą spychać jego konserwatywną przeciwniczkę na boczne tory, dadzą jej jakąś profesurę



filozofii kontaktu czy wykłady z równie porywającej dziedziny. Jeszcze rok temu powiedziała, że taka jest przyszłość Deany Hanks.

Okazała się ona inna.

Dreszcze nie chciały ustąpić. To nie strach, powiedział sobie Bren. Po prostu siedzi nieruchomo w przeciagu, z czego zdał sobie sprawę, widząc falujące zasłony w oknie; czuł, że ścierpły mu nogi. To skutki działania środka znieczulającego. To ten cały kryzys, który przeszedł...

To ta cała cholerna, źle rozegrana sprawa. W czasie, gdy atevi potrzebowali go najbardziej, był we wschodniej części kontynentu, pozbawiony wszelkich informacji. Nie była to być może jego wina; możliwe, że atevi umieścili go tam czasowo, dopóki nie nabrali pewności, że mogą na nim polegać - lecz nie ufać.

Bez względu jednak na to, o co podejrzewali go atevi, i tak nie otrzymywał żadnych wiadomości, a jeśli zrobi teraz jakiś fałszywy krok - jeśli nawet zostanie tylko posadzony o zrobienie politycznie fałszywego kroku - albo jeśli popełni taki błąd, jakiego dopuściła się Hanks z panem Geigim, który Bren i tak musi naprawić...?

Cholera! Sam popełnił kilka błędów na początku swojej kadencji.

Po dwakroć cholera! - ta kobieta chyba ma trochę rozsądku. Nie da się przejść przez rozumowanie porównawcze czy spełnić wymagań stawianych przez matematykę i fizykę, nie mając przynajmniej zdolności wyciągania abstrakcyjnych wniosków. Powinien dać szansę rozsądkowi.

Powoli wstał z fotela i, czując, jak stopa zaczyna wracać do normy, pociągnął za sznurek dzwonka. Pojawiła się Saidin. Posłał ją po Jago, a Jago otrzymała od niego dwie wiadomości. Miała je przekazać ustnie. Dla Tabiniego: „Dowiedziałem się wszystkiego, czego mogłem. Jestem gotów do publicznego wystąpienia”.

I dla Deany Hanks: „Niedługo zajmę oficjalne stanowisko na temat obecności statku; otrzymasz kopię wystąpienia. Musimy porozmawiać. Czy jutrzejszy wieczór nie koliduje z twoim rozkładem zajęć?”.

Następnie wrócił do fotela, usadowił się i zamknął oczy. To zdumiewające, jak szybko może przyjść głęboki sen, kiedy człowiek podejmie decyzję i pozbedzie się ciężaru.

Może jednak pozwolić sobie teraz na sen? Kto inny zajmie się programem spotkań i załatwianiem koniecznych spraw. Na wół obudził się, kiedy ktoś okrył mu nogi; uznał, że nie jest potrzebny, że statek nie wystrzelił jeszcze promieni śmierci, po czym naciągnął koc na zmarzniętą w przeciagu rękę, ciesząc się, że udało mu się wygodnie ułożyć.

Obudził się znów, kiedy podeszła do niego Jago i zawołała go po imieniu, po czym podała mu kolejną tutkę z pieczęcią Tabiniego.

Godzina wspólnego posiedzenia została określona na środek wieczoru, co było niezwykle dla atewskich działań prawodawczych, dalej następował zwykły dopisek: „Twoja obecność i tłumaczenie zostaną przyjęte z wdzięcznością, nand' paidhi”.

- Są jakieś inne wiadomości? - zapytał. - Coś z wyspy?

- Nie, żałuję, Bren-ji.

- Rozmawiałaś z Deaną Hanks? Co powiedziała?

- Była bardzo uprzejma - odparła Jago. - Słuchała. Powiedziała, żebym ci przekazała słowo. Waham się, czy je wypowiedzieć.

- Przekazała ci to słowo w mospheiranie.

- Myślę, że „idź-do-diabła” jest niegrzeczne. Czy słusznie przypuszczam?

Impulsywność mu tego wieczoru nie będzie służyła. Przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Nie odpowiedziałam - ciągnęła Jago. - Przekazanie ci takiej wiadomości jest dla mnie krępujące. Jeśli masz odpowiedź, z pewnością ją przekażę. Albo możemy przeprowadzić tę osobę do twojego biura, Bren-paidhi.

Kusząca propozycja.

- Jago-ji, wysłałem cię do kogoś głupiego. Otrzymasz przeprosiny lub satysfakcję.

- Są mniej wygodne pomieszczenia od twojego dawnego apartamentu, Bren-ji.

- Ona jest w moim apartamencie?

Jago wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, Bren-ji. Gdybym to ja zajmowała się jej ochroną, doradziłabym co innego.

- Ma się wyprowadzić. Porozmawiaj z obsługą. To nie jest kobieta pozbawiona wrogów.

Jago lekko się skrzywiła, przez chwilę się zastanawiała i w końcu powiedziała:

- Jej ochrona jest bardzo ścisła - jak na takie sito. W kategoriach żywych ciał, całkiem wysoki poziom. Mówię w zaufaniu.

- Nie wątpię. Personel Tabiniego?

- Tak. Aiji może go zdjąć w każdej chwili.

To znaczy zostawić ją bez żadnej ochrony. Jago nie łamała zasad bezpieczeństwa dla kaprysu. To, że w ogóle coś mu powiedziała w sprawie, której nie musiała poruszać, było niepokojące.

- Czy Tabiniego kazał ci powiedzieć mi o tym?

Twarz Jago stanowiła nieprzeniknioną maskę.

- Nie - odparła.

Mogło to oznaczać to, co chciało się usłyszeć, lecz kiedy Jago przybierała taki ton, oznaczało to koniec informacji.

## Rozdział 6

Plastikowe torby, wyszabrowane z poczty na dole, co oznajmiły z tryumfem służące; i taśma z tego samego źródła. To był pomysł Tano, tak żeby niezręcznie czujący się człowiek, zmuszony do przekroczenia już zanikającej granicy międzygatunkowej skromności, mógł wziąć prawdziwy, uczciwy prysznic przy pełnej ochronie bandaży i pianki.

- Nand' paidhi, nie możesz dopuścić, by woda przedostała się pod piankę - zawyrokował Tano. - Zaufaj mi.

Bren mu zaufał. Opierał się o ścianę w prawdziwej, pięknie wyłożonej kafelkami nowoczesnej łazience, z zamkniętymi oczyma wdychał parę i czuł, jak świat wiruje wokół osi tkwiącej gdzieś w środku jego czaszki.

Być może niedługo popełni zdradę. Czy tak to się nazywa, jeśli chodzi nie tylko o własny naród, ale i o gatunek?

Przynajmniej zamierzał zrobić coś zdumiewająco ryzykownego, chcąc wygłosić tę mowę mając tylko jedną kartkę z notatkami na temat słownictwa, wierząc w przypływ adrenaliny i natchnienia, kiedy wcale nie było pewne, czy znajdzie siłę, by zejść na dół, i czy odnajdzie w pamięci słownictwo wykraczające poza ową kartkę. Był wieczór, dość późny wieczór po niezwykle długim dniu, a prysznic i para bardzo obniżały w nim siłę woli.

- Nand' paidhi - zawołał Tano spoza kabiny. - Nand' paidhi, żałuję, ale powinieneś już wyjść.

Ten dosłownie niewyczerpalny zasób gorącej wody był luksusem stworzonym przez atevich. A on miał ten luksus porzucić. To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe.

Odczekał jeszcze dwa długie westchnienia, wyszedł na okrutne, świeże powietrze i poddał się odklejaniu taśmy; pozwolił się rozpakować, wytrzeć i, odarty już z wszelkiej skromności - podczas gdy służące zachowywały się stosownie do sytuacji z profesjonalnym szacunkiem - ubrać w jedwabną koszulę, przerobioną dzięki jednemu szwowi i zapięciom wzdłuż rękawa, podobnie uszyty kaftan oraz miękkie, dobrze dopasowane spodnie w skromnym i apolitycznym kolorze błękitu.

A kiedy usiadł, pozwolił sobie porządnie wytrzeć włosy, które opadały mu poniżej ramion, i zapleść warkocz. W tej jedynej kwestii zwyczajowo polegał na swoich służących.

Wtedy właśnie poczuł nerwowe napięcie. Wtedy ruszyła znajoma fala adrenaliny, niczym u prawnika wkraczającego do sądu czy dyplomaty rozpoczynającego kluczowe negocjacje. Siedział, czując, jak Tano, zaplatając warkocz, ciągnie go za włosy, kiedy do pokoju weszła Jago, mimo letniej pogody ubrana w czarną skórzaną kurtkę, i wręczyła mu krótką wiadomość od Tabiniego: „Będa kamery »Wiadomości«. Mów prawdę. Pokładam w tobie pełne zaufanie”.

Kamery „Wiadomości”. Człowiek nie mógł skłąć aijiego w obecności służby, choćby bardzo tego chciał.

- Gdzie jest Banichi? - zapytał. Zaczynał mówić wojowniczo. Chciał, żeby wszystko, co należało do niego, zostało uchwycone, spisane, policzone i nazwane. Wiedział, kiedy Tabini jest śliski jak wąż. Chciał, żeby Banichi stał po jego stronie, a nie Tabiniego. Chciał wiedzieć, jakie rozkazy dostał Banichi i od kogo.

- Nie wiem, nadi - odparła Jago. - Wiem tylko, że mam cię odprowadzić, nadi, kiedy będziesz gotowy.

Był pewien, że ten czarny skórzany kaftan kryje osobistą zbroję i jakąś broń. Przy - co zrozumiałe - rozbudzonych emocjach i podejrzeniach, było to jak najbardziej rozsądne. A jeśli Banichi nie jest z nim, to robi coś, co jest na tyle ważne, by zostawił sprawę w rękach jego młodszej partnerki - prawdopodobnie ochrania Tabiniego, bo to także jest zadaniem Banichiego. Bren nie miał sposobu, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

I żadnego wyboru co do spełnienia czekającego go obowiązku.

Wstał z fotela i pozwolił Tano oraz pozostałym służącym ubrać się w odświętny kaftan o licznych guzikach, co wywołało nieco zamieszania z powodu dyskretnie umieszczonych zapięć, dzięki którym rękaw wyglądał na stosunkowo nietknięty, a następnie wyłożył nader ważny, wyróżniający się wstażkami warkocz na wysoki kołnierz. Nastąpiły przyklepywania, poprawki oraz szelmowskie, ciekawskie, ale i poważne spojrzenia.

Niczym dziewięciolatek stał wśród otaczających go hebanowych, podobnych boginiom pań. Czuł się kompletnie oszołomiony i kruchy i miał nadzieję, Boże, miał nadzieję, że w głowie zostało mu to, czego potrzebuje, a on sam - niech Bóg go ma w opiece - nie powie tego wieczoru czy nie zasugeruje czegoś katastrofalnego.

- Jago-ji, gdybyś przyniosła mi komputer - chyba nie będę go potrzebował, ale coś może wypaść.

- Tak - odrzekła Jago. - Jesteśmy gotowi, nand' paidhi?

- Mam nadzieję - powiedział i zdumiał się, a nawet wzruszył, kiedy Saidin skłoniła się głęboko ze słowami:

- Cały personel życzy ci powodzenia, nand' paidhi. Spisz się dla nas dobrze.

- Nadi. Nadiin. - Ukłonił się służącym, które odkłoniły się i było w tym coś więcej niż standardowa grzeczność. - Umożliwiłyście mi pracę. Bardzo wam dziękuję za uprzejmość i opiekę.

- Nand' paidhi. - Dał się słyszeć ogólny pomruk, po którym nastąpiła druga kolejka ukłonów, a potem Jago podniosła komputer i wyprowadziła Brena do zewnętrznych komnat i drzwi. Tano, w mundurze identycznym jak mundur Jago, dogonił ich tuż przed foyer.

Potem był hol z porcelanowymi kwiatami, ogólna winda ochrony, której używali wszyscy mieszkańcy dwóch górnych poziomów, i trzy piętra w dół do najszerszego, najczęściej pokazywanego w telewizji korytarza w Bu-javid - wejścia do tashridu.

Bren znał ten teren. Jego biuro nie znajdowało się na peryferiach. Korytarze jednak były oświetlone przez reflektory zawieszane na rusztowaniach dla kamer i ekip telewizyjnych, a wszędzie krążyli członkowie personelu i

asystenci. Jeśli Bren czuł się przytłoczony przez służbę, to tutaj wrażenie to jeszcze się potęgowało, szczególnie w wejściu do samej sali posiedzeń, gdzie zebrali się i rozmawiali wysocy, eleganccy panowie Patronatu - tym bardziej, że po przejściu Brena i jego eskorty zapadała cisza, by przerodzić się za jego plecami w cichy pomruk.

Wzdłuż przegrody między tashridem, izbą panów, i o wiele większą salą hasdrawadu, izbą ludu, biegł mniejszy korytarz dla uprzywilejowanych, którzy nie chcieli być zaczepiani w przejściach między fotelami. Parawan dzielący obie sale został złożony, umożliwiając bezpośredni kontakt z połączonymi izbami, i Bren mógł uniknąć uważnych spojrzeń i pomrukiwania ich członków, idąc po wzorzystym dywanie do kilku pięknie rzeźbionych ław, przeznaczonych dla dygnitarzy, zaproszonych świadków i petentów.

Tu, w pierwszym rzędzie galerii dla dygnitarzy, mógł usiąść sam ze swoją pojedynczą kartką z notatkami, czując pokrzepiającą obecność Jago i Tano, którzy stanęli w pobliżu.

Panowie Patronatu i wybrani przedstawiciele prowincji szybko wypełniali salę. Bren skupił się na kartce, której treść powinien zapamiętać, na garści słów, które mogły przekazać to, co chciał przekazać bez nie chcianych skojarzeń, na garści sformułowanych przez niego definicji w języku atevich. SNŚ było tykającą bombą. Nie chciał zajmować się tym dzisiaj. Miał nadzieję odejść od zagadnień technicznych.

Jedna trzecia osób zajmujących fotele nagle przeniosła się do przejść, poruszając się z pewną celowością, i Bren wcale nie był zaskoczony - kiedy już wszyscy znaleźli swoje miejsca - że tym samym wejściem, co poprzednio on, wszedł Tabini-aiji, lecz Tabini przeszedł na przód sali. Na galerii tłoczyli się obserwatorzy i gdy Jago i Tano niezłomnie trzymali straż w pobliżu Brena, Tabini podszedł do podium.

- Nand' paidhi - powiedział, a głośniki rozniosły jego słowa echem po obu salach.

Bren wstał, podniósł komputer, który Jago postawiła koło niego i ruszył przejściem. Tabini przyjął milczące powitanie połączonych izb, które odbyło się na stojąco, po czym oznajmił, że paidhi po raz pierwszy za tej administracji zwróci się wspólnie do izb rządu i prowincji, „by przedstawić kompetentną informację o wydarzeniu na niebie”.

Bren bez żadnych fanfar podszedł do drugiego mikrofonu, ukłonił się Tabiniemu, ukłonił się tashridowi, hasdrawadowi i postawił komputer.

- Panie i panowie Patronatu. - Tak brzmiało właściwe powitanie, a w odpowiedzi Bren usłyszał od kłaniających się mu, a następnie siadających członków zgromadzenia:

- Nand' paidhi.

Zaczerpnął tchu, po czym znalazł wygodną pozycję, dzięki której mógł oprzeć rękę na niższych barierkach o wiele za wysokiej dla niego mównicy.

Naprzeciw siebie miał morze ciemnych, słuchających i w różnym stopniu wyczekujących twarzy.

- Nadiin, dawno temu - zaczął - z odległego świata wyruszył statek z zamiarem wybudowania stacji kosmicznej w miejscu, w którym załoga zamierzała zamieszkać. Niestety, coś spowodowało, że statek wypadł z pola widzenia wszystkich gwiazd znanych nawigatorom i trafił do miejsca o promieniowaniu zabójczym dla każdego, kto pracował na zewnątrz kadłuba. Bardzo wielu członków załogi zginęło, zbierając materiały potrzebne do przeniesienia statku w bezpieczne miejsce. Robotnicy, którzy byli tylko pasażerami, nie potrafili uratować statku; poprzez głosowanie nadali załozde statku nadzwyczajne przywileje i władzę, o ile tylko załoga ta pracowała na zewnątrz.

Atewska publiczność nie okazywała uczuć podczas oficjalnego wystąpienia. Siedziała. Zachowała obojętne twarze i absolutną, pełną szacunku ciszę. Nie dawała mówcy żadnych wskazówek na temat tego, co myśli czy rozumie, lub czy chce mówcę zastrzelić. Atewska publiczność po prostu słuchała, i to w niepokojący sposób.

Przyczyna nadania pozycji i przywilejów była jednak niezwykle ważna dla atewskiego myślenia. I podczas gdy przywileje mogły powstać dzięki zasługom przodków, trzeba je było podtrzymywać stałymi własnymi zasługami, bo inaczej stawały się one podejrzone; taki właśnie obraz malował Bren. Z pełną premedytacją.

- Nadiin - powiedział i z trudem zaczerpnął tchu. Taśma ścisnęła mu żebra, bezdusznie ignorując fakt, że mówca jest przerażony, że musi głośno mówić i że potrzebuje więcej powietrza. - Dzielni ludzie zdobyli paliwo, którego potrzebowali, by polecieć do jakiegoś bardziej sprzyjającego i zdrowszego miejsca, które musieli wybrać na podstawie bardzo skąpych danych. Ten świat... - Człowiek unikał dokładniejszej kosmologii. Niedługo przyjdzie na nią czas, tylko, błagam Cię, Boże, nie dzisiaj. - Ten świat był obiecujący. Kiedy jednak weszli na tutejszą orbitę, srodze się zawiedli, gdyż stwierdzili, że planeta jest zamieszkała. Zużyli całe paliwo. Stracili tylu ludzi, że ich społeczność stawała się niestabilna. Załoga statku chciała się wycofać do czwartej planety od słońca i wybudować stację na orbicie, myśląc, że atevi jeszcze długo nie wykryją obecności ludzi, lecz po tak niebezpiecznym locie...

Kolejna przerwa na oddech - i wciąż żadnej reakcji, dobrej czy złej, na to, co stanowiło w większości stare informacje przyprawione rewelacjami nieobecny w poprzednim kanonie.

- Po tak niebezpiecznym locie, nadiin, i tak wielkich stratach, ludzie bali się podróży i trudnego, nowego środowiska. Myśleli, że jeśli wybudują sobie dom na orbicie życiodajnego świata, a w kosmosie coś pójdzie nie tak, to jako ostatnią deskę ratunku będą mieli leżącą w dole planetę. Dzięki teleskopom przekonali się, że atevi są cywilizowani i zaawansowani. Tu, gdzie byli, czuli się znacznie bezpieczniej i głosowali przeciwko załodze statku. Niektórzy jednak Mospheiranie mówią, że załoga chciała zachować swoją pozycję oraz przywileje i że to właśnie było prawdziwą przyczyną chęci powrotu w otwartą przestrzeń kosmiczną. Inni twierdzą, że nie, że przede wszystkim nie chcieli zakłócać życia atevich. Jeszcze inni utrzymują, że byli to po prostu kosmiczni wędrowcy, którzy dusili się od tak długiego pobytu w doku.

Jakakolwiek jednak była przyczyna, załoga statku chciała odlecieć i potrzebowała do tego paliwa. Przedstawiciele robotników przeciwstawili się podejmowaniu kolejnych wysiłków na rzecz statku i przedsięwzięcia, w którym nie widzieli korzyści dla siebie. Wtedy właśnie patronat na stacji zaczął się naprawdę rozpadać. Niektórzy mówili, że powinni zejść na planetę i założyć na niej bazę. Inni domagali się, żeby wszystkie surowce trafiały na stację, traktując ją jako stały dom ludzi na orbicie, i nie chcieli przeznaczyć niczego ani na rzecz Lądowania, ani statku i jego nowej podróży.

Powstały trzy frakcje i sytuacja wymagała kompromisu.

Statek wziął stronę robotników, którzy chcieli utrzymywać stację, ponieważ potrzebowali jej jako doku, warsztatu i źródła zaopatrzenia; lecz wyprawa w otwarty kosmos, co było ich najważniejszym celem, wymagała olbrzymiej ilości surowców, których stacja potrzebowała dla siebie. Jak podejrzewa przynajmniej jeden uczony, robotnicy chcący wylądować na planecie zmienili front i zagłosowali tak jak załoga statku, w zamian za tajne obietnice, że astronauta nie dopuszczą, żeby mieszkańcy stacji zablokowali działania robotników.

Spółeczność ludzka stała się gniazdem intryg - każdy z nowych patronatów ciągnął w swoją stronę. Statek poparł przyszłych kolonistów, aby zdobyć potrzebne surowce...

Ponieważ jednak zwolennicy Lądowania nie mogli zdobyć funduszy ani surowców potrzebnych do zbudowania zaawansowanego lądownika, nikt nie wierzył, że wylądują, szczególnie po tym, jak Gildia Pilotów odmówiła pilotowania lądowników zbudowanych według posiadanych projektów czy też - jak zaczęła podejrzewać frakcja Lądowania - jakichkolwiek projektów w ogóle. Tak więc grupa ta zbudowała lądowniki według starej technologii, nie wymagającej

pilotów z Gildii. W rezultacie spadli na planetę za pomocą spadochronów - żagli-kwiatów ze starego przekazu. Wydawało im się, że na Mospheirze jest dużo wolnej ziemi i pomyśleli, że jeśli będą problemy, to łatwo im będzie zamieszkać na północy wyspy i zawrzeć umowy z atevimi na południu, którzy, jak sądzili, rządzą wyspą.

Na monolocie atewskiego spokoju pokazały się rysy spowodowane śmiechem. Niektórzy członkowie zgromadzenia najwyraźniej pomyśleli, że to żart. To rzeczywiście byłoby śmieszne, gdyby obie strony nie okupiły tego stratami. Bren poczuł ulgę - rozumieją jego logikę. Rozumieją ten bardzo ważny aspekt ludzkiego zachowania.

- Sprawa jednak przybrała gorszy obrót, nadiin. Gildia uznała, że Lądowanie utraci wiarygodność, albo pod względem operacyjnym z powodu katastrof, albo praktycznym, gdyby atevi nie chcieli wpuścić ludzi na planetę. Pierwsza grupa wylądowała jednak bezpiecznie. Świat wydawał się idealny do zamieszkania. A ponieważ atevi nie protestowali, nawet robotnicy na stacji i piloci Gildii uwierzyli, że nie zasiedlone tereny na planecie nie mają właściciela i że ludzie nie będą tam nikomu przeszkadzać.

Taka była sytuacja, nadiin, kiedy statek odlatywał. Takie ma ostatnie informacje. Nic nie wie o wojnie, o Traktacie, o opuszczeniu stacji i o przyczynach zakazu bezpośrednich kontaktów między atevimi i ludźmi. Według mnie, nadiin, macie do czynienia z odrobiną dobrej woli ze strony statku oraz niewiedzą równą niewiedzy moich bezpośrednich przodków w roku, dniu i godzinie ich odlotu.

Początkowo ludzie nie mieli pojęcia, nadiin, jak bardzo wtargnęli w życie atevich - nie rozumieli, że posuwając się wzdłuż jakiejś rzeki czy pasma wzgórz, które uznali za granicę, naruszają patronaty. Przekraczali linie rozdzielające patronaty, budowali drogi, nie mając pojęcia, że stwarzają problem, sprowadzili technikę do jednego patronatu, nie rozumiejąc, że naruszają równowagę i, baji-naji, na Mospheirze wciąż są ludzie, którzy nie potrafią wyzbyć się własnej mentalności i zrozumieć atevich, podobnie jak niewątpliwie istnieją atevi uważający ludzkie zachowanie za kompletne szaleństwo. Nad nami wisi jednak statek, który opuścił planetę, gdy atevi dopiero budowali maszyny parowe. Teraz widzi on linie kolejowe, miasta, lotniska, elektrownie na Mospheirze i na kontynencie, ale nic mu to nie mówi; nikt na statku nie wie jakie to umowy pozwoliły na takie pokojowe rozwiązanie. Z wielkim żalem muszę wam powiedzieć o jak dotąd nieszkodliwej mniejszości urzędników w moim rządzie, o frakcji, która uznaje postulat separacji kulturowej w Traktacie za główny dogmat swojej wiary: nazywamy ich separatystami, lecz niektórzy z nich posuwają się o wiele dalej niż sama ochrona kultury i uważają, że ludzie powinni zabronić atevim dostępu do kosmosu, który wraz z zaawansowaną techniką uznają za wyłącznie swoje dziedzictwo. Być może widzą w statku szansę na odzyskanie przeszłości. Mogą próbować przekonywać załogę statku, że jestem naiwnym głupcem i że są zagrożeni przez atevich, którzy według nich zawsze chcieli zniszczyć ludzką kulturę. Statek nie stanowi najpoważniejszego niebezpieczeństwa. Leży ono w podsuwaniu lekkomyślnej mniejszości mojego własnego ludu na tym świecie przekonania, że będą mieli inne możliwości oprócz negocjacji z atevimi, jeśli uda im się zwieść załogę statku co do ich przekonań, a szczególnie, jeśli uda im się umieścić na stacji kogoś wyznającego ich poglądy.

Nie wyśledziłem dokładnie pochodzenia ruchu separatystów ani nie przeanalizowałem jego składu; w gruncie rzeczy większość członków nie przyznaje się do swoich przekonań. Przypomnijcie sobie jednak, że stację trzeba było opuścić z powodu awarii układów i braku surowców; że frakcja, która chciała, żeby utrzymywać stację, jest tu z nami na planecie, a myślę, że istnieje dość duże prawdopodobieństwo, iż prokosmiczny ruch znajduje zwolenników wśród ludzi pragnących powrócić w kosmos. Oni właśnie mogą dać się zwabić w patronat z separatystami, bo separatysty mogliby zaproponować im powrót na stację. Trochę tu spekuluję, ale obawiam się, że obie te grupy,

połączone wspólnym celem powrotu ludzkości w kosmos, mogą nagle zapalać chęcią wejścia w patronat. Ze względów moralnych jestem całkowicie przeciwny powrotowi garstki Mospheiran w kosmos dzięki pożyczonej technice i zawieraniu przez nich układów zwracających załodze statku władzę polityczną. Program kosmiczny wypracowany na tym świecie musi być wspólnym programem ludzi i atevich, podobnie jak wspólna musi być kontrola nad stacją.

Wiem, że niektórzy atevi pytają, po co w ogóle jest im potrzebna obecność ludzi? Owszem, w idealnej sytuacji żaden człowiek nie wylądowałby na tej planecie; lecz ponieważ ludzie nie mają w otaczającej przestrzeni kosmicznej żadnej innej planety, wokół której mogliby rozwinąć działalność, a znajdują się na orbicie tej planety, to jest rozsądne, że statek, reprezentujący wiele aspektów wyższej techniki, na które tego świata jeszcze nie stać, prowadzi działalność mającą związek ze światem atevich. Dlatego atevi koniecznie powinni mieć głos w związanej z kosmosem działalności ludzi.

Nadiin, nie zamierzam pozwolić, by ludzka mniejszość występowała w roli jedyne go głosu przemawiającego w imieniu tej planety. Pragnę uczynić z Traktatu obowiązujący patronat ludzi i atevich.

Chcę tłumaczyć dla statku atewskie głosy, ponieważ nie chcę dopuścić do tego, by bez względu na żądania statku czy posunięcia prezydenta albo jakichkolwiek mospheirańskich frakcji statek działał w niewiedzy, która doprowadziła do Wojny Lądowania.

Znam mentalność ludzi, nadiin. Zapewniam was, że podobnie jak jestem pewien tego, że jutro wszędzie słońce, tak wiem, że załoga statku ani trochę nie będzie naiwna ani w stosunku do ludzi z Mospheiry, ani do atevich. Każdej mospheirańskiej frakcji będzie bardzo trudno przekonać statek, że nie kieruje się ona ukrytymi motywami, oraz namówić jego załogę do jakiegokolwiek działania, nie tylko dlatego, że statek będzie podejrzewał istnienie frakcji, ale dlatego, że na nim samym mogą istnieć wewnętrzne stronnictwa, które, jeśli staną po stronie tej czy innej frakcji mospheirańskiej, mogą całkowicie uniemożliwić podjęcie decyzji i stworzyć nowe patronaty o potencjale bardzo groźnych kompromisów.

Dlatego przewiduję, że ludzki rząd na Mospheirze zareaguje na dowody podziału wśród atevich paraliżem ze swojej strony i gorączkową aktywnością osób pozbawionych władzy, co nie doprowadzi do podjęcia jakiegokolwiek rozsądnej decyzji.

Zalecam zatem, nadiin, aby, mówiąc do ludzi na statku i na Mospheirze, atevi byli jednogłośni, aby wasze wewnętrzne podziały i debaty pozostały ściśle tajne i dopóki Mospheira i statek nie osiągną kompromisu, abyście traktowali je jako dwie oddzielne jednostki. Zalecam, byście potwierdzili - nie zażądali - lecz potwierdzili jako fakt swój równy udział w stacji kosmicznej... na początek.

Zalecam, żebyście odezwali się do statku bezpośrednio i jak najszybciej. Ja jestem paidhim ustanowionym na mocy Traktatu do pośredniczenia w kontaktach między Mospheirą i atevimi Patronatu Zachodniego. Proszę Patronat, by ustanowił mnie paidhim do pośredniczenia w kontaktach ze statkiem. Taki trójstronny układ - człowiek zawsze zdawał sobie sprawę z tak nader ważnych liczb - umieszcza Patronat Zachodni na równi z Mospheirą, która już wyznaczyła przedstawicieli do rozmów ze statkiem. Statek wie, że zanim podejmie racjonalne działanie, będzie musiał zrozumieć zarówno Mospheirę, jak i atevich. Permutacje stron dodatnich i ujemnych, zysków i strat, w takim układzie są złożone i jestem przekonany, że atevi potrafią zapewnić sobie równą przewagę, szczególnie zawierając układy z wybranym rządem Mospheiry oraz z władzami statku. Znow trójstronna stabilność.

Mam nadzieję, że przychylnie potraktujecie sprawy, które wam tu przedstawiłem, panowie Patronatu, czcigodni przedstawiciele prowincji, aiji-ma. Dziękuję. Proszę o pytania.

Już, pomyślał Bren. Złożył przepisowy formalny ukłon i nagle poczuł, że brakuje mu tchu, spocily mu się dłonie, a w pamięci, jakby nie miał innych

wspomnień, mignął mu obraz Barb na nartach - jej śmiech, cała ta biel i świat rozciągający się w nieskończoność - tamten czas, tamta szansa, tamto życie...

Wspomnienia odeszły - przy obecnych jego posunięciach może nawet na dobre.

A wraz z ich odejściem przyszły pytania: Co teraz? Dokąd teraz? oraz trawiący strach, że w swojej ocenie nie był całkowicie obiektywny, kiedy właśnie, niech Bóg go ma w swojej opiece, najbardziej obiektywizmu potrzebował.

Powoli zaczął narastać pomruk komentarzy, charakterystyczny dla atewskich słuchaczy, a potem Bren usłyszał czyjś głos:

- Nand' paidhi. - Był to zasłużony członek tashridu, który zgodnie ze zwyczajem panującym w obu izbach wstał, by zadać pytanie. - Czy twój prezydent zlecił ci to działanie przeciwko ludzkim interesom w jakimś poczuciu liczbowej równowagi?

Międzykulturowe pole minowe. Czy ludzki rząd znalazł dla tej całej sytuacji nieharmonijne liczby czy może chce je stworzyć dla atevich? A džen-telmen z tashridu doskonale wie, że ludzie nie liczą - dawał wyraz paranoi atewskich wieśniaków i popisывał się przed telewizją.

Bren też to potrafił.

- Panie Aidin, w żadnym wypadku nie widzę sprzeczności między interesami Mospheiry i atevich. Zważ także, iż mój rząd zwrócił mnie podczas kryzysu i w medycznych okolicznościach usprawiedliwiających mój pobyt na Mospheirze przez kilka tygodni, podejmując współdziałanie, ponieważ Tabini-aiji poprosił o mój powrót. Rząd wie, że gdyby nie było paidhiego albo aiji zerwałby stosunki z paidhi-następcą, co właśnie zrobił, nie byłyby możliwe żadne kontakty między atevimi i ludźmi. Gdyby Mospheira chciała zrobić ze mnie zakładnika i odciąć łączność, śmiało mogłaby to uczynić. Mój powrót, przewiezienie mnie wprost ze stołu operacyjnego na lotnisko, świadczy o niezwykle silnym pragnieniu ludzi utrzymania łączności z kontynentem i stanowczym uznaniu w aijim władcy Patronatu Zachodniego.

Pan Aidin usiadł, i tak zasiadł w umysłach podatnych na liczbowe spiski to, co chciał zasiał, niech go diabli; ale Bren też odegrał swój dramacik przed kamerami.

Wtedy, kontynuując bezstronną wymianę pytań, wstała nie znana Brenowi członkini hasdrawadu i spytała bez ogródek:

- Kto zatem, nadi, wysłał Hanks-paidhi?

Zwrócenie się per „nadi” do oficjalnego mówcy na podium nie było zbyt grzeczne i wywołało rzadko spotykane poruszenie w izbach, a także ostre spojrzenie Tabiniego.

Bren jednak odpowiedział atevie, która albo została obrażona przez Hanks, albo uważała ją za źródło wiadomości, co teraz stało się dla niej krępujące, skoro Hanks nie miała dostatecznych uprawnień.

- Zgodnie z Traktatem, nadi, jest tylko jeden paidhi. A, nadi, nadiin, Hanks jest moją mianowaną następczynią, niewątpliwie oszołomioną szybkością rozwoju sytuacji. Powinna była zostać odwołana, lecz wydarzenia zapewne wyprzedziły zwykły tok postępowania. Nie otrzymała jeszcze żadnych poleceń i czuje, że do czasu ich przybycia ma obowiązek tu zostać. Poprosiłem aijiego, by czasowo jej na to zezwolił. Jeśli masz jakieś wątpliwości, czy w tym przejściowym okresie paidhi otrzymuje twoje wiadomości, śmiało wysyłaj je powtórnie. Nie ma mowy o żadnym lekceważeniu z naszej strony, nadi.

Jakże spokojnie sformułowane. To było najbardziej pokrętne atewskie ostrzeżenie, jakie kiedykolwiek udało mu się wypowiedzieć, i Bren był w zasadzie zadowolony ze swego wystąpienia - zaszczepił w świadomości atevich informacje, w jaki sposób ludzie podejmują decyzje, a dzięki kamerom telewizyjnym informacje te dotrą także do atevich spoza hasdrawadu i tashridu. Jako człowiek miał możliwość wymigania się od pytań zwyczajowo zadawanych po wystąpieniu atewskiego mówcy, zobaczył jednak te kamery i, mimo że początkowo



go peszyły, jakoś mu się udało. Był przekonany, że atevi z prowincji powinni zobaczyć paidhiego i poznać jego twarz, jego reakcje i charakter.

- Nand' paidhi. - To odezwał się konserwatywny członek tashridu, wstając. - Co twoim zdaniem robi ten statek nad naszymi głowami?

Stary, bardzo stary pan Madinais, bezpośredni i niezwykle przyziemny w swoich postawach. Bren zawsze myślał o nim jako o szanowanym dziadku, lecz to fałszowało prawdę o prawdziwej władzy, jaką dzierżył Madinais dzięki swemu starszeństwu w całej sieci pomniejszych patronatów, z których wiele miało przyziemne cele, szerokie poparcie i dużą władzę.

- Panie Madinais, mogę się jedynie domyślać, ale osobiście uważam, że statek znowu się popsuł. Osobiście uważam, że udało się go naprawić, uruchomić i przyprowadzić do, jak miała nadzieję załoga, kwitnącej ludzkiej społeczności. Społeczność jest kwitnąca, lecz pojawienie się statku z pewnością skomplikowało jej sytuację.

Kręgi dysydenckie, niezbyt oddalone od pana Madinaisa, usiłowały w zeszłym tygodniu zabić Brena. Nie było w tym jednak nic osobistego.

- A co z zasadami handlowymi?! - zawołał jakiś członek hasdrawadu. - Co z negocjacjami?!

- Szczerze mówiąc, nadi, nie sędzę, żeby w rozmowach handlowych nastąpił jakikolwiek postęp, dopóki nie zostanie rozwiązana sprawa statku. Co prawda...

Poza zasięgiem telewizyjnych reflektorów jeszcze jeden ateva w hasdrawadzie wstał ze swego miejsca, co było niezgodne z zasadami.

Nerwy drgnęły, zawahały się przed ogłoszeniem alarmu. Padnij, mówiły Brenowi otrzymywane informacje; przodomózgowie twierdziło zaś, że to być może fałszywy alarm.

W tej chwili jakieś ciało uderzyło go niczym grom w obolały bok, a w salach zagrział i potoczył się echem strzał.

Bren leżał na boku z potłuczonym biodrem i guzem na głowie w miejscu, gdzie uderzył nią o podium. Był na wpół przygnieciony jakimś atewskim ciałem - nagle zdał sobie sprawę, że to Tano. Paidhi był wdzięczny, oszołomiony i zaniepokojony; nie widział Jago. Co prawda, widział niewiele poza podstawą podium i pełną niepokoju twarzą Tano patrzącego na izby. Bren nawet się nie poskarżył, że czuje ból - uwaga Tano była najwyraźniej wyczulona na jakiegokolwiek wrogie posunięcia - lecz treść rozmów na sali i ich ton świadczyły o tym, że jest co najmniej jedna ofiara śmiertelna i że kryzys został zażegnany, co oznaczało, że ofiarą jest osoba, która zagroziła paidhiemu.

Potwierdziło się to, kiedy Tano zaczął wstawać, przyklękając na jedno kolano.

Obiekt tak pełnej poświęcenia opieki wiedział, że wciąż nie powinien podnosić głowy i że może poprawić pozycję tylko z najwyższą ostrożnością. Czuł jednak przeszywający ból. Przy podium zbierali się członkowie obu izb oraz ochrona, wśród której znalazł się sam Tabini, co z pewnością oznaczało, że można wstać. Bren zaczął się podnosić, najpierw z pomocą Tano, potem Tabiniego, a w końcu jego ochroniarzy, którzy, trzymając go za rękę, bardzo uważali na bandaże i piankę.

- Bardzo przepraszam - powiedział ze skrępowaniem Bren, nie zdając sobie sprawy, że mikrofon jest włączony. Jego słowa rozbrzmiały w sali i wywołały śmiech. Co więcej, wywołały uroczyste, zgodne oklaski, co u atevich było oznaką oficjalnej aprobaty...

Nie mieli pewności, czy żyje. Cieszyli się, że nie zginął. Przynajmniej większość.

Mimo to najwyraźniej jeden głos był przeciw.

Migawka z sieci telewizyjnej pokazywała tygrysi skok Tano, który to widok raz po raz wstrząsał nerwami Brena, a kamera wewnętrzna pokazała strzelca posyłającego kulę w trzynastowieczny żyrandol, gdy Jago strzeliła mu

w głowę. Taśma została odtworzona, przewinięta i znów kilka razy odtworzona w zwolnionym tempie.

Bren oparł łokieć na blacie, podparł brodę i usiłował być obiektywny. Przecież widział już, jak ktoś strzela, widział rannych, czuł, jak ziemia drży mu pod nogami od wybuchów spowodowanych przez o wiele cięższą artylerię i powiedział sobie w duchu, że powinien potraktować to z ateuskim spokojem, jako że na posterunku ochrony jest bezpieczny.

Wcale tego nie czuł.

Szef ochrony Bu-javid położył na biurku czarno-białą fotografię starszego mężczyzny, mężczyzny, który, jak się okazało powinien być rozsądniejszy.

- Przedstawiciel z Eighin - oznajmił szef - Beiguri, ród Guisich. Miałaś jakieś osobiste porachunki z tym atevą albo Guisimi?

- Nie, nadi. - Bren mówił słabym głosem. Wyprostował się na krześle, usiłując nie zwracać uwagi na ból potłuczonych żeber. - Znam go jako politycznego przeciwnika miast handlowych. Nigdy nie przejawiał podobnego zachowania. Nigdy nie był niegrzeczny...

Tabini był na sali, gwałtownie obstając za stanowiskiem Brena. Mówiło się o głosowaniu w sprawie reprezentowania atevich Brena w rozmowach ze statkiem, o debacie nad wystąpieniem z inicjatywą do Mospheiry. Policja i ochrona Bu-javid wyłapywała pomocników i personel biurowy Beiguriego.

Taśma opinająca żebra paliła ogniem. Bren miał nadzieję, że Tano nie zerwał szwów i nie strzaskał mu kości. Bolało. Chociaż Tano krążył opiekuńczo w pobliżu, Bren wolał opiekę Jago, która przynajmniej nie użyła go jako ładowiska. A Jago...

Bren uznał, że Jago przeżywa skutki zajścia, mając świadomość, jak łatwo mogła w pośpiechu chybić. Trzęsa się od nie uwolnionej energii i gniewu, które hamowała, skrzyżowawszy ramiona na piersiach. Bren był pewien, że chce przetrząsać biuro przedstawiciela w poszukiwaniu tego, co, według prawdopodobnie właściwej oceny Jago, może wpaść w nazbyt lekkomyślne ręce młodszych agentów ochrony.

Jago nie była przełożoną własnego zespołu. Prawdopodobnie martwiła się też o opinię Banichiego. Albo miejsce jego pobytu.

Albo wiedziała, gdzie jest Banichi. I mimo to martwiła się.

Na posterunek przyszło jeszcze kilku wywiadowców z wiadomością, że biuro zgonów zabrało ciało. Szanowany i rozsądny ateva, ojciec dzieciom, wybrany przedstawiciel swojej prowincji zginął, usiłując odebrać paidhiemu życie.

Bren zadrżał. Tano położył mu na ramieniu dłoń i spierał się z policją, że paidhi będzie całkowicie bezpieczny na górze we własnym łóżku i że powinien się tam jak najszybciej znaleźć.

- Aiji... - zaczął szef policji.

- Znamy rozkazy aijiego - ucięła Jago, odrywając wzrok od bez przerwy odtwarzanej taśmy. - Ponosimy też odpowiedzialność, nand' Marin. Paidhi miał dzisiaj bardzo długi dzień, a wczoraj jeszcze dłuższy. Jeśli paidhi życzy sobie udać się na górę...

- Paidhi sobie życzy - rzekł Bren. Wstał, chcąc przyśpieszyć sprawę. Marzył o swoim pokoju, swoim łóżku, o spokoju.

Miał już dosyć telewizyjnego obrazu zamachu.

Nie postawiłby złamanego grosza na swoją szansę przetrzymania pytań policji i nie kończącego się odtwarzania całego zajścia, które przybrało w jego wyobraźni surrealistycznie zwolnione tempo.

Uznawszy jednak, że występowanie niemożliwych rzeczy jedna po drugiej stało się regułą, musiał to zrobić i koniec. Jago zapewniła go, że będzie musiał tylko przejść do windy - prasa otrzymała zakaz wstępu do tych pomieszczeń - Tabini-aiji zajmie się reporterami podczas konferencji prasowej zaplanowanej po wystąpieniu Brena, i droga na górę do jego pokoju i łóżka jest następnym punktem programu.

Dotarł do windy i znalazł się w kabinie sam na sam z Jago i Tano, z ulgą oparł się o ścianę. Tano nic nie mówił, a Jago wciąż była ponura i zła.

- Dziękuję - powiedział do nich Bren. Nie był pewien, czy przedtem jakoś udało mu się wyrazić wdzięczność.

- To moja praca, nadi - mruknęła Jago nieco szorstko, o ile człowiek potrafił to ocenić. Jeśli człowiek ocenił to trafnie, to według niego Jago pograżyła się we własnych ponurych myślach - może o miejscu pobytu Banichiego i o tym, że musiała zaryzykować daleki strzał, niech Bóg ma ich w swojej opiece, w rządowym pomieszczeniu? Może otrzymała naganę od przełożonych? Bren nie był pewien.

Bardzo to nim wstrząsnęło. Zburzyło całe jego rozumienie sytuacji. Zauważył, że Jago wciąż ma jego komputer, wciąż go ze sobą nosi. Jago nie popełnia błędów. W chwili, kiedy zabijała atevę, opiekowała się komputerem Brena i ani na chwilę nie straciła go z oczu.

Nie mógł tego o sobie powiedzieć paidhi, który stał wyprostowany, zastanawiając się, dlaczego ktoś wstał poza kolejnością - Bren stał jak dureń i zmusił Jago do oddania tego rozpaczliwego strzału.

Winda zatrzymała się na trzecim poziomie. Przeszli przez hol z porcelanowymi kwiatami: zwykły powrót do domu, jakby wracał po dniu spędzonym w biurze, pomyślał Bren z pełnym oszołomieniem dystansem, zatrzymując się przed drzwiami, które Jago musiała otworzyć swoim kluczem wyłączającym urządzenie.

Po drugiej stronie, w jasnym pozłacanym foyer, stała Saidin - uosobienie atewskiej poprawności - żeby wziąć od Brena kaftan.

- Tylko łóżko, nand' Saidin - powiedział. - Jestem bardzo zmęczony. - Celowo nie spojrzął na koszyk z wiadomościami. Nie chciał patrzeć.

- Myślę - powiedział, odhaczając w duchu listę spraw, które uznał za absolutnie priorytetowe - myślę, że muszę jeszcze dziś odpowiedzieć na wiadomość wdowy. Może powinniśmy jak najszybciej porozmawiać?

- Potrzebujesz odpoczynku - rzekła surowo Jago.

- Dobra wola wdowy ma zasadnicze znaczenie - odparł. - Jutrzejszy ranek będzie bardzo odpowiednią porą. Jeśli będą jakieś reperkusje - nie mogę pozwolić, by wdowa interpretowała moje milczenie i nieobecność, Jago-ji. Mam wrażenie, że rozumiem tę kobietę.

Jago zastanawiała się. Wciąż nie była zadowolona. A może się martwiła.

- Istnieje niebezpieczeństwo, nadi. Wiesz, że nie mogę tam pójść.

- Nie sądzę, żeby byli gotowi na otwarte działanie, jestem zatem bezpieczny.

Jago nie była uszczęśliwiona. Nic a nic.

- Przekażę twoją wiadomość - rzekła. A więc Jago uznała jego logikę za możliwą do przyjęcia. Bren uważał, że ma rację.

Widzialny wszechświat skurczył się jednak do najbliższego otoczenia foyer, a poczucie równowagi Brena nie było już pewnikiem - może sprawiła to ulga, a może po prostu wyczerpanie. Czuł się dość słabo i trudno mu było odychać w pancerzu z bandaży.

- Położę się więc do łóżka - oznajmił. - Miałem chyba długi dzień.

- Nand' paidhi - powiedział Tano i poszedł z nim.

Bren był zdumiony, że udało mu się zejść z podium, nie padając na twarz.

Na szczęście sypialnia była już blisko, a do pomocy miał nie tylko Tano, ale i grupkę służących, które chwytały brudne ubranie, cicho wyrażając radość, że paidhiemu nic się nie stało. Wcześniej oglądały telewizję. Były przerażone tym, co się stało.

Jak dotąd nie miał recenzji swego zachowania.

- Nadiin - zapytał - czy słyszałyście, co mówiłem? Czy wydało się to rozsądne?

- Nand' paidhi - odpowiedziała jedna ze służących, wyraźnie zaskoczona - nie nam wyrażać opinii na ten temat.

- Jeśli paidhi zapyta.  
- To była bardzo dobra przemowa - odezwała się inna służąca. - Bajinaji, nand' paidhi. Ja nie rozumiem tych ludzkich problemów.  
- Twoi przodkowie bardzo ryzykowali, schodząc tu do nas - powiedziała inna ateva.  
A trzecia dodała:  
- Ale gdzie jest to niebezpieczne miejsce, nand' paidhi? I gdzie jest ludzka ziemia? Gdzie był statek?  
- Bardzo chciałbym to wszystko wiedzieć, nadi. Paidhi nie wie. Nie wiedzą tego najmądrzejsi ludzie na Mospheirze.  
Któraś ze służących uniosła rękę, ogarniając nią wszystko, co znajduje się nad głową.  
- Nie możecie jej odszukać przez teleskopy?  
- Nie. Znaleźliśmy się bardzo, bardzo daleko od miejsca, z którego zaczęliśmy podróż. A w górze nie ma żadnych drogowskazów.  
- Poleciałbyś tam, gdybyś mógł, nand' paidhi?  
Miał przed sobą pół tuzina poważnych kobiecych twarzy, ciemne, wysokie atevy, niektóre stały, niektóre klęczały. Był przybyszem. Czuł się bardzo obco w tym apartamencie.  
- Urodziłem się na tej planecie - odparł ze znużeniem. - Chyba nie czułbym się tam swobodnie, nadiin.  
Twarze nie zdradzały niczego.  
- Żałuję - ciągnął zmęczonym głosem - żałuję tego, co się dzisiaj stało. To był szanowany ateva, nadiin. Żałuję, bardzo żałuję, że zginął. Proszę, nadiin, jestem bardzo zmęczony. Muszę się położyć.  
Nastąpiły liczne ukłony, po czym służące wyszły. Jedna odwróciła się jednak przy drzwiach i skłoniła się.  
- Nand' paidhi - rzekła - trzymamy twoją stronę.  
Inna zatrzymała się i ukłoniła, a po chwili wszystkie z powrotem stanęły w drzwiach, jedna przez drugą życząc mu wszystkiego najlepszego i wyrażając nadzieję, że będzie mu się dobrze spało.  
- Dziękuję, nadiin - powiedział Bren i zaczął mościć sobie grajdołek z poduszek, żeby móc wygodnie oprzeć ramię. Służące wyszły do centralnego holu.  
Po chwili Brena dobiegły stamtąd gorączkowe szepty o jego białej skórze i sińcach, których, jak przypuszczał, zapewne mu przybyło, a także uwagi na temat jego żartu, kiedy Tabini pomagał mu wstać, oraz jego zimnej krwi.  
Żartu?  
Nie pamiętał, żeby mu poszło aż tak dobrze. Bał się jak diabli. Musiał poprosić Tano o pomoc, żeby zejść ze stopni. Kiedy szedł przejściem między fotelami, trzęsły mu się kolana, bo wiedział - wiedział! - że próba zabójstwa była skierowana nie tylko przeciwko jego osobie, którą można było zastąpić, ale przeciwko całemu ustalonemu porządkowi. Atevi to wiedzieli. Rozumieli, co ta kula miała zniszczyć...  
Cholera, powiedział sobie w duchu wyczerpany, tak wyczerpany, że mógłby wsiąknąć w materac. Niestety, niech to diabli, umysł groził, że się obudzi.  
Bren zaczął analizować w myślach swoją mowę, próbę zabójstwa, przesłuchanie, zadając sobie pytanie, co podejrzewa policja i co miała na myśli.  
Poprawił zbite poduszki, wepchnął sobie ich więcej pod rękę i opadł na nie, pytając się w duchu, czy może mu pomóc aspiryna.  
Stopniowo myśl ta jednak bladła coraz bardziej; żebra przestały go boleć, bo poduszki nie pozwalały taśmie wrzynać się w ciało. Bren nie był pewien, czy to sen, ale miał coraz mniej myśli i nie zamierzał się poruszyć, skoro już znalazł położenie redukujące ból.

W Shejidan nie było widać orbitującego statku. Światła miasta przyćmiewały wszystkie słabsze gwiazdy - jeśli tylko niebo było czyste, na co się zapowiadało. Nad miasto powróciło spóźnione letnie ciepło, a górskie wiatry przesuwały na zaróżowionym, jakby posiniaczonym porannym niebie kilka pasm ciemnych chmur.

Ilisidi lubiła świeże powietrze, i śniadanie jadła na balkonie, tak jak w Malguri; Bren mimowolnie pomyślał o zastrzeżeniach Banichiego co do balkonu w apartamencie pani Damiri, który, jeśli podnieść wzrok, siedząc przy stole, znajdował się zapewne bezpośrednio nad nim.

Ta wyprawa na poniekąd wrogie terytorium powinna u zdrowego człowieka wzbudzić wątpliwości i Bren miał ich sporo po drodze na śniadanie, ale doznał też fatalistycznego poczucia ciągłości, powrotu spraw na stare tory, co przywołało żywy obraz Malguri. Kiedy jednak znalazł się na miejscu, trema zniknęła i Bren był zadowolony, że przyjął zaproszenie. Otoczona służbą i ochroniarzami stara ateva siedząca naprzeciw niego wyglądała na tak delikatną, że mogłaby ulecieć z wiatrem. Cenedi, szef ochrony Ilisidi, stał przy niej w takiej samej pozycji, jaką przyjmował względem Tabiniego Banichi, kiedy nie był zajęty pilnowaniem paidhiego.

Banichiego tu nie było. Banichi jeszcze nie wrócił; do rąk Cenediego odstawiła Brena Jago, a Cenedi doprowadził go do Ilisidi. Cenedi kierował każdym snajperem mającym powód do zainteresowania się balkonami Bu-javid i potraktowałby bardzo osobiście złamanie jego rozkazów; podobnie jak Jago i Banichi, Cenedi był zabójcą Gildii. Z tego właśnie powodu Bren czuł się bezpiecznie w jego rękach, i to nie dlatego, że Cenedi przypadkiem był jego dłużnikiem, lecz dlatego że w razie zawodowego zlecenia osobisty dług nie miałby u Cenediego najmniejszego znaczenia.

Tak więc paidhi siedział z aiji-wdową, będącą najbardziej bezpośrednim arbitrem życia i śmierci, a prawdopodobnie także współniczką atevy, który chciał go zabić zeszłego wieczoru, przy stole na balkonie, który zdaniem Brena był równie bezpieczny i wcale nie bezpieczniejszy niż jego własny balkon powyżej. W pokoju za nimi wydymały się białe zasłony, szarpane porannym wiatrem pozbawionym zimnej podszewki deszczowych poranków w Malguri. Zamiast tego przynosił on ciężki zapach tropikalnych kwiatów diossi, rosnących gdzieś w pobliżu, być może na sąsiednim balkonie.

Potencjalni wrogowie najpierw napili się herbaty.

A potem rozmawiali o drobiazgach.

- Bardzo boli? - zapytała wdowa.
- Nie bardzo, nand' wdowo. Nie często.
- Wydajesz się roztargniony.
- Rozmyślałem, nand' wdowo.
- O narzeczonej?

Niech diabli tę kobietę. Niewątpliwie gdzieś powstał przeciek i nie było nic przypadkowego w tym, że Ilisidi wybrała na rozpoczęcie rozmowy tę sprawę; mogło to być gestem dobrej woli w stosunku do paidhiego.

Zdecydowanie była to demonstracja jej zdolności penetracji prywatnego życia bliskich Tabiniego.

- Nie mogę się skarżyć na jej posunięcie, nand' wdowo. - Czerpał satysfakcję z faktu, że nie okazał cienia emocji przy złośliwej starej weterance.

- Z całą pewnością miała do niego prawo.

- A zatem bez urazy.

- Najmniejszej, nand' wdowo. Wciąż darzę ją głębokim szacunkiem. Z pewnością by mi o tym powiedziała, ale, jak wiesz, pewne interesy - dla ironii zrobił przerwę - zatrzymały mnie po tej stronie cieśniny. To z pewnością leży u podłoża jej zastrzeżeń co do mojej osoby.

- Ta kobieta jest idiotką - orzekła Ilisidi. - Taki przystojny młody człowiek.

Nie kwestionowało się zdania wdowy. Oczy Ilisidi, po dwakroć niech ją diabli, lśniły ciepłem i zadowoleniem, a na jej cienkich, pomarszczonych wargach zagościł ledwie widzialny uśmiech.

Powiedział grzecznie:

- Jestem pewien, że moja matka myśli podobnie, nai-ji. Podobnie jak Jago. Obawiam się jednak, że obie są stronnicze.

Służący postawił dwa talerze z jajkami, dziczyzną - na pewno odpowiednią do sezonu - i bułeczkami; bułeczki zawsze były bezpieczne.

- Ludzkie postępowanie i ludzkie wybory - rzekła Ilisidi. - Nic cię nie łączy z tą przyslaną kobietą?

- Z Deaną Hanks.

- Z tą kobietą, powiadam.

- Zupełnie nic. Zapewniam wdowę, że nie interesuję się nią w najmniejszym stopniu.

- Szkoda.

- Nie sądzę, nand' wdowo. - Posmarował bułeczkę śmietaną, a przynajmniej spróbował to zrobić. Służący dyskretnie mu pomógł i Bren zdał się na niego.

- Jakież to niewygodne.

- Brak wdzięku u mojej współpracownicy czy złamana ręka?

Rozbawiło to Ilisidi. Przyprószona siwizną brew drgnęła na nieporuszenie poważnej, czarnej twarzy. Zabłyśły złociste oczy.

- Ręka. Kiedy pozbędziesz się tej niewygodnej rzeczy, nadi?

- Nie wiem, aiji-ma. Dali mi instrukcje. Wyznaję, że ich nie przeczytałem.

- Brak zainteresowania?

- Brak czasu. Zupełnie zapomniałem je przeczytać. - Lody zostały przełamane i można było rozmawiać na inne tematy. Bren skierował rozmowę w interesującym go kierunku. - Twój wnuk bardzo chciał mieć mnie z powrotem.

- Mój wnuk wymieniłby za ciebie trzech panów i posiadłość, nand' paidhi. Mocno się z nim targuj.

- Wdowa jest niezwykle uprzejma.

- Bądźmy praktyczni. Mamy na niebie jakiś cholerny obcy statek, panowie z prowincji wywołali rewoltę, ktoś próbował cię zabić, religijnie nastawieni atevi widzą w liczbach znaki, a telewizja nic nam nie mówi. Nocami na dachach przesiadują durnie z lornetkami i strzelbami.

- Gdybyś sięgała wzrokiem na Mospheirę, zobaczyłabyś to samo, aiji-ma. Tak jak powiedziałem na wspólnym posiedzeniu, zdania co do potencjalnych korzyści są ogromnie podzielone.

Ilisidi lekko przechyliła głowę. Bren doszedł do wniosku, że gorzej słyszy na jedno ucho; a z pewnością Cenedi czający się przy podwójnych drzwiach zauważał modulację głosu, wszelkie niuanse, wszystko to, co zostało i nie zostało powiedziane.

- Nand' paidhi - powiedziała wdowa - powiedz mi śmiało to, co chcesz powiedzieć tego ranka. Jestem ciekawa.

- Mam prośbę.

- Słucham.

- Żeby wdowa użyła swych wpływów do zapewnienia Patronatowi stabilności. Wiem, co to oznacza. Wiem też, że jak nikt inny rozważyłaś tego koszty, nand' wdowo.

Dotknął starą kobietę do żywego. Zobaczył, jak oczy Ilisidi ciemnieją pod wpływem przelotnej myśli, zobaczył na jej twarzy mapę lat i wyborów, blizny bardzo długiej walki atewskiego sumienia.

Za pomocą dwóch słów i umiejętności stojącego za nią zabójcy ta kobieta mogła rozbić Patronat, zniszczyć pokój, obalić panów i unicestwić wszystko, co mieli do dyspozycji ludzie zainteresowani utrzymaniem pokoju.

A ona się od tego powstrzymała. Atewska arystokracja nie lubiła sobie niczego odmawiać, natomiast ogromnie ceniła sobie reputację i szacunek. Albo wywoływany przez siebie strach.

Hasdrawad dwukrotnie odrzucił roszczenia Ilisidi do pozycji aijiego Patronatu, który skutecznie kierował sprawami atevich. Została pominięta jako osoba zbyt skora do ograniczania ambicji innych panów. Grożąca wywołaniem wyjątkowych kłopotów.

Członkowie hasdrawadu nie bardzo rozumieli osoby, które wynieśli na stanowisko aijiego, widząc w nich bardziej pokojowo (taką mieli nadzieję) nastawionych administratorów: najpierw jej syna, a potem Tabiniego. O, jakże to bolało - jej wnuk Tabini uważany za zacnego, hojnego, mądrego władcę.

Poprosić 'Sidi-ji, żeby pozostała dla potomności niewidocznym graczem?

- Nie zasztyletowałam burmistrza ani nie posoliłam wina - mruknęła Ilisidi. - Powiedz mojemu wnukowi, że oczekuję od niego, nand' paidhi, podobnie dobrego sprawowania. - Nic nie mogło stępić apetytu Ilisidi. Z jej talerza zniknęły już cztery jajka. Postukała nożem w porcelanę i służący szybko nałożył jej jeszcze dwa. - Jajek, nand' paidhi?

- Dziękuję, nand' wdowo, ale na razie muszę uważać na żołądek.

- Mądrze. - Kolejne stuknięcia ostrzem noża, tym razem w dzbanek do herbaty. Pusty natychmiast zniknął, a na jego miejsce pojawił się inny, z którego służący zaraz zdjął ocieplacz i napełnił filiżankę wdowy. - Nie martwisz się zeszłym wieczorem.

- Żałuję, że ktoś stracił życie.

- Głupcy.

- Najprawdopodobniej.

- Takie akty rodzą się z niepewności. Debata, do diabła. A cóż innego można zrobić oprócz porozumienia się z tymi ludźmi? Za czym oni głosują?

- Całkowicie się zgadzam, nand' wdowo.

- Zdumiewa mnie, nand' paidhi, że przy każdym zwrocie naszych spraw, właśnie kiedy osiągnęliśmy upragnioną jedność i rozwinęliśmy możliwości przyjęcia techniki, którą moglibyśmy rozwinąć samodzielnie - proszę, oto spadacie z nieba i dajecie nam - co? - telewizję i gry komputerowe? A przy drugiej okazji dostosowania warunków Patronatu, kiedy jednocześnie dążymy do wyjścia w kosmos, pojawia się na niebie ten statek i nadchodzi kolejny kryzys. To są dla atevich cholernie ważne sprawy, nand' paidhi, które wielokrotnie były odkładane na bok w imię jedności w obliczu wtargnięcia ludzi, sprawy nie mające dla ludzi żadnego znaczenia, lecz olbrzymią wagę dla atevich. I to nie tylko dlatego, że hasdrawad uważa mnie za krwawą despotkę, nand' paidhi, bez względu na to, co mogłeś usłyszeć od mojego wnuka, którego palce są oczywiście czyste; przyczyny, dla których zostałam pominięta, o wiele więcej mówią o klimacie politycznym czasów, gdy zginął mój syn, pozostawiając Tabiniego i jego pomniejszych kamratów na pozycjach, z których mogli nas przegłosować. Zaczynamy więc od początku, nand' paidhi. - Nóż uderzył w talerz, wymuszając uwagę. - Słuchaj mnie. Słuchaj, paidhi-ji, do diabła. Prosisz o zaniechanie działań. Ja proszę o całkowitą uwagę.

Bren słuchał bardzo uważnie. Zrozumiał jednak wdowę.

- Słucham cię z najwyższą uwagą, nand' wdowo.

- Pamiętaj Malguri. Pamiętaj świat, jakim był. Pamiętaj wszystko, co powinno przetrwać.

- Całym moim umysłem, nand' wdowo. - To była prawda. Malguri znalazło stałe miejsce w jego myślach. Bren wiedział już, że zawsze tam będzie: wyniosłe urwiska, na wpół prymitywna, na wpół nowoczesna forteca, przewody elektryczne rozciągnięte wzdłuż starożytnych kamieni. Wi'itkitiin wołające na wieczerze, szybujące w dół urwisk.

Potęźni, groźni jeźdźcy na mecheitach, cienie na tle słońca.

- A mimo to jeszcze jeden raz - rzekła Ilisidi - hasdrawad każe mi się usunąć w imię postępu. Jestem stara, nand' paidhi. Moi towarzysze są starzy. Ile jeszcze lat będzie się nas słuchać? Ile jeszcze lat upłynie, zanim

wszystkim zawładnie telewizja, telefony i satelity i nie będzie już miejsca dla nas?

- Będą wi'itkitiin, nand' wdowo. Przyrzekam ci. Będzie Malguri. I Taiben. I inne miejsca, które widziałem. Jeśli potrafią oczarować takiego upartego jak kamień człowieka, to jak mogą im nie ulec atevi?

Przez chwilę Ilisidi nic nie mówiła, z nie widzącym spojrzeniem pograżona w myślach. Następnie powoli skinęła głową, jakby podjęła jakąś ostateczną decyzję, i rozprawiła się z kolejnym jajkiem.

- Dobrze - powiedziała - robimy, co możemy. W miarę możliwości. A co powiedziałbyś, nand' paidhi, tym atevim, tym ludziom siedzącym o świcie na dachach?

Pytanie, na które nie było jasnej odpowiedzi.

- Powiedziałbym, że nie powinni jeszcze wpadać w panikę. Powiedziałbym, że nikt na tym świecie nie zna odpowiedzi i że z całego serca będę przemawiał jako tłumacz aijiego, nand' wdowo, do tych ludzi na górze i na dole. I postaram się, żebyś o wszystkim wiedziała.

- Tak? Czy Tabini mi to gwarantuje?

- Nie wiem, dlaczego nie przeszkodził mi w tej wizycie.

- Spryciarz.

Dyskutuj z Ilisidi, a wystarczy, że będziesz jej dostarczał tylko drobne wskazówki. Wbrew sobie była rozbawiona.

- Na pewno znajdę jakiś sposób na przekazanie ci wiadomości, nand' wdowo. Bycie uczciwym to przerażające zadanie.

- Wśród głupców niebezpieczne.

- Ale ani ty, ani Tabini nie jesteście głupcami, nand' wdowo. Zatem moje życie spoczywa w twoich rękach.

- Nie chcesz odebrać żadnych długów, nand' paidhi?

- Byłbym głupcem. Jesteś także uczciwa.

- O, paidhi-ji. Nie rujnuj mojej reputacji.

Poruszała w nim tak niebezpieczne i ludzkie struny.

- Wdowa dokładnie wie, co robi - rzekł Bren - i świat o niej nie zapomni, nawet, gdyby nie zrobiła nic ponad to, czego już dokonała. Nie potrzebuje już nic więcej.

Brwi Ilisidi opuściły się, tworząc groźną linię, lecz nie trwało to długo.

- Jesteś godny potępienia, nadi. Nawiasem mówiąc, zeszłego wieczoru wspaniale się spisałeś. Nie mówię, że błyskotliwie, ale to omdlenie było spektakularne.

- Naprawdę nie pamiętam, co odpowiedziałem temu dżentelmanowi.

- To było cholernie lekkomyślne.

- Nie, szczególnie, że przyszedłem tam, żeby mówić prawdę. Za dużo tu stron, nand' wdowo. Bardzo trudno wyśledzić prawdę. A jeśli paidhi raz zacznie ukrywać prawdę, trudności, jakie mogę sobie sprawić, stworzą mi piekło. Proszę cię, nand' wdowo, nie przypisuj moim działaniom atewskich znaczeń. To bardzo niebezpieczne.

- Niedobry człowiek. Tak wiele potrafisz.

- Nand' wdowo, mówię poważnie, Malguri bardzo głęboko przemawia do ludzkich instynktów.

- Do ich chciwości?

- Wzbudza szacunek, nand' wdowo. Daje poczucie wieku, głębokich prawd. Budzi szacunek do tego, co stworzyły ręce, co przetrzymało burze, wojny i upływający czas. Przekonuje nas, że to, co robimy, może przetrwać i mieć znaczenie.

- To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam o ludziach.

- Zapewniam cię, że tak jest, nand' wdowo.

- Herbaty?

- Mam spotkanie, na które nie powinienem się spóźnić.

- Z moim wnukiem i komisją polityki?



- Wiadomości wdowy są, jak zwykle, dokładne. Czy mogę mieć prośbę?  
- Nie mówię, że ją spełnię.  
- To dla naszego dobra. Nand' wdowo, zawsze bądź ze mną szczerą. Cenię twoje interesy. Kiedy zauważysz, że błędzę, pozwól mi skorzystać z twojej rady, a ja przysięgam, że zawsze będę miał zaufanie co do herbaty przy twoim stole.

Ilisidi roześmiała się, błyskając białymi zębami.

- Pochlebca. Wyoś się.  
- Aiji-ma. - Naprawdę miał to spotkanie. Jago mu powiedziała. Wstał z wysiłkiem. Ukłonił się niezdarnie, a Cenedi odprowadził go do drzwi.

- Nand' paidhi - powiedział ateva, kiedy doszli do frontowego holu - uważaj na siebie. Na swobodzie grasują inni głupcy.

- Czy to konkretna groźba?

- Nie mogę wymienić nazwisk.

- Wybacz mi. - Bren nie znał zasad funkcjonowania Gildii.

Cenedi wzruszył ramionami, unikając jego spojrzenia.

- Mój zawód nie pozwala spłacać długów, nand' paidhi. Zrozum. Zapytaj Banichiego.

- Nie widziałem go od pewnego czasu.

- Nie jest to bez związku.

- Sprawy Gildii?

- Możliwe.

- Czy grozi mu niebezpieczeństwo?

Dotarli do drzwi, przy których stało dwóch ochroniarzy Ilisidi - atevi, których Bren znał, z którymi polował i jeździł na mecheiti.

- Nigdy nie martw się o nas - rzekł Cenedi. - Mogę tylko powiedzieć, że głupcy wykonali ruch - niektórzy z nich to martwi głupcy - i że są w naszej Gildii głosy przemawiające za paidhim. Zostały zaproponowane kontrakty, lecz je przegłosowano. Powiedziałem już więcej, niż powinienem. Zapytaj Banichiego. Albo Jago. Ich man'chi jest związane z tobą.

- Jestem ci bardzo wdzięczny za troskę, nand' Cenedi.

- We wszystkich sprawach otrzymuję polecenia od aiji-wdowy. Zrozum to. W mojej Gildii przysługa nic nie znaczy. Jeśli jednak paidhiemu stałoby się coś w Shejidan nie z wyraźnego rozkazu wdowy, niektóre osoby z Gildii przyjęłyby osobisty kontrakt.

- Nadi, myśl o tym głęboko mnie wzrusza.

- Czy rozumiesz, nand' paidhi, jaki ciężar nałożyłeś na 'Sidi-ji?

- Nie - odparł Bren. - Żadną miarą nie jestem w stanie tego zrozumieć, nandi, ale nie mogę od tego odstąpić, bo od niej zależy pokój. Nie wątpię, że potrafi rządzić Patronatem, ale ma ważniejszą rolę w tych wydarzeniach. Wiesz to i ty, i ja, a ja nie mogę jej tego powiedzieć, nadi, choć bardzo bym chciał. Wyrzuciłaby mnie za drzwi. I słusznie, za bezczelność.

- 'Sidi-ji zna swoją miarę - rzekł Cenedi. - I wartość. Broni się bardzo dobrze. Chodź, odprowadzę cię na neutralny grunt, nadi.

- Gdzie jest Banichi, nadi? - Bren zapytał ostro Jago, kiedy odebrała go po posiedzeniu komisji na dole.

- W tej chwili?

- Nie zbywaj mnie, Jago-ji. Cenedi mówi, że są kłopoty. Sprawa w Gildii. Że powinienem zapytać ciebie i Banichiego. Czy tam właśnie jest Banichi?

- Banichi zajmuje się sprawami Gildii - odparła Jago, po raz pierwszy cokolwiek przyznając.

- W związku ze mną?

- Możliwe.

- Czy to powód do zmartwienia?

- To powód do zmartwienia - rzekła Jago.

- Więc dlaczego nie możesz mi powiedzieć?

- Żeby cię nie martwić, nadi.

- Może zauważyłaś, że już się martwię. Chyba mam do tego powody. Czy grozi mu niebezpieczeństwo?

Jago nie odpowiedziała. Doszli do drzwi i przez kieszonkowy komunikator Jago poprosiła Tano, który był po drugiej stronie, żeby otworzył.

Bren powiedział cicho, stojąc obok Jago:

- Wdowa wiedziała, że Barb zerwała ze mną.

Rzuciwszy ten kamień do stawu, dał Jago osobny powód do zmartwienia. Zmartwiła się. Rzuciła mu spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Jak myślisz, skąd? - zapytał Bren, gdy Tano otworzył.

Jago nie odpowiedziała. Weszli do środka; służące chciały odebrać od Brena kaftan.

- Nadiin - powiedział do nich - wezmę tylko robotę. Wstąpiłem po drodze do mojego biura na dole.

- Nadi - zganiła go Jago.

- Do mojego biura - powtórzył. Nigdy nie przeciwstawił się Jago. Nigdy też jednak Jago nie wydawała mu poleceń nie związanych z jego obowiązkami.

- Nie, nadi - powiedziała Jago. - Nie mogę ci na to pozwolić.

- A gdzie mam pracować?

- Człowiek ma ten dość obszerny apartament, nand' paidhi, w którym, co mogłabym paidhiemu przypomnieć, są odpowiednie pokoje i wyposażenie.

Zatkało go - przestraszył się własnego położenia: Jago robi z niego niewdzięcznika albo osobę zachowującą się nie całkiem rozsądnie lub nie mającą racji. Jest tak dużo, tak cholernie dużo do zrobienia; trzeba napisać sprawozdania, przygotować oświadczenia...

Cenedi ostrzegł go, że przed Gildią Zabójców stanęły poważne sprawy, którymi według ostrzeżenia Jago zajmuje się Banichi.

Zeszłego wieczoru zginął ateva - według wszelkich informacji, jakie na ten temat posiadał Bren - porządny ateva; Bren miał długi ranek, odbył wyczerpujące, nudne posiedzenie roztrząsające szczegóły i ewentualności, co oznaczało jedynie kolejne listy do napisania; miał stertę listów do napisania i żadnego personelu biurowego, bo paidhi nigdy go nie potrzebował, ponieważ niewiele osób musiało kontaktować się z paidhim - który czuł się bezpieczny w małym biurze na poślednim stanowisku w Bu-javid, wykonując rutynowe zadania, przeglądając manifesty handlowe i długoterminowe plany społeczne, zanim ludzki statek nie postanowił zatrzymać się przy ludzkiej stacji i tysiącrotnie rozmnożyć korespondencję Brena oraz jego kontakty, absolutnie - absolutnie! - nie pomnażając jego środków. Nie widział żadnego sposobu przekopania się przez tę stertę papieru, otrzymał trzy nowe zadania na spotkaniu z panami Patronatu zadającymi pytania, na które potrafił odpowiedzieć, ale najpierw musiał się upewnić co do liczbowej pomyślności opisywanych przez nie sytuacji. I bez tego był zdesperowany, a tu jeszcze nagle zobaczył, że całą jego pracę ograniczają mu Jago, Cenedi, Banichi i Tano, zabójcy i środki ostrożności, brak warunków do wykonania tego, co musi zrobić. Sama korespondencja piętrzy się do...

- Bardzo mi przykro - odezwała się cicho Jago - i mówię to z całym szacunkiem, ale nie mogę pozwolić, aby paidhi znalazł się na nie strzeżonym terenie.

Bren pomyślał, że tego ranka na nie strzeżonym terenie poszło mu dość dobrze. Zjadł śniadanie z Ilisidi z poczuciem, że coś osiągnął; być może udało mu się nakłonić do rozsądnego postępowania drugą stronę rządu cieni, który niewątpliwie pchnął do działania jego niedoszłych zabójców, siłę, która ledwie utrzymywała w ryzach politycznych przeciwników aijiego, tak jeszcze niedawno otwarcie zbuntowanych. Teraz czekali. Byli niebezpieczni. Ale, do diabła, wypił herbatę wdowy. Jakoś...

...dochodzili do porozumienia.

Znów ten rozziw. Emocjonalna pułapka. Cenedi wciągnął go w sam jej środek. Bren nie sądził, że atevi wiedzą, co robią.

A jeśli ktokolwiek z nich wie, to najprawdopodobniej są to Ilisidi i Tabini.

- Wybacz mi - rzekł do Jago i zlikwidował ten szczególny rozzew. Rozbił się jednak na tej myśli, wpadł prosto w puste miejsce, istniejące w atewsko-ludzkich stosunkach, które nigdy nie zostanie zapełnione. Potrzebował sekundy, jednej sekundy, żeby nie wpaść w złość, nie poczuć się urażonym, zrozpaczonym czy też jak więzień osaczany na każdym kroku.

- Bren-ji?

Tano też tam stał, nie wiedząc, jak interpretować to, co się dzieje; Bren był pewien, że Jago jest zażenowana, i żeby go ochronić, Jago chodziłaby po szkłe. Żeby go chronić, Jago nawet by go rozzłościła. Takie pojmowanie obowiązków względem jego osoby peszyło Brena. Kiedy człowiek rozpaczliwie się boi i nic mu się nie udaje, trudno być wartym kogoś takiego jak Jago.

- Człowiek jest głupcem - powiedział, już spokojny. - Wiem, że mam potrzebne wyposażenie. Najmocniej przepraszam.

- Być może zachowałam się niegrzecznie - rzekła Jago.

- Nie. Jago, po prostu... nie.

- Mimo wszystko...

- Jago, to się bierze z lubienia innych, to wszystko.

Z całą pewnością zdumiał Tano. Zdumiał też Jago, lecz inaczej, ponieważ Jago już zetknęła się z ludzkim pojęciem lubienia jako uczuciem. Podobnie jak Banichi, który wciąż zaprzeczał, że jest daniem obiadowym, co sugerował ten atewski czasownik.

- Mimo wszystko człowiek czuje się zdradzony - powiedziała Jago. - Czy tak, Bren-ji?

- Człowiek czuje się zdradzony - odparł - i wie, że to kompletna bzdura. Tano, nadi-ji, przeglądałaś pocztę. Co w niej jest? Może coś, czym mógłby się zająć ktoś inny?

- Mam streszczenie - powiedział Tano. - W większości to oficjele i w większości zaniepokojeni, kilku jest złych, kilku dość dezorientowanych. Gdyby paidhi zechciał, ateva mógłby znaleźć personel do przygotowania odpowiedzi, nand' paidhi. Być może takie możliwości są tutaj. Mogę też pójść do twojego biura i przynieść potrzebne materiały.

Bren zblamował się kompletnie. Personel wyprzedzał wydarzenia, starając się robić co w jego mocy, a on uświadomił sobie, że jest obolały od taśmy ściskającej mu żebra, od długiego siedzenia i długich mów, od niemożliwych żądań stawianych jego wydolności umysłowej i od całkowitego wyczerpania.

- Zrób tak, Tano-ji, proszę cię. Moja pieczęć, kilka tutek na wiadomości. Jestem bardzo wdzięczny. Potrzebuję telefonu i telewizora. Jago, czy można mieć telewizor, nie obrażając harmonii tego historycznego domu?

- Ateva może to załatwić - rzekła Jago. - Poinformowano mnie, że o ile ochronimy ściany i stolarkę, paidhi może sprowadzić wszystko, czego mu trzeba.

Przesycone uprzejmością, miękko wyłożone, pozłacane i zawieszane draperiami więzienie. Więzienie z jego ulubionymi towarzyszami i wszelkim wyposażeniem. Jednak w Malguri, gdzie równie dbano o historyczne ściany, pozwolono mu jeździć wierzchem i polować. Bren bał się tam personelu, ale nie tego, do kogo idą raporty na jego temat, i jak tu, był pewien, że każda uśmiechnięta kobieta albo go analizuje, albo obserwuje, albo kontaktuje się w tajemnicy z Damiri. A jedna z nich, co rano dała mu do zrozumienia Ilisidi, przekazuje informacje komuś, kto spotyka się z rywalami i wrogami Tabiniego, do których człowiek musiał zaliczyć Ilisidi i jej personel.

Gdy rano zdał sobie z tego sprawę, wrócił do apartamentu nieco roztrzęsiony. I zagubiony. Przynajmniej Jago i Tano go nie zdradzają. A już na pewno nie zdradzają jego...

Zaufania. A to, do cholery, nie istnieje względem obcego wśród atevich. Nie obejmowało go ich man'chi, nie należał do ich grupy, stał poza ich lojalnością, tyle że jest...

Własnością Tabiniego.

Wtedy poczuł miazdzącą, walącą się na niego depresję, jeden z tych ponurych nastrojów, który brał się ze zbyt częstego przeskakiwania między kulturami.

Albo ze zbyt dużej ilości leków. Nie mógł sobie pozwolić na żadne lekarstwa, których skutkiem ubocznym jest depresja, w każdym razie nie wtedy, kiedy robił to, co robi, a ilekroć zażywał leki, nie dowierzał takim zmianom nastroju. Boże, jeszcze tego mu brakuje przy tej całej robocie, jaką mu zlecono.

- Nadi, zajmij się tym - powiedziała Jago do Tano. Ateva cicho wyszedł, a Bren rozpiął mankiet i zaczął zdejmować kaftan, ponieważ on sam już nigdzie się nie wybierał.

Chciał usiąść i przez chwilę nie myśleć ani nie mieć do czynienia ze swoimi opiekuńczymi ochroniarzami. Powinien jednak przeprowadzić kilka bardzo ważnych rozmów telefonicznych.

Powinien spojrzeć na dokumenty medyczne, sprawdzić, co zażywa, i zostawić wyłącznie antybiotyki. Pozwolił, by Jago pomogła mu zdjąć kaftan, co zrobiła bardzo ostrożnie.

- Ogromnie mi wstyd - powiedział Bren. Czasami wydawało mu się, że tylko w ten sposób można naprawić międzygatunkowe nieporozumienia. - Wybacz mi, Jago-ji. Jestem zmęczony. Bola mnie żebra.

Delikatnie oswobodziła jego rękę z rękawa. Łatwo było unikać jej oczu, łatwo zerkać w dół, kiedy stała taka wyprostowana.

Ale nie wtedy, gdy dotykała jego zdrowego ramienia, by zwrócić na siebie uwagę.

- Całe zmartwienie po naszej stronie - rzekła Jago. Znów ta liczba mnoga. Grupa. Zbiorowość, której biologicznie zawsze będzie obcy.

Przez krótki czas należał do niej w Malguri. Znalazł się w środku, we wszystkich znaczeniach tego słowa. Jedyny raz w życiu miał przedsmak tego, czego nie może zdobyć, kim nie może być. Tego właśnie dotknęli Ilisidi i Cenedi.

Barb właściwie zakończyła jego ludzki związek, którego jednak Bren nie mógł zastąpić uczuciami do Jago czy Banichiego.

Musiał przyznać, że nie ma rozwiniętego życia emocjonalnego. Najwyraźniej Barb ono nie wystarczało i nawet Paul Saarinson wydał się jej atrakcyjniejszy. Barb odebrała sygnały - koniec młodości, początek reszty jej życia - w wieku dwudziestu - ilu? - pięciu lat? - i żadnych perspektyw na powrót Brena do domu nie tylko wkrótce, ale w ogóle - ponieważ on ceni swoją pracę, ceni rzeczy, o których nie mógł z nią rozmawiać.

Cenił związki, których nie mógł urzeczywistnić, z atevimi, z którymi też nie mógł rozmawiać, ale przynajmniej znajdował się w miejscu, gdzie mógł się na coś przydać, dysponując wiedzą, która mogła się na coś przydać, i wśród osób, które przynajmniej chciały go słuchać.

Westchnął - tyle była warta jego emocjonalna burza, skoro już znalazła swe prawdziwe, uczciwe podstawy - nie ma żadnych praw do życia Barb, podjął się tej pracy z pełną świadomością, a po dostosowaniu perspektywy jest dość dobrze zaimpregnowany.

Może więc poprosić Jago o komputer i wejście do centrali telefonicznej Bu-javid, i usiąść przy biurku posterunku ochrony, który miał takie samo położenie względem tego foyer, jak sąsiedni salonik Tabiniego. Był to wygodny kącik z telefonem i, Boże, całymi stertami nie rozwiniętych wiadomości, przygniecionych ozdobnymi przyciskami z ołowiu, które atevi przechowywali na takie kłopotliwe, lecz tradycyjne okazje.

Sześć stert zwojów, podzielonych, jak sobie ponuro wyobraził Bren, według ważności - groźby zabójstwa, groźby samobójstwa, skargi komisji, prośby ze szkół; Bren bardzo żałował swego wybuchu w obecności Tano. Ateva dawał z siebie wszystko, wykonując pracę, do której nawet nie był przygotowany, i nie mając personelu. Bren mógł wyjaśnić sytuację Jago, która przynajm-

niej była przyzwyczajona do czasem nadszarpniętych nerwów paidhiego, i Banichiemu, który prawdopodobnie zapytałby go, co ma zrobić z walącym się im na głowy niebem; lecz biedny Tano po prostu usiadł i wziął się do pracy, a paidhi podziękował mu za jego trud swoimi fochami.

Ustawił komputer na biurku z cierpliwą pomocą Jago, podłączył go do linii telefonicznej i przez chwilę pozwolił komputerom porozumiewać się ze sobą, aż wreszcie jego sygnał i upoważnienia przeszły przez centralę Bu-javid, centralę prowincji, centralę dostępu Mospheiry, centralę Kapitolu i dotarły do samego Biura Spraw Zagranicznych.

- Mówi Bren Cameron - powiedział, a głos z drugiej strony odparł:

- Sekretarz spraw zagranicznych bardzo chce z panem porozmawiać, panie Cameron. Chwileczkę.

Kolejne westchnienie. Pewnie, że sekretarz spraw zagranicznych chce z nim porozmawiać.

- Oczywiście. - I ledwie zdążył nabrać w płuca powietrza, usłyszał samego sekretarza:

- Bren. Bren, tu Shawn. Wszystko w porządku?

- Dziękuję, czuję się dobrze. - Postanowił uznać, że Shawn Tyers pyta go o zdrowie. - Być może wiesz, że sytuacja tutaj jest dość niepewna, ale na razie wszystko w porządku, z jedną komplikacją. Co się dzieje z wizą Hanks? Wygasła, a ona wciąż tu siedzi, łamiąc ustalenia Traktatu. Nasi gospodarze są mocno zirytowani, a ona używa mojej pieczęci bez mego pozwolenia. Czy moglibyśmy dostać jakieś wyjaśnienie co do jej pozycji?

- Może wiesz, że na górze departamentu panuje pewne zamieszanie, zarówno w związku z twoim wczorajszym wystąpieniem przed obiema izbami, jak i ze strzelaniną.

- Nic dziwnego. Zapewniam cię, że na kontynencie wzrosły emocje. Hanks nie pomaga.

- A poza tym jak interesy?

Zupełnie zignorował pytanie Brena o Hanks. Znaczyło to: „Czy Tabini mocno dzierży władzę?”.

- Kwitną. Mimo pogody. Posłuchaj, Shawn, wszystko inne na bok, czy możesz mi odpowiedzieć na pytanie co do nadmiaru ludzi na kontynencie?

- Trzeba poczekać. Podcinasz gałęzie, Bren.

Ostrzeżenie na tyle wyraźne, na ile sekretarz mógł sobie pozwolić. A więc przedłużająca się obecność Hanks w krytycznej sytuacji sięga wyżej niż biuro paidhiego, wyżej niż biuro sekretarza spraw zagranicznych. Bren wiedział dokąd - aż do ozdobnych drewnianych drzwi. Durant, sekretarz stanu Hamp-ton - Durant. Może biuro Ertona, może jeszcze wyżej.

- Celowo - odparł na ostrzeżenie Shawna. - Na drzewie jest za ciasno. Ktoś musi to zrobić. Przyślij mi, co możesz.

- Co mogę - rzekł sekretarz i Bren pożegnał się hasłem oznaczającym, że wszystko w porządku:

- Na razie.

W tej chwili jednak nie był o tym przekonany. W żadnym wypadku. Miał niemiłe podejrzenia co do tej rozmowy, w której Biuro Spraw Zagranicznych, jego własne biuro, nie mogło w najmniejszym stopniu zapewnić paidhiego w terenie, że odwoła Hanks, mimo wszelkich sygnałów o niezadowoleniu atevich, jakie przekazał Bren.

W wolnym tłumaczeniu departament stanu zawiadujący Biurem Spraw Zagranicznych guzik obchodzi, co myślą atevi.

Bren zadzwonił do telegrafu Bu-javid i powiedział:

- Mówi Bren Cameron, nadi, z trzeciego piętra. Zadzwon, proszę, do Hanks-paidhi, gdziekolwiek została umieszczona.

Sygnał. Ktoś podniósł słuchawkę.

- Deana? - zapytał Bren.

Słuchawka trzasnęła o widełki.

Wziął kilka głębokich wdechów. Profesjonalne zachowanie. Godność paidhiin. Pozory ludzkiej jedności.

Połączył się z telefonistą.

- Jeszcze raz Bren-paidhi. Proszę zadzwonić jeszcze raz.

- Czy połączenie było niewłaściwe, nand' paidhi?

- Po prostu zadzwoń.

Kilka sygnałów. I jeszcze kilka.

- Nand' paidhi, nie mam odpowiedzi.

- Proszę dzwonić, dopóki nie odpowie. Jeden długi, cztery krótkie, dwa długie. Dopóki nie podniesie słuchawki i nie zacznie mówić.

- Tak, nadi.

Siedział. I siedział. Przełączył aparat na interkom, wywołał edytor tekstu i napisał szyfrem list do sekretarza spraw zagranicznych Shawna Tyersa: „Hanks spotkała się z dysydentami i przekazała im takie niedozwolone pojęcia, jak SNŚ, z reperkusjami czego będę musiał się uporać wśród gorliwców z prowincji pana Geigiego. Wysunęła nielegalne i nie potwierdzone propozycje handlu, co mogło zostać uznane za łapówkę. Hanks nie odpowiada na moje telefony. Odrzuca mój rozkaz wycofania się. Wyjawiała tajne informacje, nie stosuje się do atewskiego prawa i odstręczyła atevich z różnych obozów politycznych, narażając na niebezpieczeństwo życie swoje i moje. Jej działania mogą scharakteryzować jedynie w najostrożniejszych słowach - są nie tylko groźne dla pokoju, ale i niewłaściwe nawet wśród atevich, których prawdopodobnie chciałaby mieć po swojej stronie. Grozi jej bezpośrednie niebezpieczeństwo. Obraziła atevich bardzo wysokiej rangi, dysponujących nieograniczonymi środkami, i nie wykazuje chęci do przeproszenia ich ani do słuchania moich rad. Proszę o jak najszybsze odwołanie jej z terenu”.

Nie wysłał jednak tego listu. Zapisał obciążającą wiadomość na dysku i siedział, i czekał. Czekał.

Usłyszał na linii szcęknięcie, a potem odgłos słuchawki rzuconej na widełki.

Bren potrząsnął głową, powstrzymując wybuch złości i nie potrafiąc zrozumieć - w najmniejszym stopniu pojąć - głupoty wywodzącej się z wyspy oraz na niej wykształconej, a także kulturowo wyspiarskiej mentalności, która rządziła departamentem i która tak dobrze radziła sobie na jego niższych poziomach; nie potrafiąc pojąć mentalności na tyle beztroskiej, że pozwalała ona politycznym ideologom rzucić pracę, dla której Bren poświęcił całe swoje ludzkie życie, w ręce skończonej, politycznie umotywowanej, upartej i uprzedzonej idiotki.

Trudno mu było w to uwierzyć. Nie chciał uwierzyć, że siły będące u władzy, nadzorujące uniwersytet, który w większości wypadków wiedział, co robi i co doradza, są tak cholernie nieświadome niezwykle niebezpiecznych różnic w atewskiej kulturze, atewskim życiu, atewskiej polityce.

Jednak osób mających władzę nad samą Mospheirą zupełnie to nie obchodziło. Ludzi zajmujących wysokie stanowiska w departamencie stanu praktycznie to nie obchodziło. Mieli swoje posady, mieli władzę, mieli dostęp do prezydenta; otwierając fabrykę urzędów na Północnym Wybrzeżu, nazywali to sprawą departamentu stanu; byli podejmowani kolacjami zakrapianymi winem przez biznesmenów, którzy obracali się w tych samych kręgach towarzyskich, w zamian za drobne przysługi, oficjalne pieczęcie, zaświadczenia o nieszkodliwości dla środowiska i kupczenie władzą, dzięki czemu różne przedsięwzięcia były akceptowane przez to, co według atewskiej terminologii powinno być ministerstwem robót i ministerstwem handlu.

Ale nie, wśród ludzi były to sprawy departamentu stanu, ponieważ tuż po wojnie jakiś urzędnik uznał, że rozwój Mospheiry jest delikatny pod względem kontaktów międzynarodowych i że powinien akceptować go ktoś, kto przynajmniej teoretycznie rozumie znaczenie, jakie rozwój ten będzie miał w stosunkach z atevimi, oraz to, że dzięki niemu atevi będą mogli się domyślić (bo atevi są

sprytni), co mają ludzie i co z tego można odtworzyć na kontynencie. A ktoś inny powiedział, że taki ktoś powinien być mianowany przez prezydenta.

W rezultacie powstał departament, którego najwyżsi funkcjonariusze o wiele lepiej znali się na politycznym poparciu niż na fabrycznych ściekach - najwyżsi funkcjonariusze tego departamentu rzadko używali swojej władzy, czy to na poziomie operacyjnym czy Biura Spraw Zagranicznych: ci funkcjonariusze zabiegali tylko o datki i tkwili niczym polityczne zapory przy każdej próbie budowy nowej linii kolejowej lub drogi, przy każdym nowym produkcie handlowym czy inicjatywie rozwinięcia wewnętrznej mospheirańskiej techniki. Mało wiedzieli o atewskiej polityce - niezrozumiały problemy intelektualne, jak: sprawy atevich, przekazywanie atevim osiągnięć techniki i studia nad kulturowym i środowiskowym wpływem na atevich zrzucali na uniwersytecki program studiów służby zagranicznej i na leżące w końcu korytarza biuro skromnego sekretarza spraw zagranicznych, który nie brał udziału w kampanii ich partii, zatem nie trzeba go było często angażować.

Oznaczało to, że w przeciwieństwie do sekretarza stanu, ani paidhi w terenie, ani sekretarz spraw zagranicznych nie mieli łatwego, rutynowego dostępu do prezydenta.

Sekretarz stanu i jego kumple-technokraci przebywali w krainie baśni od czasu objęcia władzy przez Tabiniego. Owszem, sekretarz wydawał koktajle, handlował wpływami, przeprowadzał specjalne projekty ustaw przez legislaturę, miał cały rozkład spotkań towarzyskich, bywał na rozgrywkach finałowych pucharu piłki nożnej i - o, tak, o, Boże, tak! - otworzył Ośrodek Badań Kosmicznych, gdzie Towarzystwo Odbudowy Dziedzictwa, którego władze także składały się głównie z zamożnych konserwatystów, skonsumowało morze alkoholu, biadoląc nad ludzkimi stratami w historycznej wojnie. TOD co roku obchodziło rocznicę odlotu statku, słuchało inżynierów opowiadających o odrestaurowaniu stacji kosmicznej i konsekwentnie odmawiało umieszczenia w programie wystąpień osób związanych z katedrą studiów międzynarodowych, nawet jeśli pisały one referaty bezpośrednio dotyczące propozycji, które TOD zamierzało przedstawić na następnej sesji legislatury. Zeszłej wiosny Bren sam się o to starał, ponieważ został zaproszony przez grupkę ludzi z Biura Spraw Zagranicznych i młodszych członków TOD, chcących, żeby ktoś poważny poparł ich projekt miast handlowych; władze Towarzystwa uprzejmię zgubiły podanie Brena i nie zrecenzowały jego referatu, co oznaczało, że może przybyć na konferencję, jeśli znajdzie czas i zechce opłacić koszt uczestnictwa, ale że nie ma go w programie.

Deana Hanks uczestniczyła w konferencji jako zaproszona mówczyni. Deana Hanks brała udział w posiedzeniach i na osobistą prośbę przewodniczącego, który powiedział, że konferencja chce wyrazić uznanie dla biura paidhięgo, wygłosiła uprzejmą mówkę o ludzkich postępach w badaniach kosmicznych oraz ludzkiej ochronie ludzkiego dziedzictwa kulturalnego.

Boże, Bren miał ochotę kogoś zamordować. Zgłoszenie Zamiaru przeciwko Deanie Hanks było kuszące. Po tej stronie cieśniny osoby totalnie głupie nie żyły długo.

Posiedział jeszcze chwilę, po czym znów zadzwonił do centrali Bu-javid.

- Mówi Bren Cameron. Czy wciąż dzwoniemy do Hanks-paidhi?

- Ateva zadzwoni, Bren-paidhi. Tak.

- Dziękuję.

Włączył głośnik i usłyszał powtarzający się sygnał dzwonka.

Za drugim razem słuchawka została podniesiona i odłożona z trzaskiem.

- Centrala?

- Nand' paidhi?

- Proszę robić to bez przerwy, aż dam znać, że otrzymałem zadowolającą odpowiedź. Przekaż to polecenie następnej zmianie. W końcu dostanę odpowiedź.

- Bardzo mi przykro z powodu tej niedogodności, nand' paidhi.

- Przypisz to ludzkiemu poczuciu humoru, nadi, i przyjmij moje podziękowania.

## Rozdział 8

Bren formułował dalsze wiadomości i odpowiedzi w salonie, a Tano, uzbrojony w osobiste tutki i pieczęć paidhiego, załatwiał proste i rutynowe sprawy.

Bren poprosił o zwyczajne, po prostu domowe, drugie śniadanie i usiadł, by wysłuchać podsumowania tego, co dzieje się w biurze. Dowiedział się, że trzy służące Damiri są z racji pracy w tak znamienitym domu doskonale obeznane z etykietą i mogą zajmować się rutynowymi zapytaniem, Tano może formułować treść, a on sam wychwytywać sprawy dziwaczne czy trudne.

Otrzymał telegram od uczniów ze szkoły elementarnej w Jackson City, z prośbą, żeby paidhi zapewnił ich, iż nie będzie wojny. „Nie będzie”, odpowiedział. Atevim zależy na utrzymaniu pokoju tak samo jak ludziom.

Za dużo telewizji.

Poprosił personel o zdobycie taśmy z wiadomościami. Zanotował sobie, żeby posłać Ilisidi tłumaczenie rozmów.

Napisał notatkę do Tabiniego: „Aiji-ma, dzisiaj czuję się dobrze. Dziękuję ci za wczorajszą łaskawą interwencję. Mam nadzieję, że wszystkie twoje przedsięwzięcia zakończą się sukcesem”.

Co należało odczytać, że babka nie podała niewłaściwej herbaty, Tano nie połamał mu wczoraj żeber i że on sam czeka z nadzieją na informacje.

Tymczasem Hanks nie pękła. Wbrew oczekiwaniom ochrony nie było jej w domu. A może wolała rzucić się na przewody niż bez przerwy słyszeć dzwonek telefonu.

Wysłał swoją krótką wiadomość do Tabiniego, a tę potępiającą Hanks - do Biura Spraw Zagranicznych.

Dostał kanapkę; Bu-javid zawsze był kabiu, ściśle właściwy, i dziczyzna dopuszczalna w tym sezonie w żadnym wypadku nie należała do jego ulubionych. Do połowy miesiąca, która na szczęście szybko się zbliżała, pozostawały mu więc jako dopuszczalna alternatywa jajka i ryby.

Bu-javid, stosunkowo nowoczesny wśród atewskich starożytności, lecz pozostający we władaniu rozmaitych szkół filozoficznych, bardziej drobiazgowo przestrzegał tego, co kabiu, w odróżnieniu do Malguri, gdzie mądrzy szefowie kuchni robili zapasy i odkładali na później taką czy inną pieczeń. Atevi nigdy nie polowali poza sezonem, nigdy nie handlowali - to nie do pomyslenia - mięsem zwierząt domowych i nigdy nie sprzedawali niesezonowego mięsa, lecz w Malguri przemyślnie zachowywano resztki na mniej apetyczne miesiące. Bardzo cywilizowane rozwiązanie w opinii Brena i, jak podejrzewał człowiek, pierwotny zwyczaj, którego sztywną, nienaruszalną zasadą było ściśle kabiu Bu-javid, mające prawdopodobnie więcej wspólnego z brakiem lodówek niż względami ceremonialnymi. Jednak paidhi nie zamierzał zaproponować takiego rozwiązania szefowi kuchni Atigeinich, osobie bardzo kabiu. Paidhi i tak miał na głowie dość kłopotów, a taka propozycja mogłaby postawić go po stronie jakiejś prowincjonalnej sekty filozoficznej, krwawo przeciwstawiającej się jakiejś innej frakcji, mającej zasadnicze znaczenie dla jedności reprezentowanej przez Bu-javid.

Wziął się do popołudniowych sprawozdań, zastanawiając się, dokąd poszła Jago. Nie pojawiła się wtedy, gdy było zamieszanie z biurem. A do tego nie ma Banichiego. Cholera!

Tymczasem Tano - niech Bóg ma go w opiece - jakoś sobie radził.

Ktoś pojawił się pod drzwiami; Bren miał nadzieję, że to Jago lub Banichi, czuł, że dobrze jest mieć wszystkich ważnych członków swego personelu w jednym miejscu, a dodatkowo miałyby większą jasność sytuacji.

Podróż do drzwi ujawniła jednak tylko następną porcję wiadomości - jedna z nich pochodziła z instalacji w Mogari-nai, która otrzymywała przekazy



ze statku. Bardzo na nią czekał. Istnienie przekazów dowodziło choćby tego, że statek znów rozmawia i że być może coś się ruszyło. Bren wziął taśmę od Tano, wrócił do gabinetu, gdzie miał rozstawione magnetofony, założył ją i włączył odtwarzanie.

Zwykły terkot maszyn porozumiewających się z maszynami.

A po tej wymianie protokołów kolejny terkot, tym razem towarzyszący przesyłaniu dokumentów lub obrazów - Bren nie miał pewności, ale przekaz był cyfrowy i bez żadnych wątpliwości atewskie urządzenia mogły je wypluć, tak samo, jak atewskie dokumenty były przejmowane przez Mospheirę, gdzie znajdowała się stacja nasłuchu; wzajemne szpiegowanie się było nieprzerwaną, dobrze zorganizowaną operacją, stanowiącą dla praktykujących je całkowitą gwarancję zatrudnienia.

Wszedł Tano z naręczem papierów i Bren pomyślał, że to kolejna porcja korespondencji, lecz Tano powiedział cicho:

- To chyba ma związek z taśmą, nadi Bren.

Miało. Bren zrozumiał to, kiedy zajrzał do środka - nic dziwnego, że rozmowa maszyn trwała nieprzerwanie - Mospheira postanowiła przekazać tekst pisany i był to...

Nie fonetyczny zapis mospheiranu. Po tej stronie cieśniny.

Bren nie miał żadnych trudności z rozpoznananiem tekstu - były to pierwsze rozdziały „Historii kontaktu” Meighana Durny’ego, pracy wyjaśniającej każde działanie, każdy błąd Ładowania i Wojny.

Przy okazji dostarczało diabelnie dużo szczegółów dotyczących Mospheiry i atevich, co Brenowi nie bardzo się podobało w kontekście tego, co pisał Durny o motywacjach atevich, lecz tylko częściowo nie zgadzał się z przesłaniem książki. Na pewno był to sposób na uaktualnienie wiedzy załogi „Feniksa”, przynajmniej w stopniu, w jakim sama Mospheira знаła prawdę; każda szkoła na wyspie studiowała te ponad trzysta stron jako podstawę zrozumienia, kim są Mospheiranie i gdzie się znajdują. Bren przy pierwszej okazji zanotował kilka słów nadających się do przekazania na statek: „»Historia«, która rzuca światło na pochodzenie mospheirańskiego sposobu myślenia, nie może dokładnie wytłumaczyć zachowania atevich i nigdy nie powinna być używana do przewidywania czy wyjaśniania atewskiej motywacji...”.

Chciał przesłuchać taśmę. W domu mógłby posłużyć się wyszukiwaniem głosu. Atewska maszyna nie gwarantowała takich luksusów. Włączył szybkie przewijanie do przodu i słuchał wysokości dźwięku.

Rzeczywiście, była część głosowa.

Siedział i słuchał, po czym włączył drugi magnetofon, ten z czystą taśmą, i posłużył się mikrofonem kierunkowym do sporządzenia bieżącego komentarza i wstępnego tłumaczenia dla Tabiniego.

„Głównie protokoły operacyjne, omówienie opóźnienia w przekazach. Plan kontaktów”.

A potem pojawiło się coś innego. Potem kapitan statku poprosił o rozmowę z prezydentem Mospheiry.

Prawie natychmiast sygnał przerwania i prawdopodobnie przerwa, podczas której naprawiano łącze.

Włączył się prezydent.

Po wstępnych pozdrowieniach kapitan powiedział:

„Jesteśmy pod wielkim wrażeniem, panie prezydencie, zaawansowanego rozwoju po obu stronach wody. Pokój i dobrobyt. Należą się wam gratulacje”.

„Dziękuję, panie kapitanie”, zabrzmiała odpowiedź. Prezydent zupełnie swobodnie przypisał sobie całą zasługę. Można się było tego spodziewać.

„Stacja jest w takim stanie”, ciągnął kapitan, „że z pewnym trudem możemy ją uruchomić. Chcielibyśmy zaproponować wam umowę o współpracę. O ile rozumie, handlujecie z atevimi - technika, surowce, wszystko, czego wam trzeba.

„Są ograniczenia, panie kapitanie. Nic, co destabilizuje społeczeństwo lub środowisko”.

Dobrze, pomyślał Bren. Przynajmniej to powiedział.

„Przygotowujecie się”, powiedział kapitan statku, „do powrotu w kosmos. Podejmujecie wysiłki w tym kierunku”.

„Tak. Znaczny wysiłek. Okoliczności, które zmusiły nas do lądowania...”.

„Tak, wiem. Z drugiej strony, możemy wam bardzo skrócić drogę na orbitę. Dostarczymy plany. Wy dacie siłę roboczą, wybudujecie statek typu ziemia-orbita, a my możemy przywrócić stację do stanu pełnej sprawności...”.

Bren zaczerpnął głęboko tchu, by uspokoić bicie serca. Jakimi środkami? Wypowiedział te słowa samymi wargami, pragnąc takiej odpowiedzi, mając nadzieję, że nie będzie to paczka z kosmosu, nie wymagająca wysiłku.

„Na początek możemy stworzyć bezpieczne warunki życia dla pięciuset robotników; za trzy lata dla dziesięciu tysięcy, a potem... - potem właściwie nie ma ograniczeń, panie prezydencie”.

To ekipy robotnicze, panie prezydencie, słyszy pan?

„Powinniście wiedzieć, że nie jesteście jedyni w kosmosie. Mamy jeszcze jedną stację w pobliżu tej gwiazdy, nic wielkiego, ale się rozwijamy. To jest dobrobyt, panie prezydencie. Przybyliśmy po przyszłość ludzkości”.

Bren miał w piersiach bryłę lodu.

„Mówi pan”, odparł powoli prezydent, „że już wybudowaliście inną stację”.

„Przedsięwzięcie wydobywcze i remontowe z samowystarczalną produkcją żywności. Ludzkość zaistniała na dobre w tym obszarze kosmosu, panie prezydencie. Prosimy, byście przyłączyli się do wszechświata. Nie kwestionujemy żadnych układów, które zawarliście na dole. Najwyraźniej dobrze funkcjonują. Interesuje nas tylko stacja”.

Jak miło. Jak wielkodusznie. Jaka troska o prawa wszystkich zainteresowanych.

„Możemy przywrócić do poprzedniego stanu to, co mieliśmy. Możemy budować, panie prezydencie. Wystarczy tylko, że przybędziecie tu, na górę; wszyscy budowniczy i ich potomkowie otrzymają udział w stacji, dokładnie tak, jak przewiduje to pierwotny statut misji”.

„Muszę odbyć konsultacje”, rzekł prezydent. „Muszę się skonsultować z radą i departamentami”.

Jasne. Boże, facet nie potrafi samodzielnie wydać polecenia przeprowadzenia ćwiczeń przeciwpożarowych.

„Doskonale, panie prezydencie. Będę na miejscu”.

To co pan teraz robi, panie prezydencie? Co to będą za konsultacje?

Na stacji są całkowicie nam obcy ludzie. Zawładnęli nią, a teraz chcą siły roboczej, panie prezydencie. Chcą tego samego, czego chcieli od nas przed dwustu laty, a pan nawet nie ma pewności, czy rzeczywiście istnieje jakaś druga stacja. Mamy na to tylko ich słowo, tak jak mamy ich słowo na wszystko inne, co istnieje w kosmosie.

Tak samo, jak mieliśmy ich słowo, że po ukończeniu stacji pozwolą budowniczym i wydobywcom nią zarządzać, a wie pan, jak wiele mieliśmy do powiedzenia na temat statku i polityki na stacji. Oszukali jej personel, żeby zdobyć paliwo dla swojego statku, a teraz są wściekli, że personel nie potrafił utrzymać stacji?

Ci dobrzy z załogi, bohaterowie, zgłosili się na ochotnika, by wyjść w piekło promieniowania gwiazdy, do której dotarliśmy po wypadku, żeby potem znaleźć jakieś łagodniejsze słońce. Ci najmądrzejsi i najlepsi zginęli bardzo młodo, kiedy kapitanem był Taylor.

To nie bohaterowie rządzą, gdy szumowiny, które pozwoliły im umrzeć, podejmowały później wszystkie decyzje.

Prawdziwi bohaterowie z załogi zginęli i zostawili kontynuowanie tego, za co umarli, tchórzliwym sukinsynom, panie prezydencie; proszę nie wierzyć tym ludziom. Nie chodzi im jedynie o przepustkę do lotu. Idealiści, marzycciele, inżynierowie i naukowcy trzymający nos w tabelach danych dążą do tego

samego, co obecne pokolenie sukinsynów, którzy chcą oderwać się od planety, którzy chcą umieścić swoją partię polityczną na górze, gdzie mogą mieć prawdziwą władzę - władzę kontaktowania się z atevimi, wyłącznie grożąc pistoletem, laserem, czymkolwiek, co tam najnowszego mają. A potem na górę będą mieli wstęp tylko oni...

Oni wciąż prowadzą tę przeklętą wojnę, panie prezydencie, ale nie umieszczają mnie w programach konferencji, żebym nie mógł nazwać rzeczy po imieniu - wciąż hodoją nienawiść do atevich, nie mając nic wspólnego z obecnymi czy minionymi faktami. To oni wypisują listy o spiskach widocznych w postępkach atevich. Widzą tylko wojnę. Uważają, że Bóg uczynił ich doskonałymi na swój obraz, a atevich...

Separatyści mówili tym, którzy chcą słuchać, że atevi nie mogą kochać i nie mają uczuć - nie mogli tłumaczyć tego w telewizji, bo cenzorzy zagłuszali ich jako podżegaczy do wojny; lecz mówili o tym w miejscach, gdzie zbierali się ludzie, którzy chcieli słuchać - niewielu ludzi, ponieważ Mospheiranie nie byli upolitycznieni, nie byli niezadowoleni i nic ich nie obchodziło, dopóki z kranów ciekła woda, a oni mogli przestrzegać swoich rocznych cykli wakacji nad morzem, zimowych ferii w górach, mieć pełne zatrudnienie i emerytury - w siedzibach towarzystw kręglarskich, turystycznych i tanecznych, w spelunkach i modnych nocnych klubach. Jeśli ci ludzie martwili się o cokolwiek, to o pogodę, zdrowie, o swoją pozycję społeczną, o plany wakacyjne, o szkoły dla swoich dzieci i rozmaite lokalne święta. To byli ludzie, z jakimi mieli do czynienia aktywiści najróżniejszego autoramentu, ludzie, którzy podejmowali jakiegokolwiek działanie jedynie wtedy, kiedy dana sytuacja kolidowała z ich planami; taka była polityczna rzeczywistość Mospheiry w systemie bez prawdziwej biedy, bez prawdziwego zagrożenia, w systemie, gdzie jedynym powodem do niepokoju był deszcz w czasie uroczystości dożynkowych. Nikt oprócz nielicznych osób mających sprecyzowane plany nie zajmował się polityką, a bez funduszy na wędrownych agitatorów polityka stała się krainą długoterminowych, dobrotliwych nierobów czy rzadkich entuzjastów zebrań.

Człowiek miał nadzieję, że na wyższych stanowiskach znajdą się nieroby. A zwolennicy programu kosmicznego, którzy generalnie byli idealistami - poza tą małą, jak dotąd śmiechu wartą grupą ludzi wierzących, że atevi budują w tajemnicy rakiety do ataku na Mospheirę - byli nieszkodliwymi szaleńcami nie głoszącymi swoich poglądów publicznie, więc sekretarz stanu w tajemnicy bał się atevich. Nie miało to wielkiego znaczenia dla działalności Biura Spraw Zagranicznych, które cieszyło się mandatem Traktatu, a zatem było mocno osadzone i korzystało z rad uniwersytetu, w związku z czym było zbyt ezoteryczne, by mieć znaczenie dla szczodrych biznesmenów zasilających kolejnych sekretarzy stanu.

Aż do tej chwili.

Istniała powszechna ignorancja - pożywka dla strachu.

Istnieli ludzie, którzy nigdy nie zawracali sobie głowy dowiedzeniem się czegokolwiek o atevich, bo kontakty z atevimi nie należały do ich obowiązków. Opinia publiczna wiedziała tyle, że za wodą jest inny i o wiele groźniejszy świat; partia konserwatywna, która oparła swoją karierę na alarmistycznym podejściu i potępianiu ezoterycznych postępów naukowych jako pociągających zbyt wielkie koszty - ci, których cały program polityczny polegał na zachowaniu tego, co było, lub na wzdychaniu do tego, co sobie wyobrażali, że było, bali się postępu zmierzającego do każdej przyszłości, która nie pasowała do ich wymyślonej przeszłości.

Swoimi działaniami schlebiali niewykształconym masom, żądając silniejszej obrony, mniejszej jawności oraz więcej pieniędzy na pojazd, który umożliwiłby ludziom opuszczenie planety. Mogliby je oczywiście uzyskać dzięki zmniejszeniu wydatków na studia języka atevich i wstrzymaniu finansowania miast handlowych jako przedsięwzięcia dającego atevim zbyt wiele.

Ostatnio konserwatyści próbowali odebrać stypendia trojgu być może nierozsądnym doktorantom, którzy w ramach doświadczenia kulturowego uczyli ośmiolatków ateńskiej filozofii.

W powstałym zamieszaniu co radykalniejsi konserwatyści usiłowali wyrzucić z uniwersyteckiego komitetu doradczego przy departamencie stanu wszystkich profesorów ateistyki. Wszyscy uznali to za przesadną reakcję. Wtedy. Przed powrotem statku.

Lista prób naruszenia międzykulturowego kompromisu była długa i według wcale nie nastawionego apolitycznie państwa składała się na ruch, który żadną miarą nie był partią ani nie stanowił opinii publicznej; na program, z którym w całości zgadzał się tylko drobny ułamek społeczeństwa.

Im bardziej jednak kultury ateńska i ludzka zbliżały się do siebie, tym gorliwiej radykałowie pojawiający się na wysokich stanowiskach wyszukiwali kwestie sporne - ponieważ większość ludzi, choć nie żywiła nienawiści do ateistów, wciąż nieco się obawiała sąsiadów zza cieśniny, którzy strzelali do siebie, którzy wyglądali tak uderzająco odmiennie, którymi rządził inny rząd, którzy nie władali mospheiranem; a społeczeństwa, czy to ludzkie czy ateńskie, zawsze chciały się czuć bezpieczniej i mieć większy wpływ na swoją przyszłość.

Czy można się dziwić, że kiedy mieszka się na wyspie i niemal od dwustu lat słucha, że rząd przekazuje ateistom coraz bardziej zaawansowane technologie - a ostatnio okazało się, że na stole negocjacyjnym znajduje się najwyższe osiągnięcie ludzkiej techniki i że przepaść techniczna zostanie zasypana za życia następnego pokolenia - czy więc można się dziwić, że ludzie nie mający zaliczonych studiów ateńskich zaczynają się mocno niepokoić?

Po ateńskiej stronie cieśniny ateista, który szczerze wierzył w tajne ludzkie statki, czające się na wielkim księżycu, prawdopodobnie mówił o tym bez ogródek, był znany ze swoich poglądów w całej strukturze swojego man'chi i na pewno nie był wybierany na żadne stanowiska.

Na Mospheirze kandydata na publiczny urząd jednak nikt nigdy nie pytał, czy jest separatystą. Człowiek mianowany do pracy w departamencie stanu mógł wierzyć, że ateści porywają ludzkie dzieci, by robić z nich kiełbasę, na liłość boską, a żadne z takich przekonań nie mogło pojawić się przy ocenie przydatności danej osoby na dane stanowisko, bo takich przekonań dobrze wychowani ludzie nie głosili publicznie.

W ciągu zaledwie godziny od pojawienia się statku separatysty przestali być grupą pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia i znaleźli się na pozycji, z której mogli sięgnąć po władzę mogącą w ich przekonaniu zapewnić im bezpieczeństwo.

Bo tam, na górze, każdy mógł targować się o władzę polityczną i zwierzchnictwo nad stacją z Gildią Pilotów, wynajmując jednocześnie zwolenników programu kosmicznego i swoich własnych malkontentów do prawdziwej, ryzykownej roboty.

Choćby Gildia Pilotów miała najlepsze intencje na świecie, nie znała sytuacji na planecie i musiała wierzyć w to, co się jej mówiło, a znając historię, Bren wiedział, że Gildii wcale nie obchodziło, z czym ma do czynienia, o ile tylko zgadzało się to z jej planami. Dzięki temu, że podczas debaty nad Lądowaniem Gildia tyle razy zmieniała front - nawet oszukała zarząd stacji, a potem załagodziła sprawę i oszukała frakcję Lądowania - mieszkańcy stacji byli tak podzieleni i wściekli na siebie, że negocjacje stały się niemożliwe; Bren dowiedział się o tym z nie opublikowanych notatek swoich profesorów. Po odlocie statku śmierć stacji była właściwie przesądzona, bo w oczach robotników zarząd stacji był skompromitowany, niewiarygodny i bezczelnie kłamał.

Wykorzystani i porzuceni, a teraz wielki, święty Statek wrócił, proponując raj w kosmosie oraz słońce, księżyc i gwiazdy każdemu, kto uda się na górę i zaryzykuje życie w służbie wszechwładnego statku.

To samo cholerstwo od początku.

Ta sama cholerna banda, która... może co prawda nie przerzuciła tu córki Gaylorda Hanksa...

Ale z pewnością uaktywniła się, żeby ją tu utrzymać. Może jeszcze nie zdają sobie sprawy, jakie tu wywołuje perturbacje, tylko po prostu na siłę wpychają swoją kandydatkę. Pogorszenie stosunków z atevimi mogłoby położyć kres liberalnej działalności Brena Camerona, zamrozić kanały łączności i przekonać przedstawicieli opozycji, że w chwili, kiedy jest władza do wzięcia, wszystko samo wpada im w ręce.

To był zbyt głupi powód. Za mało mający wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Jednak zmysł polityczny Brena mówił mu, że po pierwsze, przy domieszce niewiedzy głupota w polityce jest przynajmniej tak samo często spotykana jak przebiegłe manewry; po drugie, kryzys zawsze zwabia owady; i po trzecie, strona usiłująca rozwiązać problem zawsze musi rywalizować ze stroną najbardziej chcącą ową sytuację wykorzystać.

Bren stwierdził, że taśma i posiadane przez niego informacje prowadzą go tam, gdzie wcale nie chce się udawać, do wniosków na pewnym poziomie podejrzanym, choć uzasadnionym, wniosków, które jeśli nawet nie pasują do obecnej rzeczywistości, to wciąż ją opisują - a także sytuację Hanks - z niepokojąco przewidywalną dokładnością.

Jeśli Bren zostanie usunięty, to ludzkość wplące się w olbrzymie kłopoty i być może nie przeżyje wojen domowych, które wybuchną, załamania pokojowego wykorzystania techniki przez atevich i przyspieszenia rozwoju broni; wystarczy wspomnieć samoloty w Malguri zrzucające bomby domowej produkcji, kiedy Mospheira we wszystkich projektach starała się utrzymać parametry przeciągnięcia atewskich samolotów, żeby właśnie nie dopuścić do takiego rozwoju. Ludzie nigdy nie brali pod uwagę pomysłowości atevich i nawet najlepsi akademicy w swoich przewidywaniach, z jakim następnym wynalazkiem wystąpią atevi, kierowali się historią ludzkości.

A zaprzęgnięcie atewskiej umiejętności rozwiązywania problemów matematycznych do projektowania oznaczało, że wszystko, co dostawali atevi, musiało być jeszcze przed zachodem słońca.

A niektórzy ludzie sądzili, że mogą oszukać atevich - którzy przewyższali ich liczebnością - w ich własnym układzie słonecznym, i utrzymać ich na powierzchni planety oraz nie brać pod uwagę w polityce?

Albo to, albo istnieli ludzie z pomysłami na rozwiązanie kwestii atevich, o których paidhi nawet nie chciał myśleć.

Polityka departamentu głosiła: „Nie omawiać polityki ludzi. Nie omawiać wewnętrznych i nie rozwiązanych spraw”.

Nie było sprawą paidhiego nastawić atewską politykę przeciw jakiejś decyzji podjętej na Mospheirze. Nie dysponował on informacjami na takim poziomie. Nie został wybrany czy mianowany, by zrobić coś takiego.

Został jednak wybrany - i mianowany oraz wyszkolony - i poinstruowany na bardzo wysokim poziomie po tej stronie cieśniny. Znał atevich na takich poziomach, że nikt inny, nawet członek uniwersyteckiego komitetu doradczego, nie mógł informować departamentu stanu.

Siedział chwilę, póki taśma przewinęła się do końca, ale nie było już więcej informacji, nie było już więcej bomb, lecz i ta jedna wystarczyła.

Nie chodziło o to, że prezydent postanowił przyjąć propozycję, ale o to, że został uruchomiony polityczny proces podejmowania decyzji, a będzie on brudny, pełen szybkich polityków, za którymi powolny rząd nie nadaży. Dzięki tej pozornie hojnej propozycji bardzo brudne, bardzo destrukcyjne elementy będą chciały wymusić program, który, jeśli ktoś nie podejmie szybkiego działania, może rozbić wyspiarski, bezpieczny światek Mospheiry na kawałki.

Oznaczało to kwestie nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Mospheira nie rozumie atevich. Mospheira nigdy nie musiała ani nie chciała rozumieć atevich. Rozumiał ich tylko paidhi. Dlatego go mianowano. Za to mu płacono. Żeby oni nie musieli rozumieć.

Musi porozmawiać z Tabinim. Zanim izby przyjmą jakąś politykę. Zanim zajmą publiczne stanowisko.

Wyłączył pierwszy magnetofon i poszedł poszukać Saidin, kaftana i Tano.

I tak był to już ciężki dzień - nieprzewidziane, lecz pilne spotkanie w porze drugiego śniadania we własnej rezydencji Tabiniego, które opóźniło planowe posiedzenie rady rolnictwa piętro niżej w Sali Błękitnej i prawdopodobnie wywołało falę plotek.

Mimo napiętej sytuacji Bren starał się przekazać - osobie, która jednym słowem mogła rozpocząć międzygatunkową wojnę - chociaż pewne aspekty dynamiki rządzącej społeczeństwem Mospheiry, niewielką liczebność członków opozycji, poważne zagrożenie atewskich interesów i roszczeń do stacji kosmicznej w razie pogorszenia stosunków oraz potrzebę stanowczości i zdecydowania w obliczu hysterii czy prób przekupstwa po obu stronach cieśniny, które mogą jedynie wpłynąć na zwiększenie napięć.

Oznaczało to określenie atewskiej pozycji negocjacyjnej, a co istotne - powinna ona brać pod uwagę rzeczy, których będą potrzebowali ludzie; paidhi mógłby policzyć na palcach obu rąk, z równym jeśli nie większym rozeznanieniem co prezydent Mospheiry, najważniejsze surowce i towary potrzebne do realizacji programu kosmicznego, których ludzie nie mieli na wyspie - a paidhi wie, że ludzie, czy to na Mospheirze czy na statku, będą chcieli handlować - to oznacza pieniądze, projekty i pełne uczestnictwo atevich w kosmosie, kiedy już odezwie się ludzkie uprzedzenie i protekcyjność, a dojdzie do głosu trzeźwy realizm - żeby statek mógł dostać to, co musi, a mianowicie licznych robotników udających się na stację.

Oznaczało to, że atevi muszą zechcieć zaniechać wzajemnej wymiany i przestawić się na jednolity handel z Mospheirą albo statkiem, zależnie od tego, kto okaże się rozsądny.

- To nie pozwala Hanks-paidhi pertraktować z panem Geigim w sprawie ropy - natychmiast zauważył Tabini. - Prawda?

- Zapewniam cię, że to dokładne przeciwieństwo tego, czego chcemy, aiji-ma. Żadna prowincja nie powinna zawierać niezależnych umów. Wszystko w tej nagłej sytuacji powinno przechodzić przez Shejidan, tak jak Shejidan zatwierdza drogi, koleje, mosty i tamy - handel powinien przechodzić przez Shejidan dla dobra wszystkich prowincji, żeby na przykład nie było obniżania cen i sprzedawania towarów poniżej wartości. Skomasuj handel, skomasuj przewozy, ustal wartość rynkową i na tej podstawie płać dostawcom, robotnikom i przewoźnikom, bez żadnych wyjątków, bez zysków dla centralnego rządu, ale i bez możliwości ominięcia go. Prowincje muszą zrozumieć, że mogą stracić pieniądze oraz muszą pojąć ryzyko przemawiania do ludzi więcej niż jednym głosem, dokładnie tak, jak powiedziałem w mojej mowie, aiji-ma. Ludzie mogą się między sobą kłócić, atevich na to nie stać. Tutaj właśnie atevi nadrabiają braki w technice, atevi wiedzą, czego chcą. Już przegłosowali jedno-myślność i mogą głosować, stanowić mocny blok i przystąpić do interesów, podczas gdy prezydent Mospheiry nadal konsultuje się z komisjami. Bądźcie szybcy, a ludzie ze statku mogą wybrać handel z wami, a nie z Mospheirą. Przynajmniej możecie przestraszyć Mospheirę na tyle, że dostaniecie lepsze warunki, niż zamierzali wam dać, a dzięki dwustuletniej historii kontaktów oni są wciąż waszymi bardziej naturalnymi sprzymierzeńcami.

- Interesujące - rzekł Tabini. Tabiniemu to wszystko wyraźnie się spodobało. Prowincjonalnym panom nie spodoba się to tak bardzo ani w połowie, można na to liczyć. Panowie z prowincji - a prowincją została nazwana dogodność mapy, która w niewielkim jedynie stopniu opisywała rzeczywistą złożoność problemu - jeśli tylko mogli, zawsze ciągnęli w swoją stronę, by zdobyć jak najwięcej korzyści i władzy.

- Prowincjonalni panowie - powiedział Bren - muszą znaleźć jakąś korzyść dla siebie.

- Uwierz mi, że potrafię znaleźć takie korzyści, które łatwo zaakceptują.

Co oznaczało - paidhi miał nadzieję - że aiji użyje łapówek, uczciwego, historycznie usankcjonowanego podziału dochodu, a nie kul.

Paidhi właśnie zamierzał rozwinąć ten temat, kiedy weszła pani Damiri i usiadła przy stole, po czym oparła podbródek na dłoni i oznajmiła, że niechcący słyszała rozmowę.

- Daja-ma - odezwał się zmieszany Bren.

- Może uzmysłowisz tej prowincjuszce, nand' paidhi, sposób, w jaki Atigeini powinni postępować z Mospheirą.

- Mogę jedynie zapewnić moją gospodynię, że Atigeini zajmują taką samą pozycję jak każdy potężny ród Patronatu, że jeśli atevi nie będą działać jako całość, to znajdują się na łasce najsłabszych i najbardziej zdesperowanych panów, którzy zechcą handlować z ludźmi, kiedy aiji zaleci...

- Kiedy aiji zaleci - wtrącił się Tabini - żeby prowincjonalni panowie sprzedawali ludziom tylko po cenach, jakie ustalimy i na warunkach, jakie ustalimy - które to warunki przede wszystkim zagwarantują nam dostęp do stacji kosmicznej.

- A co my z nią zrobimy? - zapytała Damiri, i nie było to tak niezręczne pytanie, jak mogłoby się wydawać. - Jak będziemy się na nią dostawać bez targów o transport?

- Atevi są gotowi - rzekł Bren, łamiąc kilka zasad departamentu - do wielkiego skoku. Atevi potrafią chronić własne środowisko, własny rząd i własną przyszłość. Atevi zapewnią sobie dostęp do materiałów i technologii daleko wykraczających poza projekty, które wam udostępniliśmy. Atevi zbudują nowoczesny pojazd orbitalny, razem z Mospheirą, a paidhi ma nadzieję, że atevi wykorzystają zaawansowane źródła energii do czegoś lepszego niż zrzucanie sobie nawzajem na głowy bomb, nadiin-nai.

- Czy tak mówi twój prezydent?

- Tak mówię ja, aiji-ma. Mospheirański prezydent hušta się na postrzępionej linii. Mospheira żadną miarą nie zdobędzie potrzebnych jej materiałów bez atevich. Statek mógłby eksploatować księżyc, gdyby miał robotników, którzy zdobyliby materiały do budowy robotów do zdobywania materiałów, ale to niepraktyczne. Trzeba do tego materiałów i robotników. Nie ma mowy, żeby Mospheiranie latali sobie do woli na orbitę własnym statkiem, a paidhi pozwolił, żeby atevi byli jedynie pasażerami. Ale - i jest to duże „ale”, nadiin - musimy polegać na komputerach. Musimy zgłaszać plany lotów. Tam na górze musi istnieć kontrola lotów. Czy jak to się tam nazywa. Krótko mówiąc, nastąpią zmiany w atewskim sposobie myślenia, w atewskich pojęciach. Paidhi nie może temu zapobiec.

Tabiniego to rozbawiło. Doświadczone oko poznało to po leciutko uniesionej brwi. Po chwili pojawił się prawdziwy uśmiech.

- Most na Weinathi w niebie?

Słynna katastrofa lotnicza, która przekonała nawet najbardziej prowincjonalnych panów, że pierwszeństwo w powietrzu nie może zależeć od rangi oraz że zgłaszanie planów lotów i bezwzględne trzymanie się ich jest bardzo dobrym pomysłem. Szczególnie na obszarach miejskich wokół większych lotnisk.

- Mamy tylko jedną stację - rzekł Bren. - Muszą tam żyć ludzie i atevi. Poza miastami handlowymi stacja oznacza bardzo bliskie sąsiedztwo, bardzo ścisłą współpracę.

- To miejsce, które zabiło tak wielu ludzi i którego ludzie nie mogli utrzymać. Czy powinni za nie umierać atevi?

- Sama stacja nadaje się do zamieszkania. I można ją o wiele lepiej zabezpieczyć. To możliwe miejsce, daja-ma. To miejsce, gdzie atevi i ludzie mogą znaleźć wiele wspólnego i pracować w pokoju.

- Miejsce bez powietrza. Bez ziemi pod stopami.

- Tak jak w samolocie, daja-ma, zamyka się szczelnie drzwi i wpompowuje powietrze.

- Skąd?

- W tym przypadku przypuszczam, że przywieziemy je w zbiornikach z planety. Albo mogą je wytwarzać rośliny. Inżynierowie wiedzą, jak to zrobić. Paidhi jest tłumaczem. Jeśli pragniesz obejrzyć plany, daja-ma, mogę powiedzieć, że nie będą już zastrzeżone.

- A działanie tego statku?

To nie jest zwykła ciekawość, pomyślał Bren, i stał się ostrożny.

- Nie liczby, rozmiary i technologia, daja-ma. Bardzo dobrze znam się na rakietach na paliwo płynne i stałe. Co jednak napędza ten statek, jaką technikę być może będziemy musieli stworzyć tu na dole, żeby dogonić technikę statku - nie wiem.

- Możesz się dla nas tego dowiedzieć? - zapytał Tabini. - Możesz dostać te rzeczy ze statku?

- Mogę powiedzieć, że spróbuję. Że w końcu - tak, znajdziemy sposób.

- Znajdziemy sposób - powtórzyła Damiri.

- Daja-ma, przez całe życie zawsze mogłem rozejrzeć się na Mospheirze i zobaczyć następny krok w technice. Po raz pierwszy Mospheiranie i atevi będą robić ten następny krok wspólnie, idąc w przyszłość, której oboje nie znamy. Nie mogę obiecywać. Nie wiem. Atevi będą jednak mieli szansę. Dla osiągnięcia tego mogę pracować.

- Nie wiadomo - zapytał Tabini - czego chce statek poza utrzymaniem stacji.

- Domyślam się, że załogę statku o wiele bardziej interesuje statek i kosmos niż jakaś planeta. To, co tam robią, dokąd zdążają, jak wygląda ich życie - wszystko to wydaje im się bardzo rozsądne. Przypuszczam, iż zadowolą się tym, że statek będzie sprawny.

Damiri zapytała:

- Czy statek może sobie wziąć to, czego chce?

- Myślę, daja-ma, że to możliwe, o ile chodzi o siłę; ale to, czego chce, nie jest takie proste jak obrabowanie wszystkich banków na planecie i odlecenie w swoją drogę. Nie mogę przewidzieć wszystkiego, czego może zechcieć statek, ale nie wyobrażam sobie, że zabiera surowce i sam wszystko wytwarza. O ile wiem, nigdy tak nie było.

- To czego zechce statek, nadi?

Jego gospodyni nigdy nie była na tyle uprzejma, by tytułować Brena zgodnie z zajmowanym przez niego stanowiskiem. W jej głosie zawsze pobrzmiwała władcza nuta i Bren zerknął na Tabiniego, napotykając jedynie szczere, uważne zainteresowanie.

- Bren-ji - powiedział Tabini, od niechcenia machnąwszy palcami. Tabini zdawał się mówić: „Bądź cierpliwy”, i Bren odpowiedział:

- Moim zdaniem chce, żeby stacja zaopatrzyła go w paliwo i w razie konieczności dokonała napraw.

- Po co?

- Żeby być może znów mógł nas opuścić na kolejne dwieście lat. Tymczasem my będziemy mieli dostęp do stacji.

- To szaleństwo - orzekła Damiri.

- Bren-ji - Tabini napomniał go za oschłą odpowiedź.

- Daja-ma, statek stanowi zagadkę dla wszystkich ludzi. Mogę powiedzieć, że byłoby dla niego o wiele prościej zmusić Mospheiran do pracy dla niego i nie mieć do czynienia z atevimi. To jednak dałoby Mospheirze władzę, która zachwiałaby równowagę ustaloną przez Traktat. Jestem całkowicie przeciwny takiemu rozwiązaniu. Nawet gdyby atevi woleli nie mieć z nimi do czynienia, nie sądzę, żeby to była mądra decyzja.

- Paidhi jest człowiekiem.

- Tak, daja-ma. Większość Mospheiran jednak nie chce, żeby ktoś kierował z kosmosu ich sprawami. Nie mogę mówić za wszystkich oficjeli, ale wśród zwykłych ludzi, a nawet wysoko postawionych urzędników atevi mają naturalnych sprzymierzeńców. Mospheiranie mogą utracić władzę nad własnym życiem, jeśli do głosu dojdą pewni inni Mospheiranie, zupełnie jak zbuntowane prow-



incje. Odpowiadając na twoje bardzo trafne pytanie, nai-ma: Nie sędzę, żeby statek planował użycie przemocy. Wszystko świadczy o tym, że potrzebuje stacji. Chce ją zdobyć jak najmniejszym kosztem. My musimy powstrzymać niektórych ludzi przed oddaniem jej zbyt tanio, bez udziału atevich. Tak wygląda sytuacja w najprostszych słowach. A my możemy do tego nie dopuścić.

- Bren-ji charakteryzuje mospheirański rząd jako niezdecydowany. Niezdolny do podjęcia stanowczej decyzji - wtrącił Tabini.

- Doprawdy? - Damiri zwróciła swe złociste oczy na Tabiniego, a potem znów na Brena. - To dlaczego są odpowiednimi sojusznikami?

- Daja-ma - powiedział Bren - Mospheiranie mają długą historię przeciwstawiania się statkowi. Po drugie, na Mospheirze nie ma dużych różnic w zapartywaniach. Nigdy nie były reprezentowane w takiej ilości, żeby mogło to spowodować kłopoty. Rząd nie jest przyzwyczajony do radzenia sobie z opozycją, która tym razem zapewne się pojawi. Z drugiej strony, Shejidan jest przyzwyczajony do niezgody i szybko zmieniającej się sytuacji. Prezydent nie ma pojęcia, co robić; niektórzy, lecz nie wszyscy z jego doradców są samolubni, a on pilnie potrzebuje propozycji, która pozwoli mu zająć pozycję możliwą do utrzymania - rezultatów, które będzie mógł pokazać społeczeństwu. Potrzebuje nagłośnienia. Telewizja, aiji-ma, ta diabelska skrzynka, może sprawić, że zamiast wysuwać swój własny program, opozycja zacznie się przeciwstawiać twojej propozycji.

Tabini oparł podbródek na dłoni. Ci dwoje stanowili swoje lustrzane odbicia, Tabini i jego przyszła partnerka w koniecznym i odłożonym na kilka lat poczęciu spadkobiercy. Człowiek musiał pomyśleć o nieodżałowanym ojcu Tabiniego, o wdowie i śniadaniu.

I o atewskim talencie do snucia intryg.

- Cóż za niegodna, potajemna taktyka - rzekł Tabini. - Czy nie moglibyśmy po prostu zabić tych drani?

Człowiek podejrzewał, że aiji żartuje. Nigdy nie śmiał zakładać zbyt wiele.

- Moim zdaniem prezydent sądzi, że wszystkie możliwości są związane z ludźmi. Myślę, że z zadowoleniem powitałby dobrze sformułowaną i klarowną wiadomość z Shejidan, szczególnie taką, która proponowałaby praktyczne rozwiązania.

- Interesujące - orzekł Tabini. I nie dodał, że musi się skonsultować. Człowiek miał wrażenie, że mózg Tabiniego już pracuje nad tekstem.

W następnej chwili Tabini uniósł w górę palec wskazujący, żądając uwagi:

- Powiedz tak, Bren-ji. Powiedz swojemu prezydentowi, że Tabini-aiji ma surowce niezbędne dla waszego przedsięwzięcia. Powiedz, że Tabini-aiji sprzeda wam te surowce tylko pod warunkiem, że ludzie i atevi podzielią się stacją. Powiedz mu to... w takiej formie, w jakiej należy zwracać się do prezydenta. Wymyśl słowa, które zrozumie i którym nie odmówi. - Machnął dłonią. - Szczegóły tłumaczenia zostawiam tobie.

A po chwili dodał:

- Wieczorem wywołamy statek, Bren-ji. Przygotuj się.

Bren prawie nie zwrócił na to uwagi. Nie wiedział, co powiedzieć. Rzekł więc tylko:

- Tak, aiji-ma.

## Rozdział 9

Tabini zdecydował się. Tabini miał zamiar wykonać ruch, co jak zwykle oznaczało szereg posunięć tak szybkich, że sytuacja jego oponentów zmieniała się z minuty na minutę. Dotyczyło to także, niestety, jego współpracowników, a kontakty z Tabinim, kiedy odrzucał wszelkie pozory, a otaczająca go atmos-

fera przypominała stalową pułapkę, oraz próby logicznego przewidzenia owego szeregu posunięć zawsze przyprawiały Brena o niestrawność. Sformułował najlepiej jak potrafił przesłanie Tabiniemu do wyspiarzy, pisząc je w rozsądnie prostym atewskim stylu. Prawnicy mieli zajęcie, ale nigdy nie sporządzali umów - to mogłoby doprowadzić do zabójstwa.

Bycie przygotowanym na wszystko oznaczało jednak nie tylko przekazanie wiadomości, ale i ponowne zwrócenie się do Biura Spraw Zagranicznych w kwestii rozwoju sytuacji na Mospheirze - zakładając, że biuro już wie o propozycji, jaką statek jej złożył.

Człowiek zakładał, że w związku z tym coś może się dzieć w salach rządowych i że Shawn może znaleźć przemyślny sposób na przekazanie co.

Cokolwiek jednak wiedziało Biuro Spraw Zagranicznych, nie przyznawało się do niczego. Shawn... nie chciał nic powiedzieć do mikrofonu, ale Bren nie dał się zbyć i zapytał wprost:

- Shawn, czy wiesz coś na temat propozycji statku?

- Nie. Przykro mi.

- Na pewno? Mam konkretne informacje.

- Nie mamy żadnych wiadomości. - Do takiej kulawej i bezradnej odpowiedzi sprowadzało się to, co mógł powiedzieć Shawn, a na następne swoje pytanie Bren usłyszał, że nie, sekretarza stanu nie ma, podobnie jak podsekretarza ani sekretarza jego sekretarza.

To wcale nie wzbudziło zaufania Brena do tego, co władza miała do powiedzenia Biuru Spraw Zagranicznych albo biuru paidniego, a przy okazji do wszystkiego, co mówił mu sekretarz spraw zagranicznych - który wcale nie musiał kłamać, ale Bren miał wrażenie, że Shawn usilnie stara się dać mu do zrozumienia, że nie otrzymuje żadnych informacji.

Nie miał wsparcia. A teraz nie miał możliwości zasięgnięcia porady.

- Shawn, lepiej to zarejestruj. Statek nadaje, Tabini wie, co się dzieje, i ma posłanie dla prezydenta, sprowadzające się do tego, że jeśli handel ma być kontynuowany, to Tabini powinien otrzymać pewne zapewnienia. Mówię ci to na wypadek, gdyby łączność została w tajemniczy sposób przerwana. Tabini-aiji ma wiadomość dla samego prezydenta i, jeśli coś się stanie z telefonami, czy mógłbyś przysłać tu kogoś następnym samolotem, żeby odebrał ją na piśmie? Prześlę ci tekst pod koniec naszej rozmowy i chciałbym, żebyś przekazał go przez kogoś prezydentowi do rąk własnych. To jest oficjalne. Na Mospheirze są ludzie, którzy być może nie chcieliby, żeby ta wiadomość dotarła do prezydenta. Czy mnie słyszysz?

- Zaniosę ją osobiście.

Bren wysłał tekst, który brzmiał następująco: „Panie prezydencie, wiadomość od Tabini-aijiego. Propozycja ze statku nie wspomina o atewskich pracach do stacji gwarantowanych przez Traktat. Tabini-aiji sugeruje, że przyjęcie tej propozycji zanegowałoby Traktat i wstrzymałoby handel materiałami potrzebnymi do realizacji przyspieszonego programu budowy.

Z drugiej strony Tabini-aiji proponuje, żeby do czasu zrealizowania naszych potrzeb mieszkańcy tego świata, tak atewi, jak ludzie z Mospheiry, zawarli umowę co do wstrzymania naszej zgody i współpracy do czasu, kiedy zostaną zrealizowane nasze potrzeby. Statek najwyraźniej potrzebuje robotników i wysunął propozycję, która może nie być korzystna dla was albo dla Patronatu.

Świadomy tej politycznej rzeczywistości, panie prezydencie, Tabini-aiji pragnie przyspieszyć tempo technicznego rozwoju atewich, by w ten sposób promować obecność atewich na stacji oraz pobudzić ich naturalne zainteresowanie sprawami przestrzeni kosmicznej, otaczającej naszą planetę i nasze słońce. Jednym słowem, panie prezydencie, proponujemy Mospheirze partnerstwo z atewimi, które może zapewnić i jej, i Patronatowi jako całości rozwój gospodarki, prawa obywatelskie oraz stabilność polityczną. Wy będziecie mieli swój załogowy statek orbitalny, a my poniesiemy połowę kosztów utrzymania stacji, z której będziemy też w połowie korzystać.

Między nami jest wiele różnic kulturowych i biologicznych, lecz podobnie jak wam, zależy nam na stabilnej gospodarce i prawach naszych obywateli do życia w pokoju na tej planecie. Jeśli teraz oznacza to współpracę na orbicie, ufamy, że atevi i ludzie potrafią osiągnąć sprawiedliwe i szybkie porozumienie.

Aiji, przemawiający za zgodą hasdrawadu i tashridu, czeka na Pańską odpowiedź”.

Bren otrzymał potwierdzenie od Shawna. Był jednak gotów się założyć, że łączność telefoniczna między Mospheirą i kontynentem zostanie przerwana w ciągu pół godziny.

Bren naciągnął zasady. I to bardzo. Użył słów, jakich w języku atevich nikt nie potrafił wypowiedzieć. Zagrał na niepokojach prezydenta, związanych z przesunięciami w polityce wewnętrznej, które mogły pozbawić urzędu zarówno jego samego, jak i większości polityków na Mospheirze.

Bolała go głowa. Drugie śniadanie nie posłużyło jego żołądkowi. A może to świadomość tego, co zasugerował w przesłaniu.

Lub może perspektywa wieczornej rozmowy z samym statkiem.

Tymczasem miał do przeczytania mnóstwo kłopotliwych oficjalnych listów, które Tano wyciągnął ze sterty atewskiej korespondencji. Jeden z nich przysłał absolutyści ograniczonego wszechświata, sekta deterministów, głównie z prowincji Geigiego, chociaż istnieli też inni - Bren sprawdził w komputerze - z małych, tradycyjnych szkół. Przypisywali moralne znaczenie, oraz interpretację pochodzenia atevich i ludzi, hierarchii liczb nie dopuszczającej istnienia fizyki SNŚ. Niech Bóg ma go w swojej opiece, bo jeśli dzięki Hanks nie znajdzie liczbowego wyjaśnienia SNŚ, to determiniści oskarżą go o kłamstwo i obrażanie ich inteligencji - za twierdzenie, że statek nie czaił się w tajemnicy na orbicie przez dwieście lat i nie przygotowywał się do ataku promieniami śmierci.

Banichiego nie było. Jago gdzieś poszła. To śmiertelnie przerażało Brena. Nie miał pojęcia, czy prawidłowo rozumuje, ale założył, że ich nieobecność ma ze sobą jakiś związek; Cenedi wspomniał o poważnych kłopotach w Gildii Zabójców, co, o ile wiedział Bren, mogło zagrażać tak życiu Banichiego i Jago, jak jego. Nie mógł zapytać o to Tabiniego, szczególnie po tym, jak pojawiła się Damiri, wymusiwszy wstęp na każde spotkanie odbywające się w apartamencie aijiego.

Kiedy weszła Damiri, Bren miał na końcu języka pytanie, ale w ogólnym pośpiechu, w którym przedstawiał sytuację temu najbardziej wpływowemu - i wyraźnie drażliwemu - spośród prywatnych doradców Tabiniego, nie miał możliwości zapytania Damiri o jej intencje, tajemniczość i ukryte znaczenie jej słów; poza tym nie wiedział, co to wszystko znaczy i jakie prawa dał jej Tabinowi - nie miała takiej samej pozycji w społeczeństwie jak aiji, a nieustannie narażała na szwank nie tylko godność paidhiego, ale i autorytet Tabiniego. Czy chciała Brenowi coś dać do zrozumienia? A może zrobił w apartamencie coś, co rozniewało Damiri?

Cenedi powiedział, że są osoby usiłujące zgłosić Zamiar przeciwko paidhiemu. Brenowi nie mówiło to nic, w jakiej sprawie i czy w atewskiej polityce zabójstw i intryg paidhi jest namiastką Tabiniego.

W końcu postanowił posłuchać rady ochroniarzy przydzielonych mu przez Tabiniego i nie ryzykować osobistego bezpieczeństwa.

Jak dotąd jedynym jasnym punktem dnia był nieoczekiwany telefon od służby bezpieczeństwa Bu-javid, która donosiła, że samowolny partner Tano jest na dole, na stacji kolejowej Bu-javid i że, nie mając szczegółowych instrukcji, ochrona dokładnie sprawdza przydział Alginiego na trzecie, arcyważne piętro Bu-javid i kwestionuje „znaczna ilość bagażu”. Przydział i bagaż najwyraźniej wymagał jego potwierdzenia, a pod nieobecność Banichiego i Jago - Tano najwyraźniej nie był upoważniony do potwierdzenia tożsamości własnego partnera - sprawa musiała dotrzeć aż do Tabiniego.

Tabini, wywołany z kolejnego posiedzenia komisji, cierpliwie załatwił ją dla paidhiego. W rezultacie jeszcze przed upływem godziny Algini pojawił się w foyer ze zdumiewającą ilością bagażu, potężną górą odpowiedzialności, której widok wywołał u Saidin zdenerwowanie, a wśród służby domowej szept - silni ochroniarze Bu-javid ciągle wnosili nowe pakunki należące do barczystego atevy, na którego ciele lśniły biała bandaża i gips, i który nie był ubrany w mundur, lecz w strój bardziej odpowiedni do wędrówki po górach - nic dziwnego, że ochrona na dole była zdumiona.

Tano tak się ucieszył na widok swojego partnera, że poklepał Alginię po ramieniu - Bren surowo się napomniał, że przecież Tano z pewnością nie czuje tego, co w podobnej sytuacji czułby on.

Ale - ale - i ale. To kolejny dowód na istnienie wśród atevich tego koleżeństwa, którego - mógłby przysiąc - dali mu posmakować Jago i Banichi; było w tym więcej ciepła, niż chciał okazywać Tabini, chociaż człowiek musiał pamiętać, że przy ocenie atewskich uczuć można mieć do czynienia z indywidualnymi różnicami.

Patrzył jednak na Tano i Alginię z lekko ściśniętym gardłem. Myślał, że prawie doświadczył czegoś takiego w stosunkach z Banichim i Jago, cokolwiek to było i jakkolwiek się objawiało; taki poziom uczuć przynajmniej pozwalał człowiekowi wierzyć, że w każdych okolicznościach ktoś będzie go bronił, i choćby się waliło i paliło, nie jest sam we wszechświecie - było to większe przywiązanie i większa lojalność od tych, jakich doświadczył od znanych sobie ludzi. Bren otrząsnął się i stwierdził, że nawiedzają go niebezpieczne myśli, które krążą wokół ludzkich, emocjonalnie naładowanych słów. Zupełnie sobie tego dnia nie radził.

A to wszystko po spotkaniu z Tabinim, podczas którego spokojnie wyłożył mu, co słyszał, co podejrzewa i jaki według niego ludzie mają wybór - krótko mówiąc, po dopuszczeniu się zdrady na bezprecedensową w historii paidhiin skalę. Czyn ten uderzył w szczególnie wrażliwe nerwy Brena, ponieważ podczas tego całego trudnego spotkania Tabini nie okazał żadnych emocji poza posępnym zamyśleniem lub rozbawieniem, nie podziękował mu ani nie zapewnił o pokojowym, konstruktywnym, mądrym wykorzystaniu otrzymanych informacji.

Tego popołudnia Bren był bardzo rozdrażniony i nie chciał czuć się tak samotnie, jak się czuł, a tu Tano i Algini kuszą go i pokazują, że istnieją uczucia, a człowiek może ich prawie - prawie doświadczyć. Dotknął ich. Posmakował. Polegał na nich w Malguri, by nie stracić życia i zmysłów, a dzięki decyzjom, które podejmował przez te kilka ostatnich rozpaczliwych dni, być może jest to wszystko, czego może się spodziewać do końca życia.

I wcale nie są to uczucia, na których można polegać. Mógł je podglądać; cieszył się, że coś takiego istnieje. Bardzo się cieszył, że Algini jest bezpieczny.

I może powinien teraz być po atewsku zimnym i rozsądnym. Może właśnie tylko tyle czułby na przykład Tabini albo Jago i Banichi, gdyby tu byli.

Algini podszedł do Brena i uklonił się rozradowany, co było dość niewykłe u tego ponurego ochroniarza, po czym oznajmił z dumą:

- Przywiozłem twój bagaż, nand' paidhi.

Boże, a więc to to stanowi zawartość kartonowych pudeł i skrzynek piętrzących się na antycznych dywanach. Wszystkie rzeczy pozostawione w Malguri, dosłownie wszystko, co posiadał, oprócz kilku pamiątek, które zostawił u matki. Bren sądził, że istnieje nikła szansa na odzyskanie niektórych przedmiotów i żał mu było ulubionego swetra, najlepszego kaftana, szcztoki, nesesera podróżnego, rodzinnych zdjęć - w tych pudełkach mieściło się całe jego cholerne życie, a Algini właśnie je przywiózł, od koszul i skarpetek do pierścieni i zegarka, który dała mu Barb.

- Nadi-ji - rzekł do Alginię. Słownictwo atewskiej wdzięczności stanowiło lingwistyczne ruchome piaski. - Jestem bardzo zaskoczony. - Wciąż mu się nie udawało. - Bardzo cenię te rzeczy, ale oddałbym je wszystkie za

twoje bezpieczeństwo. To bardzo dobrze, bardzo obowiązkowo, bardzo... uprzejmie z twojej strony, że je przywiozłeś.

Musiał chyba trafić w czułe miejsce ochroniarza, ponieważ zwykle ponury i milczący Algini wyglądał na zdumionego.

- To moja praca, nand' paidhi. - Czasami to samo przypominała Brenowi Jago.

Alginiego szanowali nawet Banichi i Jago - Tano, który zaczął cokolwiek okazywać dopiero po Malguri, był jego partnerem - i w tej chwili Bren dostrzegł u Alginiego cechy, na które albo był dotychczas ślepy, albo Algini nie pozwolił mu ich zobaczyć; cechy świadczące o tym, że w kategoriach ludzkich jest to osoba wykonująca swoje obowiązki, bo tego się od niej oczekuje.

Bren spojrział na pudła. W drzwiach stała Saidin i Bren zdecydował, że jej powierzy swój bagaż.

- Zechciej poprosić personel, żeby to wszystko rozpakowano. Całkowicie ufam twojemu osądowi, nand' Saidin. A ty, Algini, odpocznij. Banichiego i Jago nie ma. Nie wiem, gdzie są. Jestem jednak pewien, że powiedzieliby ci to samo.

- Nand' paidhi - rzekł cicho Algini - ateva zrobi to z przyjemnością, dziękuję.

Nieźły personel, pomyślał Bren, wszyscy w bandażach i gipsie. Algini ze zmęczenia padał na twarz, ale zanim zdążono wynieść pudła z westybulu, błysnęło światło przy drzwiach, opadł przewód ochronny, otworzyły się drzwi i weszła Jago.

- 'Gini-ji - rzekła z wyraźnym zadowoleniem. Wymienili ukłony, przy czym było jeszcze więcej poklepywania się po plecach niż między Alginim i Tano. - Ateva cieszy się. Bardzo się cieszy.

Jago po chwili coś sobie przypomniała:

- Wybacz, Bren-ji. - Podała mu tutkę z pieczęcią Tabiniego.

Bren właściwie się tego spodziewał. Stał w morzu pudeł pod czujnym okiem ochroniarzy; służące już zaczęły zabierać poszczególne pakunki. Czas i miejsce zostały ustalone na ten wieczór w błękitnym pokoju.

Nie był na to przygotowany, przynajmniej emocjonalnie. Nie był przygotowany na nic, czym go dotąd bombardowano, ale nabrał już przekonania, że musi próbować, a jeśli chodzi o wpadnięcie w to, co paidhi, jedyna osoba mająca doświadczenie w negocjacjach z atevimi, uzna za pułapkę, to - osierocona, szalona myśl - nie może mu pójść gorzej niż prezydentowi Mospheiry i jego ekspertom.

Paidhi oczywiście może się mylić.

Paidhi może się całkowicie mylić.

Wyszedł jednak o wyznaczonej porze, z notatkami i komputerem, i w towarzystwie Jago udał się do windy. Musiał się teraz skupić i myśleć tak jasno jak nigdy przedtem w swojej karierze.

Był śmiertelnie przerażony.

Za kilka minut miał myśleć w mospheiranie, co wymagało całkowitego przestawienia umysłu - jeśli w ogóle uda im się wywołać statek - a potem mówić szybko na przemian w dwóch językach, co wymagało niezwykle sprawnego szufladkowania.

Doręczony mu oficjalny dokument przyszedł w ślad za notatką Tabiniego; było to formalne ogłoszenie decyzji, o co zresztą prosił, pergamin ciężki od wstążek i izbowych pieczęci, który trzymał w ręce i musiał po przeczytaniu zwrócić. Obie izby obradowały burzliwie prawie całą zeszłą noc i skończyły posiedzenie ogólnym postanowieniem sprawdzenia, do czego może doprowadzić kontakt. W tym olbrzymim dokumencie po prostu proszono paidhiego, by zechciał wystąpić w imieniu atevich i za pozwoleniem aijiego przekazać statkowi pozdrowienia od Patronatu.

Notatka Tabiniego ujmowała to zwięźle i podawała godzinę spotkania. Tabini dopisał też: „Legislatura wznowi dzisiaj posiedzenie na specjalny

wniosek wschodnich prowincji". Oznaczało to, że zbuntowane prowincje podnoszą jakąś sprawę.

Dalej Tabini pisał: „Cała sprawa musi zostać omówiona i załatwiona najpóźniej do wieczora przez kanały Bu-javid, inaczej utoniemy w dodatkowych wnioskach”.

„Chimati sida'ta”. Jak mówi atewskie przysłowie: „Zwierz, o którego chodzi, będzie już ugotowany”. Aiji i paidhi-aiji będą mieli pełnomocnictwo przyznane im podczas głosowania zeszłej nocy. Miało ono moc, do czasu, gdy jakieś inne głosowanie, na przykład przeprowadzone dzisiaj, odbierze im je lub zawiesi do zbadania sprawy; może też wydarzyć się coś, co będzie zgubne dla interesów Tabiniego. Stąd ten pośpiech.

Głosowanie jednak nie przekazało upoważnienia z Mospheiry, ponieważ ta nie odpowiedziała na żadne z pism Brena ani na przesłanie Tabiniego do prezydenta. Bren miał cichą nadzieję, i wiedział, że działając bez upoważnienia sprowadza potężne kłopoty nie tylko na siebie, ale i na wszystkich, którzy wspierają go w departamencie. Z żalem traktował to jako osobistą, rozmyślną i przynębiająco konieczną zdradę.

Jednak nawet po tej stronie cieśniny natura komisji, która miałaby mu odpowiedzieć, była taka sama jak u wszystkich komisji w całym wszechświecie - zadać jej pytanie, a poczuje się zmuszona do wydania formalnego orzeczenia, które zgodnie z procedurą działania komisji Mospheiry (o wiele gorszą od tej, którą Bren miał okazję zaobserwować u atevich) może tutaj dotrzeć dopiero w przyszłym roku - a rada prezydenta wcale nie działała szybciej.

Jeśli Oni, to znaczy wyżsi urzędnicy w departamencie stanu, będą chcieli powiesić za to paidhiego - w tej chwili: chimati sida'ta - to najpierw muszą go złapać.

Jeśli chcą rozmawiać z atevimi - Bren dobrze wiedział, że wbrew publicznej pozie tylko garstka ideologów mocnych głównie w gębie chciałyby zerwać rozmowy z atevimi - znowu chimati sida'ta. Jeśli Tabini zadziała szybko, Oni nie będą mieli innego wyboru, jak przyjąć stan rzeczy, a nadal będą musieli rozmawiać z Tabinim za pośrednictwem Brena, bo Tabini nie chce rozmawiać z Hanks ani z Wilsonem czy z kimkolwiek innym z departamentu, kogo mogliby pośpiesznie awansować. Bren bardzo się obawiał, że do tej pory Hanks byłaby już martwa, gdyby wyraźnie nie poprosił Tabiniego, by ten w atewskim stylu nie załatwiał afrontu względem jego narodu; przy drugim naruszeniu Traktatu być może nie będzie już w stanie odwieść Tabiniego od demonstracji atewskiego zniecierpliwienia szykanowaniem paidhiego wybranego przez atevich.

Zatem jeśli co bardziej pragmatyczni i politycznie kumaci separatyści z departamentu stanu choćby czasowo wypadną z łask, a przejściową przewagę uzyskają prawdziwi betonogłowi ideolodzy, Bren ogromnie będzie żałował szkód wyrządzonych przewidującym, lojalnym ludziom z niższych szczebli, którzy go popierali. Był jednak głęboko przekonany, że satysfakcja zacierzwionych ideologów będzie trwała krótko, a jeszcze krócej ich kadencja, kiedy okaże się, że nie potrafią wydobyć z kontynentu ani informacji, ani chęci współpracy, ani surowców.

Nawet więc gdyby dogadali się ze statkiem, to i tak są przegrani...

Podobnie jak statek, dopóki nie nawiąże kontaktów z atevimi. Brenowi nie podobało się stanowisko, jakie został zmuszony zająć. Nie podobała mu się odpowiedzialność, ale okoliczności sprawiły, że on wiedział o co chodzi, a Mospheira nie; była to sytuacja, w której nie chciałby się znaleźć żaden szanujący się dyplomata...

Bo, do diabła, szkolił się do konsultacji, był lojalny względem swego narodu, jeśli nie departamentu; to on szedł ścieżką wytyczoną krok po kroku przez poprzednich paidhiin i komisje doradcze, określające, które technologie można przekazywać, jakimi partiami i dlaczego.

I kiedy tak szedł u boku Jago, zdał sobie sprawę z trzech rzeczy: po pierwsze, że nie jest w swoim postanowieniu zupełnie sam. Bez względu na to, kto w danej chwili rządzi w domu czy na górze, on ma za sobą całą strukturę

oraz decyzje wszystkich paidhiin, jacy kiedykolwiek służyli, a także ich komisje doradcze - poprzedników, których obecna administracja zdradza dla własnej wygody.

Po drugie, że aby nie zaognić sytuacji, musi bez rozgłosu przerzucić Hanks na wyspę.

I po trzecie, że naprawdę to zrobi, że naprawdę wyłamie się z obecnej struktury departamentu. Będzie musiał przyspieszyć tempo przekazywania atevim ludzkiej techniki w jego ostatnich etapach o wiele bardziej, niż bardzo mądry poprzednicy jego i Tabiniego uznali za konieczne i niż uznaliby za mądre. Będzie musiał pchnąć świat ku bardziej bezpośredniemu i ryzykownemu wystawieniu się na wzajemne wpływy kulturowe, niż kiedykolwiek przewidywała próbna propozycja miast handlowych. Ustawa o miastach handlowych miała na celu edukację obu społeczności na interpersonalnym i międzykulturowym poziomie oraz określenie problemów, które powstaną w punkcie styczności uznanym przez Biuro Spraw Zagranicznych za bardzo trudny teren.

Ten punkt styczności będzie o wiele trudniejszy na orbicie; dwie bardzo zrutynizowane kultury będą się starały przystosować do nowego środowiska oraz do siebie nawzajem i będzie to trudne, nawet, co jest bardzo problematyczne, gdyby załoga statku nie zamierzała ponownie oszukać budowniczych stacji i robotników, żeby tylko dostać paliwo i odlecieć, zostawiając wszystkich w poczuciu zdrady i w gniewie. Być może załoga statku pomyśli, że może grać w starą grę z nowymi graczami.

Pomyli się.

Jeśli zeszłego wieczoru przemówienie Brena do legislatury sprowokowało próbę zabójstwa, to ogłoszone przez niego zamiary mogą teraz sprowadzić całe zastępy zabójców. Jeśli przemówienie z zeszłego wieczoru zapaliło wszystkie światła w rezydencji prezydenta, to wyczyn z dzisiejszego wieczoru nie pozwoli im zgasnąć przez kilka tygodni.

## Rozdział 10

Nie trzeba było udawać się do instalacji anteny satelitarnej; notatka Tabiniego mówiła, że jej personel przesła wszystko do systemu łączności Bu-jauid, co oznaczało każde dogodnie miejsce. Okazał się nim ten sam pokój, do którego Tabini wezwał Brena po jego przyjeździe.

Jago wyprzedziła Brena, który ostrożnie przecisnął się przez tłumek adiutantów rozmawiających w drzwiach i wszedł do pomieszczenia pełnego techników, sprzętu telekomunikacyjnego, panów i przedstawicieli. Było tam też dwóch wysoko postawionych atevich z prasy oraz ekipa telewizyjna o niepewnej przynależności, za to pewnych podstawach finansowych.

- Nand' paidhi - rzekł Tabini, zapraszając go na eksponowane miejsce. Adiutanci aijiego pośpiesznie odsunęli fotel i usadowili Brena po prawicy Tabiniego, a Jago spokojnie położyła przed nim notatnik i postawiła komputer obok fotela. Technicy, którzy robili ostatnie poprawki, ustawili przed Brenem mikrofon. Zobaczył, że jest wyłączony i rzucił nerwowe spojrzenie na kamery.

- Czy oni są z sieci, Tabini-ma?

- Z legislatury - odparł Tabini. - Chcemy mieć dokładny zapis, nie tylko dla potomności.

Ze względu na plotki, które na pewno zaczną krążyć, chcą ochronić swoją reputację, pomyślał Bren.

Będzie to również przydatne w razie błędów, które paidhi być może będzie musiał naprawiać. Mając to na uwadze, Bren poczuł się pewniej w obecności kamer i prasy. Stwierdził, że właściwie ich potrzebuje, bo plotka zwykle wyolbrzymia każde niezwykle wydarzenie.

- Czy nawiązaliśmy już kontakt techniczny?

- Technicy nad tym pracują. Wszyscy powinni zrozumieć... - W pokoju zaczęło się nagle robić cicho, bo panowie i przedstawiciele bardzo chcieli usłyszeć, o czym aiji rozmawia z paidhim. - Dzisiejsza próba może nie przynieść rezultatu, ale łączność między nami i stacją naziemną przebiega bez zakłóceń. Jesteśmy więc gotowi?

Wokół stołu przetoczył się pomruk aprobaty, a ostatni dwaj uczestnicy zajęli swoje miejsca.

- Odezwij się, nand' paidhi. Mamy nadzieję, że statek będzie słuchał. Twój mikrofon ma połączenie z telefonistą w Mogari-nai.

- Zrobię, co w mojej mocy, aiji-ma. - Bren przysunął do siebie mikrofon, włączył go i poczuł się nieswojo. - Mogari-nai, mówi Bren-paidhi. Czy mnie słyszysz?

- Nand' paidhi, możemy cię przerzucić bezpośrednio na antenę satelitarną.

Straszna składnia. Gwałt na języku. Tradycjoniści mieli zastrzeżenia co do tych entuzjastycznych technokratów. Brenowi to też działało na nerwy.

- Tak. Dziękuję, Mogari-nai. Czy mam połączenie?

- Masz połączenie.

- Halo, „Feniks”, tu mówi Bren Cameron, tłumacz atewskiego zwierzchnika państwa z siedzibą w Shejidan. Aiji Aishi'ditat ma wiadomość dla kapitanów. Proszę o potwierdzenie. Nadiin-sai, machi arai'si na djima sa dimajin tasu.

Co znaczyło: „Proszę to nadawać do odwołania”.

Spojrzał na Tabiniego.

- Poprosiłem statek o odpowiedź, aiji-ma. Nie wiadomo, czy któryś z kapitanów jest na posterunku - zapewne jest ich kilku - albo czy ktokolwiek prowadzi nasłuch. Godziny snu i aktywności niekoniecznie muszą...

- Mówi „Feniks” - odezwało się radio w mospheiranie, a przynajmniej w dialekcie mającym wspólne korzenie z ojczystą mową Brena. - Słyszysz mnie?

Jeszcze o jedno uderzenie serca wcześniej był dość spokojny. Teraz samo otoczenie wydało mu się nierealne. Przysunął się do mikrofonu; serce biło mu tak mocno, że miał trudności z oddychaniem i czuł drżenie w kościach.

- Słyszysz pana bardzo wyraźnie. Z kim rozmawiam?

- Tu Robert Orr, oficer wachtowy. Podaj swoje nazwisko i numer.

- Panie Orr, nazywam się Bren Cameron i jestem tłumaczem między ludźmi i Patronatem Zachodnim - największym i jedynym narodem, z którym ludzkość utrzymuje stałe kontakty regulowane Traktatem. Tak dla formalności - jako tłumacz mogę negocjować z panem jako oficerem ze statku. Natomiast osoba, dla której tłumaczę, wybrany zwierzchnik Patronatu Zachodniego, pragnie rozmawiać z najwyższym rangą oficerem na statku. Jest to kwestia etykiety. Atewski zwierzchnik jest obecny, przychylnie nastawiony i czeka, by przemówić. Czy mógłby pan powiadomić kapitana i sprawdzić, czy możemy go bezpośrednio skontaktować z atewskim zwierzchnikiem podczas tej rozmowy?

- Tak jest. Poinformuję go. - W głosie oficera słychać było nutę niepokoju. - Proszę zaczekać. Za chwilę ktoś tu podejdzie. Proszę nie przerywać kontaktu.

- Dziękuję. - Bren spojrzał na Tabiniego. - Aiji-ma. Rozmawiałem z osobą średniej rangi. Poprosiłem, by człowiek ten zawiadomił swoją najwyższą władzę. Prosi nas o cierpliwość; sądzą, że udał się na poszukiwanie kogoś o odpowiednich kwalifikacjach.

Wokół stołu panowała absolutna cisza, nie było słychać nawet szelestu papieru.

- Jak oceniasz tę odpowiedź?

- Jest to pełna szacunku, właściwa odpowiedź na propozycję osoby wysokiej rangi. Mają wszelkie powody działać rozsądnie i znaleźć kogoś...

- Panie Cameron.

Inny głos.

- Mówi Stani Ramirez, starszy kapitan. Rozumiem, że mówi pan w imieniu miejscowego rządu, czy tak?



- W imieniu wybranego zwierzchnika Patronatu Zachodniego, który obejmuje ponad trzy czwarte największego kontynentu tego świata i całą zindustrializowaną kulturę. Mówię ze stolicy w Shejidan. Proszę poczekać. - Zmiana języka. Przez chwilę miał w głowie całkowitą pustkę. - Tabini-ma. To jest Stani, imię rodowe Ramirez. Ma najwyższą władzę na statku. Czeka, by do ciebie przemówić.

- Wyjaśnij Traktat. Poinformuj go, że uważamy takie stosunki za odpowiedni patronat z ludźmi.

- Tak, aiji-ma. - Zmiana. - Panie kapitanie. Aiji pragnie, bym wyjaśnił, że Patronat Zachodni uważa, iż stosunki między wszystkimi ludźmi i atevimi podlegają Traktatowi, który aiji przyjmuje za odpowiednio zagwarantowane warunki kontaktów ludzi z atevimi. Na koniec rozmowy jestem gotów przesłać panu tekst Traktatu. Patronat Zachodni prosi, by stosował się pan do jego postanowień jako jedynych wspólnie uzgodnionych środków zabezpieczających kulturę ludzką i atewską przed nieporozumieniami.

- Będziemy musieli rozważyć ten dokument.

- Tak, ale zapewne pan wie, że pierwszy kontakt atewsko-ludzki doprowadził do wojny. Przyczyny są biologiczne, nie kulturowe, i każdy mający doświadczenie w kontaktach atewsko-ludzkich powie panu, że przyczyn tych nie można usunąć. Atevi nie są wrogo nastawieni. Ze względu na ochronę własnych interesów pragną kontaktować się bezpośrednio ze statkiem, ale kanały komunikacyjne muszą być ograniczone do osób wyszkolonych w tłumaczeniu tego, co się mówi - oto cały sens Traktatu.

- Powiedz mu - przerwał Tabini, unosząc rękę - żeby wyznaczył mediatora takiego jak ty, Bren-paidhi, którego pouczysz. Ten tłumacz będzie kontaktował się z tobą i jak najszybciej osobiście przybędzie do Shejidan.

Bren zamarł na długą, pełną oszołomienia chwilę - a przynajmniej taką mu się wydawała. Istniały takie przerażające momenty, w których Bren był pewien, że Tabini zna mospheiran lepiej, niż się przyznaje, ale potem powiedział sobie, że Tabini po prostu w wyprzedzeniu podjął racjonalną decyzję. Odpowiednią decyzję. Decyzję sugerowaną przez Traktat. Przewodniczący komisji poruszyli się niespokojnie w swoich fotelach na tę chwilową zwłokę - być może spostrzegli na twarzy Brena przerażenie, którego nie zdołał opanować. Nie było zadaniem paidhiego oceniać decyzje aijiego, podobnie jak nie tworzył polityki Mospheiry. On tylko tłumaczył. Przekazywał. Nie miał robić nic więcej. Tylko że...

Tabini dorzucił do wyliczeń Brena całkowicie nie zaplanowaną, nieznaną zmienną, a mając władzę najpierw dyktowania posunięć, a dopiero potem poddawania ich ocenie legislatury, Tabini zrobił dokładnie to, co Bren mu zasugerował - zadziałał.

- Panie kapitanie - odezwał się Bren.

- Słyszę pana wyraźnie.

- W związku z tym, co mówiłem - czytając Traktat, dowie się pan, że całe tłumaczenie i pośredniczenie między atevimi i ludzką władzą spoczywa na jednym, wyznaczonym tłumaczu. Chciałbym wyjaśnić, że jest to trudny, uwarunkowany biologicznie punkt styczności językowej. - Nawet nie można było założyć, pomyślał Bren, że załoga statku cokolwiek wie o językach innych niż jej własny. Nie można założyć, że w ciągu minionych wieków istnienia na statku ograniczonej, prawdopodobnie małej populacji, załoga w ogóle zachowała pojęcie, nie mówiąc już o doświadczeniu, odmiennego języka, a co dopiero, że dysponowała osobami zdolnymi poradzić sobie z faktami języka prawie nie mającego dosłownych odpowiedników w mospheiranie. - Język ten wyraża ogromne różnice w pojęciach psychologicznych i podstawach biologii, które pogodziliśmy pokojowo i zgodnie z rozsądkiem. Przywódca atevich prosi pana o wyznaczenie kandydata, który zostanie przeze mnie wyszkolony w niezbędnych sprawach protokolarnych oraz językowych. Aiji żąda, by taki przedstawiciel został jak najszybciej wysłany do Shejidan.

- Mówi pan, żeby wyznaczyć oficera protokolarnego, który będzie w stałym kontakcie z panem. Żeby wylądował na planecie.

- Tak, sir. Wysłać na dół osobę upoważnioną do zawierania umów, które pan może ratyfikować. Dyplomatę.

- Co na to Mospheira?

- Mospheira jest państwem członkowskim Patronatu Zachodniego. Wyspa jest prowincją wśród innych prowincji. Nie przemawia ona w imieniu atevich ani całej planety. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną i handel, ma stosować się do decyzji Patronatu Zachodniego. Takie sprawy jest łatwo ustalić - istnieją kanały, odpowiednie ścieżki. Do Traktatu jest dołączonych mnóstwo umów dotyczących zasad, punktów wysyłki - rozumiem, że szuka pan na kontynencie siły roboczej i surowców. Oficer protokolarny mógłby to ułatwić, ale koniecznie musi mieć prawdziwe zdolności językowe. Mogę wskazać skróty, ale muszą istnieć wrodzone umiejętności.

Zapadło milczenie. Nic dziwnego. Po chwili kapitan odezwał się:

- Tutaj też istnieje rada, z którą muszę się skonsultować. Jak możemy się z panem skontaktować?

Boże, zabrzmiało jak z Mospheiry. Można by pomyśleć, że kapitan sprawnego statku jest w stanie podjąć decyzję.

- Telefoniści w stacji naziemnej będą wiedzieli, gdzie mnie szukać. Mamy jedną przeszkodę w łączności, którą zapewne pan już zauważył - satelita przestał działać już dawno temu. Telefoniści o tym wiedzą i potrafią temu zaradzić.

- Czy to są miejscowi telefoniści?

- To są atevi, tak, sir. Nie rozumieją waszych telefonistów, ale Patronat Zachodni jest jednolity językowo, a ja jestem dobrze znany. Proszę posłużyć się moim imieniem, a oni nie będą mieli wątpliwości, że chcecie się skontaktować. Proponuję następną rozmowę jutro w południe naszego czasu. Czy możemy na to liczyć?

- Czytanie dokumentu może trwać dłużej. Jaki macie system przekazu?

- Standardowy na stację. Atewski system łączności jest identyczny z tym, który odbiera was na wyspie. - Mówiąc to, Bren myślał: „Tak, panie kapitanie, odbieramy to, co wysyłacie na Mospheirę, ale nie wie pan, na jakich poziomach i jak prawomocna czy dogłębna jest penetracja przekazów statku, prawda?” - Przekona się pan, że dokument jest bardzo krótki, w stylu atewskich dokumentów prawnych. Szczegóły zawierają się w dokładnych umowach. Jeśli będę panu potrzebny o jakiegokolwiek porze dnia czy nocy, może się pan ze mną skontaktować, po prostu wywołując stację naziemną. Bez względu na to, gdzie będę, zostanę przełączony bezpośrednio na lokalny system telefoniczny.

- Panie Cameron, być może wspominam o tym za późno, ale jaką mamy gwarancję, że jest pan upoważnionym lub wręcz prawdziwym urzędnikiem?

To była przynajmniej jedna rzecz, którą Bren przewidział.

- Jeśli zlokalizowaliście źródło przekazu - a mogę się założyć, że to robicie i usiłujecie się domyślić, co to takiego, pomyślał Bren - to przekonacie się, że jest to bardzo duża, bardzo oficjalna instalacja, regularnie namierzająca pozycję stacji. W gruncie rzeczy na świecie istnieje tylko troje ludzi płynnie posługujących się językiem atevich, nie ma atevich mówiących po ludzku i Traktat nie przewiduje żadnego innego kanału kontaktowego oprócz mnie. Proszę wywołać jakiegokolwiek miejsce na planecie, a otrzyma pan odpowiedź tylko ode mnie i z Mospheiry. Ta duża antena znajdująca się w miejscu zwanym Mogari-nai jako jedyna oprócz tej na Mospheirze może połączyć pana z kimś, kto rozumie pański język. - Bren rzucił okiem na Tabiniego, który zachowywał daleko posuniętą cierpliwość. - Aiji-ma, jis asdi parei'manima pag' nand' Stani-kapitan?

- Masji sig' tratat didamei'shi.

- Pierwszym atewskim słowem, jakiego trzeba się nauczyć, sir, jest „aiji”. To tytuł atewskiego prezydenta, który ma większą władzę niż prezydent, ale to najbliższe tłumaczenie. Ma na imię Tabini, a więc proszę się do

niego zwracać „Tabini-aiji”, i robić to za każdym razem, kiedy wypowiada pan do niego jakieś zdanie; to podstawowa zasada grzeczności. Aiji czeka i spodziewa się, że zaakceptuje pan cały Traktat. Atevi nie rozumieją robienia wyjątków na wstępnym etapie rozmów; proszę uważać Traktat za ogólne określenie zasady z późniejszymi negocjacjami. Atewskie prawo opiera się na sprawiedliwości wpływającej z takich ogólnych umów. Czy chce pan coś powiedzieć aijiemu Patronatu Zachodniego?

- Proszę mu powiedzieć, że mamy nadzieję na przyjazny kontakt i że jesteśmy gotowi na przyjęcie dokumentu.

- Dziękuję panu. Kończę. Daiti, nadiin tekikin, madighi trataten disti-tas pas ajiimaisit, das, das, das, magji das.

- Pai sat, paidhi-ma.

Bren ustawił komputer na stole, korzystając w ostatniej chwili z pomocy któregoś z adiutantów, otworzył ekran, wyciągnął przewód do łącznika telefonicznego stojącego na stole.

Następnie wywołał plik, wydał polecenie wysłania go i dokument Traktatu prawdopodobnie popłynął do atewskiej stacji naziemnej, a stamtąd przeskoczył na statek.

Tak prosto, tak łatwo, z łącznika telefonicznego stojącego na biurku w Bu-javid.

Oszałamiające nawet dla arbitra techniki.

I najwyraźniej oszałamiające dla przewodniczących komisji, siedzących przy stole. Zwykle na zebraniach miały miejsce na wpół uważne spojrzenia, poruszenia, zagładanie do notatek czy konsultacje z adiutantami. Tym razem nic z tych rzeczy. Uroczysty niepokój, całkowita cisza. Być może jeszcze nie zdają sobie sprawy z tego, co się stało. Na pewno nie wiedzą, o co chodziło w tej niezrozumiałej paplaninie.

- I co powiedział? - zapytał Tabini.

- Zapytałem, aiji-ma, co chciałby powiedzieć aijiemu. Odpowiedział, cytuję: „Pragniemy pokojowego kontaktu i jesteśmy gotowi na przyjęcie umowy traktatowej”. Koniec cytatu. Wysłałem ją. Co prawda zamieniłem jedno słowo - jego „pokojowy” kontakt niesie ze sobą nadzieję na niewojenne stosunki, nie mające atewskiego odpowiednika.

- Czy zmienia to znaczenie kontaktu? - zapytał przewodniczący komisji sprawiedliwości.

- Wyraża zwykłą uprzejmość. Czasami ma swobodne i niezbyt ścisłe zastosowanie, oznaczając nie-wojnę, albo równie dobrze może wyrażać prawdziwą chęć wejścia w patronat. To jest to słowo „przyjaciół”, nadi, które zawsze wprowadza zamieszanie do tłumaczeń.

- Zaraza, nie słowo - rzekł Tabini.

- Zawsze, aiji-ma. Nawet człowiek musi się domyślić, co inny człowiek chce przez nie w danej chwili powiedzieć.

- Zamierzone zmylenie?

- Możliwe. - Atewski przeskok do podejrzliwości być może miał podłoże biologiczne. Przynajmniej był szybki. - Przewidywałem, że go użyje, i w pewien sposób jest uspokajające, że to zrobił. Kapitan nie zdaje sobie jednak sprawy, że nie zrozumiesz wszystkich jego niuansów. Podejrzewam, że na statku nie ma ani jednej osoby, która kiedykolwiek zetknęła się z innym językiem. Chcą poznać dokument Traktatu, i równie dobrze mogą przewidzieć, że zapytają, czy dostali go w całości. Nie spodziewają się, że jest taki krótki. Ich własne dokumenty prawne usiłują z góry uwzględnić każdy najmniejszy wyjątek i ewentualność.

- Wydaje się to nadmiernym kłopotem - mruknął Tabini.

- Tradycja. Prawo, a nie jestem pewien, czy znam jego historię. Starają się jednak pomyśleć o wszystkich problemach, jakie mogłyby się pojawić.

- Negatywne myślenie. Czy nie jest to wasze wyrażenie?

- Ale prawie z całą pewnością tak zrobią. Wyznaję, że jestem przytłoczony, nadiin, aiji-ma. Po prostu, zanim nie porozmawiałem z tym człowiekiem,

nie zdawałem sobie sprawy, od jak odległego punktu będę musiał zacząć wyjaśnianie naszej wspólnej historii stosunków. Z całą pewnością nie mam do czynienia z uniwersytetem na Mospheirze i będę musiał tłumaczyć bardzo wiele rzeczy. Nikt na statku nie będzie wiedział, jak unikać kłopotliwych pojęć. Będę musiał wyjaśniać je na bieżąco.

- Na ile dokładne może być to tłumaczenie? - zapytał minister sprawiedliwości.

- Na tyle, na ile paidhi rozpozna trudność, nandi, dlatego muszę was prosić, żebyście mi przerywali, jeśli tylko usłyszycie coś niepokojącego. Kontekst ma wielkie znaczenie. Podobnie jak tło historyczne. Powiem wam, które słowa uważam za podejrzone, a pomysł wybrania spośród nich specjalisty, choć mnie bardzo zaskoczył, jest bardzo dobry, aiji-ma. Jeśli uda im się znaleźć kogoś o odpowiednich zdolnościach, a mnie uda się go nauczyć właściwych pojęć, to może to być wielka pomoc. - Był bardziej zdenerwowany, niż kiedy miał do czynienia ze strzelbami i granatami. Nie wybiega się myślami przed czyny aijiego. Albo jakiegokolwiek innego atewskiego pana. Musiał jednak przedstawić swoje zastrzeżenie. - Jeśli jednak okaże się, że osoba ta nie odpowiada wymaganiam albo że nie możemy dojść do porozumienia, proszę o upoważnienie mnie, aiji-ma, nadiin-ma, do odcięcia tej osoby od wszelkich informacji i zerwania kontaktu. Jeśli tak się stanie, być może znów będziemy zdani na uniwersytet. A jeśli okaże się, że sam nie daję sobie rady z tłumaczeniem, trzeba będzie się do niego zwrócić.

- To wywoła poważne skutki - rzekł Tabini. - Raczej wolałbym, żeby ci się powiodło, paidhi-ji.

- Z całego serca wolałbym, żeby mi się powiodło, aiji-ma. - Bren był bardziej zdenerwowany, niż sądził. Zaczął sobie uświadamiać pewne rzeczy, a wśród nich to, że ponieważ ustawił się na dość niepewnej pozycji względem uniwersytetu i departamentu, to być może i tak będzie musiał mieć do czynienia z Hanks jako przedstawicielką Mospheiry i niego samego... Bóg jeden wie, co będzie. I chyba jeszcze tylko Tabini.

Nie takiej sytuacji chciał. Ten drobny zgrzyt w negocjacjach włączył jego wszystkie dzwonki alarmowe; nie był on zaskoczeniem, ale słowo „przyjazny”, którego nie ośmieliłby się użyć żaden z jego regularnych kontaktów, uświadomiło mu niebezpieczne problemy.

Przyjazny kontakt.

Pomniki Wojny oraz fakt, że ludzie mieszkają na wyspie, nie stanowiły elementu wychowania kapitana statku, jego świadomości, jego rzeczywistości pojęciowej. On nie wie, że zagrożone jest życie ludzi i atevich. A może nie wie tego z powodów, z których właśnie powstała ta groźba. Mospheira przekazała historię Wojny. Jednak szczegółowa znajomość historii to nie to samo, co zatrzymywanie się na tę jedną minutę ciszy o 9.16 rano co roku w Dzień Traktatu albo zobaczenie tej godziny zamrożonej na zegarze z fotografii Bazy Alfa. Był tam kiedyś. Każdy paidhi raz tam jechał.

- Aiji-ma - powiedział - przygotuję jeszcze jeden dokument do przesłania. Podręcznik etykiety, jeśli zezwolisz. Mogę go przygotować na jutro, na podstawie słownika.

- Jak paidhi sobie życzy - odparł Tabini. - Cokolwiek paidhi uważa za konieczne.

Było to nadanie przerażającej władzy. Oznaczało to - w atewskich kategoriach - że wraz z tą władzą Bren ponosi bezpośrednią odpowiedzialność.

Cicho zamknął komputer, myśląc, że tym razem włożył głowę prosto w pętlę. Potem wszystko sprowadzało się już tylko do szczegółów operacyjnych, garści odpowiedzi, jakich musiał udzielić, potwierdzenia dat spotkania. Musiał poświęcić temu uwagę, lecz myślami był daleko od spraw komisji czy nawet tych nielicznych pytań, które zadawali ich członkowie.

Była to chwila, w tym dziwnym wyciszeniu umysłu, w której naprawdę i definitywnie na zawsze pożegnał się z Barb. W której pomyślał o liście, jaki napisze do matki i Toby'ego.

W której uznał swoje zachowanie, motywy i stan umysłu za całkowicie podejrzane. Przez umysł Brena przetaczały się echa nieodwołalnej, jeszcze niedawno z taką pewnością podjętej decyzji, naruszając chwiejną równowagę. Czuł lekkie mdłości. Tym razem kwestionował swoje motywy i rozsądek post factum, a nie w teorii. Sprawom, które wyobraźnia widziała jako gładkie i niczym się nie wyróżniające, rzeczywistość zawsze nadawała fakturę, chaotyczną topografię defektów. Teraz wszystko zawierało się w minionej rozmowie dwóch umysłów, z których żaden nie słuchał głosu rozsądku. Teraz wszystko zależało od kontaktów z potężnym, doświadczonym w przemierzaniu wielkich odległości, nieodgadnionym partnerem - oraz departamentem, który na pewno zapyta paidniego, co według siebie, do diabła, paidhi robi.

- Nadiin - odezwał się Tabini - skończyliśmy. Nand' paidhi, dziękuję ci.

- Aiji-ma - mruknął Bren. Z pomocą jednego adiutanta, który przytrzymał mu krzesło, i drugiego, który zajął się komputerem, wstał i wciąż czując wewnętrzną pustkę, zebrał swoje rzeczy.

Pan Eigji z komisji handlu zrobił mu przejście do drzwi - być może mając na uwadze jego nikłą posturę i niezręczność wymuszona odstającą pianką - lecz takie odwrócenie zwykłej etykiety związanej z rangą wymagało najpierw podziękowania skłonem głowy, a potem pełnej zdumienia refleksji. Bren zamyslił się tak głęboko, że wychodząc, uderzył piankowym pancierzem we framugę i spodziewając się Jago, nie spojrzawszy w górę - całe pole widzenia wypełniła mu nagle i całkowicie czarna skóra i srebrny metal.

- Mam go - powiedział Banichi i wyjął Brenowi komputer z ręki.

- Gdzie byłeś, nadi? - wyrwało się mu nie przemyślane pytanie, kiedy jeszcze stali w drzwiach, blokując wyjście.

Banichi najpierw odprowadził Brena na bok, a potem odpowiedział:

- Spałem, nand' paidhi. W końcu ateva musi to kiedyś robić.

To nie była cała prawda. Bren odwdzieczył się podobnie.

- Nie byłem pewien, czy sypiasz.

Rozbawił Banichiego. To, że Banichi dał się rozbawić, samo w sobie było uspokajające; jeśli Banichi ma dobry humor, to znaczy, że problem niepokojący ochronę został rozwiązany.

Z drugiej jednak strony człowiek się zastanawiał, dokąd poszła Jago, i wcale nie był pewien, czy wróciła do rezydencji, lecz podopieczny ochroniarzy nie mógł drażnić tej kwestii, nawet na najbardziej strzeżonym obszarze Bu-javid...

Albo właśnie dlatego, że się tu znajdował, na terenie, gdzie atmosfera gęsta była od niepokoju oraz spraw życia i śmierci. Szli do windy, może nie ocierając się o panów Patronatu, lecz prawdopodobnie będąc w zasięgu ich słuchu.

- Muszę pójść do mojego biura, jeśli nie dziś, to jutro - rzekł Bren, trochę zbity z tropu tą zmianą personelu. Już sobie wymyślił, jak postępować z Jago, a atevi bez ostrzeżenia zmienili sytuację. - Muszę sprawdzić, co się tam dzieje i porozmawiać z Hanks.

- Sądziłem, że wypowiedziałeś jej wojnę.

- Niezupełnie. Proszę cię, Banichi-ji, zrozum, że nie chcę, żeby stała się jej jakaś krzywda.

- To chyba jako jedyny na kontynencie - rzekł Banichi.

- Nie możemy do tego dopuścić, Banichi. Nie wolno nam. Gdzie jest Jago? - Doszli do stosunkowo odosobnionego miejsca w pobliżu windy obsługującej bardziej strzeżone piętra i Bren natychmiast skorzystał z pierwszej szansy zadania pytania. - Wiedziałeś, że wrócił Algini? Ty znikasz, Jago znika, wracasz, Algini zastawia foyer moimi bagażami...

- Cyt. - Takim słowem uspokajało się dzieci. - Powinieneś znaleźć się na górze. Odpocznij, Bren-ji. To fizyczna konieczność.

- Cenedi powiedział, że są jakieś kłopoty.

Winda już przyjechała, ale Banichi ociągał się z otwarciem drzwi i rzucił Brenowi dziwne spojrzenie.

- Cenedi powiedział.

- Cenedi powiedział, że poprze cię w Gildii, jeśli będzie miał jakiś wybór.

- Doprawdy?

Musieli albo wsiąść do windy, albo ją puścić. Banichi zgarnął Brena do środka.

Wydawało się, że nie ma najmniejszego zamiaru odpowiedzieć na pytanie, choćby ogólnie. Bren jednak pomyślał, że ta informacja przynajmniej go zaskoczyła.

Banichi jednak milczał.

- Banichi, do diabła!

Ateva obserwował wskaźnik pięter. Ubrał się jak na posiedzenie rady - był oficjalny, nieprzenikniony, niczym nie poruszony.

- Zeszłego wieczoru ktoś zginął - rzekł ostro Bren.

- Ateva słyszał. - Banichi wciąż na niego nie patrzył.

- Banichi... człowiek mógłby układać swoje sprawy o wiele mądrzej, gdyby jego ochrona cokolwiek mu mówiła! Nie jestem głupcem, Banichi, nie traktuj mnie jakbym nim był.

Banichi uśmiechnął się niepewnie.

- Bren-ji, twoim zadaniem jest radzić sobie ze statkami i tym podobnymi sprawami. Naszym jest pilnować, żeby cię nie rozpraszały problemy uboczne.

- Ten ateva miał rodzinę, Banichi. Nie mogę o tym zapomnieć.

Winda stanęła i drzwi się otworzyły.

- Nie możemy omawiać tego tutaj. To nie jest obszar strzeżony, Bren-ji.

- A co nim jest? Oprócz apartamentu, który pożyczam od... - Znajdujące się w tym holu mikrofony, które wyraźnie martwiły Banichiego i które Banichi mógł wykryć swoim sprzętem, na pewno służyły Tabinemu, a zatem miała do nich dostęp Damiri.

Właśnie ta drobna niepewność kazała mu zamilknąć.

Ale dlaczego? zapytał się w duchu. Dlaczego Banichi nie jest pewien bezpieczeństwa na trzecim piętrze?

Na to piętro ma wstęp tylko personel, którego man'chi jest związane z Tabinim, z...

Z kobietą z rodu Atigeinich, która udzieliła mu gościny i której rodzina przeciwstawia się Tabinemu.

Banichi zatrzymał się przed drzwiami, żeby wyjąć klucz, i powiedział półgłosem:

- Zginęła więcej niż jedna osoba, Bren-ji. Amatorzy. Przyrzekam ci, że naszą zgubą będą amatorzy. Jestem pewien, że to przez telewizję. Zasiewa głupie pomysły w głupich głowach, które inaczej żadną miarą nie mogłyby wymyślić takich planów.

- Chcesz powiedzieć, że przedstawiciel z...

- Ateva chce powiedzieć, że pomimo argumentów, łapówek i nacisków Gildia odrzuciła kontrakty przeciwko paidhiemu. - Banichi otworzył drzwi. Z foyer w cudowny sposób zniknęły pudła. - Jago strzeliła celnie. On uszkodził historyczny obiekt. To między innymi jest właśnie ta różnica. Zechciej łaskawie trzymać się z dala od tłumu, nadi.

Gildia Zabójców działała według ściśle określonych zasad. Jej członkowie podchodzili na korytarzach do osób objętych kontraktem, pojawiali się w ich sypialniach, spotykali ich na schodach, ale nie stanowili zagrożenia dla osób postronnych, nie trafiali w przypadkowe cele, a przede wszystkim wymagali, żeby zleceniodawca spełniał pewne wymogi odpowiedzialności oraz zgłosił do władz zamiar. Władze z kolei powiadamiały osobę zainteresowaną. Formalnie. Pod pewnymi względami - Gildia rozważała, które kontrakty odrzucić, a które przyjąć - byli to atewscy prawnicy.

Paidhi jednak nie dochrapał się zabójcy klasy Banichiego i Jago; rozzłościł jakiegoś atevę w średnim wieku mającego rodzinę.

I prawdopodobnie nikt na świecie nie pamiętał, co Bren mówił poprzedniego wieczoru. Po prostu zobaczyli czyjaś śmierć i być może nikt nawet nie pamiętał tych trudnych konceptów, do których musiał ich przekonać, konceptów, na które postawił całe zaufanie, jakim darzył go własny rząd; i myśl ta sprowadziła straszliwą depresję - może to był wstrząs pourazowy - a wraz z nią poczucie, że znalazł się na zbyt głębokiej wodzie.

Wszedł z Banichim do apartamentu i zobaczył, że z koszyka na stole wysypują się wiadomości. Na spotkanie wyszedł im Tano i pani Saidin; Saidin z pełną powagi uprzejmością, a Tano z wyraźną ulgą.

Uświadomiło to Brenowi, że Jago wcale nie drzemie. I że nie drzemał poprzednio Banichi. Z części apartamentu przeznaczonej dla ochrony przyszedł Algini; powitanie tych dwóch współpracowników było całkowicie profesjonalne, całkowicie przyziemne.

Jego atmosfera uświadomiła Brenowi, że obecność Alginiego w najmniejszym stopniu nie zaskoczyła Banichiego i że Banichi mógł nawet być na lotnisku, kiedy przyleciał Algini.

- Nand' paidhi - powiedział tymczasem Tano - dzwoniła Hanks-paidhi. Trzy razy.

O Boże! Nie odwołał polecenia danego telefoniście, który od popołudnia dzwonił do Hanks.

- Zostawiła jakąś wiadomość?

- Była bardzo zła. Powiedziała, że chce rozmawiać z tobą osobiście.

- Najmocniej przepraszam, Tano.

- To moja praca, nand' paidhi. Z przyjemnością odbieram telefony. Są telegramy z Mospheiry. Trzy, nand' paidhi. Nie wspominałbym o żadnych sprawach, z którymi mogę sobie dać radę bez konsultacji, ale...

Bren był zmęczony. Nagle poczuł się wyczerpany, roztrzęsiony i nie potrafił nawet samodzielnie zdjąć tego cholernego kaftana. Musiała mu pomóc służąca... nazywała się... przecież słyszał jej imię...

- Nie mogę - był zmuszony się przyznać - nie dam rady. Przepraszam cię, Tano, nie mogę się dzisiaj tym zająć.

- Bren-ji jest wyczerpany - rzekł Banichi, gdy reszta taśmy została odklejona od rękawa i Bren wydostał się z kaftana. Chciał iść do łóżka. Tylko tyle. Miękkie poduszki. Żadnych pytań.

Bał się jednak tego, co mogły zawierać te wiadomości. Miał nadzieję, że jedna z nich jest od prezydenta i akceptuje jego stanowisko. Miał nadzieję, że nie został uznany za głupca i odwołany z urzędu, by można go było zaarrestować.

Musiał chociaż rzucić okiem na te trzy telegramy. Przełamał pieczęć na pierwszym, niezręcznie posługując się złamaną, usztywnioną ręką. Był od Barb: „Nie wiedziałam, Bren. Jest mi tak głupio. Zadzwoń, proszę”.

Po pierwszym przeczytaniu był jak sparaliżowany. Po chwili niedbałym ruchem wrzucił telegram z powrotem do koszyka. Był zły - chyba tak zły jak jeszcze nigdy w życiu.

Albo zraniony. Nie potrafił się zdecydować. W tej chwili nie mógł od siebie wymagać logicznej oceny, a już na pewno oceny Barb. Otworzył drugi telegram - od matki: „Przykro mi, że nie zastałam cię w szpitalu”, ale z reszty cenzorzy zrobili sieczkę. Było to jedyne nietknięte zdanie i Bóg jeden wiedział, co matka chciała mu powiedzieć. Nie ostało się nic poza przyimkami i znakami przestankowymi.

Oznaczało to, że matka pisała o sprawach zagrażających bezpieczeństwu, a jego matka nie miała pojęcia o sprawach zagrażających bezpieczeństwu. Nigdy nie miała mu do powiedzenia niczego, co cenzura mogłaby uznać za niewskazane - takie zagadnienia po prostu nie istniały w jej wiedzy o wszechświecie.

Coś się mogło stać w domu, coś, o czym według cenzorów nie powinien wiedzieć; ale w takim razie dlaczego przepuścili to jedno zdanie, kiedy mogli

zatrzymać cały list? Mogli wrzucić telegram do czarnej dziury i ani on, ani jego matka nic by o tym nie wiedzieli; więc po co go martwić, skoro przede wszystkim chodziło im o zaoszczędzenie mu trosk? Bren nie rozumiał, o co chodzi. Nie ocenzurowali telegramu Barb, który niewątpliwie go zaniepokoił, a takie sprawy osobiste z pewnością nie stanowiły tajemnicy dla cenzorów departamentu. To nie miało sensu.

Trzeci telegram był z departamentu stanu. Zaczynał się następująco: „Urzędnik terenowy, Bren Cameron”. Tytułem przyznanym mu przez departament, chociaż był tylko jeden teren i jeden urzędnik – po czym od razu przechodził do meritum: „W imieniu prezydenta departament informuje pana, że pański raport jest brany pod uwagę. Tymczasem stanowczo zakazuje panu wykonywania dalszych tłumaczeń przechwyconych transmisji...”.

No tak, to wszystko, pomyślał Bren. Był zbyt otępiały, żeby się przejąć i za daleko zaszedł już ścieżką potępienia, by sądzić, że zakaz ma jakiegolwiek znaczenie. Ku osłupieniu Tano i służących wrzucił telegram prosto do koszyka, po czym zrobił to samo z telegramami od Barb i matki.

Znów wróciła tutka Ilisidi. Otworzył ją na końcu. „Stara kobieta pragnie twego towarzystwa każdego poranka, kiedy tylko masz chęć. Poprawiasz nam krążenie krwi. I masz takie ładne włosy”.

Przeczytał wiadomość trzy razy ze ściśniętym gardłem oraz nieuzasadnionym i groźnym zadowoleniem, że jest jedna istota we wszechświecie, której jego towarzystwo sprawia przyjemność; jedna wysoko postawiona osoba w Patronacie, która nie chce go kupić, zabić czy wykorzystać – albo nie została przydzielona przez Tabiniego do jego ochrony. Możliwe, że jest zupełnie na odwrót. Przynajmniej jednak, do cholery, wiedział dlaczego.

Podał tutkę Tano.

- Nadi, uprzejme podziękowanie wdowie z zapewnieniem o mojej chęci rychłego towarzyszenia jej przy śniadaniu. Powiedz pani wdowie... powiedz, że cenię sobie jej pochlebstwo. Zadbaj, proszę, by doręczono to jeszcze dziś. Dołącz do wiadomości pomyślny bukiet kwiatów.

Najwyraźniej zaskoczył Tano, i to z kilku powodów. Nie zważając na to, wyszedł z foyer i udał się w kierunku swojego łóżka, przypomniał sobie dopiero w drzwiach sypialni, że zostawił Banichiego bez słowa, ale Banichi prawdopodobnie ma jakieś swoje polecenia do wydania Tano i Alginemu, a może po prostu został na filiżankę herbaty z osobami nie zadającymi mu pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Przynajmniej Banichi wrócił – a Jago zniknęła, jeśli nie śpi we własnym pokoju, jak twierdził Banichi.

Może, pomyślał mętnie Bren, wykonują swoje zadania na zmianę, co, jak wiedział w głębi serca, jest sprawą Tabiniego i jego ochrony. Nigdy nie zostawili go samego i nigdy tego nie robią. Może na tym polegać. Mimo że ostatnio robił się popularny – musi na tym polegać.

Rozzłościł Hanks. Był zbyt zmęczony, żeby się tym zająć. Do diabła, pewnie mógłby zacząć od przeprosin, ale mu się nie chciało.

Rozebrał się z pomocą pół tuzina dyskretnych służących, zrobił sobie niezbędny grajdołek w łóżku, podparł sterczącą piankę poduszkami i dopiero, kiedy się położył, zauważył, że pod przeciwległą ścianą zainstalowano mu telewizor, o który prosił, a kiedy odwrócił głowę, spostrzegł na nocnym stoliku nie tylko szklankę z wodą, ale i pilota. Jego nerwy były jednym buczeniem wyścieńczenia, zmysły groziły wysiadką, czego Bren bardzo chciał; pragnął tylko zamknąć oczy i osunąć się spiralnym lotem w sen, na który sobie zasłużył. Ale Barb napisała: „Zadzwoń, proszę”.

Cholera jasna. Zadzwoń. Rzeczywiście, telefon mógłby być na miejscu; mogła zadzwonić, kiedy był w mieście, a przynajmniej do szpitala. Pewnie wyjechała w podróż poślubną.

Wybaczył jej – wszystko oprócz tego „Zadzwoń, proszę”. Zawsze tak mówiła, kiedy się poróżnili. Wiedziała, w jakich godzinach pracuje w razie kryzysu, wiedziała, że jeśli ma do niego sprawę osobistą, to powinna zadz-



wonić rano. Ale nie, to on powinien zadzwonić do niej. Dziś wieczorem. On powinien zadzwonić do niej. To on powinien negocjować, to znaczy przymilać się, żeby w końcu raczyła okazać tę czy inną reakcję, aż wreszcie uda mu się rozgryźć, w czym rzecz, i ją udobruchać.

Za co? Za to, że wyszła za męża? Nie był w nastroju.

Sięgnął z rozdrażnieniem po pilota, włączył telewizor, żeby zobaczyć, co mówią w wiadomościach, i zobaczył oraz usłyszał samego siebie siedzącego przy stole rady. Wiedział, że Mospheira doskonale odbiera ten program - podobnie jak kontynent regularnie odbierał wszystko, co wysyłała w eter wyspa.

Były obrazy jakichś szkód, ale nie chodziło o uszkodzenia Malguri spowodowane bombami, tylko chyba o dach stodoły zerwanej przez wicher. Na następnym kanale dawali znaną mu sztukę machimi - dramat o spadku i oszustwie, rozwiązanie którego polegało na tym, że dwa klany stwierdzały, iż nienawidzą trzeciego klanu o wiele bardziej niż siebie nawzajem; bardzo atewskie, bardzo logiczne. Mnóstwo kostiumów, mnóstwo bitew.

Czując, że zamykają mu się oczy, przełączył na wiadomości z nadzieją na złapanie prognozy pogody i usłyszenie, że zimny front złagodzi zapowiadając się duszną noc.

Prezenter coś mówił, tym razem bez podkładu filmowego, o parlamentarnej procedurze odwoływania członków Gildii Zabójców do miasta, procedurze, którą rzecznik Gildii nazwał wyborami administracyjnymi.

Do diabła, pomyślał z niepokojem Bren. Oczemurowano list jego matki. Banichi zniknął na całą dobę w związku z wyborami administracyjnymi, podczas gdy Cenedi mówił, że Gildia przeżywa kryzys. Jago też ma głos. Może właśnie go oddaje.

A Banichi mówił coś o tym, że Gildia odrzuciła kontrakty przeciwko paidhiemu. Niepokojąca myśl. Ciekawe, jaką większością głosów? I co przyjęcie tych kontraktów oznaczałoby dla stabilności Tabiniego na jego stanowisku?

Bren nie znalazł w tych wiadomościach ukojenia. Wolałyby oglądać sztukę, w której przynajmniej był kolor i ruch. Oczy jednak odmawiały mu posłuszeństwa, którego odmówił mu już mózg, bo inaczej w ogóle nie zastanawiałby się nad oglądaniem czegokolwiek.

A potem zdał sobie sprawę z otaczającej go ciemności, z nagle ciemnego pokoju - pewnie zasnął, bo lekka poświata ekranu świadczyła, że telewizor właśnie został wyłączony, a przed nim stała rosła postać.

- Banichi? - zapytał słabym głosem Bren.

- Nigdy nie powinno się okazywać, że się już nie śpi - rzekł Banichi. - Zwłoka może się okazać bardzo cenna.

- Mam dom pełen ochroniarzy - zaprotestował Bren. - I nie posiadam już nawet broni.

- Sprawdź w komodzie.

- Żartujesz. - Chciał wstać, ale nie miał siły podnieść się z łóżka.

- Nie - odparł Banichi. - Dobranoc, Bren-ji. Aha, wróciła Jago.

Wszystko w porządku.

- Możemy porozmawiać, Banichi?

- O czym, nadi? - Banichi zmienił się w cień w drzwiach, w nikłym świetle padającym z jakichś otwartych drzwi dalej w korytarzu. Zaczekał jednak.

- O wyborach w twojej Gildii, o tym, przed czym ostrzegł mnie Cenedi, uznając to za swój obowiązek, o tym, o czym chyba powinienem wiedzieć, skoro przyjąłem kolejne zaproszenie Ilisidi.

- Z wiele mówiącym wdziękiem, nadi. Ateva jest bardzo zaskoczony.

- Lubię staruszkę - powiedział krótko Bren do sylwetki w drzwiach, doskonale wiedząc, że słowo to nie oznacza „lubienia” w ludzkim sensie. - I oczywiście mogę tam otrzymać informacje, których nie dostaję tutaj.

- Bo myślisz, że aiji-wdowa jest sałatką, a ty cenisz sobie informacje osób najbardziej zainteresowanych podawaniem ci fałszywych informacji?

Wiedział, że powinien się roześmiać. Nie miał na to siły. Wyszedł z tego słaby jęk, a głos mu się łamał.

- Nadi, uważam, że wdowa jest powiewem świeżego powietrza, ty sam jesteś sałatką, a ja zbieram wszystko, co może mi pomóc w przekonaniu tych ludzi na niebie, żeby jutro rano nie przylecieli tu satelitami i nie złupili skarbów Bu-javid. Jestem tak sakramencko zmęczony, Banichi. Wszyscy chcą usłyszeć moje zdanie, a nikt nie chce mi nic powiedzieć, to skąd mam wiedzieć, że wdowa mnie dezinformuje? Wszystko inne brzmi bezsensownie.

Banichi podszedł do Brena i rzucił na niego cień.

- Ateva stara się chronić cię przed zbyt dużym rozpraszaniem uwagi, nadi.

- Chroń mnie mniej. Informuj więcej. Jestem zrozpaczony, Banichi. Nie mogę działać w informacyjnej próżni.

- Jeśli zechcesz, Jago odwiedzi cię do posiadłości w Taiben. Tam może być bezpieczniej.

- Czy coś jest poważnie nie tak z miejscem mojego obecnego pobytu?

To wywołało chwilę niepokojącego milczenia.

- Banichi?

- Nand' paidhi, Deana Hanks wysyła i inne wiadomości z twoją pieczęcią.

- Cholera! Jasna cholera! - Zamknął oczy. Był niebezpiecznie blisko utraty świadomości. Taki zmęczony. Tak bardzo zmęczony. - Nie chciałyby nikogo oskarżać, ale sądziłem, że położyłeś temu kres. Co ona knuje?

- Nand' paidhi, ta kobieta utrzymuje stałe kontakty z pewnymi członkami tashridu. Nie wiemy, w jaki sposób zdobyła pieczęć, ale jej używa.

Musi zmienić tok myślenia. Znalazłszy się w trzech czwartych drogi ku zaśnięciu, musiał zawrócić, zadać sobie pytanie, dlaczego Taiben i skąd Hanks wzięła pieczęć?

- Przyleciała z nią - powiedział. - Jest podrobiona. Mospheira mogła to zrobić.

- Ateva wahał się przed oczernieniem twojego biura. Ta myśl przyszła nam do głowy. Oczywiście jest równie możliwe, że fałszerstwo zostało przygotowane przez naszych szacownych panów z tashridu. I nie mówię, że nie przechwytywałeś tych wiadomości przed wysłaniem ich do adresatów. Niektóre z nich są sformułowane dość kuriozalnie.

- Niebezpiecznie?

- Poprosiła pana z prowincji Korami o „ciężarny kalendarz”.

„Ciężarny kalendarz” i pilne spotkanie. Bren roześmiał się i poczuł, jak znika jego zdrowy rozsądek; śmiał się aż do bólu żeber ściśniętych taśmą.

- Rozumiem, że nie jest to jakiś szyfr?

- O, Boże, Boże.

- Dobrze się czujesz, Bren-ji?

Stopniowo odzyskał oddech.

- Nic mi nie jest, dziękuję, Banichi. Boże, to cudowne.

- Inne błędy są gramatyczne. Poza tym ona mówi bez ogródek.

- Nie uwierzyłaby, że trzeba jej oglądy. - Dobry humor ustąpił miejsca wspomnieniom Deany po egzaminach, Deany w ponurym nastroju.

- Notujemy to. Możemy to robić, to przecież atak na nasz język.

Bren roześmiał się cicho, uspokojony dobrodusznym przeświadczeniem Banichiego, że nie jest tak źle, że wciąż potrafią żartować, pokonując międzygatunkowe granice, i zaczął szybko odpływać, zbyt szybko, by zapytać Banichiego o prognozę pogody, zanim, próbując powstrzymać opadanie zmęczonych powiek, stwierdził, że Banichi wypłynął z pokoju, cichy jak inne cienie.

Bren miał nadzieję, że znowu spadnie deszcz i złagodzi upał, który tego wieczoru wydawał się szczególnie uciążliwy, a może było mu gorąco przez te wszystkie poduszki, jakimi musiał się obłożyć.

Był jednak senny i nie chciało mu się ruszać - Banichi ma rację, Banichi go pilnuje, a poza tym Bren odkrył, że po apartamencie krąży delikatny i bardzo obiecujący podmuch, chyba od otwartych okien, pachnący kwiatami, które zapamiętał...

Ale to było w Malguri, prawda? Albo w jego ogrodzie.

Znalazłszy pozycję, w której nie czuł bólu, znów zamknął oczy, a kiedy poczuł ów podmuch, zobaczył wzgórze Malguri i jeźdźców na wysokich mecheiti. Poczuł pod sobą ruch Nokhady, zobaczył poniżej mijane skały...

Groźny cień samolotu przecinający zbocze góry...

- Uwaga! - Wydawało mu się, że zawołał, odwracając się do tyłu w strachu przed spadającymi bombami.

Potem jednak znów jechał, czując pod sobą rytm kroków żywej, myślącej istoty, czując wilgotny, zimny wiatr.

Chciał się tam znaleźć.

We śnie można było wrócić na tamto wzgórze.

We śnie można było odnaleźć swój pokój ze zwierzem o szklanych oczach spoglądającym ze ściany.

I swoje jezioro z niewidzialnymi pasażerami i dzwonami, które były nie poruszane niczyją ręką.

To chciał uratować. To i urwiska, i wi'itkitiin - i Nokhadę, to złośliwe stworzenie. Znów chciał się znaleźć w siodle, wśród wzgórz, tylko on i ta piekielna mecheita, która przewróciła go na ziemię, porządnie wytrzęsła i kilka razy o mało co nie zabiła - chciał zobaczyć tego nieznośnego zwierza z przyczyn znanych jedynie Bogu. Zastanawiał się nawet w swoim śnie, czy ma na koncie wystarczającą ilość pieniędzy, czy może je wypłacić w atewskiej walucie i czy sprzedanie Nokhady byłoby zgodne z honorem aiji-wdowy.

Wtedy jednak zdał sobie w tym melancholijnym śnie sprawę z faktu, że mecheiti rządzą się własnymi prawami i że nie może zabrać Nokhady ze stada, z tabunu, ze społeczności, w której żyją mecheiti, podobnie jak atevi. Tam jest miejsce Nokhady. Człowiek byłby w tej gromadzie obcy. Nokhada nie rozumie, co to miłość. Nokhada rozumie zew, którego człowiek nigdy nie mógłby i nie chciałby pojąć.

We śnie Bren prawie to zrozumiał jako siłę ciągnącą go ku Patronatowi - słabe słowo na określenie najpotężniejszej siły działającej na atevich. W tym śnie prawie odkrył, co to jest. Chodził po wzgórzach, patrzył na przemierzające je mecheiti, na dawne sztandary, trzepoczące i strzelające kolorami ze starych sztuk machimi, i prawie poczuł, co kieruje Patronatem panów.

W swoim śnie widział ziemię i żywił do niej ludzkie uczucia. Pewnie nic na to nie mógł poradzić. Jego potrzeba odczuwania tego, co atevi, stanowiła część tych ludzkich uczuć i była mocno podejrzana.

W tym śnie siedział na stoku wzgórza. Podszedł do niego Zwierz, wciąż rozzłoszczony swoim morderstwem, ale zaciekawiony obcym obiektem. Zachciało mu się drugiego śniadania, które Bren przyniósł ze sobą w papierowej torebce, więc człowiek się z nim podzielił. Zwierz, czarny i zgryźliwy, usiadł z ciężkim westchnieniem i zjadł pół kanapki - przycisnął ją potężną łapą i żarłocznie pochłonał. Bren uznał, że zapewne grozi mu niebezpieczeństwo. Zwierza wydawało się jednak zadowolone z siedzenia przy nim i warczenie ogólnie na całą ziemię, jakby od dawna żywił jakąś urazę czy też od dawna sprawował pieczę nad fortecą stojącą na wzgórzu poniżej. Niebo było błękitne, lecz blade i przywodziło na myśl upał lub świeże, gorące szkło. Mogło z niego przyjść wszystko. Może tego pilnował Zwierz?

Ze skał startowały wi'itkitiin. Daleko, daleko pod nimi widział zbliżającą się atewską postać w czerni, która wspinała się samotnie wśród skał. Bren pomyślał, że to Jago, ale z daleka nie widział dokładnie.

Zwierz patrzył, złożony głowę na łapach, warcząc od czasu do czasu, bo akurat miał na to ochotę, i na tym koniec. Bez względu na to, jak długo ta postać na dole się wspinała, ani trochę się nie zbliżała; bez względu na to, jak bardzo Bren się niepokoił, bał się wstać i do niej zejść, bo wiedział, że Zwierz pójdzie jego śladem i zaatakuje. Jest bezpieczny, póki go karmi. Postać w dole jest bezpieczna tak długo, jak długo stosuje się do niepisanych Zasad tego snu, mówiących, że nie wolno jej posunąć się naprzód.

I to samo działo się z nim. To właśnie tu robił. Robi wiele niebezpiecznych rzeczy. Nigdzie jednak nie podąża. Utkwił na tym wzgórzu, patrząc na

rzeczy, których nie może mieć. A z nieba w każdej chwili może spaść nieszczęście. Teraz świeci słońce, ale za kilka godzin zajdzie. Słońce jako jedyne posuwało się do przodu, jedyne miało swobodę ruchu - poza jego Zwierzem, tylko, że ono czekało.

## Rozdział 11

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął rano po przebudzeniu, był telefon, szczególnie od Hanks, i to zanim zasiadł do śniadania. Saidin zawiadomiła go, że ją z kolei zawiadomił Tano. Bren poprosił o herbatę, podszedł do telefonu w niewielkim biurze pani i podniósł słuchawkę.

- Tu Bren Cameron. Mów.

- Rozumiem, że to ty wygłupiasz się z tym pieprzonym telefonem, sukiny-synu.

Rankiem nerwy potrzebowały przygotowania na pewne zagadnienia. Nerwy Brena nie były jeszcze gotowe, podobnie jak nie w pełni funkcjonował jego „dyplomatyczny filtr”.

- Deano, pozwól sobie powiedzieć, że masz wybór. Możesz być uprzejma i usłyszeć, co się dzieje, albo możesz siedzieć beczynnym, aż wszystko wymknie się z zasięgu twych pożytecznych działań. Dokonaj życiowego wyboru.

- Nie będę za ciebie rozwiązywać twoich problemów! Jestem tu z polecenia departamentu, traktuję wszystko, co tu się dzieje, łącznie z tym cholernym telefonem, jako coś, o czym wiesz i co załatwiłeś. I to ty mnie posłuchaj, panie Cameron. Możesz się powiesić, możesz brnąć coraz głębiej albo możesz kogoś posłuchać.

- Słucham, Deano. - Po przekroczeniu pewnej granicy wściekłość zamieniała się w stan powolnego wrzenia, w którym można było przyjmować informacje, a jeśli chodziło o jej źródła, Bren nie był szczególnie wybredny. - Powiedz, jak widzisz sytuację? Słucham z zapartym tchem.

- Sukinsyn! - rozmawiali w mospheiranie, który narzuciła Deana w chwili, gdy Bren podniósł słuchawkę. - Nie tylko ja mam do ciebie sprawę. Słyszałam twoją mowę. Słyszałam całe to cholerne zachwalanie towaru. Jedziesz w głąb kontynentu i odbywasz tajne spotkania, sprzedajesz się atewskiemu władcy, który zażądał twojego powrotu i groził mi śmiercią, by go wymusić...

- Przykro mi, ale nie byłaś zaproszona. Igrasz z ogniem, Deano. To nie jest nasz system sprawiedliwości. Aiji ma pełne prawo do usunięcia przyczyny zakłócania pokoju...

- Ty...

- Zamknij się, i wbij sobie do głowy, że to nie jest Mospheira, to nigdy nie będzie Mospheira i nic mnie nie obchodzi, co uważasz za swoje prawa obywatelskie na Mospheirze. Oni tu znają swoje prawa, które funkcjonują z powodów, jakich ze względów biologicznych nie jesteśmy w stanie pojąć, a co dopiero przybywać tu i je krytykować. Jeśli nie wiesz, o co się prosisz, przeciwstawiając się atewskiej władzy, to zapewniam cię, że nie ma tu dla ciebie miejsca.

- O! A dla ciebie jest! Bardzo się o to starasz, i słusznie, że poruszyli niebo i ziemię, żeby cię ściągnąć z powrotem, bo dasz im wszystko, o co poproszą. Słyszałam twoje przemówienie, słyszałam każde cholerne słowo. Odbieram wiadomości. Mam ci przedstawić listę zasad, które złamałeś?

- Dość dobrze zdaję sobie z tego sprawę.

- Nasza polityka wewnętrzna, dyskusje nad polityką, wszystko wyciągnięte na światło dzienne - to jest nie tylko wbrew polityce, panie Cameron, to wbrew prawu! Podburzasz atevich do działalności przeciwko naszemu rządowi...

- Nigdy przeciwko naszemu rządowi. Może przeciwko twoim politycznym polecznikom.

- Nie mów mi tu o moich politycznych poplecznikach. Porozmawiajmy o twoich, porozmawiajmy o sprzedawaniu się, panie Cameron.  
To do niczego nie prowadziło.

- Co powiesz na wspólny obiad?  
- Obiad?  
- Zjedźmy razem obiad.  
- Jestem zamknięta w tym cholernym apartamencie, dzwonisz do mnie bez przerwy przez dwanaście godzin...  
- Przepraszam.  
- I masz czelność zapraszać mnie na obiad?  
- Sądzę, że byłoby to celowe. Za bardzo krzyczymy. I chciałbym się dowiedzieć, skąd masz pieczęć, której używasz.  
Cisza.

- Nie sprawujesz urzędu - dodał na wypadek, gdyby to do niej jeszcze nie dotarło. - Żyjesz, ponieważ Tabini-aiji jest cierpliwa i na szczęście potężną osobą, która może sobie pozwolić na pewne niedogodności. Mniej potężny aiji zabiłby cię, Deano, ponieważ nie miałby wyboru. Proponuję, żebyś zjadła ze mną obiad, zachowywała się mniej jak więzień, a bardziej jak oficjalny gość...

- I pokazywała się publicznie z tobą. Narażając własne interesy.  
- Dzięki Bogu, że rozumiesz. Już się zacząłem obawiać, że nie masz pojęcia, co to subtelność. A zatem na osobności.  
- Nie przyjdę do twojego apartamentu - skoro już mówimy o subtelności, panie Cameron, twój pobyt w nim zgorszył Atigeinich. O mnie się nie plotkuje.  
- Uważaj na to, co mówisz! Nie ma pewności, że atevi cię nie rozumieją. Pilnuj swego języka, na litość boską, bo nie będę mógł cię chronić.  
- Akurat, chronić mnie!  
- Jesteś głupia.  
- Nie. - Najwyraźniej nie aż tak głupia. Mówiła spokojniej. - Nie, spotkamy się na obiedzie. Kiedy?  
- W południe. W tym apartamencie. I będziesz uprzejma dla personelu pani i mojego, bo inaczej wywalę cię na zbity pysk, pani Hanks. My się tu nie bawimy. Usiłuję uratować twoją reputację i powstrzymać cię przed popełnieniem kolejnego szaleństwa, które może sprowadzić na ciebie śmierć. Nie mogę w tej chwili powiedzieć, żebym ci za bardzo współczuł, ale jeśli nadal chcesz śledzić w wiadomościach informacje na temat obecnej sytuacji, to możesz spokojnie na tym polegać.

Czasami zaskakiwał samego siebie. Może w chwilach, kiedy ogarniała go wściekłość, kontrolę nad jego słowami przejmowały dworskie maniery atevich - maniery przesyczone jadłem.

- Barb Letterman wyszła za mąż - rzekła Hanks. - Wiedziałeś?  
- Jak to ładnie z twojej strony, że mi to mówisz. Zechciej przynieść ze sobą pieczęć. Albo każę przeszukać twój apartament oraz ciebie.  
Słuchawka trzasnęła. Z hukiem.  
Ostatnie słowo.  
Wcale go to nie uspokoiło. Miał jednak telefon i miał wolną chwilę. Łyknął herbaty i połączył się z centralą Bu-javid.  
- Nadi, mówi Bren-paidhi. Zadzwoń, proszę, do centrali na Mospheirze.  
- Tak - nadeszła odpowiedź; usłyszał trzaski na linii.  
I ciszę.  
- Nand' paidhi - zaczął telefonista - połączenie...  
- Są w tej chwili trudności. Tak. Dziękuję. Czy możesz mnie połączyć z telegrafem?  
- Tak, nand' paidhi - odparł telefonista i po chwili odezwał się inny głos:  
- Tu telegraf, nand' paidhi.  
- Proszę wysłać pod następujące numery: 1-9878-1-1, 20-6755-1-1 i 1-0079-14-42. Proszę nagrać mój głos do transkrypcji.

- Gotowe, nand' paidhi, mów.

- Początek wiadomości: „U mnie w porządku. Co u ciebie? Ostatni przekaz był zniekształcony”. Koniec wiadomości.

Nie można było walczyć z systemem telefonii. Wiązał się on ściśle z problemem ochrony - wysiadał, kiedy się go najbardziej potrzebowało. Mogło to oznaczać sankcje wobec jego osoby; mogło stanowić ostrzeżenie; mogła to być sprawka atevich. Dopóki jednak system nie działał, Bren nie mógł się niczego dowiedzieć.

Wiadomość poszła do jego matki w stolicy, do Toby'ego na północnym wybrzeżu i do biura w stolicy. Prawdopodobnie zechcą odpowiedzieć. Być może cenzura przepuści tym razem wiadomość matki albo Toby użyje oględniejszych sformułowań. Ich matka nie jest dyplomatka.

Barb...

Barb może sobie żyć dalej. Bren przed śniadaniem nie chciał grzebać akurat w tym zestawie uczuć. Nie wiedział, ile z tego, co czuje, jest rezultatem wtrącania się Hanks, a ile wciąż ma związek z wściekłością na to, jak Barb załatwiła sprawę i na to jej „Zadzwoń” tuż przed snem.

Dopił herbatę, postanowił jeszcze się nie ubierać i przeszedł do pokoju śniadaniowego, oznajmiając po drodze personelowi, że paidhi jest gotów do śniadania, nie zamierza się śpieszyć i, o czym nie wspomniał, pragnie ochłonać ze złości i uśmierzyć ból głowy. Nie służyło mu rozbudzenie paskudniejszej strony jego charakteru przed śniadaniem - zaczął dzień w bojowym nastroju i trudno mu było się go wyzbyć. Szczególnie mając w perspektywie posiłek z Deaną Hanks przed końcem dnia.

Nie widział tego ranka Banichiego. Nie widział Jago. Miał nadzieję, że apartament jest wciąż chroniony i że otaczające go tajemnice nie są naprawdę groźne.

A przede wszystkim musiał zdobyć materiały o determinizmie i spróbować nakłonić ludzki umysł do zajęcia się pojęciami fizycznymi, o których Deana Hanks nie miała bladego pojęcia, kiedy bez zezwolenia departamentu tak lekko-myślnie rzuciła na szalę pojęcie SNŚ.

Nie znał się na fizyce zakrzywionej przestrzeni. Dawał z siebie wszystko, żeby zrozumieć projekt rakiety chemicznej. Nie rozumiał deterministów.

Musiał jednak tego dokonać przed końcem tygodnia.

Herbata i sezonowe owoce, jajka i chleb z masłem, a potem grzanka i jeszcze jeden dzbanek herbaty, odległa błękitna panorama łańcucha Bergid unosząca się nad krytymi dachówką dachami Shejidan, zasłony wydymające się na długo oczekiwanym wietrze - i kryzys wydał się zawieszony, a świat spokojny i znajomy.

Gdyby człowiek nie wiedział, co takiego na niebie wymaga uwagi, co za wschodzącym słońcem wymaga uwagi i co za wodą wymaga uwagi. Po wypiciu filiżanki herbaty chciałby pójść do biblioteki i spędzić cały dzień na przeglądaniu antycznych książek ogrodniczych, korzystając z rzadkiej okazji, naderzającej się dzięki pobytowi w tym historycznym apartamencie.

Przy tej właśnie myśli pojawił się Tano z tacą listów do, człowiek miał nadzieję, jedynie podpisania i zapieczętowania.

- Rutynowe sprawy - rzekł Tano.

- Bardzo mi pomagasz - powiedział Bren. - Jestem ci ogromnie wdzięczny.

- Podziękuj personelowi pani. To są proste uprzejmości. Są inne listy, do odpowiedzi na które aiji być może użyć ci personelu. Tabini-aiji przekazał nam ustną wiadomość, że paidhi w żadnym wypadku nie powinien zwracać sobie głowy uczniami.

- Paidhi w uczniach widzi najlepszy powód do utrzymania się na stanowisku - mruknął Bren bez zastanowienia, czując coraz większą pewność, że Tano nie roznosi plotek, a Tabini i tak zrozumie. - Zapytaj Banichiego o sałatki. Czy Jago wróciła?

- Śpi.  
- Gdzie jest Algini?  
- Musiał...  
- Wyjść? Co tu się, do diabła, dzieje, Tano?  
- W Gildii jest głosowanie, w którym musimy wziąć udział.  
- Aha. - Jedno jasne pytanie zadane właściwej osobie. - Nad zabójstwem paidhiego?  
- Nie, nand' paidhi. To już zostało przegłosowane.  
Nie wywołało to nawet mrugnięcia oka.  
- A więc mogę zapytać?  
Tano wyglądał na wyraźnie skrępowanego.  
- Zapytaj, proszę, Banichiego, nand' paidhi.  
- Wybacz, Tano-ji. Dziękuję za to, co mi powiedziałeś. Zaczekasz na te listy i wypijesz ze mną herbatę czy masz coś ważnego do załatwienia?  
- Nand' paidhi, ja mam niską rangę.  
- W mojej osobistej ocenie wysoka. Proszę cię. Usiądź ze mną. Saidin?  
Saidin zawsze wydawała się być w zasięgu słuchu.  
- Jeszcze jedną filiżankę - zażądał, kiedy przełożona personelu pojawiła się w drzwiach. Saidin wyszła bez słowa, a Tano usiadł niepewnie na oddzielnym, wątlwym krześle, jakby gotowy do ucieczki.  
- Nie zamierzam zadawać ci żadnych niewłaściwych czy nieprzyjemnych pytań - rzekł Bren, przykładając po kolei pieczęć do dokumentów leżących na stoliku. - Sprawiałeś wrażenie, że przyda ci się filiżanka herbaty. I nieco więcej uprzejmości. Jestem bardzo oschły, Tano-ji. Kiedy się czymś martwię albo śpieszę, potrafię być dość nieuważny. Mam nadzieję, że nigdy nie uznajesz tego za zamierzony afront.  
- Nand' paidhi, ty jesteś niezwykle uprzejmy.  
- Cieszę się.  
- Zapewniam paidhiego, że jego przeciwnicy zostali pokonani przytłaczającą większością głosów.  
- Tano, nie jesteś tu, żebym ci zadawał jakieś niewłaściwe pytania.  
- Mówienie o odbywym głosowaniu nie sprawia mi żadnego kłopotu, Bren-paidhi. Masz wielu popleczników. Niczemu nie przeszkadza, że za tobą opowiedział się i Banichi, i nand' Cenedi.  
- Cenedi. - To go zaskoczyło.  
- Nand' paidhi - zaczął Tano, wyglądając na niezbyt pewnego i siebie, i tego, co mu wolno. W tej jednak chwili pojawiła się herbata i filiżanki wniesione przez dwie służące na dwóch tacach. Wydawało się, że na tacy z herbatą, ustawionej w korytarzu na wózku, zawsze jest gorąca woda.  
W trakcie przesyconego uprzejmością podawania herbaty Tano stracił rozpęd. Ustawił kruchą porcelanową filiżankę na dłoni i pił ze spuszczonego wzrokiem.  
- Tano - rzekł Bren, kiedy wyszły służące, z których jedna poświęcała Tano niezwykłą uwagę - nie czuj się do niczego zobowiązany. Dzisiejszego ranka potrzebuję towarzystwa, pragnę tylko posłuchać czyjegoś głosu. Powiedz mi, kiedy masz urlop, powiedz mi, co będziesz robił, powiedz mi, skąd jesteś i dokąd jeździsz - opowiedz mi o swojej pracy. Ciekawi mnie to.  
- To wszystko jest bardzo nieciekawe, nand' paidhi.  
- Dla mnie jest bardzo ciekawe, Tano-ji. Zastanawiam się, czy inni mają szczęśliwe życie? Mam nadzieję, że tak. Mam nadzieję, że robią dokładnie to, co chcą robić, i że nie oderwałem ich od tego, czym woleliby się zajmować, ani nie ściągnąłem ich z drogi, którą woleliby iść.  
- Zapewniam paidhiego, że nie. Jestem bardzo zadowolony. - Wydawało się, że Tano ma coś na końcu języka, co jednak utonęło w łyku herbaty.  
- Chciałeś coś powiedzieć? - zapytał Bren.  
- Tylko to, że nie chciałbym zawieść. Że nie chciałbym popełnić błędu, który wiele by kosztował.

Nie pomyślał. Nie odmierzył ciągle zwiększającej się odpowiedzialności Tano. Ani zmartwienia, jakiego paidhi przysparzał swoim ochroniarzom, kiedy upierał się przy jedzeniu śniadań z aiji-wdową i obiadu z Deaną Hanks.

- Obiecuję - powiedział - obiecuję ci, Tano, że w żaden sposób nie zwiększę twoich obciążeń. Sprawiam ci straszny kłopot. Nie zostałeś tu przydzielony do zajmowania się stertami papieru. Szukam u ciebie wsparcia, bo czuję, że potrafisz ocenić, co jest ważne - nigdy nie miałem zamiaru pozwolić, by urosło to do takich rozmiarów.

- Jeśli paidhi może się zajmować tymi papierami, to ochrona paidhiego z pewnością może je cenić.

- Ale odpowiadać na nie całymi stertami? Tano-ji, haniebnie wykorzystałem twoją uprzejmość.

- To jest dość pouczające, paidhi-ji. Dowiedziałem się, z kim się kontaktujesz, dowiedziałem się, z kim jesteś w patronacie, kto jest drażliwy i kto źle ci życzy. Dowiedziałem się, że paidhi uważa, iż na listy zwykłych obywateli trzeba odpowiadać poważnie. Kiedy więc głosowałem w Gildii, mówiłem też o tym, nand' paidhi. Nie powinienem ci tego mówić, ale tak było. Podobnie Algini przyleciał wcześniej z Malguri, żeby głosować za tobą.

- Jestem jego dłużnikiem. Czy Gildia wzywa swoich nieobecnych członków w sprawie wszystkich przedkładanych kontraktów?

- Kiedy kontrakt dotyczy spraw tak poważnych, jak ta, to wzywa, nand' paidhi; zostaje on przedstawiony pełnemu zgromadzeniu Gildii, jak musiało się stać w tym przypadku, skoro członkowie stworzyli opozycję. Wolno mi o tym mówić.

- A zatem dziękuję ci, Tano-ji. I podziękuj Alginiemu.

- Zdobyłeś sobie u Gildii bardzo dobrą reputację, nand' paidhi.

Niektóre stwierdzenia zasługiwały na chwilę zastanowienia.

Ale jeśli „dobra reputacja” miała związek ze stanięciem po jego stronie jego własnego personelu i personelu wdowy, to uznał to za komplement. Postawił ostatnią pieczęć z podpisem i podał Tano plik gotowych listów, z prośbą, żeby ten sprawdził, czy mając do dyspozycji fundusze przekazane na rachunki paidhiego w Bu-javid, dałoby się tymczasowo wynająć personel wystarczający do obsługi przynajmniej zapytań obywateli...

- Co najmniej na kilka dni, Tano. Nie chcę cię więcej wykorzystywać.

- Ateva się dowie - obiecał Tano. - Ale zastanawiam się, nand' paidhi, czy rozmiary korespondencji rzeczywiście niedługo się zmniejszą. Na poczcie trzymają dwa worki listów, a większość z nich jest od atewskich dzieci.

- Dwa worki. Dzieci.

- Wiele osób mówi: „Widziałem cię w telewizji”. Dzieci, nand' paidhi, pytają głównie, czy widziałeś astronautów i czy ześlą oni na dół maszyny, żeby zniszczyć świat.

- Boże, muszę na to odpowiedzieć. Drukarka. Jeśli dam ci odpowiedź... - Boże, personel! Pobiegł myślami do ogłoszeń komputerowych obejmujących swoim zasięgiem całą Mospheirę, „Szukam pracy” i „Dam pracę”; ale Bu-javid nie jest zwykłym biurem i to nie jest Mospheira, a poza tym nie można tak po prostu sprowadzać obcych. Potrzebne są zezwolenia. - Nigdy przedtem nie potrzebo- wałem personelu.

- Chciałbym zasugerować, nand' paidhi, że jeśli paidhi ma nadzieję od- powiadać na worki listów, to z pewnością posterunek ochrony i garść domowej służby, choćby i najbardziej chętnej do pracy, mu nie wystarczy. Moim zdaniem trzeba dobrze ponad pięćdziesiąt osób, wykwalifikowanych urzędników, oraz maszynę pieczętującą. Większość listów od obywateli ma wspólne tematy, strach przed statkiem, ciekawość.

- I pewnie groźby.

- Czasami, ale niewiele. Otrzymałeś dwie propozycje małżeństwa.

- Żartujesz.

- Jedna przysłała zdjęcie. Jest niebrzydka, nand' paidhi.



- Zobaczą, czy uda mi się przekazać wystarczające fundusze. Być może będę musiał zwrócić się do departamentu. - Nie najlepszy na to czas, pomyślał Bren i zapytał się w duchu, czy może zapewnić sobie jakieś pieniądze atevich, ale stwierdził, że takie źródło finansowania nie jest politycznie neutralne i nie będzie jako takie postrzegane.

Miał swój osobisty rachunek bankowy, który, aczkolwiek pokaźny jak na człowieka nie mogącego wyjeżdżać do domu, by wydawać swoją pensję, i utrzymwanego przez Bu-javid, absolutnie nie mógłby pokryć utrzymania pięćdziesięcioosobowego biura, nawet przez miesiąc.

- Dziękuję, Tano-ji. Cenię sobie twoje rady. Dowiem się, co mogę zrobić. Naszkicuję odpowiedź dla dzieci.

- Czy mam się rozejrzeć za personelem?

- Nie wiem, jak mam go opłacić, ale najwyraźniej nie mamy wyboru.

- Porozumiem się z odpowiednimi agencjami. Dziękuję za herbatę, nand' paidhi.

Tano przeprosił i wyszedł wprowadzić słowa w czyn. Bren usiadł i zapatrzył się na góry, starając się wyobrazić sobie koszt wynajmu biura i opłacenia pracowników, telefonów i faksów.

Nie może tego zrobić. Po prostu nie może tego zrobić na własną rękę, szczególnie że listy przychodzą workami.

Musi obmyślić oświadczenie dla dzieci. To wcale nie jest łatwe.

Musi napisać sprawozdanie dla komisji stawiających mu rozmaite pytania, z których jedno dotyczyło pana Geigiego, oraz znaleźć jakiś sposób na wyjaśnienie SNS deterministom, którzy musieli mieć wszechświat w niezachwianej równowadze.

W południe musi zjeść obiad z Hanks i - Boże - poprosił o wiadomość ze statku w porze, kiedy zaprosił Hanks. Nie wiedział, jak się to wszystko ułoży, ale to może być droga ucieczki. Nakarmić Hanks i ulotnić się na prywatną rozmowę telefoniczną.

A gdyby miał czas, chciałby zejść do biblioteki i spędzić cały ranek na szukaniu danych astronomicznych, aż poczułby, że ma niejakie pojęcie o sprawach, nad którymi nigdy nie musiał się zastanawiać. Sięgał do informacji, których nie używał od czasów szkoły podstawowej - i mogły one być aktualne; nie sądził, żeby astronomia aż tak się zmieniła, ale nie uważał, żeby uczniowskie pojmowanie tematu pozwalało mu doradzać głowie państwa lub dyskutować z atewskimi wyznawcami liczb.

Tonął w szczegółach, i do żadnego z nich nie mógł się dokopać, co przemawiało za tym, że powinien mieć personel - ale nawet posiadanie personelu nie wbije paidhiemu do głowy tyle wiedzy, żeby zorientował się, dokąd doleciał statek i z jak daleka powrócił ani jak ma to wszystko wyjaśnić prowincji stojącej na granicy rozruchów. To on zawiódł. Przydałaby mu się pomoc kogoś takiego jak Deana Hanks, gdyby Deana nie była oślicą - co było niezbytym faktem.

Poczuł, że łagodny ból głowy przybiera na sile i poprosił o jeszcze jeden dzbanek herbaty.

I wysłał jedną ze służących, Dathio, do biblioteki po leksykony. Powietrze było nieruchome. Czasami, jak wynikało z jego doświadczeń związanych z letnią pogodą w Shejidan, zapowiadało to potężną burzę.

Wystarczyła mu jednak ta, której spodziewał się w południe.

Kolejna porcja taśmy, prysznic, staranne zaplecenie warkocza - robiły to dwie służące, które guzdrały się bardziej niż Tano, ale Tano był najwyraźniej zajęty - personel twierdził, że Banichi i Jago nie śpią, ale oboje załatwiają jakieś sprawy. Algini wrócił poobijany i sztywny i przygotowywał się do przejścia posterunku ochrony od Tano, który, jak powiedział Algini, szukał miejsca na biuro - więc Algini objął posterunek, bo jeśli mieli przyjść obcy, to ochrona musiała być na służbie; żeby dopuścić Hanks na trzecie piętro, Algini musiał dowiedzieć się kilku spraw.

Dlatego paidhi znalazł się zupełnie sam i na łasce personelu.

Jeśli paidhi miał jeszcze trochę skromności, to zapomniał, co z nią zrobił. Zniósł oklejenie go taśmą przez miłe i nie całkiem obiektywne kobiety, wziął prysznic, po czym oddał się w ręce pary służących, które uznały jego włosy za zupełną nowość i sprzeczały się o to, jak je zapleść; a następnie trzech garderobianych, które, dowiedziawszy się, że będzie miał spotkanie z Hanks-paidhi, kazały mu włożyć najlepszą koszulę ze szpilką przy kołnierzu.

W końcu przyszła madam Saidin, by skontrolować wynik, skrytykowała szpilkę i wpięła mu większą, kosztowniejszą, o pochodzeniu której Bren nie miał pojęcia.

- Ona nie należy do mnie, nand' Saidin - zaprotestował, oglądając efekt w lustrze i zadając sobie pytanie, czy klejnot ten należy do Damiri czy też może jest to jakiś starożytny motyw Atigeinich, za który nieźle mu się oberwie, jeśli ktoś go zobaczy. Nie miał powodów nie ufać Saidin. Biorąc natomiast pod uwagę plotki, które dotarły do uszu wdowy, miał powody nie ufać personelowi, ale wierzył, że sama Saidin służy Damiri i nikomu innemu.

- Jest idealna - oznajmiła Saidin z niezachwianą pewnością, a skoro zajęła stanowisko przeciwne opinii trzech innych służących, Bren doznał uczucia uwięzienia przez jej osąd.

Może nie powinien być taki naiwny ani zgodny. Ale to tylko Hanks, która raczej nie będzie potrafiła odróżnić jego szpilki od szpilki pożyczonej nielegalnie.

Zostawił ją więc i zaczął chodzić po saloniku, czekając na telefon z kosmosu albo wybuch Hanks, sam nie wiedział, na co. Naszkicował list na Mospheirę, list do prezydenta, w którym donosił, że niepokój atevich wywołany zjawiskiem na ich niebie spowodował zalew korespondencji kierowanej do paidhiego, która wymagała odpowiedzi, za co powinien zapłacić mospheirański budżet, ponieważ inaczej stawiałoby to pod znakiem zapytania mospheirański charakter urzędu paidhiego.

Prezydent będzie musiał przeczytać go kilka razy, zanim domyśli się, że to nie żart i że człowiek, który właśnie złamał przepisy departamentu, przeciwstawił się rozkazowi jego najwyższych urzędników i w przemowie transmitowanej przez ogólnowoświatową telewizję ujawnił przywódcom atevich poufne i drażliwe informacje, prosi Mospheirę o sfinansowanie rozbudowy swojego biura.

Usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi. Darował sobie wyjście do foyer. Zagłębił się dalej w apartament, słysząc zamieszanie, w którym rozpoznał głosy Deany Hanks, narzuconej jej przez Tabiniego ochrony i Alginiego wyjaśniającego zasady postępowania w apartamencie. Minęło go biegiem po drodze do kuchni kilka służących, zwalniając na tyle, by się mu ukłonić, co było zasadą panującą w tym domu.

Zarządził posiłek w mniejszej jadalni, intymny obiad, niewielką liczbę służby, chociaż kusilo go, by usadzić Hanks po przeciwnej stronie paradnego stołu. Będąc tchórzem, miał nadzieję, że niezachwiana uprzejmość Saidin choć trochę ułagodzi tę kobietę - jego nerwy nie były w najlepszym stanie, miał zbyt dużo na głowie, żeby jeszcze poświęcać uwagę złemu zachowaniu tej idiotki i sądził, że być może nie sprowokowana jakimś przeoczeniem z jego strony, Hanks zachowa się przyzwoicie.

Przeszedłszy więc cały korytarz, aż do biblioteki i przyjemnego widoku rozpościerającego się z jej okien, przebył całą trasę powoli z powrotem, oceniając po przepływie służących, tym razem do mniejszej sali jadalnej, że Hanks już tam dotarła, nie niszcząc porcelany ani bukietów.

Wszedł do jadalni, co zmusiło już siedzącą Hanks do wstania, jak wymagała tego ścisła atewska etykieta. Usiadła, czego służące nie mogły nie zauważyć, a jej ludzka twarz i blada cera stanowiły ostry kontrast z całym światem, z którym spodziewał się zmierzyć. Ciemny kaftan wcale nie łagodził tego efektu; ciemny kaftan i ciemne włosy zebrane w przepisowy, skromny warkocz.

Uklonił się. Nawet nie skinęła mu głową, tylko siedziała, ponura i trzeźwa.

- SNS - odezwał się, wciąż stojąc. - Czy załatwimy sprawę w mospheiranie i powiemy, że popełniłaś błąd? A może masz wytłumaczenie i na to?

- O co ci chodzi?

- Wspomniałaś o tej technologii? A może Geigi po prostu dodał do siebie liczby, które mu podałaś?

Twarz Hanks była bez wyrazu.

- No to co?

- No to co? To jest twoje wytłumaczenie? No to co?

- Nie muszę tu zostać.

- Możesz wrócić do domu w skrzyni, jeśli wciąż będziesz się zachowywała jak idiotka. Nadal usiłuję uratować twoją głowę.

- W sytuacji, którą sam stworzyłeś.

- Ja stworzyłem. - Pod drzwiami ustawiała się kolejka służących z talerzami. Człowiek musiał wyrzucić tę idiotkę na korytarz albo usiąść i pozwolić służącym jakoś spróbować załagodzić całe wydarzenie. Uśmiechnął się. Usiadł. Zebrał cały spokój i ogładę towarzyską, jakie posiadał. - Jesteś zdumiewająca, Deano. Chyba nie stworzyłaś do tego całego wszechświata.

- Do czego?

- Błefować można tylko do pewnego czasu. Jesteś przerażona. Albo powinnaś być przerażona. Gdybym wiedział tak mało, jak ty, bałbym się. Nie starasz się być miła, a na tutejszej służbie nie zrobiłaś najlepszego wrażenia, więc uśmiechnij się. - Przeszedł na atewski. - Ładna pogoda, prawda?

Żadnego uśmiechu.

- Nie muszę tego znosić.

- Nie, możesz wrócić z podkulonym ogonem do swego apartamentu. - Służące rozstawiały talerze. - O, dzisiaj zmiana sezonu. Kuchnia robi, co może. Naprawdę przepraszam cię za ten telefon, Deano. Nie chciałem, żeby tak wyszło, ale to moja wina.

To tylko rozwścieczyło ją chyba jeszcze bardziej, a przynajmniej pogłębił się mars na jej czole. Nie drgnęła jednak, uśmiechnęła się ponuro do służących, które podawały jej przyprawy, a kiedy z pokoju wylała się pierwsza fala rozgardiaszu spowodowanego podawaniem do stołu, napełniła usta zupełnie przyzwoitą produkcją kuchni.

Na pewno była wykwintniejsza od jadłospisu kuchni Bu-javid.

- Właściwie chciałem dostać listę osób, z którymi rozmawiałaś, i obietnic, których według ciebie powinienem dotrzymać. A przy okazji, gdzie pieczęć?

Odłożyła sztuciec, sięgnęła do wewnętrznej kieszeni i wyciągnęła z niej niewielki metalowy przedmiot. Rzuciła nim w Brena.

Nawet nie próbował go złapać. Usłyszał, jak pieczęć uderza w ścianę.

Jedna ze służących odeszła od drzwi, żeby ją podnieść, i spojrzawszy na pieczęć z pewną konsternacją, podała ją Brenowi.

- Dziękuję, Madig. Wszystko w porządku. Hanks-paidhi jest dzisiaj nieco zdenerwowana. Mogłabyś zanieść to Alginemu i powiedzieć mu, co to jest?

- Tak, nand' paidhi - odparła bardzo cicho służąca.

- Wygląda na to, że masz tu rajskie życie - rzekła słodkim tonem Hanks.

- Tak - odpowiedział w atewskim stylu, bez żadnych ozdobników, tak jak lubiła mu to robić Jago. - Zupełnie szczerze mówiąc, Deano, przykro mi z powodu tego telefonu. Nie chciałem, żeby tak się stało, ale to moja wina. Gdybyśmy mogli puścić w niepamięć politykę, która nas rozdziela...

- W mospheiranie - wtrąciła ostro.

- Nie, Deana-ji, bez tej ważnej informacji nasi gospodarze chyba nas nie zrozumieją. Jasno powiedziałem, że dzielią nas różnice polityczne i mam pewną nadzieję, że mimo wszystko drogie jest nam dobro Mospheiry oraz Patronatu Zachodniego i że uda nam się coś wspólnie osiągnąć. Skoro już tu jesteś, chcę ci dać szansę zniwelowania dzielących nas różnic.

- Oczywiście.
- Mówię poważnie.
- Ja też.

Spojrzał przez stół na bardzo ładną ludzką twarz o bardzo powściągliwym i niewinnym wyrazie, który ćwiczyło się razem z językiem.

- Świetnie. Czy wiesz coś o statku, czego ja nie wiem?
- Na pewno nie.
- Deano.

- Nie wiem, Bren. Wiem, że jesteś z nimi w kontakcie.  
- Twoje źródła informują cię na bieżąco?  
- Nie mam żadnych źródeł. Same luźne kontakty.  
- Akurat, Deano. Bądźmy jednak uprzejmi. Coś ci powiem, jeśli wpędzisz w zakłopotanie osobę, które mają z tobą do czynienia, możesz sprowadzić na nie bardzo, ale to bardzo poważne konsekwencje, nie mówiąc już o sobie.

- Nie mów mi o postępowaniu wbrew przepisom.  
- Nie wspominałem żadnych przepisów. Tu wcale nie chodzi o nie.  
- Jasne, że nie chcesz gadać o przepisach. Coś panu zaproponuję, panie Cameron. Skontaktuj mnie z Mospheirą, to zobaczymy, co da się zrobić. Zdejmij ochronę z mojego korytarza. Załatw mi spotkanie z Tabinim.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że mogę to zrobić. Obraziłaś go i nie da się tego naprawić bez działania z twojej strony, nie mojej. Mógłbym przekazać mu przeprosiny.

Nie pojawiła się większa przychylność, natomiast dało się dostrzec trzeźwe zastanowienie.

- Powiedz mu, że żałuję wszystkiego, co mogło go obrazić. Bałam się, że mógł się ciebie pozbyć.

- Jestem wzruszony.  
- To prawda, do cholery. Kiedy przyleciałam, nie wiedziałam, czy jesteś martwy czy leżysz w gorączce albo może jesteś zakładnikiem. W tych warunkach zrobiłam, co mogłam. Rozmawiałam z osobami, które mogły dostarczyć mi informacji innych niż oficjalne. Oprócz wykonywania twojej pracy starałam się wy dostać cię z tego, w co się wplątałeś.

To było przynajmniej wiarygodne. Nawet rozsądna odpowiedź. Patrzył na nią, nie potrafiąc stwierdzić, czy właśnie to wymyśliła czy rzeczywiście tak postępowała.

- To znaczy - zakończył - że chciałaś odgrywać jakąś bohaterkę. Ta służba wymaga wykonywania zadań, Hanks-paidhi. Tylko odpowiedniego wykonywania zadań, nic błyskotliwego.

- To gdzie, do diabła, byłeś? W Malguri? Polowałeś z wdową wśród wzgórz? Odgrywałeś jakiegoś bohatera?

Przygwoździła go. Nie wzdrygnął się pod jej uporczywym spojrzeniem, ale też i nie powiedział nic, oprócz:

- Tak.
- No więc?
- Punkt dla ciebie.

Ton skruchy.

- Strasznie cię przepraszam, że usiłowałam ci pomóc.  
- Należało mi się. Dziękuję, że próbowałaś. Czy teraz mogę cię namówić na powrót do domu? Może mógłbym się wystarać o wizę podróżną.

- Po pierwsze chyba ci się nie uda. Moim zdaniem aiji trzyma mnie w rezerwie na wypadek, gdyby nie wypaliły twoje negocjacje albo powiodło się następnemu zabójcy. A po drugie nikomu się tam na nic nie przydam.

- To dość trafna ocena. Wciąż jednak uważam, że mógłbym cię stąd wy dostać w ramach osobistej przysługi.

- Nie wykorzystuj dla mnie swoich wpływów. Jest jeszcze punkt drugi. Nie jadę.

W mospheiranie:

- To twój pogrzeb.

W ragi:

- Zabawne. Bardzo zabawne, Cameron.
- Gdybyś choć trochę zechciała się na coś przydać...
- Słucham, jak?

Zlecić Hanks korespondencję. Pozwolić się pod nią podpisywać, jakby to ona sprawowała urząd, z którego był zobowiązany i zdecydowany ją wyrzucić? Mało prawdopodobne. Właściwie nie było nic więcej, czego mogłaby się dotknąć, nie stanowiąc przy tym zagrożenia dla Tabiniego.

- Mogłabyś pisać te wieczne sprawozdania.
- Mogłabym wygłaszać mowy w telewizji.
- Zapewne. Są jednak dziedziny, na których się znasz...
- Ja je piszę, ty je parafujesz i dobrze wyglądasz.
- Ty je piszesz, ja wyrzucam bzdury i domysły i jeśli okażą się przydatne, mógłbym złożyć raport o twoich posunięciach, który już wysłałem.
- Sukinsyn.
- To bardziej niegrzeczne w ragi niż w mospheiranie. Naprawdę powinnaś uważać na konteksty kulturowe.
- Ty po prostu nie potrafisz powiedzieć miłego słowa.

Mówiła zupełnie poważnie. Musiał się roześmiać. Służące uznały to za dość bezpieczną oznakę, że mogą dopełnić filiżanki.

- Coś ci powiem - rzekła Hanks w mospheiranie, po przełknięciu wafla z pasztetem - przy tych wysokich lokatach i w ogóle, chyba jest jakiś powód twojej cudownej płynności językowej. Ty chyba śnisz w ragi.

Przypadkowo było to prawdą, i to w coraz większym stopniu. Nie uznał za stosowne tego powiedzieć. Hanks zmierzała do jakiegoś własnego wniosku.

- Wiedziałaś, że Barbara zamierza wyjść za mąż? - zapytała Hanks w ragi.
- Nie. Nie było to tematem naszych rozmów.
- A co myślałaś? Że przez resztę życia będzie na twoje zawołanie, ilekroć się pojawisz?
- W gruncie rzeczy podnieśliśmy tę kwestię. To jednak interes Barb, a nie twój.
- Jestem po prostu ciekawa.
- Wiem. - Łyknął herbaty. - Będziesz musiała taką pozostać.
- Wiesz, że twoja twarz nie reaguje? Nawet na Mospheirze jest absolutnie bez wyrazu.

- Traci się ten nawyk.

Deana była zdumiona.

- Ty naprawdę się zaadaptowałeś, co?

Nie miał wątpliwości, że nic z tego, co mówi Hanks, nie stanowi komplementu. Nie podobało mu się to nagłe śledztwo zamiast złośliwych uwag, ale miał przeczucie, że za chwilę Deana wygłosi opinię, i to uczciwą.

- Co chcesz zrobić, Bren-nadi? Kiedy wrócisz do domu? A może w ogóle nie chcesz wracać?

- Wrócę, kiedy będę miał pewność, że jakiś dureń nie zawali sprawy, pani Hanks.

- A jak określasz durnia?

- Nawet nie usiłuję tego robić. Czekam na działania. Nieuchronnie przekraczają moją wyobraźnię.

- O, robiłeś coś więcej, niż tylko czekałeś. - Hanks wsparła podbródek na dłoni i spojrzała na Brena. - Jesteś taki dobry. Taki wygadany. Taki cholernie doskonały. Spójrz na siebie. Nawet nie kwestionujesz swojego postępowania, co?

- Bez przerwy. Podobnie, jak ufam, że ty kwestionujesz swoje.

- Obsuwasz się, wiesz o tym? Przekraczasz tę cienką granicę. Co ci się przydarzyło w Malguri? Co się stało z twoją ręką?

- Złamała się.
- Kto ci ją złamał?

- Dżentelmen, któremu nie podobało się moje pochodzenie. Takie niebezpieczeństwo zawsze istnieje.

- Wolałbyś być atevim, co?

Uznał, że dotarli do celu jej podchodów; to taktyka, nie bardziej szczerza od całej reszty, lecz mimo to wywołała u niego lekką irytację - służba znajdowała się w zasięgu słuchu, ta kobieta od początku kontaktowała się z największymi fanatykami, a poza tym Bren nie chciał, żeby Saidin czy jej podwładne zetknęły się akurat z tym z ludzkich problemów.

- Pani Hanks, jest pani gościem. Spróbuj zachowywać się uprzejmie. Spodoba ci się rezultat.

- Mówię poważnie. Pytam, co się stało w Malguri? Co ci zrobili?

- Pani Hanks... - Wyprowadziła go z równowagi. Bren zaczął podejrzewać, że ta kobieta mówi poważnie. - Byli uprzejmi, rozsądni i ogólnie, choć nie powszechnie, zwracali uwagę na nasz niski wzrost. Przykro mi, ale nie mogę zaspokoić twojej szczerzej w zamyśle, choć niezdrowej ciekawości; zaznałem gościnności w atewskim domu, poznałem bardzo dostojną damę, musieliśmy zwiewać, kiedy rebelianci uderzyli na posiadłość i niewątpliwie moja płynność w posługiwaniu się językiem, umiejętność jazdy wierzchem oraz pojmowanie atewskiej filozofii liczb znacznie się rozwinęły pod ostrzałem, lecz uważam się za świadomego człowieka, nieodwołałnie oddanego tym samym celom technicznej równości, które przyświecały Wilsonowi i poprzednim paidhiin, i całkowicie przekonanego, że równość ta zaistnieje jeszcze za naszego życia, mimo wszelkich błędów naszego planowania. Jak ci się to nie podoba, to porozmawiaj ze statkiem. Przez niego nie mamy wyboru i musimy przyśpieszyć, a na dodatek nie możemy dopuścić do rozpadu naszej i atewskiej gospodarki. Przypominam sobie, że pisała pani pracę magisterską o dualizmie gospodarczym, pani Hanks. Weź się do jakiejś twórczej pracy na podstawie prawdziwych liczb, prawdziwych prowincji, prawdziwych danych o wysokości produkcji. Podam ci je, a ty załaduj je do komputera, wprowadź jakieś zmiany i przekonajmy się, czy jesteś równie błyskotliwa bez personelu badawczego taty, jak z nim.

- Wypraszam sobie!

- Mój Boże, ta kobieta ma jakąś wrażliwość.

- Lingwistyka to nie wszystko, panie Cameron. Skontaktuj mnie z kimś, od kogo mogłabym dostać te liczby. Nie chcę twoich kulawo zebranych danych, żebyś potem mógł krytykować moje wyniki.

Linia telefoniczna w zasięgu Deany Hanks nie ucieszyłaby jego ochrony. Ani Tabiniego. Nie cieszyła też samego Brena.

Lecz jedyną dziedziną, na której Deana naprawdę się znała - a on nie - to były podobno finanse.

Niektórzy mówili, że odziedziczyła to po tacie. Albo ściągnęła od personelu taty. Bren zawsze w to wierzył, lecz jej oburzenie wywierało niejakię wrazenie.

Może ma jakieś utajone zdolności? Może rzeczywiście coś wie?

- Dobrze - powiedział Bren. - Zobaczę, co się da dla ciebie zdobyć.

- Żebyś mógł się pod tym podpisać!

- Deano... - Jedli gorzkie wafle i pili herbatę. Bren przełknął jeden z nich prawie w całości, po czym go popił. - Jeśli potrafisz wytyczyć nam kurs, który nie doprowadzi do katastrofy, jeśli uda ci się opracować choćby zarys planu do przyjęcia, to nikt w departamencie nie pomyśli, że ja jestem jego autorem. To twoja szansa, Deano. Ty to potrafisz, a ja nie. Punkty dla ciebie.

- Niech cię diabli! - Jej zaciśnięta pięść opadła na stół, lecz rozważnie cicho, a sama Deana mówiła w mospheiranie. - Niech cię diabli, obiecujesz im wszystko, za darmo oddajesz to, o co możemy się targować.

- Naighai maighi-shi, Deana-ji. Pilne spotkanie. Przygotowuj swoje cholerne słownictwo z wyprzedzeniem. - Mówił bardzo spokojnie, nie patrzył na nią i sam sobie nalał herbaty, jako że żadna ze służących nie zbliżyła się do nich. - Dasz mi sprawozdanie gospodarcze na podstawie liczb dostarczonych

przeze mnie w takiej ilości, że zakręci ci się w głowie. Jeśli dobrze je zrobisz, to zarekomenduję cię na audiencję u Tabiniego oraz do pochwały i medalu. Użyj źródeł uniwersyteckich, użyj źródeł, jakich chcesz, atewskich czy ludzkich, którym nie zależy na wykorzystaniu sytuacji, i przelej swoją teorię na papier. Wysłucham cię.

- Potrzebuję telefonu - powiedziała grzecznie.

- Porozmawiam z ochroną. - Upił duży łyk i przeszedł na atewski. - Jeśli jednak wystartujesz z tym poczuciem, Deana-ji, i jeśli przedstawiś się aijiemu jako osoba do tego zdolna, a on udzieli ci zezwolenia i da kontakty, ryzykujesz, gdybym spadł ze schodów i skręcił kark, że zostaniesz paidhim, który nie będzie w stanie wywiązać się z obietnic. Wkrótce potem będziesz byłym paidhim. Całkiem możliwe, że świętej pamięci, zmarłym, martwym paidhim. Czy cię to martwi?

- Nie - odparła ostro Hanks, chociaż teraz dawało się w jej głosie zauważyć odrobinę strachu. - Ani to, że skręcisz kark, ani moje umiejętności, panie Cameron. Telefon ma działać. Tego popołudnia.

- Zrobię, co mogę. Zauważ, że nie mówię, iż mogę to zrobić. Po tej stronie cieśniny najlepiej dawać niejasne obietnice. Powinnaś się tego nauczyć. Ale weszłaś do gry. Powodzenia. - Wstał, stwierdziwszy, że obiad - oraz jego cierpliwość - dobiegły końca. Hanks też wstała i Bren odprowadził ją do drzwi.

Była tam Jago. Jago, która obdarzyła go absolutnie beznamiętnym spojrzeniem i odsunęła się, żeby mógł wprowadzić Hanks-paidhi do foyer, pod opiekę Alginiego.

Przez cały czas czuł na plecach wzrok Jago. Pojawiła się w apartamencie, znów gdzieś wyszła i wróciła po to, by, jak podejrzewał, stanąć w korytarzu i posłuchać negocjacji z Hanks-paidhi, która nie zrobiła na Jago dobrego wrażenia ani na dole na stacji, ani teraz.

- Algini-ji - powiedział do Alginiego, kiedy dotarł do foyer i posterunku, gdzie czekała ochrona Hanks i Tabiniego. - Hanks-paidhi wraca. Do widzenia, Deano.

Wyciągnął do niej rękę. Nie sądził, że poda mu swoją. Zaskoczyła go przelotnym, mocnym uściskiem i słowami wypowiedzianymi w mospheiranie:

- Jestem dla pana, panie Cameron, panią Hanks, a nie pańską siostrą. Spróbuj się uśmiechnąć. Wtedy wyglądasz o wiele przyjemniej.

Nie uśmiechnął się. Nie podobała mu się ta obraźliwa kokieteria demonstrowana w obecności personelu, ale to się Deanie upiekło. Nie interesowała go teraz wojna, tylko te przekłete liczby, bez względu na to, jak do nich dojdzie.

Oraz to, żeby była zajęta. Danie jej wyjścia z sytuacji z nietkniętą wiarygodnością. Musiała wiedzieć, że to uczciwa propozycja. Był to moment przełomowy, a paidhiin nie jest tak łatwo znaleźć - Biuro Spraw Zagranicznych zainwestowało całe lata w Hanks, która jeszcze mogła się czegoś nauczyć - jeśli uczyłyby się wystarczająco szybko.

Południe nadeszło i minęło, a Bren nie dostał wiadomości ze statku, co, kiedy to sobie uświadomił, wcale nie poprawiło mu nastroju. Były tysiące możliwych przyczyn - procedury obowiązujące na statku, długie dyskusje, statek funkcjonujący dokładnie tak jak Mospheira, gdzie nikt nie chciał podejmować decyzji.

Mimo wszystko Bren żywił nadzieję na rozsądną i szybką zgodę. Tabini też ją żywił. Niewątpliwie żywiłaby ją komisja kosmiczna, a Bren miał na to popołudnie przewidziane z nią spotkanie.

Prawie wołałby się spotkać z Hanks. A to już o czymś świadczyło.

Paidhi zwykle nie przemawiał na posiedzeniach komisji. Zazwyczaj siedział w kącie, milcząc - miał prawo weta, którego nie zamierzał wykorzystywać. Nie miał prawa odzywania się, chyba że na zaproszenie przewodniczącego...

- Ateva rozumie, Bren-paidhi, że będą zmiany, i to gwałtowne. To jasne, że wszystko, co zrobiliśmy, i wszystkie materiały w produkcji mogą zostać wstrzymane. Mamy obietnice programu budowy, a nie widzieliśmy żadnych szczegółów, żadnego projektu. Czy paidhi ma więcej informacji?

- Jeszcze nie - odparł Bren. - Mam nadzieję, nadiin, podobnie jak wy wszyscy, że kiedy te informacje nadejdą, będą wyczerpujące. Podobnie jak wy, czekam na odpowiedzi na wiele pytań. Powiedziałbym - zastosujemy pewne materiały; możemy kontynuować program raketowy jako sposób wyniesienia materiałów na orbitę. Wciąż istnieje kwestia budowy wyrzutni, może z udogodnieniami dla ładownika, chyba że ich pojazd może wylądować na lotnisku w Shejidan. Nie jest to całkowicie niemożliwe, musimy jednak jeszcze poczekać.

- A Mospheira? Telefony znów nie działają. - To przedstawiciel z nadmorskiego Wiigin, który zdecydowanie był w stanie stwierdzić, kiedy zamierał handel. - Uważamy to za zły znak.

Najwyraźniej Wiigin nie był jedyną osobą, która uznawała to za zły znak. Członkiem komisji był pan Geigi. Tabini nie chciał, żeby w niej zasiadał, lecz pan Geigi miał wykształcenie matematyczne, a co więcej, naukowe, co w tashridzie było rzadkością.

Geigi nie sprawiał wrażenia, że jest zadowolony. Geigi podczas całego posiedzenia nie sprawiał wrażenia, że jest zadowolony.

- Nand' paidhi - zapytał inny członek komisji - a co ze stwierdzeniem Hanks, że mamy się spodziewać daleko idących zmian?

- Hanks-paidhi postanowiła współpracować z moim biurem w pewnych dziedzinach, na których dobrze się zna. Głównie na gospodarce. Nie jest ekspertem w sprawach przestrzeni kosmicznej. Ani, do czego być może już doszłście, nie włada językiem na tyle płynnie, by wychwytywać pewne odcienie znaczeniowe. Postąpiła odważnie, przybывая na kontynent, by podjąć obowiązki w przekonaniu, że być może nie żyję. - Nie widział powodu, by niszczyć reputację Hanks, i oddał jej sprawiedliwość. - Wyszła jednak świeżo z biura na Mospheirze i zdobywa doświadczenie na bieżąco. Dziękuję, że zaoferowaliście jej pomoc. - To do opozycji, której nie chciał stawiać w kłopotliwej sytuacji. - To, że biuro mogło działać w sytuacji kryzysowej, uważam za dowód na istnienie pokojowego systemu, który tu wypracowaliśmy, i dziękuję wam szczególnie za waszą cierpliwość.

- Jej rady były sprzeczne z twoimi - rzekł bez ogródek, a także niegrzecznie Geigi, pomijając zwyczajowe formy zwracania się do innych. - Co mamy myśleć? Że mogą nam doradzać podwładni?

- Nasze rady nie powinny być tak różne. - Poczul zawrót głowy; miał kłopoty z oddychaniem i chyba kiepskie krążenie krwi, a może to serce nie biło mu dość szybko? Wydawało się to niemożliwe. Jakby spadał z góry. Jakby pędził na kreczę po oblodzonym stoku. Można się zatrzymać, ale nie przychodziło się tam po to, by się zatrzymywać. Bren zdecydował się na atak. Przypuścił go zimno i stanowczo. - Wyrażę się jaśniej, panie Geigi: w departamencie stanu istnieją rozbieżne opinie tych, którzy są zdania, że atevi i ludzie zawsze powinni trzymać się z dala od siebie, który to pogląd utrzymuje Hanks-paidhi; oraz tych, którzy uważają tak jak ja, że nie można rozpruć społeczeństwa, które stało się jednolitą materią. Zdaję sobie sprawę, że pewni atevi mają równe obawy co do rzeczywistej równorzędności techniki, jakby cichcem prowadziła ona do asymilacji kulturowej. W tym punkcie partie Hanks i moja zgadzają się ze sobą; asymilacja kulturowa nie jest ani ideałem, ani celem. Atevi mają zachować swoje tradycje i wartości. Wiemy, że z postępem pojawiają się atrakcje i zmiany...

- Telewizja - mruknał jakiś konserwatywny przedstawiciel.

- Telewizja - zgodził się Bren. - Tak, nadi, telewizja. Nie powinniśmy byli dostarczyć wam formatu dla nadawania i wiadomości. Może stacje telewizyj-



jne nie powinny nadawać cały czas. Może popełniliśmy błędy. Jako pierwszy zgodziłbym się, że naśladowanie naszych wzorów jest atrakcyjne, tak kulturowo, jak gospodarczo - mój poprzednik zawetował ustawę o drogach, ponieważ uważał, że narzuca ona atevim ludzki wzór rozwoju, zabójczy dla atewskiej władzy patronackiej i, wybaczcie, spotkał się z niezwykle silną opozycją oraz niechęcią. Ja złagodziłem swój pogląd na tę sprawę i rozumiem, że istniały i nadal istnieją lokalne problemy, które powinny zostać potraktowane wyjątkowo, ale nie o to tu chodzi; nie można przenosić lokalnych problemów na ogólnokontynentalny rozwój techniki, który ma zakłócić życie atevich. Paidhiin zawsze przeciwstawiali się takiemu rozwojowi.

- Szkoda jednak została już wyrządzona, nadi. I gdzie są nasze tradycje?

- Nadi, byłem niedawno w głębi kontynentu, w fortecy wybudowanej zanim jeszcze ludzie opuścili swoją ziemię - prowadziłem, o ile jest do tego zdolny współczesny człowiek, życie, jakim żyli atevi przed zmianą świata. Jak widziacie, nie wróciłem bez szwanku. Nie wróciłem też niezachwiany w moich poglądach. Takie miejsca oraz otaczająca je ziemia zachowały się dzięki zasadom, do których stosują się ludzie i atevi, a kiedy razem walczyliśmy o życie, nadiin, kiedy wokół nas rozrywały się pociski, okazało się, że kierujemy się tymi samymi odruchami i że możemy wzajemnie obawiać się o swoje życie.

- Pomijając to wszystko - odezwał się pan z Rigin - niektórzy mogliby powiedzieć, że to nie miejsce dla człowieka.

- Niektórzy mogliby powiedzieć to samo o atevich na stacji. Nie zgadzam się z tym, nadi. Zgadzam się, że to chwiejna współpraca. I będzie to chwiejna współpraca, z wyjątkami w postaci racjonalnego zachowania, i będzie to starannie ograniczona współpraca, przynajmniej za naszego życia, ale rozważcie to, nadiin - jest jedna stacja orbitalna, jedno naturalne środowisko, w którym mają nadzieję działać statki z tej planety, i wszyscy musimy przystosować się do tego nowego środowiska.

- Z waszymi projektami. Waszą historią. Waszą techniką. Waszymi zasadami.

- Nadiin, jest jedno powietrze, jedna grawitacja i jedna atmosfera, w której poruszają się samoloty - to atmosfera projektuje samoloty, nie ludzie. Niektóre obiekty sprawniej niż inne poruszają się w powietrzu i pozostają na niebie; a gdyby ludzie w ogóle tu nie przybyli, to samoloty zaprojektowane przez was działałyby w zasadzie dokładnie tak samo jak nasze, ponieważ działają w podobnych warunkach. W miarę, jak stawałyby się coraz sprawniejsze, coraz bardziej przypominałyby nasze najlepsze projekty, ich wyposażenie wyglądałoby podobnie do naszego wyposażenia, a potrzeba rozmawiania o tych maszynach zmieniłaby wasz język, tak jak to się już stało, i zmieniłaby wasze nastawienie do komputerów, co też miało miejsce. Musiałyby zaistnieć komputery. Bez względu na to, czy wykorzystywalibyście ją do publicznego nadawania, musielibyście mieć telewizję, żeby wyraźnie widzieć to, co jest daleko od was. A po odrzuceniu wszystkiego co zbędne i dostosowaniu projektu do waszych potrzeb, zbudowane przez was statki kosmiczne wyglądałyby bardzo podobnie do statku wiszącego nad naszymi głowami.

- Te potrzeby to wciąż decyzje kulturowe - rzekł przewodniczący. - To dlatego istnieje ta komisja. Dlatego nie bierzemy waszych wspaniałych projektów, nadi, i nie budujemy według nich dokładnie tak jak wy.

- Bardzo mądrze, panie. - Przerażony, widział, jak zbliża się ta przepaść, w którą Bren skoczył, znając niebezpieczeństwo. Geigi słuchał z podbródkiem opartym na dłoni i z wbitym w niego wzrokiem. - Potrzeby kulturowe to jedno. W naszych wszechświatach nie może być różnic matematycznych, mój panie z Rigin. Fizyka to fizyka, bez względu na to, czy posługują się nią ludzie czy atevi.

- Jest jeden wszechświat - mruknął Geigi.

- Podobnie jak sprawne maszyny są takie, jakie muszą być, nie więcej, nie mniej. Aby być sprawnymi w danym środowisku, okazują się bardzo podobne

do siebie, nadiin, podobnie jak instrukcje ich obsługi, a osoby je obsługujące w końcu zaczynają podobnie myśleć, niezależnie od swoich przekonań filozoficznych. Zakładając, że do eksploracji tego samego środowiska ludzie i atevi potrzebują podobnych maszyn, ich sposoby myślenia staną się coraz bardziej podobne. Fizyka kierowała nawet ewolucją wi'itkitiin, dając im skrzydła, a nie płetwy, żeby mogły je wykorzystywać w locie, tak jak robią to samoloty, jak robią to atewscy i ludzcy piloci; krótko mówiąc, nadiin, i ludzie, i atevi podlegają liczbom świata przyrody. A atevi mieszkający w kosmosie będą posługiwali się prawdziwymi liczbami, by zrozumieć jego wymagania, wchodząc tym samym w harmonię z zachowaniami ludzi, którzy podobnie żyją w harmonii z tymi liczbami. Liczby rządzą nami wszystkimi, nadiin. Podziwiamy atewskie umysły i wasz język, który z taką łatwością wyraża harmonię liczb; atevi mają nad nami tę przewagę. Potrafimy podziwiać. Szanujemy atewskie umiejętności. Pragniemy wejścia w patronat z atewimi, w dużej mierze ze względu na wasz zdumiewający język oraz wasze zdolności matematyczne, które mogą doprowadzić do nowych spostrzeżeń w tym nowym środowisku.

- Nie wtedy, gdy statki naruszają prawa natury - mruknął Geigi. - Chcę usłyszeć wyjaśnienie tego, że wasze statki poruszają się szybciej niż światło, nand' paidhi. Chcę zobaczyć liczby.

W sali posiedzeń zapanowało napięcie. Od tego pytania zależało, czy zostanie zachowany społeczny pokój czy też wybuchnie wojna domowa. Pan Geigi postawił żądanie, którego spełnienie mogłoby rozbić jego wiarę, jego stabilność polityczną, istnienie jego rodu oraz instytucji, które wspierał, a zrobił to publicznie, w chwili, gdy los zdecydowanie mu nie sprzyjał - osoba, która nie ma nic do stracenia prócz filozofii stanowiącej fundament jej przekonań.

- Nadi-ma - powiedział Bren - znajdę dla ciebie odpowiedź. Obiecuję. Mospheiran niezbyt swobodnie wyraża takie pojęcia, co utrudnia mi zrozumienie fizyki, a także próby tłumaczenia.

- Czy ten statek przekracza prędkość światła?

- Mospheiran tak to wyraża. - Paidhi był zrozpaczony, a taśma ścis-kająca żebra nie pozwalała mu swobodnie oddychać i prawdopodobnie sprawiała, że był błąd jak prześcieradło. - Ludzki język często jednak opisuje złożone sytuacje w pewnym przybliżeniu, panie Geigi, ponieważ w przeciwieństwie do języków atewskich nie mamy wygodnego sposobu wyrażania pojęć z zakresu wielkich liczb i związków przestrzennych. Wchodzimy w dziedzinę matematyki, której nigdy nie usiłowałem opisywać. - I nigdy nie rozumiał. - Pozwól mi pracować nad tym problemem przez kilka dni. Jestem pewien, że istnieje lepsze sformułowanie od tego, którego użyłem ja czy Hanks.

Pan Geigi nie był zadowolony. Może miał nadzieję, że paidhi z miejsca zaprzeczy. Siedzący przy stole wymieniali spojrzenia pełne zakłopotania.

Minister transportu postawił jednak wniosek, żeby paidhi przeprowadził takie studium, komisja wyraziła zaufanie do zdolności badawczych paidhiego w tej sprawie, po czym przeszła do szczegółowych tematów, takich jak kosztorys wyrzutni oraz co powinna zalecić legislaturze w sprawie kontynuacji budowy silnika raketowego w związku z możliwością otrzymania o wiele nowocześniejszego projektu, podczas gdy podwykonawcy słusznie oblegają obie izby, żądając choćby częściowej zapłaty za już wykonaną pracę.

Bren myślał - myślał, że SNŚ obejmuje obszary matematyki, których nigdy całkiem nie rozumiał, i pomyślał, że przynajmniej wie, gdzie zaczynają się jego braki. Paidhi musiał mieć zdolności matematyczne, gdyż były one związane z posadą i nabywało się ich wraz z nauką języka, który ciągle dokonywał zmian w słowach zgodnie z liczbą i związkiem - czasami trzeba było algebry, by dojść do gramatycznie poprawnej formy przymiotnika zbiorowego, kiedy to nieodpowiednia forma mogłaby być niepomysłna i obraźliwa dla osoby, na której chciało się wyrzucić dobre wrażenie. Przymiotniki zbiorowe tworzyło się z marszu podczas rozmowy, by uniknąć podzielných form liczby mnogiej, jak liczba podwójna czy poczwórna nie skonstrastowana z liczbą potrójną czy poje-

dynczą, a nauka szybkiej rozmowy, nawet przy pojęciach pozwalających iść na skróty, przyprawiała o ból głowy; do czasu, kiedy nabywało się takiej płynności, że można było liczyć w pamięci, nie przerywając rozmowy, a żadnej restauracji nie uchodziło już na sucho zawyżanie rachunków. Bren z braku czasu odpuścił sobie wyższą matematykę i przekonał się później, że jeśli myśli w rągi, to potrafi w pamięci rozwiązywać zadania z tych działów, które pominął w trakcie studiów, w efekcie uniwersytet dał mu wysoką ocenę z przedmiotu, na który nigdy nie uczęszczał.

Jednak mając do dyspozycji całą swoją wiedzę, zaglądając z zewnątrz w okno prawdziwie ezoterycznej matematyki i studiując z zewnątrz ateuską filozofię, pozbawiony biologicznych łączy, jakie mają atevi, nie wiedział, jak, u diabła, ma przetłumaczyć coś, co zdecydowanie nie pasuje do zwykłych ram języka. Muszą istnieć formy nie ujęte jeszcze w słowniku albo trzeba będzie utworzyć nowe, możliwe do przyjęcia sformułowania, które nie pogwałcą pomyślności...

Nie było to zadanie dla człowieka poruszającego się poza granicami własnego wykształcenia.

A jeśli przyziemni i dosłownie myślący atevi (bo byli tacy) wierzą, że za pomocą jakiegoś demonicznego procesu komputery przydzielają samolotom niepomyślnym liczbom, to Bren nie wiedział, co robi, kiedy liczby zaczną opisywać procesy niedoskonałe postrzeganego wszechświata.

Atevi żądali od swoich liczb doskonałości. To był ich demon, który po dokonaniu jakiegoś przełomu nie pozwalał im cofnąć się w mroczne wieki, ale i powstrzymywał ich przed szybkim postępem na danym froncie - musieli dopasować całą swoją filozofię do nowych koncepcji. Liczby związane z daną sytuacją wchodziły do filozofii i zlewały się z nią - a znalezienie jakiegoś liczbowego dowodu pozwalającego na wypróbowanie czegoś nowego mogło trwać wiecznie.

Liczby mogły też, wbrew irytującej ludzkiej obecności i ludzkiej technice, która najwyraźniej funkcjonowała, zatrzymać wszelki postęp dopóki atevi nie wypracują doskonałości, podczas gdy filozofowie-amatorzy podnosili krzyk, że program kosmiczny zrobi dziurę w atmosferze...

„Nie znoszę amatorów”, powiedział kiedyś Banichi. Paidhi podzielał jego zdanie. Niech Bóg ustrzeże ich wszystkich przed paidhiin, którzy ujawniają fizykę transświetlną, nie rozumiejąc, że związana z nią matematyka burzy świat atevich o wiele bardziej niż statek; nie rozumiejąc, że atevi wezmą matematykę zakrzywionej przestrzeni i włączą ją na wszystkich poziomach do swoich języków, filozofii i myślenia, aż, jeśli ludzie mają teraz kłopoty ze zrozumieniem ateuskiej logiki, ludzi będzie czekał cały wiek prawdziwego, potwornie złożonego dostosowywania się, akurat wtedy, gdy cały świat ma mnóstwo innych rzeczy, do których musi się dostosować.

To z pewnością był kij wsadzony w szprychy koła. Gdyby Bren spędził kilka miesięcy, zastanawiając się, jakiego to pojęcia matematycznego chciałby uniknąć na styku ateusko-ludzkiem w tym szczególnym momencie historii, to zakrzywiona przestrzeń znalazłaby się prawdopodobnie na początku listy zatytułowanej „Nie wymieniać”. Wszystko jednak znalazło się teraz na negocjacyjnym stole.

Nie wszyscy, z którymi musieli mieć do czynienia, posiadali odwagę pana Geigiego. Bren go lubił. To bezpośrednio, publiczne pytanie najwyraźniej kazała mu zadać ta sama lekkomyślność, która wpędziła Geigiego w kłopoty finansowe, a jeśli wśród opozycji przeciwstawiającej się Tabiniemu istniały wpływy zasługujące na ochronę wraz z Ilisidi, to bezpośrednia chęć Geigiego, by zmierzyć się z paidhim i zażądać prawdy, która mogłaby go zniszczyć, zdołała sobie szacunek paidhiego.

Mógłby pomóc Geigiemu za pomocą jednego słowa szepniętego we właściwe ucho. Chciał mu pomóc - i słusznie, że paidhiin czasami podejmowali dalekosiężne decyzje oraz, Bren miał nadzieję, zbawcze działania bez konsultacji. Sprawdził rzecz, przepuszczając ją przez zawodowy filtr - uznał, że działa

niezależnie od ludzkich emocji; chociaż ludzkie emocje pochwalały postępowanie Geigiego, intelekt ocenił jego charakter. Bren był też przekonany, że jeśli chodzi o wartość osoby zadającej rozsądne pytania, to nie istnieją granice międzygatunkowe. Postanowił użyć wszelkich środków, by mu pomóc.

Komisja przegłosowała przerwę w obradach, które zostaną wznowione po pięciu dniach, kiedy to paidhi przedstawi sprawę SNŚ.

Paidhi uśmiechnął się i wyglądał, miał nadzieję, na spokojnego.

Wcale się jednak tak nie czuł. A nawet jeśli Hanks jest biegła w finansach i jeśli może na niej polegać, to mimo wszystko Hanks go z tej kabały nie wyciągnie. Modelowanie finansowe nie bardzo pasuje do tego problemu.

Na właśnie zakończone posiedzenie odprowadziła go Jago, ponieważ Algini, któremu być może przypadł ten obowiązek, wciąż odczuwał skutki swoich obrażeń. W związku z tym Bren spodziewał się, że na zewnątrz będzie czekała Jago, żeby odprowadzić go do apartamentu, ale zamiast niej zobaczył Banichiego opierającego się plecami o ścianę, co, jak podejrzewał człowiek, przynosiło ulgę jego niedawno zranionej nodze.

- Banichi - powiedział i ateva, choć zaskoczony - a Banichiego rzadko dawało się zaskoczyć - szybko się wyprostował. Tymczasem posiedzenie zakończyło się bez zwykłego rozgardiaszu i członkowie komisji wyszli z sali.

Bren podejrzewał, że Banichi jest zmęczony i cierpi ból. To też rzadko dawało się zauważyć. Człowiek mógł się niemal domyślić, że Jago wykonywała zadania wymagające chodzenia, a Banichi zajmował się pozostałymi; Bren sam wysłał Tano, drugiego swego ochroniarza mającego zdrowe obie nogi, w poszukiwaniu biur; było to kolejne zadanie, którego jego ochrona nie powinna wykonywać.

- Dobra robota - odezwał się Banichi po drodze do windy.

- Mam nadzieję - odparł Bren.

- Tabini był zadowolony.

- Skąd wiedział? - Był tak zaskoczony, że zadał niezadawalne pytanie, a Banichi odpowiedział:

- W Bu-javid? Oczywiście, że wiedział.

Możliwe, że przez Banichiego, któż może to wiedzieć? Banichi miał kieszonkowy komunikator, który może mieć odpowiednio czuły mikrofon. Banichi nie mówił takich rzeczy. Po chwili jednak powiedział coś do komunikatora, prawdopodobnie zapewniając sobie przejście do windy - szyfr ochrony był słowny i chyba codziennie się zmieniał.

- Nie bierz ze sobą prezentów na strzeżone obszary - rzekł Banichi.

- Jakich prezentów? - zapytał jak dureń.

I przypomniał sobie.

- Szpilka. - Bren był zdruzgotany.

- Na szczęście należy do Tabiniego.

- Dlaczego?

- Niepokoił się o Hanks.

- Jakby miała się na mnie rzucić? Mało prawdopodobne.

- Ateva nie miał pewności.

- Mogłaby się na coś przydać. Mogłaby być rozsądniejsza. Nie wiem.

Wciąż szli tylnymi przejściami, unikając głównego holu i zwykłych atevich, którzy zagrażali usztywnionej ręce, lecz paidhi rozmyślał o czymś innym niż o swoim otoczeniu - aż stanął przy windzie, obserwując twarze członków komisji i ukradkiem rzucane na niego spojrzenia, a wszystkie z nich zamysłone; wokół Geigiego i jego adiutantów utworzyła się niewielka grupa i wszyscy patrzyli w stronę Brena.

Stwierdził, że oddycha mu się swobodniej mimo tej cholernej krępującej go i uwierającej taśmy. Sprawy nabrały ostrości na wszystkich frontach. Hanks robi to, co musi zrobić, albo Hanks pójdzie prosto do najgorszych konserwatywnych elementów na Mospheirze, ale Hanks nie stanowiła największego problemu ani nawet takiego, który mógłby zaszkodzić atevim. Problem mogący roz-

sadzić Patronat Zachodni stał właśnie przed nim, dlatego Bren nie potrafił dostrzec właściwej ścieżki postępowania.

To zupełnie magiczne z jaką swobodą porusza się umysł, kiedy na małych problemach nie kładzie się już ciężarem konieczność. Bren nie potrafił zrobić tego, co robiła Hanks. Nie umiał zastąpić całego uniwersyteckiego komitetu doradczego. Podobnie Hanks, a w ostatecznym rozrachunku, choćby Hanks wyszła i najwspanialszą rozprawę swojej wątpliwej kariery, to Bren wiedział, gdzie się czają prawdziwe bomby i wiedział, że paidhi musi być z góry na nie przygotowany.

Kiedy jednak weszli do windy, a Banichi nacisnął guzik, by wjechać na trzeci poziom, Bren odezwał się:

- Banichi-ji, mam dziwną prośbę. Muszę porozmawiać z matematykami. Z osobami, których matematyka opisuje przestrzeń. Kształt wszechświata.

- Kształt wszechświata, nadi?

„Wszechświat” było trudnym słowem w języku atevich. Opisywało tak Patronat Zachodni, jak gwiazdy i kosmos.

- Gwiazdy. Fizyka gwiazd, prędkość - przestrzeń. Taki wszechświat.

- Znam kilku bardzo szanowanych matematyków, niektórych nawet mieszkających w Bu-javid. Nikogo jednak, kto zajmowałby się takimi sprawami. Kształt wszechświata. Nie znam się na takich rzeczach, Bren-ji.

- Galaktyki i odległości. - Atevi nie mieli konstelacji. Gwiazdy to gwiazdy. - Fizyka światła.

Drzwi windy otworzyły się na korytarz. Banichi powiedział:

- Może ludzie mają takie rzeczy. Spodziewałbym się tego po nich.

- Ten człowiek nie; telefony po mospheirańskiej stronie cieśniny nie działają, a poza tym nie sędzę, żeby ludzka odpowiedź bardzo mi pomogła. Matematyka pół i fizyka, Banichi. To, jak atevi widzą wszechświat poza układem słonecznym. Jak jest ukształtowany. Co jest poza najdalszą planetą. Co robi światło na duże odległości. Kształt przestrzeni.

- Kształt przestrzeni. - Najwyraźniej ta myśl wydała się Banichiemu bezsensowna. - „Ciężarne kalendarze?”.

Bren roześmiał się.

- Nie. Użyłem właściwego słowa. Jestem tego pewien.

Dotarli do drzwi apartamentu; Banichi otworzył je swoim kluczem, po czym obaj minęli zabezpieczenia, by oddać się pod opiekę służby i nadzór Saidin.

- Nadiin - powiedział Bren, a do Saidin, która najwyraźniej uważała spotkanie swego lokatora przy drzwiach za swój obowiązek: - Nadi-ji.

- Czy paidhi zechce dziś zjeść kolację?

- Paidhi byłby bardzo wdzięczny, nadi, dziękuję. - Boże, to już tak późno? Zerknął na stolik w foyer, gdzie podczas nieobecności Tano wiadomości zaczęły się wysypywać z koszyka. - Boże, ratuj.

- Nand' paidhi? - zapytała Saidin.

- To wyraz przerażenia - wyjaśnił Banichi.

- Tano szuka biura - rzekł Bren. - I profesjonalnego personelu. Nie wiem, jak inaczej mam sobie dać z tym radę.

- Personel może je porozdzielać - zaproponowała Saidin - jeśli paidhi sobie tego życzy.

- Paidhi bardzo by tego chciał, daja-ma, dziękuję. Żywimy nadzieję, że wkrótce będziemy mieli personel. Jeśli odetkają się linie telefoniczne.

- Czy paidhi chciałby się napić herbaty?

- Paidhi pływa w herbacie. Właśnie wyszedł z posiedzenia komisji.

Paidhi chciałby coś znacznie mocniejszego. Bez alkaloidów. Dziękuję, daja-ji. Banichi, muszę mieć tych matematyków. Mam nóż na gardle. Muszę porozmawiać z osobami, które rozumieją kształt samej przestrzeni. Z astronomami.

- Astronomami? - Banichi spojrzął na niego badawczo spod zmarszczonych brwi i Bren nagle przypomniał sobie, że Banichi, kompetentny Banichi pochodzi z prowincji; dało o sobie znać zaściankowe niedowierzanie astronomom - przez

to dawne niepowodzenie. Skoro na niebie są ludzie, to jak astronomowie mogli ich nie znaleźć? Jeśli wszechświatem rządzą liczby, w co wierzyli szczerze atevi, to jak atewscy astronomowie mierzący wszechświat mogli dyskutować o odległościach, posługując się wewnątrznie sprzecznymi liczbami?

Dla niektórych religijnych umysłów oznaczało to herezję. Liczby wszechświata nie zawierały w sobie sprzeczności. To właśnie determiniści i racjonalni absolutyści uznawali za niepodważalne.

- Obawiam się, że muszę z nimi porozmawiać, tak, z astronomami.

Człowiek rzadko widywał skonsternowanego Banichiego.

- W Berigai, w paśmie Bergid jest obserwatorium. Godzina lotu.

- Nie ma nic bliżej? A uniwersytet? Mam na myśli prawdziwych astronomów, Banichi. Nie wróżbitów. To obserwatorium w Bergid jest pełnoprawne, jest szkoła...

- Jest. Możemy do nich zadzwonić. Możemy zapytać.

- Czy nie miałbyś... - Paidhi był zmęczony, a posterunek ochrony znajdował się tuż. - Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zadzwonić do nich i zapytać, czy mają tam kogoś, kto może mi odpowiedzieć? Zapiszę moje najważniejsze pytanie, uwzględniając lot SNŚ i zastrzeżenia deterministów, i gdybyś mógł zapytać, czy jest tam ktoś, kto może na nie odpowiedzieć...

- Nie - odparł Banichi, co oznaczało, że nie miałby nic przeciwko temu; odpowiada się na pytanie zadane, a nie ukryte, o czym nawet zmęczony paidhi powinien pamiętać.

Paidhi poszedł do salonu, żeby tam usiąść, napisać dla Banichiego swoje pytanie i poprosić służbę o coś do picia. Chciał, żeby odezwał się statek. Albo jego matka, albo w ogóle ktoś. Wziął podaną sobie szklaneczkę i zapatrzył się na Bergid, unoszący się z zamglonym spokojem nad miastem, zastanawiając się, czy Banichiemu udaje się do kogoś dotrzeć czy też jest zostawiony samemu sobie.

Atewska filozofia wyznawała mylącą, lecz rozsądną teorię, że najdalsze wydarzenia na niebie są najmniej zmienne, ponieważ widać ich więcej.

Bren przypuszczał też, że jeśli atevi nie mają konstelacji, co paidhiin wiedzieli od samego początku - żadnych konstelacji, jakie od niepamiętnych czasów tworzyli z co jaśniejszych gwiazd ludzie i wciąż usiłowali je tworzyć na atewskim niebie - to wynika z tego, że zwykli atevi nie są zbyt ciekawi nocnego nieba; bez tych obrazków i popularnych ich nazw trudno określić swoje miejsce na niebie zmieniającym się wraz z porami roku. Mógłby zapytać rolnika. Może żeglarza, a może w ogóle poszukać wśród osób nie mających wiele wspólnego z nauką?

Lecz, co stanowiło stały punkt spreczny z ludzką historią, znaczna część atewskiej żywności nigdy nie zależała od gwiazd - atevi nie udomowili żadnych zwierząt rzeźnych. Za wiarygodne oznaki zmian pór roku uznawali wiatry od morza, skręcanie wiatru z południa. Zwierzęta rozmnażają się tak, jak im się podoba, i gwiazdy nie mają z tym nic wspólnego.

I w gruncie rzeczy w porównaniu z niebem dawno utraconej ludzkiej ziemi istniał tu niedostatek - Bren słyszał o tym w szkole - wiarygodnych jasnych gwiazd.

Z pewnością elita Gildii Zabójców nie poświęcałaby zbyt wiele czasu na zapamiętywanie wyrzykowych list gwiazd i ich położenia, chyba że miało to związek z nawigacją. A daleko pływające statki z atewskiej historii zawsze trzymały się wybrzeży - co było kolejnym pewnikiem atewskiej nauki - i w kwestii kierunku zdawały się na przeważające prądy.

Ważny punkt do zapisania w dzienniku paidhiego i przekazania uniwersytetowi - nikt nie przeprowadził prawdziwych studiów atewskiej nauki o gwiazdach, ponieważ takowa właściwie nie istnieje. Co prawda, zauważyli pojawienie się Obcej Gwiazdy, kiedy - przedziwne zjawisko na atewskim niebie - statek wybudował stację, a astronomowie, wówczas stanowiący krzyżówkę wróżbitów i uczciwych badaczy nieba, słusznie orzekli, że zapowiada ona coś dziwnego, a może też straszego.

Atewscy astronomowie nie wiedzieli jednak, co to takiego, i nigdy już nie odzyskali powszechnego szacunku, o czym paidhiin wiedzieli. O ile jednak Bren się orientował, paidhiin nigdy też nie ryzykowali tematu atewskiej astronomii - nigdy nie odważyli się szukać kontaktu z astronomami - ponieważ chcieli uniknąć szczegółowych pytań, jakie astronomowie mogliby zadawać. Bren rozumiał, że w przedsięwzięciu drzemie ryzyko większej ilości pytań, i to pytań bardziej szczegółowych, niż potrafiłby je zadać pan Geigi.

Lub też ryzyko zmarnowania czasu na dziedzinę, której poprzez dobrotliwe zaniedbanie pozwolono odpłynąć w obserwowaniu gwiazd i przepowiadanie przyszłości, na dziedzinę, która według jego wiadomości była na wpół filozofia.

Mogło się jednak okazać, że takie właśnie osoby potrafią przemówić do deterministów. Ktoś na takim poziomie musiał chyba dojść do wniosków zadawalających osoby takie jak Geigi. Bren miał tylko nadzieję, że nie ugrzęźnie w jałowych dysputach i niezrozumiałych systemach. Miał nadzieję, że nie zmarnuje zbyt wiele czasu na sprawę, którą chciał wyciszyć, a nie rozdmuchać do rozmiarów pytań ubocznych i, co zawsze było ryzykiem, sporu między filozofiami.

W końcu wrócił Banichi. Wyglądał na oszołomionego, jak ktoś, kto właśnie musiał omawiać zakrzywienie przestrzeni z uczonymi.

- Jest taka osoba - zaczął Banichi.

- Napij się - zaproponował Bren i machnął ręką w kierunku fotela - służba przez cały czas krążyła w polu widzenia i można było przewidzieć, że zanim Banichi usadowi się wygodnie wśród poduszek, obok jego ramienia pojawi się młoda służąca. Banichi zamówił jakieś nie rozcieńczone alkaloidy i oparł uszkodzoną nogę na podnóżku.

- Ta osoba? - zapytał Bren.

- Bardzo stary mężczyzna. Mówią, że jest błyskotliwy, ale studenci go nie rozumieją. Zastanawiają się, czy będzie w stanie pomóc paidhiemu.

- Banichi, wśród innych rzeczy, które ostatnio się zmieniły, stało się nagle ważne, jakie gwiazdy leżą w naszym sąsiedztwie, jakie koncepcje szerszego wszechświata wyznają atevi, a paidhi nie studiował tych zagadnień. Zapytaj mnie o kołnierze komór spalania w silnikach rakietowych. Zapytaj mnie o niskie orbity okołoziemskie i udźwigi. Mamy tu do czynienia z bliskimi gwiazdami i układami słonecznymi.

- Ten spór o „szybciej niż światło“?

- Właśnie. Pytanie ludzi nic mi nie da. W miarę moich możliwości sprawdziłem słowa, którymi dysponuję, i nie wiem, czy potrafię znaleźć to, czego potrzebuję - nie jestem pewien, czy znają je przeciętni atevi, jeżeli w ogóle jacyś atevi wiedzą, jak to nazwać.

- „Szybciej niż światło“. Czy nie o to chodzi?

- Mam na myśli pojęcia. Potrzebuję obrazu matematycznego. Koncepcji, Banichi. Nie jestem pewien, czy „szybciej niż światło“ jest najlepszym określeniem. Mospheiran nie jest tu precyzyjny.

- Przetłumacz. Czy nie to właśnie robi paidhi?

- Nie, kiedy być może istnieją precyzyjne atewskie słowa.

- Na „szybciej niż światło“? - Banichi wyraźnie miał wątpliwości.

- Na podstawowe pojęcia. Na liczby. Na sposób postrzegania tego, co robi przyroda.

- Obawiam się, że astronomowie nie są najlepszym wyjściem. Zapraszają paidhiego, żeby przybył osobiście i porozmawiał z tym czcigodnym uczonym. Ale...

- Ale?

- Takie spotkanie mogłoby wywołać spór.

- Mówiłeś, że to szacowne osoby.

- Mówiłem, że to uczeni. Nie mówiłem, że są szacowni, nadi-ji.

- A czy atewscy astronomowie wciąż są wróżbitami? Przekazaliśmy waszym uniwersytetom pewną liczbę danych astronomicznych - odległości, dane o gwi-

azdach, techniki pomiarów; wątpię, czy liczby, jakimi dysponują wasi astronomowie tak bardzo różnią się od naszych. Nie widzę na to sposobu. Chcę się dowiedzieć, jak wyrażają matematykę? Chcę się przekonać, czy ktoś potrafi przyjąć oświadczenie Hanks i rozwiązać paradoks, który według deterministów ono stanowi. Najwyraźniej oni widzą sprawę inaczej niż ludzie. Możliwe, że chodzi tu po prostu o terminologię.

- Kontrowersja wciąż będzie obecna.

- Czy oni wciąż przepowiadają przyszłość? Byłbym bardzo zdumiony, gdyby tak było.

- Niektórzy tak.

Bren łyknął napoju i stwierdził, że ręka dość mocno mu drży - to pewnie zmęczenie. Był wyczerpany. Sądził, że znalazł odpowiedź, a ona zmieniała się w kolejny problem.

- Zapewniam cię, że nasze dane do tego nie służą - powiedział, ale rozumiał, że dla niektórych atevich astrologia wciąż mogła być atrakcyjniejsza od astronomii i że zwykle poszukiwanie lepszej terminologii przez paidniego może urazić innych, bardziej wykształconych atevich. - Zapewniam cię, że mamy o wiele lepsze przeznaczenie dla danych o gwiazdach niż wykorzystanie ich do przepowiadania przyszłości. Zakładam, że przynajmniej niektórzy atevi podzielają to zainteresowanie. Może ten starzec?

- Na uniwersytecie podobno uważają ich matematykę za wysoce podejrzaną, Bren-ji. Więcej nic nie wiem.

To nie była dobra wiadomość. I to nie tylko ze względów naukowych.

- Sam uniwersytet im nie wierzy?

Banichi zaczerpnął tchu. Napił się.

- Oni utrzymują, że gwiazdy powinny zgadzać się z liczbami dostarczonymi przez ludzi. Słyszałem, że są rozbieżności. Zmiany.

- Banichi... - Bren był zirytowany i zadał sobie pytanie, czy zamiast do astronomii obserwacyjnej nie powinien raczej zajrzeć do prawdziwie ezoterycznych zakamarków atewskiej fizyki - lecz zważywszy na temat poruszony przez Hanks, stanowiło to źródło pytań, których wolałby uniknąć bardziej niż pytań, jakie mogliby zadać astronomowie. - Banichi, gwiazdy się poruszają. Wszystko się porusza. Nasz punkt obserwacyjny też. Podnosiliśmy to wiele razy. Nie znaczy to, że astronomowie się mylą.

- Nie mówię, że ma to wyraźny sens - rzekł Banichi. - Nie dla mnie.

- Ziemia krąży wokół słońca. W zimie znajduje się w jednym punkcie swojej orbity, a w lecie w przeciwnym. Jeśli patrzysz na gwiazdę i chcesz poznać jej prawdziwe liczby, możesz robić pomiary z ziemi, kiedy znajduje się w skrajnych punktach swojej orbity. Margines błędu zwiększa się jednak bardziej niż same pomiary. Mamy do czynienia z bardzo dużymi odległościami, Banichi, bardzo dużymi liczbami, i nie mają one nic wspólnego z wróżbami czy filozofia - gwiazdy to spalanie wodoru, to wszystko.

- To na co się przydają?

- Słońce jest dość użyteczne.

- A co z tym wszystkim ma wspólnego słońce?

Teraz Bren był zdumiony i powiedział to, co oczywiste:

- Słońce jest gwiazdą, Banichi-ji. Z bliska gwiazdy wyglądają jak słońce.

- Wierzę ci - rzekł Banichi po chwili. - Chyba rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz jednak dorzucić do dyskusji filozoficzne skrajności? Radzę ci, nadi, na pewno potrafisz wymyślić coś innego.

- Ten statek prawie na pewno doleciał do innych gwiazd, Banichi. Pochodzimy od innej gwiazdy bardzo podobnej do słońca.

- To może być prawda, nadi, a ja z pewnością nie kwestionowałbym słowa paidniego.

Przekroczył już granicę cierpliwości. Dotarł do tego, co jest najciekawsze w tematach, które paidhiin rzadko poruszali w obecności atevich.

- To skąd według ciebie przybyliśmy?



- Z innej gwiazdy, nadi.  
- Takiej, jak któryś z tych świetlnych punkcików w górze.  
- Właściwie... ateva rzadko się zastanawia.  
- Myślałeś, że mieszkamy na gwieździe?  
- No cóż... - rzekł Banichi, wzruszając ramionami. - Takich pytań nie zadaje się na ulicy, nadi-ma. Myślę, że jeśli chcesz takich wyjaśnień dla pana Geigiego, to tylko go zdezorientujesz.  
- Musi mi się powieść lepiej, Banichi. Geigi przynajmniej ma podstawy naukowe. Rozumie, co to jest układ słoneczny.

- Lepiej ode mnie. Ale i tak publicznie nie nadawałbym wielkiego rozgłosu sprawie słońca, nadi. Nie sądzę, żeby zrozumiało cię wiele osób.

Bren upił długi łyk. Nigdy za swojego urzędowania nie miał dostępu do zagadnień astronomicznych, nie musiał się do nich uciekać i przypuszczał, że Wilson-paidhi też nie, podobnie jak wcześniejsi paidhiin, jeśli się już w to zagłębić, a potem robiła się z tego coraz prymitywniejsza nauka. Nikt w minionym stuleciu nie chciałby podnosić kwestii kosmologicznych - lub dostarczać atevim, broń Boże, danych przesiąkniętych matematyką - poza informacjami, które mniej więcej towarzyszyły pewnym stadiom rozwoju techniki, tak jak wiedza o jonosferze godziła się z radiem, a wiatr słoneczny i źródło zórz stanowi zapewne część bieżącego programu nauczania - ponieważ miało to znaczenie. Ale, ale i ale - żadna rozprawa, jaką dotąd widział, nie poruszała sprawy zasięgu systematycznej wiedzy kosmologicznej w społeczeństwie...

Oczywiście, do cholery. Atewska mentalność dość dobrze radziła sobie z mniejszymi systemami. Atevi jednak naprawdę nie bardzo umieli myśleć o całej ziemi, nie mieli słowa określającego wszechświat, które zarazem nie oznaczałoby czyjegoś bezpośredniego świata osobistego. Atevi nie bardzo interesowali się zrozumieniem teorii Wszystkiego, a jedynie uzyskaniem właściwych liczb w swoim najbliższym środowisku. Filozofowie zajmowali się większymi systemami, podczas gdy zwykli atevi trzymali się dominującej filozofii ich osobistych patronatów, i wierzyli, że filozofowie właściwie odmalują większy obraz - to właśnie było stawką u pana Geigiego, który rozumiał swoją filozofię lepiej niż przeciętny ateva. Geigi doszedł do tego, ponieważ miał wykształcenie naukowe i został zmuszony do włączenia astronomii do swego osobistego systemu. To, co wykraczało poza ten drobiazgowo uporządkowany układ, stanowiło dla niego wyzwanie. To, czego nie dało się do układu włączyć, również stanowiło dla niego wyzwanie.

I nic dziwnego, że osoby prowadzące aktywne życie, osoby takie jak Banichi, chętnie zostawiały wykuwanie zasadniczych problemów teoretycznych filozofom i - w przypadku Banichiego i Tabiniego - traktowały filozofię z dużym sceptycyzmem, być może dlatego, że miały do czynienia z licznymi filozofiami i myślały o nich w kategoriach motywów politycznych, a nie podstawowych faktów. Powiedzieć Banichiemu, że słońce jest gwiazdą? Dobrze. To nie zniszczy świata Banichiego. On nie spędzi bezsennej nocy, zastanawiając się nad tym. Może to przemyśli, gdy będzie miał chwilę czasu. Nie będzie się jednak martwił, że zawali się jego osobisty wszechświat, ponieważ nie będzie w stanie wchłonąć tej informacji.

Jednak ci atevi, którzy poświęcili czas na wyszukiwanie najwyższych, najsubtelniejszych i najtrudniejszych powiązań w ramach wiedzy, nie będą mogli spać. I jeśli zostanie zachwiana pewność siebie tych osób, a debata spłynie po osobnikach praktycznych, jak Banichi, i zmieni się w publiczne wątpliwości...? Mnóstwo osób zainwestowało tak finansowo, jak politycznie, w to, co uważały za pomyślnie systemy. Mnóstwo osób zapłaciło numerologom za doradzenie im pewnych osobistych, politycznych i finansowych posunięć, w które niewątpliwie bardzo się zaangażowały emocjonalnie i materialnie. Jeśli się powie atevie, że jego świat nie jest tak bezpieczny, jak miał za jego pieniądze być, to cholernie się zdenerwuje - i słusznie.

Paidhiin dobrze sobie zdawali sprawę z tego aspektu atewskiego życia. Paidhiin cały czas unikali tego pola minowego. Tyle że - o ile wiedział Bren

- żaden paidhi nie sprawdził, czy informacje astronomiczne i kosmologiczne przeciekały do atewskiej publicznej świadomości w takim samym stopniu, w jakim działo się to wśród ludzi, którzy mieli przecież konstelacje i których historia była w ten czy inny sposób związana z gwiazdami. To jedna z tych niezliczonych drobnych różnic, na które natykali się paidhiin w trakcie pracy i o których pisali niejasne sprawozdania, żeby po dziesięciu czy piętnastu latach jakaś komisja na Mospheirze mogła je wziąć pod uwagę przy planowaniu wprowadzenia jakiejś nowej technologii.

Zwykle różnice te nie były krytyczne. Zwykle nie było tyle różnic naraz. Zwykle za danym posunięciem technologicznym stały dziesięcio- piętnastoletnie badania.

A teraz wydawało się, że każdym zaniedbanym szczegółem, zostawionym przez paidhiin minionych pokoleń na potem, będzie musiał zająć się Bren.

- Z całą pewnością zastosuję się do twojej rady, Banichi, przynajmniej w sprawach związanych z tym, co wiedzą atevi; jest ona dla mnie bezcenna. Myślę, że powinienem przyjąć zaproszenie czcigodnego astronoma.

- Jego personelu. Obawiam się, że czcigodny poświęca swoją uwagę wyłącznie gwiazdom. Tym obcym słońcom. Czymkolwiek są. Popatrzę dziś w nocy na niebo i pomyślę o obcych. To dość przerażające.

- Zamieszkane planety muszą być bardzo rzadkie. Tak słyszałem.

- Ateva ma nadzieję. Ateva ma szczerą nadzieję, Bren-ji. Nie sądzę, byśmy znieśli kolejny taki atak dobrodziejstw.

- Znalazłem biuro, nadi Bren - oznajmił Tano przez telefon. - A dzięki wyteżonemu wysiłkowi biura spraw personalnych znalazłem również dwadzieścia siedem dyskretnych i doświadczonych osób o man'chi jasno związanym z Tabini-aijim, a także jedną osobę wyższej rangi, emerytowanego dżentelmena, niejakiego Dasibi z Magisiri, który byłby wielce zaszczycony ponownym powołaniem do służby w Bu-javid. Wyjaśniłem, że wszystkie stanowiska mogą być tymczasowe, zależnie od zmian w ilości poczty przychodzącej do paidhiiego, lecz nikt nie miał zastrzeżeń. Wydaje się, że ogólnie przyjęta pensja wynosi sześć tysięcy rocznie na przywilej kupowania na targu Cari - dwa na opiekę medyczną, cztery na mieszkanie i transport, dwa na emeryturę i dwa i pół na nieprzewidziane okoliczności. Nadi Dasibi zgadza się na to samo plus dodatkowe wynagrodzenie w wysokości sześciu tysięcy. Wydaje się to uczciwe i zgodne z normą. Wszyscy jednak rozumieją, że oferta zależy od funduszy.

Szesnaście i pół tysiąca rocznie dla dwudziestu siedmiu osób. Dwadzieścia jeden i pół dla kolejnej. Opłaty biurowe. Faksy, telefony, komputery...

- Nie mam tyle oszczędności - powiedział Bren z zamierającym sercem. - Myślałem o kilku asystentach. Gdybyśmy mogli złożyć podanie do głównego biura... nie wiem, Tano. Nie wiem, czy w ogóle uda mi się zdobyć fundusze od mojego rządu. Równie dobrze mogą chcieć mnie zastrzelić.

- Jeszcze niczego nie sfinalizowałem, nand' paidhi. Mam jednak wszystkie liczby. Mogę zgłosić zapotrzebowanie w biurze spraw personalnych. Jestem pewien, że trafi wprost do aijiego.

- Ja też. - Nie chciał, żeby jego biuro było finansowane przez Bu-javid. Jeśli ma jeszcze resztki przyzwoitości, to nie powinien przyjmować żadnego wsparcia finansowego od atevich, których wymagania związane z ubiorem i stylem obowiązującym na dworze aijiego znacznie się różnią od tego, na co mospheirański rząd jest gotów łożyć w ramach wydatków na tak zwanego urzędnika administracyjnego. A jednak... - Dobrze, Tano. Nie pozostało mi nic innego, jak pozwolić się zalać tą korespondencją. Jest następna sterta. Sortuje ją personel domowy.

- Ateva nie jest zaskoczony ilością korespondencji, nand' paidhi. Złożenie zapotrzebowania zajmie mi jednak trochę czasu. Muszę wypełnić formularze. Dużo formularzy.

- Jestem ci za to bardzo wdzięczny, Tano. Na górze wszystko w porządku. Algini odpoczywa, nie ma żadnych nagłych wypadków. Zjedz kolację. Proszę cię.

Zrób to dla mnie. Jeśli nie uda się zrobić wszystkiego dziś, to zostanie to zrobione kiedy indziej. Wyszukujemy sprawy najbardziej newralgiczne. Zajmiemy się nimi.

- Dziękuję, nadi-ji - rzekł Tano.

Bren odłożył słuchawkę, licząc w pamięci prawie bez udziału świadomości, i otrzymał budżet, który żadną miarą nie przejdzie bez walki. Mospheira nie zrozumie, dlaczego paidhi nagle potrzebuje czegoś takiego, skoro wszyscy poprzedni paidhiin musieli sobie radzić bez żadnego personelu na kontynencie, mając zaledwie dziesięciu - albo i mniej - współpracowników na Mospheirze. Jeszcze na długo przed Wilsonem mospheirańskie kierownictwo nie chciało przyznać, że paidhiin są czymś więcej niż wygodnym dodatkiem do innych, wewnętrznych spraw departamentu stanu - widziało w nich posłańców, autorów słowników, a może głównie gorliwych architektów ciepłych posadek na uniwersytecie.

A bez poparcia kierownictwa ustawodawcy nigdy nie wysupłają ze swoich okręgów wyborczych pieniędzy na biuro, które nigdy przedtem ich nie potrzebowało, dla paidhiiego, który nie ma wysoko postawionych przyjaciół.

Boże... miej go w swojej opiece. Bren nie miał funduszy. Jeśli Mospheira nagle nie przejrzy na oczy, to Bren nie będzie miał innego wyjścia, jak wziąć pieniądze od Tabiniego, a tego zasadniczo nie chciał. Ale jeśli statek odpowie, jeśli statek zechce - błagam Cię, Boże - odpowiedzieć Tabinieniu, jeśli zgłosi się do niego i powie, że zgadzają się na propozycje Tabiniego...

Bren siedział w gabinecie pani domu, gdzie miał telefon i nieco prywatności. Kolacja była w drodze. Nie miał dość czasu, żeby zacząć pisać jakiś list lub zająć się czymś pożytecznym. Postanowił jeszcze raz stawić czoło mospheirańskiemu systemowi telefonii i podał telefoniście numer swojej matki.

Uzyskał połączenie. Przynajmniej tak to brzmiało.

Niestety.

Usłyszał nagrany komunikat: „Numer chwilowo nieczynny”, w związku z czym nie mógł nawet zostawić w cholernym centralnym systemie przekazywania wiadomości kilku słów dla matki: „Witaj, tu Bren”.

Zadzwoił jeszcze raz, tym razem do Toby'ego, do jego domu na północnym wybrzeżu.

- Toby? Tu Bren. Toby. Podnieś słuchawkę. Podnieś tę cholerną słuchawkę, Toby!

Odezwała się córka. Wysoki, jasny głosik zawołał: „Papa?! Wujek Bren!”, i do wtóru głuchych uderzeń ktoś zszedł do frontowego holu.

- Bren?

- Toby, jak to dobrze słyszeć czyjś głos. Co się dzieje z telefonem mamy?

- Co się dzieje?

- Jest katarynka: „Numer chwilowo nieczynny”.

Nastała chwila ciszy.

- Może naprawiają.

- Próbowałem dzwonić rano. Dostałem od niej telegram. Cenzura nic z niego nie zostawiła. Czy wszystko w porządku?

Cisza. Długa cisza.

- Toby?

- Tak, wszystko gra. Co u ciebie? Ręka w porządku?

- Nieźle. Jak Jill?

- Ma się dobrze. Wszyscy mamy się dobrze. Trochę pada. Te chmury pewnie dotrą do was jutro.

- Przydałoby się nieco deszczu. Trochę by się ochłodziło. Rozmawiałeś ostatnio z mamą?

Cisza, a potem:

- Znasz mamę. Nie lubi zmian.

- Toby?

- Muszę kończyć. Wychodzimy na kolację.  
- Toby, co się, u diabła, dzieje?  
- Mama dostaje telefony, w porządku? Nie ma problemu.  
- Nie ma problemu. Jakie telefony?  
- Zostawię jej wiadomość na centrali, powiem, że dzwoniłeś. Wszystko w porządku, Bren, wszystko w porządku, nie martw się. Muszę iść. Jill czeka. Właśnie wychodziliśmy.

- Jasne - powiedział Bren. - Jasne. Dzięki, Toby.  
Te chwile ciszy oznaczały, że coś jest nie tak. Coś jest nie tak z ich matką.

Uderzył ręką w boazerię. Jedynym tego skutkiem było pojawienie się zaniepokojonej służącej.

- Nand' paidhi? - Była to jedna z najmłodszych, bardzo gorliwa, bardzo zaniepokojona służąca.

Starannie usunął z twarzy wszelkie emocje. Starał się też zapomnieć o kwasowej rewolucji w żołądku.

- Wszystko w porządku, nadi. To nic takiego.

- Tak - rzekła służąca, skłoniła się i wyszła.

Paidhi zebrał resztki nerwów i spróbował wrócić myślami do biurowych budżetów i zakrzywionej przestrzeni.

Sądząc po drobiazgowym rozmieszczeniu przystawek i zdobiaczych je spiralach zielonego sosu, kucharka pracowała w natchnieniu spowodowanym zmianą sezonu, co oznaczało strawniejsze danie mięsne. A paidhi, cel tych wszystkich zabiegów, powinien mieć wilczy apetyt, zważywszy na to, że cały dzień biegał i tylko skubnął obiad.

Bren jednak nie mógł przestać myśleć o wiele mówiących przerwach w rozmowie z Tobym, i przekąsek też ledwie spróbował, po czym stwierdził, że woli coś zjeść niż mieć do czynienia ze zranionymi uczuciami kucharki.

Żałował, że w ogóle zadzwonił. Nie mógł nic zrobić. Nie mógł tam pojechać. Toby mógł, ale tego nie zrobił, co oznaczało, że nie martwi się aż tak bardzo.

Ale: „Mama dostaje telefony”. Co to, u diabła, znaczy? Może wydzwania do niej jakiś szalenciec?

Kątem oka dostrzegł urwany ruch. Podające do stołu tak się nie zachowywały. Spojrzał na drzwi.

- Nandi - powiedział, zobaczywszy tam Saidin stojącą z założonymi rękoma, czekającą na coś. Za nią dostrzegł inne służące.

Z tacą.

Prawdopodobnie inauguracyjne danie sezonu. To był bardzo formalny dom. A on absolutnie nie może obrazić kucharki. Poświęcił temu maksimum uwagi.

Służące wniosły tacę i zdjęły z niej bardzo duży płaski chleb przybrany zdumiewającą ilością jedzenia, bardzo odpowiedniego i bardzo sezonowego jedzenia. Ułożonego na zielonym sosie warzyw.

- To nowe danie - zauważył.

Najwyraźniej trochę zaskoczył personel, szczególnie, że do holu weszła sama kucharka, ewidentnie czekając na jego reakcję.

- Wygląda bardzo ładnie - powiedział, usiłując naprawić sytuację. - Jak to się nazywa? - Starał się na bieżąco uczyć nowych słów i nowych rzeczy. Tak właśnie postępuje paidhi w normalnym toku pracy.

- Pizza - wygadała się najmłodsza służąca. - Czy to nieodpowiedni sezon, nand' paidhi?

- Ależ nie - odparł bez chwili namysłu. - Oczywiście, pizza, nadi. Po prostu jestem... dość zaskoczony. - Gdyby nie panował nad wyrazem twarzy i głosem, mógłby wybuchnąć śmiechem. - Jest cudowna.

- Nie miałyśmy czerwonego sosu - powiedziała kucharka. - Mamy go dostać, ale samolot się spóźnia z powodu złej pogody.

- Ateva pomyślała - odezwała się madam Saidin, najwyraźniej też biorąc udział w spisku - że po rozmowie z tą nieprzyjemną kobietą w południe jest to dobry dzień na tradycyjne danie.

- Pachnie bardzo dobrze - powiedział Bren. - Czy personel zechce się poczęstować? Dzielenie się pizzą to tradycja.

Służące wyglądały na podekscytowane. Saidin była niezdecydowana, ale kucharka powiedziała:

- W kuchni jest jeszcze osiem. Ateva pomyślała o personelu, nand' paidhi, za twoim pozwoleniem.

- Zawołajcie Alginiego. I Jago. - Pomysł okazji wprowadził go w znakomity humor. - Czy możemy się czegoś napić, nand' Saidin?

Nawet Saidin dała się wciągnąć do zabawy. Kucharka oznajmiła, że bardzo szybko może przyrządzić następną pizzę, pojawiło się poważne pytanie o pomyslną liczbę kawałków, na które należy podzielić potrawę, a służące biegały w poszukiwaniu różnych członków obsługi, czy to będących na chodzie czy śpiących - wszyscy muszą przyjść, trzeba znaleźć kwiaty i nakryć duży stół prawie najlepszym srebrem.

Jago nigdzie nie było, ale z posterunku ochrony przyszedł Algini - spróbował dania i wrócił na posterunek z filiżanką herbaty - ale kilka osób z personelu się rozochociło, ktoś włączył muzykę i para służących zaczęła tańczyć w holu uroczysty taniec z rękoma za plecami, w żaden sposób nie zagrażając kruchym stolikom ani porcelanie. Bren wyszedł z jadalni, żeby popatrzeć, i służące z radością chciały go nauczyć tańczyć, ale madam Saidin zgorszyła się i oznajmiła, że paidhi ma na to o wiele za dużo godności.

Paidhi akurat wcale jej nie miał, ale nie należy się przeciwstawiać osądom madam Saidin w obecności jej personelu, więc paidhi stał w drzwiach, sącząc napój, o którym wiedział, że jest bezpieczny. Na Mospheirze były pomidory, ziemniaki, papryka, cebula i zioła, których nie wypuszczano na drugą stronę cieśniny w stanie surowym z obawy przed nasionami, początkami i ekologia kontynentu, chociaż atevi, którzy spróbowali pomidorów, znajdowali w nich oraz w ziemniakach i papryce coś, co bardzo im smakowało, istniał więc sezonowy handel; lecz wszechobecny pieprzny i kwaśny zielony sos doskonale pasował do chleba i atewskiego jedzenia ułożonego tak grubą warstwą, że jeden kawałek oznaczał obżarstwo - personel się nie hamował.

- Co to za okazja? - zapytała jedna ze służących. Paidhi szybko przewertował myślowe segregatory i powiedział bezwstydnie:

- Sukces po ciężkiej pracy.

To ucieszyło wszystkich - gratulowano sobie nawzajem i nawet Saidin była z siebie zadowolona.

Wtedy wszedł Algini, z pośpiechem większym, niż pozwalały na to jego obrażenia czy zwykłe zachowanie, i powiedział:

- Nadi Bren!

Zapadła cisza - słychaćbyło tylko muzykę z taśmy. Nie było mowy o żadnej tajemnicy, kiedy Algini powiedział:

- Telefon, Bren-paidhi. Z Mogari-nai. Mówią, że dzwoni do ciebie statek. Za chwilę przełącza.

- Mówi Bren Cameron - odezwał się, jeszcze zdyszany po biegu do gabinetu. - Słucham, Mogari-nai.

- Przełączam, nand' paidhi. Zaczekaj.

Wypił o kilka drinków za dużo i przeklinał swoje złe wyczucie, bo przecież, do cholery, wiedział, że telefon ze statku jest przynajmniej możliwy, a założył - założył - że nie zadzwonią. Oddychał głęboko i powoli, usiłując zebrać rozrzucone myśli.

Głos, który usłyszał, był cieńszy od poprzedniego.

- Halo? Tu „Feniks”. Proszę Brena Camerona.

- Mówi Bren Cameron. Słucham, „Feniks”. - W krótkim korytarzu słyszał odgłosy rozmów prowadzonych przez służące, ale przyjęcie uspokoiło się, bo

przynajmniej Saidin była tak samo jak Algini świadoma, co jest stawką w tej rozmowie.

- Panie Cameron, mówi Ramirez.

- Dobry wieczór, sir.

- Dobry wieczór. Przepraszam, że nie zdążyliśmy o dwunastej. Przesiewaliśmy górę materiałów - waszych, ich - właśnie skończyłem rozmawiać z wyspą i prezydent twierdzi, że nie ma pan żadnych pełnomocnictw do negocjacji, powinienem to panu od razu powiedzieć.

Cholera. Usiłował utrzymać słuchawkę na zdrowym ramieniu i jednocześnie dosięgnąć zdrową dłoń przycisku nagrywania - wcisnął go i zaczął mówić, jak sądził, spokojnie:

- Zgodnie z Traktatem, którego tekst pan otrzymał, prezydent nie ma żadnych pełnomocnictw do negocjacji w imieniu atevich, sir. Z nadania Tabini-aijiego, sir, ja to pełnomocnictwo posiadam i podczas gdy nie wyobrażam sobie - Boże, alkohol sprawił, że w pokoju jest za ciepło albo taśma opinająca żebra nie pozwalała mu swobodnie oddychać - podczas gdy nie wyobrażam sobie, że prezydent jest zachwycony tą sytuacją, to w dalszym ciągu zamierzam pośredniczyć jako tłumacz w kontaktach między panem i atewską władzą.

- Chyba się na to zdecydowaliśmy. Jakie jest stanowisko aijiego co do umowy z nami?

- Całkowicie otwarte. - Nie rozmawiał z dyplomata. Wyczuł szczerą i dopasował się do niej. - Umowa obejmuje zintegrowane gospodarki, równe poziomy techniczne. Przed waszym przybyciem atevi i ludzie budowali urządzenia startowe, by wspólnie odbudować i uruchomić stację. Taka jest bieżąca umowa. Aiji nie widzi żadnego powodu, by ją zmieniać.

- Czy on to słyszy?

- Mogę to załatwić w ciągu kilku minut.

- Nie trzeba, jeśli poinformuje go pan, że, oczywiście, chcemy mieć dobre stosunki z jego rządem i że wybraliśmy przedstawiciela, który zgodnie z jego prośbą uda się na dół pod dwoma warunkami: po pierwsze nasz przedstawiciel otrzyma oficjalny status i oficjalną ochronę, a po drugie nastąpi natychmiastowy przydział środków w celu przybycia tu, na górę. Chcę jego oficjalnego potwierdzenia, że tak się stanie.

- Otrzyma pan oficjalne potwierdzenie w obu sprawach, sir, ale już teraz mogę powiedzieć, że nie będzie z tym żadnych problemów.

- Zrzucamy dwie osoby, jedną do was, drugą na Mospheirę.

- To zupełnie zrozumiałe, sir.

- Świetnie. Mamy ochotników. Jason? Jason Graham. Bren Cameron.

- Panie Cameron. - Nowy, brzmiały młodziej głos. - Mówi Jason Graham. Miło mi pana poznać. Rozumiem, że niedługo się z panem zobaczę.

- Nie mogę się doczekać. Macie więc lądownik?

- Jeden. Chciałbym zadzwonić jutro o wygodnej dla pana godzinie, i zorientować się, w co wpadam.

- Wspaniale. - Był zachwycony. - Porę świtania łatwo wyliczyć. Kiedy wylądowaliśmy, zachowaliśmy wasz czas. Jutro rano?

- Świt. Poranek. Wschód słońca. Wszystkie te słowa... A zatem jutro o świcie. Dobranoc. Czy tak mówicie?

- Dobranoc - powiedział Bren, leciutko zaniepokojony myślą, że dla tego człowieka to wszystko są wyrazy ze słownika. Martwe pojęciowo. Ponad trzysta lat odosobnienia wystarczyło, by „świt” stał się dla niego słowem pojęciowo martwym.

Rozłączył się z technikami w Mogari-nai, na wszelki wypadek wyrwał taśmę z aparatu i zadzwonił na prywatny numer Tabiniego:

- Właśnie odbyłem krótką rozmowę ze statkiem, aiji-ma. Najwyraźniej zgodzili się na wszystko, czego chcieliśmy. Dostarczę ci pełny tekst.

- To bardzo dobrze, Bren-ji. Bardzo dobrze.

- Mówią, że mają możliwość wylądowania i że na dół przybędą dwie osoby, jedna na kontynent, a druga na Mospheirę. Jutro o świcie porozmawiam z ich

przedstawicielem i wtedy będę znał więcej szczegółów; rozmowa była bardzo krótka. Powiedzieli, że pragną dobrych stosunków z atejskim rządem. To właściwie wszystko, ale rozmowa była serdeczna i pozytywna.

- Bardzo dobre wiadomości, Bren-ji. Miło mi to słyszeć. Bren-ji?
- Aiji-ma?
- Ateva słyszy o jakichś uroczystościach.
- Strasznie przepraszam, jeżeli zakłóciłem ci spokój, aiji-ma.
- Nie, nasze ściany są dość grube. Miłego wieczoru, Bren-ji.
- Dziękuję - odpowiedział oszołomiony, po czym Tabini odłożył

słuchawkę.

A potem powoli doszło do niego, że coś się zmieniło i że może rzeczywiście mają powód do świętowania - zagrożenie dla świata być może ma szansę zmienić się w prawdziwe, produktywnie rozwiązanie.

Wszedł do jadalni, gdzie stojąc w milczeniu, czekali służący - w milczeniu, dopóki się nie pojawił: wszyscy jednocześnie zaczęli mu zadawać pytania:

- Rozmawiałeś ze statkiem, nand' paidhi?
- Czy dobrze poszło, nand' paidhi?
- Cicho - powiedziała zgorszona Saidin. - Cicho! To nie jest nasz interes.

- Ale rzeczywiście dobrze mi poszło, nand' Saidin - rzekł Bren. - Jeśli możemy wierzyć temu, co usłyszałem. - Nie śmiał twierdzić, że osiągnął jakiegokolwiek porozumienie, chociaż lekkomyślnie już sam zaczynał w to wierzyć, z powodów mających więcej wspólnego ze źródłem surowców niż z wiarą we wrodzoną wielkoduszność panującą na orbicie. Pod tym względem liczył bardziej na Mospheirę, choć wielkoduszności było tam mało i to tylko w urzędach nie mających nad niczym bezpośredniej władzy.

Otaczały go coraz bardziej podekscytowane twarze. Wciąż był tam Algini, a tłum w jadalni i na korytarzu tworzyli - tego był pewien - wszyscy służący. Kiedy powiedział to, co powiedział, nawet Saidin i Algini wydali się zarażeni entuzjazmem. Ktoś wsunął mu do ręki kieliszek i na utrzymaniu go w rękę musiał skupić całą swoją uwagę. Pachniało przynajmniej jak bezpieczna odmiana, ostrożny dotyk językiem nie wykazał mdlącego, paskudnego smaku cechującego prawdziwie niebezpieczne napoje i kiedy Bren dochodził do tego wniosku, Saidin wyrwała mu kieliszek z okrzykiem przerażenia i zastąpiła go innym, besztając jednocześnie ofiarodawcę za nieuzasadnioną lekkomyślność względem paidniego, który, jak wszyscy wiedzą, ma delikatny żołądek i delikatną konstytucję; co więcej, Saidin wciąż przemawiała, tłumacząc wszystkim, że paidhi jest właściwie inwalidą niedawno poszkodowanym w służbie Patronatu, nie mówiąc już o szwanku, na jaki taka nieostrożność naraża reputację pani Damiri.

Znów włączono muzykę i pojawił się wózek kucharki, tym razem z tacami schłodzonych słodyczy, prawdopodobnie miesięcznymi zapasami, na które rzucili się służący, ogałając tacę za tacą. Sama Saidin też podgryzała coś słodkiego, a Algini znalazł się pod ścianą w wianuszkach bardzo ładnych młodych dam, które zasypywały go pytaniami niewątpliwie dotyczącymi jego niedawnych przygód i przyczyn, dla których nosił bandaż.

Wtedy w samym środku chaosu pojawiła się Jago, złowieszcza, ciemna i oficjalna w swoim mundurze, i zbadała sytuację beznamiętnym wzrokiem.

- Bren-ji - rzekła, podchodząc do niego - ateva słyszała na dole w Ochronie.

- O statku? Na razie sprawa wygląda dobrze.

Jakaś służąca chciała podać Jago kieliszek, lecz ta zamówiła herbatę; było jeszcze jedzenie i choć Jago nie chciała pić, szybko rozprawiła się z kawałkiem pizzy. Słuchała muzyki, stojąc obok Brena i wbijając poważny, służbowy wzrok w tancerzy, których tym razem około dwudziestka krążyła po holu.

- To się trochę rozrosło, nadi - odezwał się Bren, czując się głupio i całkowicie za wszystko odpowiedzialny. - Nie chciałbym im przerywać, ale boję się, że zakłócamy spokój.

- Nie - powiedziała Jago na swój posępny sposób. - Chociaż Cenedi dowiadywał się na dole w imieniu wdowy.

- O, cholera!

- A Banichi i Tano żądają zachowania dla nich kilku kawałków. - Pojawiła się herbata Jago, którą przyniesiono z należytym szacunkiem; Jago upiła łyk. - Przyjdą później. Kucharka będzie zamęczana o przepis. Kilka kawałków dotarło na dół do Ochrony i wdowy, a także do Tabiniego. Ateva ma nadzieję, że nie jest to sprzeczne z etykietą.

- Nie - odparł poważnie. - W żadnym wypadku. Boże, czy nic nie może się uchować?

- Przepis? - zapytała Jago.

- Informacja. Wszystko, co robię...

- My naprawdę pilnujemy, Bren-ji. Nie polegaj jednak na tym za bardzo. Banichi mówi, żebyś położył się spać o odpowiedniej porze, nie składał służącym nieprzyzwoitych propozycji i nie potłukł porcelany.

- Gdzie on jest?

Jago zerknęła w bok, a potem rzekła:

- Załatwia ci samolot.

- Samolot.

-Do obserwatorium - uzupełniła Jago, jakby to miało być dla niego oczywiste.

Powinien był to wiedzieć. Paidhi czuł, że słabo kontaktuje. Prawdopodobnie to już trzeci kieliszek. Był prawie pewien, że trzeci.

- Pojutrze - rzekła Jago i napiła się herbaty. I, z czego zdał sobie sprawę po chwili, w zasadzie nie odpowiedziała na jego pytanie o Banichiego.

Niech to, pomyślał. Zdobywa więcej informacji od Cenediego i Tano niż od któregośkolwiek z dwojga ochroniarzy, o których sądził, że są mu bliżsi.

Nie była to jednak ani pora, ani miejsce na upieranie się przy swoim. Banichi pojawi się, a wtedy prawdopodobnie zniknie gdzieś Jago, jak to mieli w zwyczaju. Jago wspomniała o posterunku ochrony i o tym, że w jakiś sposób Jago, Tabini oraz Banichi znali każdy jego ruch i wiedzieli o każdym jego oddechu, co mogłoby wyjawiać prawdziwą naturę posterunku, który zajmowali oraz fakt, że porcelana może mieć uszy.

Mogło to też oznaczać, że w obliczu zagrożenia kraju, lub tego, co w atewskim rozumieniu za kraj uchodziło, Tabini mógłby nie chcieć uwierzyć mu wyłącznie na słowo.

Albo że przy tych wszystkich kontrowersjach wywołanych przez niego oraz najwyraźniej poważnym kryzysie w Gildii Zabójców Tabini najwyraźniej nie śmiał zostawić go przez sekundę bez nadzoru.

Być może była pora na świętowanie. Lecz rozwiązania same nie wpadają w ręce; obcy nie zgadzają się z człowiekiem, jeśli nie widzą w tym korzyści dla siebie, a aijiin, prezydenci i prawdopodobnie kapitanowie statków w sprawach związanych z polityką nie robią po prostu tego, co jest logiczne, niedwuznaczne, ekonomiczne lub etyczne.

A przynajmniej nigdy tego nie zaobserwował.

## Rozdział 13

- Bardzo słabo znam kilka języków - powiedział Graham przez telefon. - Nie było nikogo lepszego. Moim hobby jest historia. Dlatego zostałem wybrany do kontaktów z atewimi - znam historię. Moja partnerka, która uda się do populacji ludzi, ma potrzebne wykształcenie techniczne, ale żadnych studiów językowych. Właściwie nikt ich nie ma. Nie mamy różnych języków. Wszedłem w



to, bo interesuję się historią i sprawa mnie zaciekała. Poza tym uczę. Pomyslałem, że jest to coś, o czym powinienem wiedzieć.

- Jest pan nauczycielem? - zapytał Bren i z dzbanka stojącego na biurku nalał sobie filiżankę herbaty. Przed oczyma rosła mu wizja łagodnego, wykształconego i politycznie naiwnego człowieka, wpadającego w polityczne piekło.

- Głównie informatyki, ale ktoś musi pisać konspekty dla dzieciaków. Uczę je o języku. Sądziłem, że im się to przyda. Zainteresowanie było jednak niewielkie.

- Odróżnia pan rzeczownik od czasownika?

- Tak, sir. Koniugacje, deklinacje, imiesłowy...

- To na pewno się panu przyda. Rano przygotowałem kolejną porcję danych, podstawowe informacje gramatyczne na temat języka atevich - nie zrozumie pan ani połowy z nich. Garść wyrażań na nierealną ewentualność, gdyby musiał pan porozumieć się z kimś innym niż ja. Jak się pan zorientuje, nie mamy tu do czynienia ze strukturą gramatyczną, którą posługują się ludzie. Jest pan dobry w matematyce?

- Do pewnego stopnia, sir. Dlaczego?

- Bo ciągle trzeba obliczać. Liczba osób w uprzejmym zdaniu nie jest równa ilości głów, lecz wypadkowej pozycji i rzeczywistej liczby, są też formy, których się używa, by nie zapeszyć, kiedy trzeba użyć niepomyślniej liczby osób. Spodoba się to panu. Tak się cieszę, że będę miał kogoś, kto zrozumie, że nie jest to prosta sprawa tłumaczenia słowo w słowo. Od lat usiłuję przekonać kierownictwo mojego departamentu, że to, co raz jest odpowiedzią, nie musi być nią zawsze. Jeżeli jeszcze pana nie wystraszyłem, to może się pan nadaje.

- Na pewno trochę się boję.

- I słusznie. Między atevimi i ludźmi istnieją głębokie, lecz możliwe do pokonania różnice pojęciowe, umiarkowane różnice psychologiczne, i mówię panu, że znaleźliśmy się na granicy wykonania ważnych posunięć, między innymi dotyczących misji kosmicznych, kiedy pojawiliście się na niebie, śmiertelnie straszac dzieci. Ma pan jakieś doświadczenie negocjacyjne? Polityczne?

- Historia. Tylko historia.

Ma na głowie akademika. Boże, miej ich w opiece. Albo dyletanta.

- Dobre słownictwo?

- Niezłe. Lepsze niż inni.

- Poprosiłem pańskiego kapitana, by dał panu rzeczywiste pełnomocnictwo do prowadzenia negocjacji i pana popierał. Czy tak będzie?

- Słyszałem, co pan powiedział. Kapitan kazał dzwonić w razie wątpliwości, a przed udaniem się na dół mam dostać szczegółowe instrukcje i informacje o waszych potrzebach, o statku orbitalnym i tak dalej. Będę potrzebował regularnej łączności ze statkiem. Mogę dostać dane techniczne przez komputer.

Kapitan jest albo naiwny - to też możliwe - albo przysyła im kogoś, kto wie tak mało, że na przesłuchaniu niczego nie wyda.

Lecz Jason Graham nie jest idiotą. Człowiek, którego hobby to historia i języki, nie jest idiotą.

Może głupcem. A to już zupełnie coś innego.

- Ma pan jakieś pojęcie o polityce? W jaki sposób podejmujecie ważne decyzje? Jaki macie tryb postępowania?

- Przez głosowanie Gildii, sir. Kapitanowie, albo czasami technicy, przedstawiają to, co trzeba zrobić, a potem wszyscy proponujemy możliwe rozwiązania - nie działamy na skalę kraju, sir, to raczej wygląda tak, że mamy informacje i orientujemy się, czego nie wiemy, i musimy zdecydować.

- To w jaki sposób na przykład postanowiliście wrócić?

Chwila milczenia.

- Zawsze mieliśmy taki zamiar. Zdecydowaliśmy, że to odpowiednia pora.

- Dlaczego była to odpowiednia pora?

- No bo mamy inną stację, i połączenie ich obu dałoby nam większe pole manewru.

- Ma pan na myśli paliwo?
- I zapasy.
- Co chcielibyście na nie wymienić?

Kolejna krótka cisza.

- Nie wiem, sir. To chyba jeszcze bardzo odległa sprawa, sądząc po stacji, w jakim znajduje się stacja.

Chcesz powiedzieć, że stacja potrzebuje mieszkańców, robotników, a statek...

Statek zawsze potrzebuje paliwa. Statek potrzebuje zaopatrzenia. Można się domyślać, że świat ma to dostarczyć za darmo po włożeniu olbrzymiej pracy w niebezpieczne przedsięwzięcie, której efekt gwiazdny statek wchłonie jednym haustem i odleci.

Jak jednak powiedział Jason Graham, pewne rzeczy trzeba zrobić najpierw. Mają statek na głowie jako nieusuwalny czynnik. Mają stację z każdym rokiem niszczącą coraz bardziej, a statek stanowi skrót do jej uratowania - co niewątpliwie ma swoją wartość.

A statek nie może sobie niczego sam wziąć z planety. Z tego, co wiedział Bren, statek nie może dostać niczego, co nie zostanie mu dostarczone na orbitę. To oznaczało, że świat dysponuje środkami perswazji.

- To znaczy, że przekażą nam liczby, jak je wyliczą.
- Zasadniczo tak, sir, ale... czy możemy mówić zupełnie szczerze?
- O wszystkim, o czym chce pan rozmawiać. Słucham.

- Zgłosiłem się, ponieważ chcę robić w życiu coś więcej niż naciskanie guzików, a taką mam pracę, ale nie chcę skończyć z poderżniętym gardłem ani jako czyjś zakładnik. Podobnie Yolanda. Przede wszystkim coś takiego nie skutkuje. Kapitan mówi, że nie będzie się układał, żeby sprowadzić nas z powrotem. Jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy zdani na siebie. Więc... na ile jesteście bezpieczni?

- Będziecie pod ochroną Tabini-aijiego. To znaczy bardzo bezpieczni. Nie wiem, jak to będzie w przypadku pańskiej towarzyszki, ale w większości przypadków Mospheira jest spokojna aż do granic nudy. Dołożę wszelkich starań, żeby się z wami spotkać, kiedy wylądujecie. Zamierzacie przybyć jednocześnie?

- Tak. Jeśli jedno z nas będzie mogło się udać w to drugie miejsce.
- Z łatwością. Następnym samolotem.

- Mospheira twierdzi - mówiąc szczerze, sir - że atevi mogą zastrzelić człowieka bez powodu. Legalnie. Że ktoś próbował pana zabić. Dwa razy. Że o wiele bezpieczniej będzie wylądować na wyspie. Pan mówi co innego.

- Równie szczerze twierdzą, że lądowanie na Mospheirze stworzy dla was szczególne problemy. Owszem, panuje tu kilka bardzo odmiennych zwyczajów i zabójstwa są legalne, ale zarazem ściśle kontrolowane. Próby zgładzenia mnie były nielegalne i zostały udaremnione przez ochronę aijiego. W gruncie rzeczy, jeśli wylądujecie na wyspie, będziecie o wiele mniej bezpieczni; Tabini-aiji bardzo się zaangażuje w waszą ochronę, jeśli wylądujecie tam, gdzie was zaprosi - dał wam swoją osobistą gwarancję bezpieczeństwa - to po pierwsze. Po drugie, znacznie przewyższa rangą mospheirańskiego prezydenta i przyjęcie zaproszenia z wyspy byłoby protokolarnie bardzo złym posunięciem. Atevi uznałoby to za celową zniewagę lub znowę oraz tajne porozumienia, co byłoby dla was bardzo złym początkiem. Proszę przekazać tę informację osobom podejmującym decyzje.

- Dobrze, sir. Następną sprawą. Mospheira mówi, że tam, gdzie pan jest, sytuacja jest chaotyczna. Mówią, że może pan działać nie z własnej woli. Że kobieta, która miała pana zastąpić, zniknęła.

Może nie jest tak bardzo naiwny politycznie. Przynajmniej potrafi zadawać pytania, pomyślał Bren.

- Chodzi mi o to, czy mogę panu wierzyć, sir. Wyspa mówi, że złamał pan rozkazy i przekazuje atevim nieuprawnione informacje.

- Owszem, to prawda. Podobnie jak kobieta, która według nich zniknęła. Na miejscu odkryje pan, że Mospheira podejmuje decyzje niewiarygodnie powoli, a przecież tłumacze w terenie muszą czasami działać bardzo szybko. Wasz statek pojawił się na niebie, atevi przestraszyli się, że Mospheira unieważni Traktat i że to jakiś spisek - to jasne, że musiałem przedsięwziąć kroki w celu załagodzenia sytuacji, znajdując się wśród osób, które sądziły, że nie otrzymują uczciwych informacji. Musiałem więc wyjaśnić pewne rzeczy, co nie mogło czekać na aprobatę jakiejś komisji na Mospheirze. Mospheira wysyła bardzo sprzeczne sygnały. Chcą, żebym tu był. Wiedzą, że będę działał. Teraz departament stanu jest wściekły. Świetnie. Jeśli chce pan usłyszeć brutalną prawdę, to wolałbym obrazić prezydenta Mospheiry i nie dopuścić do rozpadu stosunków atewsko-ludzkich z powodu czegoś, co mógłbym rozwiązać, w sytuacji, co do oceny której i tak musieliby polegać na mnie.

- A co z tą zaginioną kobietą?

- Z Deaną Hanks? Wcale nie zaginęła. Rozkazałem jej wrócić do domu, a ona powiedziała, że czeka na oficjalne odwołanie z Mospheiry, którego Mospheira jak dotąd nie przysłała.

- Dlaczego?

- Bo - chce pan usłyszeć prawdę? - Hanks należy do opozycyjnej partii, która usiłuje nakłonić Tabiniego do przyjęcia jej listów uwierzytelniających, a on nie chce tego zrobić. Jest cała i zdrowa, a wczoraj jadłem z nią obiad, jak zwykle sprzeczaliśmy się, ale zgodziliśmy się nie przekraczać pewnych granic.

- Mospheira mówi nam zupełnie co innego.

- A co mówi wam Mospheira?

- Że sytuacja jest bardzo niebezpieczna i, mówiąc bez ogródek, że może pan kłamać, sir.

- Wie pan, skąd wychodzi ten przekaz?

- Tak, sir, ze stacji na wybrzeżu.

- Sądzi pan, że stacje tej wielkości są prywatne? Czy że należą do atewskiego rządu?

- Powiedziałbym, że do rządu, sir.

- Zapewniam pana, panie Graham, że właśnie w jego imieniu mówię. Jestem tłumaczem, paidhim, jedynym człowiekiem wyznaczonym przez Traktat do pośredniczenia w kontaktach między atewami i ludźmi. Atewska legislatura poprosiła mnie o sprawowanie tej samej funkcji w jej imieniu w stosunku do was, co w tej chwili oficjalnie robię. Owszem, pracuję dla mospheirańskiego rządu; ze względu na naturę mojego działania pracuję także dla rządu atewskiego. To oznacza, że czasami moim zadaniem jest mówić rzeczy, których Mospheira nie chce słyszeć. Jeśli jednak ich nie powiem, to nie zrobi tego nikt inny, sytuacja będzie nabrzmiewać w milczeniu, i w rezultacie wszyscy możemy nabawić się poważnych kłopotów. Szczerze mówiąc, są Mospheiranie, którzy nie lubią atewich i ci ludzie nie lubią też mnie. Ta opinia nigdy jednak nie zachęci atewich do współpracy. Chyba że najpierw zamarnie piekło. Proszę więc powiedzieć swojemu kapitanowi, że może słuchać ludzi z Mospheiry, którzy albo mają informacje ode mnie, albo wysysają je z palca, lub że może zapytać bezpośrednio mnie i otrzymać informacje z pierwszej ręki. Nie ma innego wyboru, bo nie ma innego człowieka uprawnionego do kontaktów z atewami. Pan niedługo zostanie drugim. Witamy w świecie polityki.

- Czy... czy oni są sympatyczni? Czy może pan rozmawiać ze zwykłymi atewimi? A może jest pan pod mocną strażą?

- Głównie, choć nie wyłącznie, kontaktuję się z przedstawicielami rządu. Atevi są uczciwi, lojalni względem towarzyszy, czasami niezrozumiali i czasami tak bezpośredni, że wywołuje to skrępowanie. Byłbym zachwycony widokiem innej ludzkiej twarzy niż ta, którą oglądam w lustrze, ale nie prowadzę tu ubogiego życia. Chciałbym panu zadać bardziej techniczne pytanie. Jakie macie wymagania co do lądowania? Czego potrzebujecie? Może pasa startowego?

- Właściwie... nie, sir. Wolałbym, żebyśmy go potrzebowali. Użyjemy jednej z waszych kapsuł.

- Żartuje pan?!

- Niestety, nie. Znaleźli ich kilka na stacji, ładnie spakowanych i z całym wyposażeniem.

- Dobry Boże! Przepraszam.

- Nie możemy więc wrócić, chyba że ktoś zbuduje odpowiedni pojazd. Tak między nami, sir, słowami, jakich nie użyłby pan wobec mojej matki i która wcale nie jest z tego wszystkiego zadowolona - jakie grozi mi ryzyko?

- Bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego te kapsuły nie zostały wykorzystane?

- Mospheira mówi, że to były zapasowe sztuki. Trzy ostatnie. Bo na końcu na stacji zostało sześć osób. Jeżeli popsułaby się jedyna kapsuła, nie mogliby zbudować następnej. Takie „potrójne” zabezpieczenie było u nich zasadą.

- Brzmi rozsądnie. Nie mogę jednak ręczyć za to głową.

- Więc jeśli mamy zbudować statek, który mógłby wystartować z planety, to jak długo będziemy musieli czekać na powrót na górę?

- Gdybyśmy zaczęli dzisiaj, gdyby wszystko potoczyło się niezwykle pomysłnie i gdyby to było jedynym celem naszego programu, to moglibyśmy wysłać załogową kapsułę na niską orbitę w ciągu roku, może półtora, używając rakiety przeznaczonej do wystrzeliwania satelitów komunikacyjnych. Żadnych wygód, ale moglibyśmy wysłać was na niską orbitę i prawdopodobnie ściągnąć z powrotem w jednym kawałku.

- A żeby dotrzeć na wysoką orbitę?

- Realistycznie mówiąc, a znam się na tym, bo wśród innych moich zadań jestem tłumaczem technicznym, gdybyśmy chcieli zbudować porządny pojazd orbitalny, to tracilibyśmy czas, konstruując małą raketę chemiczną. O wiele bardziej wolałbym rozmawiać o technologii wahadłowej.

- A ile czasu by to trwało?

- To zależy od wielu czynników. Od tego, czy materiały będą odpowiadały parametrom projektu. Jak bardzo atevi zaangażują się we współpracę. Powiedziałbym, że jeśli nie chcecie się zestarzeć tu na dole, to lepiej wylądуйте po tej stronie wody i bądźcie bardzo mili dla Tabini-aijiego, który może samodzielnie zdecydować, jak szybko materiały spełnią wymagania projektu.

- To bardzo przekonujące, sir.

Cała ta sprawa pośpiechu - chęci ryzykowania ludzkiego życia - nie dała Brenowi spokoju.

- Dwustuletni spadochron? Klej na osłonie termicznej...

- Wiemy. Chcemy ją odnowić. Technicy twierdzą, że mogą ją ulepszyć. Posadzą nas dość precyzyjnie tam, gdzie trzeba. Osobiście nie podoba mi się ten pomysł ze spadochronem, ale to chyba lepsze od wejścia w atmosferę bez niego.

- Jest pan bardziej opanowany, niż byłbym ja w podobnej sytuacji, panie Graham. Muszę to panu przyznać. Naszym przodkom się jednak udało, bo inaczej nas by tu nie było.

- Aż nie chcę pytać, ale jaki był współczynnik niepowodzenia? Istnieją jakieś statystyki na ten temat?

- Procent? Niewielki. Wiem, że jedna kapsuła utonęła w morzu. Druga miała twarde lądowanie. Rozbiła się. Inna straciła osłonę termiczną i spaliła się. W większości przypadków udało im się wylądować, ale nie wiem nic więcej. Czy jednak przy tej całej waszej technice nie można by poświęcić trochę czasu i przerobić kapsuły na zdalne sterowanie? Czy nic, co macie, nie może służyć za lądownik?

Chwila ciszy.

- Nie w atmosferze. Z księżycem nie byłoby żadnego problemu. To jest jednak bardzo głęboka studnia, sir.

- Studnia grawitacyjna.

- Tak, sir.

Przepaść językowa istniała nie tylko między Mospheirą i atevimi. Do-myślił się znaczenia tego skrótu myślowego. Natomiast dzięki doświadczeniu, jakiego z konieczności nabywał tłumacz techniczny, Bren uświadomił sobie natychmiast inne, groźniejsze problemy.

- Panie Graham, mam nadzieję, że kiedy technicy rozpakują spadochron, żeby go sprawdzić, to będą wiedzieli, jak z powrotem włożyć go do pojemnika. Spadochrony muszą się rozwijać w ściśle określony sposób. Inaczej się nie otwierają.

- Staję się przez pana bardzo nerwowy, sir. Na szczęście technicy mają instrukcję obsługi ładownika. Mówią, że znajduje się w bibliotece na stacji.

- Kiedy przysyłają was tu na dół?

- Za jakieś pięć, sześć dni.

- Boże.

- Wolałbym, żeby miał pan więcej pewności siebie.

- Pięć dni to naprawdę bardzo mało czasu, panie Graham. Czy jest jakiś szczególny powód do pośpiechu?

- Nie ma powodu, żeby się nie śpieszyć - chcę powiedzieć, że nie mamy żadnych kłopotów z osłonami ablacyjnymi. Możemy je ulepszyć od ręki. Jestem mniej pewny spadochronu, ale muszę zaufać dawnym zapisom. To wszystko. Muszę zaufać. Podobno mają skończyć za cztery dni. Mogą wprowadzić nas na precyzyjną trajektorię. Nie wiem, co jeszcze można zrobić. Mówią, że nie ma żadnego ryzyka. Że mają wszystkie wyniki. Kiedy stracili te trzy kapsuły? Na samym początku?

- Chyba... tak. Nie stracili żadnej z ostatnich. - Lekkie upiększenie prawdy. Prawda jednak nie była pomocna człowiekowi, który miał spaść z tak wysoka.

- Powiem panu, nie wyczekuję tego doświadczenia z niecierpliwością. Wciąż sobie powtarzam, że kompletnie zwariowałem. Nie wiem, co myśli Yolanda. Jeśli jednak znajdziemy się na dole...

- Atevi powiedzieliby, żeby zaufał pan liczbom. Proszę wyciągnąć od techników szczęśliwe liczby.

- Z pewnością to zrobię. Co to za dźwięk?

- Dźwięk? - Nagle wraz z powietrzem dotarł do niego zapach deszczu. Wyczuł niepokój w głosie Grahama. - To był grzmot. Mamy burzę.

- Zaburzenia atmosferyczne.

- Deszcz.

- To dość głośne.

- Grzmoty takie są. Mogą być. Ten był. Strzeliło tuż nad nami.

- To nie jest niebezpieczne?

- Błyskawica jest. Dalsza rozmowa telefoniczna to może nie najlepszy pomysł. Zanim jednak się pożegnám, chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy. Nigdy nie mieliśmy poważnych kłopotów z chorobami, raczej nie zarażamy się od atevich i kiedy wylądowaliśmy, stanowiliśmy dość czystą populację. Jednak dla zasady aiji będzie należał, żebyście przeszli przez to samo, co nasi przodkowie przed lądowaniem.

- Zaczęliśmy na ostatniej wachcie. Mój żołądek nie jest zachwycony, ale to najmniejsze z naszych zmartwień.

- Przykro mi. Przekażę pańskie zapewnienie aijiemu i sam pana zapewniam, że aiji będzie zadowolony, iż podjęliście ten środek ostrożności z własnej inicjatywy. Sprawicie na nim wrażenie ludzi rozważnych i pozytywnie nastawionych. Poinformuję go także o tym, że pańska towarzyszka będzie natychmiast potrzebowała samolotu, zakładając, że takie będzie jej życzenie. Przekażę faksem mapę z zaznaczonymi najlepszymi miejscami do lądowania i z opisem ich zalet oraz wad. Może pan porozmawiać z waszymi specjalistami i dokonać wyboru, ale lepiej będzie, jeśli wylądujecie na terenach publicznych na południe od stolicy.

- Przekażę. Chciałbym z panem rozmawiać dość często, jeśli uda się to panu załatwić. Chciałbym przejrzeć te materiały, które pan wysłał. Zapewne będę miał pytania.

- Przekażę faksem mój harmonogram spotkań. Jutro wybieram się do obserwatorium w górach. Wrócę wieczorem. Jeśli jednak okaże się, że coś wymaga moich wyjaśnień, to gdziekolwiek są telefony, można mnie znaleźć. Nawet w samolocie.

- Do obserwatorium? Po co?

- Żeby porozmawiać z dżentelmenem, który może odpowiedzieć na pewne filozoficzne pytania. Wasze przybycie było dość... hmm, widoczne dla wszystkich mieszkańców terenów wiejskich. Oprócz implikacji politycznych wywołało też implikacje religijne. Powiedzmy, że pewne zaniepokojone osoby zadawały mi pytania.

- Czy to część pańskiej pracy?

- Mam nadzieję, że będziemy pracowali razem.

- Zapewniam pana, że to ja mam na to nadzieję, sir. Wolałbym jednak, żeby spuścili nas w jakimś miękkim miejscu.

- Nie mógł się nie uśmiechnąć do słuchawki.

- Wybiorę panu miękkie miejsce, panie Graham. Mam na imię Bren. Proszę mnie tak nazywać. Nikt nigdy nie mówił do mnie „sir”.

- Ja jestem Jase. Wszyscy tak do mnie mówią. Naprawdę nie mogę się już tego doczekać. Chwili, w której znajdziemy się na dole.

- Jase. Będzie mi bardzo przykro, jeśli się wam nie uda. Proszę cię, każ technikom sprawdzić wszystko dwa razy. Powiedz im, że w razie wątpliwości świat zaczeka. Aiji zaczeka. W żadnym wypadku nie chciałby, żebyście narazili się na niebezpieczeństwo.

- Miło mi to słyszeć. Jeśli czegoś nie znajdą, to chyba jednak dotrzemy terminu. Prawdę mówiąc, wolałbym już tę część mieć za sobą.

- Kończy nam się czas. - Gdzieś blisko uderzył piorun, szarpiąc nerwy.

- Ten grzmot był głośny. Powinienem już kończyć.

- Rozumiem. Porozmawiamy później. W każdym razie tak szybko, jak będę mógł. Dzięki.

Herbata wystygła. Wiatr wpadający przez otwarte drzwi był rześki i wilgotny. Toby miał rację, burza ominęła Mospheirę i z całą siłą spadła na kontynent. Samolot z zamówionym sosem pomidorowym prawdopodobnie wciąż jeszcze nie dotarł na miejsce, a paidhi pozwolił herbacie wystygnać na tym wietrze, rozmawiając przez telefon z człowiekiem urodzonym w przestrzeni kosmicznej przy gwiazdzie innej niż słońce.

Gwiazdzie, której nazwy ten człowiek wciąż jeszcze nie wymieniał, z przyczyn, które mogły mieć znaczenie.

Jason Graham twierdził, że ma dwadzieścia osiem lat - według dawnej ziemskiej rachuby. Przekazane faksem informacje, które Bren otrzymał przed rozmową telefoniczną, zawierały dane osobiste Grahama oraz jego towarzyszkę, Yolandy Mercheson, trzydziestoletniej praktykantki w zawodzie inżyniera. Ładna, zwykła kobieta z czymś, co wyglądało na piegi; faks nie był idealny. Jase miał szczupłą, poważną twarz, krótko ostrzyżone ciemne włosy - przydałoby się je podhadować - choć atevi będą przerażeni, chyba to rozumieją, ponieważ obecnie, nie tak jak przed wiekami, wiedzieli, że przybysze nie zawsze robią to, co robią, z przyczyn zrozumiałych dla atevich.

Ale co myśleć o dwojgu ludzi decydujących się na wielomilowy upadek na planetę, a także rozdzielenie przez politykę, gatunek i granice, z przyczyn, które przez zdrowy rozsądek trudno uznać za całkowicie altruistyczne lub nazwać naiwną ciekawością? Bren nie rozumiał takiej mentalności; albo dziękował Bogu, że nie jest to częścią jego pracy. Przypuszczał, że gdyby odbyli bardzo długą i bardzo poważną rozmowę...

Uwierzył Jasonowi Grahamowi, kiedy ten mu zdradził, że się boi. Statek znalazł ochotników bardzo szybko. Mogło to być spowodowane zwyczajem patrzenia na wszystko z góry oraz odwagą, jakiej wymagało podróżowanie takim

statkiem - Bren nie miał najmniejszego pojęcia, jak wygląda życie na statku. Wszystko to była teoria, wiadomości ze szkoły podstawowej, wyobrażenia. Atevi czasami przejawiali bardzo lekkomyślną ciekawość. Bren jednak nie sądził, że Jasonem Grahamem i jego towarzyszką powoduje wyłącznie ciekawość - mówiąc po ludzku, nie widział tego i nie potrafił uwierzyć komuś, kto wydawał się tak rozbrajająco... przyjazny. Bez żadnego powodu. Bez...

...takiego powodu, jaki miał, by ufać herbacie we własnym kubku. Ponieważ kobieta, która mu ją podała, była związana man'chi z Damiri... tego był stosunkowo pewien; a Damiri czuła względem Tabiniego to, co atevi czują do kochanka... tego też był stosunkowo pewien. Nade wszystko...

Przypuszczał, że ludzie na statku też bywają czegoś stosunkowo pewni i że są gotowi uwierzyć mu na słowo. Że tak jest w rzeczywistości... był mniej pewien; było to jednak najlepsze założenie, jedyne założenie dające nadzieję na znośną przyszłość.

Właśnie świtało, a on siedział w gabinecie nieobecnej damy. Wysłał dane na statek. Kolejna wojna słowników.

Gramatyk i protokołów.

Potem zaczął wykręcać numer Hanks, ale w porę przestał, przypomniawszy sobie, że godzina wciąż jest upiorna i że Hanks słusznie by go zabiła.

Niewątpliwie Ilisidi je śniadanie na swoim balkonie, znajdującym się pod jego balkonem. Mogłaby przyjąć o tej porze gościa. Prawie zapragnął się tam znaleźć. Ilisidi stanowiła jednak zbyt ryzykowne towarzystwo dla człowieka, który tego ranka stał się nagle ludzki i wrażliwy. Zapragnął jasnego blasku słońca, zapragnął, żeby otaczający go atewski świat przybrał swój kształt i znów uzasadnił istnienie Brena. Nie mógł sobie pozwolić na takie zachowania, jak obdarzanie kogoś instynktownym zaufaniem czy irracjonalna wiara w kogoś, rozbudzona zestawem sygnałów, poruszających coś, w czego istnienie już nie wierzył. Raczej nie wierzył. Bezpiecznie było wierzyć w coś innego.

Na pewno jednak nie w międzynarodową politykę. Nie, kiedy istnieli ludzie i atevi bardzo, ale to bardzo dobrzy w sprawianiu wrażenia wiarygodnych, których zestawy frazesów brzmiały tak szczerze, iż trudno było nie wierzyć w ich autentyczność. Bren cholernie żałował, że Jase Graham wywarł na nim takie wrażenie. Wystraszył go jednak jak diabli - wystraszył Grahama, jeśli Bren mógł mu wierzyć, i wystraszył siebie samego, że tak łatwo dał się ponieść wewnętrznym impulsom. Jeśli tak było naprawdę, to nie miał czasu tworzyć związków z innymi ludźmi, choć te, które już istniały, nie były idealne, a los nie postępował sprawiedliwie, podsuwając mu istotę ludzką, która mógłby polubić, która mogłaby obudzić w nim niebezpieczne instynkty i odwrócić jego uwagę od bardzo ważnego zadania...

Jak na ironię, właśnie coś takiego opisywali atevi, ten cholerny instynkt stadny, to biologiczne coś, co pojawiała się w sztukach machimi i odciągało jakiegoś biednego durnia od jego dotychczasowego man'chi, wiążąc go z jego prawdziwym man'chi, a biedny dureń stawał na środku sceny i rozpaczał nad zniszczeniem swojego niewydarzonego życia i niewydarzonych związków, po czym unicestwiał wszystko i wszystkich, którzy przedtem mieli dla niego choćby najmniejsze znaczenie.

Człowiek oglądał te sztuki, usiłując zrozumieć chwile objawienia.

Człowiek badał wszystkie przesłanki i wiedział, że coś w tym jest.

Człowiek mógł to w końcu znaleźć na własnym progu, tego bezkształtnego poranka, tego szarego, wolno budzącego się dnia rozjaśnianego zygzakami błyskawic.

Było już widać Bergid. W deszczu, zasnuwającym wszystko mgiełką, było już widać światła.

Nie zaplanował sobie tego przejścia na ty, ale czuł się przy Grahamie swobodnie, nawet...

Nawet wiedząc, że zbliża się świt (i zdrowy rozsądek), że przybycie tego człowieka niesie ze sobą trudne zadanie, że człowiek ten mógłby... no

właśnie, co? Zostawać o całe lata w tyle za nim, jeśli chodzi o płynność językową, mieć odmienne nastawienie kulturowe, ciągle wymagać wyjaśniania, definiowania, ponownego wyjaśniania; studia trwające całe życie wciśnięte w kilka lat, po czym statek odleci, a kolejny ludzki związek wygaśnie, umrze.

Jeśli kapsuła zawiedzie, mogą w ogóle nie dotrzeć na miejsce. Myśl ta przyprawiła Brena o mdłości, zdenerwowała na jakimś podstawowym poziomie, do którego zrozumienie nie miało przystępu. Tego ranka to już nie było rozczula- nie się nad samym sobą, ale czyste przerażenie - czuł się samotny i odcięty od ludzkości, a ten - powiedz to - przyjazny głos wstrząsnął jego z góry wy- robionymi osadami, przedarł się przez zabezpieczenia. Powinien być mądrzejszy. Najpierw człowiek czegoś chce, a potem to nigdy, przenigdy...

Nie dorównuje oczekiwaniom? Cholera, przecież nie jest pierwszym człowie- ikiem na świecie, który poślubił pracę i zerwał stosunki z ludźmi. Rozmawiał z mężczyzną, który wzbudził w nim jakieś uczucia, po czym jego umysł rozsypał się w drobny mak, a on sam czeka teraz na ten lot Jasona Grahama na spado- chronie, jakby od tego kawałka materiału zależało jego własne życie.

Wszystko to są zakazane rzeczy, do spisania których na straty zmusił się już dawno temu; poza Barb, która okazała się tak tymczasowa, jak to sobie zaplanował na początku ich znajomości i nie mógł za to jej winić. To on zbliżył się za bardzo, złamał zasady, zakończył to, na czego trwałość w ogóle nie powinien liczyć.

A teraz znajduje się cholernie blisko następnej niebezpiecznej prze- paści - oczekiwania wyniku własnej działalności. Piorunem spisać to na straty; nie ma mowy, żeby, podobnie jak paidhiin przed nim, mógł kiedykolwiek spojrzeć na dokonania swego życia i powiedzieć: „Wygraliśmy”, a co dopiero: „Wszystko się udało”. To nie jest ten rodzaj pracy - coś takiego nie zdarza się za życia jednego paidhiiego. Atevi w kosmosie, ludzie z powrotem na stacji, cały bigatunkowy świat na najlepszej drodze do przełamania barier kulturowych i psychologicznych, do wspólnej pracy i życia w jakimś utopijnym rajku zrozumienia...

To jest właśnie kompleks Boga, przed którym ostrzegają człowieka, gdy dołącza do programu i o którym przypominają mu za każdym razem, kiedy jego propozycje przedstawiane komisji stają się zbyt ekstrawaganckie. Pokazują mu zdjęcia zabitych i rannych podczas wojny i mówią, że do tego właśnie prowadzi zbyt duży i szybki postęp, prosto po linii najmniejszego oporu do szkód, jakie mogą sobie wzajemnie wyrządzić atevi i ludzie, ponieważ teraz mają o wiele bardziej zaawansowaną broń - a może do tego dojść nie tylko dlatego, że pewne pojęcia mogą być niebezpieczne, ale dlatego, że zmiany muszą rozchodzić się w atewskim społeczeństwie powoli i że nie jest mądrze dodawać kolejnych zawirowań, zanim poprzednie nie zostały jeszcze zupełnie wchłonięte, bo inaczej ryzykuje się niefortunną kombinacją skutków po prostu niemożliwych do przewidzenia przez ludzi.

Z całą pewnością nie jest to dobry moment na to, by tracić głowę i myśleć, że wszystko pójdzie dobrze. Zadaniem Brena jest stale oczekiwać najgorszego i spodziewać się, że spadochron się nie otworzy. A najbardziej, baji-naji, demon we wzorze - nigdy nie należy spodziewać się zdrowego roz- sądku po obu stronach cieśniny jednocześnie.

Wyszedł z gabinetu i udał się do pokoju śniadaniowego. Służące - niek- tóre z nich niewątpliwie leczyły kaca - pośpiesznie mu się kłaniały i zaraz znikwały, co dawało Brenowi niezachwianą pewność, że jeśli usiądzie przy stole, śniadanie pojawi się na nim bardzo szybko.

Otworzył oszklone drzwi balkonu i z przyjemnością poczuł na skórze chłodny, wilgotny wiatr. Musi zdać relację Tabiniemu, powinien ją również zdać Hanks, a jeśli uda mu się połączyć z Biurem Spraw Zagranicznych, pow- inien zdać relację Mospheirze.

Bóg jeden wie, że naprawdę powinien skontaktować się z personelem prezydenta i wyjaśnić sytuację George'owi. Zażyć coś na nadkwasotę i prze- konać się, czy potrafi opanować żołądek na tyle, by porozmawiać przez telefon



bezpośrednio z szefem personelu - zakładając, że Mospheira pozwoli działać telefonom i że w Biurze Spraw Zagranicznych uda się go przełączyć.

Miał jednak przed południem posiedzenie komisji polityki. Musiał umówić się na spotkanie z Tabinim. Zbliżał się wywiad dla wiadomości - prośba o tę rozmowę czekała na Brena wraz z poranną herbata, a on ją potwierdził - człowiek zakładał, że dziennikarze dowiedzieli się, iż paidhiin odbywają konferencje, że są odpowiedzi, że właściwie niedługo nastąpi kolejne Lądowanie. W oczy zaglądała mu konieczność lotu w góry Bergid i z powrotem.

Zjadł śniadanie, przepuszczając taśmę przez kopiarkę zamieniającą dźwięk głosu na znaki pisma, jedno z oszczędzających mózg i palce urządzeń, którego przewiezienie przez cieśninę wymógł na cenzorach pochlebstwami. Program nie nadawał się do dyktowania; Brenowi o wiele lepiej szło, kiedy nie musiał o tym myśleć, a cholerne urządzenie myliło fonemy bez żadnej konsekwencji czy logiki, którą udałoby mu się odkryć - więcej wysiłku kosztowało domyślenie się, jakie słowo w mospheiranie zostało zniekształcone niż samo zniekształcanie, ale przy transkrypcji dużych porcji nagrań urządzenie było przydatne.

Szczególnie, jeśli podczas pracy pozwalało paidhiemu zjeść śniadanie. Trochę zachodu z programem sprawdzającym pisownię i pobieżne przejrzanie tekstu pozwoliło Brenowi poprawić rzeczywistości idiotyczne błędy nie wychwycone przez oprogramowanie i przepuścić go przez drugą fazę tłumaczenia, która dała mu podstawę do sporządzenia tekstu w piśmie atevich.

Po półgodzinie pracy miał dwa zestawy kopii: samej taśmy - dla Biura Spraw Zagranicznych, do własnych akt i dla Hanks. Wysłał ją do Deany z pozdrowieniami, spodziewając się wrednej odpowiedzi. Korzystając z jeszcze czynnego połączenia z Mospheirą, wysłał wiadomość do matki: „Daj znać poprzez system. Martwię się o ciebie”.

Oraz tłumaczenia - najpierw kopia do Tabiniego z notatką: „Aiji-ma, uważam, że ton i zamiary statku są zachęcające. Podjąłem się wyjechać im na spotkanie i znaleźć lądowisko nadające się dla żagli-kwiatów. Zastanawiam się, czy równina pod Taiben stanowi odpowiedni i rozsądny wybór, jako że to tereny publiczne?”. Do hasdrawadu: „Nadiin, przedstawiam wam transkrypcję mojej pierwszej rozmowy z wybranym paidhim ze statku. Uważam go za człowieka sympatycznego i rozsądnego”. I do Ilisidi: „Człowiek ma powody żywić nadzieję, nand' wdowo”.

A potem do własnej ochrony za pośrednictwem domowego biura ochrony: „Ton i treść mojej wstępnej rozmowy z tym osobnikiem dodały mi otuchy. Mam nadzieję, że wraz z towarzyszką znajdzie się bezpiecznie na dole. Z góry cieszę się na spotkanie z tym dżentelmenem”.

- Wydaje się, że to raczej ocena uczuć - zauważył Tabini, kiedy mieli okazję porozmawiać przy obiedzie w apartamencie aijiego - niż faktów. Właściwie nie ma z ich strony żadnej deklaracji działania, a poza tym układają się z Mospheirą. Ateva mógłby pomyśleć, że zamierzają się targować do ostatniej chwili.

Uderzył prosto w czułe miejsce. Na Tabiniego można liczyć.

- Staralem się bardzo analitycznie wyłączyć z oceny emocje - rzekł Bren. - Zgadza się, że w mojej interpretacji czai się pewne ryzyko: niepokoi mnie moja własna instynktowna reakcja na człowieka, z którym rozmawiałem, aiji-ma, i staram się być nadzwyczaj ostrożny na każdym kroku. Oceniam jednak, że są to odważni ludzie, co czyni ich cennymi dla ich kapitana. Wśród ludzi taka chęć podejmowania ryzyka znaczy, że albo samo ryzyko jest małe, albo są głupcami goniącymi za sensacją - nie sądzę, by chodziło o którąś z tych możliwości - albo są to ludzie o nadzwyczajnym poczuciu obowiązku, przewyższającym ich interesowność.

- Ten podobny do man'chi „obowiązek”. Względem kogo?

- To zawsze jest pytanie, aiji-ma. Bardzo jasno i bezpośrednio mówią o swoich obawach związanych z zejściem na planetę i ugrzęźnięciem na dole. Za-

dali bezpośrednio pytania... sam zobaczysz, kiedy przeczytasz transkrypcję. Rozmawialiśmy o miejscach lądowania. Ostrzegłem ich bardzo wyraźnie, że powinni wylądować raczej tu niż na Mospheirze i że jest to kwestia protokołu. Mam nadzieję, że byłem przekonujący.

- Ten wybór Taiben - powiedział Tabini. Był to prywatny obiad, usługiwał im tylko Eidi, a Tano czekał na zewnątrz z innymi ochroniarzami Taibiniego. Gwałtowne poranne burze minęły i światło dnia wpadające zza białych, cienkich zasłon, choć szare, było już o wiele silniejsze. - Taiben - ciekawy pomysł. Wśród innych miejsc mających inne zalety. Zobaczmy, co ludzie ze statku uważają za istotne. Szybkość transportu - Taiben na pewno spełnia ten warunek. A przy terenach publicznych nie trzeba występować o zezwolenie.

- Okolice na południu jest płaska - powiedział Bren. - I nie zalesiona. To, co chcą zrobić, jest bardzo niebezpieczne. Mam poważne wątpliwości, czy dobrze rozumieją tę technikę. Podobno wytwarzanie kamiennych toporków to trudna sztuka i współcześnie żyjącym wcale nie musi się to udać.

- Jak myślisz, dlaczego nie mają innego wyboru? - zapytał Tabini. - Czyż nie są to władcy techniki? Badacze granic wszechświata?

- Moim zdaniem - choć to tylko domysł, aiji-ma - jest bardzo logiczne, że nie mają sposobu zejścia w atmosferę. Nasi przodkowie opuścili swoją rodzinną planetę, żeby wybudować stację w kosmosie, a nie wylądować na jakimś świecie. Kiedy nasi przodkowie chcieli tu wylądować, na pewno nie mieli odpowiedniego pojazdu. Mieszkańcy stacji nie chcieli go dla nich zbudować - gdyby to zrobili, cała historia potoczyłaby się inaczej. Gdyby Gildia Pilotów chciała pilotować taki pojazd, ci, którzy wylądowali, mogliby zbudować coś lepszego. Lądownicy, żagle-kwiaty, były wtedy jedyną alternatywą dla moich przodków i zakrawa na dużą ironię, że tylko one teraz istnieją.

- Cała ta rozległa wiedza - rzekł Tabini - a oni rzucają się na świat jak wi'itkitiin ze skał.

- Nie mając nawet możliwości szybowania. - Brenowi przysłała do głowy pewna myśl. - Podejrzewam, że nie potrafią latać w atmosferze. To wymaga innych umiejętności. Na pewno się tego nie uczą. Klapy i ster. One nie działają w przestrzeni kosmicznej.

- To znaczy, że ci władcy wszechświata nie potrafią wylądować? Istnieją tylko w przestrzeni, gdzie, jak mówisz, nie ma powietrza, nie ma czym oddychać? Zapomnieli, jak się lata?

- Podczas takich burz? W kosmosie ich nie ma, aiji-ma. Inne rzeczy, inne niebezpieczeństwa - na pewno, ale pogoda i prądy powietrzne muszą być dla nich czymś obcym.

- To znaczy, że wszyscy piloci potrafiący latać w atmosferze to ludzie z Mospheiry i atevi.

- Zdaje się, że tak, tak podejrzewam.

Człowiek zobaczył w oczach Tabiniego błysk i wiedział, że aiji zaczął wyczuwać swoją przewagę. Tabini myślał i planował.

- A zatem - rzekł Tabini - jeśli zbuduje się ten wahadłowy pojazd, o którym mówisz, to będzie on też mógł pełnić rolę samolotu, zależnego od powietrza i wiatrów.

- Tak, aiji-ma.

- To mi się podoba, nand' paidhi.

Tabiniemu nie można było zamydlić oczu. Można natomiast było liczyć, że Tabini dokładnie zrozumie, w czym ma przewagę.

Rozmawiali też o wydatkach biurowych. Tano przysłał proponowany budżet, a Tabini skwitował go słowami:

- Wydatki domowe. Czy Traktat nie mówi, że będziemy ponosić takie koszty?

Wydatki domowe. Taki personel mógł mieć członek tashridu. Pan prowincji. Paidhi był skrupowany i bardzo cicho powiedział:

- Dziękuję, aiji-ma.

Więcej o sprawie nie wspominał.

Tano, który spotkał go przy drzwiach, powiedział po prostu:

- Ateva się tego spodziewał. Ten starszy emerytowany dżentelmen będzie bardzo zadowolony. Pochodzi z mojego klanu.
- Aha - rzekł Bren. Na Mospheirze człowiek nazywał coś takiego nepotyzmem. Na kontynencie człowiek po prostu się cieszył, że rozumie, gdzie spoczywa man'chi, definitywnie i absolutnie. Żaden starszy emerytowany dżentelmen nie zhańbiłby nawet młodszego członka Gildii. - Co on właściwie robił przed emeryturą, Tano-ji?
- Był wyższym dyrektorem działu łączności zewnętrznej przy komisji terenów publicznych oraz wytrawnym politykiem - odparł Tano. - Komisja ta prowadzi bardzo dużo poważnych dysput i otrzymuje liczne zapytania.
- Wydaje się to uzasadnione. Jestem bardzo wdzięczny, Tano. Spotkam się z personelem, gdy tylko zorganizują biuro. Proszę, żebyś im to powiedział. Czy powinno się wysłać kwiaty?
- Nie jest to ściśle wymagane, ale pomyślny układ i życzenia od paidhiego, a także wstażki, gdyby był czas...
- Możemy to zrobić teraz? Przed konferencją prasową?
- Tak. Mogę znaleźć wstażki. Mógłbym przystawiać pieczęć, nadi Bren. Pieczętowanie jedną ręką było problemem. Atevi jednak przywiązywali dużą wagę do kart ozdobionych wstażkami w barwach urzędu lub rangi i ostemplowanych oficjalnymi pieczęciami, które to karty przechowywali jako pamiątki służby czy spotkania.
- Powinniśmy przygotować je dla całego personelu - postanowił. - Dla osób, które służą i które będą służyć.
- To dobra myśl - rzekł Tano.
- Czy obraziłbym członków ochrony, gdybym dał im wstażki?

Tano przez chwilę wyglądał na onieśmiałego!

- Ateva ceniłby taki dar, nand' paidhi.
- Uratowałeś mi życie, Tano-ji. Jeśli wstażki sprawią ci przyjemność - jak najbardziej. Albo cokolwiek innego.
- Nand' paidhi - powiedział Tano, zrównał krok z Brenem i skłonił się.

- Jeśli dasz mi wstażkę, mój ojciec uzna, że zostałem wyróżniony. Daj mi wstażkę dla niego, paidhi-ji, a więcej już nie usłyszę o zostaniu inżynierem. Takie gesty się liczyły. Bren żałował, że nigdy nie pomyślał, żeby zrobić coś takiego dla personelu. Miał już listę osób, którym powinien wysłać karty. Całemu personelowi w Malguri. Na pewno wszystkim mężczyznom i kobietom, którzy ryzykowali własne życie w obronie paidhiego.

Bren z pewnym przerażeniem uświadomił sobie, że lista ta bardzo się wydłużyła.

## Rozdział 14

Reporterzy mieli notesy pełne pytań: zwiertrzywszy okazję do znalezienia się sam na sam z paidhi-aijim, przyszli oczywiście uzbrojeni w pytania bardzo szczegółowe, czasami takie, na które nie było odpowiedzi, jak: „Skąd przybył ten statek, nand' paidhi?“, i „Czego chce statek, nand' paidhi?“.

Na pierwsze nie potrafił udzielić odpowiedzi i nie śmiał snuć domysłów na ten temat - nie chciał poruszać zagadnienia gwiazd i słońc; rozpaczliwie od razu przeszedł do drugiego pytania, na które potrafił odpowiedzieć wystarczająco uczciwie:

- Nadiin, z tego, co zostało powiedziane do tej pory, wynika, że ludzie ze statku chcą ponownie uruchomić stację. Spodziewali się, że zastaną wszystko w stanie sprzed ich odlotu. Oczywiście, nic nie jest takie samo, nawet stacja, która zgodnie z ich rachubami miała na nich czekać. Są zdziwieni i usiłują dojść, co się stało ze światem od czasu, kiedy go opuścili.

Nie wspomniał o tym, że statek chce przenieść z planety na orbitę po-  
każną liczbę robotników i zostawił tę sprawę reporterom, jeśli przyjdzie im  
do głowy o to zapytać. Jeden z nich spytał jednak, jak Bren widzi gospodarcze  
perspektywy Patronatu i jaki to wszystko ma wpływ na stosunki z Mospheirą.

- Nadiin, Traktat nigdy nie był dla nas ani dla Mospheiry ważniejszy  
niż teraz. Doświadczenie uczy, jak możemy łagodzić efekty zmian: historia  
mówi, że w ostatecznym rozrachunku atevi skorzystają na tym wydarzeniu, a  
osoby chcące dokładnie - podkreśliłam słowo „dokładnie” - zbadać możliwości in-  
westowania, powinny bardzo dobrze radzić sobie w przemyśle. Nauki kosmiczne  
nie są w Shejidan nowością. Wiele firm już zajmuje ważne pozycje w przemyśle,  
łączności i handlu ery kosmicznej.

Mam także wiadomość dla tysięcy dzieci, które napisały do paidhiego,  
pytając, czy na ziemię znowu przylecą maszyny albo czy stacja zacznie strze-  
lać do nich i ich rodziców. Odpowiadam, że nie, maszyny nie przylecą. Nikt  
nie będzie do nikogo strzelał. Tabini-aiji, kapitan statku i prezydent  
Mospheiry rozmawiają ze sobą przez radio o tym, jak naprawić stację kos-  
miczną, żeby znów można tam było mieszkać - mam nadzieję, że kiedy dorośnie-  
cie, niektóre z was właśnie tam zamieszkają. Rozmawiałem z człowiekiem ze  
statku, który już bardzo niedługo przybędzie do Bu-javid jako paidhi dla  
statku i atevich. Jest to młody mężczyzna, bardzo miły i grzeczny. Chce on  
pomóc atevim i ludziom zbudować statek, który będzie latał tam i z powrotem  
do stacji, prawie tak jak zwykły samolot. Być może już wkrótce zobaczycie  
tego drugiego paidhiego w telewizji. Jest nauczycielem, tak jak wasi nauczy-  
ciele w szkole, i przybędzie tu, żeby poznać atevich i opowiedzieć o was  
swoim towarzyszom.

Zapytajcie waszych rodziców i nauczycieli o to, jak mieszka się w kos-  
mosie i o to, co byście zrobiły, gdybyście tam mieszkały i codziennie pa-  
trzyły na świat z wysokości o wiele większej niż ta, na której lata samolot.  
Być może nie będę mógł odpowiedzieć na wszystkie listy, które mi przysyłacie,  
ale bardzo wam dziękuję za to, że do mnie piszecie i pytacie, nadiin-sai,  
bardzo wam dziękuję za wasze pytania.

Zaczerpnął głęboko tchu. I pomyślał: Boże, miej nas w opiece. Od czego  
zacząć? Czy oglądają w telewizji coś innego niż inwazje i bitwy?

Zwrócił się do reporterów:

- Nadiin, proszę was, żebyście zachęcili kierownictwo waszych stacji do  
starannego przemyślenia kwestii tego, co pokazuje się dzieciom w telewizji,  
przynajmniej do czasu otrzymania lepszych wiadomości. Paidhi prosi o to z  
własnej inicjatywy.

- Bren-paidhi, co to za wiadomość o jakimś drugim paidhim?

- Właściwie jest ich dwoje: mężczyzna, który przybędzie do Shejidan i  
kobieta, która poleci na Mospheirę. Każde z nich zostało zaproszone, każde  
chce zapewnić statkowi dobre stosunki z planetą. Tak jak powiedziałem dzie-  
ciom, nasza rozmowa była przyjemna, pouczająca i dotyczyła dobra zarówno  
ludzi, jak atevich. W tej chwili nie mają innego sposobu dotarcia na planetę,  
jak posłużyć się żaglami-kwiatami, których używali nasi przodkowie. Pozostały  
tylko dwa takie pojazdy i oboje paidhiin przybędą w jednym z nich - już za  
pięć dni. Moim zdaniem to bardzo niebezpieczne, ale może ludzie ze statku  
uważają, że uda im się zmniejszyć niebezpieczeństwo.

- Paidhi-ji, gdzie oni wylądują?

- Tego jeszcze nie ustalano. Wylądują jednak na oficjalne zaproszenie i  
podkreśliłam, że ląduje tylko dwoje ludzi, w bardzo kruchym, niezdolnym do  
nawigacji pojeździe, i znajdują się oni tu na prośbę aijiego, przestrzegając  
wszystkich grzeczności i uznając własność oraz władzę. W tej chwili nie mogę  
wam powiedzieć nic więcej. Dziękuję za pytania i jeżeli stwierdzicie, że coś  
odbiega od tego, co wam powiedziałem, proszę, żebyście zwołali następną kon-  
ferencję. Gdy tylko spotkam się z tymi ludźmi, co, mam nadzieję, nastąpi  
szybko, zorganizuję oficjalną konferencję prasową. Dziękuję.

- Paidhi-ma - powiedział któryś z reporterów, a kilku się ukloniło, tak jak robi się to w obecności osoby wysokiej rangi i godnej szacunku, czego paidhi zupełnie się nie spodziewał; pomyślał więc, że przynajmniej trafił im do przekonania, może zaspokoił ciekawość i może złagodził obawy. Nie wiedział niczego na pewno. Zareagował jednak równie uprzejmie i miał poczucie, że na razie udało mu się wykaraskać.

Wymigał się od pierwszego pytania, tego, które groziło katastrofą - dzięki Bogu, że nikt nie zapytał, jak daleką przebyli drogę?

W końcu ktoś jednak zapytał, dołączając do pana Geigiego. A ponieważ nawet ateuskie dzieci liczą w pamięci bardzo, ale to bardzo szybko, to kiedy już padnie to pytanie, nie będzie jak powstrzymać następnych, jako że przeciętni atevi nie bardzo pojmują szerszy wszechświat.

Szczególnie, kiedy przeciętni atevi dowiedzą się, że liczby dotyczące tego szerszego wszechświata mają wpływ na ich życie. Niech no tylko wyznawcy liczb dostaną owe liczby w swoje ręce.

Było już późno, po kolacji zjedzonej w towarzystwie wyłącznie służących, a Bren wciąż podpisywał i pieczętował karty. Wreszcie doszedł do tych przeznaczonych dla służących, które zaczęły uroczyście przychodzić piątkami po jego oficjalne podziękowanie.

Wydawało się, że wieczór jest odpowiednią do tego porą - potem, powiedział sobie w duchu Bren, będzie tak zajęty spotkaniami i przygotowaniami, że nie znajdzie czasu na to, by odetchnąć. Chciał podziękować personelowi.

Dostał notatkę od Hanks: „Otrzymałam wiadomość. Wysłałam dane na Mospheirę i ufam, że telefony nadal będą działały, przynajmniej po tej stronie”.

Dostał też notkę od starszego dżentelmena z klanu Tano: „Dałeś mi drugie życie oraz szansę zarobienia na nie, nand' paidhi. Mam nadzieję zawsze ci dobrze służyć”.

I od Ilisidi: „Kwiaty są rozkoszne, ale o poranku nic nie zastąpi obecności młodego człowieka w moim apartamencie”.

Kolejna wiadomość - miał nadzieję, że to może telegram od matki - była to jednak następna prośba Barb: „Bren, zadzwoń, proszę. Mam nowy numer: 1-6980-29-82”.

Wypił jeszcze jedną filiżankę herbaty, podpisując ostatnie karty, przyczepiając wstążki i przystawiając pieczęć z pomocą miłej starszej służącej, której już dał kartę w uznaniu zasług przy tej pracy.

Siedział, podpisywał i pieczętował, a Lami-ji, bo tak miała na imię służąca, przytrzymywała mu karty, gdyż drugą rękę miał unieruchomioną; Bren w końcu przekazał ostatnie podziękowania młodszemu służącemu, które dały wyraz ogromnemu zadowoleniu.

Było dobrze, więcej niż przyjemnie wyrażać wdzięczność uczciwym osobom, które bardzo na nią zasłużyły.

Odpowiedział wdowie: „Przyjmij, proszę, mój zamiar przyjscia na śniadanie piętnastego, co będę uważał za nagrodę za długi okres wyczerpującej pracy. Chciałbym przychodzić codziennie, lecz moje dni obfitują w telefony i nieprzewidziane wydarzenia. Rezerwuję sobie piętnasty z mocnym postanowieniem, że nie dam się pozbawić przyjemności, jaką znajduję w twoim towarzystwie”.

- Czy nie jest to zbyt śmiałe? - zapytał Tano, swego arbitra protokołu. - Powiedz Cenediemu, żeby przeczytał i odesłał, jeśli nie przyjmie tego dobrze. Człowiek nie wie, jak daleko może się posunąć z wdową. Bardzo ją jednak szanuję.

Odpowiedziała sama Ilisidi: „Jeśli nie będziemy ostrożniejsi, to wywołamy plotki, nand' paidhi. Przyjdź wcześniej piętnastego. Obejrzyj ze mną świt. Dajmy powód do zmartwienia tej starej, wścibskiej kobiecie z sąsiedniego balkonu. Wiem, że podejrzewa najgorsze”.

Człowiek mógł szczerze wielbić tę starą rozpustnicę.

Lecz w świecie nie mającym związku z kapryсами ateńskiej damy człowiek musiał się martwić matką, która nie odbierała telefonów, nie odpowiadała na telegramy, nie reagowała na wiadomości zostawiane w ogólnowyspowym systemie telefonicznym i od czasu, kiedy zostawił jej wiadomość, nie kontaktowała się z Tobym.

A jeśli się skontaktowała, to Toby nie uznał za stosowne do niego zadzwonić. Bren zasadniczo spodziewał się po nim czegoś lepszego.

Wrócił do gabinetu pani Damiri i zadzwonił pod numer matki. Tak jak się spodziewał, usłyszał to samo nagranie.

Potem zadzwonił pod czynny po godzinach, awaryjny numer w departamencie stanu. Słuchawkę podniósł młodszy asystent, który na jego pytanie o groźby pod adresem jego rodziny, a szczególnie matki, odpowiedział:

- Naprawdę nie wiem, sir. Chyba nie słyszałem o żadnych problemach. Nie mam upoważnienia do wezwania policji, sir. Podam panu ich numer. - Dał się słyszeć szelest papieru.

- Mam ich numer. Proszę mnie przełączyć do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. - Bren przysiągł sobie, że jeśli przeżyje wystarczająco długo na swoim stanowisku, to zmieni procedury w departamencie. Słuchał trzasków na linii, po czym odezwał się kolejny młodszy asystent:

- To numer awaryjny.

- Zdam sobie z tego sprawę. Dzwonię z Shejidan. Mówi wyższy urzędnik departamentu stanu. Chcę poinformować pana o zagrożeniu bezpieczeństwa.

- Mogę jeszcze raz prosić o pańskie nazwisko, sir?

- Bren Cameron. Z Shejidan. - Im bardziej był wściekły, tym spokojniej mówił. - Mówi paidhi. Chcę, żeby zadzwonił pan do jakiegoś oficera. Chcę, żeby pan sprawdził...

- Chwileczkę, sir. Potrzebny mi formularz. Czy to skarga czy...?

Bren był dyplomata. Rozumiał, co to są formularze i raporty. Nie miał zwyczaju kończyć rozmowy z oszołomionymi asystentami przez rzućenie słuchawki.

- Jak pan ma na imię?

- Jim.

- Posłuchaj, Jim, chcę, żebyś połączył mnie z Sonją Podesty. Natychmiast.

- Pani Podesty jest w domu, sir.

- Wiem, że pani Podesty jest w domu. Chcę, żebyś w tej chwili zadzwonił do pani Podesty i przełączył mnie do niej. Jeśli zostaniemy rozłączeni, masz wypełnić raport o anonimowych telefonach z pogrózkami do mojej rodziny, konkretnie do mojej matki, a możliwe, że do mojego brata, pani Barbary Letterman i pana Paula Saarinsona.

- Jak się pisze „Saarinson”, sir?

- Domyśl się. Zadzwon do Podesty.

- Tak jest, sir. - Sygnał. Jeszcze jeden. Automatyczna sekretarka Podesty. Bren powtórzył nazwiska i wiadomość, po czym połączenie z ABN zostało przerwane.

Pomyślał, czyby nie zadzwonić na policję, co wplątałoby jeszcze jedną instytucję w coś, co nie potrzebowało rozgłosu. I tak już przeholował. Nie był pewien, czy rzeczywiście miały miejsce jakieś pogróżki. Nie był pewien żadnych swoich podejrzeń, ale to wcale nie poprawiało mu samopoczucia.

Zadzwonił do Toby'ego na północne wybrzeże, ale automat brata poinformował Brena, że Toby jest nieosiągalny. Słyszał w słuchawce charakterystyczne trzaski, świadczące o tym, że ewentualne przerwy są rzeczywistej, a nie politycznej natury, oraz że telefony, założone już dawno temu i nie będące najnowocześniejszymi z udogodnień Shejidan, mogą wysiać przynajmniej na jakiś czas z powodu pogody.

Paidhi, mając napięty plan spotkań, wywiadów i posiedzeń, nie miał zbyt wielkiego szczęścia z telefonowaniem do krewnych i instytucji w porach, kiedy ludzie są w domu albo kiedy urzędnicy, którzy mogą coś zrobić, w ogóle

pracują. Na Mospheirze krytyczna sytuacja oznaczała zwykle pijanych studentów. Przestępcami byli głównie złodziejaskowie, oszuści karciani i strony zamieszane w rozwód; szalonymi fanatykami - ustawodawcy i przewodniczący komisji, którzy zazwyczaj utrzymywali swoich podwładnych w ryzach.

Choć czasami zdarzał się jakiś ścichapek, usiłujący wysadzić garaż jakiegoś polityka za pomocą bomby domowej roboty. Z umiarkowanym, a czasem niebezpiecznym skutkiem.

Zostały mu numery oficjalnych telefonów. Był też jeden prywatny numer do kogoś, kto rzeczywiście powinien wiedzieć, co się dzieje, kto przynajmniej mógłby pojechać autobusem na drugi koniec miasta i sprawdzić - jeśli Bren naprawdę chciałby skontaktować się z kimś, na kim mógłby polegać i gdyby chciał zapłacić cenę za taką informację.

Podał telefoniście numer. Przeczekał, aż sygnał pokona kolejne łącza. Przeczekał dzwonki. Sześć dzwonek.

- Słucham? - powiedziała Barb, a jego serce, błędnie przekonane, że sprawy mają się inaczej, podskoczyło i pękło.

- Cześć, Barb. Jak się masz? Gratulacje.

- Bren, tak się cieszę, że dzwonisz. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie wściekły.

- Nie... - Może nie była to najbardziej pochlebna, najbardziej prawdziwa rzecz, jaką mógł powiedzieć. - Paul to sympatyczny facet. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Żałuję, że nie byłem na ślubie. Wszystkiego najlepszego.

- Bren, ja... naprawdę chcę porozmawiać. Nigdy nie mogłem, nie mogliśmy porozmawiać.

- No tak, owszem, wiem. Charakter pracy, Barb, nigdy nie udawałem, że jest inna.

- Bren... Bren, to nie tak, to znaczy, Bren, nie wiem, nie jestem pewna, po prostu niczego już nie jestem pewna.

- Chyba trochę na to za późno, nie uważasz?

- Chcę, żebyśmy się spotkali - to znaczy, kiedy wrócisz. Bren, ja muszę wszystko przemyśleć. Jest tyle spraw, z którymi muszę się uporać.

- Nie ma sensu o tym mówić, Barb. Nie ma powrotu. Nic się nie da z tym zrobić. Statek niczego nie zmienia. Nic się nie zmieni. Podjęłaś decyzję. - Pojawiła się nieproszona gorycz i Bren szybko ją stłumił. - I wcale nie dlatego dzwonię, Barb. Nie mam żadnych wiadomości od matki. Zastanawiam się, czy może jesteś z nią w kontakcie?

Cisza była dłuższa, niż się spodziewał - to taki chwyt Barb, kiedy była niezadowolona. A potem usłyszał słowa wypowiedziane w jej najczystszy styl, pogodnie i lekko:

- Dzwoniłam do niej parę dni temu. Dobrze się czuła.

- Udało ci się dodzwonić?

- Tak...

- Toby mówił, że matka dostaje dziwne telefony. Ja wciąż odsłuchuję nagranie telekomunikacji. Nie chciałem cię o to prosić. Wiem, że ci się narzucam, ale może mogłabyś zadzwonić do niej dzisiaj wieczorem, a jeśli ci się nie uda, to mogłabyś do niej pojechać i sprawdzić, co się dzieje?

Następna długa chwila milczenia.

- Chyba tak.

- Barb, bądź ze mną szczerą. Działam na ślepo. Nie mogę się dodzwonić. Czy jest jakiś problem?

Trzecia z tych przerw w rozmowie. Przerw, o których wiedział, że ma je odczytać, zareagować na nie, a potem błagać ją, żeby mu powiedziała, o co chodzi. Cholera, przecież właśnie ją zapytał. Nie przerywał ciszy, zaczynając widzieć ją w zupełnie innym świetle niż dotąd, z każdą sekundą czując coraz większy niesmak.

- A czego się spodziewasz?! - rzekła po chwili ostro Barb: faza numer dwa, atak emocjonalny. - Możesz sobie robić, co chcesz, możesz chodzić tam,

gdzie nie spotykasz ludzi, którzy zaczepiają cię w sklepie spożywczym albo wystają przed twoim mieszkaniem, telefonują do ciebie i zostawiają ci wiadomości; bo to my jesteśmy w publicznej książce telefonicznej, a do ciebie nie mogą się dodzwonić!

- Czy to się właśnie dzieje?

- Owszem, to się dzieje - odparła Barb. Słyszał w jej głosie gniew i oskarżenie. - Dzieje się i zawsze się działo. A ja się boję, Bren. Naprawdę się boję.

- To się przytrafia i mnie, Barb. Dostaję pocztę. Kiedy jestem w domu, mam telefony. Gdzie tu różnica?

- Ty tam sobie rozmawiasz z legislaturą i statkiem, a my tu odbieramy telefony od ludzi, którzy zwalają winę na nas, bo jesteśmy jedynymi osobami, do których mogą dotrzeć, i to się staje przerażające, Bren. Jest taki facet, który dzwoni do mnie do pracy; zmieniłam numer domowy, ale nie mogę zmienić numeru służbowego. Jest mnóstwo ludzi, którzy są naprawdę przestraszeni i naprawdę wściekli, którzy myślą, że chcesz ich zdradzić, Bren, oni nie rozumieją, co robisz.

- Zdradzić ich. - Boże, ile wie Mospheira? - Co to znaczy, „zdradzić ich“?

- Statek zawsze faworyzował atevich, kiedy chcieliśmy wylądować, zawsze wytaczali ten swój argument o ochronie planety, a teraz mogą pertraktować z atevimi o to, co im potrzebne i nawet nie muszą kontaktować się z nami.

- To szaleństwo.

- Tak mówią ludzie, Bren.

- Pieprzyć ich gadanie. Kto mówi? Co to za bzdury?

- Ludzie udzielający wywiadów w wiadomościach, Bruno Previn...

- Bruno Previn, na litość boską, którego ty programu słuchasz?

- On występuje teraz w normalnych wiadomościach.

- To świr.

- Ciągłe udziela wywiadów. Ma własne zdanie. Bruno Previn, Dorothy Durer-Dakan, S. Brandt-Topes...

Człowiek zaczynał rozumieć.

- Gaylord Hanks?

- On też. Żąda wszczęcia dochodzenia, dlaczego zostałeś odesłany, kiedy zagrozili jego córce i dlaczego ona nie wróciła.

- Zadzwoń do niego w moim imieniu i powiedz mu, że rodzina powinna dziś dostać telefon od Deany, ale jeżeli nie zadzwoni, to niech się nie martwią.

Nic jej nie jest. Jadłem z nią obiad i ona wciąż jest jego córką.

- Bren... nie podoba mi się to.

- Rozmawiałaś z moją matką?

- Do diabła z twoją matką! Posłuchaj mnie, Bren...

- Czy z nią rozmawiałaś, do cholery?!

- Nie bezpośrednio, ale możesz zadzwonić do administratora budynku.

Właśnie w ten sposób ja się z nią skontaktowałam.

O tym nie pomyślał.

- Masz jego numer?

- Chwileczkę. 1-5687-38-48.

Pisał ze słuchawką wciśniętą między piankową skorupę i własny policzek, usiłując stawiać czytelne cyfry.

- Dziękuję, Barb.

- Jasne.

- Barb, mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa, naprawdę.

- Bren... ja wciąż chcę z tobą porozmawiać. Chcę się z tobą zobaczyć, jak wrócisz. Chcę... nie wiem.

- Lepiej nie. Lepiej nie, Barb.

- Chyba zrobiłam błąd. Chyba zrobiłam straszny błąd.



- Barb, ja nie wracam. Rozumiesz? Nie wrócimy do tego, co było między nami. To niemożliwe. To nie twoja wina, ani moja, i nie da się tego naprawić. Świat się zmienił i zmieniła się Mospheira. Po prostu tak już jest.

- Ja go chyba nie kocham.

- Powinnaś była o tym pomyśleć przedtem. Nie mogę ci pomóc. Nie mogę być dla ciebie odpowiedzią, Barb, przykro mi. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł być dla ciebie odpowiedzią. Nigdy tego nie obiecywałem.

- Do cholery, Bren!

- Wiem, Barb, wiem, ale nie mogę zrobić nic więcej niż to, co zrobiłem. To nie moja wina, ani twoja, tak po prostu jest i koniec.

Nie odpowiedziała. Nie miał już nic do powiedzenia. W końcu dodał:

- Przykro mi, Barb. Żałuję, że nie jest lepiej. Nie ponoszę jednak za to odpowiedzialności, do diabła! Nie mogę naprawiać twoich błędów, Barb, nigdy nie mogłem tego robić. Wiedziałaś, że tak będzie. No i wyszłaś za tego faceta, bądź dla niego sprawiedliwa.

Znów zapadło krótkie milczenie.

- Cholera - powiedziała po chwili. Przynajmniej to była Barb, jaką znał. Przynajmniej potrafiła o siebie zadbać.

Zawsze można na tym polegać. Samowystarczalność - to było u Barb zaletą - przeszła w samoobronę. Przeciwno niemu.

- Dobranoc, Barb.

- Dobranoc - odparła. I dodała: - Bren, zajrzę do twojej matki. Pojadę autobusem. W porządku?

- Dzięki, Barb.

Odłożył słuchawkę. W niewielkim gabinecie powiało samotnością, jakby odszedł ktoś, kto był tam razem z Brenem. Głupie uczucie. Był jednak wyczerpany, apatyczny, jakby wylądował na jakiejś obcej nie oznaczonej plaży, bez żadnych drogowskazów z napisem: „Tędy, Bren”.

Bez niczego, co chciałby zbadać.

Grzmot dudnił nad dachami ciągłym niezadowoleniem. Bren wyszedł z gabinetu i oznajmił służącej, że paidhi życzy sobie...

Nie herbaty. Drinka. Służąca pośpiesznie mu go przyniosła, shi-bei, ciemny i gorzki, ale bezpieczny dla niego. Służąca - nazywała się Caminidi - uczył się ich imion po kolei i nigdy nie zapominał o nie zapytać - była jedną z osób znajdujących się zwykle w okolicy gabinetu, tych, dzięki którym w mgnieniu oka znikały puste dzbanki i okruszki z obrusa. Zupełnie jak czarodziejskie zamki w bajkach. Tak po prostu było. Rzeczy po prostu pojawiały się i znikały. Były drzwi i korytarze nieco mniej ozdobne niż te używane przez mieszkańców apartamentu, trasy, po których kursowała Caminidi i jej podobne - goście jednak nimi nie chodzili, nie, to niestosowne.

Atewskie wychowanie. Atewskie zwyczaje. Atevi nie atakują osób znajdujących się w stanie emocjonalnej huśtawki. Chyba że chcą ponieść tego konsekwencje. Ze szklaneczką w dłoni przeszedł do o wiele przyjemniejszego pokoju śniadaniowego - znikąd pojawiła się służąca i zaczęła zapalać światła, ale pozbawiony możliwości poruszania drugą ręką, którą mógłby dać znak, powiedział:

- Nie, nadi, człowiek cieszy się burzą.

Miał robotę. Jutro miał lecieć - normalnie już by się pakował, ale to była jednodniowa wyprawa, tam i z powrotem. Powinien przeczytać sprawozdanie komisji przemysłu, odpowiadające na jego pytanie o firmy wytwarzające komponenty z długiej listy, o którą Jase Graham na pewno od razu zapyta.

Człowiek nie chciał wyposażyć w narzędzia oraz wyszkolić robotników do zrobienia jednorazowego wysiłku. Jeśli paidhi dopnie swego, to tak nie będzie. Ci obcy z kosmosu nie dostaną połączanego pojazdu z obsługą serwująca drinki do kolacji, który jednym skokiem znajdzie się w przestrzeni międzygwiazdowej, nawet jeśli mają coś takiego w swoich planach. Dostaną niezawodne urządzenie bez żadnych fajerwerków, dobrze wpasowane w gospodarkę atevich. Konia roboczego. Wynieść na orbitę ładunek, wynieść pasażerów i sprowadzić go

na dół bez żadnej ekstrawagancji w rozwoju przemysłowym. Jeśli będą potrzebne egzotyczne materiały wyprodukowane w kosmosie, to cholernie dobrze byłoby się postarać, żeby atevi znaleźli się na stacji i je wytwarzali - żadnych zależności, żadnego technicznego łańcucha pokarmowego z ludźmi na szczycie i atevimi na dole.

Nie za kadencji tego paidhiego.

Żałował tylko, że nie ma lepszego wykształcenia inżynierskiego. Musiał zjednać sobie tak atevich, jak ludzi, którzy je mają, i zadawać odpowiednie pytania oraz otrzymywać uczciwe odpowiedzi od osób, które nie mają nic do zyskania ani politycznie, ani prywatnie.

To znaczy od osób, które mają autentyczną wiedzę.

Oznaczało to też o wiele więcej lotów, skoro bariery najwyraźniej zostały już obalone i paidhi po raz pierwszy w historii miał pozwolenie na poruszanie się po całym kontynencie, zamiast otrzymywać informacje w Shejidan, siedząc za murami Bu-javid.

Nie zapowiadało się na to, że takie życie pozwoli mu często odwiedzać Mospheirę. Jeśli nie będzie go w Shejidan, to być może będzie musiał być Bóg wie gdzie i przeglądać tam dane produkcyjne fabryk czy rozmawiać z ich dyrektorami i robotnikami.

Powiedział Barb, do cholery, powiedział jej od razu na początku, że nie powinna niczego budować i planować na podstawie jego rozkładu odwiedzin; teraz ona spodziewa się, że Bren przyleci, będzie zabiegał o cudzą żonę, po czym odleci, a ona wróci na przedmieście do męża - jeśli Barb spodziewa się od Brena cekinów, atlasu i nocnych klubów co parę miesięcy, a wyszła za mąż za nudnego, zwariowanego na punkcie komputerów Paula, ponieważ jest bogaty, a przy okazji tak zatopiony w swoim światku, że niczego nie zauważy albo nie będzie go to obchodziło...

Nie ma mowy, Barb.

Wrócił niepokój. Zanim Bren zorientował się, co się dzieje, poczuł gniew, lecz po chwili uznał, że niesłusznie. Barb dała mu całe lata czekania; nie obchodziło go, a raczej nie pytał z kim jeszcze spędza swój czas - to nie był jego interes. Może nawet z Paulem, chociaż nie sądził. Może powinien zapytać, jak długo to trwało?

Na pewno jednak nie wpadnie na chwilę do miasta i nie prześpi się z żoną Paula. Nawet jeśli nie wchodzi jeszcze w rachubę dzieci, to pewnego dnia mogą się pojawić; w najlepszym wypadku Paul będzie musiał stawić czoło plotkom, na pewno ludzie się dowiedzą albo dowie się sam Paul, a łatwo go zranić, co oczywiste u człowieka z przerostem intelektu i nie mającego nikogo, z kim mógłby od czasu do czasu porozmawiać...

Boże, czy to nie brzmi znajomo?

Ale on, dzięki Bogu, nie jest Paulem. Na razie.

Może wcale nie chciał prowadzić prawdziwego życia z Barb? Nie był pewien i raczej się o tym nie przekona; chociaż na tyle tęsknił za samą koncepcją Barb, że ścisnęło go w gardle i czuł wielki - wielki! - gniew, powiedziała mu na początku, że małżeństwo i unormowane życie to nie dla niej, a jeżeli coś się zmieniło, to, do cholery, przynajmniej mogła go poinformować.

Nie pozostało mu więc nic innego, jak przeprowadzić ciekawe porównania tego, co według niego powinno się czuć po zerwaniu, z chłodniejszymi, bardziej analitycznymi emocjami, których doświadczał, kiedy nie rozmawiał z Barb przez telefon.

To dziwne, że dopóki z nią rozmawiał, uczucia po prostu były, i to na krawędzi wymknięcia się spod kontroli - emocje przeszkadzały w normalnym porozumieniu się; a kiedy tylko miał chwilę, żeby się uspokoić, znów otoczył go świat atevich, widoki, zapachy, dźwięki jego drugiej rzeczywistości. Świat Barb znów stawał się coraz bledszy, bezpiecznie bledszy i odleglejszy.

Bren przypuszczał, że częściowo chodziło tu o to, że zainwestował w Barb - zainwestował energię, czas i młodość. No i w pewien sposób niewinność. W Malguri, zaledwie przed tygodniem, kiedy bał się, że umrze, okazało się, że

tak się oddalił od ludzkości, że nie potrafił wzbudzić w sobie żalu za ludźmi, których miały opuścić...

I nie mógł go wzbudzić teraz. Wtedy go to przeraziło. Teraz - teraz może tak naprawdę bał się tego, że przy całym swoim zaangażowaniu nie miał już czasu, żeby związać się z kimś innym, nie miał już poczucia miłości, cokolwiek by to znaczyło - tkwiąc w punkcie styczności atevich i ludzi nie wiedział, co czują normalni ludzie, którzy nie muszą analizować swoich uczuć, myśli, pragnień i czynów. On jednak je analizował. Stał się jakimś cholernym chodzącym laboratorium emocji.

A może, jeśli zatopić miłość w masie akrylowej i ustawić ją na półce, to nie będzie tak kolorowa, żywa i atrakcyjna jak wtedy, gdy trzepotała nad górskimi łąkami. Może próby zrozumienia, opisanie i sklasyfikowania po prostu ją zabijają.

Ludzie fatalnie funkcjonują. Przynajmniej ci, których zna. Jego matka. Barb. Toby. Można powiedzieć, że paidhiin mieli generalnie kłopoty w życiu osobistym. Przecież przez ostatnie lata na stanowisku Wilson był wyschniętym, rozregulowanym, wypalonym człowiekiem, skupionym tylko na jednym. Kiedy zmarł jego aiji, on praktycznie poszedł w jego ślady. Mówiło się mu „dzień dobry”, a jego oczy nie reagowały. Wcale nie chodziło o atewski styl. Były martwe.

Co więc trzeba zrobić, kiedy ludzka część własnego życia zaczyna ulegać atrofii z braku praktyki? „Dzień dobry, mam, cześć, Toby, przykro mi z powodu tych telefonów, przykro mi, że nie możecie pójść do sklepu, żeby ktoś was nie zaczepiał, przepraszam was za to wszystko, niczego stąd nie mogę zrobić - nie wiem, co to znaczy pójść do sklepu i kupić bochenek chleba czy złąpać autobus jadący do biura. Nie wyobrażam sobie odprowadzania dzieci do szkoły, rodzinnych wycieczek rowerowych, rodzinnych wakacji”.

Chciałby, żeby mama przeprowadziła się na północne wybrzeże, do o wiele mniejszego, mniej politycznego środowiska. Ostatnio jednak nie można było zmusić matki do zrobienia czegokolwiek nowego i człowiek przypuszczał, że Toby wyprowadził się nad morze po to, żeby rozdzielić mamusię i żonę.

Wiatr pryskający deszczem na szyby gwałtownie zmienił kierunek. Bren stał w ciemności ze szklaneczką w dłoni w świeżo zapadłej ciszy. Zasłony wydymały się wokół niego - biała mgiełka w ciemności - dotykały go i prawie owijały.

Wspomnienie z dzieciństwa. Salon. Wiatr od morza. Mama i tata w sypialni. Kiedy życie było doskonałe.

Zamknął drzwi balkonowe i draperie obwisły.

Powietrze było nieruchome. W całym apartamencie panowała cisza, słychać było tylko kroki służących - kiedy czegoś potrzebował, zawsze ktoś był pod ręką. Kiedy o coś prosił, służące natychmiast spełniały jego życzenie. Ale ta cisza - ten spokój panujący w apartamencie go przytłaczał.

Wrócił do swego pokoju i znalazł torbę podróżną, żeby spakować kilka drobiazgów na wyjazd do obserwatorium - służące krażyły w pobliżu, żeby w razie czego pomóc, ale Bren poradził sobie sam.

Po raz pierwszy od wylądowania w Shejidan miał okazję usiąść na łóżku i przejrzeć zalecenia lekarza.

- Cholera! - powiedział. I zawołał, wcale nie łagodnie, żądając nożyczek.

- Nadi? - zapytała niepewnie służąca. W tej chwili nie potrafił jednak stawić czoła delikatnym twarzom i delikatnej niepewności.

- Przynieś mi te cholerne nożyczki, dobrze?!

Wtedy rozszłościł się na samego siebie i na świat w ogóle, ponieważ podniósł głos na służącą, więc kiedy przybiegła z powrotem, przeprosił ją - przeprosił i wsunął ostrze nożyczki do dziury na kciuk w piankowej skorupie, po czym zaczął pracować ciąć warstwy bandaży.

Przy okazji skaleczył się w przegub.

- Nadi! - powiedziała od drzwi Jago, najwyraźniej chcąc go powstrzymać, ale Bren nie chciał zostać powstrzymany. Nie zamierzał o tym dyskutować. Ciął bandaż ostrzem wsuniętym pod piankę i ani myślał przestać, mimo cholernych i życzliwych protestów Jago.

Jago jednak podeszła i chwyciła go za rękę, czego nie śmiały zrobić służące.

To naprawdę powinno być historycznie śmieszne - wszystkie te męki, przez które przeszedł, skoro wolność przyniosłoby mu samo przeczytanie zaleceń: „dla ochrony miejsca zrastania się kości - podczas lotu”, i dalej: „ważne dla utrzymania dobrego krążenia” i „umiarkowane ćwiczenia poprzez zginanie i umiarkowaną aktywność”.

Jago usiłowała odebrać mu nożyczki, jakby myślała, że paidhi całkowicie postradał zmysły. Może tak było; Jago jednak nie użyła dość siły, by rozgiąć mu palce, a on z trudem oddychał i niczego nie chciał wyjaśniać. Ucisk wokół żeber irytował go i przyprawiał o klaustrofobiczną frustrację - paidhi wcale nad sobą nie panował, nie zachowywał się zgodnie z logiką, w tej chwili zupełnie sobie nie radził z atewsko-ludzkim punktem styczności i nie chciał, żeby z cholernie racjonalnym spokojem Jago udało się go przekonać, żeby zakała i z kimś się skonsultował.

- Wiem, co robię - udało mu się wykrztusić. - Wiem, co robię, do cholery, Jago.

- Czy czujesz ból, Bren-ji?

I to jaki, do diabła. Przy każdym oddechu. Przy każdym ruchu. Taśma się wrzyna, ramię jest unieruchomione pod piekielnym kątem, którego nie może zmienić od kilku dni, a ten cholerny departament wypycha go na kontynent ze zbyt mocnymi środkami znieczulającymi i instrukcjami od jakiegoś cholernego durnia, który nie powiedział mu, żeby przeczytał te cholerne zalecenia...

Nie wygrywał w szamotaninie z Jago, ale też i nie przegrywał. Jago ryzykowała palce, jego wysiłki prowadziły donikąd, a Jago, nie powstrzymana w swoim zrównoważonym, upartym rozsądku, nie puszczała.

- To ma być zdjęte - powiedział, odzyskawszy nieco jasności myślenia.

- Bardzo dobrze, Bren-ji, ale może powinien to zrobić lekarz.

- Nie potrzeba mi lekarza. Powinienem zdjąć to cholerstwo dawno temu, Jago, nie chcę żadnego lekarza.

- Jesteś zupełnie pewien, nadi?

- Nie jestem głupi, Jago. - Wszystko zdawało się temu przeczyć.

- Ateva o tym wie, Bren-ji, ale dlaczego teraz...

- Właśnie przeczytałem te cholerne zalecenia. Były w kopercie. Wszystko w porządku. Wszystko w porządku, Jago, pozwól mi być głupcem, dobrze?

- Możesz się zranić.

- Potrafię się posługiwać cholernymi nożyczkami. - Był świadom, że od drzwi wszystko obserwują służące i poczuł straszliwe skrępowanie. - Puść mnie, dobrze? Nic sobie nie zrobię.

Jago też zerknęła w tamtym kierunku.

- Wszystko w porządku, nadiin. Poradzę sobie. Zamknijcie drzwi, proszę.

Mogły mieć wątpliwości, czy paidhi będzie się zachowywał rozsądnie, ale zamknęły drzwi - po raz pierwszy od przybycia do Shejidan Bren znalazł się w takiej izolacji. Był tylko on, Jago i nożyczki, co przynajmniej nie stanowiło tłumy.

- Ja to zrobię - rzekła Jago, a kiedy się opierał, dodała: - Bren-ji, ja to zrobię. Rozetnę to. Tylko siedź spokojnie. Jesteś całkowicie pewien?

- Całkowicie. Do cholery, Jago, wszystko w porządku. Potrafię czytać!

- Ateva jest o tym przekonana, nand' paidhi. Proszę cię. Siedź spokojnie. Daj mi nożyczki.

Małe nożyczki - w dłoni Jago. Skaleczony przegub piekł. Jago oparła kolano na łóżku i przesunęła się tak, żeby móc wykonać proste cięcie z wierzchu dłoni Brena, a potem drobnymi ruchami przecięła skorupę aż do przedramienia.

- Powiedz, jeśli będzie za głęboko - poprosiła, a potem dodała: - Bren-ji, musimy się pozbyć koszuli.

Musieli. Rozpiął guziki, a Jago odłożyła nożyczki na nocny stolik i pomogła mu ją zdjąć.

- Taśma wokół żeber - powiedział. To było prawdziwie rozwścieczające ograniczenie.

- Chciałabym to zrobić w odpowiedniej kolejności, Bren-ji. Upewnijmy się. - Wyciągnęła z jakiegoś zakamarka swego munduru niewielki nóż sprężynowy, służący, jak podejrzewał Bren, do bardziej drastycznych działań, i delikatnie rozcięła taśmę nad skorupą.

Bren oprzytomniał na tyle, żeby powiedzieć, bardzo pokornie i bardzo cicho:

- Jest mi bardzo przykro.

- To nic trudnego. Jesteś jednak zupełnie pewien? Jeśli to zdejmujemy...

- Jestem zupełnie pewien. Byłem głupcem. Nie przeczytałem tego, co mi dali.

- Zatem możemy to zrobić z łatwością. Chyba mogę rozdzielić pancerz na górze. Zanim zaczniemy się martwić o żebra, upewnijmy się co do ramienia, nadi.

- Bardzo dobrze. - Ograniczył się do płytkich oddechów i siedział spokojnie. Jago cięła delikatnie wzdłuż powierzchni skorupy, zaczynając od dłoni i rozginając piankę między ostrzem noża i własną dłonią.

Puściło. Musiała posłużyć się nożyczkami, żeby przeciąć ostatni kawałek taśmy i uwolnić rękę Brena z elastycznego bandaża.

Pozbawione usztywnienia przedramię zabolalo; Bren widział na swoim przegubie fioletowe ślady atewskich palców i wciąż czerwone ślady sznurka, podczas gdy podobne znaki na drugim przegubie już zaczęły znikać.

Jago dotarła do zgięcia łokcia i powoli zbliżała się do otarcia na ramieniu.

Tu się zawahała.

- Jesteś zupełnie pewien, nadi?

- Jestem pewien. Bardziej niż pewien. Chcę się tego pozbyć.

Jago wsunęła palec pod piankę przy szyi Brena i ostrożnie rozerwała skorupę. Ramię dało o sobie znać i bolało coraz bardziej, w miarę pęknięcia pianki; Jago posuwała się w dół do łokcia i dotarła do przegubu, a Bren z całych sił starał się oddychać swobodnie i nie pokazać, że aż tak go boli - chciał mieć to już za sobą i zacisnął zęby, a Jago rozerwała piankę do miejsca, gdzie zaczynała się taśma opinająca żebra Brena.

- Nadi? - odezwała się Jago, wyjawszy z wnętrza skorupy - wzrok Brena był niezbyt skupiony - coś dziwnego, był to pognieciony, zwinięty, przeпоcony i kształtem przystosowany do ramienia Brena kawałek papieru. - Co to jest?

Właśnie, co to jest? Oparł łokieć na kolanie i wyrwał papier, może niezbyt grzecznie, z ręki swej własnej oddanej obrończyni. Była to zadrukowana kartka z nagłówkiem Biura Spraw Zagranicznych i krótkim tekstem:

„Zrób, co możesz. Będę cię popierał tak długo, jak długo mnie tu zostawia. HD siedzi mi na karku. Używam wszystkich moich wpływów, by przywrócić cię na stanowisko. Utrzymaj Traktat za wszelką cenę. Hasło awaryjne mojej linii: Trojanin 987865/UY”.

HD. Hampton Durant. Z podpisem Shawna. Ma kod dostępu.

Jago najwyraźniej zrozumiała, skąd jest ten papier i że nie tu jego miejsce. Brenowi trzęsła się ręka, ale w tej chwili było to tylko potwierdzenie - tylko poparcie tego, co już zrobił: on i Shawn zawsze nadawali na tych samych falach.

- Głupi dowcip - powiedział. - Personel. Moje biuro. Mam robić to, co już zrobiłem. Teraz niewiele warte. - Upuścił kartkę. - Zabierz się do tej cholernej taśmy, Jago-ji. Będę cię darzył nieustannym szacunkiem, jeśli tylko ją rozetniesz.

Odwrócił się, Jago przesunęła się i wsunęła czubek nożyczek pod krawędź taśmy na plecach Brena, tnąc ostrożnie. Pęknięty piankowy pancerz wciąż podtrzymywał rękę wysuniętą w bok i Bren oddychał coraz głębiej, w miarę, jak czuł, że taśma ustępuje po kilka centymetrów na raz, gdy Jago delikatnie odklejała mu ją od żeber.

- Pociągnij - powiedział, wiedząc, że to będzie bolało. - Po prostu pociągnij, do cholery.

Jago pociągnęła. Użyła swej atewskiej siły.

Za jednym zamachem naciągnęła powierzchnię skóry Brena i wyszarpnęła pancerz spod ręki, którą Bren oparł sobie na kolanie. Nie opadła tylko dlatego, że w chwili, gdy cała przekłęta konstrukcja się rozpadła, szybko chwycił za własny łokieć. Mięśnie od wielu dni zastygłe w niewygodnej pozycji, i staw, który był unieruchomiony od czasu zespolenia kości - wszystko to poruszyło się. Niedawno złamane żebra uniosły się przy odruchowym wdechu.

Brenowi wydawało się, że coś powiedział - nie był pewien, co; zwinął się na materacu, chroniąc łokieć, a przed oczyma miał jakieś plamy. W ustach czuł smak miedzi.

- Nadi? - zapytała Jago, wyraźnie przestraszona, że coś nie poszło zgodnie z drobiazgowym planem.

- Nie, nie, wszystko w porządku, Jago, tylko... ręka nie jest przyzwyczajona do ruchu.

- Ateva wciąż uważa...

- Nie! - powiedział gburowato i zapalczywie. Z całej siły trzymał się za łokieć, jakby chciał wepchnąć ból do środka, rozłożyć go, wyciągnąć z wrażliwych miejsc. - Żadnych cholernych lekarzy.

Pomyślał, że Jago sobie poszła. Nie chciał tak na nią warknąć. Naprawdę nie chciał. Leżał zwinięty w kłębek jakiś czas i w pewnej chwili wydało mu się, że wróciła. Natychmiast poczuł na ręce jakąś zimną maść - co mogło nie być najlepszym pomysłem w świetle niedawnego skaleczenia, szczególnie wzięwszy pod uwagę trujący charakter miejscowych leków, ale Bren nie miał już sił protestować i maść po chwili uśmierzyła ból - w końcu zdał sobie sprawę, że w pokoju znajdują się służące i, co było zupełnie nieprawdopodobne, że ktoś go podnosi. Jago podtrzymała go w pozycji siedzącej, w której trwał na tyle długo, żeby ramię przybrało nowy bolesny kształt, a służące pościeliły mu łóżko.

W tej chwili nie potrzebował sugestii Jago, żeby się położyć. Spoczął na brzuchu, starając się nie poruszać stawem, a gładka, mocna dłoń Jago wcierała maść w bolące miejsca. Smarowidło powodowało pieczenie na świeżych nacięciach, ale uśmierzało ból i Bren oddał całą rękę pod opiekę Jago, wtulił twarz w zgięcie drugiej ręki i wreszcie całkowicie się odprężył. Zamknął oczy, było mu po prostu wygodnie, po raz pierwszy od wielu dni nie odczuwał bólu ani niewygody. Osunął się w ciemny, bardzo ciemny dół.

Wtedy przygasały światła, ktoś przykrył mu ramiona, a coś ciężkiego przygniotło krawędź materaca. To Jago siedziała na podłodze, wsparta plecami o brzeg łóżka. Spała.

- Nadi - powiedział Bren i chciał wyciągnąć rękę, ale Jago natychmiast się obudziła, uniosła głowę i skrzywiła się, rozcierając sobie zesztyniały kark. - Powinnaś była się położyć.

- Ateva się martwiła, nadi.

Wyciągnął rękę, żeby poklepać Jago po ramieniu, ale zamiast tego niechcący trącił grzbietem dłoni jej policzek, czego Jago nie wzięła mu za złe i co doprowadziło do gestu bardziej poufalego, niż Bren zamierzał, oraz do bardziej poufalej reakcji Jago - jej ręki na jego dłoni.

- Jago-ji - powiedział, starając się przybrać żartobliwy ton - nie powinnaś. Bardzo bym nie chciał obrazić Banichiego.

- W czym?

Punkt styczności. Świadom niebezpieczeństwa sytuacji, spróbował się ocknąć, by uniknąć niewłaściwych słów. I kiedy tak pełen obaw usiłował zebrać

nieposłuszne myśli i ułożyć prośbę o powrót w sen, która nie brzmiałaby jak odprawa, palce Jago splotły się z palcami Brena, a wobec braku jakiegokolwiek reakcji z jego strony owinęły się wokół przegubu i powędrowały wzdłuż ręki na plecy.

Po czym Jago wstała, usiadła na brzegu łóżka, zdjęła ręcznik okrywający Brena i zaczęła wmasowywać kolejną porcję maści w jego plecy i złamaną rękę, co wystarczyło, by roztopić zmęczonemu człowiekowi kości i prawie wyłączyć jego niedawno czujny mózg.

Prawie wyłączyć. Gdy zelżał męczący ból, Bren oprzytomniał na tyle, żeby uświadomić sobie, iż reakcje Jago w ciągu ostatnich kilku dni nie były bezosobowe. Kiedy jej dłonie przesuwały się kojąco wzdłuż jego kręgosłupa, przypomniał sobie, że Banichi od początku żartował na temat ciekawości Jago.

Fakt, że osobiste stosunki Banichiego i Jago nigdy nie były dla niego jasne, że jest samotny i że intelektualna pokusa zrodzona w przedomózgowiu już na dobre zagnieździła się w tyłomózgowiu - wszystko to zaczynało mieć negatywny wpływ na procesy myślowe Brena.

- Jago-ji. Przestań, proszę. - Bał się ją obrazić, przetoczył się więc na plecy i oparł na zdrowym łokciu, by stworzyć kłamliwe wrażenie człowieka obudzonego i rozsądnego, miał jednak naprzeciwno siebie ogromny cień przesłaniający światło nocnej lampki, co nie pozwalało ludzkim oczom dostrzec wyrazu twarzy atevy - jeśli w takiej drażliwej chwili cokolwiek się na niej malowało. Spróbował dotknąć ramienia Jago, ale chore ramię nie chciało się unieść na odpowiednią wysokość i dość boleśnie opadło. - Jago, nadi, Banichi mogłyby chcieć mnie dopaść.

- Nie - odparła Jago jednym z tych swoich enigmatycznych „tak-nie”, które tak złościły ludzkie instynkty. Było jednak zupełnie jasne, że Jago wie, co robi.

- Ja tylko... Jago... - Był całkowicie przytomny. Nie wiedział, w jakiej rzeczywistości wylądował, ale był rozbudzony i przytomny.

- Nie trzeba nic mówić, Bren-ji. Wystarczy „nie”.

- Nie, nie wystarczy. Nie wystarczy, Jago.

- To wydaje się takie proste. Tak. Nie.

- Jago, jeśli to ciekawość, to proszę, nie mam nic przeciwko temu. Ale... - Oddychanie sprawiało mu trudność. Obolałe żebra. Mgła zasnuwająca mózg, i coś, co mówiło mu: Czemu nie? - Ale na pierwszy plan wysunęła się jednak osobowość negocjatora. - Jago, jeśli to coś więcej, to daj mi trochę czasu. Pozwól mi zrozumieć, o co prosisz. I co jest właściwe.

Jago przysiadła na piętach obok łóżka, oparłszy łokcie o materac. Zmarszczyła czoło, wydawało się jednak, że nie z gniewu, lecz ze zdumienia, w zamysleniu.

- niesprawiedliwe - oznajmiła w końcu.

- niesprawiedliwe?

- Słowa, słowa, słowa!

- Obraziłem cię.

- Nie. Zadajesz mi cholerne pytania. - Jago wstała jednym płynnym ruchem, niczym cień na tle blasku nocnej lampki, odwróciła się, sztywna i wyprostowana, i podeszła do drzwi. Warkocz jak zwykle leżał na jej plecach, tworząc idealnie prostą linię.

Zatrzymała się jednak i obejrzała na Brena.

- Nand' paidhi.

- Nadi? - Bardzo go zaniepokoił ten oficjalny ton.

- Ateva pyta... czy z Mospheiry zagraża niebezpieczeństwo?

- Dlaczego o to pytasz?

Nie odpowiedziała od razu. Jago była ciemnością. A kiedy otworzyła drzwi - sylwetką na tle oświetlonego korytarza.

- Jago? Dlaczego? Ten papier? Tam była tylko informacja, jak się skontaktować z moim biurem. Komu nie ufać.

Widział teraz tylko jej profil. Po chwili, kiedy się obejrzała, zobaczył ją en face.

- Czy Hanks-paidhi stanowi zagrożenie? - zapytała Jago.

- Zawsze - powiedział, ale dodał z obawy o życie Hanks: - ale nie takie, które wymagałoby twojego działania, Jago-ji. Zagrożenie abstrakcyjne. Rywalizacja polityczna.

- To też mogę naprawić, nand' paidhi - zauważyła Jago.

- Nie. - Przeraziła go. Sądził, że już straciła tę zdolność. W połączeniu jednak z nieobecnością Banichiego, nagłym zwrotem ich znajomości oraz atewskimi trudnościami z interpretacją ludzkich pragnień... - Nie, Jago.

Cisza. Jago nie odeszła jednak od drzwi.

- Wyglądasz ostatnio na bardzo zmęczonego, Bren-ji. Bardzo zmęczonego. Kiedy czytałeś list od Barb-daja, miałaś bardzo nieszczęśliwą minę.

Chciał zaprzeczyć. Taka wypowiedź ze strony Jago oznaczała jednak próbę szczerości. Nie było to wyłącznie służbowym stwierdzeniem.

- Mamy takie powiedzenie - powiedział. - Spalić za sobą mosty. W pewnym stopniu postąpiłem tak na Mospheirze.

- Odciać własną linę.

Można na to liczyć - zamieszanie i klęska przeplatały się zdumiewająco regularnie.

- Czy ta kobieta wiedziała, że zrobisz to, co zrobiłeś?

- Kto? Hanks? - Retoryczne pytanie.

- Barb-daja.

Zaślepienie. Jago jest zła na Barb, powiedział sobie Bren, bo Jago nie rozumie ludzkich związków, ludzkich reakcji - a nade wszystko nie rozumie, jak może się zachwiać lojalność. U niej było to niemożliwe. Jej lojalność była wrodzona. Niczym biologiczne okablowanie.

- Barb wciąż... - Nie istniało takie słowo. - Wciąż jest moja towarzyszką. Mężczyzna, za którego wyszła, jest towarzyszem. To dobrzy ludzie.

Jago nie dała się przekonać. Zauważył to po sztywności jej pleców. Braku mowy ciała. Stwierdził, że dobrze, iż Barb znajduje się na wyspie, a nie tu.

Jago - cień przy drzwiach - spojrzała na niego. Pomyślał znowu: dlaczego nie? Był nawet na wpół gotowy to powiedzieć.

Jednak drugą jego połową rządził zdrowy rozsądek.

- Jago. Darzę cię wielkim szacunkiem. Nie bądź na mnie zła.

- Ateva nie jest zła, nand' paidhi. Dobranoc.

- Jago. Jednak... może.

Druga chwila wahania. Tym razem Jago obejrzała się i światło nocnej lampki odbiło się złociście w jej oczach. Była to jedna z tych drobnych różnic, od których czasami człowiekowi jeżyły się włosy. To i chwilowe milczenie, o tyle efektywniejsze od milczenia Barb.

- Ateva słyszy, Bren-ji.

Po tych słowach wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Cholera, pomyślał. Cholera, nie wiedział, co zrobił, ani czy nie zdenierwował Jago albo, Boże, ile może już wiedzieć Banichi - albo czego głupi człowiek mógł nie zauważyć czy co mógł utracić - mózg wysyłał sprzeczne sygnały: tak i nie, uwaga; a ramię bolało; do diabła, żałowałby, gdyby to zrobił - i żałował, że tego nie zrobił.

Przetoczył się na brzuch i ułożył uwolnioną rękę blisko ciała, przynajmniej mając władzę nad nimi obiema.

Szkoda, że nie może tego powiedzieć o sytuacji.



Tabini zamówił swój prywatny samolot, ze względów bezpieczeństwa, a w podróży towarzyszyli Brenowi Tano i Algini.

Jago powiedziała, że to łatwiejsze niż dbanie o jego bezpieczeństwo w Bu-javid.

Zdziwił się, że to powiedziała.

Bardziej jednak starał się uchwycić sygnały wysyłane przez Jago, dowiedzieć się, czy jest zdenerwowana czy zła, a ona zachowywała się bardzo oficjalnie, sprawiając wrażenie, że wszystko jest w idealnym porządku.

Martwił się. Wciąż się martwił, kiedy samolot rozpędzał się przed startem. Nie mógł sobie na to pozwolić, myśląc o Banichim i starając się rozwiązać zagadkę stosunków panujących między tym dwojgiem atevich, co wciąż mu się nie udawało - ludzie w ogóle nie bardzo rozumieli atewskie stosunki. Sztuki machimi, źródło wskazówek co do polityki i lojalności, w ogóle nie poruszały sprawy romantycznych motywacji. A może, jeśli chodzi o lojalność atevich, takiej motywacji nie było? W machimi oraz w innej literaturze panowała powściągliwość, dobrze wychowani i szanowani milczeli, tyle że Tabini utrzymywał związek z Damiri na wiele lat przed tym, jak Damiri publicznie się do tego przyznała, a wydawało się, że zawarcie małżeństwa odkładano latami, czasem nawet do narodzin dzieci. Albo w ogóle go nie zawierano. Bren mógłby przytoczyć kilka przykładów. Nie zadawało się jednak pytań o coś, czego atevi nie zauważali i czego istnienia nie potwierdzali - a jego rozmowy z Tabinim raczej dotyczyły nastrojów uznanych kochanków niż tego, kto może wślizgiwać się nocą do czyjejs sypialni.

Kusiło go, żeby zapytać Tano, który chyba coś by powiedział, ale w porę się powstrzymał, uświadomiwszy sobie, że Tano nie potrzebowałby nawet dwóch sekund, by dojść do wniosku, że nie jest to pytanie akademickie, że nie chodzi o Deanę Hanks i że pole poważnego wyboru jest stosunkowo niewielkie; nie mówiąc o domowych służących, z którymi związki były akceptowane, jeśli chciało się je przyjąć do siebie na stałe, czego Bren nie zamierzał i nie mógł zrobić - Tano i, jak podejrzewał, Algini nie byli tępi. Bren nie chciał jednak stawiać żadnego z nich w kłopotliwej sytuacji.

Nie był pewien, czy byłoby rozsądnie zapytać Banichiego. Uznał - tymczasem samolot osiągnął wymagany pułap lotu - że chyba najlepiej będzie spytać Tabiniego.

Jeśli jednak coś byłoby nie tak, mógłby wpędzić Jago w kłopoty.

Pozostawała mu tylko ona, a w takiej sprawie by go nie okłamała. Mógłby to być przynajmniej początek rozsądnej dyskusji.

Na pewno było to sprzeczne z przepisami departamentu. Na pewno było to głupie. Narażało na szwank bezstronność paidhiego. Było...

...po prostu cholernie głupie. Paidhi miał nie mieć uprzedzeń, nie ulegać wpływom i nie podejmować decyzji pod wpływem emocji. A gdyby Deana Hanks zwąchała, co się stało zeszłej nocy...

A co takiego się stało zeszłej nocy poza faktem, że paidhi ma przyjaciółkę wśród atevich...

Przyjaciółka. Jago na pewno nią nie jest. Można o niej powiedzieć wiele, ale nie to. Gdyby się z nią związał - znajdzie się na atewskim terenie ze wszystkimi tego konsekwencjami. Cholerne emocjonalne pole minowe, które byłoby o wiele bezpieczniejsze, gdyby nie przywiązał się do atewy, w sposób tworzący punkt styczności, którego nie potrafił rozszyfrować.

Że też musiało się to stać właśnie teraz. Cholera!

Jago przynajmniej da mu czas. Zgodziła się to zrobić. U paidhiego jednak nie skutkowało to spokojem umysłu, kiedy go potrzebował; poza tym sądził, że dał jej wybór: teraz, bez komplikacji, albo później, a potem - niech Bóg ma go w swojej opiece, zakończył rozmowę, mówiąc: może?

Paidhi - którego cała cholerna kariera zasadzała się na tym, że wiedział, kiedy trzymać język za zębami. Poza tym zdenerwował się przez Barb. Bardziej denerwował się jednak przez Jago - cenił ją wyżej, chociaż inaczej.

Mogło się to zmienić w chwili, kiedy postawi stopę na mospheirańskiej ziemi. Zauważył, że taka zmiana zachodziła u niego podstępnie od lat, a w ciągu ostatnich kilku tygodni proces znacznie się nasilił - to dzielenie jego życia, uczuć, myślenia. Bóg jeden wiedział, jakich to rad może komukolwiek udzielać Bren i jak się zmieni, kiedy otworzy się spadochron kapsuły, a on będzie miał na stałe do czynienia z drugim człowiekiem na kontynencie - Hanks się nie liczy.

Nie sądził, żeby coś się zmieniło. W chwili jednak, kiedy to sobie powiedział, zrozumiał, że nie da się przewidzieć rozwoju sytuacji z Grahamem. Z chwili na chwilę groziły mu ogromne zmiany.

Otworzył komputer i zaczął układać szczegółowe pytania, przypominać sobie specjalistyczne słownictwo oraz upewniać się, co będzie chciał powiedzieć uczonym.

Wszechświat - basheigi - znajdował się na początku listy. Czy jest jakieś lepsze słowo? Człowiek miał nadzieję, że czcigodny astronom zna jakieś wyjaśnienia. Człowiek miał nadzieję, że astronomia wynalazła takie słowa na określenie pewnych trudnych pojęć, które można będzie przykroić na miarę słuchających ich laików.

Wyszperał w słowniku sto pięćdziesiąt osiem słów i spędził czterdzieści osiem minut na powtarzaniu ich subtelnych różnic znaczeniowych zależnie od kontekstu. Samolot zaczął podchodzić do lądowania, kierując się na imponująca skalną ścianę.

- Człowiek ma nadzieję, że wkrótce pojawi się lotnisko - powiedział Bren, na co Tano z całą powagą zaproponował, że zapyta załogę, Bren jednak poprosił, żeby obaj - Tano i Algini - usiedli. Samolotem miały prądy powietrzne wywołane bliskością góry; po chwili maszyna rzeczywiście zakręciła i opadła ku zalesionemu, dalekiemu obszarowi wyglądającemu na tereny publiczne.

Było to spore lotnisko, a w pobliżu, jak zwykle na terenach publicznych, znajdowała się wioska myśliwska. Jak został poinformowany paidhi, wszystkich jej mieszkańców zatrudniał Patronat przy utrzymaniu rezerwatu Lasu Caruja.

Człowiek raczej nie spodziewał się w takim miejscu transportu publicznego, lecz za lotniskiem czekała na nich kolejka wąskotorowa, uroczy zabytek pochodzący zapewne z czasów wojny.

Dla małych górskich społeczności tak było taniej. Nie trzeba było przygotowywać za pomocą środków wybuchowych szerokiego podtorza, a niewielka lokomotywa spalinowa nigdy nie miała wiele do ciągnięcia - w tym wypadku jeden wagonik z drewnianymi siedzeniami, szklanymi oknami i zielonym dachem z czerwonym okapem. Jedna nitka prowadziła z lotniska do wioski; a dokąd prowadziła druga Bren nie miał zielonego pojęcia; trzecia kończyła się w górach. „Obserwatorium Saigiadi” - odczytali na tabliczce, kiedy kierownik pociągu zatrzymał na chwilę skład. Po chwili rozpoczęli turkoczującą podróż.

Bren mógł ruszać ręką. Zginał łokieć. Był wciąż oszołomiony tą swobodą. Ćwiczył przegub i łokieć przy każdej okazji - rano nie posmarował ich maścią, bo pachniała jak lekarstwo. Siedzenie było tylko trochę niewygodne i Bren cieszył się hałaśliwą jazdą pod górę, zapachem otwartej przestrzeni, kwiatów oraz powietrza, które przedarło się przez spaliny wytwarzane przez silnik napędzający lokomotywę: ze względu na ochronę środowiska ministerstwo transportu starało się zastąpić silniki wysokoprężne we wszystkich pociągach, ale silnik elektryczny nie poradziłby sobie z takim nachyleniem terenu; Bren mógłby powiedzieć o tym ministrowi bez najmniejszych wątpliwości. Pociąg szarpnął i za oknem pojawiła się pusta przestrzeń.

Przez chwilę obok pociągu biegło stado dzikich zwierząt - miały beżową sierść i białe ogony - dotrzymując mu kroku aż do zakrętu. Bren odwrócił się, żeby jak najdłużej na nie patrzeć.

Pachiikiin, tłuste i o gładkiej sierści. Był w o wiele lepszym nastroju i nie przejmował się bólem ramienia.

Swoim nagłym ruchem przestraszył Tano i Alginię. Starali się dyskretnie uspokoić, ale wiedział, że ich zdenerwował - a oni przecież wypatrywali czegoś, co może ich wystraszyć, bo tak właśnie pracowały ich umysły.

- Tęsknię za Malguri - powiedział, chcąc im wyjaśnić swoje zachowanie. Nie sądził, żeby podzielali jego uczucia, a szczególnie obandażowany Algini - i Bren musiał zadać sobie pytanie, co byłby w stanie zrobić wciąż nie w pełni sprawny Algini, gdyby powstały jakieś problemy?

„Bezpieczniej niż w Bu-javid”, powiedziała Jago. To zapewne prawda.

Po półgodzinnej jeździe, podczas której Bren widział licznych przedstawicieli górskiej fauny, zobaczyli kopułę obserwatorium Saigiadi. Po kolejnych kilku minutach znaleźli się na małym dworcu kolejowym, który swoim charakterem przypominał - nieelegancko, lecz skutecznie - pomieszczenie magazynowe.

Na spotkanie wyszli im podekscytowani studenci; kłaniali się i proponowali, że poniosą wszystko, co trzeba nieść, zachwyceni - jak powiedział ich przywódca - że paidhi uhonorował swoją obecnością ich szkołę. Chcieli mu ofiarować - niech Bóg go ma w opiece - próbkę prac obserwatorium, która ku jego uldze okazała się nie ustną prezentacją osiągnięć, lecz pisemnym sprawozdaniem, kroniką szkoły ze zdjęciami, sporządzoną na wzór zeszytu z wycinkami, przypominającą foldery małych firm reklamujących swoje wyroby i usługi.

- Zechciej to zatrzymać, nand' paidhi - poprosili. Bren był wzruszony, że zadali sobie tyle trudu, i przysiągł sobie, że przejrzy albumik i postara się - posunął się aż do takiej ekstrawagancji - żeby obserwatorium jako jedno z pierwszych otrzymało dane uzyskane ze statku...

Bardzo chętnie by to zrobił, gdyby tylko udało mu się przetrwać tę ceremonię i porozmawiać z czcigodnym astronomem, który według zapewnień studentów jest bardzo błyskotliwy i bardzo chce z nim rozmawiać, ale - okazało się to po kwadransie szczegółowego wypytywania - w tej chwili śpi i studenci nie chcą niepokoić starca, który budzi się o własnej porze i który - co okazało się po dalszym wypytywaniu, tym razem wykładowczyni ochotniczo usprawiedliwiającej czcigodnego profesora - po wyrwaniu z twórczego snu staje się kapryśny i trudny w rozmowie.

- Paidhi przyleciał aż z Shejidan - zaprotestował Tano. Myśl ta przyszła też do głowy paidhiemu. Pamiętając jednak ostrzeżenie Banichiego, że starzec jest niekomunikatywny, paidhi uznał, że lepiej postępować rozważnie.

- Kiedy zwykle się budzi?

Zapadła pełna skrępowania cisza - milczała wykładowczyni, jej personel i studenci.

- Prosił się go, nand' paidhi. Powiedział, że musi coś przemyśleć, poszedł do swego pokoju, ale... możemy spróbować go obudzić, jeśli paidhi sobie życzy.

- Wbrew waszym radom.

- Wbrew naszemu doświadczeniu, nand' paidhi. Zapewniamy paidhiego, że profesor żadną miarą nie chce okazać lekceważenia.

- On to robi podczas zajęć - odezwał się jeden student - nand' paidhi. Człowiek zaczął rozumieć, o co chodzi.

- Może - powiedział - nad odpowiedziami dla mnie mogliby popracować wykładowcy i personel.

- Już to zrobiliśmy - powiedziała wykładowczyni z ukłonem.

- Pracowaliśmy dwa dni - dodał inny wykładowca.

- A zatem znacie moje pytania? - zapytał i usłyszał od wykładowcy, że tak, po otrzymaniu ich - żadnych względów dla tajemnicy pieczęci aijiego, o, nie - przedstawiono je całej grupie i wszyscy sprawdzili odnośne dane oraz przeprowadzili pomyślnie obliczenia.

- Lecz kształt wszechświata - powiedziała wykładowczyni - który, jak paidhi być może wie, uporczywie wymyka się spekulacjom, ponieważ niedokładność pomiarów dokonywanych z ziemi oraz rozmaite dewiacje - które w skali

ziemi są nieistotne, a znaczne w tak dokładnych pomiarach, jakie mają miejsce w przypadku gwiazd...

- A także trzepotanie i dystorsja atmosfery - wtrącił drugi wykładowca i zaczął czegoś szukać w swoich papierach, a wykładowczyni stwierdziła, że wzięła to pod uwagę w swoich przykładowych liczbach...

Paidhiego zaczynała boleć głowa, a dyrektor instytutu filozofii astronomicznej, nand' Lagonaidi, podawał mu kolejne płachty papieru z tezami teorii kosmologicznej. Algini i Tano siedzieli spokojnie przy drzwiach i może rozumieli jedno słowo na dziesięć.

- Właściwie - wtrącił dyrektor filozofii - determiniści potraktowali niedokładność ziemskich pomiarów jako wyzwanie. Wszyscy jednak uczeni zajmujący się pomiarami astronomicznymi są automatycznie podejrzani.

- Z powodu zmieniających się wyników.

- Z powodu, między innymi, niewspółśrodkowości pozycji. Co współczesna astronomia może wyjaśnić...

- W większości przypadków... - wtrąciła wykładowczyni.

- Lecz - przerwał jej dyrektor filozofii - gdzie można znaleźć gładkie przejście od skończoności do nieskończoności, skoro liczby stają się coraz bardziej niejasne? Wyznaję, że to mnie niepokoi, ale jestem moralnie przekonany, że taki system się rozwinie. Oczywiście, po drodze ku takiej doskonałości atevi będą się sprzeczać o rozwidlenia ścieżki tylko po to, by przekonać się, że niektóre z odnóg z powrotem splotły się w harmonijną całość. Będą luki w naszym pojmowaniu, a nie w porządku wszechświata.

- To muszą być doskonałe liczby - rzekła wykładowczyni. - Liczby, które nie mają być złudne i zwodnicze, muszą być doskonałe.

- Zapewniam cię, że takie są - powiedział Bren ze świadomością, że nie orientuje się w temacie, lecz bał się, że rozmowa jeszcze bardziej zbczy w kierunku abstrakcji. - Ponieważ gwiazdy zdecydowanie istnieją, i to w danej odległości oraz na stale zmieniających się pozycjach zależnych od naszej własnej pozycji, która, gdyby ją poznać, okazałaby się ściśle określona.

- Ale wszystkie zmiany nachylenia kąta osi ziemi... - rzekł dyrektor filozofii, co zapoczątkowało nowy spór na temat boskiego dzieła stworzenia i egzystencjalizmu liczbowego, któremu paidhi mógł się tylko przysłuchiwać z rozpaczą, że nic nie zyska.

Obiad... był bardzo oficjalnym przyjęciem z udziałem przywódcy wioski w dolinie, miejscowego sędziego, prezesa Caruijańskiego Stowarzyszenia Myśliwskiego i Organizacji Zarządzania i Badań Przyrody Pasma Caruija, okręgowego przewodniczącego Stowarzyszenia Kolei Pasma Caruija oraz ich małżonek, kuzynów i męża członkini hasdrawadu, która z racji trwającej sesji przebywała w stolicy.

Nie mówiąc o młodym poecie, który odczytał oryginalne dzieło wychwalające region. Po nim wystąpiła grupa miejscowych dzieci z bębenkami i nieco nierówno odśpiewała popularną balladę.

Paidhi chronił rękę przed przypadkowymi dotknięciami i żywił tylko nadzieję, że jakoś przetrwa ten dzień. W notesie miał zapisane niewiele ponad to, co wiedział przed przyjazdem, oraz słowa, których dokładne znaczenie wciąż starał się uchwycić. Uciekł do akademickiego pokoju posiedzeń, w którym miało się odbyć następne spotkanie, i kazał Tano i Alginiemu pilnować drzwi na wypadek, gdyby ktoś zechciał przyjść wcześniej.

Miał ze sobą aspirynę. Bał się zażyć coś mocniejszego. Poprosił Tano o kubek wody z najbliższego źródła i usiadł, starając się zmusić do działania łokieć i ramię - w tej chwili to było jego jedyne zajęcie intelektualne.

- Moim zdaniem oni są kompletnie szaleni - zwierzył mu się Algini. - Moim zdaniem wydział zbyt długo mieścił się w górach.

- To mała wioska - rzekł Tano, wchodząc do pokoju z kubkiem wody. - Taki naprawdę ważny gość i osobiste zainteresowanie aijiego to wydarzenie.

- Możemy tylko mieć nadzieję - powiedział Bren - na pomyślny wynik. Sam już zaczynam zadawać sobie pytanie...

Do pokoju zaczął jednak wchodzić personel i sesja została wznowiona: krótkie mowy wygłosili wykładowcy i dyrektor filozofii, z tym, że ta druga przynajmniej stanowiła przyczynek do historii wpływu filozofii na interpretację astronomiczną oraz powstanie ważniejszych szkół myślenia. Mowie przysłuchiwała się z szacunkiem grupka studentów, siedzących pod przeciwległą ścianą i wściekle robiących notatki; paidhi też coś sobie notował, nie chcąc nagrywać bez oficjalnej zgody - postanowił poprosić o kopię przemówienia. Uznał, że sprawi tym przyjemność starszemu dżentelmenowi.

- Muszę ze smutkiem stwierdzić - rzekł starszy dżentelmen - że fundusze na badania astronomiczne są o wiele mniejsze w porównaniu ze wspaniałymi czasami Obcej Gwiazdy, kiedy to naukę teleskopu wspierali wszyscy aijiin na całym kontynencie, a szczególnie wśród Ragi. Przekonanie, że ludzie dysponują o wiele dokładniejszymi, tajnymi danymi, nand' paidhi, upewniło aijiin i legislatury, że w odpowiednim czasie zostaną one przekazane, w związku z czym łożenie funduszy na atewskich astronomów jest zbyteczne. Ja tak nie uważam, nand' paidhi. Poświęciliśmy się przekonaniu, że badanie nieba na nasz sposób nie jest zbyteczne. Mamy nadzieję, że paidhi rozważy naszą propozycję i że szybko otrzymamy wyniki ludzkich obserwacji nieba oraz ludzkie...

Przy drzwiach powstało zamieszanie. Tano i Algini, stojący po obu stronach pokoju, nagle się ożywili, a Bren odwrócił głowę, gotów rzucić się na podłogę.

Do pomieszczenia wkroczył starszy ateva: był w szlafroku, bosy i miał w nieładzie włosy.

- Odpowiedź na dylemat filozofów: wszechświat nie polega na liniach prostych, a zatem droga światła nie jest ekonomiczna - oznajmił.

- Profesor - ktoś powiedział, a studenci wstali, okazując starcowi szacunek. Bren podniósł się nieco wolniej.

- Aha! - zawołał profesor, pokazując palcem. - Paidhi! Tak, nadi! Mam dowód... - Rzeczywiście, trzymał w ręku plik papierów i wymachiwał nimi z entuzjazmem. - Dowód na rozwiązanie zagadki, którą przedstawiłeś! Eleganckie! Niezwykle eleganckie! Dziękuję ci, nadi! To jest potwierdzenie, którego poszukiwałem - zapisałem to symbolami...

- Herbata i wafle - zarządziła wykładowczyni i podeszła z boku do Brena, by wyjaśnić półgłosem: - On jest dość leciwy. Nie pamięta, że trzeba jeść!

- Ależ oczywiście - odparł Bren, a do starego dżentelmena zwrócił się słowami: - Nand' profesorze, bardzo pragnę poznać twoje zdanie. Obawiam się, że nie jestem matematykiem ani astronomem, tylko tłumaczem, ale...

- To takie proste! - oznajmił profesor i runął na Brena ze swoim plikiem papierów, które koniecznie chciał mu dać, po czym, otoczony studentami i astronomami, zaczął wypisywać węglem olbrzymie symbole na papierze rozpostartym na sztalugach.

Paidhi siedział z notesem w dłoni i gorączkowo przepisywał. Podobnie jak wykładowczyni, chociaż, dzięki Bogu, zapisany węglem papier po prostu podnoszono i zaginano od góry, co było równie dobre, jak zapis w pamięci komputera. A profesor zaczął mówić o rzędach liczb - w kategoriach, których paidhi nie znał. Pojawiły się symbole, których nigdy nie używał, znaki, z którymi nigdy przedtem się nie zetknął. Przepisywał je najlepiej, jak potrafił, i ozdabiał notatki pośpiesznie pisany komentarzem.

Na płycie lotniska w świetle reflektorów samolotu stała garstka pełnych poświęcenia miejscowych oficjeli, którzy obserwowani przez Brena z okna startującego samolotu powoli rozmyli się w gwiazdy.

A potem paidhi lądował na lotnisku w Malguri. W dali jego zwierzę chodź po zmniejszonych wzgórzach, wśród których pomykały inne, mniejsze zwierzęta.

Przybyła jednak kolej podziemna, czarna postać poruszyła przyzywającą ręką i Bren musiał opuścić swego zwierza; kolej zawiozła ich na podziemną stację w Bu-javid późno po kolacji i trzeba było zbudzić profesora, żeby mu powiedzieć coś ważnego i we śnie Bren to powiedział, ale sam nie słyszał własnych słów ani ich nie rozumiał.

Czekał na nich Banichi z garstką urzędników z Bu-javid i kilkoma przepustkami, które pozwalały studentom i nand' Grigijemu zamieszkać na górze, dziw nad dziwami, w rezydencji dziekana uniwersytetu, który oznajmił, że jest zainteresowany tą teorią. Odbywały się w związku z nią krajowe konferencje.

Bren nie mógł się dostać na konferencję. Spóźnił się i wszystkie drzwi zastał zamknięte. Widział profesora stojącego na podium i widział, że wszyscy atevi go słuchają, ale sam nie mógł wejść do środka, widział tylko pisane przez profesora symbole matematyczne, z których nie wszystkie Bren rozumiał.

Potem spróbował pójść do innej klatki schodowej, żeby dostać się do tylnego wejścia do sali - i zabłądził. Próbował otwierać wszystkie napotkane drzwi, ale one prowadziły na kolejne schody i do kolejnych, coraz ciemniejszych korytarzy, które Bren uznał za nieznaną poziomy Bu-javid. Miał wygłosić przemówienie do zebranych uczonych, nie mógł jednak znaleźć drogi powrotnej, a wiedział, że tylko on potrafi wyjaśnić symbole ze sztalug has-drawadowi, który w przeciwnym wypadku nie będzie chciał wysłuchać profesora.

Zawędrował do pomieszczenia, którego drzwi wychodziły na korytarz znajdujący się nad salą wykładową. Nie mógł jednak znaleźć schodów prowadzących na dół. Po każdym zakręcie napotykał ślepa ścianę.

W końcu znalazł windę i nacisnął przycisk z cyfrą 1, a przynajmniej tak mu się wydawało. Na wyświetlaczu kabiny, która wcale nie chciała się zatrzymać, pojawiały się niezrozumiałe liczby i symbole. Wiedział, że Banichi i Jago będą na niego źli, że wsiadł do windy i naciskał guziki, których nie rozumie. Kiedy jednak ich dotykał, wyglądały normalnie.

Zadzwoił pod numer telefonu awaryjnego. Odebrała Jago, ale powiedziała, że ma po południu spotkanie i zapytała, czy może być jutro? Bren odpowiedział - sam nie wiedział dlaczego - że nie może czekać i że wysiadzie tam, gdzie winda się zatrzyma.

W końcu wyszedł w szarobrazową mgiełkę i natychmiast się zgubił. Zadzwonił do Jago z telefonu, który nagle się tam pojawił, ale Jago przeprosiła i powiedziała, że przyjdzie nazajutrz. Będzie musiał poczekać. Szedł więc dalej, przekonany, że siedząc na miejscu, nie dotrze na spotkanie na czas. Doszedł do zakrętu dolnego korytarza.

Zdał sobie sprawę, że idzie za nim zwierz i że jest to korytarz przed jego sypialnią w Malguri. Skończyły mu się kanapki, zwierz jednak polował na drobne stworzenia biegające pod ścianami.

Minął Brena, szukając dziur w ścianach i zostawiając go w ciemności, zapatrzonego w smugę światła wydobywającą się spod drzwi jego własnej sypialni, która przyzywała go z koszmaru do ciepła tego, co znajome. Gdyby tylko potrafił tam dotrzeć! Szedł i szedł, i wydawało mu się, że posuwa się do przodu, ale nie mógł dojść do drzwi. Światło zmieniło się w zimną poświatę brzasku i wtedy mogło mu się udać, ale Bren musiał odejść, miał coś do zrobienia, tyle że nie pamiętał, co...

Łup!

Poderwał głowę. Zamrugał i rozejrzał się nieprzytomnie.

- Zbliżyłam się, nand' paidhi - rzekł Tano.

Wyjrzał przez okno w ciemność, na światła Shejidan, przez chwilę nie rozumiejąc, skąd się tu wziął. Przesunął stopę i wyczuł nią teczkę z dokumentami schowaną bezpiecznie tam, gdzie ją postawił.

Patrzył na miejskie światła, na wzgórze i miasto rozpościerające się pod nim niczym dywan, a wszystko było ustawione zgodnie z jakimiś liczbami. Naprawdę spotkał tego profesora i ma teczkę pełną papierów - a wszystkie światła na dole były liczbami.

Podczas lądowania znów odpłynął w sen i wrócił do owego korytarza, szukając dojścia do tego, co musiał zrobić. To niesprawiedliwe, że nikt mu nie powiedział, jak ma się dostać do środka. Zaczął go ogarniać gniew i Bren poszedł szukać Tabiniego, żeby mu powiedzieć, że sprawy zostały źle ustawione i że paidhi potrzebuje...

Nie pamiętał jednak, czego potrzebuje. Wszystko się rozpadało. Szedł tylko korytarzem, a drzwi były bardzo daleko od siebie.

Łup! Koła zetknęły się z ziemią. Zobaczył przemykające za oknem światła lotniska. Paidhi podróżuje z prędkością odrzutową. Mózg paidhiego nie.

Nie miał jednak czasu. Musiał dotrzeć do domu.

Mrugnięcie oka i jest w Malguri. Drugie mrugnięcie i samolot zwalnia, by podjechać do terminalu. Przesuwające się światła, niebieskie, białe i czerwone...

## Rozdział 16

Był to tak męczący sen, że Bren nie mógł się z niego otrząsnąć, nawet przy śniadaniu na otwartym powietrzu z aiji-wdową - nad łańcuchem Bergid wstawał świt, a on nakładał konfiturę na kawałek chleba i myślał o zwierzach i sypialniach, astronomach, światłach miasta i mecheiti, aż wreszcie Ilisidi spojrzała na niego z ciekawością, postukała w filiżankę nożem i zapytała, czy odbywa seans łączności ze statkiem.

- Nie - odparł szybko. - Wybacz, nand' wdowo.

- Chudniesz - rzekła Ilisidi. - Jedz. Miło cię widzieć bez tej niezgrabnej konstrukcji na ręce. Odzyskaj zdrowie. Ćwicz. Jedz.

Odgryzł kęs grzanki. Dwa kęsy. Tego ranka był głodny. I rzeczywiście wyspał się. Był w pełni władz umysłowych, gotów stawić czoło ostremu jak brzytwa intelektowi Ilisidi - nawet jeśli spędził noc na chodzeniu po korytarzach w towarzystwie stworzenia, którego cały gatunek mógł być wymarły. To bardzo, bardzo stary przykład sztuki wypychania zwierząt. Tak przynajmniej założył w Malguri.

- Ach, ta młodzież - rzekła Ilisidi. - Mów. Czy chodzi o sprawy służbowe? A może to kolejne pytanie, wędrujące ścieżkami intelektu?

- Nand' wdowo - powiedział - zastanawiałem się zeszłego wieczoru nad zdrowiem personelu w Malguri. Czy masz może jakieś wiadomości? Czy Djinana i Maigi mają się dobrze?

- Całkiem dobrze - odparła Ilisidi.

- Bardzo się cieszę.

- Przekażę im, że o nich pytałeś. Zjedz owoc. Jest dość smaczny.

Przypomniał sobie, jak Banichi strofował go w związku z sałatkami. I ten cholerny „ciężarny kalendarz” Hanks.

- A dlaczego pytasz? - zapytała Ilisidi.

- Ludzka troska. Może neurotyczne pragnienie, by dobrych wspomnień nie przyćmiły przyszłe wydarzenia.

- Albo przyszłe informacje?

- Może.

Wdowa zawsze zadawała więcej pytań, niż udzielała odpowiedzi. Nie drażył tej sprawy, bojąc się, żeby ateva nie straciła zainteresowania jego osobą.

- A Nokhada? Babsidi?

- W doskonałym zdrowiu. Dlaczego pytasz?

Ogrody i kryte dachówką dachy Bu-javid schodziły w dół od balkonu, na którym siedzieli, zmiękczone pierwszym brzaskiem; słychać było pomruk grzmotu, chociaż niebo było czyste aż po Bergid, co zapowiadało chmury na zachodzie, gdzie widok zasłaniały dachy.

Po powrocie nie zadzwonił do Hanks. Nie był w dość tolerancyjnym nastroju, by znieść złudzenia Hanks, ani nie potrafił się skoncentrować na tyle, by przyjąć jej sprawozdanie gospodarcze w jakiegokolwiek formie.

Wciąż nie mógł się dodzwonić do matki. Próbował, ale jawnie polityczna telefonia miała tego ranka trudności. Czy mógł się zastanawiać, czy chochliki ujawniały się tylko na linii łączącej wyspę z kontynentem?

Notatka wciśnięta mu przez Biuro Spraw Zagranicznych nie była mu w niczym pomocna, potwierdzała jedynie jego podejrzenia: żadne decyzje nie były podejmowane tam, gdzie istniała szansa na zdrowy rozsądek, w drodze normalnych posiedzeń ciał doradczych i pracowników uniwersytetu, którzy znali historię i znali atevich; wszystkie decyzje zapadały za zamkniętymi drzwiami, na tajnych posiedzeniach ludzi, którzy nie zostali wybrani, którzy nie mieli poparcia narodu i którzy chcieli, Bren był gotów zaręczyć głową, oddać wszystko w ręce statku, stacji i ludzi chcących się tam przenieść.

I - niepokojący drobiazg - nie zadzwonił Jase Graham.

- A więc? - zapytała Ilisidi. - Rozmawiałeś z tymi ludźmi ze statku. Teraz wylądują.

- Dwoje z nich. Dostałaś moje tłumaczenia.

- Jak najbardziej. Niezbyt precyzyjnie jednak odpowiadają na pytania, prawda? Kim są? Czego chcą? Dlaczego wrócili? I dlaczego miałyby to nas obchodzić?

- Cóż, przede wszystkim, aiji-ma, byli w miejscach, które, jak zarzekali się determiniści, nie mogą istnieć, chcą otrzymać od planety siłę roboczą, chcą, żeby atevi sprzedali im materiały, które uczynią z nich władców wszechświata, i prawdopodobnie sądzą, że dostaną je tanio, ponieważ ludzie na Mospheirze nie sprawiali wrażenia, że atevi mają w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia.

- Fatalnie - rzekła Ilisidi, krojąc jajko nad grzanką. - A więc? Co nam radzi paidhi? Powinniśmy wszyscy chwycić za broń? A może sprzedawać ludziom domy wypoczynkowe na terenach Malguri?

- Do diabła z tym! - powiedział i zobaczył, że usta Ilisidi drgnęły.

- A więc? - zapytała Ilisidi, wcale nie zajęta swoim śniadaniem.

- Wiążę pewne nadzieje z tymi paidhiin ze statku. Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Mogę wywierać bezpośredni wpływ na Grahama, a on wydaje się rozsądnym człowiekiem, wyczulonym na sprawy bezpieczeństwa. W ostateczności może mogę go - albo jego towarzyszkę - śmiertelnie przerazić i uzyskać więcej zdrowego rozsądku niż ten, który panuje na Mospheirze.

- Przestrasz śmiertelnie Hanks-paidhi - zaproponowała Ilisidi. - Tak na początek.

- Chciałbym. Próbowalem. Ona jest świeża. Całkiem możliwe, że zna się na gospodarce...

- I ma potężnych popleczników.

- Nigdy tego nie kryłem.

- Zdumiewające. - Ilisidi wyciągnęła filiżankę w kierunku służącego, żeby ją napełnił. - Herbaty, nand' paidhi?

Przyjął ofertę.

- Dziękuję. Wdowo-ma, czy arogancki człowiek może zapytać cię o zdanie?

- Mnie? A na cóż może mieć wpływ moje zdanie? Na sprawy państwowe?

- Na pana Geigiego. Martwię się o niego.

- O ten melonowy łeb?

- Który mimo wszystko zajmuje drażliwe i konserwatywne stanowisko. Którego pretendentka do mojego urzędu niepotrzebnie zdenerwowała.

- Same melonowe łby. Pełne ziaren i miazgi. Wszechświat gwiazd jest nieskończony. Albo i nie. Z pewnością nie pyta nas o radę.

- To streszcza sprawę.

- Czy ludzie w swojej mądrości znają wszechświat gwiazd?



- Nie wiem. - Nie był gotów do stąpania po tym gruncie. Za żadne skarby. - Wiem, że są ludzie, którzy badają takie rzeczy. Zdziwiłbym się, gdyby ktokolwiek dokładnie znał wszechświat.

- O, ale dla Geigiego to proste. Wszystko się sumuje. Ci determiniści wszystko już dodali i podliczyli.

- Czy wdowa ma może przypadkiem dostęp do deterministów? - Wielu wielmożów opłacało matematyków i wyznawców liczb wszelkiego autoramentu, by nie zaskoczyła ich polemika.

W domu Tabiniego na pewno jest doskonały wybór takich ekspertów, a Bren założyłby się o swoją emeryturę, że u Ilisidi też.

- A czegoś mógłby chcieć paidhi od deterministów? Oświecić ich ciemność? Wyprostować ich błędne ścieżki?

- Hanks-paidhi wypowiedziała niefortunną uwagę związaną z liczbami przekraczającymi stałą światła. Wiem, że musisz mieć wśród swego personelu pewnych numerologicznych ekspertów, wykwalifikowane osoby...

Obok łokcia Ilisidi pojawiły się kolejne grzanki. Zostały zsunięte na jej talerz w towarzystwie kiełbasek.

- Wykwalifikowane bzdury. Ograniczanie nieograniczonego to szaleństwo.

- Wykwalifikowane osoby - ciągnął Bren, nie dając się zbić z tropu - które mogłyby wyjaśnić, w jaki sposób statek może przemieścić się z jednego miejsca na drugie szybciej, niż biegnie światło, co, jak mówi fizyka klasyczna...

- Och, daj spokój, klasyczne szaleństwo. Jakimiż ubocznymi sprawami zajmujecie się wy, ludzie. Te idiotyczne liczby wcale nie są mi potrzebne do szczęścia. Podobnie jak pełne przygnębienia wiadomości od pana Geigiego.

- Pełne przygnębienia?

- Właściwie rozpaczliwe. Mam ci wyjawić, jaką szkodę wyrządziła ta kobieta? Geigi stara się w tajemnicy pożyczyć pieniądze. Jest przerażony, bo zrozumiał, że kontaktował się z osobą o niepomysłnych liczbach, a co więcej, z osobą, która w zbyt wielkim stopniu ujawniła swoje propozycje i jego finanse - pan Geigi jest zdemaskowany. Szaleństwo. Kompletne szaleństwo.

- Bardzo mnie to martwi.

- O, nie bardziej niż jego wierzący, którzy uważali go za osobę na tyle stabilną, by podjąć długoterminowe ryzyko i uznać go za aijiego prowincji; teraz, kiedy jego potencjał i zdolność spłacania długów zmniejsza się z każdą godziną, ryzyko stało się krótkoterminowe i bardzo wysokie. Ten atewa został wystawiony na sprzedaż. Wszyscy o tym wiedzą. To wielki wstyd. Prawdopodobnie mu pomogę. Nie lubię jednak handlować lojalnością i gotówką.

- Doskonale to rozumiem. Uważam go jednak za odważnego atewę, który prawdopodobnie stara się chronić osoby związane z nim poprzez man'chi.

- A cóż ty rozumiesz? Nie masz atewskiego wyczucia.

- Mogę mu pomóc. Chyba mogę mu pomóc, wdowo-ji. Chyba znalazłem sposób na wyjaśnienie uwagi Hanks... gdybym dostał bardzo mądrego matematyka, właściwego matematyka reprezentującego punkt widzenia deterministów...

- Prosisz mnie, żebym znalazła kogoś takiego?

- Obawiam się, że nikt wyznający tę filozofię nie związał się z twoim wnukiem. Natomiast, jeśli chodzi o ciebie...

- Tabini prosi mnie, żebym uratowała tego głupca.

- Ja cię proszę. Osobiście. Tabini nic o tym nie wie. Uratuj go. Nie kupuj go. Nie zajmuj publicznego stanowiska. Nie mów, że ja to zasugerowałem. Z pewnością nigdy by tego nie przyjął.

- Dlaczego? - zapytała Ilisidi. - Czy to przez tę tajemniczą podróż na północ?

- Byłbym zdumiony, gdyby kiedykolwiek udało mi się zachować coś w tajemnicy przed tobą, nand' wdowo.

- Beczelnym łobuz. A więc udałeś się tam, żeby uratować melona Geigiego?

- Tak.

- Dlaczego, na pomyślnych bogów?

Nie mógł tego wyjaśnić w kategoriach, o których wiedział, że wdowa musi je dobrze zrozumieć. Spojrzał w kierunku łańcucha Bergid, gdzie świt rozjaśniał niebo nikłym błękitem.

- Nie ma żadnej wartości - usłyszał w końcu własny głos - w załamaniu się któregośkolwiek elementu istniejącego stanu rzeczy. Świat osiągnął pewną harmonię. Stabilność sprzyja interesom atevich. Twoim, twojego wnuka, wszystkich. Stabilność sprzyja nawet Mospheirze, gdyby tylko pewni Mospheiranie nie zachowywali się jak głupcy.

- Ta kobieta to skarb - rzekła Ilisidi. - Powinna była odszukać mnie, ale nie miała o tym pojęcia.

- Na Mospheirze jest nieszkodliwa. Chciałbym ją tam odesłać. W momentach przerażenia mój rząd jednak zastyga bez ruchu. To jest taki moment. Powiem ci, wdowo-ji, jedną tajemną prawdę o ludziach: jesteśmy interesowni, a naprawdę samolubni i niegodziwi ludzie potrafią być o wiele bardziej samolubni, niż jest w stanie to pojąć atewska psychologia.

- Ach. A atevi są na to odporni?

- W pewnych sprawach są o wiele bardziej lojalni. Ludzie potrafią się całkowicie zbuntować i działać w samotności oraz niezwykle samolubnie.

- A atevi potrafią być wielkimi głupcami. Jeśli Geigi uwierzył tej kobiecie, to nadal zastanawiam się, dlaczego odbyłeś tę bardzo długą, bardzo pilną podróż i szukałeś rady u takich ekscentryków?

- To błyskotliwy starzec, nand' wdowo. Polecam go twojej uwadze.

- Astronom - rzekła Ilisidi z pogardą.

- Możliwe, że błyskotliwy, aiji-ma. Mało brakowało, a sprowadziłbym go ze sobą na dwór, aiji-ma, ale bałem się, że to dla niego zbyt niespokojne miejsce. Nazywa się Grigiji. Całe swoje długie życie spędził na poszukiwaniach sposobu na pogodzenie ludzkiej nauki z atewskimi liczbami. Jego koledzy w obserwatorium poświęcili się przywróceniu atewskim astronomom szacunku. Chca stworzyć atewską naukę wykorzystującą atewskie pojęcia liczbowe, która ominęłaby ludzkie przybliżenia... przybliżenia, którymi, zapewniam cię, ludzie posługują się od czasu do czasu... i osiągnęła integrację bardzo dużych liczb z liczbami codziennego życia.

Powiedział to, co powiedział, rozmyślnie, mając nadzieję na zainteresowanie Ilisidi tym, co atewskie, atewską tradycją. Zobaczył, że wdowa przez tę jedną chwilę słuchała uważniej niż zwykle, porzuciwszy maskę obojętności.

- A więc? - zapytała Ilisidi. - Co ten Grigiji mówi Geigiemu?

Ilisidi miała dość rozsądku, by odrzucić wierzenia, które nie zgadzały się z rzeczywistością, dość zmysłu politycznego, by przyjąć niektóre z nich z politycznej konieczności - i dość atewskiego ducha, pomyślał nagle Bren, by tęsknić za logiką scalającą jej świat, logiką, o której istnieniu zapewniały właśnie te tradycje, na których straży stała.

Bren sięgnął do wewnętrznej kieszeni kaftana i wyjął paczuszkę, w której były kopie rónnań profesora i jego własne notatki - to, co mu się udało spisać. Ilisidi nie sięgnęła po nią - wiał wiatr.

- Co to jest? - zapytała.

- Kiepsko sporządzone przez człowieka notatki z tego, co miał do powiedzenia profesor. Oraz jego własne słowa, aiji-ma. - U boku Brena pojawił się młody służący - zwyczaj Ilisidi - by zająć się papierami.

- A nie przez astronoma aijiego?

Powiedziała to szyderczo. Czy istnieje jakiś powód, brzmiało pytanie, z którego zawiedli wysoko postawieni na dworze astronomowie Tabiniego i człowiek szukał odpowiedzi gdzie indziej? Niewątpliwie w tej chwili Cenedi już rozsyła pytania o Grigijiego, o jego pochodzenie, przeszłość, powiązania. Ilisidi, która zwyczajowo podchodziła do paidniego z dużą dozą tolerancji - obdarowana - na pewno nie chciałaby dotknąć tak wyraźnie politycznego prezentu: paidhi ewidentnie zachowuje się jak polityk, więc ona poszła w jego ślady.

- Nand' wdowo - odpowiedział ostrożnie Bren - astronomowie aijiego zajmują się innymi obszarami studiów. Nie są też niezależni. Ten ateva, jak rozumiem, a także jego obserwatorium, to główni astronomowie poświęcający się tym badaniom. Nie mają powiązań z żadną organizacją zewnętrzną. To jest dokładna kopia tego, co przywiozłem twojemu wnukowi, nic nie zostało pominięte ani dodane. Czy mogę prosić wdowę o radę?

Dłoń Ilisidi na chwilę oderwała się od filiżanki, by wykonać nonszalancki gest. Co oznaczało: „Mów”.

- Zrozum, aiji-ma, bynajmniej nie jestem matematykiem. Lecz, jak rozumiem, i to, co zaobserwowali ludzie, i to, co ten ateva stara się opisać za pomocą liczb - kiedy wczoraj wieczorem leciałem nad miastem, zobaczyłem światła, wysoko i nisko położone miejskie tereny, światła niczym gwiazdy lśniące w ciemnym kosmosie. - Wiedział, że sama Ilisidi niedawno przyleciała do Shejidan nocą. - Zobaczyłem przez okno samolotu w tych światłach rozsianych na różnych wysokościach po całym Shejidan to, co opisali ludzie za pomocą swoich liczb. I to, co także opisuje wizja Grigijiego, tak jak słabo ją pojmuję. Jego odpowiedź dla pana Geigiego.

- W światłach miasta. Może zapisaną równaniami z neonów?

- Paradoks ruchu szybszego niż światło, aiji-ma; powiedzmy, że wszechświat nie rozciąga się niczym płaski kawałek czarnego materiału. Że są w nim nierówności, jak góry i doliny. Powiedzmy, że istnieje topologia takich miejsc. Gwiazdy są tak ciężkie, że powodują powstawanie głębokich dolin na tym materiale. Dlatego liczby opisujące drogę światła po tej materii są całkiem prawdziwe. Nie gwałcą one zasad wszechświata deterministów - światło nie może podróżować szybciej drogami, którymi musi podążać. Światło i wszystko inne obecne w materii, która jest tym wszechświatem, obrysowuje te góry i zużywa tyle czasu, ile trzeba. Zatem nic, co podróżuje po tym materiale, nie narusza prędkości światła. Można zmierzyć odległości na materiale i są one prawdziwe. W tej chwili atmosfera zmniejsza dokładność atewskich obserwacji, lecz przy obserwacji ze stacji - do czego atevi w końcu dojdą - dokładność będzie o wiele większa.

- Grasz na zwłokę - rzekła Ilisidi z kolejnym drgnięciem ust, błyskiem złocistych oczu. - Łotrze, ustawiasz to na półce, której nie mogą dotrzeć.

- Ale to prawda, nand' wdowo, i tam na górze będzie to można udowodnić. Te papiery, o ile rozumiem to, co mi powiedziano, opisują ten kawałek materiału, o którym mówię, w kategoriach dopuszczających istnienie przestrzeni nie mającej z tym materiałem nic wspólnego. Tego, co nazywamy zakrzywioną przestrzenią.

- Zakrzywiona przestrzeń. Przestrzeń się zakrzywia.

- Ułatwienie. Sposób postrzegania jej przez ludzi, którzy nie są tak matematycznie uzdolnieni jak atevi, ludzi, których język nie potrafi wyrazić tego, co te papiery. W ten sposób podróżują statki kosmiczne, aiji-ma. To najwyższe osiągnięcie naszej techniki, a być może, że pewien ateva odkrył to bez ludzkiej pomocy; gdybym tylko mógł odczytać te symbole, które spisałem. Nie mogę jednak tego zrobić, bo nie mam zdolności, które pozwalają atewskiemu matematykowi opisywać wszechświat.

- Powiedział ci to ten twój szaleniec.

- Aiji-ma, światło nie biegnie po linii prostej. Ponieważ jednak dzięki światłu widzimy, określamy kształt, mierzymy odległość - w dużej skali sprawia ono, że przestrzeń zachowuje się, jakby była płaska.

- Przestrzeń zachowuje się, jakby była płaska.

- Nie działamy w skali, gdzie krzywizny zwykle mają znaczenie. To jak stopniowe wznoszenie się terenu. Teren wciąż wydaje się płaski. Nogi czują jednak wzniesienie. Skala ma znaczenie dla patrzącego. Nie dla matematyka. Nie dla nóg.

Ilisidi spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

- Ależ z ciebie stworzenie. Ależ stworzenie. I nie kontaktujesz się ze swoim uniwersytetem. Sam do tego doszedłeś, prawda?

- Znam podstawy spraw, których nie potrafię wytłumaczyć za pomocą matematyki, 'Sidi-ma. - Ku jego przerażeniu wymknęło mu się poufałe imię, którym określał wdowę w myślach. Nie wiedział, jak to zatuszować. - Pokazujecie waszym dzieciom rzeczy o wiele bardziej złożone, niż mogą pojąć za pomocą opanowanej przez nie matematyki. Tak się nauczyłem. Na tym muszę bazować. Wiedza dziecka o tym, jak jego przodkowie podróżowali wśród gwiazd. Nie nauczo mnie pilotować statków kosmicznych. Ja tylko wiem, dlaczego one latają.

- Szybciej niż światło.

- O wiele szybciej niż światło.

- Wiesz co, paidhi, taka zatwardziała stara kobieta jak ja mogłaby cię zapytać, do jakiego stopnia to wykreślanie map nieba jest nowe i ile ludzie są gotowi nam wyjawić w tych okolicznościach. Nie używasz Hanks-paidhi jako przynęty, prawda?

- Nand' wdowo, przysięgam na moją reputację i życzliwość do ciebie, że w żadnym razie nie zezwoliłem Hanks-paidhi na ujawnienie tych spraw Geigiemu. I nie uzgodniłem z moim departamentem tego, co ci właśnie powiedziałem.

- A skąd się wziął ten astronom, skąd się wziął dylemat Geigiego - w chwili, kiedy z niebios przybywa statek - kiedy potrzebujesz życzliwości kogoś takiego jak ja, nand' paidhi? Czy zaplanował to sobie mój wnuk? A może któryś z jego zwolenników?

Być może Brenowi zagrażało największe niebezpieczeństwo jego życia, włączając w to nawet spadające wokół niego bomby. Robiło się coraz jaśniej i te nadzwyczajne oczy, tak obrysowane latami, były całkowicie zimne. Nie można było zdradzić 'Sidi-ji i korzystać z owoców zdrady. Nie można było zdradzić Cenediego i zaszkodzić interesom Ilisidi, a potem odejść wolno.

Ilisidi pstryknęła palcami. Służący, Bren był pewien, że jeden z atevich Cenediego, przyniósł dzbanek i nalał obojgu herbaty.

Pijąc, patrzył Ilisidi w oczy. Odstawił pustą filiżankę.

- A więc? - zapytała Ilisidi.

- Nand' wdowo, jeśli to plan Tabiniego, to jego znaczenie mi umyka. To jest stary i w swoim regionie bardzo szanowany ateva, a nie jakieś nowe zjawisko, o ile udało mi się zauważyć.

- A zatem jak to wyjaśnisz? Skąd się wziął ten zbieg okoliczności?

- Po prostu on może mieć rację, nand' wdowo. Z tego, co wiem, mógł dojść do prawdy. Nie jestem matematykiem - ale nigdy bym się nie zdziwił, gdyby ktoś odkrył to, co naprawdę istnieje.

- W dogodnym momencie? W tym tak bardzo dogodnym dla tego odkrycia momencie? A jeśli chodzi o ten kataklizm, o zniszczenie dogmatu deterministycznej wiary, to mój wnuk wcale nie był w zмовie z ludźmi?

- To go nie niszczy! Z tego, co wiem, wcale go nie niszczy, lecz potwierdza!

- Tak ci powiedziano. A ty tak po prostu pędzisz tam, gdzie ktoś przypadkiem odkrył prawdę.

- Nie „przypadkiem”, nand' wdowo. Za tym atevą stoi cały bieg naszej historii. Nie przekazywaliśmy w ręce atevich tylko przedmiotów. Przekazywaliśmy nasze projekty i naszą wiedzę matematyczną ludowi, który rozwijał naukę o wiele wolniej niż ludzie, którzy nie mają takich zdolności matematycznych jak atevi - nam szło szybciej, ponieważ wyliczamy położenie w przybliżeniu i posuwamy się dalej, czego nie robią atevi. Można tak postępować - kiedy buduje się maszyny parowe, to, chcąc uniknąć katastrofy, buduje się urządzenia raczej silne niż oszczędne. Byliśmy zdumieni, że postęp u was przebiega tak powoli. Obserwowaliśmy debaty nad liczbami. Czekaliśmy.

- Na nas, biednych dzikusów.

- Na początku tak myśleliśmy. Nie rozumieliśmy, dlaczego nie możecie po prostu przyjąć tego, co dla nas było faktem, nic nie mówić i budować według naszych projektów - chodzi jednak o to, że to nie był fakt, lecz bardzo dokładne przybliżenie. A atevi chcieli zrozumieć. Wtedy, dopiero wtedy zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że nie przekazujemy tylko projektów: wy wy-

ciągaliście nasze liczby, doskonaląc je na atewski sposób, co, jak wiedzieliśmy, pewnego dnia musiało wybuchnąć w nieprzewidziany sposób. Kiedy daliśmy wam komputery, których większość ludzi używa do prowadzenia prostych domowych rachunków, wy kwestionowaliście naszą logikę. Wiedzieliśmy, że nadejdzie taki dzień, oświecenie, chwila, kiedy zrobicie skok w rozumowaniu, za którym my nie nadażymy. Może nie w inżynierii. Jesteście takimi nieskazitelnymi perfekcjonistami, podczas gdy nasze przybliżenia wytrzymują ruch kołowy i powstrzymują wody jezior; lecz jeśli chodzi o czyste zastosowanie liczb - nie, wcale nie jestem zaskoczony, że przełom miał miejsce w tej chwili i że zdarzył się w astronomii, w której mieliśmy najmniej bezpośrednich kontaktów z waszymi uczonymi. Daliśmy atewskim matematykom komputery. Wiedzieliśmy, że prowadzi się badania. Nigdy nie dziwiło mnie, że prędkość światła jest ważna dla deterministów, bo ona jest ważna; nic dziwnego, że astronomowie dążący do precyzji w swoich obliczeniach posługują się nią i odkrywają nowe prawdy...

Zaczynało mu brakować powietrza. Stał po grzaskim gruncie leżącym daleko poza granicami jego wiedzy naukowej - daleko poza granicami jego zdolności udowodnienia - i dotykał zasadniczego, niebezpiecznego dogmatu atewskiej wiary.

- Nie znam się na tych rzeczach, aiji-ma. Chciałbym, żeby astronomowie z Bergid i uczeni na Mospheirze mogli ze sobą porozmawiać. Jestem jednak jedyną osobą, która mogłaby tłumaczyć. A profesor używał symboli matematycznych, których zupełnie nie potrafię przekazać - nie jestem nawet pewien, czy ludzka matematyka ma bezpośrednie odpowiedniki. Podejrzewam, że niektóre z nich są osadzone w języku Ragi i jeśli miałbym je przełożyć na mospheiran, to ludzie nigdy ich nie zrozumieją.

- Jakaż subtelna skromność.

- Nie, to rzeczywistość. Większość ludzi nie zna waszego języka, aiji-ma, ponieważ większość ludzi nie jest tak dobra w matematyce jak ja. Dla was znajomość tych liczb jest ważna, a dla nas nie, aiji-ma. My nie potrafimy tak szybko dodawać w pamięci. Musimy posługiwać się przybliżeniami i nie chodzi o to, że nie mamy szacunku dla atewskiego sposobu myślenia; po prostu nie potrafimy tak szybko dodawać. Nasz język nie ma waszych wymagań, waszych wyrażań, waszych pojęć. Czasami aż mnie boli mózg od rozmowy z wami - a jak na człowieka nie jestem głupi. Nieraz jednak już samo mówienie do was wymaga ode mnie najwyższego wysiłku, szczególnie jeśli tematem jest matematyka, nie mówiąc już o tłumaczeniu matematyki zakrzywionej przestrzeni komuś, czyich symboli ani trochę nie rozumiem, nand' wdowo. Jestem zmuszony pytać studentów profesora, co powiedział, i w odpowiedzi słyszę, że nawet oni nie rozumieją wszystkiego, co mówi, nawet przy ich przewadze w rozumieniu języka.

Kiedy przestał mówić, zapadła długa cisza. Bardzo długa cisza. Ilisidi po prostu siedziała i patrzyła na niego. Wiatr poruszył krawędzią obrusa i przyniósł do stołu woń kwiatów diossi.

- Cenedi cię odprowadzi - odezwała się Ilisidi.

- Nand' wdowo - rzekł, czując i strach, i prawdziwy smutek, że mu się nie udało. Wstał od stołu, skłonił się, podszedł do drzwi i wszedł do apartamentu.

Cenedi wyszedł mu na spotkanie.

- Obraziłem ją - powiedział cicho Bren. - Cenedi-ji, ona zwątpiła w moje intencje.

Cenedi wyświadczył mu uprzejmość i zapytał:

- Słusznie?

- Nie - odparł żarliwie Bren. - Nie. Nie mogę jej jednak przekonać, że nie jestem na tyle sprytny, żeby zrobić to, co według niej zrobiłem. Być może dałem jej majaczenia szaleńca. Mam nadzieję, że nie. Nie potrafię jednak nawet odczytać jego dzieła. Mogłem je tylko skopiować. Nie mogę go ocenić. Nie wiem, co jej dałem. Miałem nadzieję, że na coś się to przyda.

- Ateva słyszał - powiedział Cenedi, gdy przemierzali pokój, kierując się do drzwi.

- Przynajmniej powiedz jej, że dobrze jej życzę i mam nadzieję, że ostatecznie będzie miała pozytywne zdanie o mnie.

- Ateva przekaże tę wiadomość, nand' paidhi - rzekł Cenedi.

Odebrał go Banichi - i ponieważ paidhi nie zwracał sobie głowy przybraniem radosnego wyrazu twarzy, nie zapytał: „jak poszło”, ale: „co się stało”. Bren mógł tylko wzruszyć ramionami i powiedzieć:

- Nic dobrego, Banichi. Coś źle zrobiłem. Nie potrafię powiedzieć, co.

Banichi nic nie powiedział. Bren pomyślał, że Banichi może spróbuje się dowiedzieć, w którym momencie paidhi popełnił fałszywy krok - Banichiemu łatwiej było bezpośrednio zapytać Cenediego, ponieważ Banichi zrozumiałby odpowiedź. Mimo wszystko nieatewskie wyczucie podpowiadało mu, że po prostu za bardzo naciskał Ilisidi i dał jej powód do podejrzenia, które tak wyraźnie sformułowała: że on sam jest człowiekiem Tabiniego, to jasne; że cała sprawa z Hanks została ukartowana przez samego Tabiniego; a stąd łatwo przeskoczyć do logicznego wniosku, że jeśli Hanks miała zmusić atevich do szybszego rozwoju, niż chcieliby to widzieć konserwatyści, to nie mogło się to stać bez udziału Bren-paidhiego.

Oznaczało to - być może - że Ilisidi będzie się teraz zastanawiać nad stosunkami, które z nim utrzymywała, łącznie z tym, do czego Bren będzie się chciał posunąć, by odciągnąć Ilisidi od jej naturalnych sprzymierzeńców. Złamana ręka jest nieważna - Ilisidi otaczały osoby o najwyższym poczuciu man'chi, osoby, które bez wahania osłoniłyby ją własnym ciałem od kuli: była przyzwyczajona do osób, które podejmują ryzyko. Być może nie zna ludzi tak dobrze, jak Tabini, ale ma oczekiwania co do atevich i doświadczenia z Tabinim, które mogły sprawić, że zaczęła się przynajmniej zastanawiać nad pewnymi sprawami, nie chcąc ryzykować swojej godności czy wiarygodności przez uwierzenie komuś, kto nie był z nią związany man'chi.

Nie otruła go. Nie cofnął się przed tą możliwością. Z całą pewnością zdobył tym sobie punkty. Podeptał jednak atewskie wierzenia, atewską dumę - co Ilisidi traktowała bardzo osobiście; Ilisidi nieco się przy nim odsłoniła, a on to wykorzystał, by poprosić wdowę o poparcie Tabiniego...

Dziwne było to, że go nie otruła. Bren przywiązał się do Ilisidi - właściwie nie wiedział, jak to się stało, ale jej oskarżenia zmartwiły go tak samo, jakby wysunęli je inni atevi, do których się zbliżył.

Jakoś nie dotyczyło to jednak Tabiniego. Nie w tym sensie zaufania i poufałości. Nie w sensie, że...

Że cholernie żałował, iż przedwczorajszej nocy Jago wyszła z jego pokoju i eksperyment nie został przeprowadzony. Był też niezmiernie zadowolony, że przez ostatnie dwa dni Jago trzymała się od niego z daleka.

Pragnął jednak znaleźć się z nią sam na sam i dowiedzieć się, co myśli, i czy jest zła czy zawstydzona, czego nie chciał; nie chciał też ryzykować stosunków, które nawiązał z nią i z Banichim, bez których... był kompletnie...

Samotny.

I śmiertelnie przerażony.

Przez cały ten ranek bał się ingerencji innych ludzi. Nie wiedział, co zrobi, jeśli punkt styczności zawiedzie. Jego atewscy towarzysze zapewniali mu bezpieczeństwo i Bren będzie musiał spędzać cały wolny czas, jaki mu zostanie, na uczeniu obcego człowieka tego, czego obcy człowiek być może tak naprawdę nigdy nie zrozumie.

A potem, za kilka lat, Jase Graham wsiądzie na statek lecący na orbitę i wróci na swój statek, zostawiając paidhiemu - cokolwiek paidhiemu zostanie.

Bren miał po prostu potężnego pietra. Przed dwoma dniami wyglądał przybycia Grahama jako panaceum na wszystkie troski. Było to jednak wtedy, kiedy przynajmniej jego atewski świat był nienaruszony.

A paidhi zawsze miał przed oczyma ten obraz zatrzymanego zegara. Całkowite zaskoczenie chwila, kiedy atevi zareagowali w samoobronie, atakując ludzi, którzy naprawę, naprawę lubili atevich.

Musi uporządkować myśli, krzywdy i upór wpakować z powrotem do odpowiednich pudełek i, Boże, przede wszystkim nie może sobie pozwolić na rozmyślania o tym, jak bardzo atevi go nie lubią. Ilisidi nigdy go nie lubiła. Był dla niej zabawny, dostarczał jej rozrywki, informacji i wielu innych rzeczy - a teraz to się skończyło. Teraz sprawy przybrały zbyt poważny obrót. Z nieba spadali ludzie. Ilisidi musi podjąć kilka decyzji i zrobić to z atewskich powodów. Jeśli Bren ma jakiś obowiązek, to poinformować Tabiniego o reakcji Ilisidi.

A Ilisidi o tym wie.

- Banichi-ji, Ilisidi zapytała mnie... - Nie używa się słowa „podejrzenia”, nie mówi się: „dała do zrozumienia” - kiedy paidhi tkwi po uszy w labiryncie atewskiego myślenia, paidhi mówi dokładnie to, co zaszło, a nie, co wydaje mu się, że zaszło. - Zapytała mnie, czy Tabini celowo doprowadził do tego, że Hanks-paidhi, Geigi, a także pytanie i znalezienie ewentualnej odpowiedzi przez astronoma zbiegło się z tym kryzysem.

Przez chwilę szli w milczeniu. Banichi głośno zaczerpnął tchu.

- Jakież pogmatwane podejrzenie.

- Możliwe, że była zła. Może pod pozorem teorii, że prawdopodobnie po prostu rozgniewałem ją jakąś towarzyską gafą. Mógłbyś zapytać Cenediego, czym ją zraziłem?

- Możliwe. Ateva mógłby zapytać. To się stało, kiedy dałeś jej wyliczenia.

- Nie chciała ich sama dotknąć. Wziął je ode mnie służący, bo albo rozwiałyby je wiatr, albo musiałbym je schować z powrotem.

- Podejrzała, co w nich jest.

- Powiedziała, że podejrzewa Tabiniego o odnalezienie profesora. Starałem się ją zapewnić, że nie mam wystarczającej wiedzy matematycznej, żeby pojąć jego rozumowanie w moim własnym języku, a co dopiero przetłumaczyć je na wasz. Na litość boską, przecież dlatego się tam wybrałem, że nie rozumiem tych pojęć.

- Przekażę - rzekł Banichi.

Przez co Banichi z pewnością rozumiał przekazanie sprawy Tabinemu. Możliwe, że i Cenediemu.

- Mam dla tej kobiety naprawę bardzo wiele szacunku.

- O, podobnie jak Tabini - powiedział Banichi. - Ateva nigdy jednak jej nie lekceważy.

## Rozdział 17

Nie było łatwo wyrzucić z myśli potencjalną wrogość Ilisidi oraz uniknąć porównań jej reakcji z zainteresowaniem, jakie okazał dokumentom Tabini. O świcie aiji przesłał Brenowi ustną wiadomość przez samego Naidiriego, swego osobistego ochroniarza, że jego zdaniem papiery profesora chyba dają wyznawcom liczb coś, za czym mogą się uganiać przez dłuższy czas, że to najbardziej szalony pomysł, o jakim Tabini w życiu słyszał i że aiji wysyła ochronę do pilnowania obserwatorium.

Bren pomyślał o tym w kontekście jego poróżnienia się z Ilisidi. Nie chciałby, żeby do wioski wprowadzili się członkowie Gildii i zakłócili spokój jej mieszkańców, bo nie byłiby to zabójcy, jak Cenedi i Banichi, którzy jako mistrzowie w swoim fachu używali finezyjnych środków i potrafili sprawiać wrażenie, że nie są na służbie, gdy w rzeczywistości nigdy z niej nie schodzili; nie chciałby, żeby z powodu przelotnego zainteresowania paidhięgo

to miejsce zostało zniszczone albo żeby życie astronomów zmieniło się nieodwołalnie na gorsze.

Jednak ani nie powinien, ani nie bardzo mógł protestować przeciwko zapewnieniu ochrony obserwatorium; gonił za liczbami tak zapamiętałe, że nawet się zastanowił, jak nagle zmieniła się waga tego miejsca w chwili, gdy starzec wpadł do sali ze swoją odpowiedzią: Grigiji stał się osobą cenną dla Tabiniego, a więc celem - jak wszystko, z czym Tabini stykał się bezpośrednio lub pośrednio. Bren o tym zapomniał, łudząc się, że sam potrafi znaleźć odpowiedź dla Geigiego i wsunąć ją - Boże, teraz wydawało się to naiwne - do ręki Ilisidi bez niemiłych konsekwencji.

Paidhi był kompletnym durniem. Paidhi nie tylko spalił za sobą mosty w stosunkach z Ilisidi, ale naraził na ryzyko obserwatorium i Grigijiego, a być może zrobił coś zupełnie nieobliczalnego jeśli chodzi o Geigiego - jego prowincję oraz stosunki z Ilisidi i Tabiniem - w związku z czym paidhi był straszliwie przygnębiony i zdegustowany swoim nie przemyślanym i prawdopodobnie bardzo kosztownym manewrem, którego wykonanie wydawało mu się wtedy doskonałym pomysłem.

Sposobem na dokonanie tego, czego Wilson-paidhi nie był w stanie, a Hanks-paidhi nie mogła zrobić - przekonać do jakiejś sprawy i konserwatywnych atevich, i Tabiniego jednocześnie.

Ręka bohatera. Bohaterszczyzna, o którą oskarżył Hanks i którą mu potem ona zarzuciła - a z tego, co teraz widział, Hanks miała rację.

Hanks zasługiwała na telefon, przynajmniej po to, żeby ustalić spotkanie, na którym przekaze jej zasadnicze informacje i powie, do jakiego stopnia być może rozdmuchał jej niefortunną rozmowę z Geigim. Nie będzie to ani łatwe, ani przyjemne, i Bren nie był jeszcze gotów zmierzyć się z tym problemem.

Usiadł, żeby przejrzeć stertę wiadomości - nowe biuro właściwie już przygotowywało się do rozpoczęcia pracy i Bren dostał kilkanaście podziękowań za wysłane karty; stolik w foyer ugiął się pod tradycyjnymi bukietami kwiatów od nowych pracowników. Było ich tak wiele, że utworzyły gustowne półkole na podłodze przy stoliku oraz leżały wszędzie tam, gdzie nie przeszkaadzały w chodzeniu. Bren myślał, że powinien się cieszyć, ale bolała go ręka, bolały żebra i chyba nie posłużyło mu śniadanie. Poprosił Alginiego o komputer, wziął korespondencję do salonu, usiadł i zaczął przygotowywać niezliczone sprawozdania.

Saidin cicho wyregulowała oświetlenie i wentylację salonu, odpowiednio uchylając okna, po czym włączyła nawiew. Brenowi już coraz mniej przeszkadzała krzątanina personelu. Właściwie zauważył Saidin dopiero wtedy, gdy, przechodząc, na moment zasłoniła mu światło.

- Muszę porozmawiać z Banichim, nand' Saidin - powiedział. Chciał się umówić na spokojną dyskusję. - Czy już wrócił?

- Jeszcze nie, nand' paidhi. Służbę ma Algini.

- A Jago?

- Chyba poszła do biur Gildii, nadi. Ateva może po nią posłać.

- Nie - odparł. - To nic pilnego. - Bolały go oczy, a wśród wiadomości znajdowała się informacja, że Tabini polecił wydziałowi matematyki przejrzeć się notatkami Grigijiego. Oraz jego własnym notatkami, do których, miał nadzieję, nie wkradły się błędy. Ostrzegł Tabiniego przed taką możliwością i poprosił, żeby w razie czego przypisał je ludzkiej zawodności, a nie matematyce Grigijiego.

Wśród wiadomości znajdował się też obszerny nowy tekst ze statku, na który składały się dokumenty krążące między Mospheirą i statkiem, a także bardzo szczegółowe pytania Mospheiry o początkowy punkt i kierunek podróży oraz wyniki badań - na które statek nie odpowiedział wyczerpująco. Było bezpośrednie pytanie o tę drugą stację i jej położenie oraz o to - co takiego nie przyszło nawet Brenowi do głowy - czy statek w ogóle opuścił układ słoneczny i czy w rzeczywistości nie założył bazy na Maudette: czerwonej,



niegościnniej, daleko położonej planecie zwanej przez atevich Esili - planecie, na którą Gildia Pilotów chciała przenieść kolonię jeszcze przed Lądowaniem, żeby nie ingerować w świat atevich.

„Nie”, odpowiedział statek. „Odwiedził inną gwiazdę. Na Maudette nie ma żadnej bazy”.

„Jaką gwiazdę?”, koniecznie chciał wiedzieć prezydent i wymienił kilka znajdujących się w pobliżu.

Gildia odpowiedziała, zresztą dość logicznie, że nie ma w swoich spisach takich nazw, po czym poprosiła o mapy gwiazdne z atewskimi nazwami. Wznowiła też dyskusję na temat lądowisk - w związku z czym statek chciał otrzymać ogólne mapy i nazwy.

Mospheira niespodziewanie odmówiła ich dostarczenia, dopóki statek nie przekaże jej map gwiazdnych.

Wtedy mikrofon przejęła Yolanda Mercheson, prosząc o rozmowę z prezydentem.

Prezydent był dość miły. Dość przychylny. Prezydent powiedział, że doradza lądowanie na Mospheirze jako najlepszy sposób zagwarantowania suwerenności ludzi - a Mercheson odpowiedziała, że przekaże jego zdanie.

Następnie Mercheson przedstawiła listę surowców i zapytała wprost, czy Mospheira je ma?

Tego prezydent nie wiedział. Prezydent przekaże jej tę informację, ale jest pewien, że istnieją duże zapasy surowców.

Zapasy.

Błysk ciemności. Przerazenie. Ból. Zimny metal i górujący nad nim cień, pytający... oskarżający...

Najwyraźniej gromadzicie metale. Zwiększacie zamówienia na stal i złoto - dajecie nam przemysł i wymieniacie mikroukłady na grafit, tytan, aluminium, palad - pierwiastki, o których istnieniu nie wiedzieliśmy jeszcze sto lat temu, a teraz, dzięki wam, potrafimy je wykorzystywać. Teraz je importujecie - minerały, których nie ma na Mospheirze. Po co? Do czego ich używacie, jeśli nie do tego samego, czego nas nauczyliście...?

Lufa pistoletu przytknięta do jego skroni. Pytanie, które wtedy zrozumiał dosłownie, bo ból i strach wymazał jego kontekst - nie, on przecież nie znał kontekstu, nie wiedział, że na atewskie niebo powrócił statek, nie znał sytuacji, którą sugerował przesłuchujący... zapasy materiałów ery kosmicznej czekające na pociągnięcie, którym cała ludzka populacja planety być może planowała zaskoczyć atevich. W tamtej strasznej chwili Bren myślał tylko o samolotach. Tylko o tajnych planach wystrzelenia rakiety. Tylko o śmierci. A w świetle tego, czego się później dowiedział, nawet nie bardzo pamiętał o tym pytaniu.

Zapasy materiałów niezbędnych dla realizacji programu kosmicznego.

Twierdził, że nie jest inżynierem, że nic nie wie... a przesłuchujący powiedział... umieszczacie liczby w strumieniu danych. Popieracie sekciarskie debaty, żeby nas opóźnić...

Argument sprzymierzeńców Ilisidi. Okręgu wyborczego Ilisidi, okręgu, który Ilisidi pozornie zdradziła - nigdy jednak nie można liczyć, że atevi całkowicie przejdą na inną stronę. W patronacie zawsze istniały punkty napełnienia.

Sekciarskie debaty, żeby nas opóźnić...

A on powiedział... Budujemy pojazdy próbne. Modele. Wypróbujemy to, co w naszym mniemaniu sami rozumiemy, zanim udzielimy rad, które doprowadzą jakiegoś atevę do wysadzenia się w powietrze, nadi...

Wtedy myślał, że to cała prawda. Powiedział to przesłuchującemu, którego tożsamości wciąż nie znał, atevie, który mógł należeć do personelu Ilisidi lub być poplecznikiem kogoś z nią związanego.

Wtedy nie wiedział o statku. Nie rozumiał kwestii sekciarskich debat. Ani znaczenia zapasów materiałów potrzebnych do realizacji programu kosmicznego. Rozmawiał z nimi o samolotach. Zapewniał o ludzkiej niewinności...

Zgubił miejsce na taśmie. Zimnymi palcami wcisnął odpowiedni guzik, żeby ją przewinąć do tyłu, i jeszcze raz przesłuchał ten fragment. Obiecał dostarczyć Ilisidi i Tabiniemu tekst wszystkich swoich tłumaczeń.

Zapasy - które według atevich były dość znaczne. Zapasy minerałów, które Mospheira musiała sprowadzać...

Zapasy zaczęto gromadzić - Bóg jeden wie, jak dawno temu. Paidhi, osoba dobrze poinformowana, nie wierzył, że są one aż tak duże, ponieważ paidhi był zorientowany w tym, co ogólnie szło na Mospheirę i co Mospheira może wykorzystać - chyba że departament obrony ma tajemnice zbyt głębokie i stare, by znał je obecny paidhi, albo istnieje handel - co czasami się zdarzało - niezbyt dokładnie kontrolowany przez Shejidan.

W wysoko położonej centralnej części Mospheiry były bunkry, miejsca niedostępne dla turystów i strzeżone przez uzbrojonych ludzi, które obywatele po prostu akceptowali - tam się nie chodziło. Nie ma żartów z tymi ogrodzeniami. Były przestarzałe, i to coraz bardziej w coraz bardziej pokojowym świecie, a przynajmniej pojęcie schronów przeciwlotniczych wydawało się w jego pokoleniu przestarzałe. Jednak strach przed wylądowaniem atevich na plażach istniał jeszcze nim wyprodukowano pierwszy samolot.

Strach przed atewskim atakiem z powietrza pojawił się, kiedy dali atevim lotnictwo i przenieśli produkcję samolotów na kontynent. Bunkry były podobno najbardziej niewralgicznymi obiektami obronnymi, najważniejszymi stanowiskami dowodzenia, zabezpieczeniem przed atakiem, który znowu mógłby doprowadzić ludzi na skraj zagłady.

Mówiono, że to stanowiska dowodzenia. Ani słowa o tym, jak głęboko pod ziemią się znajdują, jak są rozległe - i co w nich jest. A jeśli jest w nich to, o co go pytano, jeśli istnieją zapasy, które prezydent Mospheiry może wykorzystać do handlu ze statkiem...

Mospheira nie może sprawdzić, czy aiji blefuje. To niemożliwe, żeby Bren sprowokował Tabiniego do wysunięcia groźby bojkotu, a Mospheira pokonała tę przeszkodę za pomocą jakiegoś cholernego przestarzałego składu zapasów.

Te materiały zostały jednak dostarczone. Nawet jeśli istnieją - nie wytworzyły się same. Fabryk istniejących na Mospheirze nie można ot, tak sobie przestawić na produkcję, do której nie zostały przystosowane...

Mospheira nie oświecała jednak paidhiin w zakresie tego, co robi, co ma lub planuje departament obrony - ta sfera była zastrzeżona. A kiedy rząd i departament stanu zezwoliły ze względów ekologicznych na wybudowanie jakiejś fabryki plastiku na wschodzie - wierzone, że produkuje się tam artykuły gospodarstwa domowego.

Nie wiedząc tego z całą pewnością, departament wysłał paidhiin w teren. Paidhiin wiedzieli, że nie ma żadnych promieni śmierci. Dla Brena był to jeden z dogmatów wiary. Nie istniały żadne instalacje nuklearne. Nie było żadnych dziwnych miejsc; koloniści nie mieli takiej broni i nie przekazali atevim techniki nuklearnej... na razie.

Ale ta wzmianka o zapasach przebiegła Brenowi zimnym dreszczem po kręgosłupie i uświadomiła mu, że choć raz w historii mandatowych konsultacji paidhi być może będzie musiał naprawdę odbyć konsultację, zanim wykona jakikolwiek ruch - i to teraz, o ile jego działanie jeszcze nie rozzłościło departamentu obrony i nie pchnęło prosto pod drzwi prezydenta jego sekretarza z wyliczeniami, na ile i z jaką ofertą dla gwiazdnych podróżników Mospheira może sprawdzić karty Tabiniego i przeciwstawić się bojkotowi.

Cholera, nie może ufać własnym materiałom historycznym, skoro nie wie, czy dotarli do nich cenzorzy z przeszukiwarką czy nie - nie może wierzyć temu, co mu powiedziano. Skąd paidhi ma wiedzieć, czy jego własne wykształcenie nie cenzurowało, a może nawet kłamało w sprawie zasadniczych faktów? Kiedy ma się do czynienia z cenzurą, nie można mieć pewności, jak daleko się ona posunie; czyje informacje bierze pod uwagę albo czym zastąpi prawdę? Ludzie zostali prawie zgładzeni. Naprawdę nie mieli wtedy broni. Na początku atevi nie mogli im dostarczać aluminium, tytanu czy jakichkolwiek materiałów

ery kosmicznej. Mospheiranie mieli plastik, wszystko, co dało się wyprodukować z włókien roślinnych czy z produkcji niewielkich szybów rozmieszczonych wzdłuż północnego wybrzeża; mieli energię słoneczną i elektryczność, lecz nie mogli przewidzieć swoich potrzeb na dwieście lat wprzód i zgromadzić wystarczających zapasów, by przeciwstawić się powiązaniu gospodarki mospheirańskiej z atewską...

Mospheiranie nigdy nie byli aż tak cholernie obrotni, wytrwali czy ztroskani o swoją przyszłość - radykałowie być może tego żalowali; radykałowie mogli sobie roić, że tak było, i może rzeczywiście istnieją jakieś zapasy, ale nie przekłada się to na rzeczywistą zdolność przetrwania braku atewskich dostaw...

...czy przewidywania, że jakiś zdradziecki paidhi dobije targu z „Feniksem” i spróbuje wyłączyć z tego Mospheirę, a wszystko dla planetarnego dobra. Na pewno nie mogli go osaczyć. Nigdy nie wolno mówić atevim, że aiji wysunął groźbę bez pokrycia lub dał głupią obietnicę. Gdyby coś takiego się stało, ulicami mogłaby popłynąć krew. Gdyby Bren zrobił taki błąd, krew na pewno popłynęłaby ulicami.

Napisał: „Aiji-ma, w związku z ostatnimi rozmowami statku z Mospheirą, w wyniku spodziewanych tajnych negocjacji padła propozycja udostępnienia ludzkich zapasów materiałów, których dostawy zasugerowałem ci odciąż. Opierając się na moich życiowych doświadczeniach, zebranych podczas pobytu na wyspie, mam nadzieję, że zapasy te są małe, nie zawierają wszystkich materiałów potrzebnych do realizacji programu kosmicznego i że mogą zostać użyte jako karta przetargowa w celu przekonania statku do wyspiarskiego punktu widzenia oraz że mospheirański rząd może zawyżać ich wielkość, by uzyskać korzystniejsze warunki umowy.

Nie gwarantuje to jednak, że mam rację co do ich wielkości. Jeśli okażą się one większe, to źle ci doradziłem i będziesz musiał przedsięwziąć wszelkie środki, jakie uznasz za stosowne.

Z drugiej strony, statek może określić z orbity nawet podziemne rezerwy oraz charakter fabryk. Żywię nadzieję, że fabryki są niewystarczające, nawet jeśli takie zapasy istnieją, i że nie da się wybudować nowych na tyle szybko, by zadowolić przywódców statku.

Co więcej, przedstawiliśmy statkowi liczne powody polityczne, dla których powinien przyjąć twoje warunki.

Moją konsternację budzi jednak fakt, że wiem teraz, iż pytano mnie o tę sprawę w Malguri i że wtedy nie znałem jej wagi, oraz że nie przypomniałem jej sobie, przygotowując ekspertyzy i rady dla ciebie. W razie jakichś negatywnych rezultatów wina spada wyłącznie na mnie. Dziś już raz pobłdziłem w ocenie reakcji wdowy, o czym zapewne Banichi zdążył ci powiedzieć. Czytając załączone tłumaczenie, być może dojdiesz do wniosku, że błądziłem po wilekroć, i to skandalicznie. Jeśli tak jest, proszę, byś więcej mnie nie słuchał i traktował moje rady jako rady nie doinformowanego urzędnika, któremu własny rząd nie powierzył prawdy, którą mógłby się kierować.

Czuję, że nie zostało mi nic innego, jak napisać do wdowy, i solennie to sobie obiecałem. Odłożę jednak moją odpowiedź i pogodzę się z hańbą, jaka na mnie za to spadnie, w nadziei, że wydarzenia czy też mądrość większa od mojej pozwoli ci się zabezpieczyć, zanim wypełnię pochopnie daną obietnicę, która być może umieściła mnie na pozycji nie do pogodzenia z twoimi najlepszymi interesami. Gdybym został aresztowany, nie mógłbym wysłać takiej wiadomości, aiji-ma.

Proszę, byś uwierzył, że, jak z najwyższym zażenowaniem zapewniłem Ilisidi, pragnąłem przysłużyć się i jej, i tobie, i że zrobiłem to, co zrobiłem, nie z wrogich pobudek czy z rozkazu mojego rządu”.

Napisanie tego nie było przyjemne. Bren dołączył tłumaczenie i wysłał wiadomość telefaksem, nie chcąc powierzać jej posłańcowi, bo, pominąwszy wszystko inne, dobre maniere miały mniejsze znaczenie niż szybkość w dostarczeniu tekstu do sąsiedniego apartamentu.

Siedział zapatrzony w wydęte na wietrze zasłony i zastanawiał się, mając nieco ściśnięte gardło, jak bardzo może nadużywać ateńskiej cierpliwości.

I na ile może ufać swojej słabnącej logice.

Wiedział, przeciwko czemu walczy na Mospheirze. Nie miał całkowitej pewności, z której strony może się spodziewać presji, dopóki nie pojawiła się notatka od Shawna, ona jednak potwierdziła jego dotychczasowe domysły. Tyle, że on...

...wyczerpał już wszystkie swoje osobiste możliwości, osobiste zdolności i osobiste siły oraz popełnił kilka błędów w swoim nagłym pędzie do sfinalizowania lądowania, za które musiał już zapłacić on, a także Tabini i Ilisidi, a mogły kosztować polityczne zaufanie i życie licznych atevich i ludzi, zanim wszystko ucichnie.

Co on sobie myślał? Że może ustawić ateński sposób postrzegania wszechświata - przecież znał, niech Bóg go ma w opiece, bardzo starą opinię panującą w departamencie, że atevi dokonają kiedyś przełomu pojęciowego i skoczą w matematyczną ciemność, której ludzie nie będą w stanie zrozumieć. I gdzie według niego miał się dokonać ów przełom, jak nie na polu najwyższej, najbardziej ezoterycznej matematyki - a on w przepływie natchnienia popędził tam, żeby błagać osoby, które miały największe szanse w tym względzie...

Dobry Boże, czego on się spodziewał, kiedy spuścił tę matematyczną bombę na stolicę, na dwór, na najbardziej drażliwe siedlisko politycznych intryg ostatniego stulecia - i położył ją na śniadaniowym stole atewy, dla której nie było w tym żadnych korzyści?

Jak, do diabła, pogodził ten drobny prezent ze swoją żarliwą prośbą, by 'Sidi-ji dla dobra Patronatu wzniosła się nad politykę i poświęciła się na ołtarzu sukcesu swego wnuka?

Zrobił to po tym, co sobie przypomniał, i nawet tego nie zauważył? Nie dodał dwóch do dwóch, kiedy bystrzejszy umysł mógłby przewidzieć, że Mospheira będzie walczyć z bojkotem. Powinien był zadać sobie pytanie: jakie zapasy mogła zgromadzić Mospheira? A przede wszystkim powinien był pamiętać o pytaniu o zapasy, które zadali mu sami atevi podczas tego, co jego kulejący umysł uznał za mało ważny incydent.

Niech to wszyscy diabli, wszedł w to tanecznym krokiem głęboko przekonany, że ta rozprawa jest dobrym prezentem. Co było prawdopodobnie gwoździem do jego trumny, jako że aż do tej pory Ilisidi wierzyła, że paidhi nie prowadzi głupiej gry, o którą jej towarzysze oskarżali ludzi; a mianowicie, że od wieków podkopują ateńską wiarę, ateńskie instytucje, jednocześnie zapewniając sobie dostawy i popierając ateński program produkcyjny nie ze względu na atevich, lecz tylko po to, by zdobyć zaopatrzenie, którego sami potrzebują.

Dla statku, w którego powrót wierzyli niektórzy ludzie.

Piekły go oczy. Uszczypnął się w nos. Bolała go ręka, którą trzymał nieruchomo na podołku - może nie służyła jej praca przy klawiaturze, a może to, że na niej spał. Bren nie miał pojęcia, ale bolała.

Apartament ze zbyt hałaśliwego zrobił się nadto spokojny. Bren pragnął towarzystwa. Banichi i Jago załatwiali jakieś sprawy, a Tabini prawdopodobnie rozwiązywał problem, który paidhi zrzucił na jego barki. Tabini był pewnie za bardzo zły, żeby z nim rozmawiać, a może nawet przygotowywał rozkaz, by go aresztować, co sam mu zasugerował. Kto wie?

Zmiany, dla których hamowania i powolnego przeprowadzania bez wyrządzenia szkód objął swoje stanowisko, zostały właśnie wypuszczone z mitycznej puszkii Pandory - bez rozeznania, bez zgody komisji, bez żadnych porad; wystarczyło odrzucić wieczko i cofnąć się, może tylko zastanawiając się nad ostateczną decyzją, czy wkroczyć do akcji i spróbować złagodzić efekty...

Decyzja ta, nawet gdyby ją podjął teraz, wiązała się z ludzkimi wartościami, ludzkimi wyborami, ludzką etyką; a może mądrzej byłoby zaczekać, aż ateńskie działanie pozwoli jasno przewidzieć, co wyłoni się z ateńskich war-

tości, atewskich wyborów, atewskiej etyki - i dopiero potem zdecydować, czy wkroczyć z ludzką mądrością, jako gatunek o większym doświadczeniu, gatunek, który zaszedł techniczną ścieżką na tyle daleko, by obserwować reakcje swojej własnej kultury na budzącą się świadomość wszechświata. Ludzie z całą pewnością wiele niegdyś zainwestowali w swe planetarne granice. Ludzie też musieli kiedyś zdać sobie sprawę, że słońce jest gwiazdą wśród innych gwiazd. Paidhi nie miał akurat dokładnych wiadomości o tym, jak ludzie zareagowali na tę wiedzę, ale miał niepokojące podejrzenie, że pewne ludzkie wierzenia mogła ona wyrzucić do góry nogami.

Chociaż fakt, że nie potrafili wykonać dokładnych obliczeń, nie rozbił sojuszy, nie powodował przetasowań w sferze osobistej lojalności, nie podawał w wątpliwość sposobu postrzegania wszechświata - prawda?

O ile się orientował, sposób, w jaki atewi radzili sobie ze wszechświatem, był zakodowany w ich mózgach, i z tym właśnie igrał Bren.

Nie chciał o tym myśleć.

Wstał i poszedł do biblioteki. Zaczął zdejmować z półek ozdobione delikatnymi akwarelami książki ogrodnicze, żeby sprawdzić, czy są mu znane zawarte w nich terminy.

Z książki na temat roślin wodnych nie rozumiał prawie nic. W środku tak dramatycznych wydarzeń głupio było wrócić do komputera i wpisać do słownika nowe wyrazy, ale Bren nie był zdolny do bardziej ezoterycznych działań.

Pojawiła się Saidin, żeby zapytać, czy paidhi zechce zjeść kolację i czy jego osobisty personel zje w tym samym czasie czy później.

Paidhi nie wiedział. Personel paidhiego nie poinformował go. Nie wiedział, czy w porze kolacji będzie w apartamencie czy może zostanie zamknięty w odosobnieniu.

Saidin jednak nie o to pytała.

- Mogę jedynie żywić nadzieję, że twoje założenie okaże się słuszniejsze od mojego - rzekł Bren. - Nand' Saidin, nie jestem uporządkowanym ani punktualnym gościem. Przepraszam za siebie i za mój personel.

- Nandi - odparła Saidin z ukłonem - nie sprawiasz żadnych kłopotów. Podziwiasz wodne ogrody?

Książka. Oczywiście.

- Uważam, że ilustracje są piękne.

- Ja też. Widziałeś Tarasy?

- Na rzece Saisuran? - W książce było dużo tablic z roślinami wodnymi, delikatnie przedstawionymi w pastelowych barwach. - Nie, obawiam się, że paidhi ma bardzo niewiele okazji. Wycieczka do Malguri była czymś wyjątkowym.

- Jeśli będziesz miał okazję, nand' paidhi, to ci je polecam. Są dość blisko Isgrai'the. To bardzo popularne miejsce.

Zaintrygowały go słynne wodne ogrody i rezerwat w Isgrai'the. Oraz myśl, że kiedyś może nadarzy się okazja, by je obejrzeć.

Najbardziej jednak zaintrygowała go bezprecedensowa osobista rozmowa z madam Saidin. Książka prawie na pewno była jej ulubioną. Człowiek cieszył się z odkrycia wspólnych, nie wzbudzających kontrowersji zainteresowań; źródła zwykłej, przyziemnej rozmowy.

Opiekunka domu wyczuła napięcie u gościa i być może spełniła tylko swój obowiązek; albo może, biorąc pod uwagę, że wiadomości o tym, co się dzieje w domu, już raz dotarły do Ilisidi...

Jest zbyt krytyczny. Zbyt podejrzliwy. Kroci mu się los Wilsona - człowieka, który nigdy się nie śmiał, a nawet nie uśmiechał.

- Dziękuję ci, nand' Saidin. Dziękuję za polecenie mi Saisuranu. Mam nadzieję, że uda mi się go zobaczyć. Bardzo bym tego chciał. Naprawdę.

- Ateva też ma tę nadzieję, nand' paidhi - rzekła Saidin i wyszła z pokoju, a paidhi myślał - skąd się to u niej wzięło i co naprawdę chciała powiedzieć, co i z jakich źródeł w apartamencie Tabiniego słyszała? A może po prostu siedząc, i wpatrując się w zasłony, przedstawiał sobą tak

przygnębiający i smutny obraz, że szafarka gościnności po prostu spełniła swój obowiązek względem damy, która kazała opiekować się gośćmi?

Znał umysłowy labirynt, w który się zapędził, szalone przeskoki między atewskimi i ludzkimi uczuciami, półtłumaczenia pojęć w tym dziwnym sobowtórzym języku, który jego umysł zaczął tworzyć podczas tego niesłychanego tłumaczenia w obie strony, kiedy Bren słuchał jednego języka i przekładał go na drugi, nie mając czasu na subtelności ani dokładność - skacząc rozpaczliwie z jednego śliskiego kamienia na drugi, by zaczerpnąć obraz z otwartej książki leżącej na podnóżku - wodne kwiaty, kamienie wśród odbłasków słońca na wodzie...

Gdyby gość spróbował skorzystać z tych wyimaginowanych kamieni, to postąpiłby bardzo niemądrze. Bren wiedział, że są zdradliwe - pamiętał mospheirańskie strumienie, nad które w tym oszalałym, podzielonym świecie Saidin też nie mogła przyjechać.

Było takie jedno miejsce bardzo dawno temu - strumień dość oddalony od szlaku, którym przyszedł od strażnicy, kamienie, które w lecie zakrywała woda...

Kiedy jednak poszło się daleko w górę od tego stawu, o czym kiedyś mówiono w obecności chłopca, to dochodziło się do wysokiego wodospadu. U jego stóp nie było słychać nic prócz grzmotu wody, po prostu się tam stało, będąc owiniętym w wydęte zasłony mgiełki...

Wietrzne, szare niebo nad nim, wiatr odrywający się od szczytu; huraganowe wiatry przyginały drzewa i zalewały deszczem młodego i bardzo nierozważnego turystę. Przemókł do suchej nitki. Żeby nie zamarznąć musiał zejść do tej strażnicy.

Było tyle na wpół przemyślanych doświadczeń, które sprawiły, że jest, kim jest, i gdzie jest. Pamiętał, że szedł długo po tym, jak pomyślał, że kolana już nigdy nie przestaną mu się trząść. Wiedział, że głupio zrobił. Wiedział, że może zamarznąć na śmierć - to znaczy wiedział, że ludzie zamarzają w górach, ale nie przytrafiało się to dwunastoletnim chłopcom - on nie zamarznął, nie może zamarznąć, jemu się to nie przydarzy.

I rzeczywiście. Na szlaku odszukał go strażnik, który dał mu ocieplane ponczo, nazwał go głupim dzieciakiem i powiedział, że powinien być mądrzejszy.

„Tak, proszę pana”, odparł wtedy pokornie; wiedział, że nawet jeśli mu się udało, to był bardzo bliski śmierci, i zdawał sobie sprawę, że chodzenie po górach bez patrzenia w niebo nie było najmądrzejszym wyczynem w jego życiu.

Nigdy też nie zapomniał burzy zgarniającej płachty wody ze szczytu wodospadu. Nigdy nie zapomniał, że był częścią wody, burzy, dźwięków i żywiołów. Poczul coś, co dało mu pewność, że nigdy tego nie zapomni. Zastanawiał się, podczas bolesnego schodzenia w dół na roztrzęsionych nogach, czy strażnik czuł kiedyś coś takiego.

Zanim dotarli do strażnicy, zaczął zastanawiać się nad tym, co powiedział mężczyzna i doszedł do wniosku, że może strażnik był tam na górze kilka razy, ale głupim dzieciakom z obozu turystycznego nie wolno było tego robić: to właśnie przed głupimi dzieciakami z obozu turystycznego strażnicy chronili przyrodę i wodospad. Zmieszał się wtedy i zrozumiał, dlaczego strażnicy byli zdenerwowani. Przeprosił ich.

Strażnicy zadzwonili do jego matki, nakarmili go i ogrzali. Mężczyźnie, który zwiózł go samochodem na dół powiedział, że może kiedyś będzie chciał zostać strażnikiem.

Przeprosił też za to, że musieli go szukać.

Strażnik zwierzył mu się, że nie miał nic przeciwko wyprawie po niego. Że sam często chodzi szlakiem w czasie zamieci i robi zdjęcia.

Przez resztę drogi strażnik opowiadał mu, jaki sprzęt jest potrzebny, żeby przeżyć w górach i powiedział, że jeśli będzie w okolicy, gdy podrośnie, to powinien do nich przyjść i zapytać strażników o letni program.

Tak jak się to zwykle dzieje, matka nie pozwoliła mu powtórzyć tej eskapady. W następnym sezonie wybrała północne stoki góry Allan Thomas, prawdopodobnie po to, by odciągnąć go od takich wycieczek, więc Bren i Toby zajęli się narciarstwem, od czego znów ucierpiały kolana Brena, łokieć Toby'ego oraz obie ich młodzieńcze czaszki.

Saidin powiedziała, że powinien zobaczyć tamto miejsce. Atevi cenili takie widoki. Atevih poruszały takie rzeczy. W końcu istniało coś, co trafiło do serc obu gatunków, a może do ich umysłów; bodziec, który powodował, że brało się głęboki wdech i czuło to, co oba gatunki czuły w takich niezwykłych miejscach, o co oba gatunki były gotowe walczyć.

Po tej kąpieli pamięci poczuł się mniej poobijany i zdezorientowany. Żałował utraconych szans - nie wysłanych wiadomości; zastanawiał się, co pomyślałaby Mospheira, gdyby poprosił międzynarodowych telefonistów o połączenie go ze strażnicą nad ośrodkiem wypoczynkowym na górze Allan Thomas.

Wyobrażał sobie, jak gimnastykowałiby się szpiedzy po obu stronach cieśniny, usiłując rozszyfrować to hasło. Prawie go to skusiło.

Ostatnio jednak żył w nadziei, że to, co pamięta, pozostało nietknięte, nie zmienione, wciąż żywe w gwałtownie ewoluującym świecie. Spróbował obliczyć, ile wtedy ów strażnik miał lat. Nie pamiętał jego nazwiska. Paidhi - dysponując tak świetnie wyszkoloną pamięcią - nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska strażnika.

Co więcej, bał się usłyszeć, że tamten odszedł ze służby albo zmarł. Bren całe swoje życie prowadził gdzieś indziej, w strachu, że gdyby spróbował wrócić do czegoś, co utracił, to mogłoby się okazać, że to coś się zmieniło - lub że już nie istnieje.

To szczególne tchórzostwo stanowiło jego obronę przed wszystkim, co mogłoby go zranić.

Boże, cóż za pokrętne rozumowanie. Czasami...

Czasami stawał się taką konstrukcją swojej własnej, starannie zbudowanej cenzury i zakazów, że sam już nie wiedział, czy istnieje ktoś taki jak Bren Cameron, czy może obecnego człowieka określa tylko to, czemu pozwolił unieść się ku zwierciadlanej powierzchni jego przeszłości, a reszta jego osoby znajduje się bezpiecznie zatopiona pod tą lśniącą powierzchnią, która wchłonęła dziecięce ambicje, dziecięce marzenia, tak zwanych przyjaciół z dzieciństwa - o których nie chciał myśleć...

Czy stąd brała się jego zdolność wyłączenia ludzkich funkcji i szukania czegoś innego?

Zabrać te kawałki, a zapewne nie wynurzy się spod nich cały człowiek. Rozbić konstrukcję, którą zbudował ze wspomnień, a zniknie coś bardzo ważnego - ta stara historia ze strażnicą była kamieniem podtrzymującym inne kamienie i gdyby okazało się, że ten strażnik nie żyje, pewnie oznaczałoby to dla Brena katastrofę - i dlatego instynktownie trzymał się tego wspomnienia i nie chciał go zmienić, tak jak nie chciał zmieniać innych rzeczy: stłuczeń, tego upadku na ośnieżonym stoku, który stanowił jego pierwsze zetknięcie ze śmiertelnością i kulami, tego ześlizgnięcia się z omszałego kamienia podczas letniej wyprawy w góry ani powrotu do obozu w mokrych butach, który nadał portretowi bajecznych Tarasów fakturę, temperaturę i wartość w jego dorosłym i udręczonym umyśle.

Nie wiedział, na co może mu się przydać gromadzenie coraz większej liczby takich doświadczeń na ścieżce życia, skoro wszystkie je zapomni w chwili śmierci - chyba że liczyło się to, co się z nimi robi: im człowiek staje się starszy, tym bardziej mądrzeje, tym więcej zdobywa władzy.

Może takie właśnie jest tego znaczenie. Robić coś.

W młodości człowiek podejmował ryzyko - choćby to, że wtedy wszedł na tę górę; świeżo po studiach człowiek podejmował ryzyko, które znał, bo miał przed sobą długie życie i myślał, że nic nie grozi dzieciom szczęścia; doświadczony w walce i mający większą możliwość spieprzenia sytuacji, niż kiedykolwiek chciał mieć, człowiek oblewał się krwawym potem, kwestionował każdy

swój krok, przewidywał i pamiętał klęski, ale trzymał się szlaku; pocił się i usiłował wykonać swoją pracę tylko dlatego, że wiedział, iż młodzi i niewykształceni nie mają zielonego pojęcia, dokąd zmierzają.

Strażnik może miał własne powody, żeby się wtedy wspiać na górę. Jednak tamtej nocy poszedł po dzieciaka, który może i zszedłby o własnych siłach, kto wie? Bren był wtedy dzieckiem: może gdyby zszedł o własnych siłach, to dzisiaj zarozumiałstwem i zidioceniem przypominałby Deanę Hanks.

Albo może mógłby spróbować wyprawić się tam jeszcze raz podczas burzy i mieć mniej szczęścia, ale wtedy nie byłoby Brena, po Wilsonie nastalaby Hanks, Tabini miałby do czynienia z nią i cała historia mogłaby mieć inny przebieg. Strażnika, który poszedł w góry w zacinającym deszczu, nie interesowały powracające statki ani międzynarodowe kryzysy i prawdopodobnie nawet by nie słuchał zapewnień Brena, że będzie kimś ważnym - powiedziałyby to, co powiedział: „Trzymaj, mały, ogrzej się”.

Strażnika nie interesował dalekosiężny wynik własnego postępowania. Zrobił to, co zrobił, z przyczyn, które motywowały jego wyjście w góry. Mógłby sprowadzić na dół setkę dzieciaków. Mógłby nie wiedzieć, że uratował komuś życie. Albo skazał planetę na utratę tego, co cenił.

W korytarzu dały się słyszeć kroki. To nie była wiadomość od aijiego, dotycząca aresztowania Brena. To przyszła Saidin, żeby powiedzieć, że niedługo podadzą kolację.

- Wciąż taki zamyślony - rzekła Saidin.

- Wciąż tyle do zrobienia - odparł, myśląc, że najwyraźniej musi napisać ten list do Ilisidi...

I co ma w nim powiedzieć? Przepraszam, że robiliśmy dokładnie to, co podejrzewałaś, a ja zapomniałem zastanowić się nad tym, o co mnie pytałaś?

Przepraszam - zapewnienia, o przekazanie których twoim towarzyszom chciałem cię prosić, mogą nie mieć podstaw?

Kamień do kolejnego oślizłego kamienia. Tabini go nie zaarrestował. A zatem Tabini chce, żeby to zrobił - przynajmniej można się tego domyślać. Napisze po kolacji. Znajdzie dyplomatyczne sformułowania. Znajdzie słowa wyjaśniające jego postępowanie.

Wrócił myślami do potężnych uderzeń zimnych kropli, do deszczu i wycia wiatru. Wszystko było wtedy szare, stracił czucie. Powinien uznać to odrętwienie za oznakę niebezpieczeństwa. Wtedy zwracał uwagę tylko na hałas, otaczające go barwy. Nie wiedział, że może od tego umrzeć. Nie wiedział, że powinien zakwestionować własne reakcje.

Z czasem człowiek powinien się robić mądrzejszy. Przynajmniej tak sobie mówił.

## Rozdział 18

Kolację zjadł w samotności. Algini miał służbę, Tano nadal doglądał spraw związanych z nowym biurem, co zajmowało mu ogromnie dużo czasu. Ani Banichiego, ani Jago jeszcze nie było, a Saidin żadną miarą nie chciała usiąść do stołu w obecności personelu. Wszystko, o czym myślał Bren, wydawało się nosić negatywne piętno. Wciąż miał do ułożenia trudny list do Ilisidi, nie otrzymał odpowiedzi Tabiniego, nie dostał oczekiwanej wiadomości od Grahama i mówił sobie w duchu, że jeśli tak się stało, to nie jest to osobista decyzja Jase'a; nie, na takim poziomie odpowiedzialności decyzje ostatecznie podejmuje kapitan; możliwe, że środki łączności statku są zajęte na potrzeby gorączkowego spiskowania z Mospheirą; wywołać statek i poprosić Jase'a jak jakiś zapomniany podwładny, z którym Graham był umówiony na spotkanie, nie byłoby w tej sytuacji rzeczą najbardziej rozsądną.

Nie najbardziej rozsądną, ale stanowiącą pewne wyjście; co prawda, zawsze powinien pamiętać, że mówi w imieniu Tabiniego, przynajmniej do czasu



aresztowania, a jeśli Jase nie dotrzymuje terminów, to paidhi nie powinien się do niego przymilać. Zadaniem paidhiego jest zawiadomić o tym Tabiniego, co paidhi zrobił, przetłumaczyć odpowiedź Tabiniego, której jeszcze nie otrzymał - zakładając, że Tabini nie stara się powstrzymać wybuchu gniewu - i rozważyć przyszłą oraz terażniejszą wartość paidhiego, zanim wyda rozkaz upchnięcia go w jakimś spokojnym miejscu, gdzie nie będzie sprawiał kłopotów.

Zrobić mu krzywdę - chyba nie. Przyprawił jednak Tabiniego o cholerny ból głowy i dał mu powody do przypuszczeń, że ludzkie rady nie są tak godne zaufania.

Miał nadzieję, że kwestia Jase'a Grahama i cała umowa ze statkiem nie będzie kolejną sprawą, która dziś rozleci mu się w rękach dzięki lepszym łapówkom z Mospheiry. Całkowicie przekreśliłoby to jego szanse u licznych sceptyków w hasdrawadzie i tashridzie, a jeśli miałyby zgadywać, co jest przyczyną przedłużającej się ciszy, to założyłyby się, że „Feniks” używa wszelkich środków, by dowiedzieć się, czym rzeczywiście dysponuje Mospheira.

Jeśli miałyby zinterpretować dwudniowe spóźnienie Grahama, to znakomicie zbiegło się ono z nową propozycją Mospheiry, i Bren nie spodziewał się, że w takim stanie rzeczy dyplomatyczne przeszkody przewrócą się niczym kostki domina; kiedy w grę wchodzi tyle interesów, to sprawy po prostu tak się nie toczą.

Co oznaczało, że jeśli upadnie propozycja wysunięta pod adresem statku, to może też upaść inicjatywa Mospheiry i oferta Brena współpracy z prezydentem.

Wtedy zaś będzie musiał zaczynać wszystko od początku, i to ze znacznie naruszoną wiarygodnością, nawet jeśli Tabini pozwoli mu o czymkolwiek decydować. Jeśli będą musieli wrócić do negocjacji, Tabini nie wycofa się z tego, co już uznał za swoje - choć Tabini mógłby sprawiać wrażenie, że się wycofuje - i zaatakuje sprawę z innego kierunku, co jest jednym z drobnych przywilejów przywódcy mającego niezachwiany kredyt zaufania wyborców. Możliwe, że chcieliby wtedy na jakiś czas odciąć łączność. Nie byłoby to coś, co zasugerowałyby paidhi. Ale...

Może statek znalazł jakąś techniczną usterkę w ładowniku. Może chcą przełożyć datę lądowania ze względów bezpieczeństwa i czekają na raporty.

Może po prostu analiza danych, które na pewno zbierają, zajmuje dużo czasu.

Człowiek na pewno musiał sobie zadawać pytanie, jakimi motywami kieruje się kapitan, rozmawiając tak otwarcie z Mospheirą, skoro musiał wiedzieć, że kontynent odbiera te rozmowy? Bren był stosunkowo pewien, że mogli je kodować za pomocą szyfrów znanych wyłącznie departamentowi obrony.

Statek jednak tego nie zrobił, chyba że coś idzie przez teletetrię.

Mógł tak dalej kręcić się w kółko. Nie ma nic gorszego niż tkwić w informacyjnym zaciemnieniu.

Trzymał się herbaty, nie alkoholu, powiedział sobie, że nawet te ilości, które w siebie wlewa, nie są obojętne dla stanu jego nerwów i że musi przestać traktować wychylenie całych filiżanek jako jedyne lekarstwo na myślenie i działanie - herbata pozbawiona alkaloidów mimo wszystko wyrosła na tej planecie i zawiera drobne ilości środków pobudzających, które mogą się kumulować.

Ale - cholera! - nie pozwalała wyschnąć ustom. Pomyślał, czyby nie poprosić o herbatę z lodem, co jednak zgorszyłoby personel. Bardzo już pragnął, żeby to zbliżające się ochłodzenie wreszcie nadeszło. Rzeźkie poranne wiatry od morza zmieniły się w typowo duszną noc i mimo że ukryta wentylacja była, ogólnie rzecz biorąc, skuteczna, Bren tęsknił za jesienią, kiedy to mógł przykrywać się stertą koców i spać całą noc. Sen wydawał się coraz bardziej atrakcyjny, nawet samo położenie się do łóżka, a on wciąż musiał jeszcze napisać wstępną wersję tego listu do Ilisidi.

- Nand' paidhi - powiedziała służąca, podchodząc do stołu - nand' paidhi, telefon.

Jase, pomyślał i pośpiesznie wstał z krzesła. Jego ponury nastrój natychmiast prysnął - był gotów zająć się sprawami statku, lądowiska, lądowania, całą przyszłością, z którą inaczej nie mógł dać sobie rady.

- Bren?

Barb.

- Halo? Bren?

Sekunda na złapanie oddechu, przestawienie umysłowych zwrotnic i języków, żeby mógł myśleć o tym, czego chce Barb.

- Tak - powiedział.

- O co chodzi, Bren?

- O nic.

- Prosiłeś mnie, żebym pojechała do twojej matki.

Pamiętał. Pamiętał rozmowę z Tobym, która nie rezydowała w tym samym obszarze pamięci, co Tabini, Ilisidi i Jase Graham.

- Tak.

- Czy możemy rozmawiać?

- Tak, tak, mów.

- U niej wszystko w porządku. Jest trochę przestraszona. Ktoś napisał kilka listów, ktoś ciągle telefonował, zostawiał wiadomości, zdobył kilka z jej prywatnych numerów.

- Prywatnych numerów.

- To są rzeczy, do których nie powinni móc się dostać. Powiedziała, że nic jej nie jest. Zajęła się tym policja.

Rzeczy, do których nie powinni móc się dostać. Numery dostępu. Dostęp do systemów. A więc nie jest to ktoś przypadkowy, z ulicy. To pachniało agitorami Dziedzictwa. Powiązaniemi. Zawodowcami, którzy telefonują i doprowadzają człowieka do szaleństwa.

- Tak. Powiedziałaś jej, że u mnie wszystko w porządku?

- Jasne. - Chwila ciszy. - No to, co u ciebie?

- Wszystko w porządku.

- Kiedy podniosłeś słuchawkę, sprawiałaś wrażenie trochę rozkojarzonego.

- Chyba tak. Spodziewałem się służbowego telefonu. Przepraszam.

- No więc, co u ciebie?

- Już zdjąłem piankę. Żadnych problemów. Dzięki, że mi to załatwiłaś.

- Jasne, dzięki, Bren.

- A co u ciebie?

- Wszystko dobrze. - Kolejna chwila ciszy. - Właściwie czekałam na twój telefon.

Przez chwilę nie rozumiał tego, co usłyszał. Powtórzył sobie to dwa razy w myślach i spokojnie zaczerpnął tchu.

- Bren?

- Barb, nie ma wyboru. Nie ma żadnego wyboru. Nie będę do ciebie dzwonił. Zrobiłaś to, co musiałaś. Moim zdaniem postąpiłaś słusznie... - Odnalazł w sobie pewność, że nie wróci na Mospheirę. W każdym razie nieprędko. A jeśli już, to zmieniony.

Nie mógł jednak tego powiedzieć Barb. Ani Shawnowi. Nie mógł pozwolić im na wyciągnięcie wniosków, bo inaczej Tabini straci swego dobrego pośrednika.

- Chyba powinnaś nad tym popracować, dać Paulowi szansę. To sympatyczny facet.

- Kocham cię, Bren.

Manewr ten zabolął go tylko o tyle, o ile Barb prosiła w ten sposób o reakcję i pocieszenie. I o ile dawało to świadectwo czegoś, z czym Bren nigdy nie chciał się u niej zetknąć. Coś, co włączyło u niego dzwonek alarmowy podczas ostatniej rozmowy. I to wyliczenie telefonów w czasie. Jej wiadomość, którą zostawiła dlań po jego wyjeździe. To, że nie przyszła do szpitala.

Sądził, że odwracając się od niego, aplikuje mu dawkę rzeczywistości. Nagle zwątpił, czy sama ma jej aż tyle, że może ją jeszcze rozdawać.

- Bren?

Łzy. Usłyszał to drżenie głosu.

- Nie mogę ci pomóc - powiedział. - Nie mogę tego naprawić. Słyszysz?

- Bren. Nie wiesz, jak to jest, naprawdę nie wiesz, masz wokół siebie cały rząd, a my cię przed tym chronimy, wszyscy cię chronią, bo przyjeżdżasz do domu, żeby odpocząć, ale my z tym żyjemy, żyjemy z tym cały czas. Twoja matka boi się odbierać telefony, twój brat się boi - mówią, że przeszedłeś na stronę atevich, że nas sprzedajesz i ludzie w to wierzą - wierzą w to również ludzie w pracy, i to nasza wina, prawda? A nam pozostaje tylko potrząsać głowami i mówić: „O, nie, Bren taki nie jest, Bren by tego nie zrobił, Bren po prostu zdobywa, co się da”. Ale do mnie dzwonią reporterzy, system ma dla mnie stertę wiadomości, moi rodzice się boją...

- Tym bardziej powinnaś się trzymać z daleka ode mnie.

- Podobno nie wracasz do domu.

- Kto tak mówi?

- Ludzie. Po prostu ludzie.

- Wykonuję swoją pracę, Barb. Tak jak zawsze. - Nie miał w zwyczaju okłamywać Barb. Spadała kolejna zasłona. Matce ani Toby'emu nie było gorzej, niż już o tym wiedział. To, że nie przyszli do szpitala, zaczynało być bardziej zrozumiałe. Może to dobry powód i odpowiednia pora, żeby stanowczo się pożegnać. Zostawić grę tym, którzy do niej weszli. - Trzymaj się, Barb. Nie zwracaj uwagi na głupców. I nie toleruj ich. Jak będą do ciebie dzwonić, zawiadom policję.

- Już to zrobiłam. W wielu przypadkach, o których nie wiesz. To znaczy na długo przed tym, co dzieje się teraz, Bren. W wielu przypadkach.

- Nic już więcej nie mogę zrobić ani powiedzieć, Barb. Nie będę dzwonił. Słyszysz? Nie odkładaj na później reszty życia. Podjęłaś dobrą decyzję. Więc się jej trzymaj.

- Nie mów tak do mnie!

- Znasz Wilsona. To moja rzeczywistość. Nie twoja.

- Do cholery, nie! Bren, nie odkładaj słuchawki!

- Nie dramatyzuj, Barb. Nic ci to nie da. Dobranoc, zobaczymy się jeszcze kiedyś, wyprostuj sobie życie.

To ona trzasnęła słuchawką.

Boże, pomyślał i stał tak przez chwilę, świadomy, że w pobliżu są służące. Zawsze. Zawsze świadkowie. Atevi nie mieli ani jednego słowa na „samotny”. Tylko - „bez man'chi”.

Odłożył słuchawkę na widełki i stał, przyciskając do siebie bolącą rękę; stał i nie miał dokąd pójść, skoro został wezwany do zapłacenia rachunku. Bolało go to. Zawiódł się na Barb. Sądził, że Barb ma wszystko lepiej poukładane. Sądził - sam nie wiedział, co. Sądził, że to może jemu brakuje tego czegoś, z czego tworzy się związki. To był jednak o jeden zwrot za dużo, za dużo o jeden rykoszet od decyzji do decyzji - i Barb jeszcze spodziewa się ratunku. Barb spodziewa się pochwał za życie, które w pojęciu Brena po prostu trzeba prowadzić.

Może tym właśnie był dla Barb. Życiem ze snów. Ratunkiem przed przyziemnością. Kiedy narósł prawdziwy świat, kiedy zaczął do niej wydzwaniać i wdzierać się w jej życie - uciekła do Paula. Ale świat nie dawał za wygraną, a Paul nie rozwiązał problemu - więc wścieka się na Paula i kocha Brena. Barb nie chciała stawiać czoła rozszłoszczonym ludziom na ulicy. Nie takie były jej marzenia. Chciała po prostu związku, którego mogła z niecierpliwością wyglądać. Gruszki na wierzbie... kiedy on wróci do domu... Zawsze, kiedy on wróci do domu.

Niezbyt życzliwa analiza. Ból jednak przeszedł z powrotem we wściekłość, i dwie zupełnie różne rzeczy wskoczyły na miejsce: Paul i jego komputery; Bren i jego nieobecności. Przyszło mu do głowy, że Barb nie chce

zaangażowania, nie pragnie w związku codziennej rzeczywistości. Chce czekać. I to robi. Będzie czekała. Nieważne, jak bardzo będzie się wysilał, żeby ją obrazić - nie uda mu się to. Kłócili się już przedtem i Barb znajdzie powód, żeby mu wybaczyć zakończenie rozmowy; przestanie się złościć i będzie na niego czekać. Będzie rozmawiać z koleżankami w pracy o ich wznowianej i zrywanej znajomości. Jej kłopoty przyćmią wszystko. Będzie fantazjowała na temat jego powrotu. To, co miała, zawsze było nic nie warte. To, na co czekała, zawsze było cudowne.

Bynajmniej nie jest to życzliwa analiza.

A pewnie. Bren był jednak wściekły jak nigdy podczas trwania ich związku, a ciągnęło się to od tej nie tak przypadkowo wyliczonej w czasie wiadomości, którą go powaliła. Jest człowiekiem wykorzystywanym przez agencje; zna się na transakcjach, potrafi je śledzić i oceniać. Potrafi też poznać, kiedy wykorzystywanie staje się oburzające, rozpoznaje planowanie w czasie mające wywołać kryzys, telefony obliczone na zajęcie całej uwagi i nie pozostawienie żadnego wyboru - za każdym razem Barb dzwoniła do niego wtedy, kiedy cholernie dobrze wiedziała, że Bren kończy swój dzień i usiłuje pójść spać. Potrafi rozpoznać naciskanie przeciwnika do granic jego wytrzymałości, a zachowanie bazujące na nocnych, naładowanych emocjonalnie wiadomościach dla byłego kochanka zamiast na trzeźwych telefonach w dzień układało się we wzór, który uruchamiał dzwonki alarmowe w jego podświadomości; wzór dowodzący tego, że przez ostatnie kilka lat podświadomość Brena lepiej niż jego czujny mózg orientowała się w uczuciach, których doznawał.

Tabini stawiał człowieka pod ścianą. Departament też by to zrobił.

I właściwie tak było. Nie spało się jednak z nimi w jednym łóżku, oni nie mówili człowiekowi, że go kochają - atevi nie znają tego słowa, departament nakazał ograniczyć jego używanie, a Barb posługiwała się nim, by zdobyć to, czego w danej chwili chciała.

Boże, przynajmniej nauczył się kilku rzeczy z semantyki.

Póki umysł pracował mu na ludzkim zakresie fal i chwilowo był wolny od jego własnych pobożnych życzeń, Bren podniósł słuchawkę, żeby załatwić kolejną nieprzyjemną i nieuniknioną rozmowę figurującą w jego rozkładzie zajęć, zanim weźmie się do pisania tego cholernego listu do Ilisidi.

- Nadi - powiedział do telefonisty Bu-javid - zadzwoń do Hanks-paidhi. Mówi Bren Cameron.

- Tak, nand' paidhi.

Zaczerpnął tchu, póki telefon dzwonił, oparł się ramionami o ścianę, żeby odciążać nogi i oprzeć cmiącą bólem głowę - i czekał. Miał nadzieję, że Hanks nie jest w złym humorze. Przysiągł sobie, że jeśli go zdenerwuje, to załatwi jej spotkanie z maszynką do mięsa. Chciał kłótni na równych prawach, oko w oko, a nie na odległość. Chciał, do cholery, ludzkiej rozmowy na jakichkolwiek warunkach. Hanks przynajmniej walczy uczciwie i Hanks jest pod ręką.

Obsesyjne zachowanie. Późne telefony. Barb rozregulowała jego zegar biologiczny.

Cztery dzwonki.

- Mówi Deana Hanks.

W języku atevich. W grzecznie sformułowanym języku atevich.

- Dobry wieczór, pani Hanks. Jak tam sprawozdanie?

- Pracuję nad nim. Robię, co mogę. Samodzielnie, Cameron. Wykorzystuję twoje informacje.

Przerzucił się na mospheiran.

- Mam drobną wiadomość, która chyba cię zainteresuje. Byłem w miejscowym obserwatorium i rozmawiałem z tamtejszymi astronomami o teorii, do zrozumienia której nie mamy wystarczającej liczby pojęć. Dostałem raport. Nie wiem, o co w niej chodzi, ale problem podróŜowania szybciej niż światło podsunałem im jako paradoks. Jest tam pewien dżentelmen, który pracuje nad czymś o pochodzeniu ludzi, co przynajmniej doprowadziło do rozmów między as-

tronomami i matematykami. Nie wiem, czy cokolwiek to rozwiązało - bardzo się tym wszystkim denerwuję. Jest to jednak ateńska koncepcja. Wydaje się, że są na właściwym tropie.

Cisza.

- Myślałam, że tego właśnie nie chcesz.

- Problem istnieje. Czy ci się to wymknęło czy nie, nie da się już tego zatrzymać. Ten ateński dżentelmen doszedł chyba do pojęcia czasoprzestrzeni - prześlýsku odpowiedzi czekającej na właściwe pytanie. To stare spekulacje: ateńska teoria w końcu wyprzedza inżynierię.

Następna długa cisza.

- Akurat teoria SNŚ?

- Inne nauki nadażały za tym, co im podrzucaliśmy - to wypełniało im czas. Astronomowie nie otrzymywali jednak od nas danych, które zajmowałyby im całą uwagę. Ich praca polegała na dowodzeniu, co i dlaczego przeoczyli. Skupili się na nas - skąd przybyliśmy i dlaczego tego nie wiedzą? Żadnej efektownej inżynierii. Po prostu zastanawiali się, czy mogą wierzyć swoim pomiarom. Pytali, jak poznać prawdziwe odległości.

- To zupełnie niewiarygodne, Cameron.

- A potem przeszli do trudnych pytań. Ile lat ma wszechświat? Jak dostał się tu statek? Czy jest tam jakaś substancja? Czy eter naprawdę istnieje?

- Nabierasz mnie, tak?

- Nie. Pomyślałem sobie, że chciałabyś wiedzieć, co się dzieje. - Fala adrenaliny opadła. Oparł się swobodnie o ścianę i wypuścił powietrze z płuc, właściwie zadowolony, że uzyskał zdrową, samozachowawczą reakcję. - Możemy mieć odmienne poglądy, ale bądźmy profesjonalistami: nic, co mogłoby zaszkodzić atevim. Oboje popełniamy błędy, to wszystko. Nie da się tego uniknąć. Departament nie bardzo nam tu pomaga. Możemy coś zawalić. Coś poważnego. Spróbujmy tego uniknąć.

- O co ci chodzi, Cameron? Czego tak naprawdę chcesz?

- Usłyszeć twój głos. Miałem ciężki dzień. Statek wciąż rozmawia z atevimi i Mospheirą, więc wiesz... Nadal nie mamy lądowiska - ciągle czekam na telefon.

- Moje źródła mówią, że tym pojazdem będzie lądownik. Stary lądownik nie wykorzystany przez stację.

- Twoje źródła mają rację.

- Graham i Mercheson?

- Znów racja. Skąd ty bierzesz swoje informacje?

- Dokładnie stamtąd, skąd pozwalają mi je czerpać twoi atevi, prawda?

- To nie moje polecenia.

- Akurat.

- Gdybym mógł ci zaufać, że wypełnisz rozkazy, pewni atevi mogliby się teraz przespać, nie uważasz? Podobnie jak my oboje. Chciałbym tego, Deano. Mamy do wykonania jedno zadanie - utrzymać pokój. Żadne z nas nie chce, żeby został naruszony. Nie zgadzamy się ze sobą, ale przynajmniej jest coś, czego oboje nie chcemy.

- To jakie są wiadomości ze świata zewnętrznego?

- Posiedzenia komisji. Następne posiedzenia komisji. Narady. Matematycy zwołali konferencję. - Gdy tylko zaczął mówić o sprawach dworu, mimowolnie przerzucił się z mospheiranu na język atevich. - A tak poważnie, jak ci idzie z tym sprawozdaniem? Masz wszystko czego ci trzeba?

- Mam kilka szczegółowych pytań.

- Mogę na nie odpowiedzieć?

- Potrzebne mi liczby dotyczące transportu. Jaka jest comiesięczna dyspozycyjność cystern i platform, ich wiek, typ, tonaż, i tak dalej, na liniach północnych?

- Boże, mogę ci to zdobyć. Mógłbym ci z grubsza powiedzieć.

- Jednym uchem wlatą, drugim wylatą. Jeśli jednak mam się pobawić i dać ci przykłady, to potrzebna mi wartość początkowa.

Następna swoją ofertę rozważył bardzo starannie. Jednak wszyscy członkowie komisji transportu oprócz Kabisu opowiedzieli się zdecydowanie po stronie Tabiniego - ta komisja stanowi obszar najmniejszego zagrożenia.

- Mógłbym przydzielić ci nieco czasu na posiedzeniu komisji, jeśli chciałabyś się z nią spotkać. Najpierw umówiłbym się z asystentami i powiedziałbym, czego będziesz potrzebowała.

- A gdzie jest haczyk, szefie?

- Nigdzie. Nie widzę żadnego problemu. Z góry przygotuj sobie słownictwo. Nie zrób nam wstydu.

- Cameron...

- Ani nie bądź głupia.

- Nic nie powiedziałam.

Zdecydowana poprawa w kwestii temperatury.

- Załatwię ci to.

- Na kiedy?

- Jutro zobaczę się z ministrem, a przynajmniej mam taką nadzieję, jeśli nic nie wyskoczy. Dużo komisji ostatnio się nie wysypia. Ale Wielki i Drobny Handel, a także Transport mają dość personelu, a to jest ważna praca. Tylko bez żadnego politykierstwa, Deano.

- Nie mów mi...

- Deano... W porządku?

- W porządku.

Odetchnął.

- Chcę ci powiedzieć...

- Tak?

- Deano, doceniam twoją współpracę. Miałaś cholernie twarde lądowanie na stanowisku, zdaję sobie z tego sprawę. Chciałem ci tylko powiedzieć...

- Tylko nie utońmy w czułości.

- Spokojna głowa. Czy możemy po prostu...?

- Wiem... Boże! O, Boże! Baighi?! Baighi?!

- Deano?!

Coś głucho trzasnęło. Baighi był ochroniarzem. Bren usłyszał, że telefon spada na ziemię, dobiegł go stłumiony głos Deany - miał na tyle przytomności umysłu, żeby wcisnąć guzik nagrywania, a wypadając na korytarz, nie odłożyć słuchawki.

- Algini! - wrzasnął i wybiegł aż na centralny korytarz, prowadzony spojrzeniami wstrząśniętych służących.

- Nand' paidhi! - Algini spotkał go w pół drogi do foyer z pistoletem w dłoni. Zewsząd nadchodziły służące. - Co się stało?

- Hanks-paidhi ma kłopoty. Coś się wydarzyło. Wyślij na dół ochronę. Chyba słyszałem strzał. Rozmawiałem z nią przez telefon. Pośpiesz się!

Algini o nic nie pytał, tylko pobiegł do posterunku ochrony. Bren zawrócił spod jadalni, roztrącając grupę niespokojnych, przestraszonych służących.

- Nie wychodźcie na zewnątrz - powiedział. - Drzwi zamknięte. Gdzie jest Banichi i Jago?

Szmer odpowiedzi, szeroko otwarte, przestraszone oczy. Nikt nic nie wiedział. Tano wyszedł gdzieś w interesach. Algini był sam. Zjawiła się Saidin, spóźniona i zaniepokojona.

- Nadi - powiedział do niej Bren tak spokojnie, jak tylko potrafił - miał miejsce zbrojny atak na Hanks-paidhi. Zadzwon do aijiego. Ostrzeż go. Sprawdź wszystkie drzwi prowadzące na korytarz. - Chciał wrócić do telefonu i posłuchać, co się tam dzieje, ale nie było żadnej pewności co do celu ataku i czy został już osiągnięty; Bren wpadł do swojej sypialni i wysunął po kolei szuflady komody, pod stertami ubrań rozpaczliwie szukając pistoletu, który według słów Banichiego tam się znajdował.

Szósta szuflada po lewej. Wyciągnął go spod swetrów, sprawdził magazynek, tak jak pokazał mu Tabini, ale kiedy umieszczał go z powrotem w kolbie, zaczęły mu się trząść ręce. Wstał, wsunął pistolet pod pachę złamanej ręki, wyszedł z sypialni i poszedł korytarzem do prywatnych pokoiów lady, gdzie stał telefon, z którego rozmawiał z Hanks.

Aiji mógł złuzować ochronę w każdej chwili. Tak powiedziała Jago. Pamiętał o tym, kiedy wszedł do gabinetu i wziął do ręki słuchawkę.

Wydawało się, że połączenie zostało przerwane. Trudno mu było to ocenić. Zaczekał chwilę, myśląc o rozkazie aresztowania, z którym igrał - spojrzął w kierunku na wół oświetlonego korytarza. Światło sięgało tam, gdzie stał, do wysokości gabinetu. Reszta korytarza w kierunku osobistych pokoiów lady była ciemna.

Odłożył słuchawkę, ale nie zatrzymał taśmy. Apartament rozbrzmiewał wokół niego cichymi odgłosami zamykanych i otwieranych drzwi - to prawdopodobnie służące śpieszyły sprawdzić stan zabezpieczeń. Wrócił na korytarz, mając z prawej strony światło, a z lewej ciemność - ciemność kamuflującą bez śladu cienia. Bardzo chciał zerknąć z balkonu w dół, do ogrodów, gdzie znajdował się apartament Hanks, żeby stwierdzić, czy to był pojedynczy atak czy może dzieje się coś poważniejszego - poważniejszego, czyli działanie przeciwko panującemu porządkowi. A gdyby mu się to nie udało, to chciałby zapytać Alginiego, czy się czegoś dowiedział.

Aby jednak wrócić do foyer, gdzie był Algini, człowiek musiałby przejść przez pokoje o szerokich oknach, znajdujące się w oświetlonej części apartamentu, co stanowiło duże ryzyko.

Przeciwny kierunek oferował osobie znającej rozmieszczenie mebli i potrafiącej znaleźć drogę po ciemku możliwość wyjrzenia na zewnątrz bez ustawiania się na tle światła, możliwość sprawdzenia z góry, czy i gdzie na dole palą się lampy oraz czy poszukiwania koncentrują się w wyższej czy niższej części wzgórze.

Co więcej - Brenowi przyszło do głowy, że nie było tu żadnych służących. Tylne drzwi balkonowe dające przewiew w pokoju śniadaniowym najprawdopodobniej były starannie zamknięte - o tej porze człowiek się tego spodziewał - ale wszystkie służące sprawdzały publiczne, bardziej ruchliwe pomieszczenia apartamentu; nie mógł ich tu wezwać, nie narażając ich na ryzyko przejścia obok oświetlonych drzwi czy okien, a sprawdzenie tych balkonów nagle wydało mu się pilne. Był pewien, że drzwi są zamknięte: nie czuł żadnego powiewu - ale to, czy na zamek, to już była zupełnie inna kwestia; poza tym służące mogły nie doświadczyć dwóch ostatnich ataków i nie posiadać broni groźniejszej niż kuchenne noże.

Ruszył szybkim krokiem przez korytarz - tak jak się spodziewał, w pokoju śniadaniowym było ciemno, a białe zasłony wisiały nieruchomo w świetle księżycy zmieszanej z miejską poświatą. Wysunął spod kaftana dłoń z pistoletem i ruszył energicznym krokiem wzdłuż ściany, uznając brak przeciągu czy ruchu zasłon za dowód, że drzwi balkonowe są zamknięte - inaczej w pokoju prawie zawsze było przewiewnie.

Rozsunął drzwi, pewien, że nikt nie może go dostrzec. Ujrzał światła, odbijające się między niższymi dachami - światła, których wcale nie powinno tam być. Jedno takie światło poruszyło się na jego oczach wzdłuż linii dachu; Bren pomyślał, że to ktoś z lampą - widział ją spod ściany, wzdłuż której się posuwał.

Wtedy poczuł przeciąg - zobaczył ruch zasłon i ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że drugie, dalej położone drzwi są otwarte.

Zatrzymał się. Nie wiedział, czy nie były one otwarte cały czas. Niemal się wycofał, a potem pomyślał, że właśnie po to przyszedł - musi zamknąć te drzwi na zamek.

Podszedł do nich i już chciał je zamknąć, kiedy poczuł czyjaś obecność w pokoju - nic nie widział i nie potrafił niczego zidentyfikować... nie mógł przysiąc, że ktoś tam jest. Poczuł, jak w panice pocałował mu się dłonie.

Nie okazuj, że już nie śpisz, powiedział mu kiedyś Banichi. To podobna sytuacja. Powoli cofnął się z bronią w dłoni, zadając sobie pytanie: Co teraz? - nie wiedział, czy to zadziałała jego wyobraźnia; nie wiedział, czy to ktoś z jego personelu; nie wiedział, co robić.

Szklane drzwi obok niego rozprysły się w huku strzałów, zasłony zatrzepotały, posypały się odłamki szkła, i ktoś - jednak go wyczuł - rzucił się na niego z ciemności, przewrócił oszołomionego na ziemię i osłonił własnym ciałem. Pistolet wypadł mu z ręki. Potężny ciężar przyciskał go do płytek podłogi. W zasłony uderzyła druga seria strzałów, światło omiotło balkon. Ateva leżał na Brenie, ciężko dysząc, a nad ich głowami przelatowały kule, orząc ściany i zasypując ich kawałkami tynku i porcelany.

Kiedy strzały ucichły, ateva wstał na czworaki i wyszedł przez strzaskaną drzwi, dając Brenowi sekundę na rzucenie się po ciemnej i zasypanej odłamkami podłodze na poszukiwanie pistoletu - znalazł go po omacku, ale przy tym upadku jego głowa zderzyła się z podłogą, ręka bolała go z rozmyślną wściekłością, a kiedy próbował wstać, kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Przynajmniej umilkły strzały. Stwierdził, że siedzi w ciemności na podłodze pokoju śniadaniowego. W końcu podciągnął osłabłe nogi i ostrożnie ruszył na czworakach w kierunku roztrzaskanych drzwi z pistoletem w trzęsącej się dłoni.

- Na ziemię!

Był to głos Banichiego, który mocno go chwycił za ramię. Noc zrobiła się czerwona i Bren usiadł, na chwilę pozbawiony tchu i wzroku, podczas gdy Banichi stanął w wyjściu na balkon i zasłaniał mu to, co się działo na zewnątrz - Bren pomyślał, że Banichi obserwuje, ale nie ma szczęścia dostrzec wyraźnego celu. Jest tam po prostu za dużo osób, za dużo okien.

Ale jeśli atak dotarł aż tutaj...

- Co z Tabinim? - spytał Banichiego.

- Bezpieczny - odparł ateva. - Nie podnoś się, nadi!

- Przepraszam - szepnął. - Sprawdziałem drzwi.

- Ateva widział. Wszedłem tędy. Nie podnoś się.

W przypływie bólu płynącego z ramienia chwilowo najwygodniej mu było siedzieć w embrionalnej pozycji. Ręka bolała go tylko trochę.

- Gdzie...? - Przyszło mu do głowy, żeby o to zapytać. - Gdzie jest Hanks? Czy to prowokacja czy...?

- Hanks-paidhi zniknęła ze swojego apartamentu - odparł Banichi - a Baighi nie żyje.

A zatem nie jest to dzieło Tabiniego. Baighi należał do jego personelu. Hanks znalazła się w rękach kogoś innego.

- Rozmawiałem z nią przez telefon - powiedział, wciąż mając trudności z oddychaniem. - Usłyszałem coś, co mogło być strzałem, włączyłem nagrywanie...

- To się przyda - zauważył Banichi. - Czy wciąż się nagrywa?

- Chyba że ktoś zatrzymał taśmę. Gabinet damy. Nie przerwałem połączenia.

- Zajmę się tym - rzekł Banichi. - Czy nic ci nie jest, Bren-ji?

- Nie. Kto był na zewnątrz? Kto to zrobił?

- Nie jestem pewien. Chyba nikogo nie trafiłem.

- Ilisidi... - Aż do tej chwili nie pomyślał o apartamencie Ilisidi leżącym poniżej, o możliwości zagrożenia jej życia albo - z czego nagle zdał sobie sprawę - jej współudziału.

To jednak było zbyt szalone. Taki atak - pozbawiony wszelkiej finezji - to nie robota Cenediego. Cenedi nie musiał niszczyć ścian.

Możliwe, że to sami Atigeini. Rozwścieczeni krewni Damiri mogli uznać, że drzwi stanowią niewielką cenę za pozbycie się człowieka z siedziby przodków i poprawienia sobie opinii u konserwatystów, z którymi mieli więcej niż drobne powiązania...

Dwie bardzo dobre, bardzo niepokojące możliwości. A on mógł mieć nadzieję, że to Atigeini - mógł mieć poważną nadzieję, że to Atigeini - albo



nawet Guisi. Ateva, który strzelił do niego w legislaturze, ateva, którego zabiła Jago - jego krewni mogli zaplanować odwet, tyle że...

- Sprawa przeciwko mnie - powiedział do Banichiego - nie przeszła w Gildii. Prawda? A może jest następna? Ci zamachowcy, choć są nierozważni, nie sprawiają wrażenia amatorów, Banichi.

- Nie - odparł Banichi, tylko na które pytanie? Co prawda odpowiedź obejmowała oba. I sprawiła, że mimo gorącego wieczoru Brenowi zrobiło się chłodno.

- Gdzie jest Jago? Czy nic się jej nie stało?

- Dach - odparł krótko Banichi.

Jago była w stanie uprawiać taką gimnastykę. Kulejący jeszcze Banichi - nie. I Banichi nie był zadowolony. Bren to wyczuł. Jago była młodszą partnerką i w normalnej sytuacji Banichi wolałby, żeby się nie znalazła w takim miejscu.

Po chwili na tle zasłon pojawił się jakiś cień; nastąpiła wymiana sygnałów dawanych dłonią - Banichi pomachał do kogoś, kogo widział ze swego miejsca na podłodze - i sprawa wlokła się dalej w nerwowej ciszy - manewry czy podchody? - ale Bren nie chciał paplać jak idiota Banichiemu do ucha, kiedy Banichi musiał się skupić na sprawach służbowych. W Bu-javid toczyła się walka o władzę; ciche, dyskretne przetasowania wśród ochroniarzy panów. To kwestia delikatnej szermierki, domyślał się Bren z rękoma zaciśniętymi na niespokojnym żołądku, w trakcie której różni panowie usiłowali ustalić, kto wykonał posunięcie, w jakim kierunku i dlaczego, kto jest po czyjej stronie i kto wygrywa w tej nie wypowiedzianej wojnie cieni.

Na pewnym poziomie było to niedorzeczne. W ponury sposób śmieszne. I wręcz przeciwnie. Atevi nie angażowali się w wielkie konflikty, jeśli do załatwienia sprawy wystarczyły małe. Mimo wszystko i ważne, i nieważne osoby mogły skończyć jako martwe.

W końcu z kieszonkowego komunikatora odezwał się słaby głos i, cokolwiek zostało powiedziane słownym szyfrem, Banichi ocenił, że można już wstać - pomógł sobie, chwytając się ręką framugi, czego zwykle nie robił, więc noga musiała mu bardzo dokuczać; poza tym, ochraniając ciałem Brena, sam mocno się uderzył i w sumie Banichi nie był w najlepszym nastroju.

- Cofnij się - rzekł bez cienia uprzejmości. Bren wstał ostrożnie i przeszedł przez ciemny pokój w kierunku wskazanym przez Banichiego, krusząc po drodze kawałki szkła ze strzaskanych szyb, chyba przez strzał z zewnątrz. Przed tym balkonem była tylko pusta przestrzeń, tak że dogodnie miejsce do strzału znajdowało się dopiero na bocznym dachu sal legislatury - niżej położone dachy nie leżały pod kątem umożliwiającym oddanie celnego strzału do kogoś znajdującego się w apartamencie.

Dachy legislatury. Bardzo dobry strzelec o bardzo dobrym wzroku.

Albo ktoś spuszczaający się z dachu w dół. Tam, gdzie jest Jago. Bren martwił się o jej bezpieczeństwo w tym leżącym bardzo wysoko nad dziedzińcami świetle nie najrówniej ułożonych dachówek. Nie chciał jednak odrywać Banichiego od ważniejszych trosk, a był pewien, że to Jago jest najważniejsza.

Banichi wypchnął go na korytarz, w ciemność sięgającą dalej niż wtedy, gdy Bren zapuścił się w te rejony - paliło się mniej lamp; Banichi zaprowadził Brena do ciemnego gabinetu Damiri i dopiero tam włączył bardzo słabą latarkę, po czym wyjął kasetę z telefonu i schował ją do kieszeni.

- To było dobrze pomyślane - rzekł. - Daje nam to jakąś szansę.

Pochwała mogła zawrócić człowiekowi w głowie - i odwrócić jego uwagę od innej informacji przekazanej w ten sposób przez Banichiego: że atak na Hanks mógł być dla Tabiniego i personelu Bu-javid całkowitym zaskoczeniem.

A jeśli głównym celem była Hanks, to w roli podejrzanych występowała cała galeria obrażonych i ambitnych atevich.

Nie wyjaśniało to jednak, dlaczego zaatakowali trzecie piętro, do którego można było dotrzeć wyłącznie z dachu.

A potem przenieść człowieka, owszem, wzrostu ateńskiego dziewięciolatka, po dachach, mając za plecami ochroniarzy Tabiniego?

Może tak naprawdę celem zamachowców nie było porwanie Brena.

Może wystarczyłoby im jego śmierć.

Ta myśl wcale nie uspokoiła żołądka paidhięgo.

Po drodze przez ciemny salon do jasno oświetlonego środka apartamentu Bren trzymał się blisko Banichiego. Tutaj, w chronionym, pozbawionym okien pomieszczeniu służące zbiły się w niespokojną grupę. Banichi od razu przejął inicjatywę i zaczął wydawać rozkazy, nie zajmując się żadnymi ubocznymi sprawami - kazał zamknąć wszystkie przejścia używane przez służbę i powiedział, że nikomu pod żadnym pozorem nie wolno się nimi poruszać aż do odwołania. Służące słuchały go w uroczystym milczeniu.

- Damiri mówi - rzekła Saidin, która właśnie weszła z foyer - że nikt ich nie zaatakował. Czy nic ci się nie stało, nand' paidhi?

- Nie. W przeciwieństwie do pokoju śniadaniowego.

- Zostań tu! - powiedział Banichi i dodał nieco ciszej: - Nand' Saidin.

Atak skierowany wyłącznie na paidhiin. Może to nie był atak na osoby, tylko na instytucję: instytucję umożliwiającą negocjacje między ludźmi i atevimi. Bren był coraz bardziej zdenerwowany, mimo że zewsząd otaczały go atewskie środki ostrożności, a pilnujący go ochroniarze pozostawali w stałej łączności ze sobą. Banichi powiedział, że powinni przejść do foyer, gdzie znajdują Alginiego. Madam Saidin poszła za nimi.

- Nand' paidhi - zaczął Algini. Ubranie miał w nieładzie, co świadczyło o wydarzeniach.

- Nic mi nie jest - powiedział Bren, po czym zdał sobie sprawę, że jego spodnie i kaftan są pełne lśniących drobinek szkła. Nie mógł się zdecydować, gdzie je strzepnąć, żeby inni nie roznieśli ich po całym apartamencie. Tymczasem Banichi podszedł do biurka na posterunku ochrony w foyer i zadzwonił do kwatery głównej Bu-javid, a przynajmniej tak to brzmiało; Bren usłyszał, że Banichi melduje o istnieniu taśmy.

Następnie Banichi przepuścił ją przez głośniki ich własnej centralki telefonicznej, nasłuchując odgłosów, imion, Bóg jeden wie, czego. Bren wsunął się do pomieszczenia za Alginim i ginąc za murem wysokich atevich schylonych nad maszyną, usłyszał tylko głuche uderzenia, dźwięk, który mógł być głosem Deany albo szuraniem przesuwanych mebli. Potem trzaśnięcie drzwiami.

A potem coś, co brzmiało jak stłumione strzały, nie był pewien. Miał nadzieję, że to było coś innego. Banichi zaczął odtwarzać taśmę jeszcze raz, tym razem głośniej.

Tano nigdzie nie było. Jago znajdowała się gdzieś na wielospadowych dachach. Banichi mógł szukać informacji, a Saidin wydawać polecenia służbie; lecz paidhi nie miał żadnego zajęcia, niczego, co by odwróciło jego uwagę od zaistniałej sytuacji. W końcu wyszedł do foyer, osłaniając bolącą rękę i martwiąc się bezsilnie o Tano i Jago; poza tym, musiał to przyznać, niepokoiło go wspomnienie przerażonego głosu Deany. Banichi i Algini gdzieś dzwonił z posterunku ochrony i Bren, zawędrowawszy w pobliże drzwi, podsłuchiwał z zamierającym sercem, że zginęło dwóch agentów Tabiniego.

Zabił ich ktoś o umiejętnościach pozwalających mu zmierzyć się z członkami Gildii, których zatrudnił Tabini, i to nie z jednym, lecz z dwoma. Banichi powiedział, że nie ma żadnego kontraktu. Tym razem to na pewno nie byli amatorzy. Zamachy nie były legalne. Oznaczało to prywatnych zabójców na poziomie członków Gildii, co się zdarzało, lecz nie wywoływało zachwyty Gildii.

Banichi, mimo że uzyskał jakieś informacje po przesłuchaniu taśmy, nie bacząc na Alginiego, który nie odrywał się od telefonu, zaczął rozmowy z różnymi posterunkami przez kieszonkowy komunikator, chodził po foyer i posterunku ochrony z drapieżnym wzrokiem, paląc się do bezpośredniego działania i najwyraźniej będąc niezadowolonym z tego, co znaleźli lub czego nie znaleźli jego podwładni.

- Nadi - rzekł w pewnej chwili do komunikatora - nie mów mi o tym. Zrób to!

Na kimś właśnie skrupiło się rozdrażnienie Banichiego; paidhi uznał, że najlepiej będzie stanąć bardzo spokojnie pod ścianą w foyer i nie wchodzić w drogę ani Banichiemu, ani Alginemu - obaj byli ranni i niezadowoleni z informacji, które otrzymywali z innych miejsc w Bu-javid.

- Nie ma śladu Hanks-paidhi - odezwał się w końcu Banichi, spojrzawszy ostro na Brena. - Niełatwo to osiągnąć przy tak trudnym dostępie do niższych dziedzińców.

- Ktoś, kto zna teren? - zapytał Bren. - Od wewnątrz? Przejścia dla służby?

- Nieliczne, a żadne w tamtym rejonie. Znajomość terenu, tak, oraz, at-eva podejrzewa, milczenie ofiary.

- Zabita?

- Po co usuwać ciało?

- Mało waży. Mogli upchnąć ją w jakiejś skrzyni, kuchennym wózku...

- Możliwe. Sprawdzamy to. Na razie nikt jednak nic nie zauważył. A to...

Od drzwi dobiegł sygnał, że ktoś chce wejść, i Algini, który właśnie rozmawiał przez komunikator, kazał je otworzyć, co świadczyło, że wie, kim jest ta osoba. Najwyraźniej Banichiemu to wystarczyło.

Przyszedł Naidiri, ochroniarz Tabiniego, a z nim sam Tabini, Damiri i towarzyszący im tłumek złożony z umundurowanego personelu ochrony oraz policji Bu-javid.

- Bren-ji - rzekł Tabini, kiedy tłum oficjeli wlewał się do foyer.

Saidin pośpieszyła przywitać Damiri-daja - Tabini natychmiast rozesłał swój personel i policję do różnych punktów foyer, biura ochrony, apartamentu i korytarzy dla służby.

Tymczasem Tabini położył Brenowi dłoń na ramieniu, na szczęście nie tym, które go tak cholernie bolało.

- Jesteś bezpieczny, nadi? Ateva słyszał, że przestrelono okno.

- Drzwi, aiji-ma. - Nie wiedział, dlaczego teraz, już po wszystkim, nagle wróciło drżenie kolan i łaskotki w żołądku. Wciąż miał w kieszeni pistolet i żałował, otoczony zewsząd przez ochronę Tabiniego, że nie odłożył broni tam, skąd ją wzięł, do szuflady w sypialni. Tabini wiedział, że Bren go ma - a przynajmniej mógł to podejrzewać - lecz jego ochrona mogła tego nie wiedzieć, a nawet Tabini mogłoby mieć problemy z wyjaśnieniem tej sprawy przed hasdrawadem. - Obawiam się poważnych uszkodzeń apartamentu. Pokój śniadaniowy. Nie wiem, jak bardzo ucierpiał. Jest mi bardzo przykro. Nie widziałem go w świetle lamp.

- Ateva nie może cię uznać za odpowiedzialnego - odparł Tabini.

Ani za odpowiedzialnego, ani za przydatnego w śledztwie. „Czy coś widziałeś albo słyszałeś?“, padły oczywiste pytania z ust Naidiriego, a kulawa odpowiedź Brena brzmiała: „Nie, poza kilkoma słowami poprzedzającymi nagraniem“, a te zademonstrował Banichi z niejakim zadowoleniem i ich zapis łaskawie przypisał przytomności umysłu paidhiego.

Bren zacytował okrzyk Deany i podał swoją jego interpretację - oraz opowiedział, w którym miejscu mogła stać Deana, jeśli meble znajdowały się tam, gdzie je ostatnio widział.

Później nastąpiła kolejna próba wysłuchania odgłosów dochodzących z apartamentu - obdarzeni dość wyostrzonym słuchem atevi sprawiali wrażenie, że wychycili coś ważnego czy ciekawego, ale nie byli pewni, co. Bren niczego nie słyszał i niczego nie ustalono, poza tym, żeby taśmę natychmiast wysłać przez młodszego oficera do techników ochrony Bu-javid, by poprawili jakość dźwięku.

Tymczasem paidhi wolał nie wtrącać się do dyskusji wyszkolonego personelu ochrony i nie plątać się nikomu pod nogami; oparł się o ścianę, stając wśród kwiatów, które przyniesiono wczesnym wieczorem, i myśląc o tym, żeby

zdjąć z siebie naszpikowane szkłem ubranie i gdzieś usiąść; żałował, że Banichi nie runął na niego nieco delikatniej, ale i tak był mu wdzięczny. W dalszym ciągu próbował wymyślić jakiś pretekst, umożliwiający mu powrót do jego pokoju i pozbycie się obciążającej broni, która sama w sobie stanowiła pogwałcenie Traktatu i mogła spowodować poważne dyplomatyczne perturbacje, gdyby ktoś, nawet przychylnie nastawiony, przypadkiem zauważył przedmiot wypychający mu kieszeń.

Co wtedy mógłby powiedzieć? Że dał mu go Tabini, kiedy właśnie tym atakiem atewscy konserwatyści kwestionowali pozycję aijiego i jego stosunki z ludźmi?

Winę musiałyby przyjąć na siebie ktoś inny i tym kimś oczywiście byłby Banichi, który i tak był właścicielem pistoletu, dzięki zamianie, jakiej dokonali przed wyjazdem do Malguri, i który był na tyle lojalny względem Tabiniego, by ponieść wszelkie konsekwencje wymagane przez prawo, hasdrawad czy wrogów aijiego. Gdyby Bren powiedział, że chce pójść do swego pokoju, żeby się przebrać, to na pewno pójdzie z nim jakiś ochroniarz, z obawy przed zabójcami czającymi się w ciemności, a jeśli nie ochroniarz, to przynajmniej garstka służących i być może Saidin, co na jedno wyjdzie. Dlatego Bren uznał, że lepiej będzie zostać, od czasu do czasu sprawiając wrażenie zainteresowanego rozwojem wypadków, żeby usprawiedliwić swoją obecność, a poza tym starać się być niewidzialnym i ukrywać tę nieszczęsną kieszeń przed wzrokiem atevich.

Tabini, Banichi i ochroniarze wyższej rangi zaczęli rozmawiać o prawdopodobnych motywach - tego było warto posłuchać. Bren wyteżał słuch, by wśród odgłosów innych dyskusji i przesłuchiwania służących wychwycić, gdzie w Bujavid stowarzyszali się różni potencjalni podejrzani i gdzie mogło spoczywać man'chi pewnych osób; kogo można całkowicie oczyścić z zarzutów, a kto w Gildii mógłby popierać lub finansować atak na paidhiego - w tej sprawie Banichi i Naidiri, w przeciwieństwie do Tabiniego, znali imiona, ale aiji się o nie nie dopytywał. Wśród ogólnych uwag pojawiały się różne imiona, padały nazwiska przywódców konserwatywnych klanów; nie wymieniono tylko jednego - co zauważył człowiek pilnie przyglądający się płytkom na podłodze - Atigeini, nie było to nazwisko, które można było wymienić w obecności Damiri.

Tabini i jego szef ochrony zostali poinformowani przez kieszonkowy komunikator o postępach w przeszukiwaniu dolnych dziedzińców, gdzie zniknęła Hanks - na razie nic nowego, a paidhi, który czuł się coraz bardziej roztrzęsiony, mógł sobie w końcu tylko zadawać pytanie, czy słusznie podejrzewają działania przeciwko ustalonemu porządkowi i czy nie mogą one być wynikiem postępowania paidhiin, a mianowicie zaatakowania atewskich koncepcji dotyczących wszechświata?

Matematyki Grigijiego.

Jego wizyty w obserwatorium.

Ilisidi nie przeczytała rozprawy, a potem się rozgniewała. Ilisidi zachowywała się coraz chłodniej od chwili, gdy rozprawa wylądowała na jej stole, a implikacje w delikatnym równaniu atewskiej polityki.

Mogło to oznaczać - kolejne uważne przyjrzenie się płytkom podłogi, które układały się w kwiecisty wzór urozmaicony brązowymi kwadratami i elementami z mosiądzu - że paidhi wetknął swoje dobre intencje w atewskie sprawy i debaty znane już Ilisidi, wrócił z teorią, która była nie tak nowa, jak sądził, albo budziła kontrowersje, których człowiek nie pojmował.

Z całą pewnością było to możliwe, kiedy matematyka stawała się zbyt ezoteryczna, żeby mógł ją zrozumieć paidhi, kiedy poszukiwania ostatecznego wyjaśnienia prowadzone przez atevich od tysięcy lat przynosiły atewskie rezultaty, a przedstawione im wnioski miały rozbić bardzo podstawowe dogmaty, co - Bóg jeden to wiedział - mogło wywołać psychologiczne, polityczne i socjologiczne trzęsienia ziemi.

W tym świetle paidhi mógł jedynie zadać sobie pytania: Co jeszcze mogło zostać zaprzepaszczone tego dnia? Ile szkód mogło powstać z jego winy i

jakich niuansów powinien się dawno temu domyślić? Kierując się dobrymi intencjami, przywiózł teorię Grigijiego do miasta i wypuścił ją z rąk w ślepej nadziei, że atewskie argumenty przemówią do atevich, być może jednak nie wiedząc - ponieważ nie mógł tego wiedzieć żaden człowiek - jakie inne miny mogą się kryć w tym dokumencie. Hanks lekkomyślnie wspominała w dialogu o SNS, a on ją wyzwał od idiotek. Poszedł na to spotkanie z Ilisidi, ślepo wierząc w jej numeryczny agnostycyzm, nawet nie biorąc pod uwagę możliwości, że sama Ilisidi może wyznawać dobrze ukryte dogmaty wiary, które mógłby zaatakować Grigiji.

Ciągle powtarzał w myślach przebieg tego spotkania przy śniadaniu, przypominając sobie, jak dziwne mu się wtedy wydało, że Ilisidi nie spojrzała na te papiery, nie raczyła wziąć ich do ręki...

Cholera, nie rozumiał jeszcze reakcji Ilisidi, poza tym, że nie podo- bało się jej to, co robił, lub że temu nie ufała - albo że bez czytania odrzuciła to, co jej przyniósł. Nie sądził, żeby Ilisidi sama z siebie cof-nęła się przed intelektualnym wyzwaniem, ale obraziłaby się, gdyby uznała, że Bren jest łatwowiernym głupcem lub gdyby jego działania świadczyły, że za ko- goś takiego uważa ją.

Wszystko to nadal czyniło z Ilisidi jedną z podejrzanych. Bren nie słyszał, żeby Tabini wymienił jej imię, ale podejrzewał, że znajduje się ono na liście ostatecznych kandydatów Tabinięgo. A jeśli nie Ilisidi...

- Pokaż mi - powiedziała Damiri - pokaż mi, gdzie ci głupcy chcieli dokonać zamachu, Saidi-ji. Chcę zobaczyć. Jestem zmęczona czekaniem. Przego- niliśmy ich, na pewno nic już nam nie grozi.

- Nandi... - zaczął mówić Naidiri.

- Nie będę się chować w foyer, naiin-ji. To jest terytorium Atigeinich, mój dom i moje rozkazy - to fakt; zostało zniszczone moje okno - to też fakt; a ochrona moja i paidniego panuje nad sytuacją - fakt. Czy możemy więc przes- tać rozmawiać w moim domu o teorii, i spojrzeć na fakty, zanim wypuścimy Gildię?

- Czy możemy porozmawiać o faktach, zanim wpadniemy na linię ognia? - odparował Tabini. - Mamy zbyt wielu chętnych podejrzanych, z których nie wszyscy znajdują się poza tym domem.

- Ja niczego nie podejrzewam! Spójrzysz na własnych krewnych!

- Moich krewnych? Moich krewnych! Daj mi spadkobiercę, kobieto, to porozmawiamy o naszych krewnych. Tymczasem zechciej nie przechodzić pod ok- nami.

- Spadkobierca, spadkobierca, oczywiście, spadkobierca! W każdej chwili, nai-ji, może dziś w nocy, nai-ji, a tymczasem...

- Tymczasem słuchaj rozkazów - jak dama - nai-ji, i nie rób z siebie celu, na pomyślnych bogów, kobieto!

W pewnej chwili człowiek zdecydowanie uznał płytki podłogi za fascynu- jący temat obserwacji i pomyślał, że chociaż zaszczytem jest być traktowanym jak domownik na równi z ochroną i służbą, to o wiele bardziej wolałby...

- Powiedzcie mi, pomyślni bogowie, dlaczego wybrałem ród Atigeinich?

- Inteligencja. Zaradność. Nasza wspaniała historia. Mój pokój śniadan- iowy, nai-ji, jeśli łaska, z moją służbą, z twoją ochroną, jeśli masz takie wątpliwości co do moich krewnych.

- O najbardziej nieprzychylni bogowie, zobaczmy te twoje przeklęte drzwi - mruknął Tabini i machnął w kierunku dalszych zakamarków apartamentu.

- Naidiri! Zajmijcie się oknami, wszyscy! Cholera!

Natychmiast sformowano ekspedycję, żeby Damiri mogła ocenić uszkodzenia drzwi i samego pokoju śniadaniowego. Saidin z Alginim szli na czele; za nimi podażał tłum ochroniarzy i policjantów, a nawet kilka służących.

Paidhi nie znalazł wdzięczniejszego wyjścia niż dołączyć do pochodu, jako co najmniej świadek zniszczenia. Miał nadzieję, że mijając drzwi swojej sypialni, będzie miał okazję tam zanurkować i schować pistolet, lecz z przodu i z tyłu szli ochroniarze, nie zachęcając do ociągania się. Ktoś zamknął

przynajmniej wewnętrzne okiennice w gabinecie, a służące stojące pod ścianami były bardzo ciche, bardzo przygaszone i bardzo zmartwione; kłaniały się, niczym trawa od poddmuchu powietrza po przejściu Damiri, i niewątpliwie patrzyły na plecy oddalającego się orszaku.

Światła paliły się już w całym apartamencie; po drodze mijali pojedynczych policjantów i strażników, szczególnie w sąsiedztwie pokoju śniadaniowego.

Zniszczenia okazały się znacznie większe, niż Bren się obawiał - podłogę zaścielało nie tylko strzaskane szkło z drzwi, ale i strzaskane kafelki z miejsc, gdzie strzały przeorały ściany i rozbiły antyczne płaskorzeźby. Człowiek miał tylko nadzieję, że uda się je odrestaurować. Doznał fizycznego wstrząsu, kiedy zdał sobie sprawę z niewielkich rozmiarów odłamków w miejscach, gdzie porcelana została ugodzona pędzącymi pociskami - stąd się pewnie wziął pył na jego ubraniu, i paidhi zadał sobie pytanie, czy uda im się odzyskać wystarczającą liczbę kawałków porcelany, by odtworzyć płaskorzeźbę przedstawiającą kwiaty i pnącza...?

- Niech ich przeklną bogowie! - rzekła Damiri.

Saidin wyglądała na kompletnie zdruzgotaną.

- Damiri-daja - odezwał się być może niemądrze Bren, ale widząc gniewnie zmarszczone brwi Damiri poczuł, że musi coś powiedzieć. - Nand' Saidin, jest mi niewyobrażalnie przykro. Żałuję... żałuję... jeśli to ja byłem celem... że nie stałem obok czegoś o wiele mniej delikatnego.

Damiri odwróciła się do niego tak gwałtownie, że spodziewał się ciosu w twarz. Gniew widoczny na jej twarzy i objawiający się kurczowo skrzyżowanymi na piersiach rękami prawie wcale nie był słyszalny w jej głosie.

- Nand' paidhi, ten afront wyrządzony mojemu domowi spotka się z odpowiedzią. Ten atak na mojego gościa i personel spotka się z surową odpowiedzią. To świadome zniszczenie zostanie okupione krwią. Są tacy, którzy zaniósł tę odpowiedź z pomocą Gildii, czy bez niej, przy aprobacie innych Atigeinich, czy też bez tej aprobaty.

- 'Miri-ji - rzekł strofująco Tabini.

- Nie przestrzegaj mnie! To nie do zniesienia! Nasz gość może wyrazić swoje zaskoczenie - a jak cywilizowani atevi mogą przyjąć takie postępowanie? Ja go w ogóle nie zamierzam przyjmować, aiji-ma! Strzelać na oślep do apartamentu? Zabijać hurtowo służbę razem z celem? Naidiri, Sagimi, czy to robota Gildii?

- Nie - odpowiedział ktoś.

A Naidiri dodał:

- To niemożliwe.

A zatem to z pewnością nie Cenedi, pomyślał Bren, odkładając wreszcie na bok podejrzenie, które krążyło mu po głowie. Nie Cenedi. Nikt z atevich pracujących dla Ilisidi. Rozpaczliwie chciał wierzyć, że to prawda i wraz z tą myślą zapragnął upewnić się, że wdowa jest bezpieczna.

Nie mówiąc już o Jago, Tano i reszcie jego personelu.

Słuchał planów umówienia konserwatorów na oględziny zniszczeń; „ale tak”, powiedziała Damiri, „żeby nie przeszkadzali paidhiemu”.

- Nie pozwolę - oznajmiła wciąż rozgniewana Damiri - żeby taka obraza nie spotkała się z odwetem. Mają do czynienia ze mną, jeśli wierzą w twoją wyrozumiałość, nai-ji. Chcą sprowokować mojego wuja. Chcą wysłać sygnał. To na pewno im się udało. - Schyliła się i podniosła strzaskany kwiat, lilię o trzech płatkach. - Spójrz, tylko spójrz na to zniszczenie. Chcę, żeby mój wuj to zobaczył, aiji-ma. Chcę, żeby to zobaczył cały świat, ma to być wysłane do agencji informacyjnych wraz z moim oświadczeniem, że paidhi czuje się całkiem dobrze i nie przejął się tym głupim postępkim. Może spać w mojej sypialni i jeść śniadanie z moim personelem i ze mną w tym pokoju śniadaniowym. Powiadam ci, nie dam się zastraszyć.

- Nie, nie, nie, 'Miri-ji - rzekł cicho Tabini. - Dopóki nie znajdziemy winnych i nie wyeliminujemy tego problemu, wolałbym nie nadawać sprawie

takiego rozgłosu. Potem wykorzystamy telewizję, tak, i wszelkie zdjęcia. Z drugiej strony, jeśli chcesz wysłać twemu wujowi dowód jego działania...

Damiri posłała Tabiniemu milczące spojrzenie z ukosa.

- Wyślij mu kawałek porcelany. Ta lilia... nada się dość dobrze. Ateva sądzi, że ktoś być może przekroczył rozkazy. Z drugiej strony, może posłużyli się tym dla odwrócenia uwagi, chcąc zasygnalizować swoją pogardę dla przywódczych roszczeń Atigeinich.

Oczy Damiri zapłonęły gwałtowną radością.

- Twój samolot.

- Do twojej dyspozycji. Rano chcę go jednak mieć z powrotem. I niech tam nie tankuje. Bren-ji, ateva zapewnia cię, że będziesz całkowicie bezpieczny w którejkolwiek sypialni. Nie pozwól, żeby Miri-daja tobą kierowała. Tam jest cholernie twardy materac.

Człowiek mógłby się zaczerwienić.

- Tabini-ma. - Ból ramienia Bren czuł nawet w zębach, nie znalazł jeszcze okazji do pozbycia się pistoletu i cały czas starał się ukrywać tę stronę ciała przed atewskimi oczami. Szczególnie oczami policji Bu-javid. - Szczerze żałuję, że ściągnąłem na ten dom takie trudności, a z mojej sypialni jestem całkowicie zadowolony.

- Paidhi jest wielce łaskawy - rzekła Damiri i wyciągnęła rękę. Oczekując podobnej reakcji, Bren z konieczności podał jej dłoń, zmuszony spojrzeć w górę w szczerze zaciekawione oczy. Mocny uścisk. - Skandal, skandal, skandal! Osobiście uważam, że to bardzo miła, bardzo uczciwa twarz, i moja ciotka może połknąć swoje lubieżne i niewatpliwie przepełnione zazdrością podejrzenia. Jesteś tak cudownie uprzejmy, nand' paidhi.

- Mam taką nadzieję, daja-ma.

- Mogę już nigdy nie odzyskać moich służących. Są zupełnie zauroczone.

- Wierzę, że nie zrobiłem niczego niestosownego, daja-ma.

- Bren-paidhi. One co noc marzą, żebyś zrobił coś niestosownego.

Słyszałam sprawozdania.

- Daja-ma...

Tabini wyratował z opresji jego rękę i odprowadził go na bok.

- Do diabła z wewnętrzną polityką Atigeinich, tu nie chodzi o porcelanowe lilie, tylko o Hanks-paidhi. Atak na twoją rezydencję mógł być całkiem poważny, ale wątpię, czy spodziewali się sukcesu: prawdopodobnie miał posłużyć jako odwrócenie uwagi od prawdziwego celu, ale krewni mojej przyszłej żony nie przyjmą spokojnie ataku - a już na pewno tych zniszczeń, nie mówiąc o afroncie, że miały one jedynie odwrócić uwagę od czegoś innego - bez względu na to, co w ogóle sądzą o twoim pobycie tutaj. Masz jakichś osobistych podejrzanych w związku z porwaniem Hanks-paidhi, Bren-ji?

- Nie, aiji-ma, skoro nie zrobił tego nikt z Gildii, to wszyscy moi podejrzani znikają. Chyba że ktoś chciał zemsty. Albo ktoś... - myśl ta trafiła w sedno jego niepokojów - ktoś pragnął obu rzeczy: żeby ona znalazła się w ich rękach i żebym ja zginął, co w tych okolicznościach pozbawiłoby cię paidhiego do prowadzenia rozmów z Mospheirą. Z jakichkolwiek względów.

- Gdyby udało im się to osiągnąć. Z pewnością tego się nie spodziewają.

- Nie powiedziałałabym - wtrąciła Damiri, podchodząc do nich - żeby ta próba świadczyła o wielkim intelekcie. Desperacja. Ale nie wielki intelekt.

- Albo niedbalstwo Atigeinich.

- Głupota - rzekła Damiri. - Aiji-ma.

- Fakt, że atewy nie obchodzi, co myśli twój wuj, nie musi być dowodem głupoty. Daja-ji.

- Fakt, że uważam te lilie za powierzone mnie, a artystę, choć nie żyje, za osobę związaną man'chi ze mną, powinien przyprawić ich o bezsenność. Jeśli mój wuj wysunie obiekcje, zażadam satysfakcji!

- Ateva ją otrzyma, lilia-daja, ale bezpieczeństwo paidhiego zależy od mojego bezpieczeństwa i nie rozpoczniesz żadnych działań, które mogłyby nara-

zić na szwank Brena czy tę niemłą kobietę, której życie lekkomyślnie zgodziłem się chronić.

- Ateva nie pragnie w żaden sposób narazić na szwank Brena. - Damiri położyła dłoń na jego bolącym ramieniu; położyła ją bardzo delikatnie, z czego paidhi był niezmiernie zadowolony. - Czy kiedykolwiek wykazałam do tego skłonność?

Co człowiek powinien zrobić? Wysunąć się spod ręki pani aijiego? Stał nieruchomo, świadom dwuznacznika, i powiedział uroczyście:

- Przenigdy, nai-ma.

- Aiji-ma. - W drzwiach pojawił się Algini, zwracając na siebie uwagę Tabiniego. - Statek pyta o Bren-paidhiego. Wybacz, że przeszkadzam.

Umysł nie był gotów na rozwiązanie jeszcze jednego problemu, na mospheiran, mospheirańską politykę czy negocjacje z przybyszami. Umysł był skupiony na rozbitej porcelanie, niezupełnie żartobliwych groźbach Damiri i zawiłościach atewskich związków, a oprócz tego na Ilisidi, Guisich, polityce oraz zniknięciu Hanks-paidhi, które, oprócz tego, że ma znaczenie dla atevich, zostanie na pewno bardzo źle przyjęte w pewnych kręgach na Mospheirze - nie mówiąc już o statku, rozważającym przysłanie ludzi na dół.

Statek nie może się o tym dowiedzieć. Więzy man'chi w ramach Patronatu nie zniosą już większych napięć. Tabini nie zniesie wycofania się z lądowania, bez względu na konieczność zachowania rozwagi.

- Jeśli mogę się domyślać - rzekł Algini, gdy Bren szedł w kierunku drzwi - to jest ktoś młody, nadi-ma.

- Jase - stwierdził Bren.

- Lądowanie - powiedział Tabini, idąc tuż za nim. - Możliwe.

- Bardzo możliwe - odparł, pochłonięty myślami biegnącymi podwójnym torem, usiłując zebrać rozsypane wątki sprawy Jase'a Grahama: na przykład, dlaczego statek przez dwa dni nie wywoływał kontyentu, co w tym czasie usiłowała wynegocjować Mospheira i co ma powiedzieć, gdyby statek spróbował się wycofać z przyczyn, które mogły nie mieć nic wspólnego z próbami zabójstwa?

Czekała na niego przynajmniej jedna odpowiedź na błakające się w jego umyśle pytania - albo wiadomość, że wali się kolejna sprawa.

## Rozdział 19

- Halo? - Głos Jase'a brzmiał pogodnie, może dlatego, pomyślał Bren, żeby osłodzić zmianę zdania. - Bren? To ty?

Nie dał się omamić, ale dopasował się do tonu.

- Tak byłoby lepiej, bo nikt inny nie potrafi się tu z tobą rozmówić. Jak tam sprawy na górze?

- Właściwie dobrze. A na dole?

- O, świetnie. - Odebrał telefon w gabinecie Damiri, na stojąco, bo inaczej zginąłby w tłumie: Tabini, Damiri, Banichi, Naidiri, Saidin i dwóch asystentów Naidiriego. Okupowali oni właściwie całą wolną przestrzeń oprócz kilkudziesięciu centymetrów kwadratowych przy biurku, które zajmował Bren, ściskając słuchawkę. - Właściwie czekałem na twój telefon.

- No, cóż, przepraszam. Sprawy potoczyły się wolniej, niż sądziłem. Mam nadzieję, że nikt się nie martwił, ale samo czytanie tego, co mi przysłałeś, i rozmowy z kapitanami... spotkania na zasadzie reakcji łańcuchowej... pewnie tam, gdzie jesteś, nie bywa inaczej.

- Nie, niestety. To chyba jest związane z biologią płucodysznych. Jak przygotowania? - Nie chciał, żeby to brzmiało, jakby brakło mu tchu, starał się mówić tonem lekkim i wesołym, ale nagle ręce zaczęły mu się tak trząść, że bał się, iż drżenie wkradnie się też do jego głosu. - Przepraszam. Trochę



braknie mi tchu. Trochę się śpieszyłem, idąc korytarzem. Zgadzą się czy nie?

- Zgadzą się, oczywiście. Na miejsce lądowania wybraliśmy Taiben. Jak to oceniasz?

Rzucił okiem na Tabiniego, zanim do jego otępiałego mózgu dotarło, że Tabini nic nie rozumie.

- Taiben - powtórzył i na próżno czekał na jakąś reakcję. - To wygodne miejsce, z dobrym dojazdem. Jest tam lotnisko dla odrzutowców, teren jest rozległy, płaski i nie zadrzewiony, nie przewiduję żadnych komplikacji. - Wreszcie otrzymał znak od Tabiniego: aiji zrozumiał wybór i zaakceptował go. - Nam to odpowiada.

- Ćwiczyłem. Co powiesz na Dai ghiyi-ma, aigi'ta amath-aiji, an Jase Graham?

- Hamatha-aijijin, ale jest naprawdę dobrze. - Wszyscy wokół niego nagle zaczęli uważnie się przysłuchiwać i Bren miał nadzieję, że Jase nie spróbuje niczego, co zawierałoby niepomysłne warianty. - Jestem pod wrażeniem. Rozszyfrowałeś to z notatek.

- Bardzo bym chciał, żeby wszystko się udało. Oni nie strzelają, prawda, jeśli nie rozpoznają człowieka? Wyspa mówi, że istnieje możliwość ataków. Taiben to posiadłość aijiego?

- Właściwie, w rozumieniu atevich, tereny publiczne. Osoby, które się tam znajdują, to jednak personel aijiego. I nie, atevi nie strzelają do gości aijiego. Oni próbują was przestraszyć.

- O to w tej chwili nietrudno. Powiedz mi jeszcze raz, że spadochron się otworzy i wszystko pójdzie gładko.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć dziesiątych procenta kapsuł zadziałało. - Nie miał pojęcia o prawdziwych danych, ale Jase nie szukał ukojenia w statystycznej dokładności. - Gdy tylko spadochron się otworzy, nic wam już nie będzie zagrazać, a swoją drogą zapewne to poczujecie; tak podają stare sprawozdania. Jak wasi specjaliści oceniają kapsułę? To jest najważniejsze pytanie.

- Wymienili osłonę cieplną. Zgodnie z twoją radą i po przedyskutowaniu sprawy nawet nie rozpakowali spadochronu. Dodają nam drugi. Jeśli prędkość upadku - naprawdę nie cierpię tego słowa - nie zmaleje, w momencie, w którym powinien się otworzyć oryginalny spadochron, drugi ma się otworzyć automatycznie. Jeśli dobrze zamontują pojemnik.

- Pierwszy nie zawiedzie. A już na pewno nie straciecie dwóch. Jestem pewien, że wylądujecie tam, gdzie chcecie. Już to wyliczyli. Tylko nie posługujcie się starymi danymi. Na pewno wylądowaliście na Mospheirze.

Kolejny wybuch nerwowego śmiechu.

- Będę dokładnie w celu, jeśli tylko otworzy się spadochron. Jeśli użyjemy spadochronu zapasowego, przefaksuję ci mapy i liczby. Możesz je przyjmować tam, gdzie jesteś?

- Bez problemu. Użyj tylko protokołów, które ci dałem, a przejdę kawałek korytarzem i już będę miał wydruk.

- No to startujemy. Albo spadamy. Nieważne. Lądowanie nastąpi za jakieś trzydzieści dwie godziny, o brzasku w Taiben; 6.38 czasu miejscowego. Dobrze? Pojutrze o świcie?

Mniej niż dwa dni. Słyszę.

- Tak szybko, Jase?

- Są gotowi. My też. Zanim nas odetną, kawałek nas podholują, chyba po to, żeby mieć możliwość wycofania się. A potem zdamy się na gościnność atevich i bogów studni grawitacyjnych.

Gościnność atevich. Taiben. Wszystko, co mówił Jase, świadczyło o tym, że statek zignorował propozycję prezydenta, by wykluczyć atevich z umowy. Niewiarygodne.

Przez dwie szaleńcze sekundy, kiedy usiłował rozeznąć się w implikacjach, mógłby się założyć o każde pieniądze, że statek wiedział, iż dostanie od Mospheiry to samo, nie spełniając ani jednego z jej żądań...

Ponieważ Mospheira jest sprzymierzeńcem, jakiego zawsze mogą mieć, wcale nie musieli ryzykować nieprzychylności atevich, których reakcji także nie znali - i, dzięki Bogu, ktoś po ludzkiej stronie posłużył się logiką. Podniecenie utrudniało Brenowi spokojne mówienie.

- Brzmi nieźle - powiedział, modląc się w duchu, żeby to wypadło bez zająknięcia. - Ktoś wyjdzie wam na spotkanie. Ze mną zobaczycie się, jeśli namówię aijiego na przewiezienie mnie do posiadłości. Czego będziecie od nas potrzebowali po wylądowaniu?

- Jak najszybszego przetransportowania mojej partnerki na wyspę. Ja będę chyba do twojej dyspozycji. Przez następne kilkanaście lat.

- Wybór należy do twojej partnerki: dobra kolacja w Taiben, przedstawienie atewskim przywódcom i czas na sen - albo przewiezienie bez żadnych ceregieli na lotnisko w Taiben, a stamtąd prosto na Mospheirę. Ty natomiast dostaniesz absolutnie luksusową kolację, zostaniesz osobiście przedstawiony, komu trzeba i będziesz mógł się wypaść, zanim ktokolwiek będzie od ciebie wymagał płynności w mówieniu.

Nerwowy śmiech.

- Brzmi nieźle. Wybieram luksus. Przedstawię Yolandzie i kapitanowi obie wersje. Coś ci przywieźć z kosmosu?

- Sobie spakuj mocne buty. Coś naprawdę wygodnego. Możecie wylądować w miejscu, gdzie nie ma dróg. Będzie komitet powitalny, ale być może i tak będziecie musieli dojść do drogi albo do miejsca, gdzie mogą dojechać pojazdy lądowe, jeśli wylądujecie w naprawdę trudnym terenie. Tam są całe kilometry trawy, pył, upał i żadnych miejsc na postój. W najgorszym wypadku wylądujecie w jakimś lesie i najpierw będziemy musieli odciąć was z drzew, na których zawiśnięcie na spadochronach. Proszę, wylądujcie w celu. Tak będzie o wiele łatwiej. Zaznaczyłem miejsce, do którego można podjechać i odebrać was z wszelkimi honorami.

- Wystarczy mi, że nie będą do mnie strzelać i że otworzy się spadochron.

- Nam też. Aha, jeśli zobaczycie jakieś zwierzęta, nie wpadajcie w panikę; na sawannie nie ma żadnych stworzeń, które by was zaatakowały, a my będziemy was cały czas śledzić. Będziemy na miejscu - mam nadzieję, że ja też - ale jeżeli coś mi przeszkodzi, bądźcie bardzo uprzejmi - kłaniajcie się, kiedy oni będą się kłaniać - i nie martwcie się, dokąd was zabierają. Aiji ostrzeże wszystkich strażników w posiadłości, żeby was wyglądali i żeby się wami zaopiekowali. Obiecuję.

- Przyjmuję obietnicę. Umowa stoi.

- Naprawdę mam nadzieję, że tam będę. Jeśli mi dopisze szczęście.

- Wtedy czułbym się lepiej.

- Nie mam ci tego za złe, ale ze mną czy beze mnie, wszystko będzie dobrze. Informuj mnie o przygotowaniach. Jeśli pojedę do Taiben, dotarcie do telefonu może mi zająć kilka chwil, ale prawie zawsze jestem w zasięgu radia. Zawsze się ze mną skontaktujesz.

- Dziękuję. Lepiej już skończę i zwolnię fotel. Łącznościowcy pracują nad urządzeniami w kapsule, ja w tej chwili jestem tylko ładunkiem i naprawdę nie chcę denerwować techników. Do zobaczenia. Naprawdę - do zobaczenia.

- Tak. Powodzenia. Powodzenia, Jase, najlepsze życzenia ode mnie i od Tabini-aijiego. Kaginjai'ma sa Tabini-aijiu, na pros sai shasatu. W porządku?

Przy ostatnich słowach patrzył na Tabinię. A Jase pożegnał się uprzejmym powtórzeniem, kaginjai, czego nauczył się z materiałów przysłanych przez Brena.

Tabini uniósł brew. Kiedy Bren odkładał słuchawkę, Damiri i Saidin patrzyły nań szczerze zdumione. Banichi stojący pod ścianą z założonymi rękoma także uniósł brew, jakby chciał powiedzieć, że dobrze, słońca mogą być gwi-

azdami, a gwiazdy słońcami i to mu nie przeszkadza, ale paidhi spadający z nieba na posiadłość Tabiniego stanie się niedługo rzeczywistością i na dobre czy na złe wejdzie w jego man'chi.

Teraz więc Banichiego obchodziły gwiazdy, słońca i przybywający z nich ludzie.

- Ładowanie o świcie - powiedział do Tabiniego. - Pojutrze, w Taiben. Może będą chcieli, żeby jedno z nich zaraz po wylądowaniu pojechało na lotnisko, a stamtąd poleciało na Mospheirę, ale zaproponowałem wolniejszy program i nocleg w Taiben. Przedstawią ten pomysł swoim władzom. Nawiązując do informacji, którą ci przesłałem, mogli się także zgodzić na umowę z Mospheirą. Ze słów tego młodego człowieka wynika, że tego nie zrobili.

- To się bardzo dobrze składa - rzekł Tabini. - Dobra robota, Bren-ji. Ten młody człowiek, Jase Graham. Jase? Czy tak ma na imię?

- Tak, aiji-ma.

- Daleko mu do płynności. Można jednak zrozumieć.

- Aiji-ma. Obiecałem, że wyjdę mu na spotkanie. Nie mając twojego potwierdzenia, powiedziałem mu, że może to być niemożliwe, ale że mam nadzieję znaleźć się w Taiben, kiedy kapsuła dotknie ziemi... bardzo chciałbym to zrobić, aiji-ma, mimo dzisiejszych wydarzeń. Jeśli pojedzie tam ochrona, chciałbym być z nimi.

Wszystko to wydawało mu się nierzeczywiste. Pokój śniadaniowy zrujnowany. Hanks - żywa lub martwa, albo Bóg wie gdzie, w trybach ateńskiej i ludzkiej polityki. I ładownik przybywający do rezerwatu zwierzyny, gdzie nie tak dawno polował.

Bał się, że, przynajmniej według Tabiniego, jest zbyt cennym obiektem, gdyby zaczęła się strzelanina. Ale, cholera, zobaczyć wydarzenia, które zmieniają całe ich życie, i postarać się, żeby nie było żadnych kłopotów ze zrozumieniem...

- Co sądzi ochrona paidniego?

- Bez dwóch zdań - odparł Banichi. - Nai-ma. Atevie byłoby o wiele łatwiej zagwarantować bezpieczeństwo tam niż tutaj.

- Z pewnością mniej szkód - rzekł z przekąsem Naidiri.

- Większy zakres działania - dodał Banichi.

- Chociaż - ciągnął Naidiri - porywacze Hanks-paidhi na pewno nie wykonali ostatniego posunięcia. Najlepiej zabezpieczmy Taiben jeszcze dziś. Ateva zakłada, że próbowali przechwycić wiadomości.

- Zajmij się tym - polecił Tabini, machnąwszy ręką. - Osoby związane z nami przez man'chi na pewno podjęły już odpowiednie środki ostrożności, jeśli oczywiście nie są dziś głuche i ślepe. Miri-ji, Bren i ja spędzimy następne kilka dni w Taiben, łowiąc ryby, co powinno być przyjemne. Prowadzenie rezydencji zostawiam tobie. Zechcesz wyznaczyć odpowiedni personel dla goszczonemu dzentelmena?

- Saidi-ji - rzekła Damiri. - Zajmij się tym. - Wykrzywiła usta. - I sprowadź konserwatorów do pokoju śniadaniowego. Żadnego sprzątania bez ich pozwolenia. Każ im wziąć się do pracy jutro, jeśli paidhi jest zdecydowany nas opuścić; niech zrobią pomiary, wezmą, co chcą, i się wynoszą. Spodziewam się, że jeśli nie w mojej sypialni, to paidhi zostanie umieszczony w odpowiednio wygodnym pokoju w Taiben. Spodziewam się jego powrotu do już odnowionego apartamentu.

- Daja-ma - powiedziała Saidin - nand' paidhi. Jak pamiętam, szesnaście osób personelu jest liczbą odpowiednią dla gościa w Taiben, dodatkowe cztery osoby spośród osobistego personelu paidniego, a przy spodziewanym gościu paidniego wydaje się to być pomyślną liczbą, nawet jeśli miałyby zostać ta dodatkowa kobieta. Wtedy potrzebne będą jeszcze trzy osoby, co w żadnym razie nie jest niepomyślnie.

Na Mospheirze nikt by nic z tego nie rozumiał. Na kontynencie pięć dodane do szesnastu dawało dwadzieścia jeden, trójliczbę niezłomnie pomyślnego związku trzech siódemek, przy trzech jednostkach właściwie reprezentowanych -

paidhi, aiji i statek - związek, który wraz z każdą biorącą udział jednostką dzielił się na dwójki, jak to widział Bren, pozwalał agresywnemu sposobowi liczenia atevich w Ragi poradzić sobie z czasową obecnością dodatkowego gościa, którego zawdzięczali Mospheirze i który tworzył czwartą jednostkę, a liczby w tej sytuacji były wyraźnie krótkotrwałe. Krótkotrwały wpływ mniej pomyślnych liczb był do przyjęcia, jeśli można było przerwycić je na przeciwnika - jak na przykład Mospheirę. Saidin jednak dała Brenowi możliwość zmiany liczb na pięć niepodzielnych piątek, także pomyślnych.

Jeśli człowiek naprawdę rozumiał jej pytanie, mógł się martwić o stan swojego umysłu.

- Człowiek sędzi... tak, jeszcze trzy służące do obsługi paidhi udającej się na Mospheirę - rzekł Bren - jeśli można, nand' Saidin.

- Na większych i mniejszych bogów - odezwał się Tabini - byle tylko uzbrojeni przewyższyli liczbę przeciwników.

Tabini nie był przesądny.

Podobnie jak jego najbliżsi towarzysze. Saidin nie wydawała się też wstrząśnięta tym oficjalnym brakiem szacunku - wyraźnie była specjalistką od czarującego przestrzegania form i człowiek mógł się założyć, że nigdy nie dopuściłaby do tego, by mówiono o jej ustaleniach, że nie są należyte.

Zostawiwszy kwestię form w rękach Saidin, Tabini, Damiri oraz ich ochrona wyszli do foyer, oznajmiając ku wielkiej uldze paidhiego, że wracają do rezydencji Tabiniego; policja zabrała taśmę i udała się do swojego biura; całe zamieszanie gwałtownie się uspokoiło, osiągając stan odrętwiałej, poobijanej ciszy.

- Nand' paidhi? - zapytała Saidin, kiedy zamknęły się drzwi po ostatniej wymianie formalności. - Zechcesz obejrzeć listę wybranych służących, za nim przekażę ją personelowi?

Drżenie, które objawiło się w głosie Brena podczas rozmowy z Jasem, groziło pochłonięciem całej uwagi paidhiego.

- Nand' Saidin, nadi-ji, zostawiam wszystko twojemu osądowi. Proszę, spakuj, co będzie potrzebne mnie i mojemu osobistemu personelowi. Wyślij wyłącznie osoby rozważne, elastyczne i rozsądne. Przede wszystkim chciałbym mieć przy sobie ciebie, ale wiem, że pani potrzebuje cię tutaj.

- Nadi - rzekła Saidin z ukłonem - wróc, proszę, bezpiecznie.

- Obiecuję, że się postaram, nadi-ji, by sprawić ci przyjemność.

- Jesteś skandalicznym pochlebcą, nand' paidhi.

- Ależ skąd, nadi-ji. Jesteś perłą. Proszę cię, połóż się wcześniej spać. Sam pójdę do łóżka. Mam teraz dwie ręce.

- Nadi - rzekła Saidin. Wiedziała, co robić, i to było jej ogromna zaleta, kiedy człowiek był tak zmęczony, że mógłby paść na twarz.

Banichi rozmawiał jeszcze z Alginim na posterunku ochrony, więc Bren ich podsłuchiwał, chcąc się przede wszystkim dowiedzieć, czy Jago i Tano nic się nie stało.

- Jakież wiadomości? - zapytał. - Gdzie jest Jago i Tano? Wiesz, Banichi?

- Jesteśmy w kontakcie.

- Są bezpieczni.

- Oddzielnie. Są bezpieczni. Dobrze się czujesz, Bren-ji?

- Jestem zmęczony. Bardzo zmęczony. Ale to nic. Mogę chodzić.

- Nadi - rzekł Banichi, zostawił biuro i komunikator Alginieniu i ujął Brena pod rękę.

Był to prawdopodobnie dobry pomysł, zważywszy na drżenie kolan Brena.

Zdjął kaftan. Podał pistolet Banichiemu, który powiedział, że się nim zajmie, co bardzo Brenowi odpowiadało.

- Wiesz co - powiedział Banichi, wkładając broń do kieszeni - to, co zrobiłeś, było bardzo niemądre.

- Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Myślałem, że Algini jest sam przy drzwiach frontowych. Miałem pistolet. Nie zostawiłem sprawdzenia tylnego balkonu służącym, bo w razie kłopotów miałem większą szansę powstrzymania in-  
truza...

- W sumie dobrze zrobiłeś. Dobrze, że byłeś uzbrojony, lecz przyznaję, że ogromnie się zaniepokoiłem, kiedy wycelowałeś do mnie, Bren-ji: postawiłeś własną ochronę w kłopotliwym położeniu.

- Przepraszam, Banichi.

- Dobrze też, że zaczekałeś, by potwierdzić cel; ateva ma nadzieję, że mnie rozpoznałeś, ale obawia się, że po prostu się zawahałeś, co nie jest dobre. Poza tym muszę cię wiele nauczyć o drzwiach, nadi-ji. Z powodu ich rozmiarów i tego jak zaprojektowano budynek nie zamontowano, co się dość szybko okazało, kuloodpornych.

- Banichi, jak mi życie miłe, z największą sumiennością nauczę się wszystkiego, co zechcesz mi pokazać, i nie, nie rozpoznałem cię. Ale czułem, że to możesz być ty.

- O wiele łatwiej mnie jest rozpoznać ciebie, nand' paidhi. Każdemu. Jeśli zauważysz czyjąś obecność, załóż, że osoba ta nie strzeli, jeśli nie będziesz sprawiał wrażeń, że ją widzisz. To niebezpieczne, ale mniej niebezpieczne dla twojej ochrony.

- Będę o tym pamiętał.

- Wiadomość od Tano. Stan apartamentu wskazuje na prawdopodobieństwo działań członków Gildii bez jej zezwolenia. Wbrew dowodom z pokój-  
niowego, Bren-ji, to są zawodowcy. Nie tacy, jak ten zamachowiec w legisla-  
turze.

- Zawodowcy działający w ramach man'chi.

- Najwyraźniej.

- Czy każdy patronat ma zawodowców na tak wysokim poziomie? Zakładam, że ci taki reprezentują, ponieważ ochrona Hanks...

- Nie każdy patronat ma takich zawodowców, a to jest bardzo prawdopo-  
dobne założenie. Ci, którzy strzegli Hanks-paidhi, nie byli lekkomyślni.

- A więc masz jakichś podejrzanych?

- Czterech czy pięciu.

- Imiona mi znane?

- Wszystkie.

- A więc, kto to jest, Banichi?

Banichi zawahał się.

- Możliwe, że jednym z nich jest Cenedi.

- Nie. Na pewno nie. Nie przy takim braku finezji.

- Powiedziałem, że to możliwe. Ateva wierzy, że celem był sam pokój  
śniadaniowy.

- A nie ja? - Bren nie wiedział, czy ma czuć ulgę czy się obrazić.

- Możliwe. Inne imiona... nie znasz tych członków Gildii, ale drugim  
moralnym sprawcą może być Atigeini - Tatiseigi. Kolejnym pan Geigi. Trzecią  
Direiso, która przedłożyła w Gildii Zamiar przeciwko tobie w imieniu  
Kadigidich. Zasadniczo nie wolno mi tego mówić, ale miały miejsce działania,  
które to uzasadniają. Gdyby nie ustąpiła, a proponowany kontrakt został  
odrzucony w głosowaniu, to ona sama oraz wszyscy związani z nią przez man'chi  
znalęzliby się w nieprzejednanej opozycji wobec Gildii; ona jednak jest do  
tego zdolna, a jeśli dzisiejsze działanie podjął patronat, do którego należy  
Ilisidi, to Direiso na pewno miała w tym swój udział. Podobnie jeszcze jedna  
osoba blisko związana z Kadigidimi - Saigimi z rodu Marid Tasigin, ośrodka  
niezdrowego podpatronatu o podejrzanych interesach. Łączy ich wszystkich  
ropa. Oraz prowincja Talidi.

Bren znał Kadigidich, swarliwych sąsiadów Tabiniego i przywódców opo-  
zycji w tashridzie, źródło nieustannych zadrażnień, których aiji tolerował,  
jak sam się zarzekał, w imię wartości pokojowej opozycji...

I chociaż Bren nie znał osobiście Saigimiego - Saigimi nie zasiadał w tashridzie - znał ród Marid Tasigin, a przede wszystkim znał interesy prowincji Talidi.

Znał je z pewnością Banichi.

- Talidi - powiedział Bren - to twoja prowincja.

- Bren-ji. Nie wstęp we mnie.

- Banichi - zaczął, ale uświadomił sobie, że sałatki w niczym tu nie pomoga, a w tym języku tak naprawdę nie istnieje słowo „samotny”. Można było je czymś zastąpić, ale porozumienia się nie osiągało. Dlatego paidhi nie mógł rozmawiać o tym, co uważał za poczucie lojalności Banichiego.

- Bren-ji - rzekł Banichi - to nie ja.

- Wiem, Banichi. Oczywiście, można mnie oszukać. Gdyby tak było... - Poczul ucisk w gardle i przypomniał sobie w nagłym przeblysku pamięci bolesną ciemność, kiedy Banichi powalił go na ziemię. - Gdyby tak było, Banichi-ji, to naprawdę nie musisz się trudzić. Poza Tabinim jestem związany man'chi tylko z tobą i z Jago.

Najwyraźniej zaniepokoił Banichiego.

- Nie z nami, paidhi-ji.

Nagle ogarnął go mroczny, samobójczy nastrój.

- Z Tabinim, o, tak. I z wami. Przywieram niczym klej. Żeby się mnie pozbyć, musielibyście mnie zabić. Już tacy jesteśmy.

Jeszcze nigdy nie widział, żeby Banichi miał taką zaniepokojoną minę.

- Nand' paidhi, ateva nie ma takich zamiarów. Zapewniam cię. Ty nie jesteś jednak związany przez man'chi ze mną czy z Jago. Jestem pewien, że i tak tego nie czujesz, nadi. To wszystko bzdura. Prawda?

- Kto wie, co czujemy? Może ja to czuję, Banichi. Gdybym do ciebie strzelił, byłbym bardzo zmartwiony.

- Ateva jest bardzo zadowolony, że wolałbyś, by do tego nie doszło, nand' paidhi. Ucierpiałaby też moja duma zawodowa. Przestraszyłeś mnie.

Takie słowa z ust Banichiego, członka Gildii, oznaczały osobiste wyznanie.

- Ty jednak nie należysz do mojego man'chi - upierał się Banichi, jakby go to wciąż gnębiło. - Ani, jak mam nadzieję, nie pociągam cię fizycznie, co też jest możliwe. No, a Jago i ty... z drugiej strony... niekoniecznie niosłoby to za sobą lojalność w stosunku do mnie. A może wśród ludzi jest inaczej?

Podjęli temat zbyt skomplikowany dla człowieka tak zmęczonego jak on, tak rozchwianego emocjonalnie - i tak winnego w kwestii drażliwych stosunków osobistych między Banichim i jego partnerką. Zagłębiał się w sprawy, o których nie miał pojęcia, i nagle Banichi, któremu umykało niewiele tajemnic, dał mu do zrozumienia, że coś podejrzewa w sprawie, której Bren nie mógł zapomnieć, nad którą nie mógł przejść do porządku dziennego i do której nie zamierzał się przyznawać.

Poświęcił więc to pytanie na rzecz kwestii, na której zależało mu najbardziej:

- Gdzie jest teraz Jago?

Zwykle i Banichi, i Jago, odpowiadali na takie pytania bardzo wymijająco. Bren doszedł już do wniosku, że to mogła być polityka ich Gildii albo służby Tabiniego - nic nie mówić o bieżących sprawach - i że w związku z tym Banichi nigdy nie udzielił mu szczerzej odpowiedzi. Wydawało się jednak, że Banichi przez chwilę się zastanawia, być może nad tym, że Bren pominął jego pytanie.

- W tej chwili na lotnisku. Nie odleciał żaden samolot. Z podziemi Bu-javid nie wyjechał żaden pociąg.

- A zatem Hanks nie mogła opuścić terenu.

- Ateva chciałby, żeby to była prawda. Jest prawie niemożliwe zadziałać na tyle szybko, żeby zagwarantować sprawdzenie kolei na obrzeżach, chyba że

co najmniej przewiduje się ruch lub kierunek. Dzięki połączeniom z koleją te cholerne hotele na dole to jedno wielkie sito.

- Trudno ukryć człowieka.
- Jeszcze trudniej, gdy sam tego chce.
- Naprawdę uważasz, że ona ich знаła.
- Ateva podejrzewa.

- Banichi, sam słyszałem, jak Hanks zawołała własną ochronę. Była zaniepokojona i bała się o ich bezpieczeństwo tak samo jak o swoje. Słyszałem to w jej głosie.

- To bardzo dużo jak na czyjś słuch.
- Z Banichim nie można było generalizować.

- Powiedzmy, że znam tę kobietę osobiście, a poza tym znam swój gatunek i kulturę. Rozpoznaję niepokój i po tonie jej głosu poznałem, że niepokoi się o nich. Ona ich ostrzegała. To niezbyt logiczne jak na spiskownicę - chociaż ludziom zdarza się brak logiki.

- Tej kobiecie częściej niż innym.

- Chciała o nich walczyć, Banichi. To było w jej głosie. Uwierz mi na słowo.

- Mogła być zaskoczona. Może nawet była przeciwna atakowi. A potem albo została pokonana, albo po prostu wykazała się pragmatyzmem, jeśli ich man'chi jest związane z wichrzycielami. Podejrzewam, że zeszli między hotele, poszli prosto do kolei publicznej i do jakiegoś bezpiecznego miejsca w Shejidan, a potem spróbują opuścić miasto z nieco mniejszym hałasem. Gdyby chciała, z łatwością mogłaby uchodzić za dziecko. Jest trochę za duża na śpiące dziecko. Dlatego mówię, że gdyby tego chciała. Rodzina na wakacjach. Jaka policja mogłaby ich zatrzymać?

- Równie dobrze mogłaby się ukryć gdzieś w Bu-javid. W apartamencie jakiegoś pana, sprzyjającego...

- Słusznie, ale to mniej prawdopodobne. Bardzo nieliczni spośród niezadowolonych panów podjęliby otwarte działania przeciwko interesom aijiego, chyba że stałoby się coś, co zdawałoby się podkopywać obecny porządek. Jest kilku, którzy poważyliby się na coś takiego i w innych okolicznościach. Istnieje nawet pewne prawdopodobieństwo, że ktoś chcący wkraść się w łaski Tabiniego źle zrozumiał sytuację i pomyślał, że pozbycie się tej kobiety uspokoi fale. Z pewnością lista tych, których zirytowała, jest dość długa.

Bren usiadł na łóżku, zbyt wyczerpany, by zdjąć buty - i nagle przypomniał sobie, skoro byli sami, najważniejsze dla siebie pytanie:

- Komputer Hanks. Wiesz, gdzie on jest?
- Najwyraźniej zniknął razem z nią. Przeszukano apartament.
- Cholera! Cholera, Banichi.
- W istocie.

Człowiek szczerze pragnął móc oddzielić przeszukiwaczy albo nawet Banichiego i Jago od tych atevich, którzy mieli motyw, by zabrać komputer i się do tego nie przyznać.

Człowiek jednak nie pytał. Zamiast tego rozpiął koszulę i ją zdjął; był tak wyczerpany, że nie wiedział, co z nią zrobić, ale Banichi wziął od niego przepocone ubranie i powiesił na krześle.

- Pojedziesz ze mną do Taiben, prawda? I Jago też?
- Na pewno zamierzamy to zrobić.

Po tych słowach Bren poczuł się nieco pewniej. Może nawet zaśmie, kiedy tylko przyłożył głowę do poduszki - tylko że ta sprawa z komputerem mówiła mu, że nie może sobie pozwolić na taki luksus. Musi wymyślić, co robić. O czym zameldować.

Albo nie meldować.

- Tano i Algini też jada?
- Taki mamy zamiar.

Biorąc pod uwagę okoliczności, sprawy na kontynencie miały się nieźle. Jeśli chodzi o Mospheirę, Bren nie miał pojęcia, co się tam dzieje, albo co

się będzie działo, kiedy po wyspie rozejdzie się wiadomość o lądowaniu, i jego zdradzieckim wspieraniu Tabiniego - ale jeśli połączy się to z ostrzeżeniem, że komputer Hanks znalazł się w obcych rękach... Boże, jak to będzie wyglądać? I co oni pomyślą?

„Proszę mi wierzyć, panie sekretarzu, ale porwała ją jakaś inna grupa atevich” - tak ma powiedzieć?

„Przepraszam, że sam przejąłem sprawę lądowania, ale ratowałem swoją wiarygodność u aijiego?”.

„Przykro mi z powodu Hanks. Żał mi jej. Chciałbym jej pomóc. Szkoda, że nie wiem, gdzie jest”.

Rozpiął spodnie i je zdjął. Banichi nie wyszedł z pokoju, ale Bren nie myślał o nim: jego mózg zaczął gorączkowo przeglądać inne sprawy, których nie mógł załatwić - Barb, matka i Toby z rodziną.

Gdyby ktoś w reakcji na jego zdradę postanowił przedrzeć się przez mniej niż entuzjastycznie nastawioną ochronę i zaatakować jego krewnych, Bren nie mógłby ochronić ich osobiście. Ale miał przyjaciół w departamencie stanu aż po Biuro Spraw Zagranicznych, przyjaciół mających taki dostęp do informacji i może - czasami tak myślał - na tyle dobrze zorganizowanych przeciwko działaniom administracyjnym, że niektórzy z nich, ci, co mają odpowiedni poziom wtajemniczenia, i ci, co nawet potrafia przeprowadzać tajne akcje, mogliby się zorientować, że niebezpieczeństwo zagrażające jego rodzinie tym razem wykracza poza zwykłych natrętów, i spróbować cicho załatwić sprawę za Brena, choćby tylko dlatego, żeby nie dostał wiadomości, która mogłaby mieć na niego destabilizujący wpływ w terenie.

Ale, Boże, co takiego naprawdę mogliby zrobić? Jak szybko mogliby się zorientować, że powstał problem - i jak bardzo mogliby naciągnąć swoje zaufanie do niego, skoro przekroczył granice ich interesów, a przynajmniej interesów związanych ze wspieraniem rządu.

List od matki, z którego cenzorzy zrobili sieczkę. Brak odpowiedzi matki na jego telefony. Barb jednak z nią rozmawiała. Powiedziała, że czuje się dobrze. Barb nie kłamałaby w takiej sprawie. A jego matka potrafi zająć się sobą tak samo dobrze, jak Barb. Dba o siebie. Przede wszystkim.

Wyłącznie...

W tej sprawie można na niej polegać. Na nisko postawionych przyjaciółach we wszystkich innych.

Położył się i przykrył, żeby przynajmniej wyglądało, że zamierzał spać.

Banichi zrobił coś bardzo dziwnego: naciągnął na Brena drugą narzutę i położył mu rękę na ramieniu.

- Bren-ji - powiedział - w sumie dobrze się spisałeś.

- Nie byłem zbyt głupi?

- Zważywszy na okoliczności, poszło ci zupełnie dobrze. Tylko, proszę cię, zostaw wszystko w rękach swojej ochrony.

- Gdyby moja ochrona w przyszłości informowała mnie, gdzie jest i co robi... to by znacznie uśmierzyło mój niepokój, Banichi-ji. I ułatwiłoby mi identyfikację celów.

- Niezły pomysł.

- Proszę cię - powiedział, opuścił głowę na poduszkę i zamknął oczy w nadziei na całonocną, odrętwiałą ciemność.

- W związku z bezpieczeństwem - rzekł Banichi - powinieneś pamiętać, że główną podejrzaną jest sama Damiri.

Oczy Brena otworzyły się. Nie mógł ich powstrzymać.

- Aiji - ciągnął Banichi - faworyzuje Damiri z rodu Atigeini. To nie znaczy, że może na niej polegać.

Oczy wciąż chciały się zamknąć, jakby Brenowi zaaplikowano środek uspokajający, którego nie potrafił zwalczyć. Gdyby Banichi powiedział, że budynek płonie, Bren zadałby sobie pytanie, czy może zaczekać do następnego alarmu.

Myśląca część umysłu nagabywała go jednak: Zapytaj. Nie będzie drugiej szansy. Banichi chce mówić.



- Tak? Gdzie więc stoi Tabini?

- Nie polega na Damiri. Moim, a może i jego zdaniem, Damiri-daja bada, skąd wiatr wieje, i w interesie swego własnego patronatu stara się sprawdzić, jak potężny jest Tabini i co jest warte przymierze z nim - pragmatycznie i historycznie. Oficjalnie Atigeini są mu przeciwni.

- Wiem o tym... ale strzelanie do własnych służących...

- Wuj, którego wymieniła, Tatiseigi, przypadkiem jest seniorem rodziny i oficjalnie przeciwstawia się jej związkowi z Tabinim. Naszym zdaniem ona ten związek popiera, jako że czuje ogromną sympatię do Tabiniego, który jest - Banichi przez chwilę szukał właściwego słowa - osobą znajdującą względy u wielu kobiet.

- Człowiek rozumie.

- Tatiseigi być może uznał, że Damiri posunęła się o wiele za daleko i Damiri może grozić wielkie niebezpieczeństwo ze strony jej własnego personelu.

- I mojego.

- Właśnie. Przenosząc się do apartamentu Tabiniego, porzuciła własną ochronę na znak stowarzyszenia się z Tabinim. Na pewnym poziomie jej osobista ochrona może popierać jej działania. Pewne osoby mogą być urażone. Jeśli obraziła swoją ochronę, to ta natychmiast podpadnie pod man'chi Tatiseigiego, co stworzy wielkie zagrożenie dla Damiri. Jeśli jeszcze do tego nie doszło.

- Czy są tutaj?

- Przynajmniej jedna osoba.

- Zabójca? Z Gildii?

- Saidin.

- Dobry Boże. - Budził się coraz szybciej.

- Ateva mógłby pomyśleć, że to podejrzałeś.

W arystokratycznym domu. W Bu-javid. W wyraźnie zagrożonym apartamencie, równie wyraźnie pozbawionym obecności członków Gildii oprócz atevich Tabiniego. To było rozsądne pytanie, Banichi miał rację, a on - nie miał usprawiedliwienia.

- Ale ty - zapytał Banichiego - osobiście uważasz, że Damiri mówi Tabiniemu prawdę?

- To, co ja myślę, nie ma wielkiego znaczenia. Ateva nie wie. Wierzę, że niszcząc antyki w tamtym pokoju, ktoś przekroczył rozkazy. Wierzę, że gniew Damiri jest prawdziwy. Podejrzewam, że Tatiseigi nie będzie zadowolony - bez względu na to, kto wydał rozkaz ataku. Odrzutowiec odlatuje za godzinę z ochroną do Taiben, zbaczając nieco z drogi, żeby dostarczyć pewną porcelanową lilię do pobliskich posiadłości Atigeinich.

- Doceniam naturę spekulacji. I na jak niewiele możesz sobie pozwolić pod tym względem, Banichi-ji. Co jednak z udziałem Ilisidi?

- Ateva nie wie. Ateva naprawdę nie wie, czy ją przekonałeś. To bardzo ważna sprawa. To jasne, że raz stanęła po twojej stronie. Teraz ateva musi cię zapytać: Gdzie stoi Ilisidi?

- Mogło mi się nie udać. Naprawdę mogło mi się nie udać.

- Nawet Tabini, który zna ją bardzo dobrze, nie sądzi, że potrafi przebić się przez powściągliwość wdowy.

Dość wyraźne ostrzeżenie - dla człowieka na tyle bystrego, by je przyjąć.

- Emocjonalnie mówiąc, Banichi, wyznaję, że wolałbym, by nie stała za tym Ilisidi.

- Z całą pewnością groźna osoba.

- Co więcej, uważam ją za przyjemną rozmówczynię. Antidotum na moją izolację. To być może głupota z mojej strony.

- Może człowiek, który dla odpoczynku rzuca się w dół po zboczach góry, mógłby uznać ją za wyzwanie. Ateva jednak jak najpoważniej przestrzega cię, nadi, że ten flirt z aiji-wdową nie jest pozbawiony ryzyka.

- O, cholera!

- Bren-ji?  
- Muszę ją zawiadomić o ataku i lądowaniu. Obiecałem jej, Banichi, że będę ją informował. Bez względu na okoliczności. To nie pora, by łamać dane jej obietnice. Ja je zламаłem.  
- Wdowa wyjechała, nand' paidhi.  
- Wyjechała?  
- Godzinę przed atakiem.  
Poczuł lekkie mdłości. Otępienie, zmrożenie do kości.  
- Cholera - powtórzył.  
- To mogła być ostrożność - rzekł Banichi. - Ateva nie może jednak polegać na tak pochlebnym przypuszczeniu.  
- Ci, którzy porwali Hanks - czego mogą od niej chcieć? Głupie pytanie, Banichi, wiem. Ale może widzisz coś, czego ja nie dostrzegam?  
- Z pewnością nie byli to zalotnicy - odparł sucho Banichi. - Powiedziałbym, że to oczywiste. Jej umiejętności. Jej komputer.  
- To nie jest zła kobieta - usłyszał własne słowa; nigdy by nie uwierzył, że będzie się wstawiał za Hanks. Nie chodziło mu jednak o Deane jako zakładniczkę - atevi nie bardzo rozumieli pojęcie zakładników w ludzkich kategoriach osobistej wartości; konserwatyści, którym odpowiadała najbardziej ze względu na opozycję w stosunku do Tabiniego, to byli jednocześnie atevi niezbyt tolerancyjni wobec ludzkiego zachowania - niektórzy z nich byli niezbyt tolerancyjni wobec ludzkiego istnienia.  
Jeśli to oni ją porwali - znaczy, że nie potrzebowali żywego człowieka. Potrzebowali informacji o działaniach i tajemnicach ludzi, które mógł skrywać Tabini.  
Być może chcieli też od Deany deklaracji, które rozpałiłyby masy przeciwko Tabinemu. Boże, znał sytuację, w którą wplątała się Hanks. Odczuł ją na własnym ramieniu i żebrach.  
Za oczyma inny ból, kłujący, ostry ból, którego człowiek na jego stanowisku nie powinien odczuwać, nie powinien pieścić, żal spowodowany zachowaniem Ilisidi. Przywiązywanie się do atevich jest głupim, osobiście i zawodowo niebezpiecznym błędem.  
Człowiek może być jak Wilson. Może zapomnieć, jak kochać. Może przestać to robić.  
Albo może przyjąć ból i starać się go wytrzymać, a potem niezłomnie i profesjonalnie nie dać się zaskoczyć ani się nie obwiniać, kiedy atevi zareagują na własne popędy i podepczą ludzkie uczucia.  
- Dziękuję - powiedział do Banichiego. - Czy ja ci podziękowałem?  
Miałem taki zamiar.  
- Moja...  
- ...praca. Tak, do cholery. Wiem. Ale chciałbym, Banichi-ji, żebyś przedkładał mnie nad Hanks-paidhi.  
- Gorąco, Bren-ji.  
- To i tak za mało. Za mało, Banichi. Pozwoliłbym ci strzelić do mnie, zanim bym zaryzykował, że to nie ty tam stałeś. Czy to cię uspokaja?  
- Bynajmniej.  
- No to się tym martw, Banichi-ji. Ja jestem na to zbyt zmęczony.  
- To moja praca - odparł niezmiennie Banichi, jak zwykle nieczuły na ludzkie uczucia, nie chwytający, w czym rzecz. - Masz zupełną rację. Powinniśmy cię lepiej informować.  
Ucisk w gardle wcale się nie zmniejszył. Nie było jednak rozwiązania. Nie było odpowiednika. Nie w zasobie słów paidhiego. Ani w żadnym słowniku.  
Banichi zgasił światło.  
- Jeśli w nocy będzie jakiś alarm, bądź pewien, że na niego zareaguję, Bren-ji. I zostań w łóżku.  
Atevi prosili o to, czego z kolei on nie mógł czuć. Pewnie gnębi ich to tak samo jak jego. Atevi nie mają słowa na „samotny”.  
Było coś jak sierota.

Było coś jak wyrzutek.

Poza tym po prostu nie mogli być samotni - i chyba lepiej niż ludzie wiedzieli, dlaczego coś robią. Psychiatria była nauką im nie znaną, być może dlatego, że żaden atewa nie zwierzyłby się nikomu spoza jego man'chi, a może dlatego, że wśród nich istniała tylko patologia.

Oraz niezwykle popularny sposób rozwiązywania wszelkich możliwych problemów związanych ze zdrowiem psychicznym - krwawa waśń.

Lub cokolwiek czuli atewi, a co odpowiadało temu staremu ludzkiemu słowu.

Prawdopodobnie zakłócił Banichiemu sen. Prawdopodobnie zmusił Banichiego do zadania sobie pytań, dla których Banichi ma jeszcze mniej słów niż on. Gdyby rzeczywiście istniał jakiś tajny atewski słownik ludzkiego języka, to tego wieczoru Banichi mógłby do niego zaglądać i zadawać sobie pytanie: Co paidhi miał na myśli?

Nękał Banichiego, dopóki nie upewnił się, że wszyscy, na których mu zależy, są bezpieczni, oraz, o ile był w stanie to ustalić, gdzie się znajdują; prawdopodobnie to nie miłość, lecz neurotyczne pragnienie uzyskania świadomości, że wszyscy są tej nocy w przewidywalnych miejscach, żeby mógł zamknąć oczy.

Nie mógł jednak otrząsnąć się z porażającego uczucia, którego doznał podczas rozmowy z Banichim o lojalności. Widział, jak bardzo w swoim postępowaniu oddalił się od ścieżki bezpieczeństwa, jak bardzo, niech Bóg go ma w opiece, potrzebuje i wciąż sobie powtarza, że nigdy, przenigdy nie zaspokoi tej potrzeby. Wiedział o tym, kiedy przyjmował tę pracę, wiedział w swej czystej młodzieńczej mądrości, że pewnego dnia, choćby po wielu latach kariery, natknie się na emocjonalny mur i przypomni sobie, dokąd zmierzał i dlaczego.

„Potrzeba” to takie uwodzicielskie, niebezpieczne słowo. „Potrzeba” to wolny pokój. „Potrzeba” to, do cholery, nie miłość, w żadnym sensie tego słowa. Jeśli miłość jest dawaniem, to jest to przeciwieństwo miłości; potrzeba wysysa miłość do cna, a z nią logikę i nigdy niczego nie daje. Barb była potrzebą. Starła się zostać jego potrzebą, a on widział zbliżanie się tej katastrofy.

A potem możliwość wsparcia zdobył sobie w Grahamie, jeśli Graham wyładuje cały i zdrowy. Chwiejny charakter jego stosunków z Banichim, a ten przynajmniej wiedział, jak mu wybaczać, dał Brenowi do zrozumienia, że musi się wziąć w garść lub dać Jase'owi Grahamowi klucze do własnej duszy, których ten, jeśli nie jest dobry lub życzliwy, może użyć. Jago dotykała go, zupełnie świadomie, a on ani na chwilę nie zapomniał dotyku jej dłoni, doznania, które przebiegło mu drżeniem przez nerwy i powiedziało... ..że Bren potrzebuje. Nie chciał ponosić odpowiedzialności. Chciał, żeby Jago zignorowała ostrzeżenia i kontynuowała to, co atewi robią ze swoimi kochankami, i co rozpałiło ciekawość Brena.

Jago... i Ilisidi. Zrobił miejsce w swoich ludzkich uczuciach dla tej kobiety z całą jej szorstkością i tajemnicami - zignorował wszystkie zasady, oddał jej nawet nieco ludzkiej lojalności, co na pewno bardzo ją zaskoczyło i sprawiło, że jej ocena jego osoby podążyła w kierunku, którego nie mógł przewidzieć żaden atewa, jakby dotknął man'chi i postawił rycersko szlachetną - arystokratycznie zachłanną? - starą atewę przed prawdziwym duchowym dylematem. Podejrzewał, że podobnie jak Tabini, starła się go rozszyfrować, dostosowała swoje zachowanie do własnych koncepcji na temat jego działania i zapuściła się na ten sam dziewiczy teren wzajemnie zmienionego zachowania, po którym Bren chodził z Tabinim.

Jego wina, a nie jej. Ilisidi jest na niego zła. Jago, wyłącznie dzięki samej sobie, potrafiła zatroszczyć się o siebie. Jago zatroszczyła się o siebie i wyszła, kiedy ją ostrzegł. A Banichi wie. Banichi zawsze wszystkiego się dowie.

A może Jago po prostu mu powiedziała? Cokolwiek to znaczyło w związku, którego Bren jak dotąd nie rozszyfrował.

Cholerny głupiec, skarcił się w duchu. Słyszał, jak atevi kręcą się po apartamencie, chodzą korytarzem pod drzwiami jego sypialni. Wiedział jednak, że Banichi wie, kim oni są i że nie chodzi tam nikt, kogo nie zaakceptował Banichi. Wszystko w porządku.

Usłyszał, jak gdzieś daleko otworzyły się i zamknęły drzwi. Spodziewał się jednak ruchu. Miał nadzieję, że to dobra wiadomość. Albo przynajmniej, że wszelkie złe wiadomości trafiają do osoby, która będzie wiedziała, jak dalej postąpić.

Miał ten cholerny kod. Shawn albo ktoś inny wiele zaryzykował, żeby dostarczyć mu kod, którego, kiedy się trzeźwo zastanowił, chyba nie zgarnął do komputera, gdy go włączył i uruchomił poszukiwacza.

Miał pewność, że komputer Hanks znajduje się w niepowołanych rękach, czy to po stronie Tabiniego czy jego przeciwników. A kod, który mu z takim trudem dostarczył Shawn, mógł, jeśli jest tym, czym się wydawał, przedrzeć się przez elektroniczne zabezpieczenia Mospheiry i dostarczyć przynajmniej jedną wiadomość do właściwych kanałów w Biurze Spraw Zagranicznych.

Miał włączony zdalny sterownik. Mógł wysłać to ostrzeżenie stąd, z sypialni, nie potrzebując żadnych linii telefonicznych, nie zdradzając armii ochroniarzy - których Tabini na pewno posadził do pilnowania jego telefonów - że po ataku kontaktował się bezpośrednio z Mospheirą. Tabini dał mu jednak pełną swobodę ruchów - dla potencjalnego szpiega pozycja godna zazdrości.

Gdyby ten szpieg chciał poinformować Mospheirę o zajęciach w Bu-javid, o tym, że Hanks znajduje się w obcych rękach i prawdopodobnie jest przesłuchiwana i zmuszana do przełamania elektronicznych zabezpieczeń Mospheiry.

Wyżej wymieniony szpieg mógł się także spodziewać, że Mospheira natychmiast przekaże tę informację na statek, który mógłby opóźnić lądowanie lub zmienić lądowisko, zupełnie jakby Bren przyznał przez telefon, że popełniono podwójne morderstwo i został porwany przedstawiciel ludzi.

W związku z tym nie wysłał ostrzeżenia na Mospheirę. Wyżej wymieniony potencjalny szpieg i pracownik mospheirańskiego rządu musiał leżeć w łóżku i nie mógł wykonywać żadnych dalszych posunięć, zostawiając Deaną na łasce porwawczy, ponieważ Mospheira nie mogłaby nic zrobić. Jedyną szansą uratowania Deany są ochroniarze jego i Tabiniego, i gdyby Bren wysłał tę wiadomość, czego Shawn i inni ludzie, którzy zawierzili mu swoje kariery, mogliby nie zrozumieć w jej emocjonalnym i logicznym kontekście, Tabini mógłby stracić swoje otwarcie w grze ze statkiem, a Deana...

Jeśli pozwoła jej żyć, Deana mogłaby się znaleźć na stanowisku paidniego, a jednocześnie przeciwników Tabiniego - cholera!

Na stanowisku, o które zabiegała, jeśli tylko dożyje tego zaszczytu, jeśli wytrzymają jej kości - atevi nie zawsze byli delikatni - i jeśli będzie umiała posługiwać się głową.

Boże, ona może skontaktować się z Mospheirą i powiedzieć, że została porwana, żeby w ten sposób przeszkodzić w lądowaniu. Właściwie mogła pracować dla opozycji. Mogłaby się bardzo dobrze przysłużyć Mospheirze.

Przy tej myśli Bren znów otworzył oczy i zapatrzył się w ciemność nie dającą żadnych odpowiedzi. Zadał sobie pytanie: Jak znalazł się w tym położeniu, mając takie dobre zamiary? Zadał sobie też inne pytanie: Jak to się stało, że tak się zaangażował w zdradę swego prezydenta, rządu i wszelkich demokratycznych procesów na Mospheirze, które głosiły, że takich decyzji nie podejmuje jeden człowiek?

Krok po kroku i dysponując rozeznaniami w sytuacji, którego nie miał rząd Mospheiry: nie była to odpowiedź, jakiej udziela dobry urzędnik swemu rządowi...

Ale, do cholery, to urzędnicy jego rządu popierali Hanks, która wciąż mogła być w sytuacji na tyle dogodnej, by dotrzeć do Mospheiry, o ile się orientował, przy pełnej aprobacie spiskowców - i wszystko popsuć.

Nie myślał jasno. Nie rozumował w sposób, który umożliwiłaby uzyskanie odpowiedzi; tyle że wypracował sposób na dopuszczenie atevich do rozwoju; Shawn może go poprze, może go poprze garstka pracowników BSZ, nawet w tym, że nie posłużył się kodem i dopuścił do lądowania - przynajmniej Deana nie może korzystać z dużego talerza. Jeśli nie ma dostępu do przekaźnika na Mospheirę.

To też może dać do myślenia statkowi.

Była to jedyna myśl, która w końcu pozwoliła mu zasnąć.

## Rozdział 20

Silniki samolotu pracowały, kiedy wchodzili na pokład. Nie było w tym nic dziwnego, skoro w noc poprzedzającą ich poranną podróż samolot odbył dwa loty i zatankował paliwo. Bagaż stanowiła tajemnicza sterta worków z czerwono-czarnymi pieczęciami Tabiniego, które już ładowano na pokład i które nie miały nic wspólnego z torbami Brena, przeznaczonymi do kabiny; wziął ze sobą tylko ubrania, mające mu wystarczyć do powrotu do Bu-javid z Jasem Gramem.

Na rampie bagażowej znajdowało się co najmniej piętnaście skrzynek.

Przez cały czas - kiedy się obudził, zobaczył w foyer koszyk pełen pilnych osobistych wiadomości, a wychodząc z apartamentu, natknął się w zewnętrznym korytarzu na bukiety kwiatów - otrzymywał życzenia pomyślności od oficjeli oraz innych osób, dla których wydarzenie to nie było taką tajemnicą, jakby Bren pragnął.

Teraz, kiedy tak wyglądał przez okno, na płycie lotniska zatrzymała się furgonetka. Kierowca zaczął sprzeczać się z ochroną, towarzyszyło temu wymachiwanie rękami i pokazywanie na okno Brena, po czym kierowca spojrzął w górę, i Bren, rozumiejąc, że chodzi o niego, nieśmiało pomachał ręką.

Wtedy kierowca i jego pomocnik wystawili na płytę w pobliżu samolotu kolejne bukiety, ponieważ nerwowa ochrona Brena nie chciała dopuścić dostawców bliżej.

Nie była to ostatnia furgonetka. Przyjechały jeszcze dwie, przywożąc więcej kwiatów, aż można było pomyśleć, że to jakiś pogrzeb albo wesele. Do Brena dotarły natomiast karty, przynoszone przez obsługę samolotu, ochroniarzy, a nawet przez atevich wnoszących na pokład starannie sprawdzaną żywność. Bukiety pochodziły od przewodniczących komisji. Od służby. Od pracowników biurowych, którzy niedawno zaczęli pracę. Na jednej z kart napisano:

„Nand' paidhi, to moja pierwsza praca. Jeszcze raz czytam całą korespondencję, którą się zajmowałem, w nadziei, że nie przeoczyłem jakiejś groźby pod twoim adresem”.

Na innej:

„Nand' paidhi, proszę cię, żebyś bardzo uważał. Nie dopuść do wojny”.

Oraz bardziej wylewna karta od dżentelmena, którego znał Tano, zapisana starannym kaligraficznym dworskim pismem:

„Nand' paidhi, pokładam wielką nadzieję w twojej ochronie. Zechciej przyjąć ode mnie życzenia długiego życia, a od całego mojego rodu życzenia, byś nadał udzielał cennych porad ajiemu i jego rodowi, oby długo kierował Patronatem”.

Ostatni dostawcy rozumieli ograniczenia i po prostu kładli bukiety w zasięgu wzroku Brena. Utworzyły one pastelową masę na tle szarego, zachmurzonego świtu, porzucone na pastwę pogody i podmuchu z silników. Bren poczuł się odgradzony od ofiarodawców, samotny, ale i wzruszony gestem - a także przerażony na myśl, jak kosztowne są niektóre z tych bukietów, pochodzących od urzędników wcale nie zarabiających tak dużo pieniędzy. Włożył wszystkie

karty do teczki z dokumentami - i te ze zwykłymi wstążkami obywateli, i te z ciężkimi pieczęciami wielmożów - żeby na nie odpowiedzieć, kiedy tylko będzie mógł. Przysiągł sobie, że do każdej odpowiedzi załączy kwiat, szczególnie do pracowników biura, którzy, o czym był przekonany, nie przepuścili żadnego ostrzeżenia. Nie, do diabła, nie po jednym kwiatku - prawdziwe bukiety, i to na rachunek reprezentacyjny paidhiego, który wysłał prosto do departamentu stanu z notatką, żeby mu go zwrócić, jeśli departament uchylił się od zapłacenia.

Następna furgonetka. Przyjechał kolejny bukiet, olbrzymi i ekstrawagancki. Doręczyciel gwałtownie nalegał, by wnieść go na pokład. Bren obserwował sprzeczkę przez okno. Jego ochrona była jednak nieugięta i wezwwała Banichiego, który osobiście przyniósł mu kartę, co najwyraźniej było ceną ugody.

- Jakiś natrętny sympatyk - rzekł Banichi. Jeden rzut oka wystarczył, by przekonać się, że karta i bukiet pochodzą od pana Geigiego.

„Nand' paidhi”, pisał Geigi, „głowy mądrzejsze od mojej badają odpowiedź, której udzieliłeś na moje pytanie, dokładając nieoczekiwanych osobistych wysiłków. Głęboko żałuję, że twoja nieobecność spowodowana poszukiwaniem tej odpowiedzi mogła dać jakiejś osobie czy osobom sposobność lub motyw do ataku na paidhiin, które to działanie, jak zdaję sobie sprawę, z konieczności rzuca cień podejrzenia na mnie, nad czym boleję. Pod oddzielną pieczęcią wysłałem wiadomość do Tabini-aijiego i mam nadzieję, że także potwierdzisz moje życzenia pomyślności wobec twoich towarzyszy wszelkiego stopnia. Mam także nadzieję, że Hanks-paidhi jest bezpieczna i dołożę wszelkich starań z mojej strony, oraz ze strony mojego personelu, i nie dopuszczę do tego, by coś jej się stało”.

- Wierzysz w to? - zapytał Bren.

Banichi wziął kartę do ręki, przeczytał ją, uniósł brew.

- Ateva by nie kwestionował. - I dodał: - Ani nie przyjąłby tego bukietu pod swój dach.

- Na pewno nie ma w nim bomb. Na zewnątrz tankują. Cysterna...

- Ateva nie wie, czego nie zawiera bukiet. Hazard nie jest moją pasją. Przekażę twoje grzeczne podziękowanie. Zaproponowałem, żeby przestawili cysternę i odciągnęli nas z tego miejsca wcześniej.

- Jago nie wsiadła.

- Jago już jedzie - odparł Banichi - i bardzo się śpieszy. Jeśli nie zdąży, wyleci po południu z Tano i Alginim. Zgadza się z tobą. Coraz bardziej nie podoba mi się to nagromadzenie życzeń w pobliżu naszych baków. Szczególnie ta ostatnia przesyłka.

- Masz może jakieś wiadomości o Hanks?

- Wciąż szukają.

- Jago... - Widział za plecami Banichiego innych ochroniarzy aijiego, przygotowujących się do zamknięcia drzwi.

I postać wybiegająca z budynku w kierunku samolotu.

Mężczyźni w środku też ją zauważyli. Zaczekali. Po chwili Jago wpadła na pokład, drzwi zostały zamknięte, a obsługa naziemna odciągnęła schodki.

- Czy coś znaleźli? - zapytał Bren, gdy Jago szła do nich między fotelami, wyglądając mundur do jego zwykłego, nieskazitelnego stanu.

- Ateva wątpi. Zechcesz coś zjeść po starcie?

- Chcę tylko informacji o Hanks.

- Nie ma żadnych. Jesteś pewien? Ja się napiję soku owocowego.

- To ja też. Dziękuję. - Kiedy Jago minęła go, idąc na tył samolotu, rzucił okiem na Banichiego. - Sądziłem, że obraliście nową politykę mówienia paidhiemu prawdy.

- Nie. Ateva postanowił informować paidhiego w sprawach dotyczących jego bezpieczeństwa. Nie działań operacyjnych.

- Do cholery, Banichi!

- Takie informacje mogłyby go podkusić do pomocy. Lub uniemożliwić niewinną reakcję na inne informacje. Masz taką wyrazistą twarz, Bren-ji.

Silniki zawyły głośniejsze. Samolot skręcił i ruszył w kierunku pasa startowego, zostawiając za sobą kwiaty i cysternę.

Banichi i Jago usiedli obok Brena i zapięli pasy. Inni ochroniarze odeszli od drzwi i dołączyli do grupki sześciorga pozostałych agentów ochrony z tyłu samolotu, mężczyzn i kobiet rozmawiających głosami nie wybijającymi się nad hałas silników i pozbawionymi wszelkiej wesołości. Służące, w liczbie ustalonej przez Saidin jako pomyślna, odleciały wcześniej, przed świtem.

Saidin. Agentka ochrony Damiri. Tabini zaproponował, żeby personel wybrała Saidin, w przeciwieństwie do paidhiego dobrze wiedząc, kim ona jest. Było to bezpośrednie zaproszenie dla Saidin, wyzwanie, by umieściła kogoś ze swoich wśród personelu jadącego do Taiben - na dobre czy na złe.

Paidhi był tak głupio ślepy w tej sprawie, wiedząc przecież, że w takich miejscach musi być ochrona - ale przyleciał otumaniony lekami, wyrobił sobie podświadome, a potem już nie kwestionowane zdanie o personelu, uznał Saidin za starszą matronę i nigdy, do cholery, nie zadał sobie tego oczywistego pytania. Polubił Saidin, a Saidin mogła założyć, że paidhi wie, kim ona jest; co - tu Banichi miał rację - mogło wpłynąć na jego reakcje, wyraz twarzy, poziom ostrożności, gdyby tylko wiedział to, co powinien wiedzieć, a co wiedziały każdy ateva...

Pewnie wprawiał Saidin w ogromne zakłopotanie. Mimo to, do cholery, wciąż lubił tę kobietę.

Było coś w osobach, które przyjmowała w swoje szeregi Gildia Zabójców. Bren nie wiedział, dlaczego. Nie wiedział, co je łączy - może poza prawością, która poruszała struny w jego szarej duszy, może świadomością, że można robić rzeczy wstrząsające własnym sumieniem, a mimo to zachować poczucie równowagi.

Banichi będzie go uczył o drzwiach. Nie tego chciał się nauczyć od Banichiego. To, co chciał zrozumieć, było rzeczą o wiele bardziej podstawową.

Kiedy on i Jago niemal - niemal - przekroczyli granicę, a on wpadł w panikę, to może właśnie wyczuł zachwianie tej prawości. Tej bardzo nieludzkiej prawości. Tego więcej niż ludzkiego poczucia moralności.

Które guzik Jago obchodziło.

To nie pasowało do jej charakteru.

Gdyby wziąć ją za człowieka. I to z Mospheiry. Jago nie była jednak człowiekiem.

Była... kimkolwiek są atevi w tej instytucji. W tym sensie ufał Jago, że nie postawiła go w trudnej sytuacji.

Cholera, znów o tym myśli. W sprawach, którymi powinien się zajmować, nie było na to miejsca.

Zawrócili, by wjechać na pas startowy. Koła załomotały na płytach nawierzchni i oderwały się od ziemi. Znajome dachy wsunęły się pod skrzydła i hałas jeszcze jednego odlatującego odrzutowca zakłócił sen atevim w całym Shejidan, którzy zachodzili w głowę, co takiego się dzieje, do diabła, co wymaga tylu niewątpliwie oficjalnych i nieprzewidzianych rozkładem lotów do i ze stolicy...

Pewnie, że zachodzą w głowę. I w świetle niedawnych kryzysów pewnie się domyślają, że ma to związek z paidhim, obcym statkiem, aijim i wielkim zainteresowaniem ochrony oraz rządu.

Atevi bardzo dobrze potrafią dodawać.

Samolot wspinał się powyżej wysokości zwykle zagrożonej małymi atewskimi samolotami, zyskując wspaniałą widok słońca wschodzącego nad pokrywą chmur - niewątpliwie lepszy widok roztaczał się z drugiej strony, gdzie z chmur wyrzały się szczyty łańcucha Bergid, ale paidhi nie miał energii ani serca, żeby wstać i spojrzeć. Nie był w nastroju odpowiednim do podziwiania pięknych wschodów słońca. Ten, który widział, raził jego poczucie rzeczywistości. Do nastroju Brena bardziej już pasowała szarość rozciągająca się poniżej chmur.

Nieprzyzwoity blask rózu i złota sprawiał, że nadzieja wydawała się zbyt łatwa, kiedy istniało tyle niewiadomych.

Ochrona zaczęła się jednak kręcić z tyłu samolotu, a Jago poszła, wedle jej słów, po sok.

- Herbatniki - powiedział Bren, zanim uciekła. Może sprawił to wschód słońca, ale paidhi stwierdził, że mogliby coś zjeść - opuścił apartament w pośpiechu przed śniadaniem, a nie wiadomo, co jeszcze go czeka.

Jago wkrótce wróciła z gorącą i wonną stertą herbatników przewidzianych do zaspokojenia zdrowych atewskich apetytów - ludzkiemu żołądkowi wystarczył jeden taki herbatnik - oraz z herbatą i sokiem bezpiecznymi dla Brena.

- Dzięki - powiedział, kierowany dyplomatycznym autopilotem. Wziął herbatnik, wziął herbatę i sok i stwierdził, że w końcu ma to, czego zawsze chciał: swój personel bezpiecznie zebrany przy śniadaniu, no, może bez Tano i Alginiego, którzy wciąż brali udział w śledztwie. Banichi powiedział, że chcą polecieć następnym kursem tego samego samolotu do Taiben po południu.

Bren nie mógł jednak przestać myśleć o Hanks i nie potrafił jeszcze przekonać samego siebie, że wszystko jest pod kontrolą. Atak na gościa aijięgo w Bu-javid i porwanie go musi mieć poważne konsekwencje dla pomyślności Patronatu. Taiben dysponuje teraz dużą siłą ognia. Tabini jeszcze nie przyjechał - jeśli w ogóle się tam pojawi. Tabini wysyłał do Taiben ochronę w takiej liczbie, że mogła odeprzeć poważne siły.

A w związku z nadmiarem uczuć, które nagle po tej próbie zabójstwa - ale niepoprzedniej - spowodowały zalew kwiatów i życzeń pomyślności od towarzyszy, człowiek nabrał przekonania, że zwykli atevi potraktowali ten zamach o wiele poważniej niż działanie pojedynczego rozgniewanego człowieka w legislaturze.

Ten zamach wydawał się im poważną sprawą.

Paidhiemu też.

- Słyszeliście? - zapytał. - Macie może jakieś informacje, czy ci wichrzyciele zechcą dokonać zamachu podczas samego lądowania?

- Niewątpliwie chcieliby użyć wszelkich środków, żeby sprawić wrażenie, iż aiji jest słaby - odparła Jago. - Atak na Taiben jest zupełnie możliwy.

- Skierowany przeciwko Tabiniemu? Czy przeciwko pomysłowi kontaktów z ludźmi w ogóle?

- Ateva na pewno wolałaby, żeby statek wybrał jakieś inne miejsce, nie tak blisko miasta - rzekła Jago - ponieważ znacznie ułatwia to działanie konspiratorom. W tym regionie jest i Direiso, i Tatiseigi.

- Chcesz powiedzieć, że każde inne miejsce byłoby lepsze. To dlaczego, na litość boską, Taiben znalazło się na liście?

- Ma swoje zalety. Dostęp jest równie łatwy dla nas. Poza tym jesteśmy blisko sąsiadów, co oznacza szybszą orientację w tym, co robią.

- Ale są jakieś konkretne powody do zmartwień?

- Jest podejrzany patronat - rzekła Jago. - Miejscowy. Ale potężny.

- Zlokalizowany geograficznie? - Człowiek nigdy nie znał pełnego zasięgu ani złożoności atewskich patronatów. Sami atevi nie ujawniali ich możliwości ani charakteru - niech Bóg ma w opiece uniwersytet na Mospheirze, który stara się tego dociec.

- Zrozum, nand' paidhi, Taiben jest jedną z posiadłości znajdujących się na bardzo starym obszarze, z dawna zamieszkanym przez arystokrację - sąsiadują tam ze sobą bardzo stare siedziby o długiej tradycji nieprzyjemnych stosunków.

- To znaczy historycznych waśni. - To była Dolina Padi. To rzeczywiście stary obszar. Historyczny.

- Nie, nie waśni - odezwał się Banichi. - Wraz z tym pradawnym podziałem ziemi - czego paidhi może być świadomy - istnieją tysiące lat historii bardzo starożytnych rodów, z których każdy należy do potężnych współczesnych patronatów.

Nie mówiąc już o granicach. Podział ziemi. To coś innego.



- Przyjemne sąsiedztwo w dobrych czasach - powiedziała Jago. - Jest jednak wiele nie załatwionych spraw. W niepewnych czasach bardzo łatwo o zachwianie równowagi.

- To znaczy - rzekł cicho Bren - że gdyby o tysiąc mil stąd zawiązał się jakiś spisek, to ze względu na te rody najłatwiej byłoby mu się zagnieździć tutaj, w pobliżu Taiben.

- Pięć rodów - powiedziała Jago. - Zanim na świecie pojawili się ludzie, w Dolinie Padi było pięciu głównych właścicieli ziemskich. Historycznie wszyscy aijiin atevich Ragi wywodzili się spośród tej piątki. Patronat jako taki nie potrafiłby zgodzić się na żadnego aijiego, który nie pochodził z tego małego patronatu. To są wszystkie rodziny Ragi, które kiedykolwiek dzierżyły władzę.

- Ale Traktat przypieczętował ród Tabiniego, nadając swoje ziemie uchodźcom z terenów objętych wojną. - Była to odpowiedź numer jeden, udzielana zawsze, ilekroć początkujący studenci słyszeli to pytanie. Niewątpliwie jednak chodziło tu o coś więcej. Wybory u atevich były bardzo skomplikowane. - Kupili Traktat.

- Zatrzymując sobie tylko posiadłość w Taiben - nie tylko ze względu na bliskość Shejidan i położenie nad Alujis. Ważne były więzy wynikające z zasiedzenia, ale i arystokratycznego pochodzenia. No i wspólnych polowań. I, co oczywiste, więzy pokoleniowego bogactwa.

- A Atigeini mają ziemie dość blisko Taiben.

- Pół godziny samolotem - rzekł Banichi.

- Myślisz, że będą nam sprawiać jeszcze jakieś kłopoty? To chcesz powiedzieć?

- Stosunki z Atigeinimi mogą się wyjaśnić przed zachodem słońca. Główną niewiadomą jest wciąż stary Tatiseigi.

- Oraz Ilisidi - dodała Jago.

- Właśnie, co z Ilisidi? Gdzie ona jest? Czy ktoś wie, dokąd się udała?

- O, do Taiben, ale Tabini wyprowadził ją wczoraj wieczorem. Teraz sądzimy, że gości w Masiri, u Atigeinich. U samego Tatiseigiego.

- Cholera - powiedział cicho Bren. Czuł jednak, że zanosi się na katastrofę.

- Tabini oczywiście wiedział, dokąd uda się wdowa - rzekł Banichi.

- I zrobił swoje - powiedziała Jago. - Nie poddaje się naciskom, szczególnie w Taiben. Ten mały patronat jest historycznie wrażliwy.

- Rzuca wyzwanie swoim wrogom?

- Może zbiera ich pod jednym dachem.

Robiło mu się coraz bardziej nieswojo. A za oknem widział tylko pustkę. Otaczały go atewskie cele, atewskie kierunki, atewska misja. Pułapka - spisek - Bóg jeden wie, co. Przekonawszy statek, żeby nie ufał Mospheirze, sprowadza jego przedstawicieli w sam środek burzliwej atewskiej polityki.

A atevi, których darzył największym zaufaniem - to jedno ze słów, które każdy paidhi powinien oczywiście natychmiast zaznaczyć w myślach jako szczególnie niebezpieczne - pozwolili mu zaproponować Taiben wśród innych miejsc przedstawionych statkowi i dopiero teraz wspomnieli o sieci patronackich związków oplatających Taiben, które - Boże, czy to było zaledwie przed paroma tygodniami? - za kadencji Brena nie miało żadnego znaczenia. Zanim przybycie statku pogrążyło wszystko w niepewności, nie zastanawiał się nad lokalnymi patronatami częściej, niż zadawał sobie poważne pytanie na temat geografii dna morskiego.

Mikrokosmos atewskich patronatów, które z całą swoją złożonością sięgały setek lat wstecz, nie był czymś, o co mógł pytać dobrze wychowany paidhi, który i tak nie wiedział o nich tyle, by się mieszać do ich spraw - wobec czego paidhi tego nie robił. Większy Patronat był stabilny. Bren tego nie kwestionował. Nawet się tego po nim nie spodziewano. Żelazną zasadą polityki Biura Spraw Zagranicznych było to, że paidhiin zajmowali się wyłącznie głównym Patronatem i nie wtykali nosa do mniejszych. Sprawozdania, jakie uda-

wało się zdobywać paidhiin, były naszpikowane fałszywymi informacjami i plotkami, zarzutami, historiami waśni i grózb...

Ale zapytać o stosunki panujące między posiadłościami sąsiadującymi z Taiben w czasach przedludzkich? Do cholery! Przecież to oczywiste, że patronaty z Doliny Padi muszą być jednymi z najstarszych: choćby dlatego, że archeolodzy - to nowa nauka, przejęta od ludzi - założyli tu kilka stanowisk, szukając prawd, których odkrycia wcześniejsi aijiin mogliby nie zaakceptować.

- Toczyło się tu wiele wojen - powiedziała Jago - wiele wojen. Nie między fortcami, jak Malguri. Ragi zawsze byli dumni z tego, że nie potrzebują murów.

- Wśród tych przywódców zawsze jednak tworzyły się patronaty - wtracił Banichi. - A Taiben należało do męskiej linii rodu Tabiniego. Żeńska linia dwie generacje temu mieszkała jeszcze w Prowincjach Wschodnich.

- Stąd Malguri - uzupełniła Jago.

- Które - ciągnął Tabini - żeby w skrócie przedstawić bardzo długą, krwawą historię, zjednoczyło się z Doliną Padi za sprawą małżeństwa z pradziadem Tabiniego. Miało to tylko jeden skutek: linia Tabiniego jest jedyną linią z Doliny Padi nie ograniczoną wyłącznie do Doliny Padi - czy też całkowicie zależną od tutejszych rodzin. To korzystne.

- Gdyby więc teraz chciał się z Doliny Padi wyłonić nowy przywódca, to taka osoba nie utrzymałaby Wschodu. To chcecie mi powiedzieć?

- Oczywiście, jest ktoś taki - stwierdził Banichi.

- Ilisidi.

- Nie została wybrana przez hasdrawad, bo pospólstwo jej nie wierzy. Z tashridem byłoby zupełnie inaczej. Na nieszczęście dla Ilisidi to nie tashrid wyznacza następcę - to była głęboka reforma, Bren-ji, bardzo głęboka reforma. Następcę wybiera lud. Najgorętsza debata dotyczyła Traktatu i osiedlenia uchodźców, bo wszyscy panowie walczyli o uzyskanie przewagi - lecz ta jedna zmiana była ciosem zadany w ciemności. Pospólstwo zawsze słuchało rozkazów, jak ma głosować.

- Do czasu, kiedy Traktat wprowadził zmiany gospodarcze - powiedziała Jago - i lud stał się bardzo niezależny. Nie chce już głosować wbrew swoim interesom. Panowie z Doliny Padi niegdyś byli źródłem aijiin. Teraz nie mogą wybudować prywatnej linii kolejowej bez zgody hasdrawadu i Tabini-aijiego.

- To na pewno było dla nich trudne do przełknięcia - rzekł Banichi. - Sprzyjało jednak rozwadze i politycznemu umiarkowaniu, a także w większości przypadków spokojowi. Lud po prostu nie wybierze kogoś obciążonego tym starym bagażem.

- A Atigeini? - zapytał Bren. To nie była rozmowa, tylko przyspieszony kurs historii politycznej, prowadzący do oświecenia go w sprawach, które według Tabiniego, czy też jego ochrony, powinien znać. - Czy Damiri jakoś go z nimi wiąże? Paidhi, nadiin-ji, żałuje, że nie posiada informacji, które pozwoliłyby mu na większą wnikliwość. Nagle przestałem rozumieć, czego Tabini spodziewa się po tym związku.

- Spadkobiercy.

- Oraz przymierza z kimś z tych rodzin? Z tych bardzo starych rodzin? Nie wiem, co chcecie mi przez to powiedzieć.

- Żaden inny aiji nie jest tak związany z ludem, jak linia Tabiniego - rzekła Jago. - Tabini-aiji został przez niego wybrany; naturalnie aiji, którego linię popiera lud, pragnie utrzymać system demokratyczny. Oczywiście, niektórzy inni panowie mogliby chcieć wrócić do starego porządku. Nigdy jednak nie zostaną wybrani. Natomiast zamach stanu...

- Obalenie samego hasdrawadu? - Brenowi nagle przestała się podobać logika tego wyводу. - Wrócić do tashridu jako elektoratu?

- Takie są tarcia w rządzie - powiedział Banichi. - Ateva ma szczerą nadzieję, że do tego nie dojdzie. To jednak, że Damiri-daja z rodu Atigeinich z Doliny Padi nagle ujawniła się jako kochanka Tabiniego, było bezpośrednio związane z pojawieniem się statku i twoim bezpiecznym powrotem z Malguri.

Gwiazdy i galaktyki może nie były specjalnością Banichiego. Był on jednak bardzo wysoko postawionym zabójcą Gildii: można polegać na tym, że Banichi zna zawiłości układów i motywy, które popychały atevich do zgłoszenia Zamiaru.

- Moim powrotem.

- Pozornie oznaczało to - odparł Banichi - że uznała, iż to wydarzenie na niebie raczej wzmocni Tabini-aijiego, niż go obali. Że dawne pragnienie Atigeinich dzierżenia władzy w Bu-javid najlepiej da się spełnić w sypialni, a nie na polu bitwy.

- Czy to twoja ocena jej przemyśleń?

- Paidhi nie jest głupcem. - Twarz Banichiego przybrała wyraz lekkiego rozbawienia. - Powiedzmy, że ja sam często zadaję sobie to pytanie. Właśnie. Wątpię, żeby ich romans był udawany. Wykazują - Banichi wykonał drobny ruch palcami - szczególnie niemądre oznaki przywiązania. Jest ono według mnie prawdziwe; personel znajdujący się w lepszej pozycji ode mnie, by to osądzić, mówi to samo. To nie znaczy, że postradali zmysły; Naidiri ma rozkazy, które mówią, że przyzwoitość nie ma go powstrzymywać - podczas gdy Damiri zrezygnowała ze swojej ochrony, przynajmniej na czas pobytu w rezydencji aijiego: jest to w takiej sytuacji konieczne ustępstwo ze strony młodszej partnerki, które jednak stawia jej ochronę w bardzo trudnej sytuacji. Twoja obecność stała się zupełnie przypadkowo balsamem na zranioną dumę Damiri, oraz testem.

- Na wypadek, gdybym został zamordowany we śnie.

- Wiele by to kosztowało tę damę, która swoim zachowaniem bardzo wyraźnie odcięła się od polityki Atigeinich. Powinieneś wiedzieć, że Tatiseigi uczynił ze sprzeciwiania się Tabiniemu i jego ojcu cel swego życia, podobnie jak jego ojciec w stosunku do dziada Tabiniego. Damiri oferuje możliwość formalnego przymierza. Nie tylko siebie jako wpływową matkę spadkobiercy, ale i szansę rozbicia koterii w Dolinie Padi; możliwe też, że z wiedzą Tatiseigiego... chce przechytrzyć aijiego. Albo zniweczyć politykę Tatiseigiego i wydrzeć mu władzę nad rodziną.

- Rozumiem, że nie jest to powszechna wiedza.

- Powszechna plotki. Nie powszechna wiedza, jeśli paidhi rozumie różnicę w tych wyrażeniach.

- Rozumiem.

- To bardzo niebezpieczny czas dla Patronatu - stwierdził Banichi. - To zupełnie naturalne, że napięcia wychodzą na jaw. W sprawach Mospheiry... podobny okres zmian. Przynajmniej tak to rozumiemy. - Banichi sięgnął pod kurtkę i wyciągnął srebrną tutkę na korespondencję. - Tabini poprosił nas, żebyśmy ci powiedzieli przynajmniej o najważniejszych sprawach dotyczących sąsiadów. Po przeczytaniu masz to zniszczyć razem z dołączoną taśmą.

Pieczęć Tabiniego.

Cholera, pomyślał Bren i z wielkim niepokojem wziął tutkę do ręki. Rozwinął papier z nagłówkiem Tabiniego i przeczytał bardzo jasno sformułowany tekst:

„Proszę, zachowaj wielką ostrożność i nie rób nic, by choć na moment wymknąć się swojej ochronie. Spodziewamy się wielkich kłopotów, otrzymawszy bardzo dobre ostrzeżenie z bardzo dobrych źródeł.

Miejsce pobytu Hanks w dalszym ciągu pozostaje nieznane. Nie bylibyśmy jednak zdziwieni, gdyby okazało się, że została przewieziona w okolice Taiben; ponieważ spiskowców jest niewielu, mają oni silne powiązania w tej okolicy i w razie niepowodzenia chcieliby ujawnić jak najmniej swoich kontaktów. Z pewnością ich co ostrożniejsi zwolennicy zechcą się zadeklarować dopiero po wykazaniu się przez nich sukcesem.

Wcale nie byłbym zdumiony, gdyby całą sprawę zapoczątkowali osobnicy często spotykający się z Hanks. Wydaje się, że działa ona z pewną swobodą. Banichi ma taśmy z kopią wiadomości przechwyconej na kontynencie. Przesłuchaj ją i zorientuj się, czy coś z tego rozumiesz”.

Zanim Banichi dał mu taśmę, a Jago wstała, żeby przynieść magnetofon, Bren domyślił się, że nagranie nie dotyczy rozmów statku z ziemią, lecz bardzo przyziemnych powiązań.

Oraz że na początku taśmy usłyszy komputerowy terkot - kiedy kod dostępu Deany będzie przechodził przez elektroniczne bariery Mospheiry jak nóż przez masło.

Oczywiście, jej upoważnienia nie zostały wycofane. Były stuprocentowo ważne. I kompletnie wiarygodne tam, dokąd docierały. Włączył komputer tylko do odczytu, tak przestraszony bliskością tych kodów, jakby obok jego komputera tykała bomba.

Tekst, co znów było łatwo przewidzieć, został zaszyfrowany. Bren wypróbował na komputerze trzy zestawy kodów, zanim jeden z nich został przyjęty.

Wtedy na ekranie ukazał się tekst.

„Cameron zmienił front i zagroził statkowi nie sprecyzowanymi wrogimi posunięciami ze strony atevich, by wymusić lądowanie pod kontrolą aijiego. Tymczasem przy jego współdziałaniu władza aijiego umieściła mnie w informacyjnej próżni i, jak ostrzegają dobrze poinformowane źródła, planuje zamach na moje życie. Motyw jest złożony i wypływa z ambicji aijiego zastosowania precedensu centralnej kontroli nad tamami, siecią energetyczną i kolejami przewożącymi wszystkie surowce naturalne, co pozbawi prowincjonalnych aijiin oraz właścicieli ziemskich środków finansowych i scentralizuje cały handel międzynarodowy, na który będzie miał monopol aiji w Shejidan; w konsekwencji da mu to kontrolę nad cenami, co znacznie wzbogaci rząd centralny kosztem rządów lokalnych i prawowitych właścicieli ziemskich.

Cameron bierze udział w realizacji tego planu, świadomie czy też nie, aktywnie wspiera nacjonalizację surowców, zaproponował taktykę bojkotu i przy wsparciu aijiego Shejidan udał się na wyjątkową wyprawę do odległego obserwatorium, skąd przywiózł teorię zakrzywionej przestrzeni, która w moim głębokim przekonaniu nie jest oparta na atewskich badaniach, lecz na nielegalnym tłumaczeniu ludzkich tajnych koncepcji matematycznych. Jest to obliczone na wprowadzenie zamętu do pewnych atewskich konserwatywnych wierzeń religijnych znajdujących się w jawnej opozycji do przekonań aijiego, który nie wyznaje żadnej filozofii, a szczególnie na wywołanie wrzenia religijnego w pewnych prowincjach oraz zdyskredytowanie pewnych przywódców religijnych.

Wysyłam to z bezpiecznej bazy udzielonej mi przez osoby, które przeciwstawiając się temu zagarnięciu władzy przez rząd centralny, ryzykują własne życie. Według mnie powinniśmy bardzo dokładnie przedstawić tę sytuację przedstawicielce statku, jeśli dotrze żywa na Mospheirę, co, jak sugerują moi informatorzy, może nie nastąpić. Aiji może zamordować tę osobę i zrzucić winę na opozycję. Ponieważ najwyraźniej kontroluje Gildię Zabójców, byłoby możliwe zgłoszenie Zamiaru przeciwko jego wrogom politycznym. Poinformowano mnie, że posłużyłoby to jednocześnie jako czystka w Gildii, ponieważ wszyscy jej członkowie przeciwstawiający się jego zamiarom bardzo szybko staliby się celami dla rozległej sieci aijiego.

Zalecam z całą mocą, by rząd odwołał Camerona, odebrał mu upoważnienia i kody dostępu oraz zażądał wyjaśnień jego działań, które w żadnym wypadku nie służą interesom Mospheiry, ludzkiej populacji ani atewskim obywatelom. Nie wiem i nie mogę stwierdzić, czy jest świadom, w czym uczestniczy i do jakich celów są wykorzystywane jego rady i umiejętności, lecz uważam, że mojemu życiu grozi niebezpieczeństwo ze strony osób, z którymi współpracuje. Dlatego będę przenosić się z miejsca na miejsce i starać się być przydatną na moim stanowisku.

Proszę o przekazanie wiadomości mojej rodzinie, że w tej chwili jestem bezpieczna, czuję się dobrze i chronią mnie osoby działające na rzecz swojej wolności i praw do samostanowienia”.

Nie zaklął. Nie chciał, żeby na jego twarzy pojawił się jakikolwiek wyraz - nie wiedział, czy będzie dokładnie tłumaczył tę wiadomość teraz albo w

najbliższej przyszłości. Oparł łokieć na poręczu fotela, przytknął knykcie do ust i zamyślił się. Zaznaczył początek i koniec tekstu, wpisał go do pamięci i odtworzył jeszcze raz, szukając pewnych oznak, ale nie, nie było wskazówek, że został napisany pod przymusem, nie zawierał żadnych świadczących o tym słów - Bren miał nadzieję zobaczyć w takim tekście wyrazy, jak „niewspółmierność”, „współbrzmienny” czy „antyrecydywistyczny”, które ludzkie ucho uznałoby za zgrzyt w typowym dokumencie napisanym nawet w najgorszym dyplomatycznym bełkocie - co było standardowym sygnałem, że całość powstała pod przymusem. Coś takiego zawsze było możliwe, kiedy tak wybuchowa wiadomość szła bezpośrednio z komputera na komputer.

Nie było jednak żadnych takich wskazówek. Bren przeczytał tekst trzeci raz, po prostu po to, by wchłonąć jego ton i treść, postarać się odsiać reakcje emocjonalne i zadać sobie uczciwe pytanie, czy istnieje jakieś dalekie, choćby astronomicznie dalekie prawdopodobieństwo, że Deana ma rację, a on się myli?

Że prawdziwym celem Tabiniego w obecnym kryzysie jest wyeliminowanie opozycji?

Nie, do cholery, to nie jest celem działania Tabiniego. To nie jest działanie aijiego, którego reakcja na rebeliantów w Malguri była zasadniczo łagodna, o czym świadczy potwierdzenie Ilisidi, że wszystko zostało zażegnane; aijiego, który jeśli za swojej administracji w ogóle wykorzystywał Gildię w celach drastycznych, to robił to tak potajemnie, że nie dało się tego wykryć. Nie było to działanie aijiego, który, jeśli pogłoski były prawdziwe, być może zamordował własnego ojca, przynajmniej powstrzymał się od zabójstwa babki, która we wszystkich sprawozdaniach wciąż figurowała jako bardzo prawdopodobna sprawczyni śmierci swego syna.

Człowiek sumował z lewa na prawo i z góry na dół: przejęcie władzy nie pasowało do Tabiniego w najmniejszym stopniu.

Nie pasowało do zbyt entuzjastycznego (zdaniem Ilisidi) podejścia Tabiniego do wszystkiego co ludzkie; albo do jego nieustającej gotowości, demonstrowanej w osobistych dyskusjach ze zwykłymi obywatelami, do zastąpienia rejestrowanych własni cywilizowanymi procesami sądowymi; do uporu Tabiniego w sprawie wprowadzenia kontroli ruchu powietrznego na terenie całego kraju, mimo sprzeciwu panów, ponieważ taka kontrola miała sens, nawet jeśli ustawiała pięciu i sześciu zwykłych pilotów przed prowincjonalnymi aijiin oraz ich cennymi kupionymi miejscami w kolejce do lądowania - a poza tym sprawiała, że samoloty nie zderzały się w locie i nie spadały deszczem szczątków na Shejidan.

Przejęcie władzy, co zauważył Banichi, kłóciło się z poparciem, jakim cieszył się aiji wśród ludu. Został wybrany przez hasdrawad. Było to bardzo oświecone wyjaśnienie stabilności Patronatu Zachodniego. Ludzcy uczeni nazywali to gospodarczą współzależnością i uważali, że ród Tabiniego utrzymywało u władzy dobro publiczne i publiczna treść, co mogło oznaczać to samo; lecz wspomniane przez Jago zmiany gospodarcze, dające rzeczywistą władzę ekonomiczną handlowcom i zwykłym atevim... - owszem, to to samo, ale to atewska strona lustra. W pojęciu man'chi i elektoratu atevich takie było wyjaśnienie trwałego pokoju.

Dlatego że hasdrawad nie miał zamiaru głosować przeciwko interesom ludu, których nie postrzegał jako zbieżnych z żarliwym przeciwstawianiem się Ilisidi temu, czego chciał hasdrawad: większej liczby nowinek, szybszego rozwoju wielkiego i drobnego handlu, dróg, jeśli tylko uda się to przeforsować, kolei, jeśli to pomoże w przewożeniu towarów, i do diabła z pańskimi rezerwatami przyrody - zwierzyna łowna nie miała znaczenia równego pociągom, ponieważ zwierzyna łowna, dla atevich jedyne źródło mięsa, występowała dość obficie. Bren przysłuchiwał się dyskusjom w komisjach transportu i handlu... nieustanny pęd ku wielkim programom. Nie popierał ich żaden pan, jeśli nie realizowało się ich w jego regionie lub w jego interesach - lub, wręcz prze-

ciwnie, jeśli realizacja naruszała jego tereny publiczne, to znaczy te obszary jego posiadłości, które wykorzystywał i na których polował.

Bren zdawał sobie sprawę z obecności Banichiego i Jago naprzeciwko niego, po drugiej stronie rozkładanego stolika. Zdawał sobie sprawę, że szukają w jego twarzy oznak reakcji - więc wbił nagle w Banichiego przenikliwe spojrzenie.

- Nie mogliście złamać szyfru tego dokumentu - powiedział.

Banichi w pełni kontrolował mimikę własnej twarzy, nie w pełni pozbawionej wyrazu. Uniósł brew i obrzucił Brena taksującym spojrzeniem.

Osób podobnych Banichiemu nie ścigało się przez gąszcz domysłów i nie starało się ich przygwoździć. Banichi nie wdawałby się w takie gierki.

Zamiast tego dążyło się prosto do celu.

- Wiesz, że Hanks wysłała to na Mospheirę. I wiesz, z kim jest i co jej powiedziano.

- Ateva z pewnością może się domyślać.

- Dlatego powiedzieliście mi to, co powiedzieliście. O wyborze. O hasdrawadzie.

- To, co Tabini-aiji polecił ci powiedzieć, Bren-paidhi. Tak.

- To znaczy, że garstka panów chce przywrócić swoje dawne prawa kosztem ludu.

- Można tak sądzić. I owszem, jeśli to jest raport Hanks dla Mospheiry, i osoby, które ją mają, pozwoliły jej go napisać, a ona zrobiła to z własnej woli, to ateva jest raczej skłonny wierzyć, że co najmniej przekonała je, iż im wierzy. Rozumiem, że ten raport podtrzymuje ich poglądy.

- Rozumujesz słusznie. Powiem otwarcie, że Hanks ma możliwość użycia słów, które zaprzeczyłyby wszystkiemu, co pisze, nawet gdyby nad jej głową stał tłumacz. Nie ma żadnego językowego dowodu na to, że tekst został podyktowany przez jakiegoś atevę, i bardzo mi się on nie podoba.

- Powinnam zastrzelić tę kobietę wtedy na peronie kolei podziemnej - mruknęła Jago. - Zaoszczędziłabym aijiemu i Patronatowi wielu kłopotów.

- Mam pytanie - powiedział Bren. - Ilisidi zawsze, przynajmniej w rozmowach ze mną, popierała zachowanie środowiska, zachowanie kultury. Nie zachowanie przywilejów.

- Ale trzeba być wielmożą, żeby zapewnić ochronę fortecom, posiadłościom, rezerwatom - rzekła Jago. - Samorządny pan może zburzyć starożytne fortyfikacje, wyciąć las - one należą do niego. Nie może go powstrzymać żaden patronat zwykłych obywateli. A hasdrawad nie może wydziedziczyć panów żadnym dekretem. Przy wystarczającej większości głosów tashrid może wysunąć weto.

Lotnisko w Wigariin, pomyślał Bren. Czternastowieczne fortyfikacje. Pan, który je odziedziczył, zburzył mur, za nic mając potomność i turystów.

- Czy Wigariin kiedykolwiek zwiedzali murarze i urzędnicy na urlopiach? - zapytał, wywołując wyraźne zdumienie Banichiego i Jago.

- Ateva nie sądzi - odparła Jago. - Ale mogłabym znaleźć tę informację, jeśli to coś pilnego.

- Nie bardzo. Człowiek tylko widzi, że takie zwykłe osoby zwiedzają Malguri. Kiedy przebywa tam wdowa. Czyj to pomysł?

- W ostatecznym rozrachunku - rzekł Banichi - Tabiniego.

- Ale Ilisidi w żaden sposób mu się nie przeciwstawia.

- Byłoby to niezbyt roztropne - zauważyła Jago.

- Niemniej jednak.

- Jeśli jakieś ludzkie pobudki każą ci usprawiedliwiać wdowę - powiedział Banichi - to zalecałbym ci, paidhi-ji, z atewskich pobudek powstrzymać się od osądu.

Rzeczy mają się naprawdę źle, skoro jego atewska ochrona musi mu przypominać, gdzie się zaczyna to, co atewskie, i kończy to, co ludzkie.

- Człowiek szanuje tę radę - rzekł Bren. - Dziękuję ci. Dziękuję wam obojgu - za waszą opiekę. Za wasz zdrowy rozsądek w obliczu moich... sporadycznych błędów w ocenie sytuacji.

- Proszę cię, żebyś w Taiben pozostawał pod naszą ochroną - powiedziała Jago. - Nie ryzykuj.

Spojrzał wprost na Jago i wyobraził sobie, tak jak wyobrażał sobie, że Jago przez pewien czas go unika, że zamierzała skrzyżować z nim wzrok, że spojrzała na niego w bardzo bezpośredni, bardzo intymny sposób. Wzdrygnął się i skulił.

- Wziąwszy to wszystko pod uwagę - powiedział, usiłując podjąć przerwana myśl - paidhi być może nie potrafi myśleć jak atevi, ale w jaki sposób Ilisidi dowiedziała się o Barb następnego ranka po otrzymaniu przeze mnie wiadomości? Jak myślicie, skąd wiedziała tak szybko, jeśli nie bezpośrednio od personelu Damiri? I dlaczego Damiri miałyby wiązać się z Ilisidi?

Obie czarne twarze były bardzo poważne.

- Sam Tabini zadaje sobie to bardzo trudne pytanie - odparł Banichi. - Ateva przypomina sobie, gdzie gości dzisiaj Ilisidi.

- Czy zapytał o to Damiri? - Człowiek nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- To byłoby zbyt bezpośrednio - rzekła Jago. - My potrafimy kłamać, nadi-ji. Niektórzy z nas robią to bardzo dobrze. Niektórzy nawet publicznie się obrażają.

- Wierzyście, że Damiri jest uczciwa?

- Ateva może wierzyć, że Damiri-daja jest dość uczciwa - powiedział Banichi - a mimo to wiedzieć, że może być bliższa pragnieniom swego wuja bardziej, niż życzyłby sobie tego Tabini. To jest uczciwe, paidhi-ji.

Jedyną rzeczą widoczną pod skrzydłami samolotu w Taiben był nie kończący się las, a na samym końcu krótka linia kolejowa, biegnąca między lotniskiem i miasteczkiem Taiben oraz posiadłością Taiben, leżącymi na przeciwnych jej końcach.

Patrząc na to, człowiek miał świadomość, że inne krótkie linie prowadzą do różnych miasteczek, wiosek, domków myśliwskich i rodowych siedzib, włączając w to domostwa Atigeinich i pozostałych trzech panów mieszkających w dolinie.

Paidhiemu przyszła do głowy pochopna i niemądra myśl, że gdyby po odebraniu bagażu poprosili o pociąg nie do Taiben, lecz do posiadłości Atigeinich, leżącej w północnej części doliny, to mogliby się spotkać z cywilizowanym przyjęciem, zjeść dobry obiad z Ilisidi, wymienić się grzecznościami i wrócić pociągiem do Taiben na kolację z Tabinim.

Tak to się odbywało, kiedy spotykali się panowie.

Kiedy spotykali się członkowie Gildii - rezultat bywał inny i jeśli tylko Bren mógłby temu zapobiec, nie przeciwstawiłby Banichiego i Jago Cenediemu oraz innym członkom personelu Ilisidi. Nie oznaczało to braku wiary, że Banichi i Jago nie poradzą sobie w takiej sytuacji. Ani też Cenedi, który z rozkazu Ilisidi byłby równie zdeterminowany, chociaż razem walczyli, współpracowali i dzielili trudne chwile w Malguri. Bren podejrzewał, że w pewnym sensie ludzie, którzy uważają, że mają monopol na wrażliwość, nie są w stanie wyobrazić sobie uczuć atevich, kiedy jakiś cholerny głupiec albo ambicja jakiegoś pana rzucała ich w konflikt, którego nie chcieli i którego nie mogli wygrać - w żadnym osobistym sensie.

Był więc bardzo zadowolony, że gdy znaleźli się na ziemi, nie czekała na nich delegacja od Cenediego; był ogromnie zadowolony, że szybka rozmowa ochroniarzy z personelem, który Tabini przewidująco wysłał zeszłego wieczoru, upewniła ich, że po drodze do Taiben nie muszą się przejmować żadnymi bombami, zasadzkami ani myśleć o przypadkowym wykolejeniu pociągu. Wszyscy się martwili, przynajmniej na głos, o wygodę paidhiego i pytali o lot, a paidhi uśmiechał się i mówił, że był bardzo przyjemny.

Na pewno przyjemniejszy od ochrony, która zeszłej nocy musiała wyprosić Ilisidi z posiadłości; od ochrony, która zeszłej nocy w ogóle nie spała i, wyglądając nieco mniej rzeško, niż miała w zwyczaju osobista straż Tabiniego,

niewątpliwie pragnęli choć trochę odpocząć w najbliższej przyszłości. Bren nie zadawał więc żadnych pytań i potulnie wsiadł do klekoczącego, nieco przestarzałego pociągu.

Droga na południe była kręta i pokonanie jej zajmowało dużo czasu - nikt, kto przyjeżdżał do Taiben, nie powinien się śpieszyć...

Bren myślał o lądowniku i upadku z kosmosu; o tym, że jeśli choć trochę rozumie odległość, jaka dzieli stację od świata, albo prędkość pojazdu umieszczającego lądownik na jego ostatecznej trajektorii, to podróż, której pierwszym etapem było podprowadzenie lądownika do atmosfery, już się zaczęła.

Myślał o Deanie Hanks, o tym, jak słuchał jej wyjaśnień i jak prawie jej uwierzył - to właśnie go złościło - poprosił ją o pomoc, dał jej swobodę w kontaktowaniu się z ateuskimi źródłami, które prawdopodobnie wykorzystywała do zabicia dwóch dobrych mężczyzn...

Był wściekły, był cholernie wściekły. Czuł się też zdradzony w bardzo osobistym sensie, we własnej ocenie innego człowieka - sądził, że instynkt jest coś wart; przekonywał Banichiego, że atak ją zaskoczył, że starała się ostrzec swoich strażników...

Jedno z nich było głupcem. Znowu. Dał się zwieść jej bajeczce o szukaniu go, bo to było szlachetne, bo sam by to zrobił - poszukiwania te posłużyły jej za cholerny pretekst do kontaktów z osobami, które Tabini określił jako nie do przyjęcia, do przekroczenia granic; Boże, ależ sobie używała z ateuską opozycją, i to wcale nie teoretyczną opozycją. Dorzuciła do tego wszystkiego SNS i może to był błąd, ale też o mało nie rozsądziła jednej prowincji i nie zniweczyła wpływów Geigiego - Geigi był jednym z panów o najlepszym wykształceniu naukowym w tashridzie i komisjach naukowych. Geigi nabrał się na jej argumenty, podobnie jak Bren: porzucił intelektualne przekonanie, że Hanks może być ideologiem, za jakiego ją uważa, i wciąż wykonywać wiarygodną pracę - podtrzymywał ich kontakt, ponieważ w zakamarkach umysłu czaił mu się strach przed samotnością, potrzeba porozumienia z innym człowiekiem, liczenia się z jej wrogim, lecz ludzkim stylem myślenia. Potrzebował jej.

Jednak jeśli teraz coś się stanie podczas lądowania i statek dojdzie do wniosku, że atevi nie są na tyle cywilizowani, by się bezpośrednio z nimi układać, to będzie to bardzo odpowiadało jej samej oraz jej przyjaciółom na Mospheirze i w tashridzie. Chcieli, żeby coś się nie powiodło. Radykałowie obu nacji znaleźli wspólną sprawę. A Bren widział taką możliwość - lecz nie widział, z którego kierunku nadchodzi. Liczył, że Deana powoli zacznie rozumieć atevich - Boże, jak można z nimi tak ściśle współpracować i mimo to utrzymywać, że ludzie muszą mieć całkowitą przewagę?

I jak ateuscy panowie mogli nie zauważyć, czego jest orędowniczką - może dlatego, że to jest takie cholernie ludzkie?

Myślał o aijiin, o przeszłości i o tym, jak ludzie studiowali tutejsze początki Patronatu Zachodniego, lecz robili to na sposób ludzi nie wyposażonych biologicznie do rozumienia takich spraw; ludzie nie wiedzieli instynktownie - co byłoby oczywiste dla atevich - że niegdyś potężny patronat nigdy nie rozpuściłby swoich członków, dopóki tylko zachowują w Dolinie Padi jakiegokolwiek ziemię, dopóki tylko mają tu jakiegokolwiek interesy... Wciąż obowiązywałyby te same hierarchie, istniałaby ta sama rywalizacja.

(Mecheiti na wzgórzu, przepychające się niebezpiecznie w walce o pozycję, ponieważ jest tylko jeden mecheita'aiji, jeden przywódca, jest także rywal i pół-rywale - oraz jednostki na tyle dalekie w klasyfikacji, że nie biorą udziału we współzawodnictwie).

Ludzie koncentrowali się na współzawodnictwie gospodarczym i nigdy nie uważali przeciwstawiania się tashridu Tabiniemu za coś istotnego. Widzieli, że atevi przejmują ludzkie wzory - demokratyzacja po wzroście klasy średniej. Mylili się.

Cholernie się mylili. Demokratyzacja miała miejsce jeszcze przed ekonomicznym wzrostem klasy średniej, demokratyzacja miała zapewnić wzrost



klasy średniej, może dlatego, że pierwszy paidhi, chcąc opowiedzieć o ludzkim procesie decyzyjnym, wyjawiał niechcący swojemu aijiemu coś równie wówczas niepokojącego, jak SNŚ dla filozofii Geigiego.

Na całym świecie nie ma czegoś takiego jak samotne stworzenie. Może najbliższe tego są wi'itkitiin. Jednak nawet one gnieźdzą się w patronatach. Jeśli jest jedna - zaraz pojawia się następne. Pełzną w górę po skałach po krótkim locie, zawzięte i zdecydowane nie zmieniać kursu, wracają na swoje urwiska. Cholernie uparte. Zupełnie jak atevi. Jak mecheiti. Nie porzucają raz zaczętej sprawy. Nie przerywają wysiłku. Panowie też się nie poddają. Może to trwać tysiące lat; oni się nie poddają, być może tak, jak wi'itkitiin nie poddają swoich rodowych gniazd na rodowych wysokościach swoich rodowych urwisk. Atevi zapisują swoje cele i mówią o nich swoim dzieciom, więc nigdy o nich nie zapominają.

Bardzo trudni wrogowie, pomyślał Bren, patrząc na rozwijającą się przed nimi dolinę i pojawiające się w oddali nad drzewami brązowe dachy Taiben.

Ludzie, którzy o tym nie wiedzą, nie znają atevich. Ani ich dobrych, ani złych punktów. Deana nie wie, w co się wplątała. Deana wciąż działa - mimo wszystkich swoich błędnych ocen Bren mógłby się o to założyć - na podstawie teorii, że to, co teraz widzi się u atevich, tkwiło w nich zawsze; że opozycja względem Tabiniego bierze się z przyczyn politycznych, a nie biologicznych; że gospodarka powoduje atevimi do tego samego stopnia i w ten sam sposób, jak ludźmi z Mospheiry.

Oczywiście. To jej specjalność. O czym pisała pracę? O determinizmie ekonomicznym?

To nie była jego dziedzina, ale znał przesłankę: społeczeństwo industrialne w końcu wytworzy podobne instytucje społeczne.

Nie dla Deany zmagania z niuansami językowymi - atevi coraz bardziej upodobnią się do ludzi. Ona po prostu będzie mieć do czynienia z atevimi, którzy zgadzają się z jej pozycją. Jej przyjaciele w Partii Dziedzictwa nie chcą zrozumieć atevich - tylko mieć z nimi do czynienia. Tak jak za kadencji Wilsona.

Słusznie, Deano. Nie można kwestionować sukcesu.

## Rozdział 21

Kiedy pociąg wjechał na peron, służące czekały już na tylnym ganku domku. Porwały torby Brena, trajkocząc o pokojach.

I może sprawił to widok znajomego terenu, gdzie za każdą wizytą działa się tylko przyjemne rzeczy; może dostrzeżony, mimo tłumy służących, znajomy nierówny kamień w ścianie ganku, widok surowego drewna, jego stonowanych brązów i szarości; skromny charakter pomieszczeń z drewna i kamienia. Bren poczuł się, jakby stanąwszy w drzwiach, zapomniał o Bu-javid, jakby tutaj lądowanie było wreszcie realne, a on będzie mógł coś poradzić na problemy, które ono z sobą przyniesie. Odsunął się od drzwi wychodzących na stację kolejową i ruszył korytarzem pełnym myśliwskich trofeów, skórzanych kanap i drewnianych ław, pozwolił, by jego bagaż bez jego pomocy odnalazł drogę do drugiego skrzydła, a sam zatrzymał się na chwilę w formalnej sali przyjęć z ławami i kominkiem. Ku jego zadowoleniu służące, a raczej Gaimi i Seraso, przełożeni stałego, całorocznego personelu, którzy mieszkali w Taiben pod nieobecność rodziny Tabiniego, rozpalili na jego powitanie niewielki ogień, głównie aromatycznym drewnem, takim, jakie odkładali strażnicy po oczyszczeniu zarośli. W pomieszczeniu pachniało zieleńcem i olejnikiem.

Za salonem znajdował się jego pokój. Jego pokój na czas wizyt w Taiben, bardzo wygodny pokój z wiejskimi kołdrami i futrami, łóżkiem, które wytrzymałoby trzęsienie ziemi, trzema stołami i drewnianą rzeźbą przedstawiającą siedem drzew, żadna wielka sztuka, ale elegancko wykonana i miła dla oka.

Jego łóżko. Materac, który zna. Łazienka z piecykiem gazowym na zimę. Kafelki z ręcznie wymalowanymi polnymi kwiatami. Bren zdał sobie sprawę, że głęboko odetchnął i że w chwili, gdy wysiadł z pociągu, rozluźniło mu się coś w piersiach.

Wtedy pojawiła się ochrona Tabiniego z wiadomością, że dla obcych paidhiin wybrała dwa sąsiednie pokoje, jeśli paidhi zechce je obejrzeć, i Bren gwałtownie wrócił myślami do spadających ładowników i przerażonych astronautów, którzy prawdopodobnie w tej chwili są już w drodze.

Obejrzał pokoje, bardzo podobne do jego własnego; jeden z leżakiem wykonanym z fantastycznie uformowanych korzeni i czerwonej skóry, a drugi z parawanem wysokości człowieka, na którym wyrzeźbiono scenę myśliwską. Bren zadał sobie pytanie: Co pomyśla paidhiin, otoczeni kamieniem, drewnem i żywym ogniem, jakich na pewno nie ma na stacji ani na statku? Zapewnił jednak dwóch asystentów Naidiriego i służące, że są to wspaniałe pokoje, jak najbardziej odpowiednie dla obcych paidhiin - pomyślał, że na szczęście na ścianach nie wiszą wypchane głowy zwierząt.

Przyszła starsza służąca z bukietem polnych kwiatów w pomyślnych, jak go zapewniła, kolorze i liczbie, i powiedziała, że takie pokoje i takie miejsce z pewnością pomogą zapewnić harmonię, jako że:

- Ten dom przenikają liczby ziemi. Nie mogą kolidować z liczbami nieba.
- Człowiek z pewnością się zgadza, nadi - mruknął Bren, znajdując ukojenie w wyliczeniach, które nie były po ludzku racjonalne; ponieważ atevi uważali, że to działa, układali wszystko z poczuciem dobrej woli, bardzo prosto powstałej dobrej woli, która nakazywała, żeby wszyscy zachowywali harmonię i byli szczęśliwi. - Myślę, że to bardzo pięknie zrobione. Świetny pomysł, nadiin. Poczują, że są pod dobrą opieką.

Wtedy mógł się odprężyć, przynajmniej na tyle, żeby pozwolić służącym rozłożyć niewielką ilość jego ubrań w szufladach i szafie, oraz wyprasować to, co wymagało prasowania. Wyszedł na ganek odetchnąć świeżym powietrzem i popatrzeć na wzgórze.

Taiben leżało na łagodnym zboczu. Fragmenty kompleksu najdalej wysunięte na południe kryły się wśród pierwszych drzew lasu rosnącego na stoku, które ocieniały ganek. O tej porze roku noce na wzgórzach były już chłodne i trawy właśnie zaczynały się złocić; po stu metrach krzewy i drzewa ustępowały rozległym łąkom z rosnącymi gdzieś drzewami, ciągnącym się do tak zwanego terenu południowego - oraz miejsca lądowania, odległego o spory kawałek drogi samochodem.

Bren dużo chodził po łąkach i terenie południowym. Tabini włóczył go po całym rezerwacie - łatwe zadanie dla aijiego, którego długie nogi nie czuły wysiłku. Nie było to sprawiedliwe: ateva spędził całe życie w Bu-javid, a i tak doprowadzał paidhiiego do stanu kompletnego wyczerpania.

Mnóstwo chodzenia i strzelania, czego paidhiemu nie wolno było robić i co jeszcze nie tak dawno temu chętnie zamieniłby na siedzenie całymi dniami przy kominku i odpoczywanie - przyjeżdżał tu zwykle po bardzo długim okresie pracy. Tak jak teraz.

Gdyby jednak miał wybór, chciałby zejść z ganku i wybrać się na długą przechadzkę po łące. Byłaby to najgłupsza rzecz, jaką mógł wymyślić paidhi. Kiedy atewska ochrona mówiła: Bądź w zasięgu wzroku, to mówiła poważnie. Ochroniarze byli nerwowi, co zrozumiałe, oraz bardzo sprawni i uprzejmi. Nie miał zamiaru utrudniać im pracy.

Wrócił więc do środka, poprosił o dzbanek herbaty i prawie przez godzinę obserwował taniec płomieni w kominku - rzadki widok - podczas gdy służące pośpiesznie wykonywały swoje obowiązki, a ochroniarze wciskali się w miejsca za ciasne dla atevich, zakładając urządzenia zabezpieczające, niektóre być może grożące śmiercią. Bren nie pytał.

Wrócił Banichi ze śladami pyłu i żwiru na kolanach i powiedział, że też chętnie napije się herbaty. Bren był pewien, że znaczyło to, iż Banichi przeliczył się z siłami i że dokucza mu noga.

- Zagramy w rzutki? - zaproponował Banichi, gdy już odzyskał oddech i wysączył pół filiżanki herbaty. Była to ludzka gra, w której atevi zasmakowali z namiętnością równą tej, jaką budziła w nich telewizja. Bren podejrzewał, że przegra.

W rzeczywistości było gorzej. Banichi zaproponował mu fory. Bren odmówił. Banichi wzruszył ramionami, ale i tak cofnął się o kilka metrów.

- Mam dłuższą rękę - wyjaśnił. - Bądźmy sprawiedliwi.

I tak była to rzeź niewiniątka. Każda z czterech rund.

- Coś mi się wydaje, że ty nie potrafisz chybić - powiedział Bren.

Banichi roześmiał się i umieścił jedną rzutkę na krawędzi tarczy.

- Proszę. Co ty na to? Jak to się mówi? Nikt nie jest doskonały?

Bren z całych sił postarał się umieścić swoją rzutkę w samym środku. Udało mu się to zrobić i chybił tylko na szerokość palca.

- No cóż - powiedział - niektórzy z nas chybiają lepiej niż inni.

Banichi uznał, że to zabawne, usiadł i oparł długie nogi na podnóżku.

- Siadaj - powiedział. - Odpoczywaj.

Bren posłuchał. Usiadł i nie zdając sobie sprawy, jak jest zmęczony, zdrzemnął się w fotelu. W końcu zupełnie odpiął w spokojny sen, mając u boku Banichiego.

- Jest dość zmęczony - powiedział do kogoś cicho Banichi. - Nie hałasuj.

Gdzieś w pobliżu chodziło dużo osób, bardzo dużo osób i paidhi w końcu musiał zwrócić na nie uwagę. Usłyszał, jak Banichi z kimś rozmawia, roztarł zeszytniały kark, zamrugał oczyma i zorientował się po przygotowaniach i rozmowach, że przyjeżdża Tabin, a z nim na pewno Tano i Algini. Poruszenie wyprzedzało aijiego niczym front burzowy - uzbrojeni ochroniarze przebiegli przez salon, kuchnie i tylne pomieszczenia Taiben, gdzie z boku budynku było wyjście na dyskretnie ukrytą stację kolejową, wydrążoną w litej skale wzgórza. Rzeczywiście, pojawili się Tano i Algini z własnym bagażem i kilkoma ciężkimi skrzynkami obitymi płótnem, które wyglądały na skrzynki ze sprzętem elektronicznym.

Jeśli po przyjeździe Brena atmosfera była bardzo domowa, to teraz bardzo się zmieniła: wszędzie było widać broń, osobista ochrona Tabiniego chodziła w kamizelkach kuloodpornych i ciężką bronią w rękę - Tano i Algini byli podobnie ubrani i nie zajmowali się już zwykłymi sprawami biurowymi: Bren był pewien, że to sprzęt wywiadowczy lub łącznościowy.

Jeśli Saidin umieściła - a Bren był pewien, że to zrobiła - wśród przysłanego personelu członkinię Gildii w służbie Atigeinich, to jej obecność nie rzucała się aż tak w oczy; była to jedna z kompetentnych kobiet w drogich szatach i miękkich pantoflach. Wszystkie one rozmawiały ze sobą szeptem i były bardzo wyczulone na choćby najmniejszą zmianę ustawienia sprzętów.

Ktoś z ochrony Damiri. Albo nawet Tatiseigiego.

Podczas gdy Damiri, przypomniał sobie nagle Bren, wciąż jest w Bu-javid, prawda?

W Bu-javid, gdzie jej życie mogłoby zostać zagrożone, gdyby któryś z Atigeinich zaatakował Tabiniego w Taiben. Atevi nie brali zakładników jako takich, ale cholernie dobrze wiedzieli, kiedy wystawiają się na strzał, a Damiri - najwyraźniej dobrowolnie - właśnie wystawiała się na strzał.

Tyle się działo po cichu i bez słów - a wszyscy paidhiin mieli o tym tak nikłe pojęcie, dopóki Bren nie przebył przyspieszonego kursu w Malguri i dopóki w samolocie nie wbito mu w jego głupią ludzką głowę implikacji, których przedtem nie zauważał, bo nie wiedział, gdzie dokładnie przebiegają granice patronatów, tych podpatronatów, o których istnieniu paidhiin zawsze wiedzieli, tylko zupełnie nie doceniali ich siły.

Paidhiin nauczyli się doceniać atewską telewizję i sztuki machimi, w których tak często, że stało się to już banałem, oś dramatu stanowił ateva nie wiedzący, że jego sprzymierzeniec ma tak skomplikowaną hierarchię

man'chi, iż nie zna jej nawet jego pan. Osia dramatu mógł też być pan, teoretycznie z nikim nie związany przez man'chi z racji swojej pozycji, który nagle okazałby się związany przez man'chi z kimś, na kogo nikt nie zwracał uwagi.

Boże, paidhi miał to przed nosem; tkwiło to przed nosem departamentu stanu, Biura Spraw Zagranicznych i uniwersytetu, gdyby tylko ktokolwiek miał chociaż blade pojęcie, jak do tego dojść: uniwersytet prowadził drobiazgowo zapisy genealogiczne, stanowiące namacalne wskazówki co do man'chi - a Bren mniej więcej wiedział, kto jest z kim spokrewniony. Nie mówiło to jednak nic o tym, o czym wspominał Banichi - o man'chi partnerów.

Ani o man'chi służby czy też man'chi nadawanemu sobie nawzajem przez atevich - Cenedi uznał za konieczne powiedzieć Brenowi, może uznając to za honorową przysługę oddaną godnej tego osobie albo za ostrzeżenie tępego człowieka, że żaden dług nie może być dla niego ważniejszy niż jego man'chi w stosunku do Ilisidi. Cenedi nie musiał tego mówić: stawiając Cenediego w sytuacji, którą ludzie określiliby jako dług, Bren rozumiał, że ateva nie będzie mu nic winien.

Banichi gwałtownie zaprotestował, kiedy Bren oznajmił, że jego man'chi jest związane z nim i z Jago. Paidhi nie wiedział, dlaczego, chyba że...

...oczywiście. Bren poczuł, że się czerwieni. Banichi powiedział z pewnym oszołomieniem i stanowczością - nie pociągam cię fizycznie, a potem dodał to samo o Jago. Man'chi jest hierarchiczne. Poza wyjątkiem, o którym wspominał Banichi. Bren zadeklarował man'chi, albo odwracając porządek hierarchii - paidhi związany man'chi ze swoją ochroną - albo powiedział coś nadzwyczaj krepującego dla Banichiego, który nawet wiedząc o incydencie, do jakiego doszło między nim i Jago, nie mógłby przysiąc, że zwariowany człowiek nie żywi takich uczuć...

A bez bardziej wnikliwych uwag paidhiin uniwersytet nie mógł prześledzić ukrytych więzów zobowiązań, tych wcale nie tak oczywistych więzów, najwyraźniej przekazywanych z pokolenia na pokolenie, jakie można było dziedziczyć choć nie zawsze tak się działo, albo nabyć dzięki pociągowi fizycznemu lub psychicznemu; które dawało się zadzierzgnąć za zamkniętymi drzwiami poprzez sojusz dwóch wysoko postawionych przywódców, a te wtedy mogły, ale nie musiały, obowiązywać ich krewnych, popleczników i politycznych sprzymierzeńców zgodnie z zasadami, których Bren nadal nie rozumiał, a atevi się do nich nie przyznawali, przynajmniej na głos, a może nawet we własnych myślach. Być może istnieją atevi, którzy naprawdę, podobnie jak ludzie, niezupełnie pojmują psychologiczną płataninę, w której się znaleźli. Zdaniem Brena, i tak jak na człowieka bardzo dobrze mu szło rozplątywanie zależności man'chi po fakcie; nie potrafił jednak jeszcze przewidywać manewrów atevich, a i teraz nie miał pewności, czy patrzy we właściwym kierunku. Raz zapytał Jago, gdzie spoczywa jej man'chi, a Jago aż się obraziła i kazała mu pilnować własnego nosa - dobrze wychowane osoby nie zadają takich pytań. Podobnie Banichi.

Bren zastanawiał się, czy nawet ci, którzy byli obdarzeni man'chi tego rodzaju, zawsze wiedzieli, co im się należy; czy może też właśnie dlatego, wśród innych logicznych i może krepujących powodów, Banichi odrzucił jego deklarację słowami: „Nie względem nas, nand' paidhi“, okazując wielką, jak na Banichiego, konsternację.

Służące ostatni raz przebiegły gorączkowo salon, ścierając z obramowania kominka cień kurzu i poprawiając ustawienie wazonu tak, żeby największe kwiaty znajdowały się z przodu.

Tabini nawet na to nie spojrział, kiedy wszedł - rozjaśniła mu się tylko twarz.

- A, Bren-ji, myślałam, że może odpoczywasz. Jakież trudności?
- Nie, aiji-ma, żadnych, bardzo spokojny lot.
- Usiądź, usiądź. - Tabini sam usiadł, nogi w długich butach oparł na podnóżku i zerknąwszy na Naidiriego, powiedział już nie tak wesoło:

- Zajmij się tym, Naidi.

Człowiek sądził, że może powinien zejść Tabiniemu z drogi i wycofać się do swojego pokoju. Tabini jednak sprawiał wrażenie, że zapomniał o sprawie i zaproponował grę w kości, która, w przeciwieństwie do gry w rzutki, przynajmniej wyrównywała szanse człowieka; ustalił niskie stawki, po kilka groszy za punkt, i zażądał szklaneczki czegoś pitnego dla paidhiego, w razie wpadki grożąc wykonawcy polecenia śmiercią.

Ponieważ polecenie wykonał Banichi, paidhi był spokojny. A potem przy stoliku znalazł się on, Tabini i stary Eidi, oraz z rozkazu aijiego dwie służące, które zaklinały się, że nie mogą, nie śmieją usiąść z aijim, ale Tabini powiedział, że mają go, do diabła, słuchać - potrzebowali pięciorga graczy, a ochrona była zajęta.

Usiedli więc; dwaj dżentelmeni i para nerwowych młodych dam obawiali się, że nie podołają stawkom; sączyli odpowiednie likiery owocowe, damy też; stawiali grosze; Tabini i Bren przegrali do jednej z panien: Tabini, bo był zajęty innymi myślami, jak ocenił Bren, a on sam, ponieważ w tej grze zemsty co najmniej trochę liczyła się matematyka.

- Jesteśmy splukani - powiedział Tabini do Brena i Eidiego. - Panie zjednoczyły siły.

- A ty jesteś obciążony człowiekiem. Powinniśmy zrewidować sojusze.

- Nigdy - odparł Tabini.

W sumie poświęcili na to półtorej godziny, dwadzieścia siedem monet i butelkę wina owocowego.

Bren nabrał też przekonania, sądząc po spojrzeniach wymienianych przez Tabiniego i jedną ze szczęśliwych hazardzistek, że Tabini bardzo dobrze zna zastępczynię Saidin umieszczoną wśród służących, a może nawet więcej niż jedną.

Wcale nie uśmierzyło to niepokoju paidhiego co do wieczoru. Służące były jednak czujne, Tabini, który bardzo łatwo zauważał panie w każdym zgromadzeniu, zachowywał się jak wzór dżentelmena, może dlatego, że to jednak był personel Damiri; nic nie wskazywało, że wizyta ta odbiega od poprzednich, wyłącznie męskich wizyt w Taiben - Tabini mógł robić tak, jak w przeszłości, i przynieść tylko własną ochronę, lecz tego nie zrobił - cała sytuacja nosiła piętno Damiri.

Może aiji nie chciał sygnalizować braku zaufania do Damiri? Może aiji chciał użyć paidhiego i samego siebie jako przynętę i sprowokować Tatischeigiego do działania? - jak powiedzieli Banichi i Jago, siedziba Atigeinich leżała o parę godzin jazdy pociągiem.

Nie mówiąc już o innych środkach transportu, które na pewno mieli strażnicy w obu posiadłościach.

Tabini odchylił się w końcu wygodnie w fotelu, zarzuciwszy jedną rękę na jego oparcie, a drugą machnął w kierunku stołu.

- Pole gry jest wasze, dajiiin. Butelka. Moneta. Honory. Zechciej przedstawić nas w pochlebny sposób światłu swoim zwierzchnikom.

- Aiji-ma. - Jedna z pań wstała od stołu z głębokim ukłonem i w głębokim zmieszaniu. Druga uśmiechnęła się - mogło to być wyzwanie lub potwierdzenie: młodą kobietę otaczali wyżsi członkowie Gildii, u których nie miałyby najmniejszych szans na przeżycie, gdyby choćby sprawiała wrażenie, że chce wykonać jakiś ruch. Musiała o tym wiedzieć.

Nie było Zgłoszenia. Oznaczało to, że wina i konsekwencje spadną wprost na głowę rodu Atigeinich, czego też musiała być świadoma.

Bren wstrzymał oddech i bardzo zainteresował się pozycją swojej szklaneczki na stole.

- Ładne - skomentował Tabini, kiedy odeszły ze swoimi zdobyczami. - Bardzo bystre. Ta z lewej jest z Gildii. Wiedziałaś?

Bren podniósł wzrok. To nie ta, o której myślał.

- Odgądem źle - powiedział ze smutkiem.

- Tej drugiej też nie jestem pewien - rzekł Tabini. - Pewnych rzeczy nie mówi mi nawet Naidiri. Sama Damiri twierdzi, że nie ma pewności. Ateva jednak podejrzewa, że tworzą parę. Rozumiem, że nie miałeś pojęcia o pozycji Saidin.

Nie mógł nawet odetchnąć, żeby Tabini się o tym nie dowiedział.

- Jestem pogrążony we wstydzie. Nie, aiji-ma. Nie miałem.

- Na emeryturze, w gruncie rzeczy - powiedział Tabini - lecz postać godna poszanowania. Jeśli mogę wierzyć ocenie Naidiriego - a nie mieszkałbym z tą śliczną panią, dzielącą moje łóżko, gdybym nie uzyskał za pośrednictwem Gildii pewnych zapewnień - zasadniczo odpowiada przed Damiri. Właściwie tylko przed Damiri.

W takich tematach czaiły się urwiska i przepaści. Bren zaczerpnął tchu i powiedział:

- A co z Damiri? Czy jesteś bezpieczny, osobiście bezpieczny, aiji-ma? Martwię się o twoją pomyślność.

- Dbam o siebie - odparł Tabini i usiadł bokiem na fotelu; kolano oparł o poręcz, a kostkę na kolanie drugiej nogi. - Martwisz się w imieniu Patronatu, Bren-ji? Czy może twoich zwierzchników z Mospheiry?

- Do diabła z Mospheirą - mruknął i ściągnął na siebie uwagę Tabiniego. - Aiji-ma, jeśli chodzi o pewne elementy w moim rządzie, to właściwie jestem spalony.

- Rozumiem, że wiadomość wysłała Hanks, że napisała nieprzyjemne rzeczy i że nie zrobiła tego pod przymusem.

- Oskarżyła mnie i ciebie o przejęcie praw innych osób. - Mówiąc to, zdawał sobie sprawę, że sprowadza na Hanks bezpośrednie niebezpieczeństwo, jeśli Tabini miałyby choćby najmniejszą skłonność do działań odwetowych, i że Tabiniego może już nie być stać na luksus tolerowania posunięć Hanks. - Najmocniej przepraszam, aiji-ma, to moje błędy. Spędzam całe życie na domysłach, co zrobią atevi; błędnie odczytałem jej intencje. To jest osoba z mojego gatunku. Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Dam ci tłumaczenie.

Tabini machnął ręką.

- Nie śpiesz się. Znajomość towarzystwa, w jakim się obraca, daje atevie dość dobrą orientację w treści.

- Banichi i Jago wydawali się ją znać bardzo dobrze.

- Oskarża cię przed twoim rządem.

- Tak.

- Czy zostanie to potraktowane poważnie?

- Jestem pewien, że sprawa zostanie oficjalnie podniesiona. Zależnie od tego, co się będzie działo w rządzie, będę mógł wrócić na Mospheirę - lub nie.

- Bez aresztowania?

- Możliwe. Hanks nie została odwołana i boję się, że wciąż ma poparcie.

- Czy mogę mówić otwarcie? - zapytał Tabini.

- Tak - odparł; człowiek nie bardzo mógł zakazać aijiemu mówić to, co chciał powiedzieć. Bren miał tylko nadzieję, że nie popełnia większego błędu niż z Hanks.

- Słyszałem, że twoja narzeczona wycofała się z umowy.

- Ze mną?

- Z tobą. Nie wiem o nikim innym.

- Właściwie nie mieliśmy sprecyzowanych planów. - Już wcześniej rozmawiał z Tabinim o Barb. Dyskutowali o fizycznej atrakcyjności i pojęciu romantycznej miłości przeciwstawionej mainaigi, co dość dobrze określało hormonalne szaleństwa młodych atevich. - To nie jej wina. Próbowwała to ze mną omówić. Nie mogła mnie złapać na Mospheirze na wystarczająco długo.

- Naciski polityczne? - zapytał Tabini ze zmarszczonymi brwiami.

- Może raczej osobiste.

- Człowiek sugerował wcześniej... że ta kobieta miała więcej prawości.

Kiedyś wychwalał Barb. Jej rozsądek, lojalność. Dużo rzeczy mówił Tabiniemu, kiedy miał o Barb lepsze zdanie.

A gdyby był uczciwy, to przyznałby, że ta ocena pochodząca sprzed kilku tygodni była bardziej racjonalna i celniejsza od tej, którą wystawił Barb zeszłej nocy.

- Była przy mnie w trudnych chwilach - powiedział. - Przypuszczam...

Tabini czekał w milczeniu. Czasami tłumaczenie wymagało więcej szczerości, niż odpowiadało to Brenowi; bez niej człowiek mógł się zapuścić w definicyjne pułapki, sprawiać wrażenie głupca... lub łajdaka.

- Czy na tę decyzję mieli wpływ wrogowie polityczni? - zapytał Tabini.

- Na pewno miała wpływ moja praca. Nieobecności. Prawdopodobieństwo dalszych nieobecności. Po prostu niepewność.

- Co do bezpieczeństwa?

Nie chciał się w to zagłębiać. W końcu skinał głową.

- Dzwoniono do niej.

- Nie ma, jak mówiłeś, żadnej ochrony?

- Nie. To nie jest przyjęte.

- Żadnych perspektyw zdobycia jej.

- Nie, aiji-ma. Zwykli obywatele po prostu tego nie robią. Jest policja, ale tych ludzi trudno złapać.

- To problem także dla twoich krewnych.

Zaczynał mieć podejrzenia co do nietykalności swoich wiadomości. Oraz co do zapewnień, że żaden atewa nie rozumie dobrze jego języka, które stawały się coraz mniej wiarygodne.

- Jest... - Tabini przesunął stopę, przerzucił nogę przez poręcz fotela. - Jest postanowienie Traktatu. Złamaliśmy je, by zatrzymać tu Hanks. Czy Barb-daja zgodziłaby się zerwać swój nowy związek i zamieszkać z tobą na kontynencie?

Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć - pomyślał o zamieszkaniu z Barb i nie potrafił sobie wyobrazić...

- Wydaje się - ciągnął Tabini - że na Mospheirze cała twoja rodzina ma trudności, które być może spowodowały odejście Barb-daja. Ateva dostrzega, że jej problemy mogą wynikać z braku oficjalnego poparcia.

A może Banichi czy też Jago puści trochę farby? To niczego nie dowodziło. Rozmawiał przecież z Jago. Rozmawiał nawet z Ilisidi.

- To stwarza zagrożenie bezpieczeństwa - powiedział Tabini. - Nie powinienś tolerować pogroźek rzucanych pod adresem twojej rodziny, jeżeli jej - albo twój - niepokój uśmierzyłoby kilka wiz. Byliby tu bezpieczni, twoi krewni, twoja żona - jeśli zechcesz.

Serce na chwilę przestało mu bić, a kiedy podjęło swój rytm, mózg Brena usiłował zadziałać i powiedzieć mu, że przecież rozmawiali o Hanks, o oskarżeniach i losie Hanks, i że może to oznaczać zdecydowane ochłodzenie w stosunkach atewsko-ludzkich, któremu Bren musi zapobiec. Jakoś zapobiec.

- To bardzo... wielkoduszny gest. - Ale choćby zależało od tego jego życie albo życie jego rodziny, po prostu tego nie widział, nie potrafił sobie wyobrazić matki, Toby'ego, Jill i...

Nie. Ich nie. Barb. Barb mogłoby się wydać, że tego chce. Barb mogłaby nawet spróbować - Barb nie bała się gór. Przypomniał sobie teraz: Barb na śniegu, Barb w blasku słońca... Barb poza rzeczywistością jej pracy, jego pracy, departamentu; niezależność, którą sobie wywalczyła, która nie wymagała stałej obecności, tylko żeby nie dzwonił do niej po nocy jakiś cholerny zwariowany izolacjonistyczny agitator.

- Moi krewni... nie chcieliby... nie mogliby... tu się zaadaptować. Nie przejmowałiby się pogroźkami tak bardzo. Natomiast Barb...

Nie mógł odmówić za nią. Nie miała żadnej specjalnej ochrony, tak jak jego rodzina. Mogłaby się jednak zaadaptować w tym społeczeństwie, nawet gdyby nie czuła się wśród nich dobrze. Uwielbiała nieustannie smakować życie: przyjęcia, wymyślne stroje, lśniące sale. Barb, trzeba jej to przyznać, sta-

rałyby się mówić w języku atevich. Barb zrobiłaby wszystko, żeby się go nauczyć, jeśli pomogłoby to jej wspiąć się na wyższy szczebel społecznej drabiny - nie kobieta paidhiego, lecz Barb-daja; Boże - rzuciłaby się na to. Dopóki nie zdałaby sobie sprawy, że to rzeczywistość ze wszystkimi wymaganiami i ograniczeniami zachowania.

Zamieszkanie z nim w takiej sytuacji to inne pytanie. Zaadaptowanie się - bardzo poważne pytanie. Nie sądził, żeby do tego doszło, a przynajmniej nie na dłuższą metę.

Co więcej, nie chciał już z nią spać. To już było przeszłością. Interesowność Barb, jej stalowa samoobrona - cecha, która czyniła z niej spokojną przystań dla Brena - budziła bardzo poważne pytania w związku z ewentualną obecnością Barb na polu dyplomacji, w stresowych sytuacjach stwarzanych przez codzienne życie...

I stała ochrona. I fakt, że potrzebowali się bardziej, niż się kochali. Albo w ogóle kogoś jeszcze kochali. Bardzo się nawzajem skrzywdzili.

- A zatem? - zapytał Tabini.

- Barb to zagadka - odparł. - Pozwól mi to przemyśleć, aiji-ma, będę ci bardzo wdzięczny.

- A twoja rodzina nie?

- Moja matka... - Opowiadał Tabiniemu o matce i Tobym wyłącznie z szacunkiem. - Jest bardzo ludzka. Mięwa humory.

- Na niepomysłnych bogów, Bren, a ja mam babkę! Mogłyby godzinami dostarczać sobie rozrywki!

Musiał się roześmiać.

- Katastrofa, aiji-ma. Obawiam się... katastrofa. A mój brat... gdyby nie mógł grać w golfa, to chyba by usechł z tęsknoty.

- Golf. - Tabini zatoczył dłonią koło. - Gra małą piłeczką.

- Właśnie.

- To pasja?

- Ludzie obstawiają wyniki.

- Ach. - Atevie wszystko to wyjaśniało i poza tym przywracało dobre zdanie Tabiniemu na temat zdrowia psychicznego Toby'ego.

- Moi krewni są, jacy są. Nad Barb będę musiał się zastanowić. Obawiam się, że w tej chwili myśli mam zajęte statkiem. Tym, co się wydarzyło zeszłej nocy. I Hanks-paidhi.

- Zapomnij o Hanks-paidhi.

To zabrzmiało złowieszczo. Bren rozsądnie zamknął usta. Protesty kosztowały już życie dwóch osób.

- Ufam... - zaczął Tabini, lecz wtedy wszedł Naidiri, ukłonił się mimo swobodnej pozycji Tabiniemu i podał mu niewielki zwój, na którego widok aiji jęknął.

- Został przysłany w tutce - rzekł Naidiri. - Zważywszy źródło, uznaliśmy, że bezpieczeństwo jest ważniejsze od formalności.

- Ja z pewnością je wolę. - Tabini złamał pieczęć i przeczytał wiadomość. - Ach. Nand' paidhi. Geigi przesyła ci wyrazy głębokiego szacunku i zapewnia, że jego matematycy bardzo się interesują proponowanym rozwiązaniem paradoksu, które ich zdaniem ma wielką wagę. Jest niepokieszony, że jego kwiaty nie zostały przyjęte na lotnisku, do czego miałeś pełne prawo, zapewne urażony jego wątpliwościami. Pragnie osobiście przyjechać do Taiben, by okazać ci swój szacunek i ubolewanie. Ten ateva jest uparty, nadi.

- Co mam mu odpowiedzieć? - zapytał Bren. - To wykracza poza moje doświadczenie, aiji-ma.

- Powiedz, że przyjmujesz jego życzenia jako mile widziany fundament dobrych stosunków i że cieszysz się na osobiste wysłuchanie jego interpretacji wzorów i teorii, gdy tylko wrócisz do stolicy. Naidi-ji, napisz, proszę, coś takiego. Odpowiedz w imieniu paidhiego, zanim ten ateva ogołoci wszystkie kwaciarnie w Shejidan. Bardzo go przestraszyłeś, Bren-ji. To dość



niezwykle. Geigi nie jest bojaźliwy. Przysyłał mi żarliwe listy sprzeciwiające się moim zamiarom. Co takiego mu powiedziałeś?

- Nie wiem, aiji-ma.

- Władza. Czy ci się to podoba czy nie. - Tabini oddał Naidiriemu zwój i ochroniarz oddalił się; jak założył człowiek, do niewielkiego biura dla personelu, mieszczącego się w tylnej sali Taiben. - Powiedziałbym, że nie rozumie, dlaczego osobiście udałeś się do obserwatorium. Nie rozumie sygnału, który wysłałeś - my znamy twój impulsywny charakter, ale pan Geigi zupełnie nie wie, co robić.

- W kwestii przekładu zagadnień matematycznych nie mogłem się zdać na nikogo innego, skoro tyle od tego zależało. Pośrednictwo nigdy nie jest pomocne w sprawach, które sam ledwo rozumiem. Poza tym to była praca nand' Grigijiego. Banichi powiedział, że zbija on z tropu nawet swoich studentów.

- To prawda - przyznał Tabini. - Zapytałem, co powinniśmy dla niego zrobić. Oświadczył, że jest zadowolony i zapadł w drzemkę.

- Naprawdę?

- Natomiast studenci czcigodnego poprosili paidhiego o możliwość napisania do uniwersytetu na Mospheirze.

Bren zaczerpnął tchu i powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Bardzo głębokie wody.

- Ateva tak sądzi.

- Dostęp do dyskusji na temat atewskiej teorii informatyki? Uniwersytet byłby zainteresowany. To mogłoby obudzić tę przeklętą komisję.

- Możliwe.

A zatem nic na to nie poradzi. Roześmiał się cichym, smutnym śmiechem.

- Jeśli Mospheira zechce ze mną rozmawiać. To się dopiero okaże. A statek... on mnóstwo zmieni.

- Ach. Żadnego wyzwania nawet dla mojego „możliwe”. Jakież to smutne.

- Postawię ci to wyzwanie. Nie powiem ci jednak z góry, w jaki sposób, aiji-ma. Zostaw mi pole manewru.

Tabini uśmiechnął się.

- Dobrze. Mieliśmy się wybrać na ryby. Obawiam się jednak, że mamy coś do zrobienia...

Bren nie wiedział, jak mu się uda wydobyć z fotela. I, w gruncie rzeczy, zasnąć.

- Człowiek zrozumiał w Shejidan, aiji-ma, że ryby mogą poczekać.

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

- Mogę obudzić w sobie entuzjizm. Powiedz mi tylko, gdzie i kiedy. W przeciwnym razie zachowam go na lądowanie.

- Myślę, że powinniśmy zjeść spokojną kolację, ty i ja. Porozmawiamy o charakterach naszych kobiet, zagramy w strzałki i napijemy się przy kominku.

- To bardzo dobry program, aiji-ma.

- A zatem ryby mogą dziś spać spokojnie. Może paidhi trochę odpocznie.

- Paidhi z pewnością zamierza spróbować.

Tak jak obiecał Tabini, była to spokojna kolacja. Inni byli bardzo zajęci - Banichi i Jago dostali wolne na ostatnią ćwiartkę popołudnia i Bren był przekonany, że padli na twarz i spali kamiennym snem; chyba rzadko mogli spać z pełną świadomością, że są absolutnie bezpieczni, otoczeni przez ochronę i nie oni są za wszystko odpowiedzialni.

Na pewno im tego nie żałował.

A po kolacji Tabini rozgromił go w strzałki - ale Bren wygrał trzy rundy z dziesięciu, czy to dzięki swoim umiejętnościom czy uprzejmości Tabiniego. Potem usiadł, jak obiecał Tabini, przy ogniu.

- Wyobrażam sobie, że nasi goście są jeszcze daleko - odezwał się Bren, korzystając z nastroju chwili. - Wyobrażam sobie, że wsiądą do ładownika w ostatnim momencie - doleca jakimś pojazdem na skraj atmosfery i jutro przeprowadzą ostatnią kontrolę. Wszystko musi iść zgodnie z planem, bo jestem pewien, że inaczej by zadzwonili.

- To bardzo odważni ludzie - rzekł Tabini.

- Bardzo przestraszeni ludzie. To bardzo stary ładownik. - Łyknął alkoholu i utkwiał wzrok w nie kończących się wzorach płomieni. - Świat się zmienia, aiji-ma. Mój świat już się zmienił, a kontynent spotka to wkrótce. - Tabini jeszcze ani razu nie wspomniał o obecności Ilisidi w domu. - Mam prośbę, aiji-ma, której jednak nie powinienes spełnić tylko ze względu na twoje uznanie dla mnie, jeśli wolałbyś tego nie robić. Powiedziano mi, że zeszłego wieczoru była tu wdowa. Że teraz gości u Atigeinich. Nie rozumiem tego, ale chciałbym zasugerować...

Tabini przez chwilę nic nie mówił. Nie patrzył na Brena. Bren wrócił spojrzeniem do ognia.

- Według mojej być może błędnej oceny, aiji-ma, wdowa, jeśli bierze w tym udział, to wydaje się bardziej stronnictwą Komisji Konserwacji niż jakiegokolwiek frakcji politycznej. Przynajmniej jeśli chodzi o przedstawione mi koncepcje. Być może stała za wydarzeniami mającymi miejsce zeszłej nocy. Ja tak jednak nie sądzę.

- Nie sądzisz.

- Myślę, że gdyby Cenedi chciał mnie skrzywdzić, to miał o wiele subtelniejsze środki. I nie gościliby u Atigeinich, gdyby zniszczyli pokój śniadaniowy. Więcej dzisiejszego wieczoru o polityce nie będę mówił. Jeśli jednak cieszę się jakimkolwiek zaufaniem, to chcę się wstawić za wdową.

- Ostatnio prosiłeś mnie o przysługę dla Hanks-paidhi.

- To prawda.

- Babka na pewno miękko wylądaje. Zaproponowałem jej samolot. Odmówiła.

- Tak jak powiedziałem, Tabini-ma, więcej nie wiem. Pragnę tylko przekazać moje wrażenie, że uważa ona doświadczenia atevich sprzed pojawienia się ludzi za ważne dziedzictwo, którym powinien kierować się aiji w tej epoce zmian i obcych wpływów. Zdaję sobie sprawę, że jestem kiepskim orędownikiem tego punktu widzenia. Przedkładał ci go jednak - wiedząc, że możesz być niezadowolony - jako spłatę długu wobec moim zdaniem mądrej i przewidującej kobiety.

- O, pomniejsi i zbezczeszczeni bogowie, jesteś znacznie bardziej opanowany od Brominandiego. Wiesz, że ten nieszczęśnik był na tyle bezczelny, że przysłał mi telegram popierający rebeliantów?

- Nie wiedziałem.

- Powinien brać u ciebie lekcje. Przy cenach telegramów pewnie wydał swój roczny budżet.

- Ale ja w to wierzę, aiji-ma. Nigdy nie radziłbym ci czegoś, czego nie uważałbym za korzystne dla atevich.

- Nie wyrządę żadnej krzywdy babce.

- Ale Malguri.

- Ani nie będzie w Malguri publicznych targowisk. Rozumiesz, że niektórzy chętnie by je tam widzieli. Niektórzy widzą w starych miejscach zbyteczne symbole obraźliwych przywilejów.

- Ja w nich widzę coś, czego atevi nigdy nie zdobędą z ludzkich książek.

Tabini nic na to nie odpowiedział. Zmienił tylko położenie nóg opartych na podnóżku i obaj przez chwilę patrzyli w ogień.

- Gdzie leży man'chi, paidhi-ji? - zapytał Tabini.

- Moje? Człowiek sądził, że atevi nie zadają takich pytań.

- Aijiemu wolno. Oczywiście...

Przez pokój przeszła pośpiesznie grupka ochroniarzy. Najstarszy ranga zatrzymał się.

- Wybacz, aiji-ma.

Podał Tabiniemu kawałek papieru, który aiji przeczytał.

Tabini zdjął nogę z poręczy fotela i usiadł wyprostowany, marszcząc czoło.

- Czy to jest rozprowadzane? - zapytał.

- Niestety.  
- Żadnego działania przeciwko gazecie. Sprawdź ich powiązania. Ateva zastanawia się, czy to jest przypadkowe.  
- Aiji-ma.  
Oficer ochrony wyszedł.  
Tabini marszczył czoło.  
- Kłopoty? - Zbędne pytanie.  
- Och, drobna sprawa. Zaledwie notatka w gazecie stowarzyszenia miłośników ośrodka, że przyjechaliśmy z powodu lądowania.  
- Stowarzyszenia miłośników jeziora?  
- Ośrodka nad jeziorem. Tysiąc turystów. Co najmniej. Gazeta jest rozdawana za darmo w każdym obozowisku w magazynie z zapasami.  
- Boże.  
- Może zaprosimy cały cholerny ośrodek? Przyjadą ze sprzętem obozowym, kamerami i dziećmi! Grozi nam ogień z ciężkiej broni! Bomby z małych samolotów! Mamy tu tysiąc cholernych turystów, na niepomysłnych bogów!  
Tereny publiczne. Nie było granicy, bariery.  
- Niech mnie diabli, jeśli to jest błąd - rzekł Tabini. - Wydawca wie, że to głupie, wydawca wie, że nie ułatwi to lądowania ani nie uczyni go bezpieczniejszym. Cholera, po trzykroć cholera!  
Tabini zerwał się na nogi. Bren wstał ostrożnie. Aiji zapiał kaftan i wyraźnie zamierzał wyjść.  
- Nie możemy zarżynać turystów łapanych w potrzaski - rzeki Tabini. - Połóż się do łóżka, Bren. Odpocznij. Mnie to nie jest sądzone.  
- Gdybym mógł jakoś pomóc...  
- Obawiam się, że nie, ponieważ żaden z naszych dzisiejszych wierzalnych problemów nie posługuje się mospheiranem. Zostań przy telefonie. Bądź tutaj na wypadek, gdybyśmy dostali wiadomość z nieba, że coś jest nie tak. Nie czekaj na mnie.  
Prywatna własność była święta i nawet turyści respektowali granice wytyczone przez ochronę - lecz lądowanie było wydarzeniem wstrząsającym posadami świata. Pierwsze lądowanie było końcem starego świata, tak jak Traktat był początkiem nowego. Atevich przyciągały wielkie wydarzenia; poza tym wierzyli, że uczestniczenie w harmonii chwili nadaje im szczególne znaczenie we wszechświecie.  
Kiedy tylko wiadomość wydostanie się poza Taiben i trafi do ośrodka nad jeziorem i na lotnisko, na całym świecie nie będzie jednego atevy, który by nie zadzwonił do jakiegoś krewnego i nie powiedział mu, że z nieba znowu spadną ludzie, co stanie się właśnie tu, i to jutro o świcie.  
  
Nie była to recepta na wczesny sen. Na chwilę pojawili się Tano i Algini z wiadomością, że zawiadomili strażników, którzy pojechali pociągiem nad jezioro i osobiście przez megafony poinformowali turystów, że jest to niebezpieczny teren i że narażają się na najwyższe niezadowolenie aijiego.  
- Człowiek się zastanawia, ilu już wyjechało - powiedział Bren.  
- Wszyscy strażnicy są zawiadomieni - odparł Algini.  
- Ale przecież nie można odróżnić turystów od członków Gildii szukających guza.  
- Wielu z nas zna się nawzajem - rzekł Tano. - Szczególnie w regionie centralnym.  
- Ale to prawda - dodał Algini - że ateva musi podchodzić bliżej, niżby mu się podobało, żeby poznać różnicę. Ich posunięcie jest bardzo sprytne.  
- Czyje posunięcie? Czy ktokolwiek wie, kto za tym stoi?  
- Jest dość długa lista, obejmująca też sąsiednie posiadłości.  
- Ale ta wiadomość. Czy to sprawka wdowy?  
- Ateva nie wie. Jeśli...  
- Nand' paidhi - w drzwiach stanął jeden z ochroniarzy Tabinięgo. - Dzwoni jakiś człowiek.

- Idę. - Błyskawicznie wstał z fotela i poszedł za atewą do najbliższego telefonu. Towarzyszyli mu Tano i Algini, którzy właśnie przyszli z tego skrzydła budynku, zamienionego na centrum operacyjne.

- Mówi Bren Cameron. Halo?

- Jase Graham. Mamy naprawdę wąskie pasmo. Im bliżej jesteśmy... - Nastąpiła przerwa. - Wszystko zgodnie z planem?

- U nas tak. A u was?

- Nie usłyszałem. Gdzie jesteście?

- Pięćdziesiąt kilometrów od lądowiska. Będę tam, słyszysz?

- Już... przejść do lądownika. Systemy... mógłbyś...?

- Powtórz.

Słychać było tylko trzaski. Po chwili Bren usłyszał:

- Do zobaczenia. Słyszysz mnie?

- Tak! Zrozumiałem! Będę na miejscu!

Połączenie przeszło w trzaski, dręcząc Brena niepewnością w tym, czego nie usłyszał, a uspokajając w tym, co do niego dotarło.

A co mógłby powiedzieć? Uważajcie na turystów? Mamy nadzieję, że nikt nie będzie strzelał do lądownika?

- Nie mają opóźnienia - powiedział. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Ateva nie słyszał, żeby się gdzieś wybierał - odparł Tano.

Istniała możliwość, że Bren nie został wzięty pod uwagę. Skoro jednak jest w Taiben, to nie ma mowy, żeby nie znalazł się rano w miejscu lądowania. Nie miał zamiaru zostawiać dwojga ludzi ich losowi, żeby, zanim dotrą do domku, zwariowali ze strachu albo wyciągnęli jakieś błędne i ryzykowne wnioski.

- Gdzie jest Tabini? - zapytał. - Muszę z nim porozmawiać.

- Nand' paidhi - powiedział Algini - my go o to poprosimy.

- Nie rozmawiam przez pośredników. Chcę rozmawiać z nim osobiście.

Być może zachowywał się nierozsądnie. Jeśli jednak to nagłe zamieszanie z turystami odciągnęło gdzieś Tabiniego i Bren nie będzie mógł do niego dotrzeć, zanim zostaną ustalone szczegóły wykluczające go z akcji, to paidhi był cholernie zły, zaskoczony i sfrustrowany.

- Tak, nand' paidhi - rzekł Algini i pewna część całego systemu łączności Taiben przystąpiła do akcji, co prawdopodobnie nie było mądre ze względów operacyjnych, przeszkadzało działaniom operacyjnym i być może groziło ujawnieniem faktu, że w tej chwili Tabiniego nie ma w Taiben.

- Nie róbcie wielkiego hałasu - powiedział Bren - ale ja to muszę wyjaśnić. Może będą potrzebowali tłumacza albo pierwszej pomocy. Mogę jej udzielić, a przynajmniej służyć radą. Jest możliwość, że lądowanie będzie twarde. Nie chcę popełnić błędu.

- Znajdę aijiego - powiedział Tano.

- Dziękuję, nadi.

Oznaczało to, że Tano sam wyprawi się w mrok. Brenowi było przykro, ale robił to, co musiał.

Cholera!

Wrócił więc do głównej sali. Zaczął po niej chodzić, przestawiać drobi-azgi i ogólnie rzecz biorąc, czekać; aż wreszcie wrócił zadyszany Tano i oznajmił:

- Paidhi-ma. Banichi potwierdza, że masz być odebrany razem z innymi na dwie godziny przed świtem.

- Dziękuję, Tano-ji - powiedział Bren i poczuł się głupio, że przez niego Tano biegał w ciemnościach po całej posiadłości, ale uspokoił się na tyle, że przestał chodzić po sali.

A potem stwierdził, że mądrze byłoby przynajmniej położyć się do łóżka i odpocząć ile się da bez zasypiania - nie chciał spać z obawy, że coś się stanie i naprawdę zostawia go w domu - a rano być gotowym do drogi.

Poszedł więc korytarzem do skrzydła gościnnego, odprawił służące, które zdecydowanie chciały mu pomagać i kiedy już został sam, zaczął wyjmować ubrania przydatne w, jak podejrzewał, długiej pieszej wędrówce.

Jednak kurtka, którą zawsze wkładał na wycieczki, miała wzdłuż rękawa jaskrawy czerwony pas ostrzegający myśliwych, że jej właściciel nie jest celem. W obliczu kłopotów z sąsiadami Bren nie był pewien, czy chce być aż tak widoczny w zaroślach.

Przygotował więc swoją zwykłą brązową kurtkę - była skórzana i przydała się w pomieszczeniach Taiben, jako że wieczory pod koniec sezonu często były chłodne, a ludzkie kości wyziębiały się szybciej od atewskich.

- Bren-ji? Ateva słyszała, że kwestionujesz ustalenia?

Głos Jago. Odwrócił się z kurtką w rękach... Jago wydała mu się inna. Nie widział jej tak, jak zawsze, chociaż nie zmieniła się ani o włos, w jej obecności w jego pokoju nie było cienia niestosowności, podobnie jak w jej czy jego wyglądzie, ale nagle w pokoju zrobiło się za ciasno, za gorąco, a ludzki umysł przeciążony pracą nagle usiłował myśleć o szczegółach, wykorzystując do tego obwody, jakie jeszcze w nim funkcjonowały po bardzo głupim zaćmieniu przedomózwowia.

- Ja... eee... chciałem się dowiedzieć, kiedy wyjeżdżamy. Rano. -

Paidhi, źródło międzynarodowego porozumienia, nie radził sobie dobrze. - Tano przyniósł mi odpowiedź.

- Był telefon?

- Ja... eee... tak. Był.

- Czy coś się stało, Bren-ji?

- Ja... nie. Nie. Wszystko zgodnie z planem.

Jago stała przez chwilę nieruchomo. Potem zamknęła drzwi, zamykając ich oboje w pokoju.

Poczuł panikę. Wiedział, że to widać. Nie miał zamiaru wyrzucić Jago.

Ani poprosić, żeby dobra przyjaciółka wyszła.

Ale ona nią nie jest, do cholery! - przestał myśleć.

- Wprowadziłam cię w zakłopotanie - odezwała się Jago. - Popełniłam głupi błąd, Bren-paidhi. Przepraszam. Najmocniej przepraszam.

Nie wiedział, co powiedzieć. Stał bez ruchu. Jago dodała wielce poprawnie:

- Wybacz, że ci przeszkodziłam, nand' paidhi. - Odwróciła się, żeby wyjść.

- Ja... - zaczął, posługując się całą płynnością językową, jaka mu została. - Jago.

- Nand' paidhi? - Trzymała rękę na skoblu. Chciał i nie chciał. Jago i Banichiemu powierzyłby własne życie. Jago jednak dotykała czegoś tak poplątanego w jego psychice, że Bren nie wiedział, co z tym zrobić, jak się do tego zabrać, a nawet jak to nazwać.

- Jago...

Wciąż czekała. Nie wiedział, ile razy zaczynał zdanie od „ja”, ale był pewien, że o wiele za dużo jak na czyjąkolwiek cierpliwość.

- Nic - powiedział rozpaczliwie - nic nie mogłoby sprawić, że przestałbym ci w czymkolwiek ufać. - Oddychał z trudem. - Budzisz we mnie głębokie uczucia - nie potrafię tego inaczej powiedzieć. Nie wiem, co myślisz. Nie wiem, co ja myślę. W tej chwili w ogóle nie potrafię myśleć, po prostu za dużo się dzieje naraz. I będzie tak jeszcze przez jakiś czas. Czy rozumiesz coś z tego, co mówię? Nie chodzi o ciebie. To moja wina. Nie jestem w najlepszej formie, Jago.

Wyczerpał mu się zasób słów. Jago też chyba nie znajdowała ich zbyt wiele, więc cisza przeciągała się i była tak głęboka, że Bren niemal słyszał bicie własnego serca.

- Czy ja cię rozgniewałam? - zapytała wreszcie Jago.

- Nie. - Gwałtowne potrząśnięcie głową. Nie był to jednak atewski gest. - Żadną miarą. Absolutnie nie.

- Zaniepokoiłam?

- Tak.

Jago pochyliła głowę i chyba uznała to za odprawę.

- Jago. - Tonał. Wiedział, że uratuje ich oboje tylko wtedy, jeśli po-  
dejdzie do sprawy klinicznie. - Chodzi o ten problem „przyjaciela”. O to  
słowo. Mówimy, że „kochamy”. Nawet wtedy, kiedy „potrzebujemy”. Potrzeba nie  
jest zbyt produktywna. Chodzi tu o to cholerne ludzkie okablowanie, Jago-ji.  
O nasze oczekiwania. Jak man'chi. Jak można je logicznie przerwać? A ja nie  
wiem... może jesteś po prostu ciekawa? Może tylko tyle? A może to coś o wiele  
poważniejszego? Ja tego nie wiem.

- Ateva chciała dobrze - rzekła Jago, wciąż z tym swoim niezachwianym  
opanowaniem. - Najwyraźniej ateva się myliła.

- Nie. Ja tylko... Jago, Boże, jestem piekielnie zmieszany. Chcę tylko,  
żebyś wróciła. Żeby było tak jak dawniej. Na pewien czas. Jeśli to cię nie  
obraża.

- Nie - odparła.

- Nie - nie może być tak samo? Czy nie - to cię nie obraża?

- Nie, nand' paidhi. Nie jestem obrażona. Nie ma mowy, żebym się obra-  
ziła.

- Czy mogę powiedzieć... przynajmniej... że bardzo mnie pociągasz?

Roześmiała się, czym bardzo go zaskoczyła.

- Możesz to powiedzieć. Ateva się nie obraża, paidhi-ji.

- Czy odtąd zawsze będzie „nie”? A może „pewnego dnia”?

- A jak paidhi myśli?

Paidhiemu trzęsły się nogi. Nie miał tego w zwyczaju. To nie był jego  
styl, ani w kontaktach z Barb, ani z nikim innym. Czuł się jak zupełny głu-  
piec. Stał tak z kurtką w rękach.

- Paidhi wie, kiedy nie może tłumaczyć. Kiedy nie ma nadziei na  
przetłumaczenie. Paidhi myśli, że ma cholerne szczęście, że nie jesteś na  
niego zła.

Nieśmiałe spojrzenie, jakie rzadko widywał u Jago. Nerwowy śmiech,  
którego nigdy nie słyszał.

- W żadnym wypadku. Jeśli...

W tej chwili odezwał się jednak przeklęty kieszonkowy komunikator. Jago  
wyjęła go zza pasa, przyłożyła do ucha i zmarszczyła brwi.

- Czternaście - powiedziała, prawdopodobnie podając swój numer na pot-  
wierdzenie przyjęcia wiadomości; Bren już zaczął się orientować w sposobie  
porozumiewania się ochrony.

- Jeśli chcesz się przebrać - powiedziała Jago - to się pośpiesz. Wy-  
jeżdżamy. Już.

- Na lądowisko? Czy gdzieś indziej?

- Właśnie nas poproszono, żebyśmy w miarę szybko wyszli przed budynek.  
Nie jesteśmy w dzikim pędzie, ale nie masz ani chwili, nand' paidhi.

- Cholera - powiedział i rozpiął koszulę bez dalszych pytań, a kiedy  
Jago wyszła, włożył sweter, co zostawiło mu jeszcze mniej czasu na zmianę  
spodni i włożenie cieplejszych skarpetek oraz butów na grubszej podeszwie.  
Wyszedł z pokoju, szamocząc się z kaftanem. Na zewnątrz czekała Jago.

- Skąd ten pośpiech?

- Może ktoś tu jedzie. To domysł, nand' paidhi.

- Wolę twoje domysły od informacji innych osób. - Miał ze sobą rękawic-  
zki. Włożył je do kieszeni kaftana. Dotarli do głównego holu, gdzie dołączyli  
do grupy ochroniarzy zdążających do drzwi. Służące Atigeinich zbiły się w  
przestraszoną grupkę.

- Nie wszyscy wyjeżdżają - mówił do nich Banichi. - W piwnicy jest  
schron. Stały personel ma klucze. Zgaście ogień, wyłączcie korki. Będzie  
działało tylko zasilanie awaryjne. Zejdźcie spokojnie na dół i czekajcie z  
otworem drzwi na upoważniony sygnał. Nic wam się nie stanie.

Banichi dołączył do nich, kiedy wychodzili przez otwarte frontowe drzwi na ganek. Zza rogu wschodniego skrzydła budynku wyjechał otwarty samochód z zapalonymi tylko światłami pozycyjnymi, bez włączonych reflektorów, i Brenowi serce podskoczyło w piersi, ale Banichi i Jago nie zareagowali na widok samochodu, tylko pociągnęli Brena za sobą przez całą długość ganku.

Coś ciężkiego znalazło się w kieszeni jego kaftana od strony Banichiego - Bren przytrzymał przedmiot ręką; nie musiał się domyślać, co to takiego ani dlaczego Banichi wybrał akurat tę chwilę, żeby dać mu broń. Wiedział, że Banichi nie ma czasu odpowiadać na pytania paidhiego, ale...

- Czy mamy radio? Mamy jakieś środki łączności? Musimy...

- Bez trudności - powiedział Banichi i jako że atevi lepiej widzą w nocy, chwycił Brena za niesprawną rękę i pomógł mu trafić na schodki prowadzące w dół. Samochód zatrzymał się, ochrona otworzyła przed Brenem drzwiczki; atewskie oczy lśniąco bładym złotem w nikłym świetle unosiły się bezcielesnie po drugiej stronie samochodu. Nie był pewien, czy powinien wsiadać, bał się, że mogą go gdzieś odesłać, a sami zostać do obrony Taiben, ale sytuacja na to nie wskazywała. Jago wsiadła pierwsza, Banichi usiadł obok kierowcy, a jeszcze jeden ateva zajął miejsce z tyłu i zamknął drzwiczki - nagle Bren zdał sobie sprawę, że to Tano.

- Gdzie jest Algini?

- W samochodzie za nami, nand' paidhi. Z radiem.

Koła zabuksowały, po czym samochód ruszył ociężale po korzeniach drzew i, podskakując, skierował się w dół stoku; znajdowali się na tak zwanym - na wyrost - „odgałęzieniu drogi”, na którym spotykało się więcej gałęzi niż drogi. Szlak omijał drzewa, bo przy jego wytyczaniu niczego nie wycinano, wymagał od samochodu napędu na cztery koła i dobrego zawieszenia, czym dysponowały pojazdy personelu, a także poręczy za przednim siedzeniem, która bardzo się przydawała przy zakrętach drogi. Biegła ona wzdłuż domku, a potem skręcała w dół, do zbiegu dróg, którymi personel woził sprzęt - Bren znał tę drogę, bo podczas jego pierwszej wizyty w Taiben Tabini nie przemęczał swego drobnej budowy gościa.

Potem było już inaczej. Teraz też.

- Co się dzieje? - zapytał, trzymając się kurczowo poręczy. - Gdzie jest Tabini?

Może Tano i Jago nie wiedzą? Banichi odwrócił się z ręką na oparciu siedzenia i pochyłoną głową, bo o przednią szybę uderzały gałęzie.

- Ktoś zawiadomił o wydarzeniu lokalne wiadomości - mamy w lesie intruzów i nie potrafimy powiedzieć, którzy z nich są turystami znad jeziora, a którzy nie, czego ochrona nie może tolerować. Mamy bardzo poważne powody, by przypuszczać, że to udostępnienie informacji nie było jakimś żartem.

- To znaczy, że w pobliżu są ci sami atevi, którzy mają Hanks.

- Najprawdopodobniej. - Banichi odwrócił się, by popatrzeć na krótką perspektywę pni drzew i podświetlonych gałęzi. Samochód skręcił, podskakując na wybojach.

Kierowca - prawdopodobnie strażnik - miał pełne ręce roboty - nie każdy ateva umiał prowadzić samochód, a nikt, kto nie znał tej drogi, nie mógłby uniknąć wypadku. Kierownica szarpała się szaleńczo we wszystkich kierunkach, usiłując wyrwać się z silnych atewskich rąk, które starały się utrzymać koła samochodu na szlaku; wóz podskakiwał na korzeniach i wpadał w dziury; bursztynowe światła pojazdu jadącego za nimi oświetlały pasażerów, a ich cienie padały na oparcia przednich siedzeń i odbijały się w przedniej szybie.

- Czy mogą ruszyć na Taiben? - zapytał Bren. - Albo na lądowisko? Czy wiedzą dokładnie, gdzie ono jest?

- Możliwe - odparł Tano. - Tej informacji nie było w wiadomościach, ale nie wiadomo, co jeszcze przeciekło.

- Nie będą tracili czasu na Taiben, kiedy się przekonają, że wyjechaliśmy. Są pieszo. Na razie. Skoro my się ruszyliśmy, to prawdopodobnie wezwą transport.

- Stanowimy jeden cel - powiedziała Jago. - Oni są rozproszeni. To wynika z szerokiej granicy z niepewnymi sąsiadami.

Droga zrobiła się tak nierówna, że koniecznie trzeba było trzymać się poręczy, ale po chwili wygładziła się i Banichi znów się odwrócił. Jego oczy na moment rozbłysły w światłach pozycyjnych drugiego samochodu.

- W razie potrzeby mamy bezpieczne miejsce, nadi-ji - powiedział. - Nic nam nie grozi. Na razie.

- Ten ładownik będzie spadał na ziemię powoli - rzekł Bren. - Gdyby mieli jakąkolwiek broń... gdyby chcieli go zaatakować...

- Sądzymy, że ich celem jest raczej sam Tabini - wyjaśnił Banichi. - Możliwe, że ty. Staraliśmy się namówić Tabiniego do powrotu do Shejidan. Aiji nie zgodził się. Ta decyzja dotyczy również ciebie.

Banichi nie był z tego zadowolony. Powód chaotycznego, szybkiego wyjazdu stał się jaśniejszy: rozrzucić pojazdy po lesie, zmusić przeciwników do zgadywania, gdzie jest Tabini i z którą grupą - a może w Taiben - podobnie paidhi. Tabini zagrał przeciwnikom na nosie. Jego personel i paidhi też, taką wiadomość wysyłał Tabini, i Bren to rozumiał, tylko że jutro w niezbyt dokładnie sprecyzowanym miejscu spadnie zupełnie bezbronna kapsuła, a oni nie mogą postawić straży wokół jakiegoś wyznaczonego dziesięciometrowego kawałka terenu i wierzyć, że kapsuła nie znajduje się w odległości na przykład kilometra, narażona na Bóg wie co. Bren siedział, w przerwach w ściskaniu poręczy osłaniając bolącą rękę; czuł wstrząsy w stawach oraz zmarzniętych i napiętych mięśniach.

Nie bał się, naprawdę się nie bał, to nie było jak w Malguri, gdzie mogły na nich spaść bomby. Bawili się w berka w lesie, ale wyprzedzali atevich, którzy chcieli do nich strzelać; będą kluczyć po szlakach strażników, których mapy być może mają przeciwnicy, ale to nie to samo, co wyraźne obycie ich kierowcy z drogami. Pokonają ich w samochodzie, przechytzą...

Jechali terenowymi samochodami bez dachów, których używali strażnicy na tych wąskich drogach i które były prawdopodobnie jedynymi pojazdami o odpowiednim rozstawie kół - stanowili jednak widoczne cele, a miejsce lądowania nie znajdowało się na łące usianej drzewami czy w lesie na stoku wzgórza, lecz na równinie, na sawannie rozciętej dwoma skupiskami skał - głęboko zwiętrzałymi i zalesionymi garbami ciągnącymi się przez osiemdziesiąt-dziewięćdziesiąt kilometrów z północnego zachodu na południowy wschód, gdzie kępy zarośli dawały napastnikom doskonałą ochronę.

Koła odciskały się na trawie. Nie mogli się tam dostać, nie zostawiając za sobą śladów łatwych do zauważenia z małego samolotu. Ani oni, ani przeciwnicy nie mogli manewrować w morzu traw, nie pozostawiając śladów, które mogłaby wyśledzić druga strona.

- Nie będą nas tu ścigali - mruknął Bren do Jago i Tano. - Nie muszą. Wiedzą, dokąd jedziemy. A przynajmniej w wystarczającym przybliżeniu.

- Rozproszenie kontra skupienie - rzekła Jago. Bren dopiero wtedy doszedł do tego samego wniosku. Dobrze, że przynajmniej jego ochrona o tym pomyślała.

A potem przyszła mu do głowy mroząca krew w żyłach, straszna myśl.

- O, Boże. Mój komputer.

Banichi odwrócił się. Błysnęły żółte oczy. Białe zęby.

- Mam go między stopami, paidhi-ji. Nie zapominamy.

To hormony, powiedział sobie w duchu Bren, a serce wróciło do równego rytmu pracy. Przekłęte hormony. Zaćmienie mózgu. Szkolny błąd. Stwierdził, że cały się trzęsie. Samochód znalazł dogodny kawałek trawiastego terenu i pędził w szaleńczych podskokach. Bren starał się nie przytulać do atevich siedzących z obu jego stron. Nie chciał, żeby poczuli to drżenie.

Miał też jednak w kieszeni ciężki i twardy przedmiot; w końcu przyszło mu do głowy zapytać:

- Czy ktoś ma zapasowy magazynek?



Dostał trzy: jeden od Banichiego, drugi od Jago i trzeci od Tano. Kierowca miał zajęte obie ręce, a paidhiemu zabrakło już kieszeni, zresztą był już dostatecznie obciążony.

Rebelianci mieli Hanks.

- Czy jest jakiś sposób... - Sądził, że skoro mają do dyspozycji cały personel aijiiego, to może ktoś jest wolny. - Jakiś sposób... - Dziura. - Hanks musi być gdzieś w pobliżu... - Dziura. - Z nimi. Dostać się na ich teren. Złapać Hanks. - Podskok. - Niech oni się martwią.

Śmiech Jago zabrzmiał cicho na tle warkotu silnika i odgłosów uderzeń gałęzi w karoserię. Uśmiechnęła się, trzymając się drzwiczek samochodu.

- Dobry pomysł, nand' paidhi.

- Pomyśleliście o tym.

- Oni niestety też to zrobią. Obawiam się, że ją gdzieś przeniosą.

Cholera, pomyślał. Oczywiście. Żaden z niego strateg.

- Nie mogą wykorzystać lotniska. Już raczej szlaki strażników.

- Dobrze, nadi-ji.

- Człowiek pokoju nie ma z wami żadnych szans - powiedział Bren, a Tano poklepał go po nodze.

- Paidhi-ji, słuchamy, bo masz dobre pomysły. Oni by tak postąpili.

Więc i my tak postępujemy.

- To dokąd jedziemy? Kręcimy się w kółko, żeby zwariowali?

- Jeśli nam się uda - rzekła Jago. Po gwałtownej serii podskoków i zakręcie dodała: - Jest pewna liczba tajnych schronisk przeciwburzowych, gdzie możemy odpocząć jakąś godzinę i jechać dalej. Samolot Tabiniego odleciał albo zaraz odleci. Niech się zastanawiają. Przynajmniej mamy taką nadzieję.

## Rozdział 22

Strasznie było tak czekać, aż dwaj atewi znajdą bombę albo jej nie znajdą. Szczególnie, jeśli tymi dwoma atewimi byli Tano i Algini, którzy, jak człowiek zrozumiał, byli dobrzy w tym, co robili i mieli najnowsze wyposażenie, co najmniej tak dobre, jak potencjalni zamachowcy, gdyby ktoś, choć było to raczej nieprawdopodobne, zdażył zapuścić się głęboko do rezerwatu Taiben i zaminować schroniska.

Najwyraźniej nikt tego nie zrobił, ponieważ Tano i Algini zasygnalizowali podwójnym błyskiem latarki, że droga jest wolna.

Wyszli więc z samochodów i przeszli przez niewielki zagajnik ukrywający wykop.

Schroniska przeciwburzowe.

Tajne schroniska przeciwburzowe z dobrze utrzymanym wnętrzem i światłem elektrycznym, wystarczającym, żeby coś przy nim zobaczyć, częściowo wytwarzanym przez generatory.

Na wypadek normalnych, a nie politycznych burz, pomyślał Bren, w przewidywaniu których, jak podejrzewał, aijiin Shejidan zbudowali takie mocne betonowe bunkry. Rzeczywiście, zdarzały się potężne burze, czasami z huraganami, a nierzadko z gradem i niekiedy dużymi opadami śniegu; istniały więc powody, dla których strażnicy służący w posiadłości mogliby chcieć zrobić sobie przerwę w patrolu i schować się pod dachem, dotrzeć do apteczki, a nawet wziąć prysznic - w schronisku było miejsce dla dwudziestu atewich i zabłąkany człowiek mógł się tam położyć bez trudu. Bren znalazł sobie spokojny kątek, oparł obolałą rękę na stercie złożonych koców i poczuł się na tyle wygodnie, że zamknął oczy i ku swemu lekkiemu zdumieniu zasnął na kilka minut, może dlatego, że w końcu sprawy zmierzały w kierunku, na który nie miał najmniejszego wpływu, a otaczający go atewi byli czujni, wiedzieli, że grozi im

niebezpieczeństwo i robili wszystko, co w ich znacznej zawodowej mocy, żeby mu zapobiec.

Tak cholernie długo czuł się jak jedyny znak ostrzegawczy i jedyny stały punkt układu. Teraz wszyscy wiedzieli to, co on, robili to, co umieli; nikt, na kim mu zależało, nie zostanie zaskoczony i nie Bren będzie winny, jeśli spadnie na nich bomba i pośle ich wszystkich do diabła - potrafił spać z tą świadomością.

Niestety, po pewnym czasie podniósł się alarm, a przynajmniej poruszenie, które wyrwało Brena ze snu. Zbudził się z biciem serca i świadomością, że wszyscy stali się nagle czujni, ale Jago poklepała go po ręce, mówiąc, że to przybywa aiji i że Bren może znowu zasnąć.

Powieki chętnie by posłuchały, nie spało się jednak, kiedy pojawiał się Tabini. Powstało ogólne zamieszanie, dyskusja wśród członków Gildii, kto powinien dokąd pójść, i decyzja, że wszyscy pojedą dalej, a paidhi zostanie.

- Paidhi nie chce zostać - zaprotestował Bren. - Jago?

- Zostaniemy z tobą - powiedziała cicho. - Nie rozdzielimy się.

Uspokoił się. Otworzono drzwi i do środka wszedł Tabini, Naidiri i ich grupa, a wyszli wszyscy z grupy Brena oprócz jego osobistej ochrony i atevy obsługującego z Alginim radio.

Paidhi, siedząc spokojnie, złożył Tabiniemu życzenia miłego wieczoru, poranka czy tej pory dnia, która akurat panowała w tym niezbyt jasnym miejscu. Przyciskał do boku bolącą rękę, żałując, że nie przyszło mu do głowy zabrać ze sobą własnej apteczki.

- Bren-ji - powiedział Tabini i, mijając jego grzędę na wysokiej ławie, poklepał go po kostce.

Wtedy Bren lekko się zaniepokoił, ponieważ Tabini nie był tak wesoły czy wylewny, jak można by sobie życzyć. Tabini był zamyślony i rozmawiał cicho z Naidirim i Banichim, którzy potem odeszli na bok i zaczęli rozmawiać ze sobą.

- Co się stało, Jago? - zapytał cicho Bren. - Wiesz, o co chodzi?

Jago wstała, najwyraźniej też chcąc się tego dowiedzieć, i przykucnęła obok Banichiego i Naidiriego z rękoma opartymi na kolanach. Słuchała i rozmawiała z nimi przez dłuższą chwilę.

Kiedy wróciła do Brena, powiedziała cichym głosem:

- Przedarli się w jednym miejscu i jesteśmy stosunkowo pewni, że to nie turyści. Sądzymy, że udało nam się ich zidentyfikować, ale jesteśmy przekonani, że to manewr mający nas zmylić i że mogli wtargnąć na nasz teren wraz z turystami wyłącznie po to, by zamaskować posunięcie nieco bardziej na południu. Staramy się zdobyć informacje z kilku źródeł, ale mamy wrażenie, że albo nie byli całkowicie zaskoczeni lądowaniem w Taiben, albo jakieś posunięcie przeciwko rządowi było przygotowywane o wiele dłużej niż ta cała sprawa z Hanks.

- Czy to poważne?

- Bardzo. Nie wykonali żadnego ruchu po dostrzeżeniu statku. Mieli wtedy szansę. Tabini był w Taiben. Prawdopodobnie spodziewali się silnej ochrony.

- Chyba nie myślą, że teraz jest słabsza!

- Pomysł z turystami był bardzo dobry. Kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy statek, w Taiben nie było nic, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie obywateli. Lądowanie przyciągnęło jednak niczego nieświadomych atevich. Zwykli atevi stracili poczucie tego, co uchodzi. Nie wpada się do aijiego na herbatę, Bren-ji, to nie do pomyślenia.

- Chyba że na ganku aijiego wylądował statek kosmiczny. Z promieniami śmierci i dezintegratorami. Oni postradali zmysły, Jago-ji.

- Tacy są atevi, nai-ji. Przekonałeś ich do dobrej woli ludzi. A więc przybyli.

- Mój Boże.

- Ateva żałuje, że nie mamy więcej czasu, żeby przeczesać wzgórze leżące na południu. Banichi pyta, czy w razie czego dałoby się opóźnić lądowanie o kilka godzin?

Bren spojrział na zegarek; w nikłym świetle musiał włączyć podświetlacz.

- Jest za blisko. Nie wiem. Mógłbym spróbować natychmiast. Później już nie. Ale jeśli powiemy im, co się dzieje... Jago-ji, oni wylądują na Mospheirze. Nie podejmą ryzyka, bardzo się boję, że nie podejmą ryzyka, a to stworzy oddzielne problemy.

Wargi Jago zacisnęły się w wąską linię.

- Nie jesteśmy jeszcze przygotowani do zalecania opóźnienia. Być może to nie jest dobry pomysł. Poszukiwania muszą się toczyć szybciej.

- Mamy bardzo mało czasu, Jago. Kiedy znajdą się w punkcie bez odwrotu, zaczną spadać i nie będą mieli żadnego wyboru.

Jago poszła porozmawiać z Banichim i Naidirim, którzy po chwili po-deszli do Tabiniego.

Tabini wrócił do Brena, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział cicho:

- Bren-ji. Za parę chwil dotrze do tego miejsca grupa osób. Zatrzymają się tu. My natychmiast wyruszamy na lądowisko. Narobimy trochę hałasu przez radio, w nadziei, że wezmą nas za jeden z patroli. Mam na wzgórzach kilka oddziałów, które oczyszczą teren nie mający nic wspólnego z lądowaniem, żeby zwrócić na niego uwagę przeciwnika. Mamy kamizelkę kuloodporną. Jest trochę za duża. Proszę cię, włóż ją.

- Nie mam zamiaru się spierać, Tabini-ma. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż kapsuła będzie opadać dość powoli. Jest twarda, ale nie sądzę, by wytrzymała ostrzał.

- Zdajemy sobie sprawę. Będziemy mieli osłonę powietrzną, oczywiście w należytej odległości. Będziemy śledzić kapsułę. - Kolejne klepięcie w nogę. - Chyba wiemy, gdzie jest Hanks. Nie byli dyskretni, jeśli chodzi o linie telefoniczne. Aiji ma jedną przewagę. To ja zarządzam towarzystwem telefonicznym.

Bren wstał, włożył kamizelkę, którą podał mu Tano i, co gorsza, hełm od Tabiniego, który zapewne miałby jakieś zalety, gdyby ktoś strzelał mu w głowę, ale i wady, gdyby Bren nie wypchał go złożonym niewielkim ręcznikiem, żeby widzieć, dokąd idzie.

Inni też wkładali hełmy na głowy, a kamizelki pod kurtki, które prawdopodobnie miały własne zabezpieczenia. Bren pomyślał, że dzięki temu wygląda mniej jak człowiek, a bardziej jak atewskie dziecko bawiące się w wojsko.

Włożył rękawiczki. Nic nie można było zrobić z jego twarzą, poza tym, jak doradziła mu Jago, żeby miał pochyloną głowę, co wydało mu się dobrym pomysłem.

- Idą - powiedział Algini, siedząc w kącie ze słuchawkami na uszach, i dalej prowadził nasłuch.

Banichi podał jednej z kobiet kasetę.

- Głos aijiego. Mój. Naidiriego. Przy oszczędnym odtwarzaniu jest to warte kilka godzin naszej tu obecności.

- Tak - odrzekła wesoło kobieta. - Dziękuję, 'Nichi-ji.

'Nichi-ji? pomyślał Bren, spojrzawszy na nią, ale nie wydawało mu się rozsądne pytać. Zabrał komputer z miejsca, gdzie postawił go Banichi, i czekał w pogotowiu na wymianę sygnałów przy drzwiach.

Zbierali się. On, Tabini, ich ochrona - stara gra hazardowa: jak najszybciej przesuwać kubki przykrywające kamyk albo udawać, że się je przesuwają. Po raz drugi w ciągu dwóch tygodni znajdował się w sytuacji, w której atevi strzelali do siebie nawzajem, a on miał kieszenie obciążone magazynkami, kamizelka kuloodporną już obcierała mu ramiona i zebra, a hełm o połowę ograniczał pole widzenia - pomyślał ze ściśniętym gardłem, że nie nadawałby się na żołnierza; ostatnio tyle do niego strzelano, że stwierdził, iż naprawdę mu się to nie podoba, i w tej chwili chciałby gołymi rękoma udusić

Deanę Hanks za sytuację, której powstanie przyśpieszyła, jeśli nie bezpośrednio wywołała.

SNS i zapasy, akurat.

Kluczyli i zawracali w ciemnościach w poplątanym labiryncie wąskich dróg dojazdowych, pokonując wzgórza, łąki i strumienie na zalesionych terenach - wszędzie tam, gdzie była woda, drzewa rosły dość gęsto, a im głębiej zapuszczali się na południe, tym częściej można było je spotkać tylko nad wodą.

Nie jechali jako pierwsi: z przodu były dwa inne samochody, a Tabini jechał z Naidirim o dwa samochody dalej, przedostatni w kolumnie złożonej z sześciu pojazdów - ochrona chciała mieć ich w środku, ale nie razem. Pędzili wzdłuż zalesionego brzegu strumienia, potem kawałek przez otwartą sawannę i znów wjechali między drzewa. Dwa razy parkowali, za każdym razem w zadrzewionym terenie, gdzie rozdzielały się drogi, i przez jakieś pięć minut czekali nie bardzo wiadomo, na co. Wszyscy siedzieli w całkowitej ciszy, nasłuchując w ciemności; silniki zgaszono i nie było słycać niczego prócz nocnych odgłosów sawanny i delikatnego szeptu wiatru poruszającego gałęziami drzew. Tano przekazywał komuś przez swój kieszonkowy komunikator wiadomości od Banichiego - Banichi ani Jago się nie odzywali; Bren pomyślał, że ich głosy mogą być zbyt dobrze znane, szczególnie sąsiadom. Tano powiedział coś o sekcji jedenastej, o wyłomie i o zajęciu numeru dwadzieścia jeden. „Z łatwością”, powiedział kierowca; z tyłu i z przodu zawarczały silniki. Pierwszy kierowca trochę się cofnął i skręcił w bardziej wyboistą, mniej rozjeżdżoną drogę. Zarośla ocierały się o podwozie i wyskakiwały spod niego z tyłu, a gałęzie połamane przez dwa pierwsze samochody szorowały o karoserię.

Zmiana planów, pomyślał Bren i, wciśnięty między Jago i Tano na tylnym siedzeniu, podpierał drugą ręką łokieć, by ochronić rękę przed wagą i obcieraniem kamizelki.

Jednak wcale go nie kusilo, by ją zdjąć.

- Czy wciąż jedziemy w kierunku lądowiska? - zapytał raz, bardzo cicho, kiedy Banichi i kierowca zamienili ze sobą kilka słów.

Wtedy jakaś gałąź uderzyła w szybę i przejechała im po głowach, tak że atevi musieli gwałtownie się schylić, a człowiek siedzący między nimi został zasypany intensywnie pachnącymi i pogniecionymi liśćmi.

Trzy gwałtowne podskoki na korzeniach, ostry zakręt i wjazd na garb, podczas którego z tylnego siedzenia było widać czarne niebo, a potem bryłowaty, zwietrzały granit - wreszcie znaleźli się na garbie przecinającym sawannę. Bren spojrział na zegarek, ryzykując zderzenie z Jago i Tano.

- Godzina do świtu - powiedział, czując nerwowe łaskotanie w żołądku. - Pewnie są już w drodze, lądownik...

Gwałtowny podskok i wyjazd z lasu: słabo podświetlone gałęzie ustąpiły całkowitej czerni z rozsianymi gdzieniegdzie drzewami. Kierowca czynił rozpaczliwe wysiłki, by utrzymać prędkość i nie wypaść z trasy.

Bren pomyślał, że jada najszybciej, jak się da.

- Jesteśmy niedaleko odnogi odchodzącej na wschód, a potem przez...

Usłyszał głuchy huk. Jago i Tano przykryli go własnymi ciałami, spychając na podłogę; powietrze wokół nich wykwitło dźwiękiem, ciśnieniem, siłą, która wyrzuciła drogę, przewróciła samochód i wyrzuciła ich na zewnątrz w płataninie kończyn i kolczastych krzewów, a w końcu zasypała ziemią, kamykami i drewnem.

Przez chwilę nie mógł odzyskać tchu. Naprężył mięśnie, kiedy ktoś oparł się o niego, i spróbował się poruszyć, a potem - potem samochód wybuchnął kulą płomieni, ktoś chwycił Brena za dolną krawędź kamizelki i ściągnął go w dół zbocza. Było słycać strzały. Zgubił hełm i zdawał sobie doskonale sprawę, że w tej chwili jego najważniejszym zadaniem jest nie podnosić głowy i nie zawadzać innym - wiedział, że Jago i Tano żyją, bo wypadli z samochodu splątani z nim i odciągnęli go do tyłu. Wśród strzałów z broni ręcznej

słyszał jęk silników - wydawało mu się, że samochody, które jechały za nimi, bardzo szybko cofają się w jedynym możliwym kierunku; w uszach dzwoniło mu jednak od wybuchu, a w ostrym blasku ognia widział tylko płonący samochód, w którym jechał, czarny ośrodek kuli ognia tkwiącej powyżej nich na stoku wzgórza. Ogień przerzucał się na drzewa, które rozpalały się jak zapałki. Cała okolica była oświetlona blaskiem pożaru.

Wtedy Bren usłyszał, że ktoś krzyknął, a głos Banichiego - dzięki Bogu - odpowiedział, że nie mogą się ruszyć z miejsca, nie ma co próbować po nich przychodzić, utrzymają się tu, gdzie są.

- Nie podnoś się! - krzyknął Banichi, a silna atewska ręka rozpląszczyła Brena na ziemi, podczas gdy pociski odłupywały kawałki granitu i uderzały w drugi bok płonącego samochodu.

- Mój komputer! - zaprotestował.

- Twoja głowa, nadi. - Jago wciąż przyciskała go do ziemi. Na wzgórzu rozległ się jeszcze jeden huk, po czym za nimi coś wybuchło, wzbijając fontannę kamieni i ziemi.

Uszy Brena wracały do normy, więc usłyszał słowa Tano:

- Płomienica. Mogę się nią zająć.

- Nie! - odparł Banichi. - Za dużo światła...

Upadł za nimi następny pocisk, powodując drobne osunięcie ziemi. Jago wciągnęła Brena do zagłębienia wśród skał; dołączył do nich Tano, a Banichi kilka razy wystrzelił w kierunku szczytu.

Bren miał własny pistolet. Wyjął go z kieszeni; opierając się na drugim łokciu, nadwerężył ramię do tego stopnia, że w oczach stanęły mu łzy. Nie był pewien, co jest celem, nie był nawet pewien, skąd nadchodzi atak. Dym spływał na drogę, a ogień przerzucił się na zarośla w tamtym rejonie.

Tano i Jago rozciągnęli się za niewystarczającą osłoną skał i też zaczęli strzelać w kierunku szczytu. Bren spróbował zrobić to samo, ale przeszkadzał mu głaz, więc wysunął się nad niego; Tano niezbyt delikatnie ściągnął go na dół.

- Mam dodatkowe magazynki - powiedział Bren, starając się być choć trochę użyteczny.

Spadł kolejny pocisk. Do ich kryjówki dopadł Banichi i jeszcze jeden atewa, którego Bren uznał za strażnika; w tej samej chwili tuż przed samochodem zwały się w płataninie gałęzi drzewo i zajęło się ogniem, tworząc parawan z płomieni między nimi i tym, w co mogli mierzyć.

- Stały ogień - zarządził Banichi. - Tylko tyle możemy zrobić.

Stanowimy zaporę drogową. Starają się obejść od tyłu. Niech nie podnoszą głów. Bren, pilnuj nas od tyłu. Słyszysz?

- Tak - odparł i odwrócił się, by wykonać polecenie. Nie był pewien, co kto obchodzi od tyłu, ale podejrzewał, że Banichi chciał powiedzieć, że grupa Tabiniego jedzie na drugą stronę wzgórza: wycofali się z zagrożonego terenu i objechali krzywiznę garbu, tak jak chyba udało się to pierwszemu samochodowi. Bren nie wiedział, czy istnieje jakiś plan, czy ktoś zamierza przedrzeć się na szczyt, a reszta ma wydostać Tabiniego, czy może Tabini i jego ochrona spróbują zdobyć wzgórze; Banichi, Jago, Tano i strażnik-kierowca strzelali, jakby widzieli, do czego, i jakby mieli więcej amunicji, niż sądził Bren. Kiedy odwrócił się, żeby spojrzeć w dół, zaczęła go uwierać w ramię jakaś gałąź; podparł się drugą ręką, żeby przybrać wygodniejszą pozycję - i na ciemnym zboczu, oświetlonym blaskiem ognia, zobaczył jakiś ruch.

- Ateva! - tylko tyle zdążył krzyknąć; strzelił, ale coś pchnęło go w tył na skałę, głową uderzył w kamień, i z obu stron usłyszał strzały.

- Bren-ji! - głos Jago.

- Kamizelka - udało mu się powiedzieć. Bolały go żebra i brakło mu tchu, ale zdał sobie sprawę, że kamizelka kuloodporna właśnie zdała egzamin. Wciąż trzymał w dłoni pistolet; oparł go na kolanie, ale trzęsły mu się i ręce, i nogi. - Pilnuję! Wszystko w porządku!

Tuż obok słyszał strzały, Banichi i strażnik wciąż robili użytek ze swojej broni. Tano i Jago z powrotem skupili się na wzgórzu, a Bren siedział i trząsał się, co powodowało napięcie mięśni klatki piersiowej i wcale nie pomagało w odzyskaniu tchu. Podmuchy wiatru spadające z góry przynosiły ze sobą fale gorąca i gryzący dym.

Przynajmniej nie wybuchały już ciężkie pociski. Być może skończyły się atakującym. Być może ich ogień nie pozwalał przeciwnikom unosić głów.

Na pewno jednak nie mają aż tyle amunicji, żeby kontynuować ostrzał, a atakujący zaczajeni na szczycie wysłali na dół poniżej ich stanowiska przynajmniej jedną osobę - na pewno nie jedyną. Bren nie widział w ciemnościach tak dobrze jak atevi: nie wiedział, czy ich widać na tle łuny, ale spadek stoku tworzył głębokie cienie przemieszane z oświetlonymi blaskiem ognia gałęziami drzew i głazami, a dalej była trawa, tylko ciągnąca się w nieskończoność trawa, jeśli nie liczyć tego skalnego garbu biegnącego ukośnie przez teren południowy, tego wyjątku na równinie ciągnącego się aż do nadmorskich urwisk...

A ta przestarzała kapsuła jest już w drodze i nie ma możliwości powrotu: wcisnąwszy przycisk w zegarku i uspokoiwszy dłoń, Bren przekonał się, że nie została im wieczność, jak sądził, ale że mimo wszystko nie mają zbyt dużo czasu, a nie są tam, gdzie mieli być; jeśli nawet atevim Tabiniego uda się ich wydostać, nie wyrwą się stąd w dobrej formie; a zagadką było, czy w ogóle się stąd wyrwą, czy, jeśli Tabini jest tam na górze po swoim uparty, za godzinę będzie jeszcze istniał rząd, który w ogóle będzie obchodziło, czy jest jakiś paidhi zdolny do tłumaczenia w imieniu ludzi. Zrobiło mu się niedobrze, częściowo z gorąca, częściowo od uderzenia kuli, a częściowo dlatego, że wiedział, że się nie uda...

- Magazynek, nadi - powiedziała z niezmaconym spokojem Jago. Bren sięgnął do kieszeni, drugą ręką wciąż mierząc w dół stoku, i podał dwa z trzech magazynków za siebie.

- Mam jeszcze jeden; nie, dwa, licząc ten w pistolecie. - Nie mógł w pełni polegać na swoim głosie. Starał się patrzeć tam, gdzie mu kazano.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział Banichi; Brenowi dzwoniło w uszach od strzałów oddawanych przez jego ochronę. - Nie możemy pozwolić, żeby ta cholerna płomienica znów weszła do akcji.

- Trawa zaczyna się palić - zauważył strażnik i Bren zerknął w bok: ogień rzeczywiście rozprzestrzenił się w dół stoku, co prawda nie bezpośrednio pod nimi, ale z lewej strony, gdzie zapaliły się zarośla.

Był koniec sezonu. Wszędzie trawa, aż do samego oceanu. Kapsuła spadająca w morze płomieni. Osłona termiczna znajdowała się głównie na spodzie - jaka jest temperatura płonących traw, kiedy płomienie sięgają na dziesięć metrów w górę i wypalają ziemię na czarno?

Na zboczach powyżej nich nagle wywiązała się strzelanina. Bren poczuł przypływ nadziei i przerażenia, ale oparł się pokusie, żeby się odwrócić i popatrzeć na to, czego i tak nie mógłby dostrzec. Nad nimi było słychać strzały; nagle rozległ się nosowy, pełen wściekłości kwik.

To nie pasowało do Taiben - Bren usłyszał nagle ucięty krzyk i to okropne parsknięcie, którego, Boże, nie zapomni nikt, kto słyszał mecheitę atakującego człowieka...

Na garbie były mecheiti. Jeźdźcy.

Bren obrócił się na biodrze, starając się przebić wzrokiem rozprzestrzeniający się ogień. Zaczynały już płonąć liście na drzewach tuż nad ich głowami: delikatne przebłyski ognia, deszcz rozpalonego popiołu, niesiony podmuchem gorącego powietrza. Robiło się coraz goręcej. Otaczające ich drzewa mogły zapalić się tak, jak te pierwsze przy samochodzie.

- Drzewa zaczynają się palić! - zawołał Bren. - Musimy wydostać się na otwartą przestrzeń... zostaniemy uwięzieni...

Jednak hałas wystrzałów, docierający do nich poprzez huk ognia, ustał i było słychać tylko rozwścieczone atewskie głosy.

Bren nie wiedział, co myśleć. Skulił się w przykłęku z pistoletem w zdrowej ręce; wszyscy wokół niego byli przez chwilę równie zdezorientowani. Młode drzewko wybuchnęło płomieniem, który ogarnął wszystkie liście jednocześnie. Nie trzeba było lepszego powodu, żeby serce Brena zabiło w panice. Najślabiej było słycać cieniutki głos dobywający się z włączonego komunikatora.

- Wstrzymać ogień, wstrzymać ogień, niebieski, na dole.

- Mają ich - powiedział Banichi. - Nie podnoś się!

- Sam się nie podnoś! - odparła Jago; Bren po raz pierwszy był świadkiem tego, że nie usłuchała rozkazu. Chwyliła Banichiego za rękaw. - Twoja noga, do cholery, zostań tu!

- Akurat - warknął Banichi i wyrwał rękę, ale się nie podniósł.

Teraz było słycać już tylko huk ognia. Żadnych wystrzałów. Nic się nie poruszało. Przez gryzący dym przebijał smród prochu i spalonego plastiku. Tano odczołgał się kawałek dalej, szukając osłony od ognia. Ześliznęli się po skosie stoku poniżej krawędzi drogi, cały czas słysząc dobiegające z komunikatora głosy kierujące ruchami atevich i wyłapywaniem poddających się rebeliantów.

W pewnej chwili Bren usłyszał głos Jago:

- Wdowa. Tak, aiji-ma, nikomu nic się nie stało. Wstrzymaliśmy ogień.

Miał nadzieję, że na górze nie doszło do rzezi, że osoby, na których mu zależy, wciąż żyją, że uda się jakoś osiągnąć pokój. Między innymi usłyszał imię Dereiso, którą Banichi określił jako jeden z miejscowych problemów. Usłyszał rozkazy, że mają się nie ruszać, a potem odgłos silnika niewielkiego samolotu, ale Tano powiedział, że to ich maszyna.

Gdzieś za garbem ktoś uruchomił silnik, potem drugi, i po chwili droga nadjechały samochody. Zza płonącego pojazdu wyłoniły się dwa samochody uzupełniające ich konwój; przed Brenem i jego ekipą był tylko ogień - zwalone drzewo, które przykryło gałęziami przód ich wozu, było płonąca kłoda, a wiatr roznosił iskry po całym garbie.

Trzeci samochód się nie pokazał, lecz po stoku oświetlonego pożarem wzgórze bezgłośnie zsunęła się upiorna, ciemna postać: jeździec na mecheicie. Za nim pojawili się następni. Strażnicy, pomyślał Bren. Nie wiedział, że w Taiben są mecheiti. Nigdy o tym nie słycał. Teraz już wiedział, że są - zza zaparkowanych samochodów zjeżdżało po rzadko zalesionym garbie jakichś piętnastu jeźdźców. Jeźdźców w nabijanej metalem czerni - tylko jeden z nich wyglądał inaczej. Nie wykazywali oznak wrogości. Z samochodów powysiadali atevi w kamizelkach kuloodpornych i hełmach, a wśród nich Tabini, na co miał nadzieję Bren.

Banichi wstał, Tano i Jago poszli w jego ślady. Bren chwycił się ostrożnie jakiejś gałęzi i kiedy wstawał, rozpoznał niewielkiego wzrostem jeźdźca w cywilu.

Ilisidi.

Cenedi - osobisty ochroniarz Ilisidi - i co najmniej piętnastu „jej młodych mężczyzn”, jak ich nazywała, na potężnych, długonogich stworach, uzbrojonych w błyskające złowieszczco, krótkie kły, służące do rycia. Za jeźdźcami podążało jeszcze dziesięć, może jedenaście mecheiti - były zdenerwowane walką i pożarem.

No i Ilisidi, Ilisidi na groźnym Babsidim, wsparta na jego kłębie i obrzucająca spojrzeniem zgromadzone siły. Pojawił się jeszcze jeden jeździec, prowadzący...

Boże, to...

- Hanks! - krzyknął Bren i w tej samej chwili poznał tęgawego atevę ubranego w zwykły strój do jazdy.

Pan Geigi skierował wzrok na człowieka.

- Nand' paidhi! Ateva bardzo się cieszy, że widzi cię w dobrym zdrowiu.

- Otrzymałem wiadomości od ciebie, panie Geigi. Jestem bardzo wdzięczny. Hanks?

- Zabierz mnie od tych atevich! - wrzeszczała Hanks w mospheiranie. - Uwolnij mnie, Bren!

Ręce miała skrępowane i przywiązane do kółek przy siodle.

- Zamknij się, Hanks! - Paidhi w tych okolicznościach nie widział potrzeby zachowywać się jak džentelmen.

- Cały ten cholerny garb się pali - wtrącił się Tabini. - Nie przejedziemy samochodami przez płomienie. Jeśli oddziały straży pożarnej wkrótce nie opanują ognia, to zapali się cały teren południowy. Babka łaskawie zgodziła się dostarczyć nam transport. Prawda, 'Sidi-ji?

- No, nie wiem - jej głos zabrzmiał na tle skrzywienia skórzanej uprząży i podzwaniania kółek. - Wyrzuciłeś mnie z posiadłości, a raczej twój personel wyrzucił mnie z posiadłości...

- Babciu. - Tabini miał w dłoniach strzelbę. Oparł kolbę na biodrze, a lufę wycelował w niebo. - Ateva przeprasza. Ateva potrzebował domu. W interesach. Ateva wiedział, że będziesz dobrze wiedziała, do którego z sąsiadów się udać.

- A twoja ochrona nie mogła się tego domyślić?

- Nie przy twoich zdolnościach perswazji, nie, światłości moich dni. Możemy już jechać?

- Śliczny poranek na przejażdżkę. Zapach prochu i porannej rosy.

- Proszę - odezwał się Bren, przewidując kolejną sprzeczkę i dalsze opóźnienie. - Nadiin. Proszę. Kapsuła już spada. Ogień się rozprzestrzenia...

Potężne parsknięcie jednego z mecheiti, kilka kwiknięć i zamieszanie wśród uzbrojonych ochroniarzy, chwytających za wodze: to jakiś mecheita przepchnął się przez niechętną barierę towarzyszy i jeźdźców.

Bren wiedział, co to za mecheita, był pewien, kiedy ostra para kłów szturchnęła jego dłonie uniesione w obronnym geście - ale nie nacisnął na nos; pozwolił, by wrażliwa warga muskała jego palce...

Nokhada go pamiętała. Nokhada wróciła do statusu jego mecheity. To nie była miłość ani ambicja, tylko man'chi, oczekiwanie walki; ciepły oddech mecheity i warga usiłująca dotknąć jego ucha, podczas gdy Bren usiłował odczepić pojedynczą wodzę od kółek przy siodle, do których przymocowywało się zwierzaka, gdy był bez jeźdźca.

Przyczepił wodzę do paska uździenicy, biegnącego pod szczęką wierzchowca; nie zrobił tego wolniej niż inni jeźdźcy. Mocno uderzył Nokhadę w łopatkę i mimo przeszywającego bólu ramienia zmusił ją do ugięcia nogi, po czym wdrapał się na siodło, a Nokhada znów stanęła mocno na czterech nogach, wykonując ruch tak gwałtowny, że człowiekowi mógłby od tego trzasnąć kark.

Nie był ostatni. Wcale nie był ostatni. Nie narobił więcej zamieszania niż inni. Spojrzał na płonący krajobraz z wysokości, na której jeździec panował prawie nad wszystkim, co go otaczało, a całej reszcie zagrażał.

Ogień napierał na morze trawy, rozpościerające się pod garbem. Bren usłyszał, że Hanks domaga się od niego, żeby ją uwolnił.

Powiedział cicho do pana Geigiego:

- Nand' Geigi, czy może wiesz, gdzie jest komputer Hanks-paidhi?

Geigi poklepał torbę wiszącą po lewej stronie siodła:

- Ateva sądził, że ta maszyna może być dość ważna.

- Dziękuję ci - powiedział żarliwie Bren. Ze swego punktu obserwacyjnego dojrzał Alginiego. Szukał go od chwili, kiedy wstał z ziemi - to był ostatni członek jego małego personelu, któremu groziło niebezpieczeństwo: teraz wszyscy byli już bezpieczni; wydobyli się z opresji, zaledwie śmierzdząc dymem.

Ilisidi była z siebie ogromnie zadowolona. Babsidi tańczył pod nią, zaniepokojony ogniem; dwaj atevi z ich grupy, ochroniarze Tabiniego, wciąż stawali się dosięść wierzchowców, kiedy Ilisidi pchnęła Babsidiego w dół stoku, prosto na zagrożoną sawannę.



Bren obejrzał się, nie mając pewności, czy ci dwaj w ogóle wsiedli, ale właśnie im się to udało, a kierowcy wsiadali do samochodów, pewnie po to, by je uchronić przed ogniem.

Bren miał jednak przed sobą zbrocze - i pełne ręce roboty - mecheita Cenediego przeciął mu nagle drogę, zdecydowany zachować swoje miejsce za Babsidim, ponieważ taki był ustalony porządek, a Nokhada zareagowała, hołdując jednej myśli w swej mecheiciej głowie - dostać się na czoło i ugryźć każdego mecheitę, który zagradzał jej drogę do Babsidiego, na co Bren nie zamierzał pozwolić, do cholery. Noga uderzył Nokhadę w łopatkę, złamaną ręką przytrzymał wodzę i wpuścił przed siebie wierzchowca Tabiniego.

Nie tak rozumiały kolejność mecheiti, co wywołało ataki złości, ukąszenia, kwiczenie, wierzgnięcia i groźby, póki nie dotarli na teren, gdzie jeźdźcy mogli się nieco rozproszyć.

Nie potoczyło się to też po myśli Hanks - krzyczała coś do Brena, aż ktoś musiał jej powiedzieć, że jej życie jest w niebezpieczeństwie.

Bren natomiast utrzymywał Nokhadę z dala od Ilisidi i Tabiniego. Mecheita cały czas starała się przepchnąć do nich.

Cenedi zwolnił i przez chwilę jechał obok Brena.

- To byli wrogowie - uznał za stosowne poinformować paidhiego. - Ci, którzy się poddali, idą do domu. Dopilnują tego atevi Tabiniego. Zdawaliśmy sobie sprawę, że podejrzuje się Ilisidi.

- Ja wiedziałem, że to nie ty - rzekł Bren. - Ty masz o wiele więcej finezji, Cenedi-ji. Nie strzelałbyś do porcelany.

- Lilia, którą przysłała Damiri-daja. To był poważny błąd z ich strony. Nie mówiąc o tym, że prawie przekonaliśmy Tatiseigiego. - Mecheita Cenediego zaczynał się niepokoić, chcąc przebić się na czoło kolumny, i Nokhada rzuciła głową niebezpiecznie blisko niego, o mało nie zawadzając nosem o jego łopatkę, ale Cenedi patrzył wtedy do tyłu. - Ogień się rozprzestrzenia. Gdzie są te samoloty, do diabła?!

- Przywiozą sprzęt do walki z ogniem?

- Zbyt wiele sił jest zajętych zwalczaniem kłopotów - odparł Cenedi. - Wcale nam to nie pomaga. Mam nadzieję, że wiatr nadal będzie wiał z zachodu.

Człowiek też miał taką nadzieję. Cenedi wrócił na początek kolumny do Ilisidi i Tabiniego, a Bren zerknął do tyłu - w nozdrzach miał smród dymu, ale to tylko śmierdziało jego ubranie. Wiatr wciąż wiał im w twarz, powstrzymując ogień za plecami jeźdźców.

Bren uświadomił sobie jednak, że widzi prowadzących kolumnę - zrobiło się już tak jasno. Przed nimi rozciągała się blada, pozbawiona koloru sawanna, jak mgiełka czy powietrze, przez które szły niezmordowanym krokiem mecheiti. Kiedy Bren znów obejrzał się do tyłu, też dostrzegł ten sam brak koloru, poprzecinany cieniami jeźdźców, lecz wschód stanowił kontrast ciemności i ognistej linii przecinającej noc, która skrywała świt wstający za garbem.

Dogonił go Banichi. Jago też podjechała z drugiej strony - takie towarzystwo Nokhada tolerowała.

- Z Alginim wszystko w porządku. - Była to pierwsza rzecz, jaką chciał im powiedzieć. - Widziałem go.

- Rozmawialiśmy z nim, nadi - rzekł Banichi. - Z Tano też.

Nie zawsze potrafił odróżnić głosy dobywające się z komunikatora. Odczuł ulgę. Hanks uspokoiła się, choć sprawiała wrażenie cholernie niezadowolonej. Bren był pewien, że jego komputer to jedna stopiona bryła.

Dopóki nie podała mu go Jago.

- Trafiała w niego jedna kula - powiedziała. - Nie wiem, czy działa.

Przynajmniej można go będzie do tego zmusić. Przełożył sobie pasek nad głową i pod zdrowym ramieniem.

- Geigi ma komputer Hanks - stwierdził Bren. - Będzie mi potrzebny. Spróbuję po prostu poprosić.

- Ateva sądzi, że Geigiemu zależy na twojej przychylności - rzekł Banichi. - Jeden z popleczników Geigiego wiedział, gdzie jest Hanks. Zeszłej nocy jego ochrona po prostu przyszła i ją zabrała, mając zaufanie naszych przeciwników. Oraz bardzo dobrego członka Gildii po swojej stronie.

- Kogo?

- Cenediego - odparła Jago. - Oczywiście.

- Ale Ilisidi nie była odpowiedzialna. - To, co mówili, burzyło jego rozumienie, kto gdzie stoi. - Była po stronie Tabiniego. Popiera go, prawda?

- Wielmoże nie mają man'chi - przypomniała mu Jago; to był pewnik we wszystkich atewskich działaniach. - Wdowa dba o własne interesy. Zagrozili im głupcy. Głupcy posunęli się o wiele za daleko.

- Głupcy zaatakowali ciebie - rzekł Banichi - uznali Hanks, zniszczyli porcelanę Tatiseigiego i zagrozili bardzo korzystnemu dla niego posunięciu, biorąc pod uwagę pragnienie Tabiniego przyjęcia do swego rodu kogoś z Atiginich. Głupcy wątpili w zaangażowanie Tatiseigiego i, zdaje się, uważali, że mogą go przestraszyć.

- Chyba im się nie udało.

- Chyba nie. - Banichi wsparł się kolanami o wyściółkę siodła i lekko się uniósł, patrząc za siebie i w górę.

- Jeszcze nie - powiedział Bren. - Dopiero, kiedy zrobi się zupełnie jasno. Wtedy możemy szukać. Te urzędnicy są bardzo precyzyjni.

- Szukałem samolotów - odpowiedział Banichi. - Wiatr zmienia kierunek. Czujesz?

Rzeczywiście. Bren zobaczył, że trawa, która chyliła się w stronę ognia, teraz znieruchomiała.

- Nie chodzi tylko o to, kiedy pojawi się lądownik - powiedział z rosnącym niepokojem. - Ważne jest, gdzie - w stosunku do linii pożaru.

- Naidiri ma mapę - rzekł Banichi i zmusił swego mecheitę do szybszego kroku.

- Jak szybko może się to palić? - zapytał Bren. Widywał pożary sawanny w wiadomościach: front ognia, tworzący na swojej trasie własne warunki pogodowe, własny wiatr.

- Nie tak szybko, jak potrafią biec mecheiti - rzekła Jago. - Za to dłużej. Starają się zatrzymać ogień.

Zrzucają chemikalia.

To te samoloty, które się nie pokazały. W samochodzie było radio. Strażnicy na pewno coś robią.

Boże, tam są turyści, którzy przyszli popatrzeć na lądownik opuszczający się na ziemię na spadochronach.

Strażnicy i tak mają pełne ręce roboty. Pikniki. Wędrowcy z namiotami.

Robiło się coraz jaśniej. Wiatr wiał teraz wyraźnie z południowego wschodu, kładąc trawę.

Niósł ze sobą smród dymu, różniący się od woni, którą przesiąknęło ubranie Brena. Mecheiti zaczęły się niepokoić i zacieśniły szyk. Linia ognia za nimi była bardzo wyraźna.

Ilisidi, która nadal prowadziła kolumnę, utrzymywała tempo. Żaden mecheita nie mógł wyprzedzić Babsa - może dogonić, ale nie wyprzedzić.

A na czele kolumny toczyła się rozmowa...

- Mogłaś powiedzieć - mówił Tabini. - Mogłaś zostawić wiadomość.

- Bzdura - prychnęła Ilisidi. - Wiadomość mógł zostawić każdy. Nie robiłam tajemnicy z tego, dokąd się udaję.

- Do miejsca, w którym w ogóle nie chciałbym cię widzieć, nai-ji. Na niepomysłnych bogów, potrafisz sobie znajdować najgorsze miejsca!

- Mogłam być aijim, wnuku. Trzeba było tylko niewielkiej zachęty. A ty miałeś czelność wyrzucić mnie z Taiben w nocnej koszuli...

- Mogłaś zginać, 'Sidi-ji! To są głupcy! Czy ty nie masz żadnego wycucia?

- Z pewnością nie zamierzałam być zastępczym celem, nadi. Zapewniam cię. Przysłałeś mi Bren-paidhiego. Czy nie miałam założyć, że ten bardzo piękny podarek coś oznacza?

- Stopa w każdej choleryjnej prowincji!

- A pewnie! Kto wie, kiedy się potkniesz?

- Wcale nie poważają cię bardziej niż mnie. Chcą zdobyć kontrolę nad tym urzędem. A ty tego nigdy nie osiągniesz. Zwróciliby się przeciwko tobie bardzo szybko.

- Nie jestem tak wyrozumiała jak ty, mój wnuku. Moi wrogowie nie mają takich szans.

- Tak? A jak się miewa Tatiseigi?

- O, zapewne je śniadanie w Taiben i czeka na uprzejmy telefon od przyszłego krewnego.

- Przede wszystkim zaproponowałam honorowy związek!

- To nie jest osoba pochopnie wydająca sądy.

Wiatr uderzał ich w plecy. Niebo jaśniało coraz bardziej.

- Mówię ci - powiedziała Ilisidi - że to przecinanie ziemi drogami jest szkodliwe, a i tak nigdy nie ma ich tam, gdzie są potrzebne. Mówiłam ci, że jestem temu przeciwna. Ale nie, budujemy te cenne, paskudne drogi, prawda, Babs? Wystraszyłam całą zwierzynę, puścimy samochody przez środek rezerwatu - ty to nazywasz utrzymaniem zwierzyny? Rozejrzyj się dookoła. To są stada. Mogę się założyć, że hałasując zeszłej nocy, nie widziałeś ani jednego zwierzęcia.

- Na nieszczęśliwych bogów - mruknął Tabini. - Demony i moja babka. Naidiri! Gdzie są te choleryjne samoloty?! Spróbuj je wywołać jeszcze raz!

- Mówią, że ładują - odparł Naidiri.

Stada zwierząt, podobnie jak oni, oddalały się od pożaru. Raz w pisanej historii ogień dotarł do samego morza, przeskoczył Południową Żelazną Rzekę i strawił cały teren południowy.

Paidhi nie chciał pamiętać tego szczegółu.

- Patrzcie! - krzyknął jeden z atevich jadących na końcu. - Co to takiego?

Pokazywał na niebo.

Atevi naprawdę mają ostry wzrok. Bren ledwo widział punkcik na niebie. Musiał zatrzymać Nokhadę, a z nim stanęli wszyscy inni.

- To jest to! - powiedział. Miał poczucie nierzeczywistości. - Kapsuła! Ładuje!

Bardzo wysoko i bardzo daleko na południu. Zupełnie nie tam, gdzie ustalili na mapie.

- Mamy mało czasu - rzekł Banichi. - Na południe, przed linią ognia. Miał rację.

Kapsuła była jednak w zasięgu wzroku. Uda im się. Na pewno - tylko, Boże, niech miękko wylądaje.

## Rozdział 23

Był jeden strumień w całej okolicy, może jeden strumień w zasięgu dnia jazdy wierzchem, i ładownik go znalazł - wpadł do wody po pokrywę luku. Cały omotany niebiesko-czerwonym spadochronem. Żadnych oznak życia.

- Cholernie cicho - powiedział Tabini, kiedy podjechali bliżej. - Czy mogą otworzyć właz, Bren-ji?

- Człowiek tak by sądził - odparł Bren. Wiatr wciąż niósł ze sobą intensywny swąd dymu. Rzut oka w bok ukazywał ogień: długa, bardzo długa linia czerni zaciemniająca świt.

Podjechali na brzeg strumienia. Ładownik był poorany małymi wgłębieniami i porysowany. I bardzo cichy. Bren szturchnął Nokhadę stopą, ale

mecheita położyła uszy i nie chciała ruszyć; weszła do wody dopiero, kiedy Bren zaczął zsiadać.

Wszędzie wokół niego pojawiła się atewska broń.

- Tabini-ma - powiedział. - Banichi...

- Na wszelki wypadek - rzekł Tabini, a Banichi też wjechał do mętnej wody, która sięgnęła jego mecheicie do piersi. Dotarli do ładownika. Mecheiti deptały po falującym, wydymającym się materiale spadochronu.

Nie jednego spadochronu.

Były dwa.

Banichi pochylił się i uderzył pięścią w pokrywę luku, której dolna krawędź znajdowała się pod wodą.

Coś w środku stuknęło. Dwa razy.

Bardzo powoli pokrywa zaczęła drgać.

- Słyszycie mnie? - krzyknął Bren. Nie sądził, żeby słyszeli. Poza tym pod zluzowaną uszczelkę na pewno zaczęła się dostawać woda.

Coraz większa szczelina. Zalew wody. Pokrywa cofnęła się, wpadła do środka wraz z niewielkim wodospadem brązowej wody - i odsłoniła dwie spocone, przerażone i bardzo ludzkie twarze.

Nokhada wysunęła w ich kierunku nos i Bren pociągnął wodzę tak mocno, że prawie wywichnął sobie ramię.

- Witajcie - powiedział. - Lepiej wyjdźcie.

- Nie wierzcie mu! - wrzasnęła Hanks z brzegu.

- To Hanks - wyjaśnił Bren. - Ja jestem Bren. A to Banichi. - Nagle zdał sobie sprawę, że jest brudny, osmolony, a wiatr niesie ze sobą woń spalenizny.

Przybysze stojący po pas w wodzie, która zalała im koje i cały sprzęt, wyjrzeli bojaźliwie na zewnątrz - na ciemne niebo, kłęby dymu i grupkę uzbrojonych i podejrzliwych atevich na mecheiti z mosiądzem na kłach.

Dwa mecheiti nie miały jeźdźców.

- Wszystko w porządku - powiedział Bren. - Samoloty już lecą. Zaczynają gasić pożar. Mamy to obiecano. - Wyciągnął brudną, lekko zakrwawioną i drżącą dłoń i uśmiechnął się najsympatyczniej, jak potrafił. - Witamy w świecie. Jeśli chodzi o resztę, musicie mi zaufać.

## DODATEK

### WYMOWA

A=a po większości dźwięków; =ej po j; e=e lub =ej; i waha się od i(h) (prawie syk) na końcu wyrazu do i w innych pozycjach; O=O, u=u. Należy wybrać najlepsze brzmienie.

J to dźwięk między cz i ż; ch=cz jak w „czarny”; t powinno być niemal nieodróżnialne od d i odwrotnie. G jak w „góra”. H po spółgłosce jest palatalne (język wznosi się ku podniebieniu), jak w paidhi=pait’-(h)i.

Apostrof (‘) oznacza rozdzielenie: i tak a’e to dwie oddzielne sylaby a-ej; lecz aj to jedna sylaba; ai=aj, ei=ej.

Akcent wyrazowy pada na przedostatnią sylabę, jeśli samogłoska w tej sylabie jest długa lub następują po niej dwie spółgłoski; w innych przypadkach akcent pada na trzecią sylabę od końca: BANichi (w piśmie atevich ch jest pojedynczą literą i nie uchodzi za dwie spółgłoski); TaBINi (z natury długa) - wszystkie słowa kończące się na -Ini; BromiNANdi (-nd to dwie spółgłoski); meCHEIti (ponieważ dwie samogłoski wymawiane jak jedna liczą się za długą samogłoskę). W razie niepewności należy wybrać najlepsze brzmienie - istnieje ponad pięćdziesięcioprocentowa szansa, że będzie się miało rację, a różnice między sylabami akcentowanymi i nieakcentowanymi i tak powinny być bardzo niewielkie.

Poza tym obcy akcent, jeżeli jest zrozumiały, może brzmieć całkiem seksownie.

Liczba: kategoria ta nie obejmuje jedynie liczby pojedynczej i „więcej niż jeden”. Istnieją zestawy potrójne, rzeczy występujące w dziesiątkach i tak dalej, co można poznać po końcówce wyrazu. Nieprecyzyjną formę oznaczającą „więcej niż jeden” stosuje się szczególnie w dyplomacji, przy zwracaniu się do dzieci czy, z jakiegokolwiek powodu, do paidniego. W ogólnej liczbie mnogiej wyrazy kończące się na -a zwykle otrzymują końcówkę -i; wyrazy kończące się na -i zwykle otrzymują końcówkę -iin. Na przykład ateva to liczba pojedyncza, a atevi - mnoga.

Przyrostki: -ji dodany do imienia oznacza zażyłość, a do tytułu dobrą wolę; -mai lub -ma niosą z sobą o wiele więcej szacunku i są stosowane podobnie.

Zwroty grzecznościowe: nadi (pan, pani) łączy się ze zdaniem oznajmującym lub prośbą na znak uprzejmości; nandi dodaje się do tytułu, by okazać szacunek dla godności urzędu. Pełne szacunku zwroty jak nadi lub tytuł czy imię z -ji powinno się dodawać przy każdym oddzielnym zwróceniu się lub prośbie do danej osoby, chyba że rozmówcy są w niezwykle zażyłych stosunkach lub z rozmowy wynika, że rozmówcę darzy się nieustającym szacunkiem. Nadi lub jego odpowiednik powinien zostać użyty przy każdym zastrzeżeniu oprócz najłagodniejszych przypadków; inaczej zdanie zostanie odczytane jako co najmniej obcesowe lub nawet obraźliwe. Wymowa waha się między NAdi (zdanie twierdzące) a naDI? (jako ostatnie słowo w pytaniu).

Niektóre zaimki wykazują rodzaj. Używa się ich w zastępstwie rzeczowników mających rodzaj, takich jak „matka” czy „ojciec”, lub w sytuacjach intymnych. Na wszelki wypadek paidhi powinien stosować zaimki nie wykazujące rodzaju.

#### ODMIANA WYBRANEGO RZECZOWNIKA

	L.poj.	Ogólna l.mn.
Mianownik	aiji	aijiin
Dopełniacz	aijiia	aijiian
Biernik	aiji	aijiin
Miejscownik	aijiu	aijiuu

#### SŁOWNICZEK

agoi'ingai	pomyślna harmonia liczb
aiji	władca głównego patronatu
ateva, l. mn. - atevi	nazwa gatunku
Babsidi	„Zabójczy”; imię mecheity
baji	Los
basheigi	wszechświat, świat, ziemia, środowisko, ekosystem
bihawa	chęć sprawdzania nowicjuszy
biichi-gi	finezja w usuwaniu przeszkód
chimati sida'ta	fakt dokonany; dosł. zwierz (jest) ugotowany
dahemidei	wyznawca herezji midei
daja	dama
dajdi	alkaliczny środek pobudzający
dimagi	środek odurzający
haronniin	systemy znajdujące się pod naciskiem, wymagające dostosowania
hasdrawad	niższa izba atewskiej legislatury
hata-mai	wszystko w porządku
hei	oczywiście
insheibi	niedyskretny, zwracający uwagę
-ji	pan; panna; pani
kabiu	„w duchu dobrego, tradycyjnego
przykładu”.	

krwawa waśń		główny środek dostosowania społecznego
-ma		szanowny pan, szanowna pani
matiawa		rasa wierzchowca Ilisidi
mospheiran		ludzki język
machimi		dramat historyczny z elementami humoru i zemsty
mainaigi		niemądre zachowanie wywoływane pracą hormonów
man'chi		lojalność względem patronatu lub przywódcy
mecheita		zwierzę, na którym bohaterowie jeżdżą wierzchem
midarga		alkaliczny środek pobudzający, szkodliwy dla
ludzi		osoba wspierająca herezję midei
midedeni		herezja dotycząca patronatu
midei		niezręczny, dotyczy czyjejs pozycji
mishidi		pan
nadi		szanowny pan
nadi-ji		provincialni władcy, (1. mn.)
nai'aijiin		jestem
nai'am		wy (dwie osoby) jesteście
nai'danei		niewzruszony
na'itada		szacowna osoba
nai-ji		Przypadek
naji		szanowny
nand',	nandi	„Zadziorna”; imię mecheity
Nokhada		nocna niby-jaszczurka
o'oi-ana		zwierzęta łowne
pachiikiin		tłumacz
paidhi		pan tłumacz
paidhi-ji		ciemny, gorzki napój alkoholowy, bezpiec-
shibei		siostra
zny dla ludzi		wyższa izba atewskiej legislatury
tadiiri		technicy
tashrid		smoketka
tekikin		
wi'itkiti		